PRZEGLĄD POWSZECHNY

„BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO“ *Ps. 143.*

ROK XLV. Tom 180.

PAŹDZIERNIK — LISTOPAD — GRUDZIEŃ

1928

KRAKÓW
DRUKARNIA „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO“

SPIS RZECZY NA KOŃCU TOMU.

Zaufanie do państwa.

Miesiąc temu prof. Adam Krzyżanowski, zażywający opinji tęgiego ekonomisty i zbliżony politycznie do kół rządowych, zwrócił uwagę na niedostateczny jeszcze stopień zaufania do państwa polskiego zarówno wśród własnych obywateli, jak i zagranicą (*Czas* 27 sierpnia 1928). Jako na dowód tego braku zaufania wskazał na kurs giełdowy naszej pożyczki stabilizacyjnej.

Jak wiadomo pożyczka stabilizacyjna była zaciągnięta w Ameryce i Anglji po kursie 92 za sto, to znaczy Polska otrzymując 92 dolary (właściwie jeszcze mniej, bo musiała opłacić koszta emisji), gwarantowała zwrot 100 dolarów, czyli na tyleż się zadłużyła i od 100 dolarów płacić musi umówione odsetki. Różnica między wysokością nominalną a emisyjną pożyczki, jest usprawiedliwiana teoretycznie tem ryzykiem, na jakie udzielający pożyczki naraża swoje pieniądze: może je odbierze w nominalnej wysokości, ale może dłużnik okaże się w pewnej mierze niewypłacalny, dajmy na to o 20%, więc ryzykuje się połowę tej możliwej straty i gotówką wypłaca się o 10% mniej, niż głosi napis obligacji. Jeżeli pożyczka będzie zwrócona w całej swej nominalnej wysokości, wierzyciele otrzymają premję za ryzyko, na jakie się narażali. Tym sposobem większa lub mniejsza różnica między kursem emisyjnym danej pożyczki a nominalną jej wysokością jest miarą i wykładnikiem mniejszego lub większego zaufania udzielających pożyczki do państwa, które ją zaciąga, zaufania do jego stosunków wewnętrznych i zewnętrznych, które się składają na rzeczową rękojmię jego wypłacalności. Jeżeli następnie to zaufanie będzie wzrastało, to odbije się korzystnie

na kursie giełdowym obligacyj danej pożyczki: będzie on się podnosił w porównaniu z pierwotnym kursem emisyjnym; jeżeli na giełdzie kurs spada poniżej emisyjnego, to znaczy, że zaufanie do dłużnika także się zmniejsza.

Otóż kurs naszej pożyczki stabilizacyjnej w ciągu niespełna roku obniżył się na giełdach światowych z 92 na $88^1/_2$ a nawet chwilowo spadł na $88^1/_4$. Inaczej mówiąc, dzisiaj zaufanie sfer kapitalistycznych świata do naszego państwa jest o kilka punktów mniejsze, niż było przed rokiem w chwili udzielania nam pożyczki. Dziś posiadacz obligacyj pożyczkowej, który ją nabył przed rokiem, straci na niej kilka procentów, jeśli ją zechce odprzedać komu innemu. „W tym stanie rzeczy — tak twierdzi prof. Krzyżanowski — emisja nowych polskich pożyczek jest narazie, to znaczy aż do chwili podniesienia się kursu, wręcz niemożliwą, o ilebyśmy chcieli uzyskać znośne warunki". Pamiętamy jakie perspektywy przed rokiem roztaczano w związku z zaciągniętą pożyczką stabilizacyjną: za tą pożyczką, jaka miała być obrócona na uporządkowanie waluty, miały niechybnie napłynąć pożyczki inne, przeznaczone na rozwój gospodarczy kraju. Takie optymistyczne zapewnienia słyszeliśmy także z ust tego samego prof. Krzyżanowskiego, który obecnie stwierdza, że uzyskanie nowych pożyczek na znośnych warunkach jest wręcz niemożliwe. Możnaby chyba starać się o jakieś pożyczki wręcz lichwiarskie, „parszywe", jak je niedawno nazywano, lecz takie, podbijając jeszcze bardziej stopę procentową, zamiast ożywienia mogłyby sprowadzić ruinę gospodarczą w Polsce.

Prof. Krzyżanowski pisze, że na ten ujemny obrót z pożyczką złożył się „szereg przyczyn". Wymienia z nich wszakże tylko jedną: „głęboko zakorzeniony brak wiary w konsolidację naszych stosunków zagranicznych i wewnętrznych". Mianowicie wielu zagranicą sądzi, zdaniem prof. Krzyżanowskiego, że grożą nam zamieszki, a może i wojna domowa na tle sporów o reformę konstytucji i że rząd, aby odwrócić uwagę społeczeństwa od tych sporów wewnętrznych, ma zamiar wywołać wojnę z Litwą, a nawet z Rosją sowiecką. Oczywiście takim podejrzeniom i pogłoskom trzeba żywo zaprzeczać, podkreślając pokojowość Polski w stosunku do

sąsiadów i wolę pokonania wewnętrznych trudności bez wywołania wstrząsów gospodarczych. To czyni nasz rząd przy każdej sposobności i to prof. Krzyżanowski uważa za „pomyślny objaw". Jeszcze raz zaznacza, że „bez ugruntowania wiary w spokojny i pewny rozwój naszej polityki zewnętrznej i wewnętrznej mowy być nie może o potanieniu i rozpowszechnieniu kredytu, o korzystnym i szybkim rozwoju gospodarczym".

Prof. Krzyżanowski jako barometr spadku zaufania do stałości naszych stosunków wskazał tylko niski kurs giełdowy naszej pożyczki stabilizacyjnej. Możnaby tutaj dodać inny jeszcze objaw braku zaufania, specjalny brak zaufania, wciąż jeszcze się utrzymujący, do polskiej waluty. Przecież wiadomo, że dotąd jeszcze transakcje kupna i sprzedaży nieruchomości, zaciąganie pożyczek na dłuższy termin odbywa się przeważnie w walucie obcej, dolarowej. Podobnież ceny artykułów droższych oblicza się na dolary. Chłop, kupujący ziemię u dworu, wie ile dolarów ma za nią zapłacić; ile zaś to wyniesie złotych, musi dopiero obliczyć; częstokroć sprzedawca żąda, aby mu płacono efektywnemi dolarami. Ile kosztuje automobil wiemy właśnie w dolarach. Długów, zaciągniętych na hypotekę w dolarach, żaden wierzyciel nie pospieszy się skonwertować na złote. To wszystko jest dowodem, że złoty jest wprawdzie pieniądzem obiegowym, ale na dalszą metę mało kto ma do niego zaufanie. Przy braku zaś zaufania do złotego zatamowane jest i drugie, obok pożyczek zagranicznych, źródło kredytu — kapitalizacja wewnętrzna, robienie oszczędności. Wprawdzie kasy oszczędności stwierdzają wzrost wkładek, nie idzie wszakże ten wzrost w tem tempie, w jakimby postępował, gdyby nie pozostałości w psychice społeczeństwa nieufności do trwałej wartości złotego.

Nie zamierzamy tutaj zajmować się przyczynami upadku zaufania do Polski, jako do dłużnika, ze strony obcych kapitalistów, którzy nam udzielili pożyczki stabilizacyjnej. Dodalibyśmy tylko do przyczyny wskazanej przez prof. Krzyżanowskiego przyczyny od rządu naszego i wogóle od Polski niezależne, na które jednak zagraniczny barometr giełdowy może być bardzo czuły. Można bardzo przekonywująco za-

pewniać zagranicę o naszych usposobieniach pokojowych względem sąsiadów, ale nie można zapewnić o tem, że sąsiedzi nasi żywią podobneż usposobienia względem nas, a do pewności co do stałości naszych stosunków zewnętrznych trwałości granic i t. d. jedno i drugie jest potrzebne. Jeżeli świat finansowy ustawicznie słyszy zastrzeżenia jednego z naszych sąsiadów przeciwko „Locarnu wschodniemu", jeżeli granice ustanowione w traktacie wersalskim ten nasz sąsiad uważa za „nonsens geograficzny" i zapowiada, że będzie dążył do ich zmiany „drogą pokojową" — to trudno od świata finansowego żądać, by stosunki nasze uważał za dość skonsolidowane i pewne. Dla pożyczającego pieniądze wszystko jedno kto zagraża pokojowi: dłużnik czy jego sąsiad, dość, że istnieje niebezpieczeństwo zakłócenia pokoju. Podobnież rzecz ma się z drugim naszym sąsiadem, Rosją, która dążąc do wzniecenia pożaru powszechnej rewolucji, na pierwszem miejscu musi dążyć do wzniecenia go w sąsiednim kraju, t. j. u nas. Dążenia zaś radykalistyczne i odśrodkowe na rzecz Rosji, jakie wśród naszej ludności kresowej raz po raz są ujawniane, także nie mogą przyczyniać się do wzmocnienia zaufania zagranicy do stałości naszych stosunków. Dużo zapewne jeszcze wody upłynie w naszych rzekach, zanim wszystkie warunki, nietylko zależne od naszej dobrej woli, ale i od woli czynników innych, tak się złożą, by finansjerze zagranicznej państwo nasze wydało się zupełnie pewne i skonsolidowane.

Wobec takiej opinji zagranicznej o nas, tem bardziej konieczną jest spoistość nasza wewnętrzna, jako narodu i państwa, a jej nieodzownym warunkiem jest zaufanie całego społeczeństwa do własnej państwowości. Mówimy tu przedewszystkiem o społeczeństwie narodowo polskiem, bo znajdujące się wśród nas mniejszości przeważnie świadomie dążą do rozbicia państwa polskiego w jego obecnej strukturze. Niestety, z przykrością musimy stwierdzić, że tego zaufania do własnej państwowości daje się odczuwać dotkliwy brak i to właśnie do państwa, jako gwaranta stałości stosunków ekonomicznych, co się wyraża w owem niezaufaniu do własnego pieniądza — złotego, o którem mowa była wyżej. I trzeba zaraz przyznać, że ten brak zaufania jest aż nadto usprawiedliwiony przez całą polską politykę finansową, po-

cząwszy od odzyskania niepogległości aż do ostatnich niemal dni. Przypominamy tutaj pokrótce jej historję i skutki, nie dla próżnych rekryminacyj, a tem mniej, aby stwierdzony brak zaufania do państwa utrwalić, ale, aby łatwiej było wywnioskować, na jakiej jedynie drodze podkopane zaufanie da się odnowić i umocnić.

Państwo polskie rozpoczęło podkopywać zaufanie do siebie ze strony własnych obywateli zaraz w pierwszych dniach swego istnienia przez stworzenie fikcyjnego papierowego pieniądza. Oczywiście nie odrazu, owszem nie prędko skutek — utrata zaufania miał się okazać, przyczyna jednak była już położona. Nie wchodzimy tu w pytanie, czy państwo nasze w pierwszych miesiącach swego istnienia miało inne źródło na bieżące potrzeby, rozbudowę państwowości i stworzenie wojska, jak ten podatek ukryty, nazwany później inflacyjnym, polegający na emisji w coraz większych ilościach pieniędzy papierowych, których wartość coraz szybciej spadała, pozbawiając ich posiadaczy części ich majątku. Jeżeli ten sposób ratowania skarbu był koniecznością, to chyba nie było koniecznem przedłużanie go przez całe pięć lat: wszak inne państwa, będące z początku w tem samem, co my, położeniu, załatwiły się z problemem inflacyjnym o wiele wcześniej i z mniejszemi szkodami dla obywateli. Winne tego stanu rzeczy u nas były rządy, ale przedewszystkiem zdaje się winien był sejm, jeden i drugi, który zajęty przeważnie partyjnemi kłótniami i obalaniem gabinetów, nie mógł się zdobyć na żaden plan reformy walutowej, dopóki nie wymuszono na nim pełnomocnictw finansowych dla rządu Wł. Grabskiego. Winni byli w społeczeństwie także ci wszyscy, którzy nadmiernemi wymaganiami subwencyj i rozmaitych świadczeń zmuszali rząd do powiększenia swych emisyj, ci także, co ociągali się z płaceniem podatków, spekulując na spadek waluty, ci wreszcie, co w spadku waluty widzieli swoją korzyść, zaciągając pożyczki w walucie lepszej, a płacąc potem w bardziej zdeprecjonowanej. Wszyscy wreszcie ponieśli zasłużoną karę, bo nawet ci, którzy narazie bogacili się dzięki dewaluacji pieniądza, jak oczyszczający swoje majątki z długów, zbywając swych wierzycieli byle czem, stracili wiele nakoniec, kiedy dzięki in-

flacji stopa procentowa podniosła się niesłychanie, wreszcie ustał wszelki kredyt, uniemożliwiając wszelkie inwestycje i meljoracje. Obok nich kara już całkiem niezasłużona spotkała tych, co mając wierzytelności przedwojenne, zostali wykwitowani byle czem, ponosząc pono największą część ciężarów wspólnych. Wiadoma *lex Zoll,* ratując niby te resztki dla nich, usankcjonowała niesprawiedliwość, na którą tylu ludzi pracowało. Podobnąż karę niezasłużoną ponieśli także ci, co z pobudek patrjotycznych, a czasem pod przymusem moralnym podpisywali liczne pożyczki państwowe, których wartość spadła wraz z papierowym pieniądzem. Prawdziwa ironja losu, że ukarani zostali oszczędni i na potrzeby państwa czuli.

Próżnem byłoby dzisiaj dochodzenie, czy przy reformie walutowej za rządów Wł. Grabskiego można było uniknąć niesprawiedliwości, rozkładając szkody sprawione przez inflację równomiernie na wszystkie kategorje obywateli. Prawdopodobnie idealna słuszność i sprawiedliwość, a chociażby zbliżona do niej, była wprost technicznie nie do urzeczywistnienia. Po analogicznej, chociaż nie tak radykalnej sanacji walutowej we Francji (gdzie i choroba nie była tak wielką jak u nas), podniosły się głosy narzekania na rząd Poincaré'go zwłaszcza ze strony drobnych rentjerów, że reforma redukująca wartość franka do jednej piątej dawnej wartości pozbawiła ich czterech piątych ich majątku. Wtedy nawet w piśmie tak katolickiem, jak *Etudes,* [1]) pojawiła się prawie obrona moralnej strony tej sanacji. Autor artykułu przyznaje, że zaszła tu zapewne niejedna niesprawiedliwość, i że częściowo mogłaby być jeszcze wyrównaną, zwraca jednak uwagę na to, że tu chodziło o dobro ogólne i wyższe — wyjścia ze stanu walutowej niepewności, stworzenie na przyszłość monety pewnej, co było w interesie wszystkich, nawet tych, co czują się przez ustabilizowanie franka pokrzywdzeni. W takich zaś razach państwu przysługuje prawo użycia radykalnych środków, które nie dadzą się odmierzyć według idealnej sprawiedliwości. Ci, którzy dzisiaj narzekają na straty, spowodowane przez reformę monetarną, niechaj

[1]) Artykuł H. Passage: „La stabilisation monétaire", *Études,* 20 lipca 1928.

pamiętają, że ostatecznie i ona jest dalszym skutkiem powszechnej katastrofy, wojny, podczas której miljony złożyły stokroć większą ofiarę niż z części swego mienia, bo ofiarę z życia. Podobnież możnaby pocieszać i u nas ofiary dewaluacji, pożyczek i niedostatecznych waloryzacyj.

I możliwe, że zaufanie do państwa po tych stratach byłoby u nas powróciło i utrwaliło się, gdyby reforma monetarna, przeprowadzona przez Wł. Grabskiego, okazała się trwałą. Niestety, zbyt prędko załamała się ona. Jak się okazało, opartą ona była na zbyt kruchych podstawach, a stojący wtedy u steru rządów nie przewidzieli nawet, jak stosunkowo słabe ciosy mogły wzruszyć jej fundamentami. Była to wojna celna, która w r. 1925 została nam narzucona przez Niemcy i wysiedlenie z Polski niemieckich optantów, którzy, wywiózłszy znaczną ilość polskiego pieniądza, rzucili go naraz na rynki zagraniczne, obniżając tem nagle jego wartość. Wład. Grabski w swojej książce „Dwa lata pracy" sam przyznaje się, że tej okoliczności nie wziął w rachubę, bo jej nie przewidział. Dołączyły się do tych przyczyn dalsze: polityczne walki stronnictw, nowe zmiany gabinetu, druk przez rząd nadmiernej ilości zdawkowych biletów i w rezultacie tego wszystkiego złoty obiegowy, który ustawą sanacyjną miał zagwarantowaną wartość złota, równającą się mniej więcej piątej części dolara — gdy go nie można było faktycznie w Banku Polskim na złoto zamienić, spadł szybko do dziesiątej, a chwilowo nawet do trzynastej części dolara. I jeżeli w tym stosunku wartości nawet sam Bank Polski dostarczał potrzebującym walut zagranicznych, to właściwie już wtedy przyznawał się do bankructwa. I ustawa, określająca wartość złotego, stała się bezskutecznym świstkiem papieru, przekreślonym przez życie. I znowu ucierpieli ci, co tej ustawie wierząc, lokowali swe oszczędności w złotych, czy to w kasach czy na hipotekach; uratowali zaś swoje mienie tylko sceptycy, którzy po reformie Grabskiego w dalszym ciągu woleli obliczać na dolary i pożyczając komuś lub lokując swoje pieniądze na hipotece, lokowali je w dolarach.

Nowa sanacja, dokonana przez rząd marsz. Piłsudskiego przy pomocy pożyczki amerykańskiej, ustabilizowała wartość

złotego na poziomie, na jakim on stał faktycznie w chwili przeprowadzenia sanacji, t. j. w stosunku 8·91 zł. na jednego dolara. Ustawę z przed trzech lat, określającą, że złoty równa się $^{9}/_{31}$ gr. złota, przekreślił nowy dekret p. Prezydenta Rzeczypospolitej, ustanawiający wartość złotego na $^{10}/_{59}$ gr. złota. Było to uroczyste stwierdzenie nieskuteczności takich ustaw. Czy dekret rzeczony tem samem nie uprawnia zgóry do sceptycyzmu co do własnej jego wartości?

Po tem wszystkiem, co się powiedziało, a właściwie co stało się u nas w ostatnich latach w dziedzinie stosunków finansowych, chyba nikt nie może brać nikomu za złe niedowierzania wciąż trwającego do własnego pieniądza. Dzisiaj złoty ma wartość 12 amerykańskich centów: tak głosi dekret z mocą ustawy państwowej i tak dotąd jest faktycznie na giełdzie, ale czy długo tak będzie? — zapytuje oszukany tyle razy obywatel. Przecież wobec wciąż trwającego biernego bilansu handlowego tyle obcej waluty musi odpływać zagranicę i skąd się ona ostatecznie bierze, jeśli nie z sum udzielonej nam przez Amerykę pożyczki sanacyjnej? Prawda, że mamy jeszcze dwa strumienie dopływu obcej waluty do nas poza drogą handlu: są niemi dolary przesyłane przez naszych emigrantów krewnym i sumy przesyłane przez Komintern bolszewicki na propagandę przewrotu w Polsce. Lecz czyż te dwa strumienie, które zawdzięczamy — o ironjo — jałmużnie i wywrotowej agitacji, wynagradzają niedobory bilansu handlowego? Stąd nie potrzeba być wielkim filozofem, żeby przewidzieć, że wreszcie ilość zdrowej waluty zagranicznej zmniejszy się u nas i rezerwy pożyczki amerykańskiej się skurczą, a kiedy przyjdzie płacić odsetki od niej i raty amortyzacyjne (a innych długów także!), wtedy walut obcych zabraknie na te wszystkie zapotrzebowania, a wskutek tego pójdą one na rynku pieniężnym w górę, czyli złoty potoczy się w dół, a nowa jakaś ustawa i tę nową dewaluację usankcjonuje. Czy ta obawa nie jest realna? W każdym razie ona działa na psychikę społeczeństwa i ona właśnie stanowi walną przeszkodę do oszczędzania, do kapitalizacji, ona, obok braku dopływu kapitałów z zewnątrz, powoduje, że kredytu niema, albo jest bardzo drogi i t. d., aż do wszystkich hamujących rozwój gospodarstwa krajowego konsekwencyj.

Słowem, żyjemy wciąż w atmosferze nieufności do własnego państwa, jako gwaranta wartości naszych pieniędzy, i musimy uznać, że ta nieufność jest aż nadto usprawiedliwioną i nie prędko da się pokonać, zwłaszcza jeśliby społeczeństwo jeszcze raz przekonało się o nicości obietnicy, zawartej w ustawie, określającej wartość złotego. Zaufanie jednak do państwa odrodzić się musi, jeżeli nie chcemy bytu jego na szwank wystawić. I ono zapewne naprawi się i wzrośnie, bo ludzie bądź co bądź są dużymi optymistami i doznanych strat i zawodów wreszcie zapominają. Tylko trzeba zerwać z systemem złudnego uspokajania opinji, upewnień nie opartych na dostatecznych realnych podstawach, że „złoty nasz jest już murowany", natomiast patrząc odważnie w oczy przykrej rzeczywistości, szukać na nią środków zaradczych.

Za rządów obecnych zdobyto się na jeden taki środek, który narażał nawet te rządy na niepopularność u wielu i był wyzyskiwany przez demagogję różnych stronnictw. Środkiem tym jest zrównoważenie budżetu skarbowego. Oby ta równowaga dała się utrzymać! Drugim środkiem koniecznym, aby nie dopuścić do nowego załamania się złotego, to doprowadzenie do równowagi naszego bilansu handlowego, a przynajmniej zbliżanie się do niej. Będzie to tak samo środek niepopularny i może być wyzyskiwany przez innych demagogów, np. obrońców „wolności" gospodarczej. Trzebaby zacząć od większego ograniczenia przywozu z zagranicy przedmiotów zbytkownych i wogóle artykułów konsumpcji — i to więcej od rządu zależy. Rzeczą rządu jest także staranie się o korzystne traktaty handlowe, mądra polityka zagraniczna, utrwalająca dobre stosunki z innemi państwami i pewność naszej politycznej sytuacji, wreszcie straż nad praworządnością wewnętrzną.

Ale na społeczeństwie całem ciążą jeszcze poważniejsze obowiązki: ograniczanie dobrowolne tych potrzeb, które pociągają za sobą odpływ pieniędzy zagranicę — zrozumienie, że twardą pracą i oszczędnem życiem musimy jeszcze spłacać okup katastrofy wojennej i uzyskanej niepodległości — zaprzestanie liczenia na rząd, jako opatrzność, mającą o wszystkiem myśleć, a usilne organizowanie prywatne tych dzie-

dzin życia, które mogą wzmóc dobrobyt powszechny. Ostatecznie wszystko to zależnem jest od wyższego uobywatelnienia i umoralnienia wszystkich czynników w państwie: rządu, sejmu i społeczeństwa. Rząd i sejm wtedy spełnią swe powołanie, kiedy uznają się przedewszystkiem za wiernych stróżów nietylko bezpieczeństwa osób, ale i mienia obywateli, nie zaś za nadpanów, mogących dekretami według woli przenosić mienie z kieszeni jednych do drugich; społeczeństwo spełni swój obowiązek, kiedy się stanie więcej przezorne, dalej widzące, pracowitsze i ofiarniejsze. I zawsze trzeba zawrócić do tego, czem wszelkie dobro, nawet materjalne, warunkuje się: do wartości moralnej ludzi. Wzrost dobrobytu nie jest możliwy bez zaufania wzajemnego — obywatela do obywatela, a całego społeczeństwa do państwa, i państwa do społeczeństwa, a zaufanie to zrodzić może tylko sumienny stosunek wszystkich do własnych obowiązków.

Ks. Jan Urban T. J.

Idea gospodarcza Polski.[1)]

I.

Gdy się widzi, że przez cały okres historji ludzkości zajmują ludzi w dziedzinie gospodarczej ciągle te same problemy i że oni, nie nauczeni doświadczeniem historji, wznawiają ustawicznie te same pytania i wątpliwości, które zdawały się już dawno rozwiązane, chciałoby się prawie zwątpić o linji rozwojowej ludzkości i uwierzyć pesymistom, którzy, jak Oswald Spengler, przepowiadają zmierzch bodaj części rodu ludzkiego, zamieszkującej Europę i stąd z natury rzeczy najżywiej nas obchodzącej.

Mieliśmy dowód tego nawrotu do tych samych problemów w kwestji inflacji po wojnie światowej mimo rozpaczliwych doświadczeń Francji XVIII w. i Austrji pierwszej połowy w. XIX. Mamy dowód tego dziś w rozbrzmiewającem z gabinetów królów epoki, bankierów całego świata, haśle powrotu do Ricarda i złudzeń wolnego handlu i międzynarodowego podziału pracy zarówno na konferencji brukselskiej z r. 1920, jak w manifeście 170 bankierów z r. 1926 mimo nie dającego się obalić faktu, że Francja Colberta oraz Anglja królowej Elżbiety i Cromwella, a w naszych czasach Stany Zjednoczone i Cesarstwo niemieckie po Sedanie rozkwit swój zawdzięczały właśnie stosowaniu zasad merkantylistycznych, a więc uwarunkowaniu przekroczenia granic przez towary od opłaty ceł i uznaniu za cel pożądania godny samowystarczalności państw poszczególnych.

[1)] Praca napisana i wygłoszona w odczytach publicznych jeszcze w r. 1926, dopiero teraz z przyczyn niezależnych od jej autora ukazać się może w druku.

Polska zaznaczyła się zupełnym brakiem programu gospodarczego tak w przeszłości historycznej, jak i w ciągu niespełna dziesięciolecia ponownego samoistnego bytu. Przewidująca polityka Kazimierza Wielkiego, stanowiącego wyraźne pierwszeństwo dla polskiego handlu i rękodzieła na Rusi, pozostała bez naśladowców. Historja gospodarcza i jej doświadczenia są u nas dotąd za mało znane, a nauka ekonomji społecznej przez wielu pojmowana jest fałszywie jako nauka o bogactwie, chrematystyka, albo też jako nauka li o produkcji z wymarzonym dalekim celem: Bastiatowskiej harmonji interesów, wynikającej jakoby z najwygodniejszej w świecie a dla nas szczególnie ponętnej zasady nie mieszania się państwa do spraw gospodarczych, co ogłoszono nietylko jako kwintesencję liberalizmu, ale także jako kwintesencję wszelkiej mądrości stanu.

Stąd u nas rozbieżność poglądów na kwestje zasadnicze, powodująca, że jedni poprzestają na uchylaniu tego, co zrobili poprzednicy, a nikt nie wypracowuje pozytywnego programu na dalszą metę, choćby dlatego, ponieważ wie, że wątpliwości innych i wysuwane przez nich trudności nie pozwolą na jego urzeczywistnienie i że wóz państwowy, zaklęty jakąś fatalną siłą, jeszcze przez czas długi nie ruszy się z miejsca.

W ciągu lat dziesięciu zebraliśmy sporo doświadczeń przeważnie przykrych, nauczyliśmy się też trochę z przykładów i doświadczeń cudzych, tudzież z rad, drogo opłacanych angielskich i amerykańskich rzeczoznawców, którym atoli więcej wierzymy, niż własnym, mimo że ci — niepytani co prawda — dawno mówili to samo. Czas więc nareszcie rozstrzygnąć i dla naszego państwa powtarzane od kilku pokoleń na całej kuli ziemskiej pytania: 1) liberalizm czy granice celne, oraz, co zatem idzie, Stany Zjednoczone Europy a przynajmniej Związek celny europejski czy samowystarczalność własna? 2) państwo rolnicze, przemysłowe czy rolniczo-przemysłowe; tudzież 3) ustrój kapitalistyczny, socjalistyczny, czy solidarystyczny, a dalej wyzyskanie konjunktury, czy cena sprawiedliwa, oparta na realnej wartości towarów i rozległości odbytu?

Odpowiedź na te trzy pytania, z których pierwsze łączy się najściślej z drugiem, wyczerpuje ideę gospodarczą Polski,

którą sformułować nam przyjdzie — odpowiedź ta jednak z natury rzeczy będzie tylko najogólniejszą, zasadniczą, nakreśli jedynie wielkie wytyczne, ukaże ostateczne cele, godne mojem zdaniem osiągnięcia. Wytknięcie mozolnych dróg, po których ku owym celom kroczyć wypadnie, należy pozostawić rozważaniom osobnym w łonie organów rządu i ciał jego doradczych.

Przedewszystkiem musimy zrozumieć dokładnie, czego chcą od nas inne państwa i dlaczego w szczególności są dziś rzecznikami wolnego handlu; powtóre zaś winniśmy porozumieć się między sobą co do tego, czego mamy chcieć sami. Czy w szczególności pragniemy przedewszystkiem utrzymania pełnej i nieuszczuplonej suwerenności naszego państwa, czy też dla uzyskania dobrobytu jednostek gotowiśmy poświęcić choćby małą część naszej, cudem Bożym i krwią naszą uzyskanej niezawisłości państwowej, rozumiejąc, że taki musi być skutek otwarcia granic dla obcego przemysłu, jako też zajmowania coraz liczniejszych placówek handlowych, przemysłowych czy bankowych przez kapitał zagraniczny. Nie wolno nam wymijać drażliwego tego pytania wymówką, że co innego są kwestje narodowe i ideały, a co innego rzeczy praktyczne i poziome, jakiemi są sprawy gospodarcze. Najściślejszy związek jednych i drugich jest tak widoczny, że koniecznem jest właśnie zdawanie sobie sprawy, iż otwarcie granic obcemu kapitałowi i obcym fabrykatom przynieść nam musi dużą zależność, degraduje nas do poziomu kolonji, której wolno wydobywać i wywozić tylko surowce, bo wierzyciele jej a tem samem ujarzmiciele i władcy nie życzą sobie, ani by przemysł w Polsce się rozwinął, ani tem mniej, by był w rękach polskich. Gdyby przeprowadzono w Polsce statystykę, ile przedsiębiorstw przemysłowych i handlowych znajduje się w rękach polskich, rezultat jej byłby z pewnością zatrważający. Gdybyśmy w ten sam sposób zbadali, ile banków naszych odbiera wskazówki z zagranicy, ilu przemysłowców w Polsce należy do syndykatów i karteli zagranicznych, lub przynajmniej w ten lub ów sposób zależnych jest od zagranicy, przekonalibyśmy się nareszcie, kto właściwie rządzi przemysłem i bankami w Polsce: interes Polski, interes obcy czy potrosze jeden i drugi.

Oczywiście, że każda pożyczka zagraniczna pogłębić musi tę zależność, osłabić suwerenność naszą, którą odbudowywać przyjdzie w przyszłości wysiłkiem dziesiątków lat wytężonej a usilnej pracy.

Nie znaczy to, byśmy dziś pozbawieni kapitałów i zaufania własnych bogatych ziomków, trzymających miljonowe fundusze w bankach zagranicznych, mieli się nie starać, o pożyczki w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza o ile pożyczki te posłużyły bądź do stabilizacji naszej waluty i położenia kresu ruinie klas średnich i biednych w Polsce, którą chwiejność tej waluty i zupełna dewaluacja spowodowały, bądź do pokrycia kosztów koniecznych inwestycyj, które kiedyś same się opłacą i dostarczą funduszów potrzebnych dla spłaty zaciągniętych pożyczek. Znaczy to tylko, że winniśmy pamiętać, że każda pożyczka, podobnie jak to było w XIX w. z Egiptem, z Turcją, z Hiszpanją, z Portugalją, z państwami Ameryki południowej, i u nas zwiększy czasowo naszą od zagranicy zależność, od której uwolnić nas zdoła w przyszłości dopiero wzmożone zaufanie wszystkich i wzmożona miłość do własnego państwa, jako rezultat polityki o szerokich widnokręgach, czego przykład widzimy we współczesnych Włoszech i entuzjastycznej tam spłacie amerykańskich długów, — tudzież w Wielkiej Brytanji, która nałożywszy na swych obywateli najuciążliwsze podatki i ograniczywszy budżet jak najbardziej, zdołała już w ciągu pierwszych kilku lat powojennych spłacić około 30% miljardowego długu, zaciągniętego w Stanach Zjednoczonych.

Mimo to twierdzę jednak, że lepiej jest rozwinąć przemysł w Polsce choćby przy pomocy obcych sił i obcych kapitałów, aby potem i ludzi i pieniądze cudzoziemskie zastąpić własnemi, niżeli uczynić tak, jak nam radzi zagranica, t. j. zrezygnować z przemysłu w Polsce, poprzestać na rolnictwie i wogóle na produkcji surowej, a otworzyć dla obcych wyrobów fabrycznych naoścież wrota, wywołując zadowolenie i uznanie zarówno członków ententy, jako też Niemiec, Czech, Austrji, słowem wszystkich.

Już Dawid Ricardo zalecał nam poprzestanie na gospodarstwie rolnem, jako właściwej naszej dziedzinie, a pozostawienie fabrykacji wyrobów przemysłowych Wielkiej Bry-

tanji. Myśl tę powtarza się na najrozmaitsze tony po dzień dzisiejszy. Odbyty w październiku 1926 r. Kongres paneuropejski i manifest 170 bankierów świata, wydany również w tym czasie, rozdzierają szaty nad trudnościami, jakich doznaje handel międzynarodowy z powodu paszportów i opłat celnych.

Na międzynarodowym kongresie pacyfistycznym w Genewie, odbytym w październiku 1926, jedna z wybitnych członków komitetu (p. Renée Aberdam) wygłosiła referat na temat potrzeby ograniczenia suwerenności państw, domagając się tegoż w interesie uniwersalności handlu, przemysłu i komunikacji i określając suwerenność nawet jako sprzeczną z wymaganiami cywilizacji powojennej. Traktat handlowy — wywodziła referentka — jest także ograniczeniem suwerenności; między nim a międzynarodowym związkiem celnym istnieje tylko różnica stopnia. Nie zwróciła na to uwagi, że warunki traktatu handlowego dyktuje lub dyktować winien wyłącznie interes danego państwa, a koncesje w nim zawarte zmierzają jedynie do osiągnięcia wzajemnych koncesyj, subjektywnie bardziej pożądanych, czego analogję przedstawia każda transakcja handlowa. Kupujący i sprzedający są obaj ludźmi, zasadniczo biorąc, od siebie niezależnymi, choć potrzeba i przymusowe położenie może oczywiście zależność tę ograniczyć. Tak samo zasadniczo niezależnemi od siebie winny być dwa państwa, zawierające ze sobą traktat handlowy. Związek międzynarodowy w rodzaju Paneuropy natomiast jest utrwaleniem zależności jednych państw od drugich, jak byłaby niem niewola lub pańszczyzna w stosunku między jednostkami.

Czy rzeczywiście należy nam trzymać się tradycyj wiekowych i pozostać nadal państwem wyłącznie rolniczem? W ostatnich czasach kilka osób wybitnych odzywało się w tym duchu. Czyżbyśmy więc nie mieli najmniejszych do tworzenia rodzimego przemysłu kwalifikacyj? Co więcej, czy wogóle leżałby w naszym interesie rozwój przemysłu w Polsce, przy pomocy obcych kapitałów i głów cudzoziemskich? Oto kwestja, nad którą, nie oglądając się na popularność odmiennych twierdzeń, chciałbym się zastanowić.

Ale przedewszystkiem sięgnąć trzeba w przeszłość na-

rodów, dzierżących dziś berło wielkiego przemysłu. I cóż zobaczymy? Anglja w w. XIII i XIV była krajem nawskróś rolniczym. Wówczas *Carta mercatoria* z r. 1303 przyznała wszystkim obcym prawo wolnego pobytu i handlu, a Edward III i jego następcy sprowadzali do Anglji majstrów z Flandrji dla nauczenia krajowców sztuki wyrabiania sukna z wełny. Istniał więc, jakbyśmy dziś powiedzieli, wolny handel na całej linji, a niemiecka Hansa miała w Anglji monopol handlu. Pierwszy podjął walkę o ograniczenie jej przywilejów Edward IV, ale był jeszcze na taką walkę za słaby i w r. 1474 musiał ustąpić. Ryszard III rozpoczął starania o ograniczenie praw kupców włoskich. Tą samą drogą szli Henryk VII i VIII. Naród rósł w samopoczucie i siłę. Dopiero jednak królowa Elżbieta zdołała znieść wszystkie przywileje Hansy i zniszczyła jej handel w Anglji w r. 1579, wydała zakaz wywozu wełny, zastrzegła żeglugę nadbrzeżną dla okrętów angielskich, nakładając cła wyższe na towary, przywożone na okrętach obcych. W r. 1678 zakazano dowozu z Francji do Anglji sukna, jedwabi, skór, wyrobów ze złota i srebra, dzięki czemu przemysł sukienniczy i jedwabniczy w Anglji rozwinął się nadzwyczajnie. Wiek XVIII cechuje śmiała i konsekwentna polityka merkantylistyczna. Zabrania się wywozu surowców a zezwala na ich dowóz bez cła: wywóz gotowych wyrobów dozwolony jest bez ograniczenia, a cła wywozowe od nich zniesione. Dopiero, gdy Anglja dzięki tym wszystkim ustawom stworzyła własny potężny przemysł, gdy zmonopolizowała żeglugę dzięki aktowi nawigacyjnemu Cromwella a Holandję i Francję usunęła jako mocarstwa morskie na dalszy plan, — nadeszła dla niej pora głoszenia zasad wolnego handlu. Okrasił je pogodną swą i filantropijną filozofją Adam Smith, a Dawid Ricardo przemówił do interesu londyńskiej *City* właściwym dla niej językiem. Anglja dzięki merkantylistycznej polityce Walpole'a była już bogatą i mogła sobie na to pozwolić, a przytem liczyła na to, że przyczepiając zasady wolnego handlu do szlachetnie brzmiących i ogólnikowych haseł encyklopedystów francuskich, uśpi czujność rozdartego wojnami napoleońskiemi kontynentu Europy i na czas dłuższy ustali pokojową nad nim przewagę w dziedzinie gospodarczej.

I Francja stworzyła wielki przemysł u siebie dopiero w w. XVI zarządzeniem czysto merkantylistycznej treści, a mianowicie zakazem dowozu sukna z Katalonji i kamgarnów z Flandrji. W w. XVII Colbert ściągał z zagranicy producentów i robotników, krajowym wytwórcom dawał pierwszeństwo przed obcymi przy zamówieniach rządowych, udzielał im zaliczek, przyznawał premje, a nakładając cła w podwójnej w stosunku do krajowych podatków wysokości na towary angielskie i holenderskie i zabraniając wprost dowozu niektórych towarów, zapewniał rynek wewnętrzny wytwórcom francuskim. Zabraniał jednak wywozu zboża z rolniczej przeważnie Francji, a to w tym celu, by tym sposobem zapewnić miastom i rozkwitającemu przemysłowi tanie środki żywności.

Prusy w w. XVII i XVIII utrudniały zarówno wywóz surowców jak i dowóz fabrykatów zagranicznych, czem doprowadziły do wielkiej konsolidacji państwa i wielkiej zamożności, a w traktacie z Polską z 19 marca 1775 r. zapewniły sobie monopol pośrednictwa towarów wywożonych z Polski, nakładając na nie w razie dowozu do Prus cło w wysokości tylko 2%, a w razie bezpośredniego przewozu (tranzytu) do innych krajów, cło tranzytowe 8—30%, potem 12·8%.

Kierunek merkantylistyczny załamuje się na kontynencie Europy we Francji pod wpływem I. B. Say'a, w Niemczech pod wpływem Wilhelma Humboldta na rzecz liberalizmu. Napoleon III udziela mu poparcia, ulegając argumentom Chevaliera i Cobdena, ale przedewszystkiem czyni tak dlatego, że pragnie pozyskać sobie tym sposobem przychylność Anglji, a więc z pobudek politycznych. Cavour wstępuje na tę samą drogę z tego powodu, że w ten sposób ma nadzieję uzyskania pomocy Francji przeciw Austrji, a więc działa również z pobudek politycznych. Inne państwa zapewniają w tym czasie o sympatji dla nowych haseł, ale postępują tak z konieczności, gdyż w innym wypadku nie mogłyby otrzymać pożyczek na cele budowy kolei i wogóle dopływ obcych kapitałów do nich byłby w takim razie utrudniony.

Kapitał międzynarodowy poczuł się w sile i rozpoczął dyktowanie warunków. Liberalizm ekonomiczny był od pierwszej chwili swych urodzin sojusznikiem idei międzynaro-

dowych i takim pozostał po dzień dzisiejszy. Narodom słabszym ani fizjokrata Quesnay ani najgłośniejszy rzecznik manczesteryzmu, fabrykant Cobden, nie zostawili iskierki nadziei a liberalizm powoływał się bezwstydnie na wrzekomo odmienną wolę Opatrzności i na nią składał winę w tej mierze.

Ostateczny rezultat międzynarodowego podziału pracy widział jasno patrjota niemiecki, słynny profesor Schmoller, w takiem przekształceniu karty politycznej Europy, aby przestrzenie kuli ziemskiej, potrzebujące się wzajemnie, nie podlegały różnym, często wrogim sobie państwom. Wskazywał w tym względzie jako na wzory zasługujące na naśladowanie, na dążenia Aten i starożytnego Rzymu do podboju sąsiadów, a na chwilę obecną powoływał się, jako na zachęcające dla Niemiec przykłady, na utworzenie wielkich Związków celnych Australji i Kanady. Schmoller był wprawdzie przeciwnikiem liberalizmu, ale gdy chodziło o wielkość Niemiec, oczywiście chętnie zgadzał się na zniesienie granic celnych, skoro Niemcy wówczas były już potężnem państwem przemysłowem. Związek celny uważał słusznie za pokojowy podbój, myśląc zapewne o współczesnym mu projekcie utworzenia Europy środkowej znanego przedwojennego pomysłu posła Naumanna. Do tworzenia takiego Związku jednak — dodaje z właściwą sobie przezornością — należy dążyć stopniowo, z umiarkowaniem wobec państw mających wejść w skład przyszłego związku celnego, a pozostawić im narazie obok ceł fiskalnych bodaj niektóre cła ochronne, niezbędne dla rodzimego przemysłu.

Oto miły horoskop, ukazany nam z całą szczerości przez znakomitego uczonego, jaki zapowiada nam pójści drogą wolnego handlu.

Po wojnie światowej ruch paneuropejski, zainicjowan przez hr. Coudenhove-Callergi, domaga się również połą czenia narodów europejskich, z wyłączeniem Wielkiej Brytan i Rosji, połączenia nietylko gospodarczego, ale i politycznej i ostro atakuje małe i średnie państwa europejskie, nie chcąc wziąć w niem udziału dla mało znacznej rzekomo „kwest prestiżu", jak twórca jego nazywa uzasadnioną obaw przed ustępowaniem na każdym kroku pierwszeństw Niemcom i objęciem pierwszych skrzypiec w koncerc

paneuropejskim przez Niemcy. Grozi wam wojna, powiada hr. Coudenhove, więc łączcie się. Wojna z kim, jeżeli Niemcy które 14 lat temu gotowały się do podboju Europy, będą nie poza związkiem, ale w związku? Z kim, jeżeli Rosja jest słabą i sprzymierzyła się tajnie z Niemcami w Rapallo, Anglja o zaborach w Europie nie myśli, Stany Zjednoczone są wybitnie pacyfistyczne, Chiny w rozterce, Japonji o chęć wojny z Europą nie podobna posądzać? Stworzycie, powiada, federację wolnych państw, w obrębie której naturalnie wszelkie cła i utrudnienia paszportowe byłyby zniesione. Sielanka przedwojenna, więcej jeszcze — nadsielanka, jeśli tak wolno, powiedzieć, bo kiedy dawniej były bodaj traktaty handlowe zapewniające każdemu państwu możność stworzenia i rozwoju własnego przemysłu, teraz miałyby one odpaść, jako zupełnie niepotrzebne.

Ależ w takim razie — odpowiadamy — nieśmiało, — w mniejszych i słabszych państwach upadnie zupełnie własny przemysł? Właśnie o to idzie. Produkcja na wielką i na największą skalę jest naturalnie tańsza. W imię tej taniości należy pozostawić produkcję tym, którzy nabyli w niej najwięcej wprawy, którzy rozpoczęli ją najwcześniej, a trzy czwarte Europy zejdzie na poziom krajów zbytu wyrobów niemieckich czy francuskich, na poziom kolonji. Międzynarodowy podział pracy! Nie zarobi jeden, to zarobi drugi, wszakże to wszystko jedno — a nie wolno być takim egoistą, by koniecznie chcieć samemu zarobić!

Ale nawet ze stanowiska korzyści materjalnej jednostek, ekonomiki prywatnej, interes konsumentów naszych w popieraniu przemysłu zagranicznego jest co najmniej wątpliwy. Na dziś niezaprzeczenie trafne i słuszne są narzekania na przeszkody w handlu, wywołane paszportami i wizami, cłami i rewizjami granicznemi, zwłaszcza temi ostatniemi. „Damy wam towary lepsze i tańsze", powiadają, i może istotnie dawaliby je przez czas jakiś, póki wielki międzynarodowy trust nie ustaliłby cen i nie podyktował ich wylęknionej masie konsumentów.

Powszechny lament wielkiej finansjery pochodzi stąd, że we Włoszech, w Czechach, w Polsce, nawet w Rumunji i Jugosławji, w Japonji i Chinach, w Indjach wschodnich

i Australji powstały nowe źródła produkcji przemysłowej. Ale doprawdy trudno od nas wszystkich żądać, abyśmy miłość dla państw zagranicznych lub ich wielkiego przemysłu posunąć mieli aż tak daleko, by się mu oddać z rezygnacją na pożarcie, jak baran urzeczony wzrokiem wielkiej anakondy.

W ten sposób snuje się złota nić wolnego handlu, międzynarodowości i ograniczeń suwerenności państw mniejszych i słabszych od Ricarda aż do wielkich bankierów i Paneuropy. Protagoniści liberalizmu i pacyfizmu, z ustami, pełnemi zapewnień o przyszłej szczęśliwości powszechnej w owej epoce bezwzględnej wolności, możności zupełnego wyżycia i światowego pokoju, nie zapominają i o argumentach, zaczerpniętych z arsenału interesu prywatnego jednostek. A w tej sytuacji ogół, mniej uświadomiony narodowo, mniej krytycznie myślący, staje bezradny, tem bardziej, że brak mu niestety busoli co do kierunku i rozeznania, pokąd wolno by mu było być oportunistą, i ustępować wobec trudności, a odkąd winien być stałym i nieugiętym obrońcą pewnych zasad i idei.

Jeden z młodszych naszych i wybitnie zdolnych ekonomistów w pracy nagrodzonej na konkursie Banku gospodarstwa krajowego, wystąpił z tezą, że nakreślenie drogi rozwojowej gospodarstwa społecznego w Polsce zależy od ustalenia warunków współżycia gospodarczego z najbliższymi naszymi sąsiadami, Niemcami i Rosją. Wydawałoby się w istocie, że takie postawienie kwestji jest jedynie realne. Nie mogę się jednak z zasadniczych powodów z niem zgodzić. Nie może być dla nas punktem wyjścia w układaniu z a s a d naszej polityki gospodarczej okoliczność, czy stosunek nasz do sąsiadów będzie mniej lub więcej przyjazny, czy będzie wobec nich stosowana polityka drzwi otwartych największego uprzywilejowania czy wojny cłowej. Raczej punktem wyjścia dla nas musi być w pierwszym rzędzie osiągnięcie możliwie jak najwydatniejszego zaspokojenia własnych potrzeb wytworami k r a j o w y m i czyli d ą ż e n i e d o s a m o w y s t a r c z a l n o ś c i, bez której niema prawdziwej niezawisłości mimo istnienia odrębnych granic i władz państwowych. Dopiero po przyjęciu tej zasady i uznaniu warunku istotnej suwerenności przystąpić możemy do ułożenia naszego stosunku do państw ościennych, a w szczególności do

bezpośrednich sąsiadów w miarę okoliczności faktycznych i ofiarowanych nam korzyści wzajemnych. Punktem wyjścia więc nie może być stosunek do innych, lecz własne dobro i trudno takie stanowisko nazwać „hypertrofją nacjonalizmu gospodarczego", skoro to jest poprostu warunek egzystencji, naprawdę samoistnej. To własne dobro musi być dla nas naturalnym celem. Kto inaczej rozumuje, ten nieświadomie służy hasłom „Mitteleuropy" czy Paneuropy.

W ten sposób doszliśmy odrazu do samego jądra problemu. Ale tu spotykamy się z kontrargumentem, że program samowystarczalności jest nietylko anti-agrarny, ale także anti-inwestycyjny. Inwestycje bowiem na dużą skalę są uwarunkowane przypływem kapitału z zagranicy, którego oprocentowanie i amortyzację trudno będzie uskutecznić, o ile nasz bilans handlowy nie stanie się wybitnie czynnym, a przecież wywóz duży i trwały nie da się utrzymać bez dopuszczenia w pewnej mierze przywozu z zagranicy. Innemi słowy: państwa przemysłowe Europy zachodniej, szukające dla nadwyżki swych wytworów przemysłowych rynku zbytu między innemi i w Polsce, nie będą od nas sprowadzały płodów rolniczych i nie będą nam dostarczały pożyczek inwestycyjnych, a my nie będziemy mieli dość pieniędzy na amortyzację i oprocentowanie tych pożyczek, jeśli ze swej strony nie będziemy, jak dotąd, w dalszym ciągu zaspakajali naszych potrzeb przemysłowych w tych państwach. I tu, zdawałoby się, że realizm tej argumentacji bije w oczy.

Budzi ona jednak pewne wątpliwości. Stany Zjednoczone bowiem, które jako nasz obecny i przyszły wierzyciel w pierwszym rzędzie wchodzą w rachubę, nie mają do nas pretensji, byśmy od nich sprowadzali ich wyroby przemysłowe. Powtóre wybitnie aktywny stan bilansu handlowego, na który słusznie kładzie się nacisk, należy osiągać w pierwszym rzędzie nie eksportem płodów rolniczych, tańszych i już z powodu swych rozmiarów, powodujących wyższe koszta transportu, — zawsze tu bowiem w razie braku organizacji kontroli państwowej zachodzi niebezpieczeństwo wygłodzenia własnej ojczyzny, — ale w wyższym stopniu przewagą eksportu wyrobów przemysłowych.

Nie jest bynajmniej antigrarzystą, ten, a kto oświad-

cza się za wydatnem poparciem eksportu tylko tej nadwyżki płodów rolniczych, która nie jest potrzebna dla wyżywienia obywateli własnego państwa, tudzież za uchyleniem *dumpingu* t. j. podwyżki cen wewnętrznych tych płodów, umożliwiającej dopiero sprzedaż ich zagranicą po cenie konkurencyjnie niższej. Nie jest również przeciwnikiem inwestycyj przy pomocy obcego kapitału ten, kto pracuje nad podniesieniem krajowego przemysłu i wzmożeniem tą drogą samowystarczalności własnego państwa, inwestycje bowiem za pieniądze obce opłacać się muszą same i nietylko pokryć procent i amortyzację, ale i przynieść zysk, który stanowi sam przez się wystarczającą atrakcję dla kapitału zagranicznego, inaczej bowiem poprostu ten kapitał nie angażowałby się w tych lokatach zaś dążenie dłużniczego kraju do samowystarczalności może być raczej podnietą dla wierzyciela a nie zniechęceniem, rozszerza bowiem szanse odbytu wewnętrznego. Wkońcu wreszcie eksporter płodów rolniczych jest zawsze w korzystniejszem położeniu od eksportera przemysłowego. Ostatniego łatwiej zbojkotować niż pierwszego. Znamy dobrze ograniczoną w chwili obecnej liczbę terenów uprawnych na kuli ziemskiej, rozmaitość na nich stopnia kultury rolnej, tudzież czasowe granice postępu techniki rolniczej i chemji rolnej, uzasadniające fakt, że prawo zmniejszającego się dochodu, aczkolwiek z posuwającą się ku górze ruchomą granicą, obowiązuje w dziedzinie rolnictwa, podczas gdy w dziedzinie przemysłu niema o niem mowy. Z tego zaś wszystkiego wynika, jak to już twierdził Quesnay, że kraje przemysłowe więcej potrzebują krajów rolniczych, niż odwrotnie i z tej prawdy, na doświadczeniu opartej, należy wyprowadzać właściwe wnioski.

Wiemy z niedawnej historji, że dopiero wzmożony eksport przemysłowy Niemiec wywołał niechęć Anglji i skłonił ją w znacznej mierze do tego, że przyłączyła się do sojuszu franko-rosyjskiego. Samowystarczalność natomiast jest najlepszą rękojmią i warunkiem powszechnego pokoju. Niema kolizji między państwami, gdy każde dba przedewszystkiem o rynek wewnętrzny. Tracą jedynie pośrednicy w handlu zagranicznym, ale i dla nich stoi otworem droga przedzierzgnięcia się w pośredników w handlu wewnętrznym. Dlaczego

w tym stanie rzeczy pacyfiści paneuropejscy bronią utrzymania przewagi Niemiec czy choćby Francji, a zniesienia wszelkich granic celnych, skoro taki stan rzeczy doprowadzić musiałby w ostateczności ujarzmione ekonomicznie narody do buntu w formie wojny wyzwoleńczej, a więc do rezultatu wręcz sprzecznego z ideałem pacyfizmu, to zupełnie nie jest zrozumiałe. Tem trudniej zrozumieć, dlaczego i niektórzy ekonomiści polscy bronią idei utworzenia europejskiej Unji celnej, co może pozbawić Stany Zjednoczone szans supremacji nad Europą, ale na pewno wytworzyłoby supremację gospodarczą Niemiec nad Polską. Pamiętać powinni, że pojęcie Europy jest pojęciem mniej lub więcej dowolnem, a pojęcie Polski, jak wogóle każdego narodu jako żywego organizmu, jest pojęciem realnem i trwałem. Mniej więc nas — choćby z tego powodu i choćby tylko z tytułu racyj socjologicznych — obchodzić może dobro Europy, aniżeli Polski.

Naostatek pozwolę sobie przypomnieć w kilku bodaj słowach historję uprzemysłowienia Niemiec, Stanów Zjednoczonych i Japonji. Gdy Fryderyk List wracał ze Stanów do Niemiec, ojczyzna jego była rozdartą nietylko politycznie na kilkadziesiąt królestw, księstewek i miast, ale nadto była pożądanym terenem zbytu towarów angielskich a po części i francuskich. Niemcy były nietylko pojęciem czysto literackiem i teoretycznem, ale przedstawiały typ niemal wyłącznie rolniczy, o wiele w wyższym stopniu, aniżeli Polska dzisiaj. Nauka Ricarda i całej szkoły manczesterskiej była jednak wówczas tak suggestywną, że ani ministrowie ani profesorowie wszechnic niemieckich, pogrążeni w pokornym zachwycie dla mądrości płynącej z nad Tamizy, nie śmieli się jej przeciwstawić. Potrzeba było na to całej opozycyjnej przeszłości Lista w sejmie badeńskim, jego ucieczki do Francji, a następnie kilkuletniego pobytu w Stanach Zjednoczonych, gdzie zaostrzony istniał wzrok dla interesownej obłudy tych, którzy wówczas mieli monopol wielkiego przemysłu i gdzie wybitny ekonomista amerykański Hamilton otworzył Listowi na nią oczy, aby samodzielnie przemyśleć cały problem i dojść do konkluzji, że zalecenia Ricarda i jego następców dziwnie są zgodne z interesem materjalnym Anglji i dalszym rozwojem jej przemysłu i że na tej podstąwie podejrzywać

wolno, że nie dyktowały ich czyste i bezinteresowne pobudki naukowe. Dzięki Listowi nastąpił w ciągu dwóch zaledwie pokoleń znany nam wspaniały rozwój niemieckiego przemysłu. I póki Niemcy nie rozpoczęły jednostronnego dążenia do wyparcia z targów światowych Anglji, nic im nie groziło jako państwu równocześnie i rolniczemu i przemysłowemu. Dopiero transformacja ich na państwo przedewszystkiem przemysłowe wywołała niepokój i zawiść Anglji, która po unieszkodliwieniu obecnem Niemiec jako potęgi morskiej — przynajmniej na czas jakiś — przeobraziła się w krajach anglo-saskich znów w kuzynowskie uczucia sympatji. Można powiedzieć śmiało, że wszystkie trzy mocarstwa światowe: Niemcy, Stany Zjednoczone i Japonja były jeszcze w r. 1860 przeważnie rolnicze. W ciągu więc lat zaledwie kilkudziesięciu wielki wysiłek tych narodów przekształcił je na państwa bądź przeważnie przemysłowe, bądź dochodzące tak w dziedzinie rolnictwa, jak i w dziedzinie przemysłu do szczytów rozwoju.

I wobec tych państw Wielka Brytanja posługiwała się podobnemi argumentami, jakie przedstawiają obecnie nam. Groziła, że nie będzie kupować płodów rolniczych pochodzących z tych krajów, głosiła, że każdy powinien robić to, co umie najlepiej, a jedna Anglja ma wszelkie warunki po temu, by być *the workshop of the world,* fabryką całego świata, podczas gdy Niemcy ani Stany Zjednoczone a tem mniej Japonja do tego się nie nadają. Anglja nie chciała o tem pamiętać, że jak już wspomniałem, i ona w średnich wiekach uczyła się tkactwa od przybyszów z Flandrji, kupiectwa od niemieckiej Hanzy, żeglugi również od niej i od Holandji, bankierstwa od Włochów z Lombardji i od Żydów i że sama kiedyś była wyłącznie rolniczą. Nie uznawała dla obcych wagi słów Tomasza Carlyle'a: „i zawładnięcie krzakiem bawełny było trudne i rozbijanie gór i ugięcie twardego żelaza i ścięcie olbrzymich drzew i ujarzmienie oceanów. Pokonaliście jednak wszystkie te przeciwności, więc z otuchą stańcie do walki z tą nową". A natomiast Stany Zjednoczone, Niemcy i Japonja pamiętały o programie Goethego z drugiej części Fausta:

Oto ostatnie wręcz mądrości słowo:
Ten tylko godzien życia i wolności,
Kto je zdobywa codzień i na nowo!

i pod duchowem przewodnictwem Hamiltona w Stanach, Fryderyka Lista w Niemczech, a wielkiego cesarza Mutsu-hito w Japonji stworzyły niemal w naszych oczach u siebie wielkie i potężne przemysły rodzime. Co więcej, w czasie wojny światowej dominja Kanady i Australji, a po części nawet Hindostan rozwinęły u siebie własny przemysł. Było to koniecznem ze względu na niemożność przywozu towarów morzem, zagrożonego przez niemieckie łodzie podwodne. Z nastaniem ery pokojowej fabryki te jednak nie zamknęły swych warsztatów, co naturalnie przyniosło znaczny uszczerbek przemysłowi Wielkiej Brytanji. I oto pytam, czy to, naco odważyły się dawne kolonje wobec ukochanej mniej lub więcej macierzy, przechodziłoby naszą możność i ochotę jako państwa suwerennego wobec Anglji, Niemiec czy Francji?

Ale sprawy te należy rozpatrzeć jeszcze pod innym, nie mniej doniosłym kątem widzenia. Jest notorycznem, że narody wyłącznie agrarne zatrudnić i wyżywić mogą o wiele mniej ludności, niż narody równocześnie agrarne i przemysłowe lub wyłącznie przemysłowe. Z chwilą dalszego rozwoju przemysłu nie byłoby więc tylu co dziś bezrobotnych, nie byłoby setek tysięcy emigrantów rocznie, gdyż prawie wszyscy znaleźliby utrzymanie w ojczyźnie, podobnie jak to miało miejsce w Niemczech, gdy wraz z uprzemysłowieniem państwa emigracja prawie zupełnie znikła, a parcelację większej własności możnaby w takim razie przeprowadzać jeszcze przez czas dłuższy w równie powolnem jak dotąd tempie. Wprawdzie w razie rozkwitu przemysłu zmniejszyłaby się prawdopodobnie procentowo powszechna zdolność do służby wojskowej, robotnik fabryczny bowiem posiada naogół słabszy organizm, niż rolnik, ale tę różnicę wyrównałby z okładem fakt o wiele większej liczebnie ludności. Jeśli więc państwo nasze pragnie być mocarstwem, dbać musi o wzrost ludności, podobnie jak to czynią dziś przedewszystkiem Włochy. Ale w takim razie musi oczywiście tym ludziom dać kawałek chleba, a więc nietylko prowadzić odpowiednią politykę populacjonistyczną, ale także agrarną i przemysłową.

Poparcie wielkiego przemysłu grozi, jak twierdzą prze-

ciwnicy, niebezpieczeństwem wzmagania się wśród robotników kierunków skrajnych, socjalistycznych i komunistycznych. Wobec tego należy podkreślić, że wielka ilość pozbawionej ziemi ludności po wsiach oraz podrożenie cen płodów rolniczych wywołuje wśród proletarjatu ten sam skutek, podczas gdy naturalnem następstwem rozkwitu przemysłu bywa wszędzie wzrost płac robotniczych, co skłania sfery robotnicze do pewnego umiarkowania dalszych żądań a zbliżając je do kultury narodowej, czyni je jej uczestnikami, a w razie potrzeby i obrońcami, jak tego przykład mieliśmy podczas wojny światowej na obu frontach. I ten więc argument przeciw wielkiemu przemysłowi odpada.

Poparcie rolnictwa jest więc konieczne nietylko dlatego, że ono odpowiada tradycjom naszego narodu i nietylko dlatego, że stwarza ono warunki najlepsze tężyzny fizycznej i moralnej, ale i dlatego, że nie chcielibyśmy nigdy być w tem położeniu, w jakiem znajduje się Wielka Brytanja, która wytwarza żywność zaledwie dla szóstej części swej ludności a co do pięciu szóstych skazana jest na dowóz z kolonij zamorskich. Przeciwnie, pragniemy nietylko naszemi płodami rolniczemi zaopatrywać wyłącznie rynek wewnętrzny, co niestety u nas z powodu zbyt pochopnie i nieopatrznie udzielanych zezwoleń na wywóz nie zawsze ma miejsce, ale chcielibyśmy coraz wzrastającą produkcją móc przyczynić się do wyżywienia innych krajów. Atoli nie możemy, jako ludzie nowocześni i ludzie dążący do prawdziwej niezawisłości, a więc także do niezawisłości ekonomicznej, zapominać o przemyśle lub spychać go na szary koniec.

Agrarjusze nasi twierdzą, że winniśmy udzielić poparcia przemysłowi: 1) rolniczemu, 2) opartemu o krajowe surowce, a przeto mającemu naturalne warunki rozwoju i 3) wojennemu. Ale czy to już wszystko? Wszakże gdyby się miało iść za tym poglądem, cały nasz przemysł włókienniczy, oparty o bawełnę zamorską a tak rozwinięty w szeregu naszych miast przemysłowych, zawisłby w powietrzu. A przemysł ten, jak wiemy, jest walnym warunkiem naszej samowystarczalności.

Nie idzie w pierwszym rzędzie o to, czy jaki przedmiot będzie wytworzony lepiej i taniej zagranicą. Gdyby to tylko

kryterjum miało być rozstrzygające, swego czasu nigdzie na świecie, prócz Anglji a częściowo i Francji, przemysł nie byłby miał warunków powodzenia. Wszędzie bowiem musiał być okres wytwarzania rodzimych towarów gorszych a droższych, zanim mógł nadejść okres wytwarzania towarów zdolnych do konkurencji pod względem jakości i ceny.

Powtóre uważam za słuszne żądanie dawania ustępstw innym państwom w traktatach handlowych tylko według zasady amerykańskiej, t. j. w razie wzajemności, a sprzeciwiam się praktyce przyznawania ustępstw niemal wszystkim państwom w formie klauzuli największego uprzywilejowania. Praktykę tę wprowadziły Niemcy w art. 11 pokoju frankfurckiego z 9 maja 1871 r. i tem samem uniemożliwiły Francji poczynienie jakichkolwiek ustępstw wzamian za uzyskane korzyści innym państwom, gdyż w tej chwili pretendowały do korzyści tych samych. Klauzulę największego uprzywilejowania należy więc uchylić w duchu poglądów amerykańskich.

Po trzecie zdaje mi się, że należy dążyć do zabezpieczenia wystarczającej liczby płodów, tak rolniczych jak i przemysłowych, przedewszystkiem na rzecz ludności własnej, choćby przy pomocy wydatnego kredytu państwowego na budowę składów publicznych z bezwzględnym zakazem dumpingu, tudzież do udzielenia zezwolenia na wywóz dopiero nadwyżki nad zapotrzebowanie własne.

W końcu pozwolę sobie zwrócić uwagę na to, że zawieranie przez przedsiębiorców układów w formie karteli winno ograniczyć się do tworzenia lepszej organizacji, kontyngentowania produkcji i terenów sprzedaży między poszczególnych członków, oraz wspólnego zakupna surowca, ale nie powinno sięgać ani ku obniżaniu płac robotniczych ani ku podwyższaniu cen konsumentom. Państwo więc ma prawo i obowiązek wglądania w te stosunki, wobec czego już przed wojną światową nauka zachodnio-europejska domagała się wpisywania umów kartelowych do ksiąg, za wzorem ksiąg hipotecznych przystępnych dla wszystkich. Nie idąc tak daleko, poprzestaję na żądaniu, by państwo miało zawsze prawo wglądania w treść umów kartelowych, przedewszystkiem zawieranych przez przedsiębiorców krajowych z cudzoziemcami,

ale także i w treść umów kartelowych, zawieranych między własnymi obywatelami.

Polska powinna więc stać się z państwa przeważnie rolniczego państwem rolniczo-przemysłowem, czyli z jednej strony z naturalną przewagą rolnictwa, z drugiej dążącem do rozwoju własnego przemysłu w granicach bodaj samowystarczalności, oczywiście z szczególnem poparciem tych gałęzi, które potrafią na rynkach zagranicznych stanąć do konkurencji z przemysłem obcym.

Dyskusja, przeprowadzona w Niemczech między r. 1897 a 1903 r. na temat: państwo agrarne czy przemysłowe, w której udział wzięli najznakomitsi uczeni, a mianowicie z jednej strony Wagner, Oldenberg, Ballod, Voigt i Pohl, z drugiej Brentano, Dietzel, Helferich, Naumann i Alfred Weber, doprowadziła do rezultatu, że należy w miejsce zasady: fabrykaty za środki żywności, która dla obu stron jest niebezpieczną i wzmaga ich wzajemną zależność — głosić inną: fabrykaty za fabrykaty, środki żywności za środki żywności, przyczem obustronnie oddaje się tylko nadwyżki nad zapotrzebowanie własne. Taka tylko zasada zgodna jest z ideą samowystarczalności i suwerenności państw.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Prof. Dr. Leopold Caro.

Noetyka św. Tomasza wobec zasadniczego problemu „Krytyki czystego rozumu".

(Dokończenie)

Kant dzieje myśli ludzkiej dzieli na trzy okresy. Okres pierwszy, to okres despotycznego panowania metafizyki pod rządami dogmatyków. Ciągłe jednak spory i ponawiający się sceptycyzm sprowadziły „przesyt i całkowity indyferentyzm". Z wystąpieniem Kanta rozpoczyna się trzeci okres krytyczny, który ma ubezpieczyć rozum co do słusznych jego wymagań, a usunąć wszelkie bezpodstawne uroszczenia. (Kryt. cz. roz. Wstęp). Chociaż nikt przed Kantem nie poruszył z takim naciskiem i tak ogólnie problemu krytycznego, to jednak zdaje się, że zbyt śmiało wyciąga Kant rękę po prawo monopolu krytyki.

Już system arystotelesowski, tem bardziej system św. Tomasza nie jest wcale tak dogmatyczny, jak się na pierwszy rzut oka wydawać może. Przekonać się o tem łatwo choćby z pierwszych ksiąg metafizycznych w objaśnieniu późniejszej „Summy teologicznej".

Ponieważ metafizyka jest fundamentem wszystkich nauk, więc jak w innych naukach rozwiązujemy kwestje szczegółowe o prawdzie, tak w metafizyce trzeba postawić pytanie ogólne: czy prawda wogóle jest, by potem bliżej się przypatrzeć, czem ona jest.

„Istnienie prawdy jest samo przez się jasnem, ponieważ kto przeczy istnieniu prawdy, tem samem przyznaje, że prawdy niema, jeśli zaś to jest prawdą, że prawdy niemasz, to już coś będzie prawdziwem". (S. Th. q. 2 a. I. zarz. 3. por. VI. Met. l. 7). Prawda nie przedstawia się nam jako

coś absolutnego w naszem poznaniu, ale jako coś względnego, mianowicie jako ustosunkowanie poznania do czegoś, co jest poza naszem poznaniem, do bytu, do absolutu. Ten byt stawiamy w każdem poznaniu, jako jego odpowiednik, a w każdem chceniu, jako cel. Nie-bytu ani pojąć, ani pragnąć nie możemy. Więc prawda, tak jak ją spontanicznie pojmujemy, będzie miała miejsce, jeśli między poznaniem aktualnem a rzeczą, miarą zewnętrzną myśli, będzie zgodność stała, wyrażająca się pierwszą zasadą, zasadą tożsamości. Zasadę tę, pominąwszy sofistów, przyjmują wszyscy, nie wyjąwszy dzisiejszego Krytycyzmu i Neokrytycyzmu. Zbić krytycyzm dzisiejszy, wychodząc z jego zasad, znaczy więc tyle, co wykazać, że pierwsza zasada nie może być normą myśli, jeśli nie będzie zarazem normą przedmiotu rzeczywistego, że zjawisko (fenomen) bez czegoś „w sobie", jako swego odpowiednika, nietylko psychologicznie nie da się wytłumaczyć, ale jest przedewszystkiem sprzecznem logicznie.

U św. Tomasza dowód ten spotkamy tam, gdzie zbija idealizm, choć technicznie o nim się nie wyraża. Kwestja idealizmu nie była jednak obca św. Tomaszowi, skoro pyta (S. Th. I. q. 85. a. 2): czy formy umysłowe rzeczy odnoszą się do umysłu, jako „to, co" poznajemy *(id quod)*, czy też jako „to, przez co", zapomocą czego poznajemy? (Chodzi tu, rozumie się o poznanie bezpośrednie *(directa cognitio)*, w przeciwstawieniu do poznania refleksyjnego, w którem forma umysłu *(species)* może bezsprzecznie grać rolę przedmiotu poznania). Zdanie, jakoby formy umysłowe rzeczy były „tem, co" poznajemy bezpośrednio, jest wedle św. Tomasza fałszywem, „ponieważ wynikałby z tego błąd starożytnych, którzy utrzymywali, że wszystko, co się nam wydaje, jest prawdziwem; wynikałoby stąd także, że sądy sprzeczne są równocześnie prawdziwe. Jeśli bowiem władza poznaje tylko swój własny wewnętrzny stan *(affectionem,* w dzisiejszym języku fenomen), to o nim tylko sądzi. Takiem się zaś wszystko wydaje, jakim jest wewnętrzny stan władzy. Więc sąd danej władzy będzie zawsze o tem, o czem ona sądzi, mianowicie o własnym stanie, jakim on jest (czyli o fenomenie aktualnym), tak każdy sąd

będzie prawdziwym... A tak wyniknie, że każde mniemanie równie będzie prawdziwem..."

Św. Tomasz opiera tu swój realizm na zasadzie sprzeczności. Rozprowadzenie tego dowodu będzie się snuło przez całą metafizykę poznania. Atoli, nawet w tej formie, jak się tu przedstawia, dowód ten ma doniosłe znaczenie kryterjologiczne. By siłę dowodu uchwycić, należy rozważyć, że kto przyjmuje formy umysłowe rzeczy, jako „to, co" poznajemy, musi zrzec się całkowicie zasady pierwszej (tożsamości), wziętej nawet w znaczeniu czysto idealistycznem, t. zn. jako normy samychże zjawisk. Konieczność zaś odrzucenia tej normy pierwotnej i powszechnej, choćbyśmy ją ograniczyli tylko do zjawisk, nie tkwi w niestałości tych zjawisk, nie w tem, że dwóch ludzi nie poznawałoby tego samego przedmiotu, ale w samej podstawowej sprzeczności tego rodzaju sądów o zjawiskach. Tę sprzeczność z pierwszą zasadą można wykazać w ten sposób:

Utożsamiając znamiona przedmiotu ze znamionami formy poznania jako stanu wewnętrznego, utożsamiamy coś przypadłościowego z czemś koniecznem, a więc burzymy pierwszą zasadę. Albowiem, byśmy mogli coś o danem zjawisku orzekać, sądzić, czyli, by zjawisko stało się dla nas przedmiotem, musi zasada tożsamości stwierdzić, że zjawisko jest i nie może nie być. Innemi słowy: każde zjawisko, stając się przedmiotem w naszem poznaniu, musi koniecznie odnieść się do zasady absolutnej bytu: „to, co jest, nie może pod tym samym względem nie być" *(id quod est, sub quo respectu est, nequit non esse)*. Każdy nasz sąd wychodzi więc koniecznie poza świat fenomenalny, bo nawet zjawisko nie staje się przedmiotem w naszem poznaniu, w naszych sądach, jak tylko przez odniesienie go do pierwszej zasady, do formy absolutnej bytu, która się w tej zasadzie wyraża (por. S. Th. q. 84. a. I. 3., q. 86. a. 3). Myśl św. Tomasza możnaby ująć jaśniej w tych słowach:

Poznanie przedmiotu jako przedmiotu wymaga zastosowania pierwszej zasady. Już zaś pierwsza zasada stosowaną być nie może nawet do zjawisk, bez odniesienia ich do konieczności, stojącej w opozycji do czegoś czysto relatywnego, czyli bez odniesienia do absolutu, bytu. Więc wszelki przed-

miot umysłu, musi być odniesiony do absolutu, do porządku ontologicznego. Inaczej trzeba zrezygnować z tego, co wszyscy przyznają, mianowicie z istnienia w naszej myśli przedmiotów. (Sposób dowodzenia transcendentalny Kanta).

Ten bardzo pobieżny rzut oka na wstęp krytyczny poruszony przez św. Tomasza, pozwala nam zrozumieć ogólny sens określenia prawdy jako zgodności umysłu z rzeczą. Jeśli bowiem zastosowanie zasady tożsamości jest istotnym warunkiem poznania przedmiotowego, a zatem jeśli nasze poznanie odnosi się z koniecznością logiczną, a nietylko czysto podmiotową, do bytu, jako takiego, to byt będzie jego miarą. Metafizyka będzie więc miała za przedmiot byt rzeczywisty, rzecz w sobie. W ogólnych granicach bytu znajdzie się i byt relatywny, t. j. sam. stosunek podmiotu (poznania) do rzeczy, a stąd zrodzi się metafizyka poznania, gdzie zagadnienie poznania bezpośredniego rzeczy znajdzie nowe oświetlenie i uzasadnienie. Tę gałąź metafizyki możnaby ująć w trzech ogólnych zagadnieniach. Wszelkie poznanie jest tylko przez to możliwe, że przedmiot jest w jakiś sposób w podmiocie. Pierwszy więc problem, najbardziej starych zajmujący, dotyczy imanencji przedmiotu w podmiocie. Poznanie jednak nie kończy się na samej imanencji przedmiotu, ale wymaga pewnej jego opozycji do podmiotu. Więc drugi problem, zajmujący najbardziej dzisiejszych krytyków i psychologów, to problem możliwości przeciwstawiania się przedmiotu podmiotowi. Wkońcu poznanie nietylko przeciwstawia sobie przedmiot, ale stawia go, jako rzecz w sobie istniejącą, lub przynajmniej mogącą istnieć. Więc trzecie zagadnienie, ściśle z poprzedniem złączone, to zagadnienie twierdzenia ontologicznego. Drugą i trzecią kwestją św. Tomasz nie zajmował się *ex professo*, ale rzuca tu i ówdzie myśli, które mogą nam posłużyć za zrąb i drogowskaz w badaniu, które najbardziej zaprząta umysły nowoczesne.

Równie pobieżnym rzutem oka przebiegnijmy zasadnicze punkta metafizyki poznania św. Tomasza.

W zewnętrznem ugrupowaniu zasad nie możemy, rzecz prosta, trzymać się żadnego z dzieł św. Doktora, bo filozofja, a tembardziej noetyka, uwzględniana jest w nich tylko

okolicznościowo. Co do strony istotnej, starać się będziemy odróżniać sporne tłumaczenia od tego, co jest bezsprzecznie myślą autora. Nie przypisujemy tu św. Tomaszowi jakiejś proroczej wizji dzisiejszego agnostycyzmu, wskażemy tylko na pewne zasady ogólne, które, choć poruszone z okazji metafizycznego studjum poznania, odpowiadają wymaganiom aż nazbyt ścisłej krytyki dzisiejszych czasów. Owszem, zasady te mogą nam wskazać braki krytyki czystego rozumu i środki do jej uzupełnienia.

Wobec Kanta, jakeśmy nadmienili, można zająć stanowisko wręcz przeczące nietylko konieczności, ale i możności krytyki władzy. Przyznając zaś możność krytyki władzy i jej potrzebę, można iść albo za szkołą lowańską i odwoływać się ciągle do refleksji, dającej nam oczywistość, więc trzymać się jeszcze defensywy, albo przechodząc do ofensywy, próbować drogi transcendentalnej Kanta pod wodzą św. Tomasza, jak to czynią O. Rousselot, J. Maréchal, Gabriel Picard.

Transcendentalna metoda bada, jak wiadomo, warunki *a priori* możliwości przedmiotu w myśli. Każdy przyznaje (nie wyjąwszy Kanta), że nasze poznania umysłowe odnosimy do rzeczy, do czegoś poza nami, z bezwzględną koniecznością. Chodzi o to, czy konieczność ta jest tylko podmiotową. Jeśli to odniesienie jest konieczne logicznie, oparte na analitycznej zasadzie sprzeczności, to uroszczenia realizmu są słuszne przynajmniej w zasadzie. Wtedy twierdzenia o rzeczy samej w sobie będą miały tę samą konieczność, co twierdzenie o istnieniu zjawisk, a zaprzeczenie poznania rzeczy samej w sobie będzie zburzeniem wszelkiej wogóle myśli przedmiotowej. Jeśli zaś konieczność odnoszenia myśli do rzeczy samej w sobie zajdzie już po ukonstytuowaniu się przedmiotu w naszym umyśle, jak chce Kant, to odniesienie takie teoretycznego uprawnienia mieć nie będzie, lecz co najwyżej praktyczne (jak u Kanta odnośnie do trzech idej).

Przedmiot jako taki pojawia się dopiero w sądzie, czyli w tym akcie, który jest podmiotem prawdy logicznej. Tam bowiem dopiero wytwarza umysł syntezę i przeciwstawia się przedmiotowi, jako swej normie. (S. Th. I. q. 16. a. 2. por. objaśnienia Kard. Kajetana). Tezę tę mocno podkreślają

sami Idealiści. Jeśli dopiero w sądzie przedmiot powstaje i przeciwstawia się podmiotowi, to zbadać nam wypada warunki i pierwiastki sądu, by z pośród nich wyszukać warunek opozycji przedmiotu do podmiotu. W tem poszukiwaniu zwrócimy uwagę tylko na zasady istotne i dające się łatwo przełożyć na tonację transcendentalną.

Sąd, jako łączenie lub dzielenie pojęć *(compositio et divisio)*, przypuszcza jedność i wielość. Wielość, materja sądu — to pojęcia. Forma sądu sprowadza tę wielość do jedności.

Pojęcia, które sąd łączy w jedność, składają się ze swej strony jakby z materji, czerpanej przez zmysły, i z formy pochodzącej od umysłu. O zbadanie i przedstawienie warunków *a prori* poznania zmysłowego, z braku miejsca, ani się kusić nie możemy. Nie myślimy zresztą przeprowadzać całej nauki o poznaniu. Zajmijmy się więc warunkami *a priori* poznania umysłowego.

Przeciw przypuszczeniu czegoś *a prori* nietylko przedmiotowego ale i p o d m i o t o w e g o w poznaniu zasadniczej trudności mieć nie można. Św. Tomasz uznaje to wyraźnie w zasadzie: „Cokolwiek jest w jakimś podmiocie, jest w sposób wymagany przez podmiot." *(Quidquid recipitur, ad modum recipientis recipitur; quidquid est in aliquo, est in eo per modum eius in quo est")*. Wynika stąd, że w myśli św. Tomasza apriorycznoś, czyli preegzystencja w umyśle pewnych warunków określających przedmiot, nie sprzeciwia się wcale rzeczywistej przedmiotowości poznania (jak to widać zresztą z jego nauki o Aniołach, poznających przez swą istotę i przez idee wlane). Te warunki aprioryczne uzasadniają, co najwyżej, rozróżnienie s p o s o b u istnienia rzeczy w sobie, a w umyśle poznającym. Jeśli zatem Kant zbłądził, to nie w stwierdzeniu czegoś *a prori*, lecz w określeniu jego natury.

By umysł coś poznał, musi w jakiś sposób posiadać przedmiot poznany. Nie posiadając przedmiotu w jego istocie fizycznej, musi mieć w sobie przynajmniej jego formę zastępczą. Skoro umysł nasz w porządku poznawczym jest czystą potencją *(tabula rasa)* i nie ma form wlanych przedmiotu (idej wrodzonych), co i Kant w naszem rozumieniu

przyznaje, to musi on czerpać określenie swej władzy od zewnątrz, od przedmiotów. Ale nie może czerpać form bezpośrednio od rzeczy, bo stałby się władzą bierną, zmysłową. Treść poznania czerpie więc umysł przez zmysły. Z drugiej strony umysł nie może czysto biernie otrzymywać pojęć od zmysłów, bo pojęcia mieszczą pierwiastki nadzmysłowe. Wiemy jak Kant pogodził te dwa wymagalniki, robiąc z pojęć czcze formy syntez treści zmysłowej. U św. Tomasza treść zmysłowa wchodzi w samo pojęcie. Podstawy takiego rozwiązania zobaczymy nieco później. Wytłumaczenie sposobu, w jaki treść zmysłowa wchodzi do umysłu, polega wedle niego na rozróżnieniu umysłu czynnego i biernego. Na władzę duchową tylko przyczyna duchowa oddziaływać może. Taką właśnie przyczyną jest umysł czynny. To działanie umysłu czynnego musi być jednak w pewnym związku z władzami zmysłowemi, przez które nawiązujemy kontakt z przedmiotami zewnętrznemi, czyli że i zmysły muszą w jakiś sposób współpracować w wytwarzaniu formy umysłowej. Różność zatem form umysłowych co do ich treści pochodzi ostatecznie od zmysłów. Treść tę podnosi umysł czynny do wyższego, niematerjalnego, oderwanego istnienia, by mógł ją przyjąć umysł bierny. Forma przyjęta przez umysł bierny *(species impressa)*, nie jest jeszcze poznaniem, ale uzupełnieniem zdolności umysłu, aktem pierwszym poznania. Właściwe poznanie (akt wtórny) wymaga, by umysł zapłodniony formą rzeczy w nim wytworzoną, czynnie tę formę odtworzył *(species expressa)*. Całe zadanie formy w umyśle wytworzonej jest zatem dynamiczno-formalne. Dynamiczne, bo forma ta jest pierwiastkiem aktu umysłu, wyrwaniem go z czystej potencjalności. Forma ta ma również znaczenie formalne, bo różniczkuje akt umysłu, nadając mu specyficzną formę. Forma rzeczy w umyśle wytworzona nietylko nie jest aktem poznania, ale nie jest nawet obrazem rzeczy zupełnie określonym. Inaczej, pocóż tak często podkreślana przez św. Tomasza konieczność zwracania się do wyobraźni. Łatwo pojąć tę konieczność przy wytwarzaniu pojęcia, ale po jego urobieniu skąd ta konieczność? Innej racji trudno znaleźć, jak tę, że forma rzeczy umysłowa nie ma pełnego określenia jako obraz, ale że do

odegrania roli obrazu musi się wspierać na tem, co św. Tomasz nazywa nawrotem ku wyobraźni *(conversio ad phantasmata, continuatio ad sensus).* „Umysł nie może poznawać rzeczy, których formę odrywa, jak tylko zwracając się do wyobrażeń (zmysłowych)". Forma umysłu wzięta w roli wyobrażenia umysłowego *(repraesentationis),* wymaga swego uzupełnienia we władzach zmysłowych.

Najwyższa więc jedność, jaką umysł osiągnąć może w roli obrazowania, nie wyjdzie poza granice bytu, stojącego w relacji do rozciągłości.

Formy umysłowe obok roli obrazowania odgrywają jeszcze rolę „znaczenia" *(affirmatio, significatio).* To, co twierdząco o Bogu mówimy, „oznacza bożą Istotę, lecz nie dosięga wyobrażenia Boga". (S. Th. q. 13. a. 2). Prosta nawet refleksja odkrywa nam pojęcia umysłowe, których przedmiot wyobrażeniowy nie wychodzi poza granice bytu materjalnego, a przecież usiłują one coś znaczyć poza temi granicami: Bóg, dusza... Jeżeli więc jedność, do której umysł dojść może w roli obrazowania jest byt materjalny, to jedność najwyższa przedmiotu znaczeniowego sięga poza te granice, do bytu najogólniejszego, analogicznego. Analiza sądu pod względem formy wykaże nam stosunek obu tych funkcyj umysłu do zagadnienia o warunkach, które umożliwiają myśl przedmiotową.

Formę sądu określa św. Tomasz jako „łączenie i dzielenie" *(compositio et divisio).* Stosunek podmiotu i orzeczenia w sądzie cechuje pewien rys, który św. Tomasz zwie *modus concretionis.* Każdy sąd prawdziwy i twierdzący wymaga, by orzeczenie i podmiot oznaczały w jakiś sposób to samo rzeczowo, a różne względy umysłowo. (S. Th. q. 13. a. 12). „Umysł nasz ujmuje proste formy (byty duchowe) na sposób złożonych, w których jest jakiś podmiot i to co tkwi w podmiocie" (l. c. ad 2). Przyczyną tego, to przejście z potencji do aktu (por. S. Th. q. 58. a. 4).

Ta konkretna synteza sądu sprowadza się do jedności podmiotu pod wielością form. Że zaś złożenie z podmiotu i formy jest właściwością ciał, więc synteza jako wyobrażenie umysłowe przedmiotu nie wyjdzie poza nawias bytu rozciągłego, liczebnego, poza granice możliwego doświadczenia

Kanta. Możemy tu znów zauważyć pewną styczną św. Tomasza z Kantem, że sąd jako sama synteza, jako wyobrażenie syntetyczne o przedmiocie, nie wyjdzie poza sferę zmysłową. Kant innego znaczenia sądu nie widział. W formie sądu nie można jednak pominąć twierdzenia *(affirmatio)*, które czyni sąd podmiotem prawdy i jedynie zdaje sprawę z możliwości przedmiotu w myśli, z odniesienia myśli do czegoś poza nami, do czegoś nam przeciwstawionego.

Sama synteza dwu pojęć, jako taka, nie wprowadza jeszcze opozycji do „ja", do podmiotu, inaczej proste złączenie dwu pojęć, np. białe-czerń, byłoby już sądem, podmiotem prawdy. Pojęcia złożone są syntezą, a przecież nie są sądami, należą jeszcze do poznania prostego *(quod quid est)*. Zwyczajna synteza różni się od syntezy twierdzącej, lub przeczącej, jak różni się wątpienie, pytanie od kategorycznego twierdzenia. Istotą twierdzenia będzie więc utkwienie, spoczynek umysłu w przedmiocie. To utkwienie powoduje albo wola (i tem się tu nie zajmujemy), albo też podlega wymaganiom natury *(naturae imperio subjacet)*, czyli, że umysł przez celowość wewnętrzną, *a priori*, skłania się naturalnie do pewnych przedmiotów. Za tem utkwieniem umysłu w swoim przedmiocie formalnym, zdeterminowanem przez celowość naturalną, uprzednią do aktu, idzie celowość następcza, wtórna, bo „za każdą formą idzie jakaś skłonność". (S. Th. q. 80. a. I). Celowość naturalna, uprzednia do aktu poznania, wynikająca z formy naturalnej umysłu, z jego istoty, i celowość wtórna, idąca za formą poznania, wytworzoną w umyśle, jest jedynie wystarczającym warunkiem możliwości przedmiotu w umyśle pozbawionym intuicji.

Twierdzenie *(affirmatio)*, podciągając dane pod wspólny mianownik bytu: „to jest", równocześnie te dane poznania czyni przedmiotami, odnosząc je do porządku ontologicznego i tym sposobem podmiot poznania przeciwstawia poznanej rzeczy. Stąd kategorje Arystotelesa, odnosząc dane poznania do bytu ontologicznego, są pewnemi podziałami, sposobami bytowania. Przeciwnie, kategorje Kanta są funkcjami nie przedmiotu, lecz podmiotu, podciągającego za ich pomocą dane poznania zmysłowego do jedności apercepcji. Dlatego zdziwienie Kanta, że tak „przenikliwy mąż", jak Arysto-

teles mógł podać inne kategorje, niż on, jest nowym dowodem, że Kant nie znał bliżej twórcy realizmu umiarkowanego.

Chociażby byt, który jest warunkiem przedmiotu w myśli, był bytem czysto rozumowym, chociażby byt przez nas uważany za rzeczywisty, nie miał wartości pozaumysłowej, to przecież Kant chybił w podaniu warunków przedmiotu myśli, bo jedynie ten byt, pojęty przez nas, jako cel, wprowadza przeciwstawienie formy poznaniowej do podmiotu. Przeciwstawienie bowiem formy poznanej podmiotowi możliwem jest tylko w dwojaki sposób: albo przez akt stwórczy i relację do tego aktu stwórczego, jak u Boga i Aniołów — ale wtedy będziemy mieli poznanie intuicyjne; albo też forma poznana przeciwstawi się podmiotowi jako cel. Ten ostatni sposób poznania nazywają abstrakcyjnym, dyskursywnym (Kant); my nazwijmy go twierdzeniowym.

Imanencja przedmiotu będzie wykładnikiem celowości uprzedniej, naturalnej. Samo zaś uprzedmiotowienie, projekcja formy poza podmiot będzie skutkiem celowości uprzedniej i wtórnej.

Zasada, że każda rzecz działająca działa dla celu, jest analityczna, jeśli się przypuści, że ruch nie ogranicza się do prostego następstwa, ale jest w ścisłem znaczeniu aktem bytu w potencji, jako w potencji. Ruch nie będzie ruchem, jeśli akt momentu obecnego nie będzie posiadał w jakiś sposób aktu momentu następującego, jeśli nie będzie pewnem jego zapoczątkowaniem.

Celem działania imanentnego jest albo stan samego działającego, albo następne działanie imanentne. Działanie imanentne, które odbywa się przez ruch, nie może być dla siebie celem, przynajmniej ostatecznym. Godzą się wszyscy, nie wyjąwszy Kanta i jego zwolenników, że jeśli pojęcie celu ma przedmiotowe znaczenie w porządku noumenalnym, to i rzeczywistość noumenalną celu ostatecznego trzeba przyjąć. Nasz umysł przechodzi z potencji do aktu, a więc dąży do celu, który albo będzie ostatnim, albo zależeć będzie od jakiegoś innego ostatniego. Jakiż ten cel ostateczny umysłu ludzkiego?

„Dusza ludzka jest pod pewnym względem wszystkiem", jest to prawdziwy „mikrokosmos".

„Umysł bierny jest tem, przez co możemy stać się wszystkiem". Oto szeroki cel umysłu! Umysł czynny jest tem, przez co wszystko możemy wytworzyć w duszy, by ta stała się tym wszechświatem w minjaturze. *(Intelectus possibilis est quo omnia fieri, intelectus agens est quo omnia facere).* Formą dążności umysłu nadaną mu przez samą naturę jest byt, forma najogólniejsza. Albowiem, by wychodząc z czystej potencjonalności, dojść do kresu, wykluczającego wszelki nie-byt, czyli by ująć w sobie całość bytu, należy mieć formę dynamiczną działania, odpowiednią temu celowi, której wykładnikiem jest właśnie forma umysłu czynnego. Więc też „umysł odnosi się do swego przedmiotu pod najogólniejszym względem bytu, ponieważ umysł jest tem, przez co można stać się wszystkiem". (S. Th. q. 79. a. 7).

Widzimy to zresztą z wewnętrznej obserwacji. „Umysł nasz dąży do nieskończoności, czego znakiem jest, że mając daną jakąkolwiek wielkość skończoną, potrafi zawsze jeszcze większą pomyśleć..." Więc umysł nasz dąży do aktu, w którym ujmie pełny byt. Tylko perspektywa tego pełnego aktu pcha go do działania. Stąd tak często podkreśla św. Tomasz, że choć przedmiotem formalnym umysłu naszego w stanie obecnym jest istota rzeczy materjalnych, to przedmiotem podstawowym i formalnym umysłu samego w sobie jest byt jako taki, że rozróżnić trzeba koniecznie: funkcję przedstawiania, wyobrażania przedmiotu w umyśle, nieodłączną od zmysłów, jako następstwo połączenia duszy z ciałem, i funkcję twierdzenia, która sięga poza te granice, zastępując intuicję, należną umysłowi z jego natury bezwzględnie wziętej.

Czy te aspiracje są słuszne, czy byt, do którego odnosimy poznanie, jest czemś rzeczywistem, w to narazie nie wchodzimy. Tu nam wystarcza, według nauki św. Tomasza, że przedmiot możliwym jest w myśli tylko dzięki przeciwstawieniu celowemu formy poznania do podmiotu, że umysłowi przeciwstawia się forma poznania, jako rzecz w sobie, jako jeden krok w naturalnym pędzie do celu, jako jeden moment w coraz doskonalszej ewolucji (właściwie stawaniu się) umysłu.

Ta analiza przedmiotu i jego warunków w myśli, jakkolwiek przedłożona przez św. Tomasza w kontekście me-

tafizycznym, da się łatwo przełożyć na tonację transcendentalną Kanta.

Umysł nasz stopniowo rozwija swe poznanie, ciągle się doskonali, przechodzi więc z potencji do aktu, nie jest władzą intuicyjną rzeczy zewnętrznych. Warunkiem takiego poznania, jest pobieranie treści od zewnątrz. Z tej treści powstaje w naszej myśli przedmiot: synteza i opozycja do podmiotu. Myśl przedmiotowa jest daną pierwotną, którą należy wytłumaczyć, wskazując na umożliwiające ją warunki *a priori*. W tem zadaniu posłużyć się możemy podwójną metodą: psychologiczną i transcendentalną.

Prosta refleksja nad aktami naszego umysłu odkrywa nam sposób, w jaki przeciwstawiamy sobie przedmiot, czyli w jaki sposób myśl staje się przedmiotem. Prócz syntezy widzimy tu przeciwstawienie celowe do podmiotu. Dążność umysłu stawia sobie za cel byt jako taki. Poznanie określonego przedmiotu jest tylko etapem w pogoni za ogólną i powszechną prawdą.

Dowód transcendentalny powinien wykazać, że nietylko myśl przedmiotowa powstaje *de facto* z opozycji celowej, ale, że umysł nieintuicyjny tylko tą drogą może dojść do posiadania myśli przedmiotowej, danej pierwotnej badań krytycznych.

Zgadza się Kant z nami, że przedmiot jako taki, znajduje się dopiero w sądzie. Analiza sądu i warunki przedmiotu w myśli podane przez Kanta, (mianowicie synteza wyobrażeń w jedni świadomości) nie wystarczają, bo nie tłumaczą nam przeciwstawiania się przedmiotu podmiotowi. (Dowód negatywny). Szukać więc należy tej opozycji poza funkcją czysto syntetyczną sądu: w twierdzeniu lub znaczeniu, które sprowadzają dane sądu do najwyższej jedności, do bytu analogicznego. Twierdzenie, jako utkwienie umysłu w swoim przedmiocie, jest skutkiem celowości naturalnej umysłu, która jest motorem wszystkich jego aktów. To utkwienie umysłu, ponieważ nie odpowiada całej jego dążności do pełnego aktu, jest tylko momentem w doskonaleniu się umysłu i punktem wyjścia w dalszej wędrówce za doskonałą prawdą. Forma poznania jest więc i celem i środkiem do dalszego doskonałego celu, i w ten sposób zastępuje nam

brak umysłowej intuicji. Poznanie „czegoś innego", nam przeciwstawionego, czyli opozycja podmiotu do przedmiotu, może się zrodzić tylko z relacji przyczynowej sprawczej czy wzorowej, jak u Boga lub Aniołów, albo też z relacji celowej, jak u nas.

Takby się przedstawiała ogólna idea warunków przedmiotu w myśli, według nauki św. Tomasza. Zasady są tu jasne, krytyczniejsze, niż u rzekomego twórcy krytyki. Na tych zasadach, w ten czy inny sposób, oprzeć można silny dowód godzący w serce Krytyki czystego rozumu, w wywód transcendentalny kategoryj. Idźmy dalej!

Jeżeli dążymy do celu, to tem samem dążymy do „czegoś w sobie", bo celem jest zawsze rzecz jako istniejąca czy przynajmiej istnieć mogąca. Nasuwa się pytanie, czy to do czego dążymy jako do czegoś rzeczywistego, na pewno istnieje poza umysłem, w sobie? W tem przejściu z porządku transcendentalnego do porządku ontologicznego rysują się pewne różnice u twórców „Krytyki przyszłości". O. Rousselot i Maréchal starają się i tu iść jak najbliżej za św. Tomaszem. Wywód stwierdzenia porządku ontologicznego według ich poglądów przedstawiałby się następująco:

Stosunek danych poznania do celu ostatecznego umysłu jest istotnym składnikiem i koniecznym warunkiem umożliwiającym wszelką naszą myśl przedmiotową. Zatem świadomość bytu absolutnego analogicznego, czyli świadomość ogólna celu ostatecznego umysłu, wchodzi w bezpośrednią świadomość każdego przedmiotu myśli, bo każdy przedmiot o tyle tylko jest dla nas przedmiotem, o ile stoi w pewnej relacji do celu ostatecznego umysłu. Otóż to, co wchodzi koniecznie w przedmiot myśli i jego powstawanie, ma tem samem najwyższe uzasadnienie spekulatywne, jakiego wymaga „Filozofja krytyczna". (Kant na tej samej zasadzie opiera wywód swoich kategoryj). Więc według zasad tej filozofji, stwierdzenie bytu transcendentalnego, jako warunku koniecznego wszelkiej myśli przedmiotowej, ma tem samem swe zupełne uzasadnienie krytyczne. Z rzeczywistości celu ostatecznego umysłu, spływa rzeczywistość na cele pośrednie. Konieczność myśli wyjścia poza ciasne granice fenomenizmu agnostycznego, nie jest zatem koniecznością czysto podmio-

tową, czy przedmiotowo-praktyczną, (jak chce Kant w „Dyalektyce transcendentalnej" i w „Krytyce praktycznego rozumu"), ale jest to konieczność przedewszystkiem przedmiotowo-logiczna, oparta na zasadzie tożsamości.

To przejście z porządku transcendentalnego do świata rzeczywistości nie podoba się G. Picard. Przyznaję, że pomysł rozwiązania kwestji jest podziwienia godny, ale by móc spuścić się na naszą dążność do absolutu bytu, trzebaby wypróbować naturę i zdolność umysłu, co możliwem jest tylko przez ujęcie bezpośredniego stosunku umysłu do bytu czyli w intuicji umysłowej bytu. Takiej intuicji Absolutu nieskończonego (Boga) nie posiadamy. Nie mamy też intuicji absolutu skończonego, poza nami istniejącego, jak również mieć nie możemy intuicji pojęć oderwanych. Tę intuicję odnajdziemy tam, gdzie znalazł ją Descartes: w intuicji *tou ego cogitantis.* W niej widzimy nietylko rzeczywistość konkretnego aktu umysłu, ale i rzeczywistość bytu wogóle wraz z pierwszą zasadą, że byt jest, jest bytem. Z takim kapitałem wiedzy mogę się puścić bezpiecznie w dalsze badanie.

Chociaż sposób Picard'a więcej może nadaje się do opracowania pozytywnego systemu krytycznego, bo obejmuje nietylko problem idealistyczny, lecz także problem sceptyczny, to jednak metoda J. Maréchala ma donioślejsze znaczenie polemiczne wobec Idealistów, bo stawia dyskusję na wspólnej platformie i przyjmuje broń przeciwników, którzy o jakiejkolwiek intuicji naszego umysłu nie chcą ani słyszeć.

W każdym razie — i to wydaje się pewnem — że choć w innej formie i z innego stanowiska, bo z punktu widzenia metafizycznego, św. Tomasz poruszył wiele zagadnień istotnych które dziś myśl ludzką szczególnie zajmują. Znajdujemy tu zasady do rozwiązania zagadnienia postawionego przez Kanta: jak powstaje myśl przedmiotowa. Ta analiza przedmiotu w myśli, wszechstronniej i głębiej przeprowadzona, prowadzi nie do agnostycyzmu, lecz do realizmu, do rzeczy w sobie.

Jeśli naszemu poznaniu odpowiada rzecz w sobie, to trzecia kwestja się wyłania: w jakiej mierze, jak daleko posuwa się to uzgodnienie poznania z rzeczą w sobie? I w tej kwestji znajdziemy wytyczne zasady u św. Tomasza, w jego metafizyce poznania i w psychologji.

Bez obawy przesady możemy więc powiedzieć, że scholastyka, zapłodniona myślą św. Tomasza, coraz głębiej patrzy w problemy, które nasuwają się w pochodzie czasów, że widać tu tę niespożytość myśli Doktora Anielskiego, która swą głębokością i płynącą z niej powszechnością jest jakby poza czasem, zawsze aktualna. Nawet w tym rzekomym monopolu Kanta, Teolog z Akwinu wyprzedził filozofa z Królewca, bo zwrócił uwagę swych uczniów na zasadniczy błąd Kanta, na istotny brak w rozwiązaniu poruszonego problemu.

Zarzucają św. Tomaszowi, że naukę o poznaniu oparł przedewszystkiem na zasadach metafizycznych. Czy wogóle krytyka może nie być funkcją metafizyki? Jeśli Kant stawiał problem możliwości przedmiotu w myśli, tem samem dążył do zbadania ostatecznych przyczyn myśli przedmiotowej, i naszego całego poznania. Czy to już nie subtelna metafizyka? Czy można znaleźć idealistę, któryby nie był na swój sposób metafizykiem?

Dlatego krytyka, jako taka, nie jest, ściśle mówiąc, punktem wyjścia dla metafizyki, ale punkt wyjścia krytyki, będzie zarazem punktem wyjścia metafizyki. Jako na taki punkt wyjścia, wspólny Kantowi i realistom, możemy wskazać na genezę myśli przedmiotowej, na badanie sposobu powstawania tej myśli przedmiotowej, na przedmiot *in fieri*. Badanie genezy tego przedmiotu przypuszcza już pewne zasady metafizyczne, przynajmniej zasadę sprzeczności.

Krytycyzm, zawiesza znaczenie tej zasady w odniesieniu do istnienia rzeczy w sobie, czyli znaczenie realistyczne. Otóż takie postępowanie może jest poprawne jako punkt wyjścia, ale logicznie sprzeczne, jeśli metafizyka czy krytyka poznania chce z niego uczynić punkt martwy, poza który wyjść nie można.

Ks. Józef Chechelski T. J.

Rzecz o tragizmie Kleopatry C. K. Norwida.

(Ciąg dalszy)

III.

Męskość i kobiecość.

Listy do Marji Trembickiej stwierdzają wymownie, że Norwid często rozmyślał o wzajemnym stosunku dwu biegunów natury ludzkiej: męskości i kobiecości, że skłonny był do ujmowania tej sprawy tragicznie. Bezwarunkowo dużo należy odliczyć na karb romantycznej stylizacji. Mimo to wszakże osobiste doświadczenie Norwida przesuwało zagadnienie miłości w dziedzinę najsmutniejszych i niezwykle gorzkich rozmyślań. W *Listach do M. Trembickiej* czytamy niejednokrotnie słowa, pisane krwią serdeczną. Są tam wprawdzie hymny na cześć wieczystej kobiecości, ale nie brak także gryzącej, bolesnej ironji. Naprzykład: „Kobiety wieku tego, a mianowicie polskie, są najczęściej osoby przymiotów anielskich. W obliczu aniołów czas jest żadnym warunkiem, praca niezrozumiałą rzeczą, dramat piosnką". [1])

Stosunek Norwida do erotyzmu ustalił się głównie na podstawie jego oceanicznie głębokiej miłości ku Marji Kalergis. Pani Kalergis była kobietą świetną, uderzająco piękną, wielbioną przez liczne znakomitości świata. Heine nazywał ją świątynią boga miłości, Gautier sławił jej nieubłaganą białość, a nawet twardy generał Cavaignac skapitulował wobec

[1]) *Chimera* VIII, 415.

jej uroku, jak Mars wobec Venus. Ale przy tem wszystkiem czarująca pani Kalergis była istotą, u której obszerność serca bardziej zdumiewała, niźli jego głębia. Nie czuć w niej krwi, ognia, temperamentu. Błyszczy natomiast upudrowaną, romansową zalotnością. Dzieje serca pani Kalergis nie paliły się tak rubinowo, jak dzieje serca George Sand. Podobnie do goethowskiej Charlott'y von Stein,[1]) usiłowała zamknąć swoje wzruszenia w ramach towarzyskiej poprawności.

Norwid, jak wszyscy zresztą romantycy, szukał w miłości pojednania przeciwieństw, zaspokojenia tęsknoty do bytu nieskończonego, uskrzydlenia natchnień poetyckich.[2]) Gdy dla pani Kalergis miłość oznaczała ciągłą zmianę wrażeń, ochronę przed nudnym, prozaicznym i szpetnym dorobkiewiczem (prawowitym małżonkiem), dla Norwida była ona jednością, rozszerzanego do wymiarów kosmosu, uczucia. Gdy dla pani Kalergis miłość utożsamiała się z przygodą, o której mówią w salonach i piszą w dziennikach, dla Norwida była ona świętością, którą najlepiej można uczcić milczeniem, udostojnić samotnictwem. Gdy wreszcie dla pani Kalergis miłość to poniekąd gra towarzyska, wytwór mody, lektury i dowcipu, dla Norwida jest ona zjawiskiem pierwobytnem, żywiołem natury. Z tych przeciwieństw wyrósł tragizm. Prześwietla on matowym blaskiem romans Cezara i Kleopatry, hieroglify uczuć „poetessy Zofji", drobny? o zapachu fiołków, rwanych na Awentynie, *Marmur biały* i dzieje lekkiej, jak pioro pawia na wietrze, Wandy. Ale zagmatwana w rozdźwiękach rzeczywistość, zostaje uzupełniona. Ginie bez śladu niewspółmierność bohatera i bohaterki. Oboje skąpani są w oceanie kosmicznego uczucia i wyniesieni na piedestał heroizmu. O ile Cezar był (ob. rozdz. II) wcieleniem norwidowskich snów o chwale, potędze i godności człowieka, o tyle Kleopatra jest wyrazem marzeń poety

---

[1]) Ob. Fr. Gundolf: *Goethe* Berlin 1919 rozdz. *Charlotte von Stein.*

[2]) Ob. Oskar Walzel: *Goethe und das Problem der faustischen Natur:* „Übersinnlich sinnliche Freier erkennen die Romantiker in der Liebe eine Kraft, die den Menschen an das Ewige herabhebt. Und an dieses Ewige klammert sich nicht bloss die geistig-religiöse Liebe, auch die Liebe zur Geliebten" (cyt. według prof. St. Pigonia: *Z epoki Mickiewicza,* 411).

o pięknie kobiety i kobiecości wogóle. Tragicznych kochanków owiewa, zaraz u progu przeznaczeń, tchnienie wszechświata:

Gdziekolwiek i kiedy
Spotkałbym cię, czarowna królowo, zarówno
Byłaby to harmonja jedna więcej w świecie.[1])

Odradza się prawdziwa wiara w harmonję świata, mająca swego zwolennika w uczonym tej miary, co Keppler.[2]) Miłość staje się czynnikiem równowagi kosmicznej, jak siła dośrodkowa i odśrodkowa. Dzięki temu zanika częściowo swoboda jednostki, roztopiona w systemie kosmicznej prawidłowości. Wyłania się konieczność podobna do tej, która rządzi obrotami ciał niebieskich. W słowach Cezara i Kleopatry często słychać odwoływanie się do tak pojmowanej ekonomiki wszechświata.

Tak tedy, jak odpychanie i przyciąganie, równoważą się ze sobą męskość i kobiecość, mąż i niewiasta. Ale nie każda doba historyczna sprzyja zestrojowi duszy męskiej z kobiecą. „Są czasy, pisze Norwid w październiku 1853 r., w których k o b i e c i e z u p e ł n e j trzebaby pójść za pięciu zamąż dlatego, iż każdy z tych pięciu jest tylko $^1/_5$ człowieka i odwrotnie są czasy, w których mężczyzna zupełny może być tylko jak Orfeusz pięciu bachantek oblubieńcem dla tej samej przyczyny".[3]) C e z a r i K l e o p a t r a t o z u p e ł n y m ę ż c z y z n a i z u p e ł n a k o b i e t a. Stąd miłość ich musi być najczystszą harmonją „jedną więcej w świecie". Z ust Kleopatry dowiadujemy się, iż

Miłość zupełna jest zawsze
Szczęsną dlatego, że jest.[4])

A jednak tok wydarzeń przeczy temu mniemaniu. Przeznaczenie nie toleruje rozdwojenia. Cezar wypełnia jego nakazy, budując ogromne imperjum. I na tej drodze ma dojść do upadku, gdy do jego duszy jednolitej, jak blok marmuru, przeniknie miłość. Ona odwróci w nim wolę od pracy dla dziejów, od wyciskania olbrzymich kształtów swego ducha na globie ziemskim, ciągnąc ją do alkowy niewieściej. Chwila

[1]) *Chimera* VIII, 110. [2]) *Wszechświat i człowiek* t. III 132, 133.
[3]) *Chimera* VIII 367. [4]) Ibid. 136.

nieuwagi przeważa szalę losów. Cezar broni się przed urokiem królowej sfinksów. Chce przemóc uczucie. Osłania je togą urzędowego posłannictwa.

KLEOPATRA

Na ramieniu człowieka oparłszy się — czuję,
Że oparłam się o świat.

CEZAR

To konsula ramię.
Opowiadasz tem słowem, o szlachetna Pani,
Nie Juljusza Cezara. [1])

Aby zerwać z pokusą miłości, Cezar po wypełnieniu czynności wojennych i ustawodawczych opuszcza Egipt. Ale w gruncie rzeczy stawkę z Fortuną przegrał. Miłość, choć ujarzmiona żelazną wolą, triumfuje. Nie zdoła jej zabić ani czas, ani zapomnienie. Dla Kleopatry chwilę tragiczną stanowi nie spotkanie Cezara, a rozłąka. Ona szukała instynktem kobiecości prawdziwego męża. Jej marzenia są, jak bluszcz, co dąży do oplecenia dębu. Najczystszy liryzm płynie z jej wynurzeń:

Szechero, jestem smętną, jak nowowyryty
W granicie grób, na kogoś czekający. [2])
Miałażbym serce, które uroiło sobie,
Że kochać można wielką miłością na zawsze,
Lub jestże to tytańskim przeciw niebu szałem
Ideał czuć, co nie był uciosany w kamieniu. [3])
Nigdy—nigdzie—nikogo przy sercu. [4])

W osobie Cezara ukazał się stęsknionym oczom królowej „ideał uciosany w kamień". Znalazła pełnego człowieka. Ogarnia ją rozrzewnienie. Padają łzy królewskie o kryształowej czystości i symbolicznej głębi:

Cezarze, o więcej
Moich łez już nie pytasz, a patrz, takie szybkie
I jedna się za drugą wnet doganiające,
By po raz pierwszy męża istotnego widzieć. [5])

Pod działaniem tej jedynej w swoim rodzaju miłości rozkwita wspaniale kobiecość Kleopatry. Staje się to tak, jakgdyby ktoś różę, spaloną żarem południowym, zanurzył

[1]) *Chimera* VIII. [2]) Ibid. 77. [3]) Ibid. 77. [4]) Ibid. 77. [5]) Ibid. 105

w ożywczem źródle. Wobec uroku szlachetnej a cichej wielkości, opromieniającej Kleopatrę, schyla czoło półbóg Cezar:

O, tak Pani, ...królowo - kobieto!
Być człowiekiem w obliczu ciebie — jest zarazem
Kłonić się i brać wieniec. [1])

Ale Cezar usiłuje zarazem wymknąć się z sideł Kupidyna. Dręczy go poczucie odpowiedzialności wobec dziejów i Przeznaczenia. Kleopatra naodwrót: oddaje się chwilom miłości niepodzielnie. Dla niej berło i korona są ciężarem, którego niekiedy radaby się pozbyć:

Tam są kobiet serca,
Istot, które tę mają przeraźliwą wyższość,
Iż rzucają się całe w prąd żywota, pierwej
Nim podobieństwem było, by znały, co czynią...
— — — — — — — — — — — —
Lecz kobieta nad wszystko jest chwilą. [2])

I właśnie dlatego Kleopatra spływa w ręce Cezara, jak „posąg ochwiany", gdy on, acz kocha, „nie zaraz przepada". Miłość w duszy kobiety zdobywa samowładztwo, wobec którego w cień usuwają się wszelkie obowiązki społeczne, a jedyną sprawą, godną mocniejszej uwagi, staje się wzajemne obcowanie kochanków. Dochodzi do tego, że Kleopatra Rzym-Imperjum utożsamia z Cezarem. Dopiero śmierć Cezara otwiera jej oczy na Rzym istotny, na jego drapieżną zaborczość i żołdacką brutalność:

Dopóki ręce moje, oczy me, spomnienia
Mogły jeszcze się wspierać o Juljusza piersi,
Nie myśliłam o Rzymie, którego istotę
Słonił mi wielki człowiek. [3])

Teraz łatwo odgadnąć, skąd wypływa tragizm miłości obojga władców ziemi. Przeznaczenie, które łamie Cezara, łamie również Kleopatrę. Od Cezara żądało wyrzeczenia się miłości, a gdy je kupił głębokiem cierpieniem, obróciło się przeciwko niemu jego własne dzieło. Cezar ginie w senacie rzymskim od spiskowych sztyletów, ginie przez tragiczną ironję Losu, jako wróg Imperjum, wróg ludu, dla którego złożył w ofierze całe swoje życie. Oczywiście jest nim tylko w mniemaniu garstki zapaleńców. Ale śmierć Cezara to za-

[1]) *Chimera* VIII 134. [2]) Ibid. 115. [3]) Ibid. 166.

razem cios śmiertelny w serce Kleopatry. Zadała go ręka Fatum. Odtąd w Kleopatrze zamiera czarująca kobiecość; zostaje tylko królowa i mścicielka jednocześnie. I ta, ogołocona z kobiecości, brzemienna głuchą, milczącą rozpaczą królewskość zawiera w sobie ogrom dostojnego tragizmu. Gdy serce nie ma kogo kochać, wówczas królowa staje się niewolnicą ceremonjału, testamentu Auleta i dynastji.

Norwid zaprzeczył twierdzeniu, że „miłość zupełna jest szczęsna dlatego, że jest". Radość posiadania jej może zaledwie częściowo okupić ból utraty. Z dziejów Cezara i Kleopatry wynika, że stosunek męskości do kobiecości ujawnia cechy tragizmu. Oba pierwiastki dążą do zestroju. Ale dążenie pozostaje tylko dążeniem. Natomiast ból erotyczny i tęsknota erotyczna trwają wieczyście. Naturalnie odnosi się to jedynie do wyżyn erotyzmu. Daje temu wyraz wprowadzenie do tragedji romansu Antonjusza i Kleopatry, jako przeciwstawienia miłości heroicznej. Królowa w ten sposób odzywa się o Antonjuszu:

Najściślej tę miłość,
Której on chce i którą może pojąć, ja mam
Najistotniej...
— — — — — — — — — — — —
Konno z nim jeżdżę, wędy zarzucam, śmieję się
Jak szalona, wyglądam, myślę, że niezgorzej,
Cóż chcieć jeszcze?[1])

W tym okręgu królestwa bogini Venus trudno mówić o tragizmie!

IV.

Ludy i kultury.

Dramat miłosny Cezara i Kleopatry rozwija się na szerokiem podłożu dziejowem. Przez usta Cezara mówi bardzo często historja. Mówią pokolenia i wieki. Gdziekolwiek spoczął ten wspaniały orzeł historji, wszędzie zostawały ślady jego szponów. Olbrzymiemi skrzydłami ocienił Italję, Hiszpanję, Afrykę i Galję. Legjonista rzymski na jego rozkaz przebiegał wielorakie lądy i spał pod różnemi gwiazdami.

[1]) *Chimera* VIII 169.

Norwid nadzwyczaj starannie uwydatnił przynależność Cezara do dziejów. Uczynił go niejako posągiem doby historycznej, tej mianowicie, gdy miasto wilczycy i śpiżowego prawa coraz dalej wyciąga ramiona światowładne, biorąc w uścisk żelazny dwie kolebki klasycznej cywilizacji: Grecję i Rzym. W osobie Kleopatry wystąpił właśnie ten ostatni. Norwid bardzo chętnie zatrudniał sobie wyobraźnię rozmyślaniem o świtach i zmierzchach ludów oraz kultur. Miał żywe upodobanie do składania mozaiki z różnych, niekiedy sprzecznych pierwiastków cywilizacyjnych. Sięgał po wątki starosłowiańskie *(Krakus, Wanda).* Rzucał na nie poświatę Chrystusową. Ściągał do swych dramatów różne plemiona i warstwy. Rozgarniał skrzętnie gąszcze stuleci i nurkował bystrym wzrokiem po ich mrocznych, zarosłych domysłami i klechdą ostępach. Nawet drobne wiersze, np. *List do Wł. Łubieńskiego, Na zgon ś. p. Jana Gajewskiego,* noszą piętno dziejowej zadumy. Cóż mówić o *Quidam,* owej kopalni pomnikowych określeń i śmiałych rzutów myśli, które zbliżają ku nam wieki, ludy i kultury. W zmienności wydarzeń, w cmentarzyskach umarłych cywilizacyj, w mdłych światłach młodych kultur widział Norwid stwierdzenie pewnej ogólnej, stałej zasady rozwoju. Ujmował ją w więźbę słów niejednokrotnie. W *Listach do Trembickiej* czytamy: „Wielkie położenie akcentu na heroizmie jako sile składowej społeczeństwa jakiego to ma niebezpieczeństwo straszliwe, że w momentach upadku i w niezwyczajnych epokach heroizm upadły jest zawadjactwo, a dalej grubjaństwo, zajazd ostatni — tak jak znowu cywilizacja nie heroiczną — szczególnie, ale wszechstronna w upadku swym jest subtylizacją, a dalej rafinerją, a dalej przewrotnością" Całość twórczości Norwida wskazuje na zamiłowanie do myśli szerokiej, rozchwianej nad okręgiem dziejów, jak ognisty pióropusz. *Kleopatra* należy do ciekawych w tej mierze przykładów. Daje obraz dwu światów, które dobiegają kresu swego Przeznaczenia:

> To jednak wielkie Rzymu jest już wielką zbrodnią,
> I jeśli Egipt niemniej kończy, to dwa światy
> Ku końcowi słońcami swemi schyliły się. [1])

[1]) *Chimera* VIII 166.

Rzym idzie do rozkładu po drodze skrajnego heroizmu przez „zawadjactwo" (Marek Antonjusz) i „grubjaństwo", a Egipt po drodze braku heroizmu przez „subtylizację" (Kleopatra) i „rafinerję" (Eukast, Psymach). To jasne! I aby to zrozumieć, wystarczy rzucić okiem na pochylnię tragicznych wydarzeń, gdzie odbywa się ów śmiercionośny wyścig ku Przeznaczeniu. Z przebiegu sprawy dziejowej wyłania się pewien sens ogólny, który można nazwać fatalizmem historycznym. Dla poety i myśliciela polskiego, którego kultura narodowa była najechana przez barbarzyństwo, który przeżywał osobiście tragedję wyzuwania narodu z mowy ojczystej i ojczystego obyczaju, musiał ów fatalizm dziejowy wysunąć się jako naczelne zadanie tragedji literackiej: „Co do mnie, pisze w przedmowie do *Krakusa,* mniemam, iż tragedja jest to uwidomienie fatalności historycznej albo socjalnej narodowi albo wiekowi jakiemu wyłącznie właściwej".[1]) Do powyższego zagadnienia Norwid wraca z pewnym uporem. Mamy je w *Liście do Łubieńskiego,* w dramatach o Krakusie i Wandzie, w *Quidam,* a nakoniec w *Kleopatrze.* Wyrażał je wierszem i prozą. Słowem, w różnych postaciach. Atmosfera epoki, nasiąknięta spekulacją, utwierdzać mogła Norwida w niezłomnej wierze, iż rozwój dziejowy ludzkości da się ująć w schemat logiczny. Skoro zaś logika rozciąga w nim swoje władanie, to oczywiście dowolność musi zniknąć ze szczętem. Jakoż norwidowska fatalność historyczna nie jest fatalnością wielkich namiętności, burzliwych temperamentów, wichrowych porywów lub głębokiego uniesienia, ale fatalnością nieubłaganej logiki dziejowej. Jakaś surowa, kamiennie głucha potęga odwraca kartę za kartą w sybilijskiej księdze losów i wieków: „Po legendowej, po cudownej pierwszej inwokacyjnej Epoce, czytamy w *Milczeniu,* widzimy zatem, jak się jawi i wygłasza *Epopeja* przez samo przemilczenie, lecz ten znowu śliczny całokształt epopei cóż on dalej przemilcza? Słowem jednem czem ta trzecia epoka będzie? Jużci, że bohaterowie Epopei swemi olimpijskiemi krokami prze-

[1]) *Chimera* VIII 61.

kraczają właściwą prozę historyczną, interesa państw i narodów tudzież warunki polityczne i finansowe etc. Historja wszelako, mimo zstępującego na szeroki poziom żywiołu swojego, czyliż także miałaby się jeszcze na przemilczeniu uzasadniać?... Jużci że tak i to nawet dosadniej, niźli gdzie indziej, bo bywały nawet umyślne zatajemnienia intryg, które w sto lat dopiero uczytelniały się. Historja przemilcza to, naco wystarczający wyraz jeden znaleźć trudno, ale co ze stosownemi komentarzami nazwać godzi się anegdotą. Tem są tajemnice psychologji, biografji niezmiernie ważne częstotliwie, lecz za małe i za mnogie dla historji, która też je przemilcza. One wszakże na dnie anegdoty czekają fatalnej godziny swojej, albowiem po epoce tej, którą anegdotą zowiemy, jest rewolucja". [1])

Wzorem wszystkich heglistów i wogóle romantyków Norwid zabawia się w intelektualne prorokowanie. Toczy poufne gawędy z przyszłością. Rozumuje, nie oglądając się częstokroć na fakty. Według niego dzieje ludzkości staczają się nieuchronnie ku rewolucji. Ona wyciska ostateczne i krwawe piętno na globie ziemskim. Większość romantyków polskich, dotknięta boleśnie klęską narodową, ujmowała dzieje ze stanowiska grozy. Norwid tem odczuciem zabarwił nawet zgoła obcy, zaczerpnięty z odległej starożytności, wątek. *Kleopatra* jest silnie związana z historjozoficznemi pomysłami *Milczenia, Stygmatu* i wielu innych utworów. Osnowa jej da się ściągnąć do tragizmu walki dwu ludów, z których każdy posiada inny charakter, odmienny obyczaj i zupełnie inaczej traktuje byt doczesny. Z twardego przeciwieństwa, w którem brzęczy miecz i krew się leje, wynika owa historyczna fatalność, wzmiankowana we wstępie do *Krakusa.* Przedmiotem najgłębszej uwagi Norwida jest charakter doby historycznej, odmalowany w *Kleopatrze* z niezwykłą starannością. Ze słów poety wnioskujemy, iż czasy rozłamały się na dwie połowy: jedna odpada w przeszłość, jak zgniły owoc, druga zaś — to dziedzictwo przyszłości. Odchodzą rycerze Epopei, nadchodzą sydońscy handlarze wielkości, mistrze dziejowej prozy:

[1]) *Czarne i białe kwiaty,* j. w. 237, 238.

Ludzie, jak ty — wezmą
Przyszłość Imperjum ...oko moje patrycjalne
W chwilach ważnych i w sferach publicznych bystre jest.
Juljus, Pompejus, Brutus, niepoziomy Kato
I my, którzyśmy chcieli świata Epopei
Przeszliśmy i byliśmy. Czas nowy chce nowych,
Chce praktycznych rycerzy.[1])

Tragizm postaci Cezara zarysowuje się obecnie z całą wyrazistością. Jest to tytan, który swym mieczem chce podeprzeć walącą się epopeję, ale dziejowa logika, owo Fatum, co drwi z ludzi i z bogów, miażdży go i zasypuje ruinami ginącej doby historycznej. To Fatum, ten rozum nieubłagany świata wprzągł do swego rydwanu dwa narody, dwie kultury: Rzym i Egipt. Miecz rzymianina zadaje ciosy miękkiemu ludowi, który, zasłuchawszy się w muzykę zaświatów, puszcza w niepamięć byt doczesny i nie rozumie go wcale. Ale ten miecz rozpryskuje się zarazem na piramidach. Wypada on z ręki Cezara pod urokiem Kleopatry, doskonałego wcielenia wytwornej, cieplarnianej kultury Egiptu. Właściwie niema zwycięzcy, a jeżeli jest, to chyba widzieć go trzeba w owem Fatum dziejowem, które miesza ludy i kultury, tworzy chaos i pędzi całą historję w odmęt rewolucji. Myśl Norwida unosi się nad zdarzeniami tragedji, jak drapieżny jastrząb nad stadem gołębi. Na dnie bezładu spoczywa ostra logika. Z głęboko przemyślanych, ciężkich treścią wyobrażeń układa nasz myśliciel, jak z bloków kamiennych: architekturę przyszłych czasów. *Kleopatra* jest budowlą monumentalną, dodać trzeba w oszczędnym stylu doryckim wzniesioną. Napełnia ją gromem i łoskotem katastrofa dziejowa, upadek potężnego świata. Ale na przeciwległym krańcu tragedji huczą słowa i piętrzą się obrazy, które musimy uważać za kamień węgielny nowej doby historycznej. Zuchwała wiara w logiczny rozwój dziejów waży się na loty Ikarowe. Oto chce wyłuszczyć sens epoki, którą „wielki budowniczy" wzniesie na gruzach epoki nadchodzącej. Chce odsłonić nietylko oblicze jutra ale i pozajutra. Wiadomo, że epopeja rodzi prozę, a proza anegdotę.

[1]) *Chimera* VIII, 206.

I o niej to właśnie, t. j. o anegdocie w chwili zapadania się epopei, mówi królowa Sfinksów z uśmiechem, zaprawnym niestety, w piołun:

Służebna mi któraś
Poszepnęła, by nurek, pod falą ukryty,
Wtykał ryby solone Markowi na wędkę.
Koncept, który się udał i który potomność
Kleopatrze przysądzi, nie pannie służebnej.
Historja jest niewdzięczna dla pomysłów szczytnych.[1])

W cóż tedy obraca się bohaterski wysiłek takich półbogów, jak Cezar? Prawie wniwecz! Albowiem najpierw w nudną, suchą prozę, a później w trefną anegdotę, rzuconą gawiedzi, jak wytarty szeląg. Tragizm głównie jednak zawiera się w tem, że siła ludzka, w danym razie Cezar, nie może uporządkować dziejów. Pod koniec tragedji czuć to rozprzężenie bardzo wyraźnie. Może dlatego, że zginął Cezar, który sam jeden tylko miał odwagę zmagać się z „historyczną fatalnością". Gdy on zeszedł z widowni świata, ludzie całkiem wypuszczają z rąk swych historję:

Nie Egipt sam, lecz świata Imperjum tak stoi;
Ni sami Monarchowie, ni ludy, ni czasy,
Lecz bogowie się u wrót Janusowych zeszli
I cokolwiek bądź zechcą stanie się, stanie się.[2])

Budowa tragedji jest poddana wątkowi zasadniczemu. Wszystko w niej uwydatnia tragizm dziejowy. Zawiązek wydarzeń tkwi zaraz w pierwszych scenach, mianowicie gdy Rycerz opowiada Kleopatrze o nadludzkich zwycięstwach Cezara. Natychmiast domyślamy się, że osnową tragedji będzie zetknięcie się dwu narodów, dwu kultur, wcielonych w dwie potężne jednostki. Druga część aktu pierwszego usprawiedliwia nasze domysły. Przemówienia Cezara i Kleopatry oświetlają tło dziejowe blaskiem podwójnego tragizmu: widzimy, iż epoka pochyłościami zbiega do kresu i że wskutek tego miłość dwojga bohaterów obarczona jest fatalizmem. Napięcie tragizmu wzrasta w akcie drugim. Norwid tu zaczyna rozwijać prze-

[1]) *Chimera* VIII 170, 171. [2]) Ibid. 175.

dzę tajemniczego Fatum, posługując się obficie przeciwstawieniem. Na tle przygotowań weselnych grozą owiewa stos pogrzebowy Pompejusza; na tle zjednoczenia duchowego Cezara i Kleopatry, oglądających krańce Imperjum, tragicznie zarysowują się słowa Centurjona: „Na skrzydłach Fatum"; na tle rzekomego zbratania się ludów i kultur, ostrym zgrzytem łamie się „poszept dwóch grup" egipskiej i rzymskiej, stanowiący „dwa chóry tragiczne". Do szczytu napięcia dochodzi akcja w scenie wróżby Szechery. Odtąd wiadomo, iż epopeja świata runie, gdyż opadnie jedyne ramię, które ją wspierało, ramię Cezara. Akt trzeci roztacza obraz gnijącej epoki. Zamiast ogromnych, światoburczych, a jednocześnie poskramiających chaos dążeń oglądamy drobne krętactwa, dochodzenie krzywdy najbardziej osobistej (zemsta Kleopatry), skrzywienie zamiarów po zaułkach niewyraźnych i dwuznacznych celów. Wkroczyła do okręgu dziejów — Proza. Kleopatrę otacza głucha samotność. Wypełnia się ostatni docisk ręki Fatum. Świetność ginącej kultury upodabnia się do purpurowego całunu na... trupie. Igrzyska, turnieje, przepych uczt, wyuzdanie żądz to są jedynie przedzgonne drgawki. Wśród takich okoliczności nastąpiła śmierć „królowej świata", spadkobierczyni po epoce heroicznej.

A jednak ludy nie przechodzą, jak cień na wodzie. Owszem kładą na kartach dziejów ognistą pieczęć swego ducha. Nie mają tylko jednej mocy: mocy wstrzymania Fatum, jak Jozue wstrzymał słońce. Norwid słyszał nad głową szum przelatujących wieków i wrzawę wielorakich ludów, które trudniły się budownictwem historji, tej prawdziwej wieży Babel, co szczytem chce sięgnąć do Boga. „Widziałem rozczochrane chmury konnych narodów, gnane jakimś cyklonem, pełne bladych błyskawic gniewu i podrywających się zamachów, a równały one z ziemią miasta własne i obce... Oni przenosili step w historję, oni byli pod stygmatem stepu, co religja stepu zrobiła z nich — ewangelizowali na świat. Miasta, pomniki, osiadła i cywilizacyjna własność były dla nich wręcz zaprzeczeniem. „A ci rzekłem, duzi i silni, co z siekierami równo idą, gdy kobiety

ich we wręby tarcz poświstują?" To Teutoni, oni przenoszą las w historję, to głębie lukusu idą na Rzym. Las takimi ich zrobił, wycisnąwszy na nich stygmat swój, oni nawet, gdy pomniki już obalą i nowe stworzą, jeszcze sławić będą las z kamienia, zaś umysł ich głębokim, ciemnym i zawile obfitym będzie — jak las dziewiczy". [1])

Idąc za biegiem własnej myśli, Norwid pooznaczał również „stygmatami" Egipt i Rzym. Pierwszy jest ludem „wychowanym między Sfinksem a Mumją", a drugi wchodzi do dziejów pod znakiem Imperjum. Stąd drogi ich oraz cele zgoła różne. Gdy Rzym ujawnia potęgę działania i olśniewającym zygzakiem, jak piorun, rysuje się na firmamencie dziejów, Egipt schodzi do katakumb mistyki, zapada w drzemkę metafizyczną. Jego bierny opór jest tantalowym głazem doby historycznej. Cezar usiłuje go dźwignąć, ale on ciągle wali się zpowrotem ciężarem swego bezwładu. I w tem tkwi tragizm! Obie cywilizacje bliskie są rozkładu i jedna drugiej nie może uzupełnić. Najwznioślejsza ofiarność nie zdoła między niemi zasypać przepaści: „Starcy egipscy patrzą w konstelację niebios, ja z Europą w dziejów głębokość spoglądam". [2]) Lud, „wychowany między Sfinksem a Mumją", między dręczącą zagadką bytu, a ciszą umarłych, lud lękliwy podobny do wielkookiej gazeli, co tuli się do fałd królewskiej szaty, lud poddany samowładztwu, rozmiłowany w gwiazdach, wróżbach i zabobonach, musi spoglądać pobłażliwie na twardego Rzymianina, gdy ten ogniem i mieczem rozszerza Imperjum i wyciąga chciwą rękę po wszystkie bogactwa ziemi. Dla Egipcjanina jest to śmieszne wobec Sądu Ozyrysa i astrologji mędrców. Z drugiej strony Rzymianin musi czuć pogardę dla ludu, który przed połyskiem miecza pada naplask, niby bezradne niemowlę, który wyżej stawi tchórzowskie wykręty niźli męską otwartość; a zawiłe mowy i tłumaczenia ceni bardziej niż zwięzłe słowo, dotyczące spraw publicznych. „Nasz cały Egipt, mówi Eukast, jedną Theorją jest zawsze", a Cinna dodaje: „Praktyką Rzym". W przeciwieństwach nie do pogodzenia zgubiło się heroiczne powołanie:

[1]) *Chimera* VIII: *Stygmat.* [2]) Ibid 116.

Nie wy pytacie jedni, co ma Rzym do ludów,
Które się na swych starych zatrzymują prawach?
Cezar odpowie, że nic, i dlatego właśnie
Rzym ma zazwyczaj przyznawać ludom ich istotę,
Często ją własnych orłów osłaniając pierśmi...
To jeżeli Rzym k r ó c i, jeśli równa p r a w e m,
Łagodzi s t y l e m... właśnie, że osłania ludy,
I właśnie, że przeciwko prawu ich nie idzie.[1])

Ale „s t y l u s" rzymski złamał się, nim napisano ostatnie wyrazy. Dla strudzonych, wysmaganych deszczem i promieniami równikowego słońca Rzymian, miękki, zniewieściały wygodami i zbytkiem Egipt był zdradliwym potrzaskiem. I Antonjusz częściej już przebywa w alkowie Kleopatry, niźli w namiocie żołnierskim. Skruszyła się śpiżowa, rzymska cnota. Wypadł z duszy ogromny zamiar. Dopiero inne wieki go podniosą!

V.

D y j o n i z y j s k o ś ć i a p o l l i ń s k o ś ć.[2])

Mniej więcej od czasów Roussa człowiekowi zrobiło się za ciasno w strzyżonych ogrodach, zwierciadlanych komnatach, wonnych buduarach, zacisznych altanach, perfumowanych żabotach i tym podobnych wymysłach cywilizacji.[3]) Zapragnął dzikości. Aby ją zdobyć, puszczał się na dalekie wędrówki po morzach i lądach, wdrapywał się na góry, nietknięte stopą ludzką, zaglądał w ogniste paszcze wulkanów, wyzywał ocean, wicher i ogień, szukał przygód niezwykłych, upajających jak wystały trunek, schodził do prostego gminu, aby tam znaleźć dawny obyczaj i ścisły związek człowieka z przyrodą. Trawiła go tęsknota za swobodą, nie znającą wię-

---

[1]) *Chimera* VIII 103.

[2]) Ibid 198:

„Apollin nie tą jedną panuje skorupą
Lecz zupełną całością proporcyj..."

Porów. *Narodziny tragedji* j. w. 34, 40.

[3]) Norwid żywił odrazę do bruków miejskich. Ob. *Pożegnanie, Pismo, Próby:*

„Ale, czy będę błogosławić tobie
O, miasto wielkie, serc i kwiatów grobie"
(Bibljoteka Narodowa j. w. 120).

zów kultury. Palił głód nieskończoności. A gdy rzeczywistość stawiała opór lotnym, dumnym, zdobywczym marzeniom, rodził się nieukojony niczem ból, wytryskał z głębin duszy, jak ogień, wyniosły tragizm.[1])

Działo się to, co Fryderyk Nietzsche opisał w *Narodzinach tragedji*. Dyjonizos stanął do walki z Apollinem. Bożek uciechy, złotego winogradu, bożek nieuporządkowanych stanów duszy ludzkiej, wypowiedział wojnę bóstwu harmonji, ładu i umiaru. Romantyk miał duszę strzaskaną przeciwnościami. Chciał ogarnąć wszechświat, a zarazem osiągnąć jednolitość wewnętrznego rozwoju i zamknąć nieskończoność w skończoności i ująć wszelkie sprzeczności w związek powszechny, i życie, uzupełnić baśń, i baśń wysnuć z prawdy życia. A wszystko to wymagało ustawicznego napięcia umysłu wyobraźni i woli. Gdy wysiłek zawodził, następowała klęska, rozbicie... i nowe poszukiwanie dróg. Na pobojowisku zostawał tragizm. Cierpiał przeważnie człowiek samotny, gdyż po Roussie romantyzm odziedziczył niechęć do społeczeństwa ucywilizowanego. Sądził, że ono w znacznej mierze potęguje ból upadku, hamując swobodny rozwój jednostki.[2]) Czasy jednolitych bohaterów homeryckich minęły bezpowrotnie. Dzisiaj dusza ludzka napiętnowana jest klątwą rozdwojenia. Z jednej strony gnie się pod brzemieniem jarzma społecznego, z drugiej strony ulatuje w sferę „złotych malowideł", aby dać wyraz osobistym porywom i marzeniom. Tragizm objawia się tutaj w sprzecznościach, tarciach, załamaniach, wstrząsach, jakie zachodzą wewnątrz jednostki, przeciwstawionej światu jako równoważnik.

Norwid nie poskąpił tych rysów ludziom, którzy czuli i żyli na długo przed Chrystusem. Dał im niespokojną duszę

---

[1]) Ob. Lanson: *Histoire de la littérature française*. Paris 1909, str. 780.

[2]) J. J. Rousseau: *W jaki sposób powstała nierówność pomiędzy ludźmi i czy jest usprawiedliwiona przez prawo naturalne* (r. 1754). „Społeczeństwo to i prawa dały nowe więzy słabemu a bogatemu nowe siły, bezpowrotnie zniszczyły przyrodzoną wolność, na zawsze ustaliły prawo własności i nierówności, ze zręcznej uzurpacji uczyniły nieodwołalne prawo, dla zysku kilku ambitnych poddały odtąd cały ród ludzki pracy niewoli i nędzy". (Ob. u Lansona l. c., str. 781).

własnej epoki, owiał tragizmem wewnętrznego rozstroju czyhania na nieskończoność i głębokiej tęsknoty za bytem doskonalszym, niż rzeczywisty.[1]) Ani Cezar, ani Kleopatra, ani Szechera, ani Rycerz nie mieszczą się w doczesności. Ich czyny zapisują się na niebie srebrem gwiazd i płomieniami złowieszczych komet. I podobnie, jak w muszli gwarzy ocean, tak w nich gwarzy nieskończoność... Słowa, które wypowiadają, myśli, o których marzą, są jak gdyby gońcami zaświatów. Każdy bohater czuje pod stopami otchłań wieczności. Chciałby ją zamknąć w dziełach swego życia. Ale Fatum łamie zamiary, wypacza intencje i boleśnie daje odczuć niewspółmierność między tem, co jest czasowe, nietrwałe, skończone, a tem, co jest wieczne, niezmienne, nieskończone.

Dzieło Cezara zostało zmarnowane. Epoka „świata epopei" runęła. A przecież bohater złożył niemały okup Fortunie: Wyrzekł się miłości, swobody, dostatków, zaparł się sam siebie i oddał w niewolę historji. Szukał wypoczynku nie w bluszczowych ramionach Kleopatry, a w heroiźmie:

Heroizm...
Podobno, że jedynym prawdziwym spoczynkiem[2])

Mimo to nie osiągnął celu. Ujarzmiony potęgą woli szał dyjonizyjski, ów pierwiastek kosmicznego bezładu, młodzieńcza prężność żywiołu, zagórował w tej chwili, gdy Cezar zniżył czoło przed Kleopatrą, gdy zakrył oczy togą, aby nie widzieć okrwawionej głowy Pompejusza, gdy uczuł, że obok jego ogromnej siły twórczej, która rzeźbi dzieje, występuje druga moc niszczycielska, niosąca chaos. Jako bohater w stylu romantycznym, Cezar odczuwa ból swojej wielkości. Miał pod tym względem wspaniałych poprzedników w bohaterach Byrona, w Mojżeszu De-Vigny'ego, w Konradzie Mickiewicza, Irydjonie Krasińkiego i wielu innych. Podobnie jak hrabia Henryk lub Irydjon, zawieszony jest między dwoma epokami i niby karjatyda podpiera walący się gmach świata. I podobnie, jak oni, obok tragizmu wynikającego z ich stanowiska na przełomie czasów, ujawnia tragizm rozbicia duchowego.

---

[1]) Ob. i porów. wiersze: *W pamiętniku* i *Aerumnarum plenus*. Bibl Narod. j. w. 189—192 i 81.

[2]) *Chimera* VIII 115.

Właściwie jednak Cezar jest postacią najbardziej jednolitą w dramacie Norwida. Miał on być przykładem zwycięstwa ładu nad chaosem, obrazem pokonanych sprzeczności i zamknięciem harmonji wszechświata w dziele człowieka heroicznego. I jeżeli Norwidowi nie udało się doprowadzić bohatera do tych wyżyn harmonji, to prawdopodobnie dlatego, że romantyzm gubił się zazwyczaj w gotyckich rzutach myśli, w strzelistościach mistycyzmu, w marzycielskiem upodobaniu do apostolstwa i wielkich pomysłach odnawiania dziejów oraz ludzkości, natomiast zgoła nie posiadał trzeźwego zmysłu władania życiem.

Obok Cezara wysuwają się dwie bohaterki: Kleopatra i Szechera, królowa i ślepa wróżka z gminu. Samo zestawienie już wiele mówi. Bo wszak to romantyzm lubił umieszczać prostaka na jaskrawem tle tronowej purpury i ozdabiać życie królów baśnią ludową. Jakoż wśród pospólstwa krąży o córce Ptolemejów niemało gawęd. Królowa okazuje dużą wrażliwość na urok klechdy. Sama ją nawet podsyca, jak to widzimy ze sceny sądu nad rybakiem Mun-Faleg i żeńcem Ganimedyonem. Pobłażliwy nadzwyczaj wyrok dowodzi, że Kleopatra umie oceniać istotną wartość uczuć tak bezpośrednich, tak pierwotnych, jak miłość synowska i zachwyt erotyczny. Co więcej, jako „romantyczka" nadaje tym uczuciom barwę poetyczną, wywyższa je wobec takiej naprzykład sprawy, jak oddawanie czci monarchom. Rozbrat istniejący między życiem pierwotnem a sztucznem, poddanem ceremonjałowi i oschłej pedanterji dworskiej, stanowi podłoże, na którem rozwija się tragizm królowej. I jeżeli Cezar wyobrażał tragiczny upadek dążności do ujęcia chaosu w związek powszechny, to Kleopatra wyobraża drugi z kolei, właściwy romantyzmowi, rys tragiczny: bezskuteczność walki ze zmechanizowaniem człowieka przez cywilizację. Współczesne wynalazki, udogodnienia życiowe, wymiana usług, rozwój przemysłu, podział na zawody, wszystko to, co zwie się postępem, wzmacnia znakomicie siłę i dumę społeczeństw, uszczupla atoli dzielność jednostki. Sprowadza do zera jej znaczenie. Jako szczery, choć nie bałwochwalczy romantyk

Norwid buntował się przeciw ograniczeniu praw jednostki na rzecz mechanizmu współczesnej kultury. Na pokładzie „cywilizacji" widział mnóstwo błyskotek, wygód, ulepszeń, natomiast nie znalazł poszanowania w człowieku istoty Bożej i tylko „na twarzach tych dzikich była radość, że wszystko dookoła jest tak równo, pięknie i gładko". [1]) Królowa Sfinksów gnie się pod ciężarem berła i korony. Są one jakby zaklętem złem, które uśmierca w duszy radość i beztroskę życia:

Chcę życia
A mam za towarzyszkę *(do Mumji)* ciebie, nicość cichą,
Któraż z poddanek, licząc osiemnastą wiosnę,
I słynną będąc wdzięki swojemi, tak śniada
Jak Kleopatra?
Nie... tego nie chcę wina...
Jedną poziomkę właśnie zerwaną z kroplami
Przenoszę nad ten ociężały nektar.
Wody pragnę, co granit ma za dno i niebo. [2])

Albo:

Poddanek mam, którzy
Mają ojców, i synów, i oblubienice
I wnętrza chat spokojne [3])

Takiej uczennicy nie powstydziłby się Jan Jakób Rousseau. Ale Norwid zdobywa się na ostrzejszą filipikę pod adresem bezdusznej dyscypliny społecznej. Gorycz, która zaległa serce królowej egipskiej, ma także słony posmak łez lśniących tu i ówdzie w drobnych wierszach samotnika z przytułku św. Kazimierza:

Poślubiona dziecięciu, które łoża częścią
Udarowałem jakby maleńką gazelę,
Lecz pozbawiona brata, gdy ów mężem stał się,
I nieznająca przeto żadnego z nich obu...
Niemniej ojca, albowiem gościł na wygnaniu
U Pompejusza tego, co tu idzie zginąć,
Matki, bo onej pamięć we mgłach gdzieś niknęła,
Siostry, bo stała mi się współrywalką tronu,
Towarzyszek, przeto iż ptolemejskie imię
Kleopatry nie znosi równych sobie dziewic...
Nigdzie — nigdy — nikogo przy sercu. [4])

---

[1]) *Czarne i białe kwiaty* 17. [2]) *Chimera* VIII 78. [3]) Ibid 83.
[4]) Ibid. 77.

Ta przejmująca skarga nabierze szczególnej wyrazistości, gdy ją zestawimy z wynurzeniami romantyka czystej wody, jakim był Maurycy Mochnacki. Przyczem otworzy się szerszy widok na ów świat romantyczny, gdzie tyle płomiennych duchów walczyło z rutyną społeczną, co urągała im martwą cichością i wlokła się, jak żółw, za wichrowym pędem nowych przeobrażających ludzkość idei. „Pękł łańcuch, spajający niegdyś Politykę z Religją, prawa z obyczajami. Korzyść została oddzielona od pracy, środek od celu. Człowiek na zawsze przywiązany do jednego ułomku całości, n a z a w s z e p o r w a n y o b r o t e m p o j e d y n c z e g o w z e g a r z e s p o ł e c z n y m k o ł a, k t ó r e t o c z y j e g o b y t, j u ż n i e j e s t r e p r e z e n t a n t e m c a ł e g o r o d z a j u w s w e j n a t u r z e, lecz wyciskiem jednego zatrudnienia lub jednej umiejętności... Ta droga analizy i podziału jest wprawdzie najdzielniejszym teraźniejszej cywilizacji narzędziem, niewątpliwym środkiem wyśledzenia prawdy, lecz oraz i grobem indywiduów". [1])

Dla uwypuklenia myśli weźmy jeszcze garść uwag z prozy norwidowej. W ślicznych wykładach o Juljuszu Słowackim znajdujemy również taką oto ciekawą wzmiankę o Byronie: „Pierwsze słowa w parlamencie angielskim powiedziane były: nie poświęcajcie człowieka dla machinacji i machin, ostatnie w Grecji: nie poświęcajcie narodu dla rutyny. Pomiędzy temi dwoma wszakże są całe dzieje Europy aż po dzisiaj jeszcze". [2]) Albo wyjątek ze wstępu do przekładu *Odyssei*. „Nie można było ugościć nikogo, zapytując naprzód, kto jest przychodzień? Ale dopiero skoro się w nim uszanowało boskość, zstępowało się do ludzkich pytań. Jakiegoś ostatniego człowieka nie było u Greków Homera, zawsze on był pierwszym, bo jest boskim". [3]) W obronie boskości człowieka i jego swobody Norwid wznosił dzieła swego artyzmu, niby zamki rycerskie i bastjony strażnicze. Doba historyczna, w której żył, pełna zgrzytów buntu, gorzkiego zawodu i płomiennej nadziei uzyskała po rewolucji jeszcze i to, co Hipolit Taine nazywa kultem świętego krokodyla. [4]) W paszczę ludowładz-

---

[1]) M. Mochnacki: *Pisma*, Lwów 1910 wyd. A Śliwiński, str. 38.
[2]) *Czarne i białe kwiaty* j. w. 258. [3]) *Chimera* VIII 254.
[4]) *Origines de la France contemporaine, t. III Révolution, préface.*

twa rzucono wszelką niedoktrynerską, wolną myśl i wszelkie marzenie człowieka, wyłamanego z ideologji ulicznej. Działał teror demokracji umysłowej, gorszy niźli teror demokracji fizycznej, gorszy niźli nóż gilotyny. Dziecko wolności duchowej, romantyzm wkrótce odwrócił się od Rewolucji, a zbliżył się do katolicyzmu i feodalnych wieków średnich. [1]) Echa tych grzmotów, odblaski tych błyskawic, napełniają klasyczną tragedję Norwida. Słychać w niej rytm serca, które jest ciągle szarpane niepokojem, czuć zatroskanie myśli, pragnącej chaos objąć harmonją, cywilizację naturą, natchnienie wieszcze siłą Mojżeszową.

Wcieleniem tej ostatniej dążności jest Szechera, kobieta prosta, nieuczona, jak Makryna Mieczysławska, a ślepa, jak stara wdowa z *Balladyny*. Poeta uczynił z niej posąg bólu Kassandrycznego. Owiał dostojnym tragizmem, który jędrnie a dosadnie wyraził Jan Czarnoleski w *Odprawie posłów greckich*: „nie wszytki proroctwa na wiatr idą, nie mając u ludzi więcej wiary nad baśni próżne i sny znikome! Komu z ust moich duch nie mój pożyteczen?“ [2]) Rodowód ślepej wieszczki doprowadza do takich antenatów, jak Ksiądz Piotr, Roza Weneda, Wernyhora, Ksiądz Marek lub Orcio, Wdowa *(Balladyna)*, Pani Rollison. Tkwi zatem korzeniami w romantyzmie. Wprawdzie i klasycyzm znał wieszczkę niedoli: Kassandrę. Ale romantyzm rozmiłował się w owym typie, nadając mu rozliczne znamiona i gorliwie cieniując cechy osobnicze.

Szechera, jak Konrad w *Improwizacji*, jak Ksiądz Marek lub Wernyhora, jak Roza Weneda nakoniec rzuca swe proroctwa w stanie szału dyjonizyjskiego. Jest ślepa, jak Wdowa z *Balladyny*, lub Pani Rollison z *Dziadów III*. Naogół biorąc ślepota cieszyła się u romantyków chlubną opinją kalectwa poetycznego. Słowacki owiał ślepotę niesłychanym czarem w *Horsztyńskim*, Krasiński wypełnił ją zwidami gorączkowej wyobraźni w *Nieboskiej*, Mickiewicz nadał jej akcent przejmującego bólu w *Dziadach III*. Trudno w takiem towarzystwie zapomnieć o nieszczęsnym Glosterze

[1]) Ob. Osk. Walzel: *Deutsche Romantik*, t. I, 1922, str. 71—79.
[2]) *Odpr. posł. greck.* Bibl. Nar. nr. 3, str. 46.

Szekspira. Wypada go uważać, bez ujmy dla Edypa, za patrjarchę ślepców romantycznych. Szechera może stanąć śmiało w ich rzędzie.

Bądź co bądź owa, zapobiegliwa o dobra doczesne Sybilla, urasta w naszych oczach do rozmiarów tłumaczki Przeznaczenia. Dzieje się to poza jej wolą. Jakaś nadludzka potęga druzgocze w Szecherze wszelką ziemskość i robi ją narzędziem ostatecznych celów dziejowych, zwiastunką zagłady czasów i ludzi, umiejętną czytelniczką losów z karty niebios, zapisanej gwiazdami i kometami. Szechera broni się przed furją natchnienia. Chciałaby zostać w obrębie życiowych błahostek, drobnych upodobań, naiwnych wzruszeń. Chytrze gawędzi z Kleopatrą, ażeby wyłudzić cenny podarunek. Bywa nawet jowialna. Ale gdy Fatum odebrało jej wzrok, gubi łączność ze światem ziemskim. Jamami wyżartych oczu wchodzi w nią wieczność:

Na dumaniu i lasce wsparta mało pomni
O ślepocie, powiada tylko, że od chwili,
Gdy utraciła oczy, nie ma już dwóch wzroków,
Lecz jeden wzrok, jak wszyscy. [1])

Odtąd przebiegła wróżbiarka, dowcipna kabalistka staje się wielką postacią tragiczną. Jej proroctwo było zamknięciem wieka na trumnie epoki. Doszła do niego przez cierpienie, przez takie ugięcie powłoki cielesnej, iż wyszedł z niej anioł ducha i zagadał. Ale w tym płomieniu znękane ciało wieszczki popękało jak dzban gliniany:

Od wielu
Nocy Szechera mądra z kapłany na wieży
Zodyakowej światła śledziła niebieskie,
Czekając mniemanego Syzygu, aliści
Dziś, gdy sama czuwała, z szczególnem kwapieniem,
Mając źrenice w jeden punkt nieba utkwione
A postami osłabłe członki, usłyszałem
Krzyk jej, jakoby pękłej struny, lub naczynia
Gwałtownie strzaskanego... był to jej krzyk... ślepej. [2])

Podobnie jak ksiądz Piotr w ósmej scenie *Dziadów* drezdeńskich, Szechera zdołała przeniknąć metafizyczny ład

[1]) *Chimera* VIII 167. [2]) Ibid. 153.

świata,[1]) ale jest tragiczniejszą od bohatera mickiewiczowskiego, bo gdy tamten wie dobrze, iż Bóg ocali naród, ona błądzi poomacku i widząc wydarzenia nie widzi sprawy!

(Dalszy ciąg nastąpi)

Zygmunt Falkowski.

---

[1]) Ob. H. Bergson: *L'évolution creatrice* Paris 1909, str. 398:

„Le philosophe doit aller plus loin, que le savant. Faisant table rase denuce qui n'est qu'un symbole imaginati'il verra le monde matériel se resoudre en un simple flux, une contimite d'éconlement, un devenir. Et il se preparera ainsi à retrouver la durée réelle là où il est plus utile encore de la retrouver dans la domaine de la vie et de la conscience". Właśnie i bohater tragiczny idzie dalej niż uczony, który jak mawiał Schopanhauer usiłuje zamrozić rzeczywistość w pojęciach. Dążąc do wypełnienia swego losu bohater ów, jak rzadko który z bohaterów literackich, odczuwa ważność i wszechobecność czasu. Czas zbliża klęskę. W czasie zachodzą wszystkie zdarzenia tragicznej osnowy. Puśćmy się na kalambur. Bohater tragedji, wbrew Kantonowi, wyobraża sobie rzeczywistość jedynie w „oglądzie" czasu. (Ob. *Prologomena,* tłum. Borstein. Warszawa 1918, str. 33). Przestrzeń nie jest dla niego do tego stopnia realna, jak np. dla bohatera powieści awanturniczej, gdyż Los dosięga wszędzie, natomiast przypadek, który rządzi w romansach może być odsunięty przez zmianę miejsca. Tak tedy bohater tragiczny tkwi niejako w strumieniu owego ciągłego trwania, które jest podłożem filozofji Bergsona.

Przełom duchowy w dzisiejszem życiu akademickiem.

(Referat wygłoszony na IX Zjeździe Polskich Sodalicyj Akademiczek we Lwowie. Kwiecień 1928 r.).

Bijącą w oczy cechą dzisiejszych czasów jest zawrotne tętno życia. Ogarnęła nas gorączka szybkości, gorączka czynu i natychmiastowego realizowania naszych dążeń.

Przyczynia się do tego w wielkiej mierze ogólny pęd zewnętrznego życia, które z konieczności wciąga nas w swój obrót. Z dnia na dzień mnożące się światowego znaczenia wynalazki, poważne przesunięcia na polu politycznem, socjalnem i ekonomicznem, jakich bez przerwy jesteśmy świadkami, zmieniają nieustannie istniejący porządek rzeczy, wysuwając coraz to nowe zagadnienia, od szybkiego rozwiązania których zależy nieraz byt i los całych społeczeństw i narodów. Równocześnie utrudnione warunki materjalnej egzystencji zmuszają jednostkę do przynaglenia produkcji pracy. Ten tylko staje się zwycięzcą i osiąga prawo niezależnego bytu, kto szybciej dojdzie do mety i nie jest paradoksem powiedzieć, że objawiająca się obecnie w dziedzinie sportu namiętność pobijania rekordów jest pod wieloma względami zobrazowaniem dzisiejszej epoki.

W samorzutnem przystosowaniu się do tego oszalałego rytmu wieku najważniejszą rolę gra jednak współczesna nasza psyche. Jest w tem zapewne dużo powojennej nerwowości, żądnej coraz to nowych doświadczeń, coraz to nowych wrażeń, ale jest i pewna bujność życia, prężność tajonej energji, nadmiar długo wiązanych sił, które nareszcie oswobodzone szukają sobie ujścia — jest wreszcie twórczy rozmach młodości.

Bo też nasz wiek jest młody, młody jako reakcja przeciw wszystkiemu, co było XIX-tym wiekiem. Reakcja przeciwko rozkładającemu romantyzmowi, reakcja przeciw scientyzmowi, reakcja przeciwko filozofji materjalistycznej i absolutnej negacji.

Nie możemy zamykać oczu na ten reakcyjny charakter naszych czasów, gdyż leży on u podstawy wszelkich przejawów współczesnego życia — bez uwzględnienia go diametralne różnice dzielące nas od poprzednich pokoleń pozostałyby zagadką nie do rozwiązania.

Różnice te w bardzo silnym stopniu zarysowały się i w życiu akademickiem, zmieniając do gruntu jego dotychczasowe oblicze. Zadaniem dzisiejszego przemówienia jest właśnie wykazanie przeobrażeń, którym uległa religijna jego strona: stwierdzenie niewątpliwego nawrotu ku ideałom religijnym, wyszukanie najgłębszych jego przyczyn, zreasumowanie wreszcie jego zewnętrznych przejawów.

Zanim przystąpię jednak do właściwego tematu, pozwolę sobie wprzód zapytać: Kim jest właściwie dzisiejszy akademik? Jakie są jego cele, zainteresowania i upodobania? — Z grubsza nawet naszkicowana odpowiedź na te pytania ujawni nam w dużej mierze ogólny charakter współczesnego życia akademickiego i pozwoli w następstwie zrozumieć przyczyny dającego się w niem zauważyć religijnego odrodzenia.

Dużo się dzisiaj mówi i pisze, zwłaszcza na Zachodzie, o kryzysie intelektualnym, który obecnie przechodzimy. Zarzuca się studjującej młodzieży, że mniej wyłącznie oddaje się swej pracy, że zanika w niej zamiłowanie do czystej nauki, obniża się poziom kultury umysłowej. Bezsprzecznie jest w tem dużo prawdy.

„Dawno przeminęły już czasy, zauważa René Brazzola, gdy akademik mógł swobodnie uprawiać doskonalenie intelektualne, rozciągać dowolnie swoje ogólne wiadomości, obejmować umysłem odległe cywilizacje, przenikać ich zwyczaje, obyczaje, języki, cieszyć się wiedzą dla wiedzy, wałęsać się po ścieżkach literatury, filozofować leniwie wzdłuż jakiegoś tematu, często kosztować z wszystkiego, do niczego się nie przywiązując..." Typu uczonego książkowego wraz z graniczącym z nim typem naukowca-dyletanta już się wśród nas nie spotyka.

Dzisiejszy akademik nie może i nie chce zamknąć się jedynie w przybytku nauki — sto innych rzeczy go pochłania i pociąga troska o zapewnienie sobie materjalnego bytu przedewszyst-

kiem. Nie pracuje już, jak dawniej, dla sławy naukowej, lecz nato, by zapewnić sobie w przyszłości odpowiednie stanowisko. Nauka przestaje mu być celem, alfą i omegą, a schodzi do rzędu środków. Jest on zresztą prawdziwem dzieckiem swej epoki. Bierność długich lat uniwersyteckich, spędzonych jedynie na studjach, już mu nie może wystarczyć. Udziela mu się gorączka wszystkich realizacyj, rozsadza go potrzeba czynu i zaznaczenia swojej osobistości — chociażby na terenie tak często przez niego uprawianej lekkiej atletyki... Dynamika ukrytych sił i w nim daje się odczuwać. Poza gałęzią wiedzy, w której się specjalizuje, jego zainteresowania odnoszą się raczej do wszelkich przejawów bieżącego życia. Ten i ów może mieć poważne braki w geografji, historji czy literaturze, lecz z pewnością będzie doskonale poinformowany o zdobyczach współczesnej techniki, o automobiliźmie, o kinie, o radju lub o wynikach jakichś zawodów sportowych.

Stan katastrofalny z punktu widzenia naukowego, jednakże rozpatrywany jako stan przejściowy, wywołany impulsywną reakcją przeciw istniejącemu dotychczas sztucznemu porządkowi rzeczy, ma i dobre swoje strony. Jesteśmy bezwątpienia mniej wykształceni od starszych pokoleń akademickich, ale bardziej realni, bardziej życiowi. Żyjemy już nie w abstrakcyjnej dziedzinie spekulacji umysłowej, lecz w rzeczywistem, tętniącem życiu. Życie nas ogarnia, życie nas pochłania, życie nas fascynuje. Pozwalamy mu się porwać, korzystamy z niego, dając się w całej pełni rozwinąć wszystkim naszym władzom duszy i ciała. — Jesteśmy przytem bardzo trzeźwi i zdecydowani, niema w nas nic pociągu do mglistego, romantycznego idealizmu. Zadawala nas tylko jasna, określona rzeczywistość. *Il y a un fait certain*, stwierdza Maurice Sachs, *la jeunesse ne veut plus de flou, plus de nuances, plus de fergiversations. Elle cherche le net, la couleur, l'absolu.*

Takim jest dzisiejszy akademik, takim ogół akademicki, u którego zauważyć się daje poważny nawrót ku religji.

Gdy w roku bieżącym zainaugurowanem zostało w Krakowie wspólne, solenne zakończenie męskich i żeńskich rekolekcyj akademickich, uroczystość, celebrowana przez Księcia Metropolitę Sapiehę, przybrała dzięki liczbie uczestników wyraz potężnej manifestacji katolickiej na uniwersytecie. Wielki nasz parafjalny kościół św. Anny był po brzegi wypełniony studjującą młodzieżą, która gremialnie przystępowała do Stołu Pańskiego. Wystarczy

powiedzieć, że trzech księży wzdłuż kościoła rozdawało Komunję św. przez 20 minut.

Podobne temu fakty, które byłyby nie do pomyślenia 30 a nawet 15 lat temu, dziś są na porządku dziennym tak u nas, jak i zagranicą i samo to, że się zdarzają, wykazuje dostatecznie, jak przełomowe zmiany nastąpić musiały w duchowem naszem życiu i jak powszechnem stało się wśród nas odrodzenie uczuć katolickich.

Jakie są tego powody? Dlaczego młodzież uniwersytecka jest obecnie wierzącą i co ją do tego skłania?

Odpowiedź łatwą nie jest, gdyż z konieczności musi się posługiwać pewnemi uogólnieniami, podczas gdy rzeczywistością tu jest tylko jednostka, każdy poszczególny akademik ze swoim odrębnym charakterem, dążnościami i skłonnościami. Bogactwo i różnorodność podobnej rzeczywistości wymyka się wszelkiej systematyzacji (Brazzola) i żadne twierdzenia wyczerpującemi tu być nie mogą. W odpowiedzi, którą przedstawię, chodzić mi będzie przeto raczej o podanie pewnych zasadniczych rysów, aniżeli o wyszczególnienie mogących istnieć wypadków.

Różnemi drogami dochodzi się do religji. Nie sądzę jednak, by dzisiejsza młodzież akademicka doszła do niej drogą intelektualną, by wiara jej była owocem długich i żmudnych dociekań filozoficznych. „Niema u nas już miejsca na czyste spekulacje umysłowe", stwierdza jeden z akademików francuskich, Arnauld de Corbie. Korzystamy z dorobków poprzedniej generacji Bergsonów, która przebyła już dręczącą ewolucję myślową w poszukiwaniu prawdziwej metafizyki, ale jej nie wznawiamy. Nie tu więc trzeba szukać ścieżki, doprowadzającej nas do progu chrześcijaństwa. Nie trzeba jej również szukać, mojem zdaniem, w potrzebie wszechstronnego wykształcenia, która, jak już poprzednio wykazałam, znacznie się dzisiaj obniżyła. Moment intelektualny, jeżeli nawet dosyć silnie występuje w naszej wierze, to tylko *a posteriori* w krytycznem zgłębianiu i stwierdzaniu umysłowem już przyjętej religji — nigdy lub prawie nigdy jako jedyny powód jej przyjęcia.

Ku religji nas skłania raczej pewien pragmatyzm — i to pragmatyzm ogółu i pragmatyzm jednostek.

Żyjemy w epoce, w której byt nietylko klasy posiadającej, ale i inteligencji całej jest zagrożony. Powstaje przeciw nam ra-

dykalizm polityczny i społeczny, poruszający groźne masy, które dążą do naszego unicestwienia. Zapasy nasze trwają już oddawna i jutro zakończyć się będą musiały. Kto będzie górą — przyszłość dopiero pokaże, lecz jest rzeczą pewną, że zguba inteligencji będzie dokonaną, jeśli liczebnej sile wroga nie potrafi przeciwstawić siły moralnej, opartej na wysokiem wyrobieniu intelektualnem i duchowem. Religja staje się naszym szańcem i kto wie, czy w masowem grupowaniu się inteligencji wokół sztandarów chrystjanizmu, ważnej roli nie gra podświadomy instynkt samozachowawczy — podobny temu, który w obronie narodowości kazał nam, Polakom, pozostać czasu niewoli wiernymi tradycjom katolickim.

Byłby to ważny do zanotowania instynkt powszechny, któryby musiał udzielić się i młodzieży uniwersyteckiej, działając na nią, jako przyczyna orjentująca się ku religji — nigdy jednakże jako ostateczna przyczyna ich wiary. Jesteśmy już zanadto indywidualni, zanadto krytyczni i zdecydowani, byśmy potrafili bez osobistego impulsu pójść tylko owczym pędem za ogółem.

Osobisty ten impuls wznieca w nas samo życie. Wciągając nas bowiem wcześniej w swoje ramiona, nasuwa nam ono szereg zagadnień, na które odpowiedzieć musimy, żąda od nas ciągłego czynu, który potrzebuje dyrektywy. Odpowiedź tę i dyrektywę znajdujemy w religji. Religja podaje nam kodeks praw i przepisów praktycznych, które usuwają zgóry wszelkie mogące zachodzić wątpliwości, godzą w jednolitym światopoglądzie pozorne przeciwieństwa życiowe, normują i użyźniają nasze postępki.

Powyższe pobudki skłaniające nas ku religji, wydają mi się tem prawdziwsze, że schodzą się w zupełności z istotnym charakterem dzisiejszego akademika, przejawiająca się w nim potrzeba jasnego i prawdziwego sądu, pociąg ku dyscyplinie, jako reakcja przeciw rozluźniającemu romantyzmowi, wreszcie wrodzony mu pragmatyzm, wywołany zbliżeniem się do realnego życia, znajdują w nich swój wyraz. Jest w nas dużo realizmu i jeżeli jesteśmy przytem idealistami, to tylko dlatego, że dziedzina duchowa stała się nam rzeczywistością nieraz żywszą i pewniejszą od tej, która nas otacza. Nic więc naturalniejszego, że chcemy tę ostatnią, w której żyć musimy, przeniknąć, oświecić i umocnić tem, co nam się wydaje być jedynym miernikiem rzeczywistej prawdy.

Zapewne, że u niejednych łączą się z temi pobudkami

i względy wygody, dogodnie bowiem i łatwo jest objąć już gotowe doktryny, niwelujące wszystkie trudności i mające wszelkie dane prawdy. Lecz przeciętne i mało przedsiębiorcze jednostki istnieć muszą wszędzie i nie przeszkadza to temu, że tysiące nas, idąc konsekwentnie pragmatyczną drogą, dochodzi do zrozumienia samej istoty religji, jako jedynej i najwyższej normy życia.[1])

Może się jednakże komuś wydawać, że droga ta jest łatwą, że wiara, będąc łaską Bożą, żąda mimo wszystko droższego okupu. Od nas on jednak nie jest wymagany. Złożyło go już poprzednie pokolenie, które w krwawiącej walce ze swą myślą i sercem doszło do stóp ołtarza. My jesteśmy ich spadkobiercami i jeśli płacić mamy za otrzymamy dar wiary, to tylko wartościami życiowemi, które potrafimy uzyskać na otwartej już przed nami drodze. Jest rzeczą pewną, że wiara nam z trudem nie przychodzi.

Przyczynia się do tego fakt, że w epoce naszej spirytualizm filozoficzny jest górą. Poprzez długą ewolucję myślową od absolutnej negacji materjalistycznej XVIII i połowy XIX wieku pierwiastek duchowy zdobywał sobie powoli prawo bytu, by ostatecznie wraz z niemieckim neokantyzmem przyjść do głosu pod koniec XIX wieku. Z tą chwilą religji przywróconem zostało należne jej stanowisko. Nauka, która była się poprzednio całkowicie oddała na usługi myśli antyreligijnej, coraz się bardziej dziś skłania ku uznaniu nadprzyrodzoności. Tem samem bezmyślne ataki, tłumnie skierowywane jeszcze przed 30 laty przeciw wierze w imię wyższości naukowej, tracą wszelki punkt oparcia i muszą zamilknąć. Ogólna atmosfera niewiary, która tyle wchłonęła ofiar jest przełamaną, a tytuł *esprit fort*, nabierając raczej ironicznego znaczenia, nikogo już nie pociąga.

Byłoby już bardzo wiele, gdyby opadły tylko te zewnętrzne zapory pomiędzy pyszniącym się swoją wszechmocą rozumem

---

[1]) „Z głębokiem przeświadczeniem rozumu zdobywamy jedności światopogląd wynikający z doktryny katolickiej i normujący wszystkie przejawy naszego życia. Równocześnie systematycznie wychowujemy naszą wolę przez bezwzględną konsekwencję w realizowaniu naszych zasad. Nie uznajemy zasady bez czynu; żądamy intensywnego, chrześcijańskiego życia". Deklaracja programowa i ideowa Sodalicji Marjańskiej Akademików w Polsce z 1927 roku l. 1. a. 6.

XIX wieku, a wiarą — zapory, które dla niejednych stanowiły tamę nie do przebycia. My jednakże jesteśmy jeszcze bardziej uprzywilejowani.

Zbudził się u nas samorzutny pociąg do religji. Zdawałoby się, że duch ludzki, przez tyle dziesiątków lat wzgardzany na korzyść materji, tłumiony we wszystkich swoich przejawach, zaprzeczany w samem swojem istnieniu, domaga się dzisiaj z podwójną siłą prawa do życia i rozwoju. Objawia się u nas, zwłaszcza młodych, silniejsza ponad wszystko potrzeba uduchownienia, głód metafizyki, dręcząca tęsknota za ideałem, któryby nas porwał ku sobie. Czujemy, że żyjąc tylko ciałem nie potrafimy osiągnąć pełni życia, do której przedewszystkiem dążymy. Musimy więc szukać jej dopełnienia. Jesteśmy trawieni niepokojem i nie możemy spocząć, dopóki nie zaspokoi nas odkryta Prawda — Nieskończoność — Bóg.

Tem się tłumaczy tak bardzo wzmożony dziś kult Eucharystji — wyrazu najwyższego zespolenia się z Bogiem. *Inquietum est cor meum donec requiescet in Te* (św. Augustyn).

Wewnętrzna siła każe nam zwracać się do religji i interesują się nią nawet ci, którzy niewierzącemi się być mienią. Ateistów wśród nas niema i być nie może. Są tylko ci, którzy już znaleźli i tacy, którzy jeszcze szukają.

Zmiana tak zasadnicza, tak przewrotowa w stosunku do poprzednich pokoleń, że wydaje się niemożliwą, jako wynik normalnej ewolucji, i każe doszukiwać się jakiegoś ogólno-światowego wstrząsu, któryby ją mógł spowodować. Wstrząsem tym była wielka wojna.

Przejęci radością pokoju, pochłonięci zagadnieniem bieżącego życia i pracą nad odbudową zgliszcz, za mało zdajemy się już pamiętać o tym przełomowym kataklizmie, którego daleko sięgających skutków jeszcze dziś doliczyćby się nie dało. Szereg lat spędzonych wśród zawieruchy światowej burzącej wszystkie dotychczasowe zdobycze ludzkości, w ustawicznej atmosferze śmierci, której groźna rzeczywistość rozwiewa wszelkie złudzenia i w nadludzkim ofiarnym wysiłku całych społeczeństw i narodów nie mogło przejść ponad nami bezkarnie, lecz musiało wycisnąć na nas swoje piętno. Szczególnie my, młodzi, jesteśmy w pełni dziećmi wojny i jeśli mówić się ma o zmianach, jakie u nas dają

się zauważyć, to nie można pominąć milczeniem tego epokowego przejścia.

Dużo i szeroko dałoby się pisać o wpływie Wielkiej Wojny na wzmożenie się religijności społeczeństw i jednostek. Nie czas nam tu jednak wchodzić w bliższe rozpatrywanie tej ogromnie ciekawej kwestji. Chciałabym więc tylko zaznaczyć parę jej momentów, które uzupełnią kreślony całokształt przyczyn naszego religijnego odrodzenia.

Wielka wojna była tragicznem zakończeniem długo przygotowującego się już bankructwa materjalizmu i pozytywizmu, które stworzywszy utopję czysto mechanicznego postępu, musiały nieubłaganą konsekwencją faktów doprowadzić do katastrofy 1914 r. Pod tym nagłym a straszliwym ciosem runęły wiązania nad głową zmaterjalizowanych społeczeństw. Idee, które je dotychczas ożywiały: optymizm wieku XVIII, gorąca jego wiara w przyrodzoną dobroć ludzką, dziecinne zaufanie XIX w. do sił twórczych i doskonałego rozwoju (Soden) okazały się zawodnemi. Samo pojęcie cywilizacji zranionem zostało (Massis). Wynikło stąd ostre przesilenie, zupełna anarchja intelektualna, która burzyła wszelkie istniejące dotychczas wartości, stwarzając równocześnie doskonałe podłoże do przyjęcia się nowych idei. Wszystko składało się na to, aby w te nowe idee tchnąć ducha religji.

Po zdruzgotaniu optymizmu poprzednich wieków ogarnęła nas fala ogólnego pesymizmu. Nicość tego, w co wczoraj jeszcze kazano nam wierzyć, stała się nam jasną, przejrzeliśmy słabość i niedoskonałość wszystkich ludzkich władz, dzieł i poczynań. Pesymizm ten jednak nie doprowadził nas do biernej nihilistycznej negacji, do której podobną drogą doszła była dusza rosyjska — lecz przeciwnie stał się nam szczeblem do religji. Wojna wyrobiła w nas tężyznę i hart, „dała nam przyzwyczajenie organizacji, hierarchji i ofensywy" zauważa Gonzague de Reynold.

Negatywny pesymizm powoduje utratę żywotności — my jesteśmy sprężeni energją czynu. Szukamy połączenia pesymizmu, którego pozbyć się już nie możemy, z afirmacją dającą życie. Połączenie to odnajdujemy w chrystjanizmie zachodnim. Katolicyzm bowiem, oparty na pesymistycznem założeniu grzechu pierworodnego i ułomności natury ludzkiej, w niczem nie zaprzecza życia, lecz przeciwnie staje się najżywotniejszem jego źródłem, ucząc nas tylko przykładać „właściwą miarę do możliwości

i środków poznania i działania w sferze przyrodzonego bytu" (Soden).

Wielka wojna, która przyniosła ludzkości w darze przeraźliwy plon cierpień, męczarni i śmierci, zbliżyła ponadto masę jednostek biorących w niej udział do Boga, stawiając je w obliczu wieczności, w obliczu własnego sumienia, w obliczu siły nadprzyrodzonej, głównego motoru wszechświata. Z jednej strony, wobec ustawicznej groźby utraty życia, wytworzyła się chęć przedłużenia swego istnienia, chociażby przerzucając je na inny plan; z drugiej — rozpadający się dokoła dotychczasowy porządek świata ukazywał najczęściej psyche żołnierza odwieczną prawdę wartości niezniszczalnych i wśród huku dział, wśród zawieruchy rozszalałych namiętności — pokój Boży, jako jedyną przystań i ukojenie.

Trudnoby zliczyć poważne i głębokie nawrócenia, które się dokonały w okopach. Niektóre jednostki dochodziły do wysokiego wyrobienia duchowego, nieomal do świętości. Widziały one w świetle objawionej prawdy całą nędzę i zło ludzkości, skutej kajdanami materjalizmu i dla jej odrodzenia w miłosnym porywie zdobywały się nieraz na dobrowolną ofiarę ze swego życia. Mam przed oczami list młodego żołnierza niemieckiego, w którym zwierza się matce, iż dla zwycięstwa dobra nie żalby mu było zdobyć się na najcięższe poświęcenia. Autor tego listu zginął w 14 dni po jego napisaniu. Podobnych mu było tysiące i patrząc na dzisiejszy, z cudem prawie graniczący rozkwit wiary, odnosi się wrażenie, że krew ta użyźniła naszą rolę. Można się na to godzić lub nie, lecz ja osobiście wierzę w ofiarny okup krwi.

Na tem kończę ogólne uwagi co do przyczyn i wpływów, które spowodowały nasz nawrót ku ideałom religijnym. Pozostaje mi jeszcze rozpatrzenie dotychczasowych, zewnętrznych przejawów życia religijnego na terenie polskich i zagranicznych uniwersytetów.

Bezsprzecznym faktem, który zaraz u wstępu należy zaznaczyć, jest, że wzrastający z każdym dniem na sile akademicki ruch religijny ma specyficznie katolickie zabarwienie.

Protestantyzm, poza Niemcami i Anglją, żadnej żywotności w życiu akademickiem nie osiąga. We Włoszech i we Francji o organizacjach protestanckich wogóle nic się nie słyszy. W Polsce istniejący „Związek Chrześcijańskich Akademików", oparty

na protestanckich zasadach, również nie może być brany pod uwagę. Założony w 1921 roku, nie zdobył żadnego szerszego znaczenia. Obecnie znajduje się tylko w stanie wegetacji. Wystarczy powiedzieć, że na Uniwersytecie Jagiellońskim potrafił zaledwie skupić dwudziestu kilku członków, podczas gdy same sodalicje liczą ich razem przeszło 450.

Żadnej żywotności nie osiąga również wśród nas i teozofja, którą za rodzaj religji możnaby uważać. Bujny jej rozkwit w pierwszych powojennych latach — dziś znacznie osłabiony — koncentrował się głównie w pozaakademickiem społeczeństwie. Zanadto silny jest w nas pociąg do autorytetu i, jak już zaznaczyłam, jesteśmy już zbyt trzeźwi na to, by jakieś nieokreślone idealizmy mogły nas pochłaniać.

Zato ruch katolicki przybiera na uniwersytetach poważne rozmiary. Przytoczę tu parę luźnych cyfr, zebranych z rozmaitych krajów. W 1913 r. założony Związek Katolickich Organizacyj Uniwersyteckich w Niemczech liczył już w 1926 r. — 15.000 członków, niemieckie korporacje katolickie w 1927 r. — przeszło 13.000, francuski odosobniony związek politechników *Union Sociale d'Ingénieurs Catholiques,* mający w 1924 r. 3.600 członków, skupia ich dzisiaj do 5.000, wreszcie polskie sodalicje na 6 uniwersytetach gromadzą 1.300 akademików i akademiczek.

Mnożą się setki najrozmaitszych organizacyj religijnych, których działalność coraz szersze zatacza kręgi. Ciekawym i dużo mówiącym objawem jest, że markę katolicką przybierają stowarzyszenia akademickie o charakterze wybitnie samopomocowym, jak *Foyer International des Étudiants Catholiques* w Paryżu i bardzo silnie rozgałęziona *Association Catolique des Étudiants Luxembourgeois,* lub też koła naukowe jak *Conférence Pasteur* dla medyków i istniejące na Sorbonie koła historyków i farmaceutów.

Aby uchwycić istotę i zobrazować wewnętrzne przejawy ruchu katolickiego wśród młodzieży akademickiej, należy zwrócić uwagę na dwa przejawiające się w nim momenty. Z jednej strony jest to wybitnie zarysowana dążność do podniesienia indywidualnego poziomu duchowego przez praktyki religijne i intelektualne gruntowanie wiary, z drugiej — tendencja do rozprzestrzeniania religji nazewnątrz czyto z pomocą teoretycznego rozwiązywania w duchu katolickim aktualnych zagadnień, czy też przez bezpo-

średnią pracę społeczną. Z tego podwójnego punktu widzenia postaram się więc w krótkości przedstawić akademicki ruch katolicki w poszczególnych krajach, wymieniając jednocześnie ważniejsze istniejące tam religijno-katolickie organizacje studentów.

Francja posiada ogromną różnorodność akademickich stowarzyszeń katolickich. Chcąc się zorjentować w całokształcie katolickiej organizacji akademików francuskich, trzeba rozróżnić stowarzyszenia istniejące na uniwersytetach od stowarzyszeń zawiązanych na wyższych uczelniach, *Grandes Écoles*, jak: *Polytechnique, Centrale, Ponts et Chausseés, Travaux Publiques, École des Mines, D'Arts et Métiers.*

Stowarzyszenia uniwersyteckie mają charakter wybitnie intelektualny. Działalność takich związków, jak *Cercle de Luxembourg, Conférence St. Paul, Conférence Ernest Psichari, Groupe D'Action Religieuse*, żeńskie *Fénlcon* i *Véritas* i t. p. polega na wspólnych praktykach religijnych, a przedewszystkiem na organizowaniu konferencyj na tematy bądź religijne bądź naukowe. Zewnętrzna działalność tych stowarzyszeń ogranicza się jedynie do akcji św. Wincentego a Paulo.

O wiele szerszy zakres pracy posiadają organizacje z *Grandes Écoles*. Obok szczególnie intensywnego życia wewnętrznego uwzględniają one na dużą miarę zakrojoną akcję społeczną. Ze stowarzyszeń tych na wymienienie zasługują: potężna, cytowana już *Union Sociale d'Ingénieurs Catholiques* (U. S. I. C.) i zbliżone do niej *Groupe Catholique des Mines, Conférences Ponts et Chaussées, Arts et Métiers* i inne im podobne, grupujące zawodowo studentów z poszczególnych uczelni.

Poza uniwersytetami i *Grandes Écoles* istnieją organizacje młodzieży katolickiej, w których tłumnie pracują akademicy. Są niemi: *Association Catholique de la Jeunesse Française* (A. C. J. F.) z hasłem: *Piété, Étude, Action!* i z działalnością religijną, obywatelską i społeczną; *Fédération des Scouts de France* i *Équipes Sociales* oddane wyłącznie powszechnemu nauczaniu.

Katolicyzm we Francji zyskuje rok rocznie coraz to poważniejszy zastęp akademików. Jako ciekawy ilustrujący przykład posłużyć może statystyka Mszy i Komunij św. wielkanocnych w *École Polytechnique*, którą podaje *Écho de l'U. S. I. C.*[1])

[1]) V. 1924, III. 1928.

W 1913 r. przystąpiło po raz pierwszy do wspólnej Komunji św. w Niedzielę Palmową 127 politechników. W 1914 r. — 217. Wojna przerywa te wspólne nabożeństwa, w 1918 r. na nowo są nawiązane i szybko wzrastają na sile. Cytuję tylko kilka cyfr.

w 1918: podpisów 61; uczestników ?
w 1919: podpisów 131; uczestników 318
w 1922: podpisów 603; uczestników 800
w 1925: podpisów 1502; uczestników ?
w 1927: podpisów 2370; uczestników ?

Nigdzie tak jak we Francji nie daje się może zauważyć impulsywna potrzeba uduchownienia, jako reakcja po długich latach absolutnej negacji ducha. Przez dwa poprzednie wieki Francja wybijała się na czoło światowej myśli materjalistycznej i ateistycznej — dziś zato najsilniej zarysowuje się w niej nawrót ku ściśle wewnętrznemu życiu. Pęd ku indywidualnemu doskonaleniu się i coraz bliższemu zespalaniu się z Bogiem jest charakterystyczną cechą katolicyzmu francuskiego. Z natury rzeczy wszelki ruch religijny opierać się musi na wyrobieniu duchowem jednostek, we Francji jednak staje się ono w szczególniejszy sposób ośrodkiem istniejących tam organizacyj katolickich. Wiele z nich, jak np. U. S. I. C., zawdzięczają swe powstanie odbytym przez grupę studentów rekolekcjom i życie czysto duchowe zajmuje w nich pierwsze miejsce. Tygodniowa, obowiązkowa Komunja św. członków nie należy do rzadkości, a wspólne nabożeństwa, zamknięte rekolekcje i adoracje Najśw. Sakramentu gromadzą całe tłumy akademików. Naprzykład doroczna nocna adoracja w kościele Najśw. Serca na Montmartre w Paryżu skupia przeciętnie 250 członków U. S. I. C., a mniej więcej 300 politechników odprawia co roku zamknięte rekolekcje.

Równie intensywny jest ruch, zdążający do intelektualnego pogłębiania katolicyzmu. Organizowane są tygodnie katolickie, a w każdem stowarzyszeniu odbywają się referaty i odczyty z dziedziny religijnej, filozoficznej (tomistyka) i moralnej. Duże zainteresowanie wzbudzają zagadnienia mistyki chrześcijańskiej.

W odniesieniu do prac na terenie socjalnym obok teoretycznego zaznajamiania się z katolicką doktryną społeczną w akademickich stowarzyszeniach praktyczna praca w tym kierunku silnie się rozwija. Mnożą się we Francji dzieła społeczne kierowane przez studentów: patronaty, robotnicze syndykaty chrześci-

jańskie (A. C. J. F.), wreszcie dzieło *Équipes Sociales*, poświęcone powszechnemu nauczaniu. Akademicy francuscy, kładąc bardzo silny nacisk na indywidualne uświęcanie się, nie zamykają swej akcji jedynie w ramach poszczególnych organizacyj, lecz starają się szeroko ją rozprzestrzeniać nazewnątrz, dążąc do pozyskania dla katolicyzmu jak największej liczby swych rodaków.

Akademicka organizacja katolicka w Niemczech jest wybitnie sprężystą. Z właściwym im zmysłem systematyzacji studenci niemieccy powołali do życia szereg stowarzyszeń katolickich, które następnie zgrupowali w wielkie centralne federacje akademickie jak: Związek Katolickich Stowarzyszeń Akademickich z generalnym sekretarjatem w Kolonji i równoległe mu: Zrzeszenie Katolickich Niemieckich Związków Akademiczek. Federacje te rok rocznie urządzają ogólne zjazdy, które kierują całym ruchem katolickim na uniwersytetach niemieckich.

Z ważniejszych zawiązanych tam poszczególnych organizacyj wymienić trzeba: *Akademische Bonifacius Einigung*, połączone z wielkiem *Bonifacius Verein*, a mający na celu religijną opiekę na wyższych uczelniach; liczne Związki Misyjne, Sodalicje Marjańskie i Korporacje katolickie, których działalność rozciąga się na życie religijne członków przez urządzanie wspólnych nabożeństw, a nawet zamkniętych rekolekcyj.

Na szczególniejszą uwagę jednak zasługują specyficznie niemieckie związki *Jugendbewegung, Quickborn, Grossdeutschland* i *Neudeutschland*. Związki te nie są wyłącznie akademickiemi, lecz skupiając całą niemiecką młodzież, mają swoje koła i po uniwersytetach. Najcharakterystyczniejszym z nich jest *Quickborn*, wyrosły z zamiłowania do zdrowego, czystego, fizycznego ruchu i wesołości na świeżem powietrzu. *Frisch! Frei! Froh!* jest hasłem zewnętrznego życia jego członków. W wewnętrznem życiu stawiają oni sobie prawie bohaterskie wymagania, ściągając przez to na siebie miano „maksymalistów chrystjanizmu". Cechuje ich zupełna abstynencja i kategoryczna czystość moralna, które nakazują np. członkiniom *Quickbornu* wyrzeczenie się wszelkiego zbytku i rozrywek światowych. Mniej ekskluzywnym jest *Grossdeutschland*. Odrzucając wszelkie formy zewnętrznej regularnej organizacji, dąży do wytworzenia wyrobionych i wartościowych jednostek, któreby pracując w swojem środowisku, mogły tym sposobem rozprzestrzeniać jego katolicką ideologję. *Neudeutschland*,

ściśle zorganizownny i będący pod wyraźnem kierownictwem kleru, posiada mniej więcej to samo zadanie.

Dla uzupełnienia obrazu niemieckiej organizacji katolickiej dodam jeszcze, że rozwijają się tam bardzo intensywnie parafje akademickie, bądźto z nakazu episkopatu, bądźto z własnego impulsu poszczególnych Stowarzyszeń *Akademische Bonifacius Einigung* i Korporacyj Katolickich.

Wzmożony kult Eucharystyczny, a z nim dążenie do wewnętrznego doskonalenia się zaznacza się w Niemczech bardzo silnie. „Jądrem naszego ruchu, warunkiem naszej duchowej, kulturalnej i społecznej pracy jest ruch Eucharystyczny", stwierdza baron von Soden. Jednakże, poza związkami *Jugendbewegung*, mającemi zupełnie swoisty charakter, w niemieckich katolickich organizacjach studentów wysuwa się na pierwszy plan poważny i żywotny ruch intelektualny. Niemiecki katolicyzm idzie przedewszystkiem po linji rozumowego zgłębienia i filozoficznego dociekania wiary, potężnym impulsem intelektualnym przodując ogólno-akademickiej myśli katolickiej, której prawdziwemi ogniskami są lokalne expozytury Związku Katolickich Stowarzyszeń Uniwersyteckich z Kolonji.

Charakterystycznym dla Niemiec jest głęboki nawrót ku modlitwie liturgicznej, jako wspaniałej, objektywnej formie w której pojedyncze modlące się dusze partycypują w nabożeństwie tworząc wielką wspólność modlitwy (Soden).

Równolegle do intelektualnego gruntowania wiary uwidacznia się wśród niemieckiej młodzieży akademickiej dążenie do poważnego rozpatrywania zagadnień społecznych i państwowych z punktu widzenia nauki Kościoła katolickiego. Odnośne encykliki papieskie są referowane i omawiane na federacyjnych zjazdach. Praktyczna praca społeczna po miastach jest doskonale zorganizowana a w Bawarji przenosi się na wieś.

We Włoszech istnieje jedna tylko katolicka organizacja młodzieży uniwersyteckiej — *Federazione Universitaria Cattolica Italiana* wraz z równoległą sobie organizacją żeńską. Stowarzyszenie to należy do włoskiej *Azione Cattolica* i ma to samo zadanie i plan działania co *Association Catholique de la Jeunesse Française*.

W Polsce centrum ruchu katolickiego na uniwersytetach tworzą Sodalicje Marjańskie i Odrodzenie o katolicko-społecz-

nej ideologji. Sodalicje Marjańskie zyskują coraz to poważniejsze znaczenie w życiu uniwersyteckiem — na Uniwersytecie Jagiellońskim skupiają one, według statystyki 1927/8 roku, 8% katolickiej studjującej młodzieży męskiej i 19% żeńskiej. Ponadto czynne są u nas następujące organizacje akademickie o religijno-katolickiej działalności: Juventus Christiana, związek oparty na religijno-filozoficzno-społecznem samokształceniu; harcerz Polski, który swój katolicki charakter podkreślił przez poddanie w 1925 r. swego religijnego życia dyrektywie kleru i utworzenie całej hierarchji kapelanów i niedawno powstała w Warszawie Katolicka Młodzież Narodowa i wyłonione w 1927 r. z Sodalicyj Marjańskich Koła Misyjne. Z działalności tych ostatnich ciekawem jest podnieść fakt, że zalegalizowane już Koło Krakowskie urządziło przed rokiem pierwszy w Polsce, a może i w Europie tydzień misyjny, na którym prelegentami byli świeccy profesorowie uniwersytetu.

Ruch katolickich korporacyj rozpoczął się u nas wraz z utworzeniem w ub. r. w Poznaniu korporacji „Roma" z programem bardzo zbliżonym do ideologji Odrodzenia.

Podobnie jak we Francji nie istnieje u nas żadne organiczne zrzeszenie wszystkich katolickich organizacyj uniwersyteckich. Męskie i żeńskie Sodalicje Akademickie jednoczą się tylko w ogólno-polskich swoich zjazdach, na których zapadają uchwały normujące ich działalność w poszczególnych ośrodkach.

Za inicjatywą Sodalicyj Marjańskich i ze współudziałem innych organizacyj uniwersyteckich zostały w 1926 r. zapoczątkowane w niektórych ośrodkach niedzielne nabożeństwa akademickie, a w 1927 r. Episkopat utworzył w całej Polsce oddzielne parafje uniwersyteckie.

Katolicyzm nasz zbliża się poniekąd do francuskiego. Z samego faktu, że centrum życia katolickiego na wyższych uczelniach zajmują Sodalicje wypływa bardzo silne podkreślenie przez nas momentu indywidualnego doskonalenia się. Kult Eucharystyczny, praktyki religijne, wspólne Komunje św., adoracje i rekolekcje zamknięte krzewią się powszechnie. Równolegle rozwija się apologetyka tak w łonie Sodalicyj (sekcja wykształcenia religijnego, sekcja filozoficzna i tomistyczna, tygodnie filozofji katolickiej organizowane przez Sodalicje warszawskie) jak i stowarzyszenia „Juventus Christiana". Ruch liturgiczny zaznacza się w niektórych

Sodalicjach (Warszawa, Lwów) i w Odrodzeniu, niestety jednak jeszcze się nie rozpowszechnił.

Pod względem prac społecznych akademicy polscy bynajmniej nie stoją również na ostatniem miejscu. Usiłowania w kierunku teoretycznego zaznajamiania się ze społeczną nauką katolicką i wprowadzenie jej w życie uwidaczniają się w sekcjach społecznych Sodalicyj Marjańskich, gdzie komentowana jest encyklika „Rerum Novarum", w stowarzyszeniu Juventus Christiana, a przedewszystkiem Odrodzenie, które poza referatami i odczytami z tej dziedziny zapoczątkowało od paru lat doroczne tygodnie społeczne w Lublinie. Z praktycznej działalności społecznej polskich organizacyj katolickich akademików podkreślić należy prace Odrodzenia w kółkach robotniczych i w T. S. L. i sodalicyjne sekcje społeczne rozwijające swą działalność na terenie związków młodzieży, patronatów, ochronek, szpitali i t. p.

Polska młodzież uwiwersytecka rozumie ciążący na niej obowiązek katolickiej akcji społecznej i zdaje sobie jasno sprawę z sytuacji obecnej chwili. Bo jeżeli intenzywność życia katolickiego wzmogła się u nas znacznie w klasie intelektualnej, to poważnie stała się zagrożoną w masach robotniczych i wiejskich. Niebezpieczeństwo to jest spowodowane z jednej strony przez postęp radykalizmu społecznego i politycznego, z drugiej — przez inwazję różnych obcych sekt religijnych i przez zażartą propagandę t. zw. kościoła narodowego. My, akademicy, którzy tworzymy niejako pomost pomiędzy klasami społecznemi, odczuwamy, że na nas ciąży w wielkiej mierze, obowiązek przywrócenia i zachowania katolicyzmowi tych mas, tworzących większość narodu i przez coraz to wzmożoną katolicką pracę społeczną staramy się go wypełnić.

Uwidaczniając sobie obecny stan katolicyzmu wśród młodzieży uniwersyteckiej w Polsce i reasumując wszystkie zewnętrzne przejawy naszego religijnego życia, możemy sobie powiedzieć, że dużo już zdołaliśmy uczynić na niwie akademickiej od chwili zmartwychwstania naszej Ojczyzny. Praca nasza jednakże pod żadnym względem nie jest jeszcze skończoną. „Akcja katolicka, zauważa jeden z naszych starszych kolegów, osiągnie u nas swój cel nie wtedy, gdy silne organizacje powoła do życia, ale dopiero wtedy, gdy wytworzymy duchową, katolicką orjentację społeczną". Trzeba stwierdzić, że daleko nam jeszcze do przepo-

jenia tą orjentacją zespołu akademickiego i szerokie pole działania w tym kierunku otwiera się przed nami. Na zakończenie więc postaram się w szybkim skrócie wykazać braki naszego dzisiejszego katolicyzmu i zwrócić uwagę na pewne niebezpieczeństwa, które nam zagrażają.

W ogóle akademickim u nas daje się przedewszystkiem zauważyć niedostateczne jeszcze uświadomienie religijne i płynące stąd za mało konsekwentne dostosowywanie się do wszystkich wymagań doktryny katolickiej. Zdarza się niejednokrotnie, że akademicy, którzy katolikami wierzącymi i praktykującemi być się mienią, należą do organizacyj o wręcz akatolickiem zabarwieniu, nic w tem przeciwnego swojej wierze nie widząc. Nie można ich tu zresztą posądzać o złą wolę — jest to poprostu brak uświadomienia religijnego, który jednak wiele złego przynosi.

Drugim dowodem tego braku jest coraz powszechniej szerząca się zupełna tolerancja w stosunku do innych wyznań chrześcijańskich. Potrzeba jednoczenia się, potrzeba solidaryzacji doprowadzająca nas do internacjonalizmu, przeniknęła i dziedzinę religijną. W całej Europie powstaje pęd ku panchrystjanizmowi, potępionemu wyraźnie w ostatniej encyklice papieskiej „Mortalium animos", a który znalazł swój wyraz w ogólnoświatowym zjeździe wyznań w Lozannie w sierpniu 1927 r. Panchrystjanizm ten zasadza się na przyznawaniu wszystkim wyznaniom równorzędnego stanowiska, czyli na zupełnym indyferentyzmie. Ci z katolików, którzy z nim sympatyzują, a tych jest coraz więcej zwłaszcza wśród intelektualnej młodzieży, nie zdają sobie sprawy że zaprzeczają tym sposobem nieomylność i prawdę jedynego Kościoła Chrystusowego.

Groźniejszem w swoich skutkach dla wiary jest jednak jeszcze niebezpieczeństwo płynące ze skrajnego nacjonalizmu. Epoka nasza jest antynomiczną. Z jednej strony odczuwamy potrzebę grupowania się międzynarodowego, z drugiej — poczucie narodowości wzmocniło się aż do nacjonalizmu. Zastrzegam się, że nie mówię tu o słusznie rozumianym nacjonaliźmie — chodzi mi jedynie o skrajny jego odcień w samej swej istocie zły i szkodliwy. Radykalny ten nacjonalizm dąży do podporządkowania religji państwu, głosi się katolickim jedynie z pobudek społeczno-państwowych, zapoznając całkowicie prawdziwe, nadprzyrodzone

podwaliny wiary. Nie dziw więc, że staje on w ostrym konflikcie z nauką Kościoła.

Konflikt ten wybuchł już tragicznie we Francji wraz ze sprawą *Action Française*, a dziś gromadzi ciężkie chmury nad rządem faszystowskim. Boję się ogromnie, czy w bliskiej przyszłości i nam nie będzie on zagrażał? Czy nie idziemy już drogą wiodącą ku niemu? I choć nie wątpię, że w razie postawienia sprawy na ostrzu miecza, potrafilibyśmy się zdobyć na zszeregowanie się po stronie Kościoła, jak to uczyniła młodzież francuska, to jednak lepiej jest uprzytomnić sobie grożące niebezpieczeństwo zawczasu i przeciwdziałać mu, zanim rozwielmożni się zło.

Zdaje mi się, że w naszej pracy katolickiej na terenie życia akademickiego, mając przed oczami jego braki i niedomagania religijne, powinniśmy w pierwszym rzędzie starać się im zapobiegać. Będzie to zapewne ciężka i mozolna praca, lecz nie zapominajmy, że walczymy pod sztandarem, na którym wypisane jest zwycięskie hasło: *In hoc signo vinces.*

O. Lubowiecka.

Przegląd piśmiennictwa.

Poezje, powieści, pamiętniki.

Bronisława Ostrowska: Tartak słoneczny Wyd. F. Hoesicka. — Marja Grossek-Korycka: Pamiętnik liryczny. — Kazimiera Iłłakowiczówna: Z głębi serca. Wyd. Gebethnera i Wolffa. — Janina Hełm-Pirgo: Kolorowa sonata. — Józef Birkenmajer: Ulica i droga. F. Hoesick. — E. de Henning-Michaelis: Burza dziejowa. Gebethner i Wolff. — Zofja Zawiszanka: Poprzez fronty. Gł. Księgarnia Wojskowa. — Juljusz Kaden-Bandrowski: Na progu. Gł. Księgarnia Wojskowa. — Jerzy Kossowski: Kłamca Gebethner i Wolff. — Stanisław Rembek: Nagan. — Kazimierz Leczycki: Państewko. — Włodzimierz Perzyński: Dwoje ludzi. — J. Maciejewski: Pograniczne ogniska. — Piotr Choynowski: O pięciu panach Sulerzyckich. Gebethner i Wolff. — F. A. Osendowski: Szkarłatny kwiat kamelji. Wydawnictwo Polskie, Poznań. — Stan. Marja Saliński: Opowieść morska. Gebethner i Wolff. — J. B. Rychliński: Róża korsarska. Wydawnictwo Polskie, Poznań. — Jerzy Bandrowski: Krwawa chmura. Wydawnictwo Polskie, Poznań. — Stefan Grabiński: Klasztor i morze. F. Hoesicka.

Poezja polska poniosła w tym roku stratę w osobie utalentowanej poetki Bronisławy Ostrowskiej. Teraz świeżo wyszła jej książeczka pośmiertna „Tartak słoneczny".

Ostrowska wyrosła w epoce, kiedy symbolizm poetycki i aspiracje ku najgłębszym uduchowieniom plątały się tuż obok radykalizmu społecznego, opartego na najgrubszym materjaliźmie. Kiedy od Rimbaud'a, Verlaine'a, Maeterlinck'a, Jammes'a lub Vielé-Griffin brała Ostrowska formę i nieuchwytne, kosmiczne tęsknoty, jednocześnie z najbliższego otoczenia wdzierała się do jej uczuciowości anarchja erotyczna i intelektualna. Ostrowska na zawsze pozostała duchem wykolejonym, bo nie znalazła dla siebie odpowiedniej atmosfery duchowej. Najlepszym tego dowodem ostatni jej zbiorek, gdzie „koło święconej kredy" ma symbolizować martwicę duchową, jaką spostrzegała w środowisku Tuwimszczyzny i Słonimszczyzny. Nie umiała znaleźć drogi ku jasnym dolinom, gdzie oddycha się wolno i szeroko, a w zaduchu swojskiej obczyzny, pośredniej między terenem wschodnim a synagogą,

dusiła się poprostu. Nawet współczesny „witalizm", uosobiony chociażby w cytowanym przez nią Wierzyńskim, wydaje sie iei pustką:

...z koła święconej kredy, jak z pod klosza ze szkła
wytłoczono powietrze do dna, do dna, do dna
i rzeczywiście umarła.
A wszystko to dlatego, że
„niema dla nas nic prócz nas na ziemi, ani w niebie".

Śmierć w rzeczywistości oznacza tu mękę, znoszoną przez niejedną jednostkę wybraną pod wpływem zasad relatywizmu.

Cała dusza Ostrowskiej łaknęła prawdy niezbitej, postawy wobec życia czystej i wysokiej. Ale wciąż rozmijała się z tą prawdą na drogach życia i ostatni akord na harfie poetki brzmi miejscami śmiertelnym smutkiem przemijania i zwątpienia.

Nie można uznać ducha Chrystusowego, odrzucając widome Ciało Jego na ziemi, Kościół. Raz wydaje się Ostrowskiej cieniem mogiły padającym na świat cały ksiądz, który święci zakład obrony przeciwgazowej (ujęcie pacyfistyczno-wolnomyślicielskie), drugim razem uporczywie wspomina chłopkę, klęczącą na bruku i bijącą się w piersi przed „szybą sklepu z tandetą kościelną".

Niema rzeczywistości. Niema prawdy i treści.
Są tylko puste kształty, w których się nic nie mieści.

Ostrowska uznaje jedyną iskrę rzeczywistości: serce człowieka i dobroć. W powalonem drzewie widzi linje pionową i poziomą, które łączą się w figurę krzyża. W pewnym momencie rodzi się na jej ustach błaganie. „Usłysz! Odpuść! Wyratuj! Jezusie-Chrystusie!". Ale to są raczej nastroje i tęsknoty, nie ta prawda niezłomna, która pozwala oprzeć się zarówno groźnej przepaści relatywizmu filozoficznego, jak widokowi zła i cierpienia na ziemi.

Ostrowska miała dużo wzlotów ku nieskończoności, dużo tęsknot do prawdy i szukała jej przez całe życie na nizinach życia i na wirchach spekulacji filozoficznej. Ale prawdy w całej pełni i mocy nie posiadła. Przeto pozostała piękną rośliną cieplarnianą, autorką wytwornych liryk, hafciarką kunsztownych strof, a nie dała dzieł większych. Brakowało jej oddechu pod kloszem, z którego wytłoczono powietrze. Nie potrafiła go stłuc.

Wiele jednostek tęskniących do Boga, a jeszcze opętanych złudą t. zw. „postępu", szukało (rzadko znalazło) odpowiedzi i ukojenia w teozofji, okultyzmie i sekciarstwie. Do takich należała i Marja Grossek-Koryck a, również zmarła niedawno. Za życia powodzenie nie odpowiadało wielkim jej zdolnościom. „Medytacje", książka, w której poruszyła zagadnienia współczesności w sferze etycznej i religijnej, nie odbiły się echem na jej pokoleniu, chociaż stawiała tam ideały dobra i zwalczała relatywizm filozoficzny. Czemuż nie było jej dano?

Może od niej, jako od ducha bardziej od innych świadomego i obdarzonego, żądano dojścia do pełni prawdy, rozdarcia łudzącej zasłony prawd połowicznych. Może wtedy zamiast kunsztownych czareczek, w których przechowywała sfermentowane płyny magiczne, danoby jej w ręce prosty dzban pełny wody źródlanej, a przyszłyby pić z niego rzesze?

Inaczej znajduje się Boga na drogach inwolucji i ewolucji inaczej zaś — na krzyżowej, wydeptanej przez tłumy męczenników i dzieci Bożych od wieków. Czy możliwością jest dla pielgrzymów tej drugiej drogi wyobrazić sobie uzdrowienie cudowne, przy którem Zbawca, uciszając ból, obraca serce w kamień? Czy możliwą jest w momencie ekstazy pycha, która sobie wyobraża o Bogu, że „jestem w Tobie, z Tobą i T o b ą na niebie" (podkreślenie moje).

Echem niezdrowej zabawy stwarzania religji samowolnej i fantastycznej pobrzmiewają w „Pamiętniku lirycznym" wzmianki o reinkarnacji. A obok tego szczera tęsknota religijna i szeroki dech kosmiczny.

Grossek-Korycka wspaniale włada formą, w wierszach jej jest niezmierne bogactwo rymów rzadkich i wyszukanych. Jest w nich i arjelowa, napowietrzna muzyczność, i bogactwo obrazów — żywioł prawdziwej poezji, wyrażony zwłaszcza w balladach. — Dziwi tylko nieznajomość formy sonetu — w sonetach Koryckiej w każdej strofie są inne rymy. W każdym razie poezja ta lepsza od innych, gdyż lot jej wysoki i skierowany ku Bogu, chociaż nie zawsze znane jej szlaki do niebieskich progów. W literaturze polskiej zostanie ta poezja suggestyjna i wytworna obok Zawistowskiej, która przewyższa Grossek-Korycką przejrzystością i prostotą kompozycji.

Mistrzostwem formy i siłą żywiołu lirycznego góruje nad niejedną poetką polską Kazimiera I ł ł a k o w i c z ó w n a. Nowy jej zbiorek „Z głębi serca" jest świadectwem coraz większej powagi i zmężnienia religijnego jej ducha. Jakże daleką drogę przeszedł jej talent od zbiorku „Śmierć Feniksa"! Zwłaszcza zwracają uwagę w tym zbiorku wiersze patrjotyczne z okresu wielkiej wojny (przed 1920 r.), jak „Kolędy polskiej biedy" i wogóle cały cykl „Z domu niewoli".

W roku dziesięciolecia niepodległości przyszedł czas obejrzeć się za siebie i ogarnąć jeszcze raz bolesne gościńce, któremi szliśmy do odrodzenia. Dlatego ze szczególnem wzruszeniem czytamy te wiersze, stawiające przed oczy różne etapy życia narodowego w okresie wojny. Potężnym jękiem nad ospałością duchową narodu jest poemacik „Głos księdza Budkiewicza z za grobu". Męczennik żali się, że kości jego niepogrzebane, że naród nie upomina się o nie. Chce wstrząsnąć narodem po śmierci:

Jakże mam do was dotrzeć,
jak mam się wam objawić,
jakiemiż ranami świecić,
jakiemiż strzępami krwawić,
jakim jękiem śród nocy ciemnej
niesłuchających przeszyć,
by ocknął się jeden i drugi,
by ocknęły się rzesze?

Piękna, zwarta jest legenda „Krzysztof w służbie u djabła", opowiadająca, jak szukając najsilniejszego pana, Krzysztof znalazł Boga, wobec którego niczem jest siła szatana.

Religijność poetki nie przybiera sztucznej naiwności — silna jest, głęboka wiarą, żywa bezpośredniem przeżyciem, wzniosła wyczuciem ogromu i nieskończoności Boga, ujmująca momenty kontemplacji mistycznej w przepiękną symbolikę.

Debiutująca poetka Janina H e ł m-P i r g o („Kolorowa sonata") również wśród erotyków i wierszy to ognistych, nabrzmiałych wolą twórczą, to pełnych smutku, rzuca kilka pisanych poezji quasi religijnych. Wiara poetki jest radosna. W „Organy grają" pisze:

A gdy ziemia ta nieużytą już będzie, ześlesz na nas wszystkich sen odpoczynku, a zbudzisz nas. Idący w promieniach wschodzącego słońca — na innej planecie, na nowe radosne trudy tworzenia!

Podobna cytata z Grossek-Koryckiej przytoczona była wyżej. Znowu mamy do czynienia z tą namiastką wiary, z teozofją. Złe to zdaje się bardziej rozpowszechnionem, niż ktokolwiek przypuszcza, tak samo, jak komunizm. Ale ten, kto nie zna komunizmu lub teozofji, przechodzi najczęściej koło objawów ich w literaturze, nie zauważając ich nawet.

Poezja p. Hełm-Pirgo, (biały wiersz) ma akcenty silne, jest to niewątpliwy talent. Pocieszajmy się myślą, że spożywcy surogatów pierwej czy później dochodzą do używania produktów niesfałszowanych.

„Ulicą i drogą" Józefa B i r k e n m a j e r a wyraża potępienie miasta — i jako miejsca brzydoty, i jako miejsca niedoli. Niema w tem wszelako ujęcia zbyt oryginalnego. *Pendant* do pierwszej części, miejskiej, stanowi część druga — życie na łonie przyrody. Autor, znany bardziej jako krytyk, zapowiada się również obiecująco jako poeta.

Był okres, kiedy wszyscy w Polsce, wiele przeżywszy, wiele napracowawszy się dla Ojczyzny, tak byli zmęczeni wojną i walką, że nie ciągnęły ich drukowane przeżycia wojenne. Ale teraz, w roku jubileuszowym, po kilkuletniem zapomnieniu zjawia się potrzeba psychologiczna zreasumowania przeżyć ówczesnych, uczynienia rzutu oka na całość wypadków tamtych lat, boć każdy wówczas znał tylko rapsody własnej epopei. W przeczuciu tego

zainteresowania, znowu żywego wśród naszej inteligencji wyszedł szereg książek, obrazujących boje o niepodległość.

Książki generała Michaelisa i Zawiszanki są pamiątkami przeżyć osobistych. Jenerał de Hennig-Michaelis opisuje pobyt swój w szeregach rosyjskich. Zajmującym jest dla nas ten okres (1914—1917 r.), gdyż jenerał opisuje to, co się działo w armji rosyjskiej. Chociaż nie widzimy, co się działo wśród żołnierzy (jakoś w brygadzie jenerała była albo dobra organizacja i dyscyplina, albo też jenerał kreśli swych podkomendnych zbyt idealnie), ale u góry pokazuje nam jenerał ludzi nieodpowiednich, system protekcjonizmu, niedołęstwo, niewłaściwą obsadę stanowisk i t. d., a przedewszystkiem brak jednej woli i skoordynowanej akcji. Dla tych, co śledzili wypadki od strony czysto wojskowej, zrozumiałemi się staną różne momenty bojów na terenie ziem polskich w owym okresie. Jenerał walczył po stronie rosyjskiej, jako zwolennik ententy, jednocześnie ochraniając ludność polską i broniąc kraju przed zniszczeniem.

„Poprzez fronty" Zawiszanki, dziennik wywiadowczyni pierwszej brygady legjonowej w chwili wkroczenia legjonów do Kongresówki, dobrze odtwarza atmosferę niebywałego entuzjazmu, jaki ogarnął część młodzieży polskiej w chwili, gdy „czyn orężny" przeszedł z krainy snów do krainy rzeczywistości. Pamiętnik dla szerokich rzesz czytelników, które nie uczestniczyły w I brygadzie, zbyt osobisty, oddaje jednak moment dziejowy i bardzo żywo maluje wypadki ówczesne, widziane, coprawda, z małego kółka, w którem sprawowała swe funkcje autorka, ale zato w opisie tem bardziej pełne konkretnej rzeczywistości. Wzrusza nas ofiarność i bezwzględna wiara w przyszłość tej garści młodzieży, która postanowiła wywalczyć niepodległość.

Kaden-Bandrowski („Na progu") skreślił szereg króciutkich sylwetek oficerów, którzy polegli w pierwszych bojach legjonów krakowskich. Nazwiska to przeważnie nieznane — szerzej rozbrzmiały może imiona Sulkiewicza, Lisa-Kuli, Wyrwy-Furgalskiego. Ale każdego z opisanych warto zapamiętać; każdy z nich — bez efektów, bez szerokiego gestu — był bojownikiem zapamiętałym i nie cofającym się nigdy.

Te krótkie biografje bohaterskie i martyrologje opisane są bez grajcarków stylowych i pretensjonalnych wykrętasów, które spotykamy w niektórych książkach Kadena. On sam usprawiedliwia się z braku literackiego wykończenia. Ale ten brak właśnie dobrze zrobił książce — dodał jej surowej powagi. Zmusiło do niej autora i to, że pisał w obliczu śmierci, która tych bohaterów sprawy polskiej skosiła. Gdziekolwiek się bił podczas wielkiej wojny żołnierz polski — bił się za Ojczyznę. Ci — polegli ofi-

cerowie polscy są sławą całego narodu. Czyż nie powinniśmy o nich pamiętać?

Gdyby te wspomnienia były pisane jeszcze prościej, mogłyby się znaleźć w rękach żołnierza i małego harcerza polskiego.

Kilka naraz powieści porusza znowu tematy wojenne. A więc „Kłamca" Kossowskiego. Tytuł nie jest zupełnie odpowiedni. Kapral Dżero, który był niepoprawnym blagierem w cywilu, na wojnie, w obcowaniu z żołnierzami, prostymi ludźmi natury, uczy się rzetelności, mężnieje, nabiera wartości moralnych, zaczyna kochać ludzi. Ale te jego przejścia nie są dostatecznie zaakcentowane i nie wiemy czy autorowi chodziło istotnie o ewolucję psychologiczną Dżery? Tem bardziej, że powieść kończy się takim samym motywem, jak u Żyznowskiego: inwalida wyczuwa wstręt do siebie u kobiety kochanej i odbiera sobie życie.

Cały typ Dżery, Peer Gynta polskiego, nie troszczącego się o żadne sprawy ogólne, ani o Ojczyznę, jest przykry w swej bezskrzydłowości. Zakończenie — tak beznadziejne, wywołane niższością kobiety, w której lepsze pobudki nie zwyciężyły, nie daje nam satysfakcji wewnętrznej. Zato opisy życia żołnierskiego i frontu są dobrze podpatrzone, tylko nie powinnoby u autora polskiego być tyle motywów z Barbusse'a, Duhamel'a lub Andrejewa. Wieszanie szpiegów, sądy polowe, momenty straszliwej męki fizycznej są to zaiste potworne objawy wojny, ale stawianie ich przed oczy osłabia ducha wojennego. Jesteśmy znowu przedmurzem chrześcijaństwa, stoimy znowu na stronie wszystkich zdobyczy cywilizacji. Czy w imię humanitaryzmu wolno wydać ludzkość na zatracenie — ciała na pokalanie i mękę, duszę na wiekuistą zagładę? A więc tymczasem dla nas pogotowie wojenne jest aktem obrony Kościoła i Ojczyzny. Nie możemy rozmazywać się i pod maską pacyfizmu wpuszczać między nas defetyzm. Nie możemy sobie pozwolić na najmniejsze osłabienie siły bojowej naszej, jako całego narodu. Bądźmy na wojnie humanitarniejsi od innych, ale nie róbmy z niej dla nas samych straszaka, bo pogotowie wojenne jest dla nas, niestety, koniecznością.

Tak samo pesymistyczne zakończenie ma powieść Stanisława Rembeka „Nagan". Porucznik Pomianowski, spotkawszy ukochaną przez siebie Maryśkę na froncie, wkrótce potem przypuszcza, że ją zamordowali bolszewicy. Odbiera sobie życie, nie wiedząc, że Maryśka żyje. Rażącym dla nas jest taki czyn oficera polskiego z pobudek osobistych, w chwili, gdy dla przeciwstawienia się nawale bolszewickiej brakowało szarż, tak że nieraz w młodej armji polskiej niedorośli podporucznicy dowodzili baonami — zamiast kapitanów. Tem bardziej, współczesna modna recepta beletrystyczna wymaga nie tragedji, a zakończeń pełnych optymizmu i wszelkiej pomyślności.

Zato opis obrony przyczółka mostowego i marszu-ucieczki żołnierzy polskich jest pierwszorzędny. Kto był na froncie i znalazł się kiedykolwiek wzięty we dwa ognie, kto czuł zgubę tuż na swoim karku, ten oceni straszliwą prawdziwość opisów Rembeka.

„Państewko" Kazimierza Leczyckiego opisuje pracę konspiracyjną na kresach, to rozwijającą się w akcję wojenną, to tającą się w robotach podziemnych. Poznajemy tu nastrój i atmosferę młodzieży kresowej, poczynając od kółek uczniowskich, a kończąc na wschodnich formacjach wojskowych. Miłe to, entuzjastyczne, ofiarne do ostatnich granic, nie tracące animuszu ani wśród potwornych niebezpieczeństw, ani wśród oziębiających namów „rozsądnych", umywających ręce, jak Piłat w Credo.

Niesłusznie książkę tę nazwano powieścią. Jest to pamiętnik Mińszczyzny, zahaczający o Ukrainę i Warszawę, opowiadający dzieje młodzieży niepodległościowej, jej bohaterskie czyny w legjonach Dowbora i P. O. W. Wymieniono tu szereg nazwisk rzeczywistych (Lis-Kula, Stefanowski i t. d.) i utwór ten nie jest fikcją na tle pożogi wojennej, lecz najprawdziwszą rzeczywistością. Jak bryła surowego życia, nie ma też zaokrągleń i finałów — to tylko jeden wycinek epopei niepodległościowej.

Lepiej było zachować książce wartość dokumentu, niż unosić się ambicją literacką. Zresztą naracja „Państewka" jest dość żywa i potoczysta, chociaż młody autor nie posiada jeszcze stylu indywidualnego. Styl ten zresztą zbyteczny jest dla pamiętnika.

Tytuł bardzo trafny („Państewko") oznacza organizacje polskie, zakładane wszędzie, nieraz na własną rękę, zanim udało się skomunikować z jakąś centralą, lub ogniwem jej pośredniem. Organizacje te trwały i działały w ciasnocie podziemnej, w ciągłym alarmie i osaczeniu. Małe „państewko" dążyło do stworzenia wielkiego państwa. I kiedy państwo to powstało, działacze państewka, wyszedłszy ze swych kryjówek i zakamarków, nie odrazu potrafili wyzbyć się swych nałogów i metod pracy konspiracyjnej.

Leczycki dobrze sformułował różnicę między człowiekiem „państwa" a człowiekiem „państewka". Ale zarazem uwiecznił dla Polski straszliwe zmagania się i ofiary młodzieży kresowej, jej czysty zapał, jej zawziętą wytrwałość.

Dobrze, że wyszły te wszystkie książki w roku jubileuszowym niepodległości. Może będą tamą, zatrzymującą mętną powódź współczesności powojennej.

Oto ją widzimy w „Dwojgu ludzi" Włodzimierza Perzyńskiego i w „Pogranicznych ogniskach" J. K. Maciejowskiego. W powieściach Perzyńskiego spotykamy typy coraz to sympatyczniejsze. W „Dwojgu ludzi" należy do takich młody inżynier-profesor i Wiertkiewiczowa, kobieta znękana przez nieszczęśliwe małżeństwo, ale pełna zalet i dobroci.

Odbija od tych dwojga rywalka Wiertkiewiczowej, piękna panna Mila ze sfery ziemiańskiej, egoistyczna, samowolna, licząca się tylko ze swemi uczuciami, nie umiejąca zrozumieć innych. Całkiem nowoczesne jest dążenie tej pięknej panny do zrobienia karjery filmowej, co daje autorowi asumpt do odsłonięcia kulis tej nieraz głodomornej gałęzi naszego przemysłu.

Perzyński robi się coraz przyzwoitszy i wprowadza coraz sympatyczniejsze typy. Nie należą do nich oczywiście tacy degeneraci, jak Wiertkiewicz i Miller. Swada autorska, dobre postawienie charakterów, styl łatwy, dobra kompozycja stale dopisują Perzyńskiemu.

Smutnym wycinkiem naszej współczesności są „Pograniczne ogniska" Maciejewskiego, gdyż poruszają sprawę kresów wschodnich. A jest to dziedzina naszego życia nader bolesna, gdyż pokrzywdzoną mniejszością są tam nieraz... Polacy. Badanie Kołczanowskiego po napadzie na niego chłopów, przeprowadzone przez urzędnika miejscowej administracji, przypomina opisy stosunków kresowych u Rodziewiczówny.

Maciejowski maluje stosunki w Rosji sowieckiej i krecią robotę bolszewicką na kresach. Przedstawia bolszewizm w świetle właściwem i to jest jego zasługą, aż do chwili wprowadzenia do powieści niejakiej panny Zeni, „ideowej" bolszewiczki. Że patrjotyczne grono Polaków toleruje w swem środowisku osobę, propagującą idee zdrady państwowej i upadku moralnego, jest rzeczą niezrozumiałą. U nas w życiu przez głupotę i niedbalstwo toleruje się zbyt wiele objawów komunizmu. Stworzył się nawet eufemistyczny termin „komunizujący". Ale książka powinna być mistrzynią życia i pokazywanie w niej takiego faktu bez oburzenia, jako rzeczy zwyczajnej, utrwala podobne możliwości w życiu. Tem bardziej, że argumenty panny Zeni nie są odparte przez autora dość energicznie. Wygląda ta cała panna Zenia na kresach wprost niepokojąco. A dziś nigdy niewiadomo, w czyich rękach znajdzie się książka.

Zato dobrze zostały odtworzone stosunki osadnicze na kresach. Te dzielne placówki naszej kultury na wschodzie, na które Polska zawsze liczyć może, doznają zbyt małej opieki władz centralnych, miejscowych i całego społeczeństwa. A z tych osad polskich może promieniować katolicyzm i kultura zachodnia na całą okolicę.

Mało ukazuje się teraz książek historycznych — zrozumiałe to, wszak współczesność, twórczość nasza nakoniec wyjarzmiona zanadto nas absorbują. Wspaniałe są zawsze nowele historyczne Kossak-Szczuckiej i Bartkiewicza. Bardziej zbliżone do Kossak-Szczuckiej są nowele Piotra Choynowskiego „O pięciu panach Sulerzyckich", „Wigilia wojewody", „Pańskie łzy". Choy-

nowski analizuje tu pewne momenty dziejowe, nie znajdując analogji do czasów dzisiejszych. Motyw współczesności jest tylko w obrazku z rewolucji francuskiej „Ojcowie ludu" — gdzie odmalowana jest nędza i ruina ekonomiczna rewolucji i wodzowie ludu, nie wierzący sami w tę rewolucję, a wypasający się na niej.

Niezwykła plastyczność opisów i charakterystyk znamionuje wysoką klasę twórczości literackiej Choynowskiego. Piękna jest „Wigilja wojewody", chociaż zakończona niemądrym wybrykiem wielkiego pana.

Nowym przyczynkiem do naszej beletrystyki egzotycznej jest „Szkarłatny kwiat kamelji" F. A. Osendowskiego, „Opowieści morskie" Stanisława Marji Salińskiego i „Krwawa chmura" Jerzego Bandrowskiego.

Osendowski opisał potworności bolszewizmu i ściągnął na siebie prześladowanie sowietów. Jest to jego zasługą. Ale ten, kto przeciwstawia się czerwonemu demonizmowi, kto chce zwalczyć wschód, nie może brać podstaw życia od tegoż wschodu. Religje wschodu nie pokonają bolszewizmu i nie usta Buddy wypowiedzą słowo zbawienia! Uczeń Chrystusowy nawet jako figury poetyckiej nie używa do Buddy zwrotu: — Nauczycielu narodów.

Nowele Osendowskiego oparte są na autentycznym materjale, na wrażeniach z własnej podróży. Dlatego opisy jego żywe są i barwne i dają nam wiedzę o pięknym kraju Nipponu. Literatura o Japonji jest u nas wogóle uboga (warto zawsze zwrócić się do książki Łubieńskiego o Japonji). Najbardziej spopularyzował ją u nas Sieroszewski. Osendowski nie dorównywa mu głębokością ujęcia, lecz przewyższa lekkością fejletonową, która uczyniła go tak strawnym dla wszystkich narodów świata.

Debiut Stanisława Marji Salińskiego „Opowieści morskie" nie robi wrażenia wyzwalającego. Poznał on Wschód, ale był to Wschód przesiąknięty Rosją. Przeto młody autor opisuje zjawiska poniżej człowieka — nieprawdopodobne krzywdy, dzikie zemsty, niesamowite przygody. Książka ta posępna i bolesna, opromieniona trupiem światłem zorzy borealnej.

Wartością w niej dla Polski są opisy morza i żeglugi, tak samo, jak w „Róży korsarskiej" J. B. Rychlińskiego. Już w pierwszej książce „Mah-Jong" Rychliński w swej egzotyce ukazał podkład niesamowitości. To samo jest w „Róży korsarskiej". Byłaby to pomimo swej urocznej widmowości ładna powieść, gdyby nie mąciło jej parę zgrzytów. Reminiscencje Płowego Orła nie są potrzebne w kompozycji powieści. Również niepotrzebnem jest zrobienie Sydonji na kobietę upadłą. Miłość przejmuje czytelnika sympatją, o ile jest czysta. Nie może być subtelnym i wysokim duchowo bohater powieści, jeżeli go nie razi upadek mo-

ralny kobiety. Sydonja równie dobrze mogłaby zwalczać Kozyra, zachowawszy swoją cnotę.

Rychliński ma bogaty język, bogatą obrazowość, zna całą dziedzinę życia morskiego. Warto byłoby, żeby twórczość swą oczyścił, uduchowił, pogłębił, by nie zakopywać w ziemię danego sobie talentu.

„Krwawa chmura" B a n d r o w s k i e g o jest studjum z życia Chin i Chińczyków w Rosji. Ci ostatni jako przekupnie jedwabiu, szpiegowie i bandyci, opisani na tle Moskwy, są zupełnie autentyczni.

Czytając o zimnem okrucieństwie i bezduszności żółtej rasy, mimowoli musimy pomyśleć, że prócz garści ofiarnych misjonarzy, Europa źle spełniła swoje obowiązki wobec morza dusz ludzkich, które jeszcze głębiej zdeprawowała, zamiast nieść im słowa odkupienia. Książka Bandrowskiego przykra jako powieść, cenna jest jako obraz duszy chińskiej i tego nieznanego, groźnego żółtego wschodu.

„Klasztor i morze" Stefana G r a b i ń s k i e g o — to ładna książka. Opisuje Pomorze, rybaków-Kaszubów. Z wczuciem się prawdziwem odtwarza życie klasztorne z całem jego pięknem i słoneczną ciszą.

Ale rzadko która książka współczesna obywa się bez „ale". Niepotrzebnym i gmatwającym tylko kompozycję, przeładowującym ją, jest motyw metampsychozy. I kto chce opisywać klasztor katolicki, musi wiedzieć, że ksieni, zakonnica chrześcijańska, nie może się modlić o ukaranie grzesznika, tylko o odwrócenie pokusy i ocalenie od grzechu.

Koloryt lokalny w tej powieści jest doskonały — autor widział Pomorze oczami własnemi, nietylko przez pryzmat „Wiatru od morza". Wkrótce wyrazy gwarowe kaszubskie zadomowią się na dobre w literaturze i wzbogacą język literacki, jak w poprzednim okresie gwara górali tatrzańskich.

Anna Zahorska.

Władysław Glinka: P a m i ę t n i k i z w i e l k i e j w o j n y. 4 tomy. Skład główny Gebethner i Wolff.

Autor, obywatel ziemski z pod Ostrołęki i wybitny działacz społeczny w Kongresówce, kreśli z dnia na dzień swoje przeżycia od chwili wybuchu wielkiej wojny aż po koniec 1918 r. Zrazu przeważają w pamiętniku sprawy prywatne, troska o wzorowe gospodarstwo, o uratowanie znakomitej stajni i obory; w polityce autor udziału nie bierze i tylko z boku na nią patrząc, często o wypadkach wydaje sąd trafny. „Ewakuowany" z własnego majątku, idzie na tułaczkę na wschód i tam, obok tejże poprzedniej troski o zabezpieczenie własnego mienia, widzimy już sze-

roko rozwiniętą pracę społeczną nad polskiem tułactwem, w której to pracy autor wysuwa się coraz bardziej na czoło, przyjmując kierownicze i odpowiedzialne stanowiska. Wreszcie w r. 1917, w chwili walenia się caratu, wychodźtwo polskie wciąga się coraz bardziej do polityki czynnej, już tam na obczyźnie usiłuje służyć Ojczyźnie i buduje ją, jak rozumie i może. I tu znowu autor, zaufaniem całej emigracji polskiej w Rosji wysuwany jest na czoło różnych organizacyj i komitetów, prezyduje w nich i wpływa na bieg patrjotycznych prac. Stąd od połowy II tomu już mamy w pamiętnikach pierwszorzędny materjał historyczny. Stanowisko autora częstokroć jest niezmiernie trudne wśród zwalczających się wzajemnie stronnictw i orjentacyj, wielokrotnie zniechęca się on do polityki i usiłuje usunąć się na bok; dla pewnych kierunków nie szczędzi słów krytyki ostrej, mimo to wszystko dzięki swej prawości charakteru — która widnieje z pod skromności sądów autora o samym sobie — cieszy się miłością i zaufaniem u ludzi najrozbieżniejszych poglądów i łagodzi przeciwieństwa. Nie ujdzie tylko nienawiści bolszewickiej „Czeki", w której więzieniach spędził ostatnie miesiące swego pobytu na obczyźnie. Dramatyczny moment pamiętnika — to uwolnienie autora właśnie z więzienia moskiewskiego dzięki pewnemu poparciu ze strony wybitnego polskiego komunisty Próchniaka, któremu też autor uważa się za obowiązanego wyświadczyć usługę w dwa lata później, kiedy tenże Próchniak znalazł się zkolei w więzieniu polskiem.

Pamiętnik p. Glinki, zwłaszcza ostatnie dwa tomy, czyta się z rosnącem wciąż zainteresowaniem i nie zważa się wiele na usterki stylu (trochę archaicznego) i dość niedokładną korektę.

Ks. Jan Urban.

Dr. René Martial: La Pologne jadis et de nos jours. Paris, Gebethner i Wolff, str. 220.

Autor chce dać poznać swoim współziomkom Polskę, którą poznał i pokochał. Ale nie sili się na dokładne o niej studja, tylko lekkiemi pociągnięciami pióra szkicuje to, co najbardziej go uderzyło, co uważa za najbardziej charakterystyczne w Polsce. Ten sam charakter posiadają liczne piórkowe rysunki, przez samego autora wykonane, chwytane może z okien wagonu, którym przez Polskę przejeżdżał. Oczywiście w takiej książce trafią się nieścisłości co do historji czy faktów współczesnych, ale czytelnik obcy ich nie zauważy; pozostanie mu po przeczytaniu tylko sympatja do zaprzyjaźnionego narodu i państwa. Przedmowę do tej książki napisał p. L. Marin, prezez Towarzystwa Przyjaciół Polski w Paryżu.

Ks. J. Urban.

Jerzy Smoleński: Morze i Pomorze. Z cyklu „Cuda Polski". Wydawnictwo Polskie (R. Wegner) Poznań, str. 139.

Firma R. Wegnera w Poznaniu podjęła bardzo pożyteczne wydawnictwo. W cyklu monografij luksusowych pragnie dać poznać ogółowi „Cuda Polski", jej piękne ziemie, mieszkańców, obyczaje, bogactwa. Właśnie pierwszy tom, poświęcony „Morzu i Pomorzu" a pochodzący z pod pióra wybitnego uczonego, prof. Uniw. Jagiellońskiego, daje miarę tego, czego można spodziewać się po całem wydawnictwie. Mniej tu uwzględniony moment historyczny, chociaż i on jest zaznaczony. Mamy głównie geograficzny wykład, podkreślenie tego, co jest charakterystyczniejsze, piękniejsze w danym zakątku polski. Ilustracje heljograwurowe, rozrzucone po wszystkich stronicach książki, wykonane w całej pełni artystycznie. Cena książki (12 zł.) stosunkowo nie wysoka. Należy się spodziewać, że rozpoczęte wydawnictwo stanie się ozdobą domowych bibljotek i salonów i dopomoże do lepszego zrozumienia i odczucia prawdy tych słów: „Piękna nasza Polska cała".

J. U.

Dębicki Tadeusz. — Moienzi Nzadi — U wrót Konga. Z 10 ilustracjami i okładką K. Mackiewicza. Gebethner i Wolf 1928, in 8° str. 123.

Urzędnik konsulatu polskiego w Antwerpji obejmuje stanowisko oficera na ciężarowym okręcie belgijskim „Mateba" i odbywa jednorazową podróż do Konga. Cudne opisy przyrody zwłaszcza podzwrotnikowej, afrykańskiej, plastyczne barwne odmalowanie okrętowego życia, głównie momentów ładowania i wyładowania towarów, wreszcie osobiste refleksje autora na temat pseudo-cywilizacji niesionej Murzynom przez białych kolonistów — oto treść tej niezwykle zajmującej książki. Barwny styl, szczęśliwa forma krótkich, z życiem naszkicowanych, obrazków — przedewszystkiem zaś bijąca z każdej stronicy szlachetna szczerość, ujmują czytelnika od pierwszej chwili, podtrzymują uwagę i zainteresowanie aż do ostatniego wiersza.

O krajach i postaciach, które autor opisuje, istnieje już cała literatura, nie dowiemy się więc nic nowego — mimo to czytamy książkę z ogromnem zajęciem, bo drga ona życiem myślącego i szlachetnego człowieka. — Nie lubi on serdecznie przerafinowanej Europy, nienawidzi miasta „pobielanych grobów", z fizyczną wprost rozkoszą ucieka od wielkomiejskiego gwaru, by zetknąć się z przyrodą, oraz pierwotnymi ludźmi. I tutaj powstaje konflikt, rodzi się zgrzyt. Bystry obserwator spostrzega niebawem z ogromnym bólem, iż Murzyn, z natury poczciwy i naiwny, stał się niewolnikiem, mało — zwierzęciem roboczem, belgijskiego kolonizatora. Fakta, które autor przytacza (str. 49—52, 72—75, 92) przejmują oburzeniem, sceny wyrafinowanego okrucieństwa (103, 104, 119) budzą grozę — to też raz po raz ciśnie się pod pióro przekleństwo na tę pseudo-cywilizację, którą brutalny a chciwy kolonista niesie w imię postępu nieszczęśliwym Czarnym. To też

autor wyznaje szczerze: „Doprawdy czasem wstyd mi było, że należę do rasy białej" (str. 108). Ale tych scen okrutnych za wiele, za wiele obłudy tych „oswobodzicieli, którzy oswobodzili Czarnych chyba tylko z ich... wolności", to też jawią się, jako psychiczna reakcja, pełne grozy wybuchy gniewu i oburzenia na „padlinożercze białe sępy, które rozgrzebawszy już swemi szponami śmietnisko Europy"... rzuciły się na nowy łup w Afryce.

Ujmuje nas bezwątpienia szlachetne współczucie autora, podzielamy jego oburzenie, które potwierdza naszą osobistą tezę. Chwilami jednak autor posuwa się za daleko. „Zaprawdę, Rzym mniej ucierpiał od najścia Wandalów, niż te kraje od cywilizowanych odkrywców i misjonarzy". Niech autor zostawi w spokoju misjonarzy, bo błogosławionej ich pracy nie widział; nie zaglądnął ani do jednej stacji misyjnej w głębi Czarnego Lądu, gdzie misjonarz jest bohaterskim obrońcą i dobroczyńcą Murzyna. Porównanie heroicznej bezinteresownej pracy naszych misjonarzy z najazdem Wandalów — jest bolesną i niczem niezasłużoną krzywdą! To też gdy autor z goryczą żegna mieszkańców Konga patetycznym okrzykiem: „Bantu nie ufajcie nigdy białym ludziom biały człowiek wam to mówi", to murzyńscy katolicy odpowiedzieliby mu: „Tak wam kolonizatorom nie ufamy, ale naszych misjonarzy kochamy, jak ojców".

Autor wraca do Antwerpji. Uderza go „szarość barw i szarość życia i straszliwa, beznadziejna płytkość mieszkańców. Piwo, margaryna i zarozumiałość — to treść każdego z nich" (123). Może za mocno? Znam Belgów, nie jest tam tak rozpaczliwie. Kończymy życzeniem, by po uwzględnieniu wyżej wspomnianych poprawek, książkę tę przetłumaczono na język francuski. Dobry to będzie rachunek sumienia choć dla naszych sprzymierzeńców przykry.

Ks. E. Kosibowicz.

Joseph Douillet: Moscou sans Voiles. Editions „Spes", Paris, 17 rue Soufflot, 1928, str. 252.

Może ze wszystkich cudzoziemców, którzy pisali o Rosji bolszewickiej, autor tej książki posiadał najwięcej warunków i danych, by wyrobić sobie sąd rzeczowy o stosunkach panujących w komunistycznej republice i wiernie je odmalować. Taki np. książę Karol Rohan, który przed rokiem ogłosił swą książkę o Moskwie,[1]) bawił w niej i w Petersburgu zaledwie parę miesięcy, języka miejscowego oczywiście nie opanował, do głębin życia społeczeństwa rosyjskiego wcale nie dotarł, skazany raczej na oglądanie tego, co mu — jak i wielu innym ciekawym z Europy — pokazać chciano. Zapewne i on nie szczędzi niejednego surowego sądu o systemie bolszewickim, naogół jednak raczej

[1]) Moskau. Ein Skitzenbuch aus Sowietrussland. Vertag G. Braun in Karlsruhe.

ślizga się po powierzchni stosunków w bolszewji, w błyskotliwych szkicach estetyzuje, sili się na optymizm co do przyszłości.

Douillet nie jest w niczem do Rohana podobny. W Rosji spędził 35 lat, w tem dziewięć pod rządami komunistycznemi. Przez kilka lat, już za tych rządów, pełnił funkcje konsula belgijskiego, potem był pełnomocnikiem komisarza Ligi Narodów, prof. Nansena, do akcji ratowniczej w południowej Rosji, brał udział także w pracach misji papieskiej do zwalczania głodu. Język rosyjski zna, jak swój własny; ze wszystkiemi warstwami, począwszy od władz najwyższych, a skończywszy na głodnym proletarjacie stykał się bezpośrednio, pracował wśród nich i z nimi, psychikę rosyjską przeniknął do głębi. Dobrze poznał i więzienia bolszewickie, w których miesiące przesiedział. Pisze niewyszukanie, prosto; mamy u niego nie ogólne wrażenia, intuicje i syntezy, ale opisy nagich faktów, na które własnemi oczami patrzał, lub o których z najpewniejszych źródeł dowiedział się. Jego książka posiada znaczenie dokumentu.

Książkę swą dzieli na trzy części. W pierwszej omawia gospodarczy stan „raju czerwonego", ukazując ruinę i nędzę, do jakiej komunizm doprowadził robotnika i chłopa. Niezmiernie interesujące są szczegóły (autentyczne!) jak bolszewiccy władcy umieją tumanić rozmaite komisje, wysyłane dla zbadania stosunków gospodarczych w bolszewji przez robotników innych krajów. Prawdziwe potiomkinady! W części drugiej maluje autor stan szkolnictwa, które się bardzo cofnęło w porównaniu ze stanem, jaki istniał za caratu; kreśli przerażające obrazy upadku moralności wśród młodzieży i starszych, rozwoju bandytyzmu; we właściwym świetle przedstawia rzekomą społeczną opiekę sowietów. Wreszcie wstrząsające rzeczy opowiada o prześladowaniu religijnem. W części trzeciej daje poznać europejskiemu czytelnikowi mechanizm ustroju politycznego w Rosji, w którym rządy oparte są na solidarności garści zbrodniczych indywiduów i wzajemnem szpiegowaniu się. Ostatecznie losy tego kraju spoczywają w rękach G. P. U. (Gławnoje Politeiczeskoje Uprawlenje), to jest przemianowanej dawnej „Czeki", przed którą drżą nawet najwyżsi dostojnicy sowieccy.

Książka p. Douilleta to głośne ostrzeżenie Europy, by nie łudziła się co do powolnego ukulturalnienia bolszewizmu i możliwości pokojowego z nim współżycia. „Biada tym, którzy nie docenią lub nie zechcą zrozumieć niebezpieczeństwa, jakie grozi naszemu społeczeństwu i całej cywilizacji ludzkiej" — w tych słowach streszcza autor swe przestrogi i niemi zamyka swą książkę.

Ks. J. Urban.

Wenceslaus Pohl: De vera religione, quaestiones selectae. Herder, 1927. In 8⁰, str. 338.

Nowy podręcznik szkolny do apologetyki. Obejmuje on wykłady seminaryjne, z przed dziesięciu laty, obecnie ogłoszone dru-

kiem. Nowa książka, ale w treści i w formie stosunkowo niewiele nowego przynosi. Część pierwsza zawiera klasyczne dowody na istnienie Boga. Odnajdujemy tu w skróceniu tradycyjne dowody metafizyczne, fizyczne, moralne i historyczne. Czy naprawdę historyczne? Kiedy dowód zaczerpnięty z wiary w Boga, spotykanej rzekomo u wszystkich ludów; streszcza się w mocnem twierdzeniu, iż tak jest, bez uwzględnienia i wniknięcia w trudności, na jakie niezaprzeczenie napotyka w tym przedmiocie nowożytna historja porównawcza religij. Nie zaprzeczamy bynajmniej tezy, ale żądamy choćby najpobieżniejszego wytłumaczenia, stawianych przez skrajnych ewolucjonistów, trudności. Wszak w sposób pozytywny, abstrahując od objawienia, niepodobna, opierając się jedynie na etnologii i paleoantropologji, wykazać dowodnie, iż najstarszą formą religji jest monoteizm. Są w tym względzie mocne wskaźniki, jak wykazaliśmy w pracy: *Problem ludów pigmejskich*, z. XV, str. 194, niema dowodów przeciwnych, ale też brak wystarczających dowodów pozytywnych, by odtworzyć z nich historyczną prawdę. Jeśli zaś, pomijając zamierzchłe początki ludzkości, zechcemy zbudować dowód *ex consensu generis humani,* opierając się w tym celu na ludach współczesnych, to i w tym wypadku, trzeba przynajmniej podać jakieś elementy odpowiedzi na trudności, których nie brak!

Co sądzić o cejlońskich Wedda czy afrykańskich Baluba, u których pomimo badań nie odkryto dotychczas wiary w Istotę Najwyższą. Jak rozumieć ten fakt? Jak go wytłumaczyć? Jak wytłumaczyć zjawisko, iż wśród szeregu „dzikich" szczepów nie znajdujemy dzisiaj ni monoteizmu, ni nawet monolatrji, ale fetyszyzm, animizm, czy manizm? Naszem zdaniem apologetyczny dowód *ex consensu generis humani* wymaga koniecznie uwzględnienia tych zagadnień. — Do części pierwszej dołącza autor parę kwestyj o kantyźmie oraz moniźmie materjalistycznym i panteistycznym. Mamy tutaj pobieżne streszczenie klasycznego dzieła ks. F. Klimkego T. J. — Cała ta pierwsza część, jak wynika z treści, należy właściwie do teologji naturalnej, czyli filozofji, a nie do apologetyki.

W następnym traktacie omawia autor zagadnienie religji wogóle, udowadniając jej konieczność, powszechność i t. d., a zbija fałszywe teorje o jej powstaniu. Tutaj znowu mamy, zbyt schematyczne niestety i zbyt pobieżne, streszczenie klasycznego dzieła ks. W. Schmidt'a S. V. D. Na uznanie zasługuje fakt, że autor wogóle te kwestje porusza, że stara się wykazać pierwotny monoteizm w szeregu grup etnicznych, czy nawet ras całych, ale wyznajmy szczerze, iż wskutek ogromnej zwięzłości, obraz wypada dość słabo, a trudności prawie się nie uwzględnia.

Wreszcie część trzecia traktuje o objawieniu wogóle i jego kryterjach, jak cuda oraz proroctwa. — Rzecz cała opracowana zbyt schematycznie w formie krótkich tez, bez podania szerzej

rozprowadzonych dowodów. Nadać się może na podręcznik tylko wtedy, o ile profesor w schematyczne tezy autora, włoży żywą, interesującą, opartą na cytowanych przez autora źródłach, treść. W tej formie jak jest podana, apologetyka W. Pohl'a (względnie jej dopiero pierwszy tom) może służyć do szybkiej przedegzaminowej powtórki.

E. Kosibowicz T. J.

V. Bernadot, G. Desbuquois, M. Riquet: Le Joug du Christ. Paris, éd. „Spes", str. 155.

Nieposłuszni wezwaniom episkopatu i samej Stolicy św. zwolennicy „Action française" znaleźli w swych szeregach jakichś „teologów", którzy usiłują różnemi zdaniami, wyrwanemi z autorów kościelnych, uzasadnić możliwość oporu nakazom Kościoła w swoim wypadku. Tego rodzaju „teologiczną" elukubracją była niedawno książka p. Courcoural'a, która się też zaraz dostała na indeks. Ona dała asumpt trzem autorom, z których jeden jest dominikaninem a dwóch jezuitami, do napisania wspólnie tej małej książeczki o naturze posłuszeństwa, należnego od każdego chrześcijanina Kościołowi, a w Kościele i przezeń Chrystusowi. Oprócz pierwszego rozdziału, w którym autorowie rozprawiają się z dowodzeniami Courcourala, książeczka ta ma nietylko lokalne znaczenie, ale wszędzie może się bardzo przydać do wyjaśnienia religijnego stosunku wiernych do Kościoła Chrystusowego.

Ks. J. Urban.

Modlitwy Św. Tomasza z Akwinu, przetłumaczyła Eleonora Reicher. Przedmowa ks. prof. W. Michalskiego C. M. Warszawa, Koło Studjów Katolickich 1928, str. 106.

Istniejące już od lat kilku w Warszawie Koło Studjów Katolickich, dążące do ożywienia ruchu intelektualnego wśród katolickiej inteligencji świeckiej, rozpoczęło od niedawna także akcję wydawniczą. Owocem jej, obok czasopisma *Studja Katolickie,* jest parę tomików na tematy religijne, niewielkich, ale wydanych szczególnie gustownie pod względem formy zewnętrznej i poważnych treścią. Omawiany tu, czwarty z rzędu tomik, obejmuje zbiór modlitw św. Tomasza z Akwinu, wiernie i podniosłym stylem przetłumaczonych przez Dr. Eleonorę Reicher, a poprzedzonych przedmową ks. prof. W. Michalskiego. Książeczka ta, przeznaczona dla inteligencji, da jej poznać pełnię głębi myśli a równocześnie tchnące dziecięcą pobożnością modlitwy Doktora Anielskiego, dla literatury zaś naszej staje się ona nowym nabytkiem, po raz pierwszy bowiem ukazuje się w języku polskim całkowity zbiór tych modlitw. Tekst jest podwójny, łaciński i polski, druk ozdobny, dwukolorowy; ex-libris, jedna ilustracja i drobne rysunki zdobią tę estetycznie wykonaną książeczkę.

St. Podoleński.

Ks. Dr. Mieczysław Dybowski: O typach woli. Badania eksperymentalne. Książnica-Atlas 1928, str. 168+3 tablice.

Trudności w badaniu aktu woli, wynikające z jego związania z przedstawieniami i uczuciami nie zachęcają do badań eksperymentalnych. Tak niezwykle ciekawa dziedzina naszego życia duchowego nie nęci badaczy, gdyż w szkole czy codziennem życiu dochodzimy do intuicyjnej w pewnej mierze oceny cudzej czy własnej woli, opierając się na obserwacjach postępowania właśnie w całym splocie podniet, motywów czy rezultatów.

Ks. Dybowski podjął się żmudnej pracy zbadania 36 osób (18 kobiet i 18 mężczyzn) i opierając się na ich auto-obserwacji analizował z niemi najpierw jedną czynność (wstawanie z łóżka) pod względem wahania, wysiłku, uczucia towarzyszącego, świadomości działania, form procesu woli, celu i wykonania.

Następnie po kilku pytaniach orjentacyjnych przerabiał w podobny, jak powyżej, sposób, dwadzieścia czynności z życia codziennego (kupno książki, zabranie głosu na zebraniu, robienie wymówek i t. p.). Dopełniające pytania odnosiły się do postanowień i ich realizacji w życiu, oceny subjektywnej własnej woli. Pytania skonstruowane przez autora były bardzo oględne „nie wymagają, zdaniem jego, odpowiedzi, wzbudzających podejrzenia co do swej dodatniej lub ujemnej wartości w stosunku do charakterystyki badanej osoby". Niewątpliwie, że pytanie 7 (Jak zabrałeś się do spoczynku?) jest pod tym względem obojętne, ale już 8 (jak zniosłeś wymówkę?) lub 10 (jak potraktowałeś osobę, która Cię prosiła o cokolwiek niezbyt dla Ciebie trudnego?) wydają się nam pytaniami nie neutralnemi, zwłaszcza że połowa badanych to kobiety (nauczycielki szkół średnich i studentki). Jakkolwiek prawie wszyscy badani posiadali wyższe wykształcenie i rozumieli znaczenie i wartość badań (przy zapewnionej dyskrecji), zdaje się że objektywnie biorąc, trudno uznać odpowiedzi za bezwzględnie wierne.

Odpowiedzi, rozpatrywane przedewszystkiem z punktu widzenia wahań, dały autorowi podział na trzy grupy, skorygowany na niedość jasnej podstawie, na cztery grupy. Badanie zwłaszcza przeżyć aktualnych czyli świadomości działania, w których osobnik badany określa swój stosunek do aktu woli (chcę, należy, trzeba, powinienem, muszę, poddaję się), są bardzo ciekawe. Przy rozpatrywaniu tak ważnych form procesu woli ukazało się ich sześć. Forma zerowa jest bez wahań, osobnik nie widzi żadnych innych dróg i idzie odrazu jedynym torem; przy następnych pojawiają się różne motywy, nad któremi człowiek mniej lub więcej się zastanawia, a w formach końcowych (IV i V) dokonywa nawet chwilowego wyboru, jednak znów się cofa. Ta ostatnia okoli-

czność świadczy, iż osobnik mocnej woli nie posiada i marnuje siły psychiczne.

Nie wchodzimy w dalsze szczegóły samych badań i zestawiań, bardzo żmudnych przeliczań korrelacyj, gdyż interesują nas twierdzenia i wnioski. Typów woli okazuje się cztery i te mniej więcej odpowiadają temperamentom Acha. Typ C (choleryczny) jak wiadomo, jest stosunkowo najwięcej efektywny, typ B (sangwiniczny) najliczniejszy w tych badaniach, bo najliczniejszy wśród polskiej inteligencji. I tu właśnie przy ocenie wartości pewnych typów woli mamy sprawdziany niezupełnie jasne, zwłaszcza przy wskaźniku form procesu woli. Może to wynika z samej natury pracy, opierającej się głównie na zeznaniach osób badanych. Natomiast twierdzenia (str. 152—153) nie budzą żadnych wątpliwości.

Skoro wyniki swej pracy uważa autor za uprawniające — po odpowiedniem opracowaniu — do wniosków wychowawczych, możnaby jeszcze na jedną rzecz zwrócić uwagę. Praca ks. Dybowskiego schodzi ostatecznie do sprawy temperamentów, niedość ściśle zajmując się, obok podłoża przyrodzonego, jakie każdy z nas ma w swym temperamencie, kwestją charakteru wyrabianego trwałym wysiłkiem i zmian, jakie może on spowodować w formach procesu woli i w wykonaniu. Ponieważ chodzi tu o osoby dorosłe, więc znaczenie tego stanowiska obserwacyjnego jest donioślejsze niż u dzieci; skoro jednak to zostało trochę w ciemni, należało — naszem zdaniem — jaśniej związać z przedstawieniem typów woli sprawę temperamentów, zwłaszcza, że dość dużo o nich i rozmaicie się pisze, by tylko porównać poglądy np. W. Sterna *(Differentielle Psychologie)* i E. Kretschmera *(Körperbau u. Charakter, Medizinische Psychologie)*. Pewnie, że cztery cechy idjogeniczne woli (wysiłek, przeżycia aktualne, formy procesu i wykonanie), charakteryzując wolę muszą dać bardziej wyrazisty wskaźnik, czy jednak już przy samem badaniu, rodzaj temperamentu zaobserwowany u badanego doraźnie, nie mógł być wzięty pod uwagę, podobnie jak została zanotowana subjektywna ocena samego osobnika?

Praca ks. dra Dybowskiego pouczy szczegółowo czytelnika, jak analizować akt woli, naco w nim główną zwrócić uwagę, a to rzeczywiście dla wychowawcy (subjektywnie i objektywnie) jest zyskiem bardzo wielkim. Również przez zainteresowanie nas tą dziedziną psychologji, tak ważnej dla nas Polaków, rządzących się zwykle impulsami, dobrze zasłużył się autor tej sumiennej pracy, owocu kilkuletnich wysiłków.

Fr. Bielak.

W sprawie książki Ks. Dra Jakubisiaka.

Na recenzję książki Ks. Dra A. Jakubisiaka: Essai sur les limites de l'Espace et du Temps, pióra Ks. J. Ch., umieszczoną w naszem piśmie (czerwiec 1928 r.) otrzymaliśmy od Autora książki replikę, którą poniżej umieszczamy wraz z odpowiedzią Ks. J. Ch., zamykając zarazem tym sposobem dyskusję na temat omawianej książki. *Redakcja.*

I. Replika Autora.

Muszę przyznać na korzyść krytyki, że autor jej książkę moją czytał. Co więcej, z krótkiego sprawozdania, zajmującego pierwszą połowę artykułu, możnaby nawet wnosić, że krytyk mój starał się mnie zrozumieć. Niestety, druga połowa artykułu, zawierająca właściwą krytykę, dowodzi, że Ks. J. Ch. książki mojej nie zrozumiał, i że zatem krytyka jego jest bezpodstawna.

Nie zrozumiał Ks. J. Ch. zasadniczej tendencji systemu mojego, zwalczającego w dziedzinie metafizyki dwa najbardziej rozpowszechnione dziś błędy filozoficzne: monizm i ewolucjonizm. Że moja teorja czasu i przestrzeni wymierzona jest przeciw monistyczno-ewolucjonistycznej koncepcji świata, stwierdzają to najbardziej nawet powierzchowne sprawozdania prasy francuskiej. Zaznaczają to również przeciwnicy nasi, że wspomnę chociażby o krytyce mej książki w miesięczniku *Le Symbolisme*, organie masońskiego ezoteryzmu we Francji. [1])

Nie zrozumiał również Ks. J. Ch. epistemologicznych podstaw mojego systemu. Mówi np., że z punktu widzenia moich zasad „trzebaby konsekwentnie zwątpić o wszelkiej rzeczywistości poznania zmysłowego" i, co zatem idzie, „że zupełnie strony jakościowej rzeczy poznać nie zdołamy". [2]) Z jakich to przesłanek wyciąga krytyk podobny wniosek? Gdzie w systemie moim znajduje negację rzeczywistości poznania zmysłowego? Co upoważnia go do twierdzenia, że jakość rzeczy jest według mnie niepoznawalna? Wnioski Ks. J. Ch. są nietylko zupełnie dowolne, ale wprost przeciwne założeniom mojego systemu. Gdyby krytyk uważniej przeczytał rozdziały III, IV i V mej książki, to dowiedziałby się, że poznanie zmysłowe ma ważną rolę w systemie moim, bo ono to jedynie odkrywa nam jakość rzeczy. Wprawdzie poznanie to nie jest w stosunku do swego przedmiotu wyczerpujące, bynajmniej jednak nie jest złudne. Również i poznawana przez zmysły przestrzeń nie jest fikcją, jak błędnie interpretuje myśl moją Ks. J. Ch.; fikcyjne są tylko ciągłość i zmienność, jakie przypisujemy przedmiotom poznania zmysłowego na skutek ograniczoności tegoż poznania.

---

[1]) Powiedziane jest tam między innemi: „L'auteur s'attache à démontrer l'inanité ontologique de l'évolution..." *Le Symbolisme* „Organ d'Initiation à la philosophie du Grand Art de la construction universelle, Paris, Mai 1928.

[2]) Str. 362.

Najbardziej jednak charakterystycznym dowodem niezrozumienia mego systemu jest główny zarzut Ks. J. Ch. Zarzut ten dotyczy genezy zasad pierwszych i podstawy ich pewności. „Autor — pisze Ks. J. Ch. — wyprowadza zasady pierwsze z intuicji bytów konkretnych, które przedstawiają się nam jako rozróżnione i stałe. Taka intuicja mówi nam tylko, że tak rzeczywiście jest w każdym bycie, przez nas oglądanym. Nie mówi nam natomiast nic o bycie, którego oglądu nie posiadamy (Bóg)". [1]) Krytyk mój nie spostrzega, że trudność tę rozwiązują własne jego słowa. Dlatego intuicja bytów konkretnych nie mówi nam nic o Bogu, bo kompetencja jej nie przekracza sfery bytów konkretnych, bezpośrednio przez nas oglądanych. Przypisywanie tej intuicji zdolności oglądania Boga, byłoby wznowieniem błędu ontologizmu. Kwestji jaką drogą umysł ludzki dochodzi do Boga nie poruszam w mej książce, bo nie należy ona do zagadnień tejże. Dlatego też nie zajmuję się zasadami przyczynowości i wystarczającej racji, aczkolwiek przekonany jestem o doniosłości apologetycznej obu tych zasad. Chodziło mi tylko o wykazanie poznawalności otaczającego nas świata. Czy krytyk mój nie zdaje sobie sprawy, jak ważnem dla apologetyki dzisiejszej jest właśnie stwierdzenie poznawalności rzeczy stworzonych — *ea quae facta sunt* — przez których poznanie umysł nasz wznosi się do Stwórcy? Powróćmy jednak do jądra zarzutu. Jednem z głównych zadań mej pracy było wykazanie, że umysł ludzki znajduje treść zasad pierwszych nie w sobie samym, ale w bezpośredniem poznaniu rzeczy. Na czem więc opiera się pewność tych zasad? Na oczywistości *(évidence)* umysłowego oglądu, który to ogląd daje nam największą gwarancję, że byty konkretne są nieciągłe i stałe.

Dla zwykłego śmiertelnika rozwiązanie takie kwestji byłoby zupełnie wystarczające, dla naszego krytyka jednak jest ono za proste — *par trop simpliste* — jakby powiedzieli Francuzi. Z iście więc polską, a ściśle mówiąc niemiecką zdolnością komplikowania, doszukuje się Ks. J. Ch. innych podstaw dla najoczywistszych pewników myśli. I znajduje tę podstawę w zasadach przyczynowości i racji wystarczającej. Niestety, jednak obie te zasady są pochodne, wywodzą się bowiem z prawa tożsamości. By więc uchronić mnie od błędnego koła radzi mi Ks. J. Ch. przyjąć pewniki myśli „na ślepo"... Do takiego to paradoksu doprowadza Ks. J. Ch. „krytyczny" rozbiór podstaw mego konkretyzmu.

Poprzez dziwną tę logikę przezierają aż nadto osobiste sympatje krytyka dla pewnej filozofji, oraz niechęć do wszystkiego, co filozofji tej nie potwierdza. Nie trzeba być zbyt spostrzegawczym, by zauważyć, jak bardzo chodzi Ks. J. Ch. o obronę scholastyki. Tem się tłumaczy obojętność mego krytyka na poważne trudności, wykazane przeze mnie zarówno w noetyce, jak i w me-

[1]) Ibidem.

tafizyce scholastycznej. To nam również tłumaczy usiłowania Ks. J. Ch., by wykazać, że epistemologiczne podstawy mego systemu znane są już scholastykom współczesnym. Cóż wreszcie, jeżeli nie wierność postulatom arystotelesowskiego dynamizmu wyjaśnić nam może w krytyce Ks. J. Ch. gorącą apologję absolutu czasu? W obronie tej zasady zarzuca mi krytyk brak konsekwencji, nie spostrzegam bowiem, że „jeśli poznajemy szczegóły jedne po drugich, to mamy już do czynienia z rzeczywistem następstwem aktów, a zatem z jakimś rzeczywistym czasem". [1]) W zapale krytykowania nie widzi Ks. J. Ch., że przytoczone przykłady dowodzą jedynie wewnętrznego następstwa aktów naszego poznania lub woli, a więc i czysto subjektywnego czasu, bynajmniej zaś nie dowodzą istnienia tego, co nazywam *le temps extra-conscienciel*, a co w systemie Bergsona nazywa się *la durée absolue des choses*.

Również w związku z kwestją czasu ma mi za złe mój krytyk, że nie poprzestając na rozumowych dowodach, uciekam się do wiedzy Boga, który widzi wszystko jednym aktem. „Świadczy to tylko — pisze Ks. J. Ch. — że w bożem poznaniu niema następstwa, co jednak niekoniecznie wyklucza rzeczywiste następstwa w przedmiotach przez Boga poznawanych"... Zapewne, niekoniecznie wyklucza, ale i nie potwierdza rzeczywistego następstwa bytów, jeżeli weźmie się pod uwagę niemoc umysłu ludzkiego, by zrozumieć i wytłumaczyć jakąśkolwiek zmianę, jak to już od wieków wykazali Eleaci.

Zarzut odnoszenia się do wiedzy Bożej postawił mi już znany modernista, uczeń i kontynuator H. Bergsona — Edward Le Roy. To samo również zarzuca mi historjozof i neo-mesjanista rosyjski M. A. Berdiajew, który pracy mojej poświęcił krytyczną ocenę w redagowanym przez siebie filozoficzno-religijnym kwartalniku p. t. *Путь*. [2]) (Ocena ta — nawiasem mówiąc — o ile bardziej jest bezstronna, niż krytyka Ks. J. Ch.). W ustach obu tych myślicieli zarzut powyższy jest zupełnie zrozumiały; niezrozumiały jest jednak w ustach pisarza katolickiego i przytem kapłana, chyba, że mamy do czynienia z umysłowością, dla której najwyższym autorytetem w dziedzinie myśli jest system Arystotelesa i jego kontynuatorów średniowiecznych.

Tak się przedstawia w zarysie krytyka Ks. J. Ch. Nad innemi zarzutami przechodzę do porządku dziennego, bo są zupełnie gołosłowne, aczkolwiek dotyczą nieraz bardzo ważnych kwestyj. jak np. zarzut trudności uzgodnienia mego systemu z nauką objawioną. Nie będę również rozwodził się nad faktem, że poza kilku błahemi pochwałami, jak erudycja, oryginalność i t. p. Ks. J. Ch. nie znalazł nic dodatniego w mojej pracy.

---

[1]) Str. 363.
[2]) Numer 11, czerwiec 1928, str. 127—129.

System mój, jak każdy pomysł ludzki, nie może mieć pretensji do absolutnej pewności, a jako taki podlega krytyce. Ostoi się jednak wobec wywodów Ks. J. Ch. Wprawdzie wywody te, poparte powagą czasopisma, w którem znalazły miejsce, znajdą posłuch u niejednego z czytelników, których większość nie rozumie lub nie posiada oryginalnego tekstu mej pracy. Jest jednak nadzieja w Bogu, że i w Polsce książka moja doczeka się bardziej bezstronnej i kompetentnej krytyki, która potrafi wykazać jej rzeczywiste zalety, tak jak to już uczyniły oceny zagraniczne.

Łączę wyrazy poważania i szacunku

Ks. Dr. Augustyn Jakubisiak.

II. Odpowiedź Recenzenta.

Pierwsza z punktu widzenia katolickiego recenzja książki Ks. Jakubisiaka spotkała się z zarzutem zbytniej wyrozumiałości dla błędnych pojęć teologicznych autora. O ile na ten zarzut byłem przygotowany, o tyle nie spodziewałem się odpowiedzi samego Autora w formie, w jakiej ją nadesłał.

Zarzuca autor mojej krytyce, iż nie uwzględniła zasadniczej jego myśli, przeciwstawienia się monistycznemu ewolucjonizmowi. Przypuszczam, że w ocenie dzieła filozoficznego zwracać należy uwagę na to, co danemu dziełu jest właściwem. Opozycja zaś do monizmu za taką uchodzić nie może, bo wiele dzieł i obozów filozoficznych ma to samo zadanie; owszem każda teorja przeciwstawia się wszystkim innym, i równie dobrze można powiedzieć, że Ks. Jakubisiak obrał sobie za cel zburzenie podstaw perypatetyzmu, którego o monizm posądzić nie można, jak można powiedzieć, że dążył do obalenia samego monizmu. Zasadniczą cechą myśli ks. Jakubisiaka jest sympatja dla teorji względności, i tak charakteryzowaliśmy ją w krytyce.

Ważniejszą jest kwestja trzech zasadniczych zarzutów przez nas podniesionych. Na trudności autor nie dał żadnej wyczerpującej odpowiedzi. Przypatrzmy się tym trudnościom i odpowiedziom Ks. Jakubisiaka, podanym w replice.

Kamieniem obrazy i powodem odrzucenia scholastyki jest dla Ks. Jakubisiaka brak spoistości wewnętrznej między *„intelligibile“* i *„réale“*; że jedno z drugiem bynajmniej w scholastyce się nie pokrywa, czyli, że noetyka idzie innemi torami, niż metafizyka. Spodziewaćby się należało, że autor sam uniknie błędu, który u innych potępia. Niestety, ileż razy wpada w sprzeczność z samym sobą!? Autor w replice ani słowem nie odpowiedział na zarzut, że w jego teorji zapowiedziane dorównanie umysłu do rzeczy nie doszło do skutku. Umysł nie poznaje rzeczywistych jakości rzeczy, lecz tylko samą stronę ilościową.

Na zapytanie autora, jak mogłem w zarzucie dojść do wniosku, że z jego zasad trzebaby zwątpić o przedmiotowości wszel-

kiego poznania zmysłowego, odpowiemy, że doszliśmy do tego bardzo prostą drogą. Miejsce zmysłowe jest najściślej złączone z rozciągłością. Usuńmy rozciągłość z miejsca, względnie przestrzeni poznawanej przez zmysły, to cóż nam z niej pozostanie? Jeśli rozciągłość i ruch jest fikcją, to cóż będzie z jakościami, które zawsze, tylko jako rozciągłe narzucają się naszym zmysłom. Skądże mogę być pewnym, że jakości nie podzielą losu wyobrażeń zmysłowych ruchu i rozciągłości? Ucieczka do oczywistości nic tu nie pomoże, bo nie większą oczywistością cieszą się jakości, jak rozciągłość i ruch. Zresztą sam autor mówi, że za ruchem stoi o c z y w i s t o ś ć poznania zmysłowego, a przecież rzeczywistości tego ruchu autor nie uznaje (str. 80). Wierzymy, że z woli autora „poznanie zmysłowe ma ważną rolę w jego systemie, bo ono to jedynie odkrywa nam jakość rzeczy", ale autor wyrwał temu ważnemu czynnikowi poznania grunt z pod nóg, na jakim stał dotąd (przedmiotowość rozciągłości i oczywistość), a nie opatrzył mu nowej podstawy. Więc choć wierzymy w dobrą wolę utrzymania przedmiotowości poznania zmysłowego, to jednak śmiało powtórzyć możemy to, cośmy powiedzieli w krytyce, „że według zasad autora trzebaby konsekwentnie zwątpić o wszelkiej rzeczywistości poznania zmysłowego". Ponieważ zaś według zeznania samego Ks. Jakubisiaka jedynie poznanie zmysłowe odkrywa nam jakość rzeczy, więc strony jakościowej bytu w żaden sposób przedmiotowo poznać nie zdołamy.

Przejdźmy do drugiego zarzutu, do „charakterystycznego dowodu niezrozumienia (przez nas) systemu" Ks. Jakubisiaka. „Jednym z głównych zadań mej pracy — pisze autor w replice — było wykazanie, że umysł ludzki znajduje treść zasad pierwszych nie w sobie samym, ale w bezpośredniem oglądaniu rzeczy. Na czem więc opiera się pewność tych zasad? Na oczywistości *(évidence)* umysłowego oglądu, który to ogląd daje nam największą gwarancję, że byty konkretne są nieciągłe i stałe. Dla zwykłego śmiertelnika rozwiązanie takie kwestji byłoby zupełnie wystarczające..." (resztę pomijamy, bo niema nic wspólnego z naukową dyskusją).

Może przyda się tu nieco więcej ścisłości, choćbyśmy mieli zapożyczyć jej od Niemców. W zasadach, jak w każdym sądzie, wyróżnić należy treść (materję zasady, podmiot, orzeczenie) — i syntezę sądową, czyli formę połączenia podmiotu z orzeczeniem. W zarzucie chodziło o formę pierwszych zasad, czyli o syntezę podmiotu z orzeczeniem, która zdaniem wszystkich (nie wyłączając autora), cieszy się koniecznością i powszechnością. Wykazanie podstaw tej powszechności i konieczności różniczkuje najtęższe umysły (Arystoteles, Kant i t. d.). Autor zaś w replice starannie unika wszelkiej dyskusji na ten temat a zwraca uwagę na treść zasad, czyli na przedmiotowość podmiotu i orzeczenia. Jakkolwiek przedstawiałaby się kwestja wyprowadzenia z intuicji przedmioto-

wości podmiotu i orzeczenia, to przecież daremnie kusiłby się ktoś o uzasadnienie tą drogą konieczności i powszechności syntezy sądowej w zasadach. Intuicją poznajemy tylko byty konkretne, jednostkowe. Intuicja mówi nam, że ten, lub ów byt jest odróżniony od innych, stały. Ale skąd się bierze twierdzenie, że każdy byt cieszy się temi właściwościami? Odpowiada autor (str. 16), że „te dwa znamiona (rozróżnienie i stałość bytu), stwierdzone w bytach konkretnych, uogólniamy następnie i podnosimy do rzędu pierwszych zasad". Pytamy raz jeszcze, na czem mamy oprzeć to uogólnienie? Chyba nic prostszego nad to pytanie, nieprzekraczające wymogów „zwykłego śmiertelnika", rozumie się, cośkolwiek myślącego. Racją tego uogólnienia będzie albo jakaś jeszcze wyższa zasada, albo trzeba będzie bez mej rady poddać się ślepej konieczności.

Chyba że uogólnienie autora nie wyjdzie poza nawias faktów, stwierdzonych intuicją. Ale tak zyskane zasady pierwsze nie będą w ścisłem znaczeniu ogólnemi, lecz tylko kolektywnemi sądami. Nie będę mógł powiedzieć nigdy, że każdy byt jest stały i rozróżniony, ale tylko tyle, że zaobserwowane byty są stałe i rozróżnione, pierwsze zasady nie sięgną więc poza granice bytu, poznawalnego przez naszą intuicję. Jeśli tak — jeśli znaczenie pierwszych zasad ograniczymy tylko do bytów poznawalnych intuicją, to i zasady wtórne nie wyjdą dalej, i całe nasze poznanie zmuszeni będziemy zamknąć w ciasnych granicach czystego agnostycyzmu. Przekreśliwszy transcendentne znaczenie pierwszych zasad: tożsamości, sprzeczności, które są pierwiastkiem formalnym, normującym całe nasze poznanie pośrednie, pośrednią drogą Boga poznać nie zdołamy. Jeżeli więc autor nie przyjmie ontologizmu (bezpośredniego widzenia Boga), to transcendentny byt (Bóg) zostanie zupełnie poza nawiasem przedmiotów naszego poznania. Albo uogólnienie autora nie wyjdzie w zasadach poza fakty stwierdzone intuicją, a wtedy trzeba wybrać między ontologizmem lub agnostycyzmem; albo też uogólnienie to sięgnie poza granice intuicji, ale wtedy racją tego uogólnienia będzie albo podmiotowy imperatyw, albo wyższa jakaś zasada, o której pochodzenie znów można się spytać: „skąd?"

Innego wyjścia nie widzieliśmy i nie widzimy. Jeśli Ks. Jakubisiak znalazł je, to wypadało podzielić się tym wynalazkiem z innymi. Przypisywanie zaś krytyce, że wyprowadza pierwsze zasady z zasad przyczynowości czy wystarczającej racji, dowodzi albo niezrozumienia rzeczy, albo umyślnego bałamucenia w dyskusji, by do końca dojść nie było można.

Co do przedmiotowości czasu, to okazał Ks. Jakubisiak wielką odwagę, walcząc z przeciwnikiem (scholastyką), którego nie zna. Cóż wspólnego ma np. arystotelowski dynamizm z naszą rzekomą „gorącą apologją absolutu czasu"? Czas absolutny, jakby wieczny zegar, wydzwaniający godziny wieczności, to fantazja,

o jakiej nie śniło się ani mnie, ani Scholastykom. Pocóż tyle trudu w nawracaniu z tego błędu Arystotelesa, kiedy nie kto inny, jeno on, postawił określenie czasu, jako „*numerus motus secundum prius et posterius*". Jak zmiana i ruch nie mogą być bez podmiotu, tak i czas. Czas więc w myśl Arystotelesa nie jest bytem absolutnym. Ale z braku czasu absolutnego nie można przechodzić do braku wszelkiego czasu rzeczywistego. Między czasem absolutnym a czasem fikcyjnym Ks. Jakubisiaka może być czas rzeczywisty, tkwiący wewnętrznie w poszczególnych rzeczach konkretnych, zmieniających się rzeczywiście, fizycznie. Czas ten może być podmiotowym (to znaczy może tkwić w nas, jeśli zmiany w nas zachodzą), ale niemniej jest on rzeczywisty, niezależny od poznania, bytujący także poza poznaniem *(extraconscienciel)*. Braku tego rzeczywistego, jakkolwiek nie absolutnego czasu, autor nie udowodnił, bo nie wykluczył zmian i ruchu. Rzeczywiste zmiany w naszych aktach życiowych stwarzają rzeczywisty czas. Próżny wybieg autora, że to czas podmiotowy (nie-*extraconscienciel*). Przecież zmiany te są tak rzeczywiste, jak rzeczywistą jest moja jaźń. Jeśli one nie są poza świadomością, to i moja jaźń jest czysto idealną, i stajemy wtedy na gruncie czystego idealizmu. Jeśli nasze akty są czemś, są bytem, to widocznie nie każdy byt jest bezwzględnie stałym, wiecznym, bo i początek ma i końca się doczeka.

Oczekiwaliśmy odpowiedzi na „gołosłowny zarzut", tyczący stosunku teorji autora do Objawienia. Jasny każdemu przykład o łasce poświęcającej miał okazać, że są pewne fizyczne zmiany nietylko we mnie, ale i w innych ludziach, a więc rzeczywiste następstwo i czas. Zarzut zewnętrzny wprawdzie, ale dla wierzącego i księdza niezawodny sprawdzian ludzkich pomysłów, nie zasłużył sobie na zwrócenie uwagi autora. Powtórzymy go w jaśniejszej, może bardziej zrozumiałej formie.

Łaska poświęcająca jest czemś r z e c z y w i s t e m w duszy człowieka usprawiedliwionego, jest rzeczywistym bytem. Z objawienia wiemy również, iż wszyscy ludzie (wyjąwszy Chrystusa Pana i Najśw. Marję Pannę), przychodzą na świat bez tej łaski. Pewnem jest również z objawienia, że bez tej łaski nikt się nie zbawił, ani nie zbawi, a z ludzi będzie przecież jeszcze ktoś zbawionym, nie sama Matka Najśw. Są więc ludzie, którzy nie mają łaski w początku swego istnienia, lecz dostają ją później (nauka Kościoła o Chrzcie, Sakramencie Pokuty). Jeśli usuniemy „*ante*" i „*post*", rzeczywiste „przed" i „po", czyli rzeczywisty czas, to ten sam człowiek będzie rzeczywiście w łasce i rzeczywiście bez łaski w całem swem istnieniu. Nie jestże to sprzeczne z rozumem „zwykłego śmiertelnika?" Jakżeż to pogodzić z wiarą, która uczy, że łaska i grzech w tym samym podmiocie równocześnie pogodzić się nie dadzą? Takich sprzeczności z dogmatami katolickiemi możnaby mnożyć bezliku. Tak np. jasnem jest z Objawienia prze-

ciwstawienie obecnego życia jako próby — do życia przyszłego, mającego być karą lub nagrodą. Usuńmy pojęcie rzeczywistej zmiany i związanego z nią następstwa, to czas próby absolutnie nie będzie się różnił od posiadania celu.

Wreszcie zupełnie niezrozumiałem jest dla nas, jaki ma związek odwoływanie się do sumienia krytyka, jako „katolickiego pisarza i przytem kapłana" za podaną za św. Tomaszem (S. Th. I. q. 14. a. 13 c.) uwagę, „że z braku następstwa w poznaniu bożem nie wypływa brak następstwa w poznanych rzeczach". Przypuszczamy, że więcej uzasadnienia ma zdziwienie z naszej strony, jak „katolicki pisarz i przytem kapłan" puszczać się może samopas na tłumaczenie dogmatów na sposób protestanckich modernistów. To właśnie zdaje się być powodem, dlaczego pisma zagraniczne, ale a k a t o l i c k i e, zajęły się dość życzliwie pracą Ks. Jakubisiaka, a przeciwnie dlaczego z pism zdecydowanie katolickich nie mógł autor ani jednego przytoczyć na swoją obronę.

W odpowiedzi na replikę Ks. Jakubisiaka nie podnosiliśmy nowych zarzutów, bo na dawne nie otrzymaliśmy ani jednej rzeczowej odpowiedzi, której oczekiwaliśmy z szczerą życzliwością. Więc teorję Ks. Jakubisiaka wolno nam nadal uważać za nieuzasadnioną w swych podstawach, niezgodną ze sprawdzianem, podanym przez samego autora, a w wynikach swych sprzeczną z nauką objawioną.

Ks. J. Ch.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Encyklika o studjach wschodnich.

Kiedy w pierwszych latach tego stulecia poczęły się zbierać w Welehradzie kongresy „unjonistyczne", zainteresowanie się dyssydenckim Wschodem było wśród katolików stosunkowo słabe, a jeszcze mniejsza znajomość owego dyssydenckiego Wschodu. Pracowników naukowych, którzy studjowali Cerkiew Wschodnią, jej liturgję, dogmatykę i historję, lub obserwowali jej życie wewnętrzne, można było na palcach policzyć. Byli to przedewszystkiem OO. Assumpcjoniści w Konstantynopolu, grupujący się około kwartalnika *Echos d'Orient*. Rezultaty ich badań naukowych dotyczyły przeważnie starej literatury bizantyńskiej i kościołów wegetujących w dziedzinach sułtana Turcji; Rosją i jej Cerkwią nie mogli ci pracownicy zajmować się wiele. Ale i te zdobycze, które przynosili, nie przedostawały się ani na katedry katolickich uczelni teologicznych, ani do podręczników, z których ogół duchowieństwa katolickiego czerpał swą wiedzę rzeczy teologicznych. Kongresy welehradzkie niewątpliwie przyczyniły się do obudzenia żywszego zainteresowania się Wschodem, zwłaszcza największym odłamem Cerkwi odłączonej, Rosją. Pobudziły liczne siły do pilniejszych studjów, których rezultaty odbiły się częściowo na sposobie traktowania Wschodu w uczelniach teologicznych. Wprawdzie niejednokrotnie pionierzy tych studjów, zwłaszcza uczestnicy zjazdów welehradzkich, musieli rozpraszać uprzedzenia, bronić się przed podejrzeniami o sprzyjanie panslawizmowi w duchu rosyjskim, a nawet o zbytnią ustępliwość dla schizmy. Bądź co bądź uprzedzenia te powoli ustąpiły prawie zupełnie, a ostatnie zjazdy w Welehradzie odbywały się już pod wysokiemi auspicjami Stolicy świętej i przy licznym udziale samego episkopatu.

Ostatnia encyklika Ojca św. Piusa XI *Rerum Orientalium* z dnia 8 września tego roku nie wspomina wprawdzie o kongresach welehradzkich, całą jednak swą treścią przynosi najwyższą sankcję usiłowaniom owych zjazdów, najwyższą powagą apostolską zalecając to, co było przedmiotem dążeń prywatnych. Orędzie papieskie kreśli historję innych wysiłków w kierunku sprowadzenia Wschodu do jedności kościelnej, mianowicie w przeszłych stuleciach — niemal od chwili smutnego rozdwojenia — prac wybitnych teologów Zachodu w zakresie odpierania zarzutów wschodnich, synodów, na których nawiązywano zerwaną jedność, kruchą niestety i nietrwałą, trosk papieży o pogodzenie odszczepieństwa z Kościołem, wychowanie misjonarzy i wykształcenie uczonych teologów, mających na Wschodzie pracować, a zatem historję rozmaitych kolegjów zakładanych w Rzymie dla ludów wschodnich, wydawania ksiąg liturgicznych i t. d. Ukoronowaniem tych wiekowych trosk Rzymu było założenie przez Benedykta XV osobnej kongregacji do spraw wschodniego Kościoła i wyższego zakładu naukowego do studjów nad Wschodem, papieskiego Instytutu Wschodniego w Rzymie. Instytut ten, powierzony Zakonowi Jezuitów, z początku pracujący w trudnych warunkach i w lokalach tymczasowych, otrzymał wreszcie, dzięki hojności amerykańskich i hiszpańskich katolików, wspaniałą siedzibę własną, zgromadził bogatą bibljotekę naukową, ogłasza od kilku lat rezultaty swych prac w publikacji *Orientalia Christiana.* Ojciec św. z wielkiem uznaniem i miłością pisze o Instytucie, wymienia dyscypliny tam uprawiane, między niemi nawet studjum nad Islamem, i zaleca wszystkim biskupom, aby wysyłali do niego na studja adeptów teologji, którzy po ukończeniu ich będą mogli kierować podobnemi studjami w seminarjach diecezjalnych i innych uczelniach teologicznych. Takie wykształcenie tem bardziej jest potrzebne w naszych czasach, kiedy szerzone są fałszywe pojęcia o naturze jedności kościelnej, zaznaczone w poprzedniej encyklice Ojca św. *Mortalium animos.* Po studjach rzeczy wschodnich spodziewa się Pius XI wielkich pomocy w dziele sprowadzenia wschodnich dyssydentów do Kościoła, co mu szczególnie na sercu leży, dlatego pod koniec swego pisma jeszcze raz wzywa cały episkopat katolicki do poparcia na wszelki sposób *omni ope* tych studjów.

To, czego Ojciec św. pragnie, jest już częściowo wprowadzone w różnych diecezjach. Na przedostatnim kongresie w Welehradzie, 1924 r., została uchwalona, na przedłożenie niżej podpisanego, następująca rezolucja (druga zrzędu): „Aby znajomość odłączonego Wschodu jak najbardziej wśród kleru katolickiego rozszerzyć, pożądaną jest rzeczą, aby na

każdym z fakultetów teologicznych na uniwersytetach, jak również w seminarjach diecezjalnych, przedewszystkiem wśród Słowian, były wykłady o dogmatyce, liturgji, historji, o tem co jest charakterystyczne w obyczajach i życiu ascetycznem ludów wschodnich. Do tego celu bardzo posłuży założenie osobnych katedr, zwłaszcza na uniwersytetach. Jeżeli zaś gdziekolwiek będzie to niemożliwe z powodu braku przygotowanych sił, pożądanem jest, aby w każdym kraju był ktoś w rzeczach wschodnich biegły, któryby mógł na zaproszenie rektorów seminarjów objeżdżać seminarja z wykładami o powyżej wspomnianych rzeczach" (*Acta* str. 218). Rzeczywiście osobne wykłady takiej orjentalistyki, jak stwierdza encyklika Ojca św., zaprowadzono już w uczelniach katolickich w Paryżu, Lowanjum, Lille i innych miejscach. W Polsce są osobni do niej profesorowie w seminarjum duchownem w Łucku; w wielu innych seminarjach i na wydziałach teologicznych, np. w Lublinie, sama młodzież stworzyła osobne kółka do studjów, pod przewodnictwem jednego z profesorów, nad prawosławiem, zwłaszcza rosyjskiem. Encyklika *Rerum Orientalium* zjawia się jako aprobata Najwyższego Pasterza dla wszystkich skromnych dotychczas pracowników na tem polu i jako bodziec do wprowadzenia podobnych studjów tam, gdzie ich dotąd jeszcze nie było. Absolwenci Instytutu Wschodniego w Rzymie, któremu niechybnie Polska wielu słuchaczów dostarczy, wprowadzą wreszcie w czyn pod kierunkiem pasterzy diecezyj wolę Ojca św.

We wskazanej jednak przez papieża pracy naukowej, jak w każdej innej, pożądany byłby pewien podział i specjalizacja. Jeżeli w innych krajach będzie może główna uwaga zwrócona na początki schizmy wschodniej, na literaturę grecką, na kraje południowe, to u nas, sąsiadów „prawosławnej" Rosji i w kraju, w którym dokonaną została najpłodniejsza z prób unji, Unja brzeska, na te właśnie rzeczy uwaga szczególna winna być zwrócona. Początki chrześcijaństwa w Polsce i na Rusi, powody oderwania się Cerkwi ruskiej od Wschodu, historja tejże Cerkwi, Unja brzeska, jej charakter, owoce, słabe strony i częściowy upadek, charakter religijny ludów ruskiego i rosyjskiego, teologja prawosławia rosyjskiego — oto główne zagadnienia, któremi zająć się należy. Wobec trudności gromadzenia źródeł do takich studjów, pożądanem byłoby utworzenie przy którymś ośrodku polskiej nauki katolickiej — specjalnej bibljoteki, z której pracujący w tej dziedzinie mogliby korzystać; pożądaną wreszcie byłaby jakaś publikacja naukowa, np. na wzór *Reformacji w Polsce*, w której rezultaty studjów nad rzeczami wschodniemi znalazłyby przytułek. Żywimy nadzieję, że encyklika pobudzi powołane do tego czynniki i siły naukowe do

obmyślenia i stworzenia takich warsztatów pracy nad poznaniem bliskiego nam chrześcijańskiego Wschodu. A taka praca będzie wypełnieniem jednego z zadań, jakie Opatrzność siłą wydarzeń historycznych zleciła do wykonania naszemu narodowi.

Ks. Jan Urban T. J.

VI Międzynarodowy kongres nauk historycznych.

Kongres historyczny, który w sierpniu b. r. odbył się w Oslo, zgromadził przeszło 1000 uczestników z wszystkich niemal krajów świata; wysłuchał blisko 400 referatów naukowych; powziął tyle uchwał, że nie zdążono ich nawet odczytać na zebraniu końcowem; znalazł czas na przyjęcia towarzyskie niezwykle liczne, bo urządzane nawet przez poszczególne delegacje narodowe; skończył się wreszcie całym szeregiem wycieczek, poczęści tak długich i dalekich, że równały się właściwie podróżom po dolinach i górach, jeziorach i fiordach najrozmaitszych okolic Norwegji.

Z tych wszystkich względów trudno o wyczerpujący obraz zjazdu i jego prac a to tem bardziej, że — jak zwykle — sekcje kongresu obradowały równocześnie i wskutek tego nikt z obecnych nie mógł się zapoznać z całokształtem obrad. To też liczne relacje, które ukazują się i ukazywać się będą w różnych pismach, muszą się wzajemnie uzupełniać. Pozostawiając zaś prasie codziennej uwagi ogólne o nastroju na tłumnych zebraniach plenarnych, o serdecznej a pełnej prostoty gościnności Norwegów, o ich demokratycznym królu — i tyle innych, które niemal mimo woli cisną się pod pióro, ograniczymy się tutaj do mniej wdzięcznego zadania poruszenia kilku zagadnień zasadniczych.

Naprzód pragnęlibyśmy odpowiedzieć na pytanie, czem się różnił kongres w Oslo od poprzedniego międzynarodowego kongresu historycznego, który w r. 1923 zebrał się w Brukseli. Odrazu bowiem można stwierdzić dwie różnice wielce charakterystyczne.

Przedewszystkiem kongres z 1928 r., w przeciwieństwie do brukselskiego i do podobnych zjazdów przedwojennych, był systematycznie i oddawna przygotowany, nietylko przez doraźnie utworzony komitet miejscowy, lecz przez stały organ, który w przerwach między kongresami stanowi łącznik między historykami różnych krajów i zapewnia ich ciągłą współpracę. Organ ten, stosunkowo młody, bo historyków wyprzedzili pod tym względem przedstawiciele innych nauk, powstał w r. 1926 jako rezultat najważniejszej bodaj uchwały, powziętej na kongresie brukselskim. Przy tej sposobności warto przypomnieć, że uchwałę tą spowodował nietylko, jak się to zwykle stwierdza, wniosek amerykański, ale również wniosek polski, a raczej formalny projekt stałej międzynarodowej organizacji historyków, przedstawiony w Brukseli

w imieniu Polskiego Towarzystwa Historycznego. Przypomnienia ego wymaga ścisłość historyczna, aczkolwiek dobrze wiadomo, e także w ważniejszych bezporównania sprawach współczesnych, nicjatywy polskie mniejszego o wiele nabierają rozgłosu od amerykańskich.

W danym wypadku było to zresztą usprawiedliwionem o tyle, że Amerykanie nietylko postawili wniosek założenia Międzynarodowego Komitetu nauk historycznych, lecz dostarczyli też funduszów, które umożliwiły mu odrazu działalność na szerszą skalę. W tej zaś działalności początkowej Komitetu, oprócz międzynarodowej, bieżącej bibljografji historycznej, której pierwszy tom ma się niebawem ukazać, sprawa przygotowania zjazdu w Oslo wysunęła się naturalnie na pierwszy plan.

Nie wchodząc w szczegóły, wystarczy stwierdzić, że dzięki istnieniu stałego komitetu centralnego udało się tym razem uniknąć choć w pewnej mierze zbytniej chaotyczności i bezplanowości obrad, które zwykle cechują wielkie zjazdy międzynarodowe. Wybrano bowiem pewną liczbę szczególnie ważnych zagadnień naukowych, zapraszając do ich opracowania wybitnych specjalistów, a zwłaszcza wysunięto na pierwszy plan tak aktualny dziś problem narodowości, ujęty oczywiście w swym historycznym rozwoju. Istotnie też liczne stosunkowo referaty, grupujące się około tego zagadnienia, stały się pewnym ośrodkiem kongresu i nadały mu jak gdyby specyficzne piętno. Nadto narodowe komitety historyczne, które stanowią podstawę całej organizacji międzynarodowej, zajęły się w poszczególnych krajach doborem dalszych referatów, starając się wyeliminować przytem prace zbyt specjalne, nie mogące liczyć na szersze zainteresowanie, które tak szkodliwie obciążały kongresy dawniejsze. Nie udało się to jeszcze w całej pełni, ale w każdym razie postęp był widoczny.

Ale stały komitet międzynarodowy służy nietylko jako organ przygotowawczy, lecz również jako organ wykonawczy, którego brak dotkliwie odczuwano na poprzednich zjazdach. Właśnie bowiem wskutek tego braku ich uchwały miały jedynie charakter platonicznych życzeń, podczas gdy obecnie można było wszystkie uchwały przekazać komitetowi, który przed następnym zjazdem zbierze się kilkakrotnie, w szczuplejszem, ściśle fachowem gronie wnioski te rozpatrzy, a w miarę możności zajmie się ich wprowadzeniem w życie. Przyszłość okaże, o ile ta metoda będzie naprawdę skuteczną, ale już w Oslo, dzięki istnieniu komitetu, miało się wrażenie, że układanie rozmaitych dezyderatów nauki historycznej nie jest, jak dotąd, próżnym zupełnie trudem lub co najwyżej apelem do dobrej woli poszczególnych instytucyj lub nawet jednostek.

Innego zupełnie rodzaju jest druga różnica zasadnicza między kongresem bruksełskim a tegorocznym. W r. 1923, niedługo po wojnie, nie mogło jeszcze być mowy o zjeździe historyków

wszystkich bez wyjątku narodów. Niemców wówczas nie zaproszono wcale, a w związku z tem brakowało też Austrjaków, Rosję zaś reprezentowało wyłącznie kilku uczonych z pośród emigracji. Tym razem natomiast udział niemieckiej nauki historycznej był nader liczny, a również i najważniejsze instytucje Rosji sowieckiej wraz z Białorusią i Ukrainą były oficjalnie reprezentowane. Nasuwa się więc pytanie, jak się to rozszerzenie grona uczestników odbiło na pracach kongresu.

Co do nauki niemieckiej, to bezstronnie należy stwierdzić, że dostarczyła ona zjazdowi nietylko referatów bardzo licznych — około 50 — wygłoszonych przez wybitnych fachowców, lecz także, wśród tej liczby, całego szeregu prac niezwykle cennych, stojących na bardzo wysokim poziomie naukowym. Tak np. zgodnie uznawano w Oslo, że z pięciu odczytów, wygłoszonych na zebraniu inauguracyjnem, najlepszym był referat prof. Brandi'ego z Getyngi o Karolu V, oparty na obfitym i ciekawym materjale źródłowym, a przedstawiony nadzwyczaj przejrzyście i zajmująco. Z referatów sekcyjnych wymienimy tylko dwa, które sami mieliśmy sposobność wysłuchać, mianowicie prof. Steinacker'a z Innsbrucku w cyklu o narodowości i prof. Aubin'a z Giessen o nowych metodach geografji historycznej.

Nieuniknione okazały się coprawda, wskutek udziału Niemców, pewne dość drażliwe polemiki, np. niemiecko-francuska w sprawie nauczania historji, oraz niemiecko-polskie w sprawie pierwotnego zasiedlenia ziem nadwiślańskich i co do roli dziejowej Bismarcka. Ale te polemiki, przynajmniej dwie ostatnie, miały stosunkowo spokojny, naukowy charakter, a miłą wprost niespodzianką było dla nas, że jedyny referat obcy, dotyczący bezpośrednio historji polskiej, mianowicie polityki kościelnej Jagiellonów, przedstawiony przez prof. Völcker'a z Wiednia, odznaczał się nietylko gruntowną znajomością przedmiotu, ale też ścisłą bezstronnością a nawet sympatją i uznaniem dla wielkich królów naszych, ich mądrości politycznej i tolerancji religijnej.

Na końcowem zebraniu plenarnem przypadkowo stanęły obok siebie referaty prof. Dopsch'a z Wiednia i prof. Pokrowskiego z Akademji komunistycznej w Moskwie. Trudno byłoby o bardziej jaskrawą antytezę dwóch ideologji i metod naukowych. W ściśle rzeczowym, pełnym erudycji wywodzie prof. Dopsch'a ten niepospolity znawca historji gospodarczej wykazał dowodnie, że dane ekonomiczne żadną miarą nie mogą wystarczyć dla wytłumaczenia rozwoju dziejowego, gdyż najbardziej nawet utarte uogólnienia, z nich wysnute, nie wytrzymują krytyki, jak chociażby ponętna teza o kolejnem po sobie następstwie gospodarki naturalnej i pieniężnej. Natomiast próba prof. Pokrowskiego, aby wyjaśnić genezę absolutyzmu rosyjskiego zapomocą materjalizmu historycznego i aby zarazem dać dowód nieomylności tego ostatniego, całkowicie zawiodła i nikogo chyba nie mogła przekonać. Bardzo nie-

licznych danych źródłowych, które miały uzasadnić nową zupełnie koncepcję dziejów rosyjskich, nie mogły uzupełnić ogólniki zaczerpnięte z dogmatów marksizmu, ani twierdzenia w rodzaju tego, że Tatarzy, z którymi według „burżuazyjnych" poglądów Moskwa musiała staczać tak ciężkie boje, to byli w istocie „spokojni pasterze".

Tem ciekawsza była polemika prasowa, która na marginesie kongresu odbyła się między Pokrowskim a Rostowcewem, obecnie profesorem w Stanach Zjednoczonych, o to, kto właściwie ma prawo reprezentowania nauki rosyjskiej: wysłannicy sowietów, czy też uczeni z emigracji. Stanowisko słynnego archeologa i historyka starożytności, który występował w imieniu niezbyt licznych zresztą w Oslo emigrantów, było ułatwione dzięki okoliczności, że właśnie najpoważniejsi uczeni, którzy figurowali w spisie delegatów sowieckich, wcale się nie zjawili na kongresie. Tak np. daremnie historycy polscy pośpieszyli na posiedzenie, na którem według programu miał przemawiać prof. Hruszewski z Kijowa. Wobec tego wolno chyba stwierdzić, że udział U. S. S. R. w zjeździe historycznym niewiele się przyczynił do wzbogacenia jego rezultatów naukowych.

Zauważywszy jeszcze, że brakowało tym razem Litwy, którą w r. 1923, w przerwie między dwoma okresami swej działalności politycznej, reprezentował w Brukseli prof. Waldemaras, przejdziemy teraz odrazu do tych właśnie wyników naukowych, osiągniętych w Oslo. Rzecz jasna, że nie może być przytem mowy o ich szczegółowej analizie, którą niewątpliwie podejmą wszyscy zainteresowani specjaliści po ogłoszeniu wszystkich referatów, lecz tylko o uwydatnieniu kilku momentów charakterystycznych.

Zacznijmy od strony organizacyjnej, a to chociażby dlatego, że następny kongres, w r. 1933, ma się odbyć w Warszawie, tak że na nas spadnie w dużej mierze odpowiedzialność za jego urządzenie. Wskutek tego wszelkie zagadnienia organizacji naukowej zjazdu już dzisiaj zasługują na baczną uwagę historyków polskich. Podkreślamy: organizacji n a u k o w e j, a to z dwóch względów. Po pierwsze bowiem żadnej wątpliwości nie ulega, że organizacja przyjęć i wycieczek wypadnie w Polsce doskonale, na pewno nie gorzej aniżeli w Norwegji lub w Belgji. Po drugie zaś uważamy, że wogóle na wszystkich kongresach międzynarodowych, bez względu na ich specjalność i miejsce, zbyt dużo poświęca się trudu, czasu i pieniędzy organizacji towarzysko - sportowej, a stosunkowo za mało — naukowej. Stąd właśnie pochodzi utarte mniemanie, że kongresy są bardzo ważne dla nawiązania stosunków osobistych między uczonymi, ale mało owocne dla samej pracy naukowej. Mniemanie to jest w dużej mierze uzasadnione przy obecnym stanie rzeczy; ale też dlatego ten stan rzeczy niewątpliwie wymaga reformy.

Dotychczasową organizację kongresów naukowych cechują

dwa błędy kardynalne. Jednym z nich jest przeciążenie programu i wypływające stąd równoczesne odbywanie posiedzeń wszystkich zbyt licznych sekcyj, przyczem na porządku dziennym każdego z tych posiedzeń stoi zbyt wielka ilość referatów. Drugim, zresztą ściśle związanym z pierwszym, jest pośpiech, który ciąży na obradach, a zwłaszcza na tak doniosłych pod względem naukowym dyskusjach. Ważniejszem od wartości naukowej referatu wydaje się to, aby nie przekroczył ani o minutę regulaminowej półgodziny, a już zgoła nie naukowem jest ograniczenie przemówień w dyskusji do pięciu minut, a całej dyskusji do półgodziny. Zresztą i te terminy stają się iluzoryczne i muszą być dalej skracane ze szkodą dla rzeczy i dla powagi obrad, jeśli na zebraniu, które musi się skończyć po niecałych trzech godzinach, ma się wysłuchać i przedyskutować referatów — pięć!

Krytyka tych tradycyjnych już przepisów regulaminowych nie jest bynajmniej wymierzoną przeciwko organizatorom kongresu w Oslo. Przeciwnie, należy przyznać, że wynikającym z nich niedogodnościom starali się oni zaradzić rozmaitemi sposobami, grupując np. referaty o pokrewnej treści, aby umożliwić jedną, wspólną nad niemi dyskusję. Zresztą ustalenie systematycznego programu utrudnili im ci uczeni, którzy zgłosili tematy swych odczytów, a w ostatniej chwili zawiedli, nie przyjeżdżając wcale. W każdym razie jednak strona naukowa kongresu cierpiała, jak na poprzednich zjazdach, z powodu tych przeszkód technicznych. Warto to udowodnić przykładami.

Wspomnieliśmy wyżej, że jako naczelny temat obrad kongresowych wysunięto problem narodowości. Ale, niestety, główne w tej sprawie referaty, w liczbie pięciu, musiały się zmieścić na jednem posiedzeniu, tak, że po ich wysłuchaniu było już tak późno, a zmęczenie tak ogólne, że mimo zainteresowania, jakie wzbudził sam temat i również jego ujęcie przez referentów, wszelka dyskusja okazała się niemożliwą. Innym razem, na zebraniu sekcji metodologicznej, po wygłoszeniu trzech referatów o pokrewnej treści już rozpoczynała się bardzo ciekawa dyskusja, gdy stwierdzono, że należy ją przerwać natychmiast, jeśli czwartemu referentowi ma pozostać przynajmniej ta półgodzina, do której miał niezaprzeczone prawo. Przewodniczący mógł tylko ubolewać nad tem, że interes nauki musi ustąpić przed regulaminem.

Niemniej wymownym jest przykład wręcz przeciwnego rodzaju. Z referatów, wygłoszonych na plenum i wskutek tego zupełnie pozbawionych dyskusji, jeden, mianowicie odczyt prof. Pirenne'a na poruszony przezeń już poprzednio temat o związku między ekspansją islamu a początkiem średniowiecza, domagał się tej dyskusji tak niewątpliwie, że umieszczono ją na porządku dziennym jednego z zebrań sekcyjnych. Zdawało się zrazu, że będzie to zgoła iluzorycznem, gdyż na tem samem zebraniu miano przedstawić i przedyskutować jeszcze cztery inne referaty. Tak

się jednak złożyło, że żaden z tych czterech referentów nie przybył, i wskutek tej przypadkowej zgoła okoliczności dyskusja nad tak ciekawą a sporną tezą wielkiego historyka belgijskiego mogła się rozwinąć całkiem swobodnie, bez żadnych ograniczeń regulaminowych. Bez względu zaś na meritum sprawy, posiedzenie to, na którem zabrało głos 7 czy 8 historyków różnej narodowości, a sam Pirenne odpowiedział w formie nowego, pełnego temperamentu przemówienia, stało się niewątpliwie jednem z najbardziej zajmujących i pouczających na całym zjeździe.

Stąd wniosek, że utarta technika zjazdowa wymaga stanowczo reformy dla dobra nauki. Pewien krok w tym kierunku zrobiono w Oslo dzięki temu, że dla dalszych studjów nad całym szeregiem zagadnień podstawowych, interesujących wszystkie narody, jak np. absolutyzm oświecony, międzynarodowa rola papiestwa i t. p., stworzono osobne komisje. Ich członkowie mają pozostać w stałym między sobą kontakcie aż do następnego kongresu, na którym te kwestje, należycie przygotowane, będą stanowiły przedmiot owocnej niewątpliwie wymiany myśli. Nadto staną się one zapewne przedmiotem badań i publikacyj naukowych, prowadzonych równolegle i we wzajemnem porozumieniu w rozmaitych krajach. Przyszłość okaże, o ile ta metoda okaże się celową.

Odrazu natomiast zawiodła inna innowacja, mianowicie rozróżnienie między zwykłemi komunikatami zjazdowemi a referatami („rapports") w ścisłem tego słowa znaczeniu. Te ostatnie, poświęcone szczególnie ważnym zagadnieniom, zwykle zamówione przez organizatorów kongresu u najlepszych znawców, ogłoszone przed zjazdem *in extenso,* nie miały być na nim czytane, lecz tylko krótko streszczone, a zato tem gruntowniej przedyskutowane. Tymczasem ich autorowie, jak to było do przewidzenia, rozwijali je tak obszernie, jak inne komunikaty, a mało kto skorzystał z wydrukowanego tekstu, aby się przygotować do dyskusji. To też różnica między dwiema kategorjami prac kongresowych zupełnie się zatarła w praktyce.

Mimo to sama myśl takiego zróżnicowania wydaje się trafną i mogłaby, odpowiednio wydoskonalona, znaleść zastosowanie na następnych kongresach. Należałoby mianowicie zapomocą narodowych komitetów historycznych wybrać z pośród zgłoszonych referatów, zawsze aż nazbyt licznych, te wszystkie, które mogą zainteresować uczonych wszelkich specjalności i wywołać pożyteczną dyskusję. Tym referatom poświęconoby szereg posiedzeń specjalnych, umieszczając co najwyżej trzy odczyty na każdem zebraniu, a podczas tych posiedzeń nie odbywały się żadne inne zebrania sekcyjne, w dotychczasowem znaczeniu. W sekcjach znalazłyby miejsce referaty o bardziej szczegółowej treści, ale i tutaj trzebaby uniknąć zbyt wielkiej liczby sekcyj, pracujących równocześnie, oraz zbyt długich porządków dziennych, a nato-

miast czas przemówień w dyskusji ograniczać dopiero wtedy, gdy istotna potrzeba wywoła wniosek w tym kierunku. Rzecz jasna, że trzebaby przy tej metodzie pracy poświęcić więcej dni na naukowe obrady kongresu; ale naszem zdaniem opłaciłyby się one wtedy o wiele lepiej, a jeśli mniej pozostanie czasu na śniadania, herbaty i bankiety, to nieszczęście nie będzie znowu tak wielkie.

Pośpieszamy zresztą stwierdzić, że nawet przy obecnej metodzie kongresy nie wydają się nam wcale tak jałowe pod względem czysto naukowym, jak się to zwykle twierdzi. Wystarczy przypomnieć, że właśnie np. zjazd w Oslo pobudził historyków z 29 krajów do opracowania kilkuset studjów, których przeważna część nawet w formie dotąd ogłoszonych streszczeń naukę niewątpliwie posuwa naprzód, a zresztą w wielu wypadkach to streszczenie stanie się punktem wyjścia dla obszerniejszej pracy. Na dojrzałości tej pracy korzystnie się odbije to, że jej temat był przedmiotem, jeśli nie wyczerpującej dyskusji, to przynajmniej rozmowy z kolegami fachowymi na zjeździe; nadto, zapowiedziana na kongresie międzynarodowym, zwróci oną łatwiej na siebie uwagę historyków innej narodowości. Wreszcie warto zaznaczyć, że w Oslo prawdziwa atmosfera naukowa mogła się rozwinąć tem pełniej, że spokojne, stosunkowo niewielkie miasto nie przeszkadzało skupieniu myśli. Pod tym względem fatalna pogoda, która podczas dni kongresu nieraz uniemożliwiała niemal wyjście na ulicę, miała także swoją dobrą stronę. Wycieczki zaś, które mimo to urządzono po mieście i jego okolicy, miały dużą wartość naukową, dając sposobność poznania niezwykle ciekawych zabytków archeologicznych, doskonale objaśnianych.

Tem natarczywiej oczywiście nasuwa się pytanie, jaką na tym zjeździe odegrała rolę nauka polska. Najwymowniejsze będą pod tym względem suche dane statystyczne. W ich świetle udział historyków polskich w pracach zjazdu przedstawia się bez przesady imponująco, poważniej jeszcze aniżeli pięć lat temu w Brukseli. W programie kongresu znajdujemy bowiem na ogólną liczbę 359 referatów — 44 polskich, t. j. o jeden tylko mniej aniżeli niemieckich; więcej pozycyj, bo aż 88, dostarczyła tylko Francja, wszystkie zaś inne narody pozostają daleko wtyle: sama Norwegja dała tylko 26 referatów, a nawet liczba referatów nadesłanych z innych „wielkich mocarstw“ waha się między dwudziestką (Włochy i Stany Zjednoczone) a piętnastką (Anglja i Sowiety).[1]) Prawda, że z powodu nieobecności szeregu referentów — w tem niestety kilku z naszych najwybitniejszych uczonych — prac polskich, istotnie przedstawionych w Oslo, było tylko 33; ponieważ

[1]) Ciekawem będzie może przytoczenie dalszych liczb: Austrja 12, Belgja i Rumunja po 11, Szwecja 8, Czechosłowacja 6, Hiszpanja i Holandja po 5, Szwajcarja i Węgry po 4, Danja i Finlandja po 3, Gdańsk, Jugosławja i Portugalja po 2, wreszcie kilka krajów po 1 referacie.

jednak takie nieobecności zdarzały się też wśród innych delegacyj, proporcja nie ulega przez to zmianie.

Delegacja nasza liczyła osób 37, w tem prelegentów 26, a przedstawiała się bardzo wszechstronnie, zwłaszcza co do specjalności naukowych. Z pośród 15 sekcyj zjazdu tylko prehistoryczna, historji krajów zamorskich, historji sztuki i nauczania historji nie miały prac polskich w programie; zresztą historja sztuki wogóle zajęła o wiele mniej miejsca aniżeli na zjeździe brukselskim, a nowa sekcja nauczania historji mało, zdaje się, przyniosła pożytku. Reprezentowane były w Oslo wszystkie nasze środowiska uniwersyteckie, z wyjątkiem — niestety — Lublina; bardzo ważnem było, zwłaszcza wobec pierwszego zetknięcia z historykami niemieckimi, że szczególnie licznie i czynnie, ledwo ustępując stołecznej Warszawie, wystąpił Poznań. Obok przedstawicieli starszego pokolenia, o nazwiskach znanych już oddawna w kraju i zagranicą, stanęli także młodzi jeszcze doktorowie, którzy niewątpliwie przeszli w Oslo doskonałą szkołę. Ciekawszem jeszcze było, że w żadnej delegacji nie było tyle referentów-kobiet, co właśnie w naszej.

Ten ilościowo tak wybitny udział Polski w zjeździe jest przedewszystkiem zasługą naszego rządu, który w pełnem zrozumieniu ważności sprawy pokrył koszta podróży i pobytu w Oslo wszystkich delegatów. Wszak inaczej mało kto byłby zdołał wyprawić się w tę daleką drogę do kraju o niezwykle wysokich kosztach utrzymania. Tem ważniejszem byłoby wobec tego zastanowić się odrazu nad pytaniem, jak się przedstawiał tam dorobek nauki polskiej pod względem jakościowym. Pełna i sumienna odpowiedź nie będzie, niestety, możliwą, póki nie ukażą się w druku całkowite teksty wszystkich referatów polskich; wydanie ich zbiorowe byłoby też wogóle nieodzownem, jeśli dotychczasowy wysiłek, zarówno intelektualny jak i finansowy, ma być całkowicie wyzyskany. Tym razem jest to jeszcze bardziej naglące aniżeli po zjeździe brukselskim. Już teraz jednak można wskazać parę rzeczowych, pozytywnych danych, które oświetlają w dodatni sposób ściśle fachową stronę polskiej pracy zjazdowej.

Można np. stwierdzić, że w szerszej mierze, aniżeli przy jakiejkolwiek innej sposobności, nasza nauka historyczna objęła tym razem szerokie widnokręgi dziejów powszechnych, poruszając zagadnienia o podstawowym nieraz charakterze. To też w liczbie 17 prac, które uznano jako referaty zasadnicze i już przed zjazdem ogłoszono w biuletynie komitetu międzynarodowego, znalazły się cztery referaty polskie. W wielu również wypadkach już dyskusja sekcyjna dowiodła, że odczyty historyków polskich wzbudziły poważne zainteresowanie a wyniki ich badań spotkały się z uznaniem obcych kolegów. Co się zaś tyczy polskiego przemówienia na plenum, to z całą pewnością można stwierdzić, że świetna „konfrontacja" człowieka starożytnego z nowoczesnym,

jaką dał prof. T. Zieliński, była niewątpliwie najgłębszym i najpiękniejszym odczytem końcowego zebrania zjazdu; to też aczkolwiek piąty z rzędu, został wysłuchany z niesłabnącem zainteresowaniem, przynosząc zaszczyt nietylko nauce polskiej, ale i naszej humanistycznej kulturze. Całkiem namacalnymi wreszcie dowodami tego, jak poważnie zaczęto się liczyć z naszą ojczyzną w świecie historyków, było stworzenie osobnej wiceprezesury komitetu międzynarodowego dla tak powszechnie szanowanego i lubianego prof. Dembińskiego, oraz ostateczne zatwierdzenie uchwały, że następny kongres międzynarodowy odbędzie się w Warszawie.

I to również sprawozdanie zjazdowe pragnęlibyśmy jednak zakończyć uwagą o ogólniejszej naturze, nie mierząc wszystkiego zbyt wyłączną miarą naszych domowych interesów. Sposobności do tego dostarcza nam fakt, że tym razem, obok poszczególnych narodów i ich Ligi genewskiej, był też urzędowo reprezentowany czynnik ponadnarodowy, który dla żadnego Polaka nie może być obojętny, a na tem miejscu na szczególną zasługuje uwagę. Delegatów swoich miała bowiem w Oslo także Stolica apostolska, dając tem samem nowy dowód swego zainteresowania dla nauki wogóle, w szczególności zaś obecnego Ojca św. dla nauki historycznej. Wyznaczył On jako przedstawicieli Swoich kilku powszechnie znanych historyków Kościoła, Francuzów i Belgów, przeważnie duchownych. Na ten dowód sympatji, wyrażonej też w telegramie Papieża do przewodniczącego kongresu, komitet organizacyjny odpowiedział w ten sposób, że jednemu z tych delegatów papieskich, a zarazem i przedstawicielowi rządu francuskiego, mianowicie ks. arcybiskupowi Baudrillart, rektorowi Instytutu katolickiego w Paryżu, powierzył zaszczyt wygłoszenia pierwszego referatu obcego na zebraniu inauguracyjnem.

Nadto było to niewątpliwie radosnym objawem dla każdego katolika, że na tym zjeździe odbytym w kraju nawskróś protestanckim, z udziałem przedstawicieli najsprzeczniejszych światopoglądów aż do bolszewików włącznie, świat katolicki odegrał rolę niewątpliwie bardzo wybitną. Cały szereg referatów naukowych przedstawili duchowni katoliccy różnych narodowości, a również i sporo prelegentów świeckich, przy całej bezstronności i rzeczowości naukowej, zaznaczyło jednakowoż całkiem wyraźnie swoje katolickie stanowisko, nie wywołując przez to zresztą żadnego dyssonansu w różnorodnem środowisku, w jakiem się znaleźli. Dla każdego objektywnego obserwatora jest to okoliczność godna zastanowienia, jednym z tych licznych przyczynków do poznania kultury współczesnej, jakich dostarczał co chwila ten wielki zjazd, poświęcony rozpatrywaniu zamierzchłej nieraz przeszłości.

Prof. O. Halecki.

Walka z jaglicą w Polsce.[1])

Przed medycyną społeczną — której zadaniem jest wykrywanie czynników, szkodliwych dla zdrowia ogółu społeczeństwa i walka z niemi — stoją dziś w Polsce poważne obowiązki. Niski poziom kulturalny szerokich warstw robotniczych i wiejskich, brak mieszkań i wiele innych niedomagań, urągających przepisom higjeny, przyczyniają się do wysokiego stopnia śmiertelności i do grasowania niektórych chorób zakaźnych, nieznanych prawie na zachodzie. Jedną z epidemij, która w okresie powojennym urosła do groźnych rozmiarów, jest choroba oczu, zwana jaglicą *(trachoma)*.

Choroba ta nie jest nową, istniała podobno w Egipcie za faraonów, w starożytnej Grecji i kolonjach państwa rzymskiego. Później zjawiała się bezwątpienia w Europie, ale na większą skalę przywlokły ją dopiero z początkiem XIX wieku powracające z Egiptu wojska Napoleona (stąd nazwa „zapalenie egipskie"). Dziś panuje ona głównie w Egipcie i krajach śródziemnomorskich, na Węgrzech, w Rosji, Prusach Wsch. i u nas. Coprawda trudno stwierdzić, czy wszystko, co podciągano dawniej pod tę nazwę, było rzeczywiście jaglicą; dotychczas bowiem nie znamy zarazka tej choroby i w rozpoznawaniu jej opieramy się jedynie na obrazie klinicznym, który uprawnia jednak do uważania jaglicy za chorobę odrębną. W początkowych swych okresach usadawia się ona na spojówkach powiek i załamków, w cięższych zaś wypadkach przechodzi potem do tkanek głębszych, powoduje niekiedy poważne zawikłania, po dłuższym zaś czasie może nawet przedostać się na samą gałkę oczną, zająć rogówkę i doprowadzić do jej zaćmienia, a wskutek tego do częściowej lub całkowitej utraty wzroku; według Gepnera 13% z pośród ociemniałych starców jest nimi z powodu jaglicy.

Jest to więc choroba poważna a przytem niełatwo rozpoznawalna; niekiedy trwa już jakiś czas, a nie daje się odczuć choremu i nie okazuje żadnych zewnętrznych zmian w oku, tak, że ani osoba dotknięta, ani otoczenie nie wie nawet o tem. Leczenie jej jest żmudne i trwa długo, od kilku miesięcy do dwóch lat, a w cięższych wypadkach nawet dłużej i bywa dość trudne. Przytem, w przeciwstawieniu do innych chorób zakaźnych jaglica nie wytwarza w organiźmie swoistej odporności, lecz raczej zostawia skłonność do łatwiejszego ponownego zakażenia. W okresie jej

---

[1]) Dr. Franciszek Naróg, st. asystent kliniki okulistycznej, Lwów: „Organizacja walki z jaglicą w Polsce" (*Polska Gazeta Lekarska,* 1928, nr. 18, str. 332); Dr. Marjan Zachert (Warszawa): „Państwowa akcja zwalczania jaglicy w Polsce" (*Lekarz Polski,* 1928, nr. 4, str. 76); Dr. Emil Godlewski i Dr. M. Zachert: „Historja, organizacja i działalność Zakładu leczniczego Uniw. Jagiellońskiego dla dzieci jagliczych w Polsce" (*Opieka nad dzieckiem,* 1926, nr. 4–5, str. 179); Dr. M. Zachert: „Jaglica w zakładach opiekuńczych" (tamże, 1928, nr. 1, str. 1); Dr. Emil Godlewski: „Walka z jaglicą wśród młodzieży" (tamże, nr. 3, str. 238).

trwania chory nie jest w stanie pracować wydatnie, do pewnych zawodów i zajęć staje się wogóle niezdolnym. Co najważniejsze, choroba ta jest wybitnie zaraźliwa i udziela się przez bezpośrednie zetknięcie, przez przeniesienie wydzieliny oka zakażonego na spojówkę oka zdrowego. Dlatego to szerzeniu się jaglicy sprzyja szczególnie brak czystości i higjeny, zwłaszcza w liczniejszem zbiorowisku osób; tem tłumaczy się wypadki epidemji jej po szkołach, internatach i zakładach opiekuńczych młodzieży, koszarach, więzieniach.

Najbiedniejszą bywa w razie zakażenia młodzież, którą choroba taka skazuje z reguły na pewną przerwę w pracy szkolnej lub zawodowej, zmusza do długiego czasem leczenia, z którego wychodzi (przeciwnie, niż przy innych chorobach zakaźnych) ze wzmożoną skłonnością do ponownego zarażenia, a nieraz z osłabionym wzrokiem. W okresie leczenia wolno jej wprawdzie zajmować się czytaniem, pisaniem i szyciem, ale niedługo, w pierwszem stadjum jaglicy najwyżej 2—3 godzin dziennie; wykluczone są zajęcia kuchenne, ponieważ dym, para, gorące powietrze szkodzi chorym oczom; dla tej samej racji nie można pracować w piekarni, pralni ani prasowalni, zamiatać nieskropionej podłogi i t. p. To też dla leczenia dzieci jagliczych zakłada się specjalne zamknięte sanatorja, możliwie odległe od miasta. Ze względu na łatwość ponownego zakażenia i nierzadkie nawroty choroby, dzieli się młodzież zwykle na trzy kategorje, które izoluje się starannie między sobą. Pierwszą z nich stanowią najbardziej zaraźliwe przypadki jaglicy, t. zw. sączącej, połączonej z kataralną wydzieliną; drugą przypadki lżejsze i podleczone, t. zw. jaglicy suchej; trzecią zaś stanowi młodzież już wyleczona, którą przetrzymuje się jeszcze pewien czas (koło trzech miesięcy) na obserwacji, dla zabezpieczenia jej przed nawrotem choroby.

Z powyższego przedstawienia rzeczy wynika, że jeśli jaglica rozwinie się gdzie epidemicznie i obejmie szersze sfery ludności, może się stać rzeczywistą klęską społeczną, o ile nie spotka się z energicznem przeciwdziałaniem. W takiem położeniu znalazła się dziś Rosja bolszewicka — gdzie w r. 1924 zanotowano samej zgłoszonej jaglicy 381.961 wypadków — a z powodu sąsiedztwa z nią i znacznej liczby reemigrantów do pewnego stopnia i Polska. Jaglicę mieliśmy wprawdzie już dawniej, np. w klinice okulistycznej lwowskiej w latach 1903/4—1906/7 zapisano 3.345 jej wypadków, ale dopiero wojna światowa wzmogła ją silnie i rozniosła szerzej po kraju.

Na czas tej wojny przypada też u nas początek akcji przeciwjagliczej. W pierwszych latach zawieruchy, po ewakuowaniu ludności b. Galicji wschodniej przez rząd austrjacki do baraków w Czechach i na Morawach, wysyła działający wówczas ratowniczy Komitet Książęco-Biskupi krakowski misję lekarską do Chocenia (na Morawach), w celu zbadania stanu zdrowia znajdujących

się tam emigrantów. Badanie to wykazało blisko 200 dzieci chorych na jaglicę. Dla odosobnienia ich otworzył Komitet w r. 1916 w barakach w Oświęcimiu zakład leczniczy, wobec jednak niesprzyjających warunków miejscowych przeniósł go w r. 1919 do baraków wojskowych w Witkowicach pod Krakowem. Z chwilą zlikwidowania Komitetu po wojnie, Książę-Biskup krakowski, na mocy praw, zastrzeżonych w statucie, darował w r. 1921 zakład i cały jego inwentarz na własność Uniwersytetowi Jagiellońskiemu, który powierzył troskę o niego osobnemu Kuratorjum Zakładów Leczniczych Uniwersytetu Jag. (do niego należy też sanatorjum dla dzieci gruźliczych w Zakopanem, otrzymane również od Komitetu Ks.-Biskupiego krak.), z prezesem prof. Emilem Godlewskim na czele.

Tak wyglądały początki. Gruntowna i na szeroką skalę obliczona akcja przeciw jaglicy rozpoczyna się od konferencji, zwołanej w r. 1924 przez Generalną Dyrekcję Służby Zdrowia, w której wzięli udział profesorowie okulistyki wszystkich uniwersytetów polskich i przedstawiciele władz rządowych. W ułożonym tu zasadniczym planie walki z epidemją, najważniejszym punktem było uchwalenie zbadania dzieci po zakładach opiekuńczych, dokładnej rejestracji chorych na jaglicę wogóle, a specjalnie rekrutów, zwolnionych z powodu tej choroby, tworzenia przychodni przeciwjagliczych i zakładów leczniczych, kształcenia lekarzy specjalistów (trachomatologów).

Przegląd dokonany według uchwały po instytucjach opiekuńczych dzieci i młodzieży, wykazał znaczną liczbę zarażonych. W okręgu krakowskim na 3.503 dzieci, badanych w 56 zakładach znaleziono 694 (20%) chorych na jaglicę. We wschodnich województwach Małopolski zastano jaglicę w 115 zakładach, tylko 22 było wolnych od niej; na 8.842 dzieci było 1.209 zakażonych. Głównym rozsadnikiem choroby były dzieci z kresów i reemigrantów z Rosji, które przyjmowane do zakładów bez, albo z niedostateczną kontrolą lekarską zarażały inne. W r. 1926 dokonano znowu przeglądu 40.782 dzieci i młodzieży w wieku 2—18 lat, w 784 zakładach opiekuńczych; u 5.349 (13.12%) dzieci stwierdzono jaglicę, tylko $^1/_4$ zakładów była od niej wolna.

Pragnieniem Gen. Dyrekcji Służby Zdrowia było również zbadanie młodzieży szkół powszechnych, niestety na przeszkodzie stanął brak kredytów i fachowych lekarzy. Odłożono więc tę rzecz na rok następny, pozostawiając narazie lekarzom szkolnym dokonanie przeglądu w ich zakładach. Oprócz tego polecono zbadanie wszystkich poborowych i dokładną rejestrację znalezionych wypadków.

Jak przedstawia się w cyfrach stan jaglicy w Polsce? — Dokładnych liczb podać niepodobna, ponieważ przegląd chorych objął zaledwie niewielką część ludności kraju. Narazie posiadamy jedynie liczby „zgłoszeń zachorowań“ na jaglicę, które nie są by-

najmniej miarodajne ani co do liczby chorych, ani co do świeżych wypadków, gdyż niejednokrotnie zgłoszoną zostaje choroba, która trwała już kilkanaście lat, lecz dopiero teraz została wykryta; w ten sposób rosnąca, według zestawień, liczba wypadków może świadczyć o wzmagającej się akcji przeciwjagliczej, a nie o nasileniu samej choroby, które dziś raczej słabnie. Zgłoszeń takich było:

w r. 1920	1.156	w r. 1924	2.954
„ 1921	2.425	„ 1925	4.751
„ 1922	2.737	„ 1926	7.144
„ 1923	4.061		

Ponieważ przypuszczalna liczba chorych na jaglicę w Polsce wynosi 300—400 tysięcy, a z tych mała część pozostaje w leczeniu (według ankiety przeprowadzonej w r. 1924 pozostawało wtedy w leczeniu 26.487 osób), Gen. Dyrekcja Służby Zdrowia przystąpiła ostatnio, z pomocą rządu, do planowej, energicznej akcji na polu walki z epidemją. Działalność ta obejmuje:

1) Leczenie chorych. Ponieważ niema mowy o leczeniu tylu osób po szpitalach, stąd Gen. Dyrekcja Sł. Zdr. zwróciła się do samorządów miejskich i powiatowych, z żądaniem otwierania przychodni przeciwjagliczych, które leczyłyby chorych bezpłatnie i kierowały akcją przeciwjagliczą w danym okręgu, oraz do Kas Chorych, by współdziałały w tej pracy. W ciągu r. 1926 otworzono 24 takich przychodni. — Specjalną opieką postanowiono otoczyć dzieci chore i izolować je w osobnych zakładach leczniczych, połączonych równocześnie z własną szkołą. Z końcem r. 1926 istniało 12 mniejszych zakładów opiekuńczo-wychowawczych, na mniej więcej 800 dzieci jagliczych i 5 większych tego rodzaju instytucyj, mianowicie:

Witkowice (pod Krakowem)	na . . .	400 dzieci
Częstochowa	„ . . .	350 „
Warszawa	„ . . .	250 „
Śrem	„ . . .	250 „
Wilno	„ . . .	160 „

Instytucje powyższe mogą razem pomieścić około 2.200 chorych, nie są więc w stanie objąć nawet połowy dzieci jagliczych, których liczba wynosi prawdopodobnie 5.000. Gen. Dyrekcja Sł. Zdr. udziela im subwencyj na opłacenie personelu lekarsko-sanitarnego i kosztów leczenia, oraz pokrywa wszystkie wydatki związane z utrzymaniem i leczeniem dzieci o nieznanej przynależności gminnej. W ciągu roku budżetowego 1926 (do maja 1927 r.) wydała na ten cel 328.845 zł. 79 gr.

2) Szkolenie personelu w zakresie rozpoznawania jaglicy i walki z nią. W tym celu zorganizowano w r. 1926 specjalne kursa dla lekarzy w Państwowej Szkole Higjeny w Warszawie (udział wzięło 66 lekarzy), oraz przy klinikach okulistycznych we Lwowie (26) i w Wilnie (18); w klinikach zaś, warszawskiej i kra-

kowskiej przygotowano kilku lekarzy na kierowników zakładów leczniczych i przychodni przeciwjagliczych. Poza tem rozpoczęto wydawnictwo „Bibljoteki jagliczej dla lekarzy", której 5 broszur wyszło w r. 1926.

3) Propaganda, mająca na celu uświadomienie szerokich warstw ludności o niebezpieczeństwie jaglicy, potrzebie i sposobach walki z nią. W tym celu wybito w 1926 roku 15.000 plakatów p. t. „Co to jest jaglica?" i 12.000 ulotek na ten temat, które rozesłano po urzędach, szkołach i szpitalach.

W roku budżetowym 1926 wydano ogółem na walkę z jaglicą 418.478 zł. 62 gr., w tem 14.498 zł. 13 gr. z funduszów Rockefellera, resztę z kredytów rządowych.

Rozporządzenie Prezydenta Rzeczypospolitej z d. 22 marca 1928 r., ujmujące w 17 artykułach cały program walki z jaglicą i oddający naczelne jej kierownictwo w ręce ministra Spraw Wewnętrznych, jest dowodem, jak poważnie zabiera się rząd do zwalczania tej klęski (*Dziennik Ustaw* 1928, nr. 36 poz. 333). W pracy tej, tak doniosłej zwłaszcza ze względu na młodzież, powinno przyjść z pomocą całe społeczeństwo. Ponieważ czynnikiem który silnie ułatwia zakażenie jaglicą, jest brak czystości i higjeny, przeto uświadamianie ludności, zwłaszcza wiejskiej i robotniczej, o ważności tejże i przyuczanie młodzieży do porządku i ostrożności, przyczynią się niemało do zapobiegania złemu. Obok osób powołanych z urzędu, otwiera się tu szerokie i wdzięczne pole pracy dla nauczycielstwa szkół powszechnych, oraz dla duchowieństwa, zwłaszcza w parafjach wiejskich i podmiejskich.

Ks. St. P.

Parę spostrzeżeń z pracy wśród młodzieży.

Młodzież szkolna i pozaszkolna. — Stowarzyszenia młodzieży wiejskiej. — Przygotowanie przodowników w Niemczech. — Opinja prof. Natansona o studjach i studentach uniwersytetu.

Młodzież szkolna, ciesząca się przywilejem oświaty, czuje też nad sobą oficjalną opiekę społeczeństwa. Miljony budżetu szkolnego nie rozwiązują jednak całego zagadnienia przygotowania młodego pokolenia do życia kulturalnego i obrony jego dóbr. Statystyka szkolna przewiduje na rok szk. 1928/29 przeszło trzy i pół miljona dzieci w wieku szkolnym, a z nich około miljon nie będzie mogło znaleźć pomieszczenia w salach szkolnych. Jeżeli nawet stolica państwa, mająca poważne zasoby i możności finansowe, nie może dać dziatwie szkolnej należytego pomieszczenia, cóż dopiero mówić o miasteczkach, a zwłaszcza wsiach!

Oprócz tego miljona dzieci pozbawionych przymusowo oświaty szkolnej narzucają się naszej uwadze groźniejsze jeszcze liczby. Po czternastym roku życia wychodzi młodzież z pod oficjalnej

opieki społeczeństwa, z wyjątkiem małej stosunkowo gromady tych 280.000 młodzieży, której dano możność uczenia się w różnorodnych szkołach typu średniego. Młodzieży w decydujących, ciężkich latach życia od 14 do 19 lat jest w szkołach średnich około 150.000. Cyfra to bardzo niewielka, jeżeli weźmiemy pod uwagę tę okoliczność, że chłopców i dziewcząt w tych latach jest około 3,000.000.

Jeżeli skrupulatnie policzymy wszystką młodzież handlową i rzemieślniczą, korzystającą z nauki dopełniającej, to okaże się, że zaledwie 7% owych trzech miljonów jest w ewidencji państwowej oświaty. Reszta młodych ludzi, którzy w niedługim czasie mają spełniać obowiązki obywatelskie, mają stanowić właściwą siłę społeczeństwa, wyrasta swobodnie, bez opieki i kierunku.

Młodzieżą wiejską, która stanowi *gros* tych trzech miljonów, zajęły się w ostatnich czasach katolickie „Stowarzyszenia młodzieży wiejskiej" i obok innych organizacyj, pracujących na tem polu, potrafiły zaznaczyć swą siłę wynikami pracy. Skupiły one 150.000 młodzieży męskiej we wszystkich województwach, przedewszystkiem jednak na zachodzie państwa, skąd ta organizacja przeniknęła do innych. Opierając się na zasadach katolickich, mając w szeregach swych jako pracowników przedewszystkiem księży, rozporządza ona tem samem znacznym kapitałem zaufania naszego ludu i rozwija się pomyślnie.

W ostatnich dniach czerwca b. r. odbył się zjazd związku stowarzyszeń młodzieży wiejskiej diecezji krakowskiej w Krakowie. Delegaci stowarzyszeń reprezentowali się całkiem dobrze, zwłaszcza w zakresie sprawności fizycznych (gdyż ten cel wyrobienia fizycznego i przysposobienia wojskowego w organizacji odgrywa poważną rolę), a równocześnie pracownicy starsi, to zn. przedewszystkiem księża patronowie, odbyli posiedzenie, na którem rozważano sprawy organizacyjne. W dyskusji poruszono, między innemi, sprawę wyrobienia pomocników, którzyby stanowili niezawodne kadry organizacyjne. Księża patronowie, zwłaszcza z powiatów zachodnich, podnosili konieczność pracy i przeciwdziałania tym prądom, które zagrażają naszej przyszłości; zwracano też odrazu uwagę, jak trudno skupić młodszą inteligencję przy pracy, natomiast starsza, przy najlepszych chęciach, niezawsze potrafi dostosować się do pokolenia wzrosłego w zupełnie odmiennych warunkach. Współpraca nauczycielstwa, wydatniejsza niż obecnie, mogłaby tu bardzo wiele dokonać, zwłaszcza że ono przedewszystkiem jest na miejscu, na wsi.

W związku z tą sprawą poruszono problem mocno dyskutowany na Zachodzie we Francji i w Niemczech, problem „przodowników". Przy dzisiejszej demokratyzacji społeczeństwa koniecznem jest przygotowanie dobrych kadrów „podoficerskich", mogących wykonywać i w czyn wprowadzać podział pracy. My, Polacy, nie posiedliśmy jeszcze należycie sztuki prawdziwego orga-

nizowania; dlatego tak często słyszy się u nas o tych stowarzyszeniach, które stoją pracą kilku ludzi, dlatego mówi się zbyt często o ludziach niezastąpionych. Koniecznym warunkiem powodzenia każdej akcji jest zbudowanie odpowiedniego organizmu, w którym pewna autonomja części mogłaby oprzeć się na ich doskonałem przygotowaniu.

W Niemczech katolicy zorganizowali specjalne instytucje, przygotowujące przewodników świeckich. Wybrani pracownicy zjeżdżają się na kursy tygodniowe *(Führerwoche)*, nie przeładowane wcale odczytami, przeciwnie poświęcone wyrobieniu praktycznemu, duchowemu i fizycznemu. „Przodownicy" odbywają najpierw rekolekcje trzydniowe, a resztę czasu spędzają na zapoznaniu się z nowemi metodami pracy w wycieczkach, przy ćwiczeniach fizycznych czy w czytelniach i bibljotekach. Tego rodzaju przeszkolenie podnosi sprawność i siłę organizacji.

W tym samym kierunku zmierza pewna nowość, wprowadzona w systemie pracy stowarzyszeń. Dzieli się je na mniejsze grupy po 10—15 członków i te pracują pod kierownictwem przewodnika nad przyswojeniem sobie zasad programu, nad ugruntowaniem przekonań. Nie jest to metoda nowa, bo już w życiu konspiracyjnem młodzieży polskiej w okresie niewoli była ona stósowana. W masę niedość spoistą wprowadza ona silne węzły ideowe i podnosi jakość zorganizowanych jednostek. Niewiadomo, czy wśród naszej młodzieży, lubiącej rywalizację, ten system nie wywołałby żywszego ruchu, nietylko wśród chłopców wiejskich, ale także w organizacjach miejskich.

Z nizin, na których spotykamy się z masami parjasów, przejdźmy na chwilę na szczyty. Wyrobienie bowiem inteligencji, jej wiedza i zdolność do pracy wiąże się, jak widzieliśmy, bardzo silnie z podniesieniem ogólnego poziomu kultury społeczeństwa. W sprawie młodzieży uniwersyteckiej, jej stopnia przygotowania i sposobu kształcenia pisano chyba tyle, co swego czasu w kwestji waluty polskiej. Ostatnio w *Roczniku Pedagogicznym* (t. III. Warszawa—Lwów 1928, Książnica-Atlas) prof. Dickstein ogłasza opinje profesorów wyższych uczelni, będące odpowiedzią na ankietę w sprawie przygotowania młodzieży do szkół wyższych. Wśród szeregu odpowiedzi obracających się przeważnie w zakresie punktów, podanych przez prof. Wład. Witwickiego (por. *Przegl. Pow.* maj 1928 str. 140) uwagę naszą zwracają głęboko sięgające refleksje prof. Wł. Natansona; pozwalamy sobie przytoczyć je prawie w całości:

„Mawiamy codziennie, że nauczanie uniwersyteckie zasadza się na podstawie przygotowawczego średniego nauczania, ale twierdzenie to jest tylko porównaniem, niezawsze szczęśliwem i trafnem. Nauczanie wyższe nie kładzie się, jak wyższe piętro, na fundamencie średniego, raczej je przenika, przeobraża, odnawia, bardzo często niweczy, usuwa, przekreśla. Nie mówimy

w uniwersytecie o drobiazgach i szczególikach, nie wykańczamy wiedzy nabytej w gimnazjach — w gotowe już ściany i ramy nie dopisujemy nowych pozycyj, dokładniejszego katalogu faktów. W uniwersytecie uczymy prawd głównych, zasad pierwszych, uczymy, jak możemy, i musimy stawać wobec kardynalnych zagadnień natury, wobec trosk, potrzeb, zagadnień ducha ludzkiego, indywidualnego istnienia. Dlatego wydaje mi się, że pozytywne wiadomości młodzieży (poza pewnem oczywiście minimum) nie są nam w uniwersytecie niezbędnie potrzebne. Potrzebne nam są raczej duchowe w młodzieży zasoby i siły, podniety, zalety — prawy i czysty charakter, umiłowanie prawdy, wstręt do krętactwa, wybiegów i blagi, idealizm, szlachetność, dzielność i opanowanie, sumienność i wytrwanie, zainteresowanie intelektualnemi zagadnieniami, głód wiedzy, zdolność do entuzjazmu, cześć nauki, uszanowanie pracy, zasługi, przeszłości, tradycji, miłość bliźnich, prawdziwy patrjotyzm, zapał bujny, optymizm i rozmach młodzieńczy, wesołość, pogoda, wiara w przyszłość — wogóle z d r o w i e, wiosenne zaiste zdrowie, moralne, umysłowe, uczuciowe i fizyczne".

Podkreśliwszy, że do tego potrzeba bogatych rozumem i sercem nauczycieli, omawia rektor Natanson wielkie znaczenie Studjum Pedagogicznego U. J. i wypowiada bardzo cenne zdanie: „Szybki i wszechstronny rozwój takich szkół dydaktyki wydaje mi się koniecznie potrzebny dla postępu i rozkwitu naszego szkolnictwa średniego".

Wiadomo, że na uniwersytetach naszych zastosowano obecnie system francuski całej serji egzaminów, przez które słuchacz dobija się stopnia magistra. Dla naszego niewytrwałego usposobienia jest pewien przymus pożyteczny, niemniej kryje w sobie taki system pewne wady i braki, ograniczając u ucznia możność głębszego wniknięcia w arkana pracy naukowej. I ta właśnie strona zagadnienia daje autorowi „Oblicza natury" sposobność do wypowiedzenia bardzo głębokich uwag. „Badanie i nauczanie, nauczanie i badanie powinny być w fakultetach filozoficznych splecione, związane, zespolone, żeby rozgraniczenie tej pracy od tamtej czynności było niemożliwe... Fakultety nie powinny przenigdy poddawać się jarzmu kursów rocznych, egzaminów przejściowych, drobiazgowego i nieszlachetnego przymusu, kontroli oschłej, ciasnej i właściwie niewykonalnej. Takie dążności zatruwają ducha Wydziału, niszczą idealizm i zapał, krępują i zniechęcają młodzież najlepszą, gorszej nie pomagają. Społeczeństwu szkodzą, sprzyjając bezdusznemu brnięciu w bezduszną sieć egzaminów, zmuszając do encyklopedycznego dyletantyzmu. Mogą i powinny wydziały filozoficzne wspomagać bratnie wydziały... z ducha jednak i myśli, w założeniu, w istocie powinny być i pozostać wielkiemi źródłami promieniowania i światła, unoszącemi się ponad ziemskim widnokręgiem codziennego życia narodu, jak słońce wysoko". (R. P. III, 113 i 114). *Franciszek Bielak.*

1. Targi północne i wystawa rolniczo-przemysłowa w Wilnie.

Wilno było zawsze miastem bardzo handlowem, dzięki swemu położeniu geograficznemu, a Skarga i Batory zwrócili uwagę na to, że dzięki temuż położeniu Wilno powinno spełniać także wielką misję kulturalną na wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Z upadkiem Polski i Wilno musiało się zmienić, bo Rosja, rozumiejąc, w czem siła niespożyta Wilna, poczęła je rusyfikować, i zrusyfikowała do tego stopnia, że kto — przed wojną — przybywał do Wilna, widział tutaj — powierzchownie bodaj — typowe miasto gubernialne rosyjskie, i tylko cudowna architektura kościołów i starych gmachów pozwalała domyślać się, że to jeszcze nie Wschód.

Ale w głębi, w duszy Wilna, widać żyła polska kultura; mimo Murawiewa pielęgnowało ją Wilno, pocichu bodaj, i przed wojną i podczas okupacji niemieckiej, dlatego też, ułożywszy jakotako swe sprawy polityczne, chciała ta Wileńszczyzna pokazać światu, że ma polską kulturę i że może ją nieść dalej na wschód...

Zrozumieć można, dlaczego już w latach 1923/24 zastanawiały się kompetentne czynniki w Wilnie, czyby nie urządzić tam „Targów" za wzorem podobnych pokazów, urządzanych we Lwowie i Poznaniu. Nie była to tylko moda, ale wewnętrzna potrzeba, by Wilno wróciło do dawnej swej roli handlowej na wschodzie. Niestety, nietylko konjunktura gospodarcza nieprzychylna (dewaluacja pieniądza) ale i polityczna sytuacja, niepewności wobec granicy wschodniej i litewskiej, uniemożliwiały urządzenie takiej imprezy. W r. 1926 „Instytut Badania Ziem Wschodnich", znając dobrze Wileńszczyznę, wystąpił powtórnie z projektem wystawy. Ale podnoszono obawy, czy też ludzie zechcą jechać do Wilna; pojawiła się nawet myśl urządzenia wystawy wileńskiej... w Warszawie. Projekt ten upadł, bo pomijając techniczne trudności, dyskredytowałby właściwie Wileńszczyznę; można w Berlinie urządzać wystawę kameruńską, a nawet choćby i wystawę państwa kolonjalnego wszechbrytyjskiego, ale już tylko w Londynie — lecz Wilno to nie Kamerun, a Warszawa to jeszcze dzisiaj nie Londyn.

Wszakże ponawiana wciąż myśl urządzenia „Targów północnych" była widać postulatem naturalnym; powrócono do pierwotnego planu, aby urządzić „Targi" w Wilnie. Na przeszkodzie jeszcze stanęły wybory do rady miejskiej w Wilnie w r. 1927, które naturalnie zaabsorbowały zupełnie na jakiś czas umysły. Ale jak każdy po polsku czujący wilnianin rozumiał potrzebę urządzenia „Targów", dowodem, że nawet jako hasło wyborcze — rzucano słowa: „urządzić targi północne!" Hasło to przyjęły jednomyślnie różne ugrupowania polityczne, i na posiedzeniu w tym

celu zwołanem na salę Magistratu w grudniu 1927 r. zapadła decyzja nie zwlekać dłużej, ale zaraz na r. 1928 urządzić „Targi Północne".

Czasu za mało — i zgóry można było przewidzieć, że przedsięwzięcie będzie miało znaczne braki. „Polska Liga Gospodarcza" zgłasza swój akces. Władze administracyjne z wojewodą Rączkiewiczem, jakoteż i samorządy popierają czynnie a nawet finansowo projektowaną wystawę. Ale trudnośei mnóstwo — jak zwykle — mimo to w terminie oznaczonym zostały otwarte „I. Targi północne" dnia 18 sierpnia b. r.

Trzeba było streścić dzieje tych „Targów", by zrozumieć, że nie moda była tutaj czynnikiem decydującym, jakby zdaleka się wydawać mogło.

Cały plac wystawowy „Targów" nawet w swem *exterieur* nosi cechę tego, czem one są właściwie: pokazem kultury zachodniej, jakiej pełna dusza pomieścić już nie może, więc musi się na zewnątrz przelać. Wystawę umieszczono w t. zw. ogrodzie bernardyńskim. Jest to wielki ogród 20 ha obszaru, oparty jedną stroną o Wilejkę i górę Trzech Krzyży, z boku mając prastarą katedrę wileńską i dawny zamek jagielloński, z drugiego śliczny zakątek: kościół św. Anny i zabudowania bernardyńskie. W środku tego ogrodu były wstrętne jakieś zabudowania wojskowe — usunięto je (nie bez trudności), aby zdobyć kawałek miejsca i nadać mu wygląd estetyczny. Odnowiono też w tym celu i wykończono nieco mury klasztoru bernardyńskiego (obrócone dzisiaj na wydział Sztuki dla Uniwersytetu Stefana Batorego), a że nadano całemu pejzażowi wygląd wysoce artystyczny, zbyteczna dodawać, skoro się wie, że jest tam Ruszczyc, który niestrudzonym jszt pracownikiem na polu życia artystycznego i polskiego Wileńeszczyzny. Ruszczyc od lat dwudziestu wywalczał tutaj niepodległość sztuki polskiej i wywalczył ją. Naprzód tylko w wizji twórczej obrazu *Nec mergitur,* lub wizjach przyszłości, spełnionych w dzisiejszej niepodległości Polski. Obrazy te, umieszczone w gmachu bernardyńskim, przypominają, czem dawne Wilno żyło.

W tymże gmachu znajdują się pokazy prawie całokształtu kulturalnej pracy na Wileńszczyźnie... jako wystawa regjonalna. Mamy tutaj więc i historję książki (część tej wystawy znajduje się w gmachu bibljoteki uniwersyteckiej), tego drukowanego dokumentu kultury polskiej, co od XVI w. w Wilnie osiadła i do dziś dnia świetne tradycje utrzymuje, nie zapominając nigdy o swem posłannictwie; mamy wykresy i eksponaty, świadczące o postępie kultury naszej na Wileńszczyźnie. Wyroby tkackie i rzemieślnicze więzień, policji państwowej, ochronek rozlicznych i instytucyj kulturalno-oświatowych. Wybitnie przedstawia się tutaj i praca społeczna wileńskiej dyrekcji kolejowej, nietylko w krzewieniu oświaty, ale i w dążeniu do podniesienia dobrobytu swych pracowników, przez popieranie pszczelnictwa i jedwabnictwa. Pa-

trząc na te liczne stacje hodowli jedwabnika i tkalnie jedwabne ma się wrażenie, że gdzieś na południu jesteśmy.

Pocieszającym dokumentem podnoszącej się kultury jest wykres, który podaje policja państwowa, o zmniejszeniu się przestępczości na Wileńszczyźnie, o prawie 80%, oraz o stosunku zbrodni popełnionych i wykrytych.

Obok tych wykazów pokazy przemysłu domowego dają właściwie dopiero najwięcej bijący w oczy przykład, co tutaj zdziałała polska kultura materjalna. Wyroby z gliny takich okolic najniżej stojących, jak np. Duniłowicze, drewniane brony i sochy najprymitywniejszej formy ogląda się tutaj jakby muzealne okazy z zamierzchłych czasów, i wierzyć się nie chce, że dopiero polskie rządy w Wileńszczyźnie ułatwiają ludziom tutejszym używanie żelaznego pługa!

Modele i wykazy wykonanych budynków, szos, mostów, jazów oraz dalsze projekty zmieniają zupełnie stosunki komunikacyjne. Już teraz rozwija się komunikacja samochodowa.

Zaznaczyć też trzeba, że na wystawie mamy także pokazy, coprawda nielicznych, stowarzyszeń litewskich i białoruskich. Napisy zaznaczają to wyraźnie — ale chociażby i napisów nie było, każdy to odczuje, gdyż sala z ich wyrobami odrazu robi wrażenie bardzo pierwotnej kultury.

Osobny gmach dla wystawy rolniczej pokazuje skutki badań nad glebą w tutejszych kilku doświadczalniach rolniczych. Zbiory ulepszone i prymitywne, i znowu wykresy i pokazy podają, co zdziałała polska kultura dla podniesienia rolnictwa w zakresie gospodarczym, czy czysto finansowym przez coraz więcej rozgałęzioną współdzielczość.

Dla przemysłu i handlu oddano pawilon główny. Coprawda, przemysł fabryczny Wileńszczyzny nie jest wielkim. Poza maszynami rolniczemi, jakie wyrabia właściwie jedna tylko w Wilnie fabryka i jakie mają bardzo wielki zbyt, nie widać tutaj „wielkiego" przemysłu. Przemysł lniany nie był należycie obesłanym. Poleskie i białostockie województwo nie wierzyło w powodzenie „Targów". Również i polski wielki przemysł chemiczny zdaje się jakby nawet nie miał reprezentanta swego w Wilnie. Tradycyjny stary przemysł futrzany i rękawiczniczy, ten typowo wileński przemysł — również jakby nie figurował. Zato drzewny i leśny mógł dać pogląd na naukową gospodarkę ostatnich lat — zwłaszcza w lasach rządowych.

Poza tem — jak zwykle na takich wystawach — firmy rozliczne, mające tylko swe reprezentacje w Wilnie, przedstawiały, czego w Wilnie można dostać. Nie brak było — jak zawsze — nawet objawów typowo jarmarcznych, krzyczących jakichś czeskich komiwojażerów z błyskotkami i drobiazgami, coprawda praktycznemi, ale dającemi nauczkę naszym kupcom, co się absentowali od „Targów", nie wierząc w ich powodzenie.

Co „Targi" północne dały? Czy był cel urządzać je?

Poza zarobkiem, jaki mieli robotnicy zajęci przy urządzaniu „Targów" i inteligentniejsi pracownicy, poza dochodem ze wstępów (w niektóre dnie wydawano po 10.000 biletów wstępu à 1 zł.) i ruchem przejezdnych osób, przedewszystkiem korzyść wielką ma ten wieśniak, jakiego przywożono z dalekich kątów Wileńszczyzny, by zobaczył postęp w gospodarce. Ten chłop nigdyby może nie pomyślał o żelaznym pługu. Trzeba było widzieć, z jakiem zdumieniem oglądał garnitury rolnicze Cegielskiego (w ruchu) albo maszyny do międlenia lnu. I tu zasługa wystawców wielka, że nie żałowali trudu, by pokazywać pracę maszynami, przez co uczyli prostaczków, niby w szkole.

Nawet inteligentnemu człowiekowi przydało się zobaczyć bardzo ładne obrazy z tutejszych motywów, wyroby tkackie w zakresie kilimkarstwa i t. p. z wełny i lnu, oraz typowo już wileńskie wyroby stolarskie, z brzozy czeczotki. Tożto prawdziwie artystyczne meble! Ze wschodu przybyło tylko kilka firm zagranicznych. Jakaś firma z Rygi z wyrobami konserw rybnych (ale etykiety na swych fabrykatach w polskim języku) i druga firma z galanterją drewnianą, z brzozy. Tania i pokupna. Dalej, może trochę nawiązanych stosunków handlowych, może jakaś transakcja — to tyle namacalnych, brzęczących zysków z „Targów północnych".

Ale o wiele większe są zyski moralne. Przedewszystkiem każdy mieszkaniec Wileńszczyzny zobaczył, co mu dała Polska, bo oglądając wystawę mówił sobie w duszy: „Tego w Wilnie nigdy nie było — dzisiaj to wszystko mieć możemy". Widział, z czem Polska do niego przychodzi. Taki pokaz na większą skalę urządzany systematycznie przekona mieszkańca kresów o dobrodziejstwach polskiej kultury i państwowej przynależności i nie tak łatwo on uwierzy w obiecanki raju komunistycznego. Tu widział naocznie, co od Polski ma i mieć może. To lepsze przeciwdziałanie skutkom agitacji wywrotowej, niźli procesy. Zrozumiały to kompetentne czynniki — stąd coraz częstsze „pokazy" na wschodnich Kresach.

Te dary kulturalne przyjmują tutaj na kresach chętnie i życzliwie, jakby sami ręce po nie wyciągają, radują się, gdy jakby z błota przyschniętego oskrobuje się Wilno z naleciałości rosyjskich. Znikły już drewniane chodniki, „istinno ruskie" domy, malowane na „kazionny" kolor, czerwony lub zielony; nawet do dobrego tonu należy pokazywać w ten sposób swą przynależność do zachodniej kultury, że wszyscy ludzie, bez różnicy wyznania, zdejmują czapki nietylko w Ostrej Bramie, ale na każdem publicznem nabożeństwie katolickiem. Na pogrzebie, jaki przechodzi ulicami miasta, nie można poznać, kto Polak a kto Rosjanin czy Żyd. Nie widać napisów sklepowych po rosyjsku, nie słychać

obcej mowy na ulicach tak często jak dawniej, coraz więcej firm polskich i katolickich otwiera magazyny na pierwszorzędnych ulicach, przywdziewając w ten sposób powoli wygląd miasta polskiego. Ludzie prości, „tutejsi", cieszą się, widząc te objawy polskiej kultury w swej Wileńszczyźnie.

To dały „Targi" wileńskie.

Ks. Kazimierz Konopka.

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 1 października 1928 r.

Dziesięciolecie niepodległości.

11. XI. 1918—1928.

Dlaczego 11 listopada?

W historji odbudowy państwowości naszej były oczywiście i inne ważne daty. 6 sierpnia 1914 formacje strzeleckie J. Piłsudskiego wystąpiły czynnie, przypuszczalnie z nadzieją, że dokonają czegoś dla przyszłej niepodległej Polski. 5 listopada 1916 r. był dniem ogłoszenia wskrzeszenia Polski przez cesarstwa centralne, data aktu, bezwątpienia nieszczerego, interesownego i połowicznego, ale bądź co bądź pierwszego, który z zagadnienia polskiego urzędowo czynił sprawę międzynarodową. Może jakieś znaczenie posiada 14 stycznia 1917, dzień otwarcia w Warszawie Tymczasowej Rady Stanu, albo późniejsze daty powstania Rady Regencyjnej i powołania przez nią rządu polskiego, narazie z cieniem władzy, ale bądź co bądź stanowiącego embrjon, który się potem rozwinął w rząd prawdziwy. Datę orędzia Wilsona (22 stycznia 1917), uznającego potrzebę odbudowania zjednoczonej Polski, wartoby także zapamiętać, a dzień 30 marca 1917 przyniósł proklamację Tymczasowego Rządu w Petersburgu do Polaków, stojącą już na zasadzie niepodległości Polski — zatem był dniem, który formalnie umożliwił zachodnim sojusznikom — od 15 kwietnia t. r. — traktować Polskę, jako naród odrębny, walczący przy ich boku przeciwko mocarstwom centralnym i uznać w następstwie Komitet Narodowy w Paryżu za tymczasowy rząd polski. Znowu 7 października 1918 warszawska Rada Regencyjna ogłasza zjednoczenie wszystkich dzielnic polskich, a od 31 tegoż miesiąca zaczyna się faktyczne usuwanie władz

austrjackich z Galicji i z okupacji austrjackiej w Kongresówce. Widzimy, że mamy aż za nadto różnych dat, wcześniejszych od 11 listopada 1918, z których każda znaczyła coś w procesie wydobywania się Polski z grobu.

A jednak 11 listopada słusznie został obrany na symbol zmartwychwstania. Tego dnia przed dziesięciu laty stolica kraju, rozbroiwszy załogę okupantów, ujrzała się wolną od obcego najazdu — pierwszy raz od upadku powstania 1831 r. Istniał, prawda, przed tą datą jakiś rząd narodowy w Warszawie, ale jak był traktowany przez niemieckiego okupanta na Zamku! Wszak na konferencję pokojową w Brześciu nie dopuszczono przedstawiciela tego rządu i o naszych granicach radzono bez nas, krając jeszcze raz żywe ciało Polski. 11 listopada 1918 r., wprawdzie nie cały kraj, ale jego serce poczuło się wolnem od tłoczącej zmory cudzego władztwa. Do Warszawy wkroczyła Wolność! Tegoż dnia stanął w niej, w powrocie z niemieckiej twierdzy, Ten, któremu przypadło w udziale być pierwszym Naczelnikiem Polski faktycznie niepodległej! Że temu ingresowi wolności do stolicy towarzyszyły wybuchy namiętności partyjnych, to była rzecz smutna, ale drugorzędna; zostały stłumione one przez powszechny entuzjazm wolnych Polaków.

Po dziesięciu latach od owego pamiętnego dnia warto rzucić okiem na przebyty okres czasu.

Wchodziła w życie Niepodległa Polska jeszcze krwawiąca, poobcinana. Nie posiadała ani mili pewnej, uznanej przez prawo międzynarodowe granicy. Z jej pięciu stolic tylko dwie, stary Kraków i młoda Warszawa, były w niewątpliwem jej władaniu. Lwów krwawił się w walce o możność należenia do niej. Poznań był uważany za miasto pruskie. W Wilnie rządziła komenda Ober-Ostu, hodując pod swemi skrzydłami Tarybę... W ciągu lat czterech przyrastały do ciała Polski poobcinane członki. Granice ustalała szabla polskiego żołnierza, pióro dyplomatów, wola ludności kwestjonowanych dzielnic. Nie odrodziła się Polska w rozmiarach z przed rozbiorów, wszakże i taka, jaką ją widzimy dzisiaj, zdobyła sobie poczesne miejsce wśród państw Europy. A na pewno szerzej się rozciąga, niż sięgała — nie marzenia i pragnienia — ale rzeczywista wiara tych, co do jej budowy

wśród światowych zapasów stanęli. Od Pana się to stało i jest dziwne w oczach naszych. My, pokolenie z przed roku 1914, przyznajmy, że jest to dziwne, naco patrzymy, zwłaszcza kiedy przypomnimy sobie także sierpień 1920, kiedy cała nasza egzystencja państwowa zdawało się staczała się w nicość...

Wchodząc w życie, weszła Polska w chaos obcych systemów ustrojowych, prawnych. Wiekowe życie w trzech różnych więzieniach oduczyło rodzonych braci rozumieć się wzajemnie, pracować wspólnie. Ubiegłe dziesiątki lat usunęły dużo z tego chaosu i wzajemnej obcości. Wypracowała Polska własną — jaką taką — konstytucję; dzielnice, które łączyły się pierwotnie tylko w entuzjazmie dla Polski, coraz lepiej wzajemnie się asymilują, zrastają, antagonizmy i zarozumiałości parafjańskie maleją.

W dziesięcioleciu swojem skonsolidowała Polska swoje gospodarstwo. Przeszła ciężkie ekonomiczne zaburzenia, patrzyła na zniknięcie w inflacji całego niemal swego ruchomego kapitału. Jednak kilku bohaterskiemi wysiłkami — nie bez błędów i grzechów — przezwyciężyła trudności prawie o własnych siłach, podniosła swój przemysł, stwierdziła swą gospodarczą niezależność, zdobyła walutę. Osiągnięte w tych zmaganiach rezultaty są niemałem uspokojeniem i wobec tych niebezpieczeństw i gróźb, które nad życiem gospodarczem Polski, nad jej złotym i jej samodzielnością wiszą. Wyminie wychylające się na jej drodze rafy, jeżeli uczuciowy zapał dla Polski jej synów zamieni się w świadomy celu czyn obywatelskich cnót.

Polska jest narodem katolickim. Nie mówmy, że w ciągu swego dziesięciolecia nie zrobiła wiele dla Kościoła swego. Odbudowaną została hierarchja kościelna tam, gdzie ją podkopała zaborcy przemoc. Pomnożoną została liczba biskupów. Zawarty został ze Stolicą Apostolską konkordat, określony i ustalony stosunek Kościoła do Państwa i naodwrót. To ramy, w których obraz wymaga jeszcze uzupełnień i naprawek. W tych ramach spotęgowało się także życie religijne kraju, chociaż obok smutnych odstępstw. Gdy niewiara organizuje swe szyki do boju, rosną także szeregi inteligencji wierzącej i uświadomionej po katolicku, dobre nadzieje każe żywić

coraz to liczniejsza, nie z samego imienia katolicka młodzież. Kościół polski zasępia jeszcze niejedna głęboka troska, jednak z większą otuchą może on patrzeć w przyszłość po tem, czego dokonał w pierwszem dziesięcioleciu istnienia w niepodległej Polsce.

Czy potrzeba przypominać, co zostało osiągnięte przez lat dziesięć w dziedzinie wychowania, w dziedzinie pracy społecznej? Do niedawna w dwóch trzecich kraj analfabetów, Polska pokrywa się coraz gęstszą siecią szkół, budżet jej szkolny co do wysokości stoi zaraz na drugiem miejscu w wydatkach państwowych, bezpośrednio po wojskowym. W każdym z większych miast, gdzie nauka polska nie miała swego ogniska, pierwszą troską było stworzyć uniwersytet, powstał także szereg innych uczelni o poziomie akademickim. Polskie prawodawstwo socjalne, jak to uznają wszyscy, z miejsca prześcignęło w niejednem rozwój takiegoż prawodawstwa zagranicą, poniekąd nawet z pewnem niebezpieczeństwem przytłoczenia słabego rodzimego przemysłu. O tem, co Polska zrobiła w dziedzinie opieki społecznej, można sądzić z jednej tylko cząstki tej pracy — opieki nad dziećmi, którą obrazuje w osobnym artykule inne pióro.

Cokolwiekby powiedzieć o zaniedbaniach Polski, o błędach jej sterowników, o lekkomyślności i swarach jej obywateli, musi się przyznać, że życie robiło także swoją dodatnią robotę, że jak na dziesięcioletni okres — zrobiono dużo. Zrobiono tyle w kraju tak rozdartym, zniszczonym, spustoszonym, jakim była Polska w dniu swojego politycznego zmartwychwstania!

W dniu dziesięcioletniego obchodu, robiąc bilans tego, cośmy osiągnęli, musimy także uprzytomnić sobie te zadania, które przed nami stoją.

Zadanie najważniejsze to to, które na Polskę nakłada jej umieszczenie na ziemskim globie. Od lat tysiąca stoimy na rubieży cywilizacji zachodniej, wyhodowanej przez Kościół katolicki na gruzach organizacji rzymskiej i kultury helleńskiej. Stoimy oko w oko wobec świata wrogiego tej cywilizacji, świata, którego dusza kształtowała się w pustyniach Mongolji i Turkestanu. Chrześcijaństwo, porażone bizantyjską schizmą, duszę tę ledwo musnęło, nie odrodziło

jej. Kilkakrotnie w ciągu swej historji zatrzymywała Polska na piersiach swych synów niszczącą lawinę, tej wrogiej wschodniej potęgi. Kilkakrotnie uratowała chrześcijaństwo i Europę. W czasie swej niewoli zrobiła dużo dla ucywilizowania własnego pana. Po wyzwoleniu się musiała jeszcze raz orężnie się z nim zmierzyć w poszukiwaniu swej linji obronnej. I znowu na jej piersiach załamał się rozmach pochodu na Europę mongolskiej potęgi, tem groźniejszej teraz, niż kiedykolwiek, że zdeprawowanej przez ateizm i nihilizm jej komunistycznych przywódców. Nawet po ryskich układach zapanował stan, który podobny jest raczej do skrytej walki, niż do jawnego pokoju. Polska musi zmagać się wciąż z płynącą od Wschodu propagandą przewrotu, moralnego rozkładu, duchowego nihilizmu. Cud Boży, że przez dziesięć lat w zmaganiach tych nie uległa. Ale i nic dziwnego, jeżeli dużo trucizny w swe płuca wchłonęła.

Musi Polska stać i nadal na swoim posterunku strażnika cywilizacji zachodniej. To jej wskazuje jej własny samozachowawczy instynkt, to nakłada na nią misja zgóry. Oskarżaną jest o przerost militaryzmu, o zaborcze zamiary. Niestety, musi być ona militarystyczną. Od zalewu wrogiego żywiołu nie chronią jej wały nieprzebytych gór, nie oblewa jej dokoła morze. Otacza ją morze wrogów i niechętnych. Napór wytrzymywać musi na własnych piersiach. Jeśli jesteśmy militarystami, to niechybnie nasi sąsiedzi najlepiej wiedzą, gdzie tego przyczyna. Sami sobie zapewne odpopowiadają na to pytanie i to nas zwalnia od usprawiedliwiania się wobec nich, wobec świata. Dla siebie samych musimy tylko zrozumieć, jakim duchem ma być natchniony nasz militaryzm. Musi on być ochrzczony, krzyżem rycerzy Pańskich nacechowany. Nie może on być zaborczy, nie na cudze zachłanny, ale wyłącznie obronny. Jako chrześcijanie, musimy w duszy pielęgnować pacyfizm, musimy tęsknić za zgodą wszystkich narodów, za powszechnem królowaniem Chrystusa; musimy także w miarę sił zgodę i pokój budować i utrzymywać. Ale na naszem posterunku eksponowanem nie wolno nam, niestety, wszystkich mieczów przekuć na lemiesze, bo wróg nie tai się z tem, że wykorzysta pierwszą chwilę naszej słabości na naszą i Europy zagładę. To

posłannictwo swego „militaryzmu“ Polska spełni chlubnie i bez nadużyć jedynie pod warunkiem, jeżeli bronić będzie przed zarazą wewnętrzną swego chrześcijańskiego ducha.

Materjalna odbudowa Polski musi się odbywać i nadal jak niegdyś odbudowa Jerozolimy przez Żydów, wypuszczonych z Babilonu. Tylko jedną ręką można robić kielnią, bo w drugiej trzeba trzymać gotowy do obrony miecz. Od czasu do czasu może wypadnie schwycić go oburącz. Z tego z koniecznością wynika, że skazani jesteśmy na to, by w szeregu narodów stać między narodami biednemi. Nieuniknione to, kiedy dwie trzecie naszego budżetu państwowego pochłania utrzymanie wojennego pogotowia. Próżno marzyć o dopędzeniu szczęśliwszych narodów w dobrobycie, w rozwoju bogactwa, kiedy tylu ludzi przymusowo odrywa się od pracy, by czuwali na granicach. Mówimy czasem o bogactwach naturalnych kraju. Nie są one atoli tak nadzwyczajnie wielkie, a w dodatku jakże trudno je w naszych warunkach wydobyć, uruchomić! Trzeba się z tą myślą oswoić, w świadomość i sumienie wszystkich wpoić, że przeznaczeniem naszem, mimo wysiłków, zapewne na długo jeszcze będzie iść wtyle za innymi pod względem dobrobytu. Ale to mniejsze nieszczęście, niż niewola chociażby w klatce złoconej. I nie żaden wstyd! Pogodzenie się z tą fatalnością naszą nakłada na nasze sumienia obowiązek pracy wydatniejszej i skromności życiowej. Polska przeznaczona nato, by być nowożytną Spartą. Obok lenistwa i nieróbstwa, zbytek, usiłowanie dorównania innym szczęśliwszym narodom pod względem stopy życiowej są w naszych warunkach grzechem przeciwko narodowi. Wywożenie pieniędzy zagranicę na luksusowe towary, na sportowe popisy, podróżowania bogatych snobów — to kopanie przepaści pod gospodarczą, a nie daj Boże i polityczną wolnością Polski. Dla Polski nie nadszedł jeszcze czas udawania magnata światowego, skorośmy jeszcze nie zdołali uprzątnąć z własnej ziemi rumowisk po katastrofie wojennej, skoro jeszcze miljony nie mają dachu nad głową.

Obrona zewnętrzna i dalsza odbudowa wewnętrzna wymaga wysiłku zgodnego wszystkich. I tu tragedja nasza, żeśmy w obliczu takich zadań jeszcze tak rozdarci i pokłó-

ceni ze sobą! Najpierw mamy wśród siebie blisko trzecią część nie Polaków. Przeważnie jest to żywioł dla państwowości polskiej rozkładowy. Ma on swoje własne ideały i cele sprzeczne z naszemi. Duże zaniedbanie Polski, że przez dziesięć lat nie umiała czy nie zdołała tych obcych żywiołów, przynajmniej mniej nam obcych i wrogich, przywiązać do polskiej państwowości lub ich unieszkodliwić. Ba, właściwie w zagadnieniu mniejszości narodowych Polska nie wypracowała dotąd zgodnego i konsekwentnego programu. Polityka jej, na innych terenach szczęśliwa, na tym terenie wciąż była chwiejna i potykająca się. Zamierzenia jednych udaremniały wysiłki drugich. W rezultacie mniejszości — zwłaszcza na kresach wschodnich — nie wiedzą, czego się mają od Polski spodziewać, bo i my sami nie wiemy — i zerkają w obce strony. Polityka nie jest moją specjalnością ani zajęciem, ale sumienie chrześcijanina i obywatela Polski, każe mi w dniu uroczystym dziesięciolecia Polski dać upust swemu przekonaniu, że nie spełni nasz naród swego obowiązku, jeśli czynami sprawiedliwości i miłości nie przekona lepszych z pomiędzy pobratymców, których Opatrzność umieściła w naszem państwie, że w niem znajdą zaspokojenie swych godziwych aspiracyj i tylko z niem staną się współczynnikiem w utrwalaniu kultury zachodniej wobec grożącej od wschodu zagłady.

Mniejszości narodowe rozsadzają nam państwo, waśnie partyjne rozdzierają sam naród, który ma być tego państwa cementem. Co grozi budowie, jeśli sam cement się rozsypuje? Polityczne stronnictwa wszędzie są i będą, gdziekolwiek życie publiczne posiada jakąkolwiek wolność. Nie zanikają zresztą nawet w niewoli czy w ucisku, chroniąc się tylko w podziemiach. Nie samo więc istnienie politycznych stronnictw jest nieszczęściem Polski, ale ich nadmierna liczba, ich rozbicie, a przedewszystkiem ich namiętności zawzięte. Wszak nasze stronnictwa nie tyle grupują się około swych ideowych dogmatów, jak około ludzi. I to nietylko około własnych przywódców, jak przeciwko swoim przeciwnikom. Nie kto inny, jak R. Dmowski napisał w pewnej książce, że „często ludziom — a miał na myśli nasze stronnictwa — więcej zależy nie tyle na tem, żeby być z kimś, ile

żeby być przeciw komuś". Stąd zdarzało się, że stronnictwa poczynały zwalczać coś, co same niedawno głosiły, skoro ich przeciwnik stanął na ich wczorajszej platformie. Nie chcielibyśmy rozdrażniać niezabliźnionych ran, ale nie możemy zapomnieć, że partyjne nienawiści wywołały bratobójcze walki na ul. Dunajewskiego w Krakowie, w ich atmosferze zrodził się czyn zabójstwa pierwszego prezydenta Rzeczypospolitej, one doprowadziły do hekatomby majowej w Warszawie, one wreszcie wyładowują się w kompromitujących naszą praworządność samosądach nad politycznymi przeciwnikami i napadach uchodzących bezkarnie. Czy Polska jest na tyle bogata w ludzi, by jakikolwiek obóz śmiał całkowicie wziąć jej losy na swoje ramiona, odsuwając na bok wszystkich innych? Czy jest dość zabezpieczona od zewnątrz, by móc pozwolić sobie na zbytek głuchej wojny wewnętrznej?

W dniu 11 listopada byłby czas poważnie się nad tem zastanowić. Z okazji tej rocznicy udzieliła Polska szerokiej amnestji rozmaitym przestępcom, zmniejszyła kary pospolitym zbrodniarzom. Czy to narodowe święto nie woła jeszcze o jedną amnestję, amnestję wzajemną partyj? Czy dziesięć lat to za mało czasu na zapomnienie dawnych win, zawiści osobistych, różnych orjentacyj politycznych? Czy ma się niemi zatruwać nowe pokolenie, jakie Polska sobie wychowuje i synowie mają utrwalać rozdwojenia swoich ojców? Po wszystkich miastach komitety radzą nad sposobem uczczenia dziesięciolecia naszej niepodległości. Myślą, jakiby trwały pomnik po niem zostawić. Czy zastanawiano się gdzie nad tem, że najpiękniejszym monumentem byłoby wzajemne przebaczenie i porozumienie? A to naprawdę jest łatwe! Ogół obywateli wzdycha oddawna za przebaczeniem i zgodą. Zależy ona od wzajemnego wyciągnięcia do siebie rąk przez kilkunastu, a może tylko kilku ludzi. Czy ogół społeczeństwa nie straci zaufania i serca do tych, których jeszcze słucha, którym jeszcze ufa, jeżeli następne dziesięciolecie rozpoczną pod znakiem zadawnionych nienawiści?

W obchodzie 11 listopada weźmie czynny udział Kościół katolicki i cały wierzący odłam polskiego narodu. Niechaj zatem u ołtarzy Pańskich zniknie z serc katolickich

wszelka nienawiść, z uczuciem przebaczenia. Niechaj popłynie z piersi gorąca m o d l i t w a o j e d n o ś ć wszystkich Polaków, choć różnych poglądów, ale jednakowo dobrej woli.

Niechaj Wszechmocny pobłogosławi naszej Ojczyźnie na drugie dziesięciolecie i na dalej.

Ks. Jan Urban T. J.

Życie polskie w Rzymie w XVIII wieku.[1])

Dzieje środowiska narodowego.

Rzym, zostawszy siedzibą chrześcijaństwa i wziąwszy misję nadprzyrodzoną szerzenia wiary w całym świecie, stał się odrazu środowiskiem nieznanej dotąd ekspansji duchowej. Wchłonąwszy i przyswoiwszy sobie instytucje starożytnego Rzymu i najlepsze pierwiastki jego kultury, oddał je światu w nowej szlachetniejszej formie: człowieka podniósł wewnętrznie i wyswobodził społecznie. Z wiarą promieniował nowe hasła pożycia między sobą narodów, dyktował im prawa Boskie i doradzał ludzkie. Tworzył i szerzył nową moralność i kulturę chrześcijańską, we wszystkich dziedzinach myśli ludzkiej. Na przestrzeni dwóch tysiącleci dokonywał się zwolna, ale stale proces przenikania w społeczeństwa europejskie tej, z pokolenia w pokolenie rosnącej, sumy zdobyczy moralnych, intelektualnych i materjalnych, którą obejmujemy nazwą kultury łacińskiej i zachodniej, mającej w Rzymie swe źródło i początek. Na przestrzeni dwóch tysiącleci Rzym śle w najodleglejsze krainy swoich wysłańców, legatów i nuncjuszów, a równocześnie ściąga do siebie przedstawicieli wszystkich narodów. Okazją do tego napływu narodów katolickich do Rzymu są zwłaszcza obchody lat jubileuszowych, które od r. 1300 wchodzą niemal w regułę. Wobec wszystkich państw i narodów oraz doktryn społecznych i politycznych Kościół starał się zachować swą niezależność i strzegł zazdrośnie swego prawa i swej władzy

[1]) Jest to rozdział książki przygotowanej do druku, w której autor, na tle dziejów Rzymu 18 wieku, daje obraz polskiej dyplomacji, życia kulturalnego, artystycznego oraz pielgrzymstwa polskiego w tej epoce. Źródła i przypisy podane będą w wydaniu książkowem.

moralnego wychowywania społeczeństw. Ten jego ponadnarodowy, uniwersalny t. j. katolicki charakter stanowił i stanowi po dziś dzień istotę i klucz jego rozwoju.

Promieniowanie Rzymu nazewnątrz dokonywało się drogą odśrodkową, a także wtórną przez pielgrzymstwo wiernych do grobu Apostołów i powrót do ojczyzny z rozszerzonym widnokręgiem pojęć i dążeń. Napływ pielgrzymów a także stały kontakt z Kurją za pośrednictwem duchowieństwa rozmaitych narodów, a wreszcie młodzieży kształcącej się tutaj od połowy 16 w., wywołał potrzebę osobnej organizacji każdego z narodów na gruncie rzymskim. Tak powstały, począwszy od wczesnego średniowiecza, domy, kościoły i przytuliska, t. zw. szpitale i hospicja narodów katolickich w Rzymie. Papieże nietylko ułatwiali te organizacje, otaczali swą opieką, ale nadawali im szczególne przywileje i prawa. Co więcej, zrzekają się na swoim gruncie na ich rzecz własnych praw suwerennych. Domy narodowe z dobrowolnego nadania papieży otrzymują osobne statuta i pełną autonomję wraz z prawem azylu. Ktokolwiek schronił się na terytorjum narodowe, był nietykalny. Bram hospicjum nie wolno było przekraczać policji papieskiej. Zbrodniarz czy winowajca mógł być wydany tylko za zezwoleniem przełożonego instytucji. Tu w Rzymie znajdywały więc narody poszanowanie swego obywatelstwa i swoich praw. To też nie dziw, że Francuz, Hiszpan, Niemiec czy Polak czuł się tu tak samo, jak u siebie w domu, bo miał w Rzymie nietylko swoją ojczyznę duchową, swoją macierz religijną, ale miał też cząstkę własnej ojczyzny. Hospicja, szpitale i domy narodowe nie były instytucjami religijnemi, ale były to w całem tego słowa znaczeniu ogniska narodowe z własną autonomją, eksterytorjalnością i pewnemi prawami politycznemi. Było w tym stosunku papiestwa do pomienionych instytucyj poczucie prawdziwej patrjarchalności, było poczucie siły, jaką daje fakt, że papiestwo było i jest źródłem prawa, było poczucie wielkiego, istotnego liberalizmu. W tych tworach narodowej odrębności w stolicy chrześcijaństwa przejawił się najwymowniej katolicyzm, t. j. powszechność wiary rzymskiej, jego siła przyciągająca, a nadewszystko jego cudowna zasada, jaką jest powszechność w jedności

i jedność w powszechności. Tworzyły one jakby minjaturę każdego z narodów katolickich w sercu chrześcijaństwa i stanowiły tradycyjny, nierozerwalny węzeł w przeszłości i teraźniejszości między Matką a dziećmi.

Okoliczność, że narody w Rzymie znajdowały się „na swoim gruncie", była niesłychanie pociągająca. Wytworzyła się tu jedyna w swoim rodzaju atmosfera wysp eksterytorjalnych, która zczasem zrodziła objawy niepomyślne dla rządów papieskich, bo natura ludzka, skłonna do liczenia się tylko z siłą, nadużywała gościnności z uszczerbkiem dla autorytetu władzy miejscowej. Narodowości, wziąwszy z rąk papieży tak cenne przywileje, nietylko strzegły ich zazdrośnie, ale częstokroć tłumaczyły zbyt jednostronnie. Stąd słynne konflikty na tle sporów o eksterytorjalność, o których będzie mowa także na gruncie Hospicjum polskiego.

Początki organizacji polskiej w Rzymie sięgają trzeciej ćwierci 16 w. Jeszcze przed powstaniem hospicjum św. Stanisława istniało schronisko bardzo ubogie, pozbawione wszelkich wygód, mieszczące się w domu naprzeciw kościoła S. Lucia della Chiavica, który przedtem miał należeć do Czechów. Dom ten nazywano wtedy *Ospedale delli Polacchi.*

Również jeszcze przed powstaniem hospicjum, Polacy przybywający do Rzymu, zwłaszcza dla studjów, w braku własnego kościoła i narodowego ogniska, zgromadzali się na wspólne nabożeństwa w kaplicy św. Tryfona u św. Augustyna i tu przy kościele utworzyli własną kongregację, t. j. rodzaj arcybractwa pod wezwaniem Przenajświętszego Sakramentu, a raczej zapewne przyłączyli się do istniejącego już bractwa. Kongregacja ta znalazła się zczasem pod opieką królów polskich. Nazwa jej oficjalna brzmiała: *Congregatio S. Trifonis* albo *Congregatio Nationis Polonae.* Z dwu gwardjanów t. j. starszych, których wybierano na przeciąg roku, jeden był narodowości polskiej, wybierany na ogólnem zebraniu Polaków. Przywileju tego Polacy rzymscy strzegli zrazu bardzo zazdrośnie. Jednakowoż zdarzyło się, że w latach 1669—1689 kongregacją zawładnął gwardjan włoski Mons. Corsini i nie dopuszczał do wyborów, tem bardziej, że Polacy nie upominali się dość energicznie o swoje prawa.

Dopiero w r. 1689 udano się ze skargą do kardynała protektora Polski Karola Barberiniego, poczem Corsini ustąpił, a gwardjanem włoskim obrany został Mons. Albani, późniejszy kardynał i papież Klemens XI. Ponieważ w latach 1725—1732 bądź nie wybierano gwardjana polskiego, bądź też nikt nie chciał przyjąć wyboru, postanowiono na zebraniu Polaków 6 października w 1732 r., że odtąd gwardjanem św. Tryfona będzie każdorazowy rektor Hospicjum. W życiu Polaków w Rzymie w 16, 17 i nawet jeszcze w 18 wieku kongregacja ta odgrywa pewną rolę, bo przez nią „nacja polska" występuje nazewnątrz w ceremonjach i uroczystościach religijnych. Polacy mają własny sztandar i własne odznaki, z któremi pojawiają się publicznie w czasie procesji, na pogrzebach dostojników kościelnych i narodowych, jak np. Aleksandra Sobieskiego, Klementyny Sobieskiej, żony pretendenta do tronu angielskiego i t. p.

Środowiskiem, skupiającem życie polskie i właściwą organizacją polską w Rzymie, stało się dopiero Hospicjum św. Stanisława, założone w latach 1575—1578 przez kardynała Hozjusza, z myślą o stworzeniu schronienia dla pielgrzymów, którzy w roku jubileuszowym 1575 licznie napłynęli do Rzymu. Była to sprawa poprostu godności narodowej wobec innych państw i narodów, z których każdy posiadał w Rzymie swoje centrum narodowe. Obok tego bezpośredniego celu, wielki kardynał powodował się troską o przyszłość katolicyzmu i kultury katolickiej w Polsce. Hozjusz wielu pielgrzymom dał schronienie w swoim pałacu i żywił ich własnym kosztem przez cały rok jubileuszowy. Po skończonym zaś jubileuszu uprosił u Grzegorza XVI kościół św. Zbawiciela przy ulicy Botteghe oscure. Był to kościół parafjalny, dlatego papież pozwolił na oddzielenie parafji do pobliskiego S. Lucia. W r. 1578 wziął Hozjusz kościół w posiadanie imieniem narodu polskiego, zakupił kilka obok położonych domków, które przerobiono zgrubsza na schronisko dla pielgrzymów oraz dla młodzieży, przybywającej na studja. Stefan Batory i Anna Jagiellonka poparli moralnie i materjalnie dzieło Hozjusza. Stary kościółek przebudowany po raz pierwszy, oddany został pod wezwanie patrona Polski św. Stanisława. Stąd nazwa instytucji: *Hospi-*

tium Nationis Polonae ad S. Stanislaum lub *Ecclesia et Hospitale S. Stanislai Nationis Polonorum.*

W 1578 r. umarł Hozjusz i zostawił kościołowi legat 1000 skudów.[1]) D. 9 stycznia 1580 r. Piotr Dunin Wolski, biskup płocki, przybyły do Rzymu jako poseł Batorego, zebrał u siebie Polaków przebywających w Rzymie na życzenie sekretarza i wykonawcy testamentu Hozjusza, Reszki, który chciał w ten uroczysty sposób przekazać legat wielkiego kardynała w ręce rodaków. Wybrano wtedy czterech prowizorów t. j. administratorów, którzy mieli czuwać nad rozwojem instytucji. Legatu Hozjusza a także 1000 skudów, pochodzących z ofiary Anny Jagiellonki, użyto częściowo na wykup przylegających do kościoła realności. Nowy apel do królowej miał przynieść dalsze 500 skudów, ale rezydent polski w Neapolu Kłodziński nie wypłacił ich, bo zapewne ich nie uzyskał ze sum neapolitańskich. Składkami i darami ukończono przebudowę Hospicjum, które wówczas składało się z pomienionych kilku realności, bardzo zresztą niepokaźnych i ubogich. Dochody kościoła wynosiły wtedy około 60 skudów rocznie, przeważnie z czynszów. Aktu poświęcenia dokonał kardynał Jerzy Radziwiłł, biskup krakowski, w r. 1591. Zmarły w r. 1600 w Rzymie biskup włocławski, ks. Hieronim Rozdrażewski, zostawił legat 1000 skudów z obowiązkiem odprawiania jednej mszy św. dziennie za jego duszę, ale wartość legatu wskutek deprecjacji niebawem spadła tak, że musiano zredukować msze. W 1600 r. umarł Reszka i uczynił zapis dalszych 1000 skudów bez żadnego obowiązku. W r. 1601 napłynęło trochę ofiar i datków, za które przyozdobiono nieco kościół. W r. 1661 nabyto mały dom ze stajnią, zw. *della Torretta* od OO. Augustjanów. Tak więc całość posesji należącej do Hospicjum składała się z kościoła i grupy domków przeważnie jednopiętrowych tego typu, jaki widzimy dziś jeszcze przy *vicolo dei Polacchi* lub w uboższych dzielnicach miasta.

Instytucja, wbrew temu jak się przypuszcza, nie rozwi-

[1]) Skud, *scudo d'oro* t. j. skud złoty = 21 fr. W obiegu jednak był skud monetarny, którego wartość zmieniała się z roku na rok. Za Grzegorza XIII 100 sk. zł. = 115 sk. monet. W 18 w. 1 sk. = 10 złp. a 1 czerwony złoty = 2 sk.

nęła się więcej w ciągu 17 wieku i pozostała znacznie wtyle w porównaniu z podobnemi zakładami innych narodów w Rzymie. Pierwotne zapisy i legaty nie wzrastały. Polska przez cały niemal wiek XVII zmaga się z barbarzyństwem wschodniem w obronie własnych granic i całego chrześcijaństwa. Papiestwo bierze żywy udział w tem zmaganiu się przedmurza chrześcijaństwa. Każde zwycięstwo, każdy triumf Polski jest tu uważany za zwycięstwo Rzymu i triumf cywilizacji zachodniej, a naodwrót klęska za własną klęskę i niepowodzenie. W nabożeństwach błagalnych czy dziękczynnych z powodu zwycięstw pod Chocimem, Beresteczkiem czy Wiedniem, urządzanych w kościele św. Stanisława, uczestniczą osobiście papieże wraz z kardynałami. W r. 1657 na wieść o wyswobodzeniu Polski od potopu szwedzkiego i kozackiego Aleksander VII nakazał modły błagalne we wszystkich kościołach rzymskich i osobiście kroczył na czele procesji z kościoła św. Marka do św. Stanisława z wszystkimi kardynałami. W r. 1668 Klemens IX dwa razy przybywa na nabożeństwa błagalne do kościoła polskiego. Podobnie Klemens X modli się tu za powodzenie oręża Sobieskiego, a Innocenty XI dziękuje za zwycięstwo pod Wiedniem. Skromna świątynia polska przy via Botteghe oscure staje się w ten sposób widomym węzłem, łączącym w ciągu wieków Polskę z Rzymem i Stolicą Apostolską.

Tem więcej zasługiwała, by ją podnieść i nadać jej pewną okazałość zewnętrzną, ale nie pozwalał na to brak środków. Tymczasem domy Hospicjum chyliły się coraz więcej i upadały. Z początkiem 18 w. całość przedstawiała się bardzo opłakanie. Wizyta apostolska, dokonana z rozkazu Klemensa XI przez kardynała Santacroce w r. 1711, stała się dla dalszego rozwoju Hospicjum przełomową. „Cenzura y nagana", jaką wtedy otrzymał zarząd Hospicjum t. j. prowizorzy i rektor, skłoniły go do zaapelowania do narodu, „który w tej nieczułości swego dishonoru dotychczas trwał y zostawał", o pomoc na odbudowę instytucji. W instrukcji danej kwestarzom, udającym się do Polski zbierać składki, przedstawiono stan instytucji narodowej w nader ciemnych barwach, którą „tak sobie imaginować potrzeba — były słowa odezwy — iako żebraka nagiego albo odartego mię-

dzy Panami bogato odzianemi posadzonego, y to ubóstwo iego wiadome z hańbą y ochydą całego Narodu Polskiego". A domy były podobne „bardziey pustkom y iaskiniom niżeli budynkom".

Z odwagą i poświęceniem, które wysoce cenić należy, postanowiono „te nie domki lecz pustki upadające albo prawie codziennie rozsypujące się" obalić i na ich miejscu wznieść godny Polski gmach.

Na tem miejscu niezbędnem jest zdać sobie sprawę z praw, przywilejów i zarządu tej instytucji. Naczelną władzą, kierującą i zarządzającą, było ogólne zebranie Polaków obecnych w Rzymie, świeckich i duchownych z wyłączeniem zakonników, rodzaj sejmiku, zwanego kongregacją generalną, która zbierała się zwykle raz do roku w maju, w oktawę św. Stanisława. Rano wysłuchiwano mszy do Ducha Św., a po południu, po nieszporach, przystępywano do obrad. Wyznaczeni przez kongregację generalną rachmistrze *(calculatores)* składali sprawozdanie o stanie finansowym instytucji, jej przychodach i rozchodach. Poczem przystępowano do obioru nowych prowizorów t. j. administratorów w liczbie czterech na przeciąg jednego roku, zwykle dwu duchownych i dwu świeckich, którzy mogli być potwierdzeni na rok przyszły zawsze jednakże przed nową kongregacją generalną, w której ręce rezygnowali. Głosowanie odbywało się kartkami; głosy liczono i zaciągano do protokółu. Prowizorowie składali przysięgę na wierne spełnianie obowiązków i zazwyczaj byli instalowani notarjalnie. Poczem dokonywano wyboru gwardjana arcybractwa św. Tryfona, nakoniec zaś płatnych funkcjonarjuszy t. j. zawiadowcy *(esattore)*, którego zadaniem było pobierać czynsze z mieszkań wynajmowanych lokatorom prywatnym i zdawać rachunki z zarządu domami oraz księgowego buchaltera *(computista)*, prowadzącego księgę główną całej instytucji. Buchalter na podstawie otrzymywanych pełnomocnictw od prowizorów podejmował pieniądze złożone w Monte di Pietà, gdzie również były złożone papiery wartościowe i fundusze Hospicjum. Zwykle co miesiąc był on obowiązany składać sprawozdanie prowizorom podobnie, jak zawiadowca domów. Zawiadowcą od r. 1700—1721 był niejaki Ludwik Goffoi, po

nim krótko Cortese, a potem Polak Puski, z którym Hospicjum popadło w poważny zatarg. Protokóły zebrań miesięcznych oraz generalnych zaciągane były do t. zw. ksiąg Dekretów kongregacji. Prowadzone po łacinie, stylem dość sumarycznym a później coraz zwięźlejszym i oschłym, stanowią one główne źródło do dziejów instytucji. Posiedzenia miesięczne (kongregacje partykularne) prowizorów i rektora stanowiły właściwy organ administracyjny. Stąd wychodziły wszystkie decyzje, dotyczące zarządu instytucji. W latach 1714—1725, t. j. w okresie budowy, miało też Hospicjum prokuratora t. j. adwokata dla ewentualnych spraw spornych, oraz kupna i sprzedaży. W latach powyższych uderza zbyt wielka liczba urzędników płatnych, zresztą opłacanych niezbyt hojnie. Trzej powyżsi funkcjonarjusze byli zazwyczaj Włochami i zmieniali się dość często.

Rektora kościoła wybierali prowizorowie. Szczegół ważny, bo daje pojęcie o rozmiarach autonomji instytucji i liberalizmie papiestwa. Był on administratorem kościoła. Poza tem zakres jego działania był bardzo ograniczony, gdyż we wszystkiem zależny był od prowizorów. Zdarzało się jednak, że w latach, w których prowizorowie zmieniali się bardzo często z powodu odjazdów do Polski, inicjatywa w zarządzie Hospicjum przechodziła do rąk rektora. Tak bywało w okresie 1714—1727 t. j. w latach budowy, kiedy rektorem był ks. Mulinowicz, który rozwinął bardzo skuteczną działalność w Polsce na rzecz zbiórki funduszów na budowę Hospicjum. Rektor administrował sumami, pochodzącemi ze składek i na polecenie prowizorów wypłacał pieniądze komputyście, który zkolei płacił rzemieślnikom zajętym przy budowie.

Naogół więc kościół i Hospicjum stanowiły instytucję o szerokiej autonomji wewnętrznej, która to autonomja załamała się zczasem nie tyle wskutek sporów osobistych w kolonji, ile wskutek kłopotów i kryzysu finansowego, w jaki Hospicjum wpadło dzięki chwalebnemu zresztą, bo obfitemu w rezultaty, mierzeniu sił na zamiary.

Nie czekając na przypływ ponowny z Polski, Polacy rzymscy wzięli się do dzieła. Chodziło przedewszystkiem o powiększenie terenu pod budowę, o wybrnięcie z chaosu

otaczających Hospicjum posiadłości, o uregulowanie i o uporządkowanie całego terytorjum i praw własności, co nie było łatwem do przeprowadzenia. Na prawo od kościoła ku dzisiejszej *via dei Polacchi,* w części górnej stały domy należące do Hospicjum, przeznaczone do zwalenia, w części dolnej zaś był placyk wolny, który tworzył narożnik *via Botteghe oscure* i *via dei Polacchi.* Postanowiono tentować o uzyskanie tego terenu, należącego do miasta i w tym celu prowizorzy Zaleski i Puszet, sekretarz poselstwa *(Secretarius Regius et Serenissimae Reipublicae Polonae residens in Urbe),* wydelegowani przez kolonję polską, zwrócili się o pośrednictwo do barona Schencka, posła Augusta II, a gdy ten nie wykazywał wielkiego zainteresowania sprawą, udali się prowizorzy *in gremio* do kardynała Hannibala Albaniego, który właśnie podówczas t. j. w kwietniu 1712 r. został protektorem Polski. Kardynał, który był nepotem panującego Klemensa XI, chętnie przyrzekł pomoc u Papieża w uzyskaniu placu a nawet wziął na siebie koszta urządzania dorocznego nabożeństwa w dzień św. Stanisława, które prowizorzy zamierzali zawiesić z powodu budowy. W ten sposób Hannibal Albani zaznaczył objęcie swego protektoratu.

Równocześnie polecono architekcie polskiemu, Benedyktowi Renardowi, b. uczniowi Akademji św. Łukasza, o którym jako artyście będzie mowa na innem miejscu, sporządzenie planów, co on uskutecznił. Plan Renarda nie utrzymał się jednakże i nie on w następstwie kierował budową, lecz architekt rzymski Ludwik Barattoni oraz jego zastępca Franciszek Ferrari. Ten ostatni utrzymał się do końca przy kierownictwie budową.

W maju 1712 r. wniesiono memorjał do Kongregacji Soborów o pozwolenie zaciągnięcia długu w kwocie 4.000 skudów, drugi zaś do papieża za pośrednictwem kardynała Albaniego z prośbą o plac, co zależało od decyzji Klemensa XI a administracyjnie od t. zw. Trybunału drogowego *(Tribunale delle strade).* Kardynał Albani, stosownie do przyrzeczenia, zajął się bardzo życzliwie powyższemi sprawami i w dzień św. Stanisława 1712 r. odbył uroczysty ingres do kościoła narodowego jako Protektor Polski. Przy tej sposobności

przygrywała wspaniała kapela i śpiewał chór kardynała. Cała kolonja polska wzięła udział w tej uroczystości.

Po otrzymaniu pożyczki przystąpiono do budowy, nad którą z ramienia Hospicjum czuwali Puszet oraz prowizor Krzysztof Stawiński, doktór medycyny. Koszta budowy wzrastały, gdyż nadzieja, że da się coś zachować ze starych murów, zawiodła i musiano wznosić ściany od fundamentów po zdemolowaniu dotychczasowych domków. Niewiadomo dokładnie, ile i jakie roboty zdołano wykonać w ciągu 1713 i pierwszej połowy 1714 r., gdyż brak z tych lat zapisków. W każdym razie wzniesiono wtedy część dzisiejszego prawego skrzydła, które do 1712 r. nie istniało. W październiku 1714 r. zaaprobowano plan wielkiego ołtarza w kościele i polecono architekcie wybudować nową wieżę, podobną do starej, przyczem miał zwracać baczną uwagę na oszczędność. W następstwie z braku pieniędzy wieży tej wcale nie wzniesiono. W listopadzie tegoż roku wszczęto starania o nową pożyczkę 5.000 skudów, którą, po otrzymaniu pozwolenia Kongregacji Biskupów, zaciągnięto w Kolegjum OO. Jezuitów *(Gesù)* i zdeponowano w Monte di Pietà. 1200 skudów z tej pożyczki zużyto na kupno domku, położonego na lewo od kościoła i przeznaczonego na zakrystję. W ten sposób bądź drogą kupna, bądź donacji uzyskano całość posesji w dzisiejszej postaci. Do końca maja 1715 r. z sumy 5.000 skudów, pożyczonej u Jezuitów, wydatkowano mniej więcej połowę. W tym czasie, t. j. w połowie 1715 r., część domu na prawo od kościoła została wykończona, bo można było wynająć sklepy i mezzanin za 73 skudy rocznie, a górne mieszkanie, t. j. na pierwszem piętrze, za 250 skudów. Na drugiem piętrze zamieszkał czasowo rektor ks. Mulinowicz i płacił tylko 20 skudów rocznie, z uwagi na to, że mieszkanie jego służyło do zebrań prowizorów i całej nacji.

W drugiej połowie 1715 i w 1716 r., po zwaleniu domów, wznoszących się od tyłu, ukończono budowę tylnej części nowego gmachu, która przeznaczona była dla pielgrzymów, dla których w czasie budowy wynajęto kilka pokoi w pobliżu Hospicjum. Fundusze z kraju napływały w mierze bardzo niedostatecznej tak, że zarząd był zmuszony z początkiem 1717 r. oglądnąć się za nową, już trzecią po-

życzką i w tym celu wniesiono memorjał do Kongregacji Biskupów o pozwolenie zaciągnięcia 3.000 skudów na hipotekę nowej budowy. Równocześnie, by sprostać nieuniknionym wydatkom na materjały budowlane i opłacenie robotników, a wobec braku proporcjonalnej pomocy z kraju, zaciągano długi prywatne po kilkaset skudów: w Arcybractwie św. Katarzyny Sieneńskiej przy via Guilia, w kolegjum irlandzkiem, u Ojców przy placu S. Marcello i t. d. Dochody Hospicjum z wynajmowanych mieszkań nie wystarczały na opłacenie procentów i równocześnie umarzanie samych długów. Stąd konieczność robienia nowych dla opłacania procentów. I tak w ciągu lat następnych położenie finansowe Hospicjum pogarsza się stale i wytwarza się błędne koło rosnących zobowiązań, którym instytucja nie jest w stanie sprostać, bo sukurs z kraju zawiódł a raczej nie napłynął w pożądanej mierze. Od r. 1713—1723 zebrano w darach przekazanych z Polski głównie od biskupów, zaledwie 4844 skudów, a wydatki w tym czasie były kilka razy większe. Polacy, zamieszkali w Rzymie, nie byli ludźmi zamożnymi, zresztą była ich garstka, a przejezdni, nawet magnaci, ograniczali się zwykle do obietnicy nadesłania ofiary z kraju. Księga „dobroczyńców", która przechowała się w archiwum Hospicjum, bynajmniej nie świadczy o wielkiej ich ofiarności. Co więcej zdarzało się, że niejeden z tych pielgrzymów pożyczał w Hospicjum na drogę powrotną do Polski.

Garstka Polaków rzymskich, targnąwszy się na dokonanie dzieła tak znacznego, jakiem niezaprzeczenie było wybudowanie Hospicjum i odbudowa kościoła, mierzyła siły na zamiary. I tego im nie można zganić. Przeciwnie. Znaleźli się zresztą wobec nakazu władz papieskich, które nie chciały tolerować stanu, do jakiego Hospicjum doszło po stukilkudziesięciu latach od swego założenia. Niestety trafili oni na najsmutniejszy okres katastrof zewnętrznych i wewnętrznych, w jakich pogrążona była Rzplta. Polska miała dwu królów i dwa rządy: Augusta II i Leszczyńskiego, osadzanych i strącanych kolejno z tronów przez obcych istotnych panów jej terytorjów. Zaledwo skończyły się, po klęsce połtawskiej, przemarsze Karola XII, miejsce Szweda jako dyktatora Rzpltej i opiekuna Leszczyńskiego, zajął Piotr W.,

sprzymierzeniec i protektor Augusta II. Właśnie w 1713 r. wisiała nad Polską groźba rozbioru, a zaraz potem następują drgawki zamachu stanu, z jakim nosi się oddawna August II, zamachu, który wywołuje przeciwko niemu konfederację tarnogrodzką szlachty i zkolei oddaje, skłócony wewnętrznie i rozbrojony kraj pod protektorat Rosji, traktatem warszawskim (1716), zatwierdzonym na Sejmie Niemym 1 lutego 1717 r. „Karczma zajezdna", jak nazwano Rzpltę, otwierała naścieżaj wrota swe wrogom. Ale najgorszą z klęsk, jakie dotknęły jej organizm, był upadek ducha publicznego, było zaprzaństwo i upodlenie jednych a niemoc i bezradność drugich. W takich warunkach odezwy Polonji rzymskiej o subsydja i pomoc nie miały wielkich szans powodzenia.

Jak wyglądała ta kolonja polska w swych najwybitniejszych przedstawicielach i jakie było jej oblicze moralne i intelektualne?

W latach 1712—1725 składali się na nią Polacy stale zamieszkali nad Tybrem, których tu było niewielu oraz przejezdni. Do pierwszych zaliczyć należy oficjalnych przedstawicieli króla, garść duchowieństwa i kilku artystów; do drugich pielgrzymów rozmaitych warstw, o których będzie mowa w osobnym rozdziale, młodzież kształcącą się dość licznie w kolegjach i w tutejszym uniwersytecie oraz liczne duchowieństwo, zjeżdżające tu dla spraw w Kurji i do rozmaitych Kongregacyj. Sporo bywało zawsze w Rzymie zakonników, ale ci, jako tacy wykluczeni byli od udziału w życiu kolonji. Zaznaczały to wyraźnie statuty Hospicjum, w myśl których zakonnik nie mógł brać udziału w zebraniach a tem bardziej piastować jakiegokolwiek urzędu. Tem tłumaczy się np. fakt, że o Konarskim, który tu mieszkał przez kilka lat, w tym właśnie okresie nie znajdujemy ani wzmianki w aktach Hospicjum, i że na losy kolonji i instytucyj narodowych nad Tybrem nie wywierał on żadnego wpływu.

W ówczesnej kolonji zaznaczyły się dwa prądy, które odtąd przez szereg lat będą się ścierały. Z jednej strony stał Puszet, urzędowy przedstawiciel króla i zwolennicy Puszeta, którzy pod jego wpływem patrzyli zukosa na zbyt autonomiczną gospodarkę w Hospicjum. W ich mniemaniu, o ile można wywnioskować z ułamkowych aktów, Puszetowi

i z racji jego urzędu a także stałego zamieszkania w Rzymie, powinien był przypaść niepodzielny wpływ na zarząd instytucji. Z drugiej strony przejawiała się tendencja ściśle autonomiczna, według której zarząd sprawami Hospicjum i kościoła należał do nacji polskiej, mającej się rządzić na gruncie rzymskim w porozumieniu ale nie w zależności od oficjalnych czynników polskich w Rzymie, w myśl zresztą statutów nadanych przez fundatorów a zatwierdzonych przez Papieży. Do tych tendencyj ogólnych przyłączały się kwestje osobiste a wreszcie i polityka odgrywała tu, jak zwykle, niemałą rolę, bo naogół biorąc przeważała między Polakami rzymskimi orjentacja i sympatje stanisławowskie, za Leszczyńskim. August II, jak w kraju, tak i tu nie był popularny. Nie okazywał też zainteresowania instytucjami polskiemi w Rzymie. Niewiadomo, co mu w tej materji donosił Puszet, ale faktem jest, że w okresie najkrytyczniejszym dla Hospicjum nie pośpieszył z pomocą, a jednak rok rocznie słał do Rzymu olbrzymie sumy na zakupno dzieł sztuki do swych zbiorów drezdeńskich.

Obok Puszeta osobistością w kolonji polskiej był Krzysztof Stawiński, padewczyk, doktór medycyny. Drugim lekarzem polskim w Rzymie był podówczas Jacek Augustyn Łopacki, syn Jacka i brat Antoniego obu również doktorów medycyny. Studja medyczne odbył w Bolonji, potem był lekarzem Aleksandra Sobieskiego w czasie jego nieuleczalnej choroby. Powróciwszy do kraju, został księdzem i szybko posunął się w karjerze duchownej. Znany jest z tego, że jako proboszcz archiprezbiter kościoła Najśw. Panny Marji chciał usunąć ołtarz Wita Stwosza, by zastąpić go marmurowym, zapewne barokowym, jakich tyle oglądał w Rzymie. Poza tem wsławił się jako filantrop.

Jednym z najstarszych członków kolonji był atoli ks. Sebastjan Mulinowicz, wychowanek uniwersytetu rzymskiego i długoletni rektor Hospicjum. Ks. Mulinowicz przybył do Rzymu jeszcze z końcem 17 w., znał więc gruntownie tutejsze stosunki i miał wiele znajomości. Nadto względnie niezależny materjalnie, nadawał się wyjątkowo na rektora kościoła w okresie tak trudnym jak przebudowa Hospicjum. Z całem oddaniem i poświęceniem, nie szczędząc trudów

i własnych pieniędzy, pracował przez 11 lat dla dobra instytucji, z roku na rok zatwierdzany jako rektor „dla bezinteresownej gorliwości i miłości tego kościoła". Nie przeszkodziło to, tym samym rodakom, którzy darzyli go przez szereg lat zaufaniem i szacunkiem, ogłosić go potem za „wroga kościoła", poczynić mu najcięższe zarzuty, wytoczyć proces a w następstwie wszystko to odwołać i w pełni rehabilitować. Mulinowicz zażądał wtedy na zadośćuczynienie, aby mu wystawiono jeszcze za życia tablicę w kościele z wyrażeniem wdzięczności a po śmierci odprawiano codziennie na jego intencję mszę św. Msze zredukowano do jednej na miesiąc, a co do tablicy, to mu poradzono, by ją własnym wystawił kosztem. Szereg lat mieszka w Rzymie i działa na gruncie Hospicjum, w okresie przebudowy, ks. Mikołaj Michałowski, dziekan katedralny przemyski, kilkakrotny prowizor Hospicjum, gwardjan arcybractwa św. Tryfona, weredyk i protestowicz.

Przez 30 lat, bo mniej więcej od 1710—1740 r., przebywał i pracował w Rzymie mistrz Szymon Czechowicz, chwała młodego malarstwa polskiego. Skromny, łagodnego charakteru, nie narzucający się nikomu, anielsko zapatrzony w swoją sztukę i wyłącznie jej oddany, stał na uboczu walk, zmagań i kłopotów kolonji polskiej, bo nie brakło mu własnych. Dwa razy tylko, w listopadzie 1714 r. i 1716 r., zjawia się na zebraniu ogólnem Polaków, a potem za półdarmo, sam biedny, maluje swe najlepsze płótno dla kościoła narodowego. Wcześniej od Czechowicza przyjechał do Rzymu na studja inny artysta, Benedykt Renard, architekt i rysownik, znany nam już projektodawca pierwszych planów pod budowę. Działalnością tych artystów zajmiemy się w osobnym rozdziale.

Czarną bestją kolonji stał się w tym czasie niejaki Piotr Puski, zdawna w Rzymie zamieszkały, a bodaj nawet tu urodzony, osobnik niespokojny i awanturniczego charakteru. Wybrany zawiadowcą Hospicjum, miał sobie przywłaszczyć pieniądze z czynszów, które pobierał od lokatorów, a pociągnięty do odpowiedzialności zelżył srodze całą zgromadzoną nację polską, za co został z łona kolonji wyrzucony. Sprawa poszła przed kardynała protektora i Puski był zmu-

szony rodaków przeprosić i obelgi odwołać. Despekt wyrządzony kolonji musiał być ciężki i oburzenie jeszcze większe, skoro wystąpiono z wnioskiem napisania ze skargą do kanclerza Rzpltej.

Ci nieliczni stale mieszkający w Rzymie Polacy oraz liczniejsi przejezdni, z którymi będziemy mieli sposobność zapoznać się poniżej, wzięli na siebie ciężar przerastający ich siły. Budowę nowego gmachu ukończono w 1718 r. i dopiero wtedy rozpoczęły się na dobre troski i kłopoty, a na ich tle niesnaski i zatargi, których ofiarą padł pierwszy ks. Mulinowicz. Już na dorocznem zebraniu w maju 1717 r. przyszło do starcia dwu wspomnianych tendencyj. Z 25 obecnych w Rzymie Polaków zjawiło się tylko 15 „miłujących dobro publiczne". Inni mniej troszczący się o dobro kościoła i honor narodowy *studio se substraxerunt* — pod różnemi pozorami? Puszet wbrew statutom, które nakazywały tajne głosowanie, chciał narzucić na prowizorów swoich kandydatów: Krajewskiego, Prusaka i Ceyplerna. Wniosek Puszeta odrzucono, a natomiast wybrano ks. Michałowskiego Mikołaja, Franciszka Omańskiego, Walentego Chlebowskiego i Krzysztofa Stawińskiego. Puszet upadł i na kilka lat usunął się od zarządu instytucją.

(Dok. nast.)

Maciej Loret.

Idea gospodarcza Polski.

(Ciąg dalszy)

II.

Ale program to nie wszystko. Idzie jeszcze o to, czy jest wykonalny, czy polityk, a więc człowiek myślący kategorjami realnemi, może go uznać za swój. Poważne wątpliwości wypowiada w tym kierunku znakomity uczony krakowski, prof. Jaworski, stawiając kwestję na szerokiem tle historjozoficznem. Twierdzi on, że naród polski, odzyskawszy byt państwowy, nie skrystalizował i nie uświadomił sobie dotąd swej idei przewodniej. Inteligencja nasza wychowana jest na myśleniu, wykształconem przez przemysł i handel, i to tak dalece, że nawet sfery rolnicze, przejąwszy się rzekomo w naszych uczelniach najwyższych myśleniem przemysłowem, wnoszą w lud sposób myślenia całkiem mu obcy. Racjonalizm nowoczesny, rezultat wykształcenia przemysłowego, przeciwstawia się w ten sposób irracjonalizmowi sfer rolniczych. Historja tworzy się atoli w przeważnej mierze pod wpływem czynników irracjonalnych. Należy więc wydobyć z upośledzenia i uświadomić sobie elementy irracjonalne, stworzyć harmonję między niemi a czynnikami racjonalistycznemi, czyli, według nomenklatury prof. Jaworskiego, miejskiemi, co właśnie stanowić ma właściwe zadanie Polski i istotę naszej niezbędności dla kultury wszechludzkiej.

Cały ten wywód historjozoficzny wydał się jego autorowi potrzebny dla sympatycznego skądinąd wniosku, że wszelki program przyszłej struktury społeczeństwa polskiego, jako dziś przeważnie agrarnego, winien rozpocząć swój pochód, jako z punktu wyjścia, od uporządkowania stosunków

na wsi, tudzież dla dalszego twierdzenia, że rozwój przemysłu w Polsce zależeć winien od rozwoju rolnictwa, jemu przedewszystkiem służyć i do niego się ograniczyć. Rozpatrzmy tedy *sine ira et studio* nie wnioski, ale przesłanki. Ocena wniosków nasunie się wówczas sama przez się.

Należy przyznać na wstępie, że konstrukcja prof. J. czyni na pierwszy rzut oka wrażenie tem sympatyczniejsze, że stawia nas niejako w pośrodku ludzkości, powierza nam misję wcielenia ideału człowieka doskonałego i pochlebia niezmiernie naszej ambicji narodowej. Prof. J. podkreśla przytem, jako człowiek nowoczesny, że wykluczone jest zarówno wskrzeszenie form średniowiecznych, jak i negacja nauki nowoczesnej, byle ona nie miała pretensji do rozwiązania tajemnic, których rozwiązać nie potrafi. A jednak całe jego rozumowanie budzi poważne wątpliwości.

Pod ideą przewodnią Polski rozumiem posłannictwo dziejowe naszego narodu, które wyczytać można z całej dziewięciowiekowej przeszłości we własnem niepodległem państwie, oraz z krwawego więcej niż stulecia od chwili rozbiorów aż po koniec wojny światowej. Zdaje mi się więc, że niepodobna konstruować zadań i myśli przewodnich przyszłości bez oglądania się na przeszłość. Na nią jednak hipoteza prof. J. nie zwraca zgoła uwagi, nie bierze jej w rachubę, nie ocenia i nie sprawdza własnego pomysłu pod kątem widzenia i sprawdzianem czynów przeszłości, jej kultury odrębnej, jej win i zasług. A ośmielam się twierdzić, że tylko wówczas dana konstrukcja historjozoficzna byłaby przekonywująca, gdyby wznosiła się na twardym gruncie przeszłości, nie zaś jedynie na subjektywnych, choćby bardzo głębokich i sympatycznych życzeniach i pragnieniach.

Ideał doskonałego człowieka osiągnęli pierwsi starożytni Grecy. Odżył on potem w Leonardzie da Vinci, w Goethem i w jeszcze niewielu ludziach, z wielkich największych. Najbliższem nam w nowszych czasach wcieleniem równowagi między idealizmem a realizmem był ów w jednym człowieku nienasycony badacz tajników przyrody z części pierwszej *Fausta,* genjalny optyk i botanik a zarazem głęboki reformator społeczny z drugiej części *Fausta,* sentymentalny wyznawca ukrytych i groźnych władz duszy z *Wertera* i *Lat*

wędrówki Wilhelma Meistra, korny czciciel potęgi przeznaczenia z *Ifigenji,* a jednocześnie zwolennik piękna i pogody jako celu życia z *Torquata Tassa.* Naród nasz jednak, przez przeszło lat sto ujarzmiony i rozdzielony, a dziś jeszcze szarpany i osłabiony wskutek właściwego nam przerostu indywidualizmu, skłonny jest raczej do romantycznego pesymizmu, w dobie zaś obecnej nie zdołał jeszcze, jak sądzę, wytworzyć klasycznego typu człowieka szczęśliwego; co więcej, ten typ człowieka, oddającego się, jak Goethe, w czasie największych wstrząśnień narodowych i społecznych nieprzerwanie zamiłowaniom swym i upodobaniom estetycznym i naukowym, niemiłe i obce czyni na nas wrażenie. A jednak w Goethem, który tak mało czuł się Niemcem, że pisał poematy na cześć Napoleona w czasie podboju przez tegoż Niemiec, racjonalizm wieku XVIII i irracjonalizm tajnych władz duszy ludzkiej łączą się najdoskonalej w jeden zgododźwięk człowieka, któremu nic ludzkiego nie było obcem.

Poza tem podział społeczeństwa na rustykalne i urbanistyczne, wiejskie i miejskie, może mieć wartość ze stanowiska inwazji żywiołów miejskich do poezji nowoczesnej, inwazji, która wówczas tylko byłaby pożałowania godną, gdyby wyparła piękno poezji dawnej, opartej na odczuciu krajobrazu wiejskiego i wogóle piękna przyrody na wsi, ale która poza tem musi być uznana za powiększenie i kąta widzenia estety czy samego twórcy i widnokręgu czytelnika. Ale rozróżnienie to musi być ocenianem zupełnie inaczej, gdy się przenosi na teren spraw społecznych, gospodarczych i narodowych. Czyż wszędzie na zachodzie ludzie z miast nie złożyli dowodów najbezinteresowniejszego patrjotyzmu, a więc uczucia z pewnością irracjonalnego? A czyż u nas mało było patrjotów między ludźmi z miast? Możnaby na to wskazać, że w miastach polskich obok Polaków jest dużo nie-Polaków, co jest prawdą. Ale gdybyśmy z powodu takiego stanu rzeczy, nie typowego dla miast wogóle, ale wyjątkowego, odmiennego, wyciągali ręce z tęsknotą za wsią jako jedynem rzekomo źródłem patrjotyzmu, tobyśmy poprostu wylali dziecko z kąpielą. Rozumiem i podzielam pragnienie zmiany fizjognomji niektórych miast naszych na bardziej polską, ale w takim razie dążmy do tej zmiany, lecz nie czyńmy miast

ogniskiem jednostronnego racjonalizmu, którem u nas z pewnością nie są. Mamy miast i tak za mało i za małe, zaniedbane i biedne, a jeśli prof. J. posuwa się do twierdzenia, że cała masa rolnicza „poprostu drzemie" a uświadomiona jest tylko ta część społeczeństwa, która myśli przemysłowo, to niech mi wolno będzie zgłosić częściowo bodaj akces do tego poglądu i stwierdzić, że miasto drzemie w każdym razie mniej, aniżeli wieś. Wszędzie miasta są siedzibami nauki i sztuki. Bez nich stalibyśmy niżej pod każdym względem. Należy niemi zawładnąć, przetworzyć obce w nich żywioły w duchu polskim, ale nie osłabiać znaczenia samych miast.

Twierdzi prof. J., że żywioły, wychodzące ze sfer rolniczych, przejmują się w szkole „myśleniem przemysłowem" i to tak dalece, że działając potem wśród ludu i przez lud, wnoszą weń obcy mu sposób myślenia. Nie zdaje mi się, aby szkoła, choćby wyższa miała tak duży wpływ, który zresztą świadczyłby o tem, że czynniki irracjonalistyczne nie zbyt głęboko zapadły w duszę ludności wiejskiej, skoroby tak łatwo było je wytępić.

Poza tem wszystkiem nie wydaje mi się trafnem twierdzenie, jakoby racjonalizm myślenia XIX wieku wywodził się z interesów przemysłu i handlu. Już *a posteriori* sądząc, musiałaby w takim razie inteligencja nasza, wysoce naogół niepraktyczna i bardzo jednostronnie wychowana dotąd na filologji klasycznej i romantyzmie naszej poezji, a w szczupłej zaledwie garstce w szkołach fachowych, mieć jakie takie o przemyśle i handlu pojęcie lub choćby do nich zamiłowanie. Niestety widzimy, że przemysł i handel, jak był w XVIII wieku i dawniej, tak dotąd w Polsce bodaj w przeważnej części jest w rękach obcych a nie polskich.

Nadewszystko jednak zaznaczyć należy, że racjonalizm powstał o wiele dawniej, nim jeszcze wynaleziona została maszyna parowa, twórczyni nowoczesnego przemysłu i nim dzięki niej kolej i statek parowy usunęły przeszkodę odległości, umożliwiając rozwój handlu w nieznanych nigdy przedtem rozmiarach.

Ale naprzód porozumiejmy się co do znaczenia słowa „racjonalizm". Pod tym wyrazem rozumieć należy sposób my-

ślenia, przeczący Objawieniu i wywodzący treść religji z rezultatu badań rozumowych. Uznawszy to określenie za trafne, wywiedziemy racjonalizm i ujrzymy jego zawiązki w relatywizmie sofistów takich jak Protagoras, Euthydemos, Gorgias i Kritias. Racjonalistami byli również stoicy, stawiali bowiem wyżej intelekt od intuicji czy wewnętrznego głosu. Franciszek Bacon z Verulamu (1561—1626) uznaje w dziele swem *"Novum Organon"* jako jedyne źródło wiedzy doświadczenie, a jako jedyną godną uznania metodę badań indukcję, a Tomasz Hobbes (1588—1679) przekształca i przejaskrawia te poglądy w duchu materjalizmu. Intelektualizm Descartesa (1596—1650) stanowi tu dalszy etap. Pierwszy on wygłasza zasadę o konieczności wątpienia i krytyki, uważając ją za warunek wszelkiego dociekania prawdy. John Locke (1632—1704) w dziele p. t. *„Próba dotycząca rozumu ludzkiego" (Essay concerning human understanding)* wywodzi wszelkie poznanie bądź z wrażeń zmysłowych, bądź z refleksji. W r. 1662 powstaje w Londynie Towarzystwo Królewskie dla badania nauk przyrodniczych, głośne pod nazwą: *Royal Society*, które zmienia niebawem powszechny światopogląd sfer wykształconych na racjonalistyczny. Izak Newton (1643—1727) udowadnia prawidłowość działania przyrody, odkrywając prawo powszechnego ciążenia; w dziele swem *Philosophiae naturalis principia mathematica* (1687) tłumaczy prawa przyrodnicze wzajemnem przyciąganiem ciał, co z natury rzeczy musiało odwracać umysły od wiary w cudowną przyczynę wszechbytu, a skierować uwagę na bliższe, rozumem objąć się dające przyczyny istnienia praw przyrody.

Francuzi popularyzują wyniki badań wielkich Anglików. Pierre Bayle (1647—1706) pisze słynny swój *Dictionnaire historique et critique* (1696); Franciszek Arouet, głośny pod pseudonimem Voltaire'a (1694—1778), wstępuje w metafizyce w ślady Locke'a szczególnie w dziełach: *Philosophe ignorant* i *Traité de metaphysique;* w etyce powtarza myśl Newtona i Shaftesbury'ego (poemat: *Sur la loi naturelle,* rozdz. 31, 32 i 36 *Le Philosophe ignorant* tudzież rozprawa: *De juste et de L'injuste* w Słowniku filozoficznym). Deistyczny racjonalizm Voltaire'a przechodzi w materjalizm u Juljana de la Mettrie (1709—1751), autora *Histoire natu-*

relle de l'âme (1745) i *Homme-machine* (1748), u Denisa Diderota (1713—1784), redaktora 35-tomowej Encyklopedji, a wreszcie u Pawła Henryka br. Holbacha (1723—1789), autora osławionego *Système de la nature* (1770) i „*Les bons sens*" (1772). Klaudjusz Adrian Helvetius (1715—1771), autor dzieła „*Sur l'esprit*" (1758) dowodzi, że egoizm stanowi jedyną pobudkę wszystkich czynów ludzkich tudzież że pojęcia dobrego i złego są względne, a Konstantyn Franciszek Chasseboeuf, głośny pod pseudonimem Volneya (1758—1820), w dziele p. t. *Les ruines* (1791) widzi w rewolucj francuskiej próbę wcielenia w życie panowania rozumu a więc racjonalizmu.

A co ci wszyscy autorowie, słynni heroldowie racjonalizmu, mają wspólnego z przemysłem i miastami? Chyba nic lub bardzo niewiele.

Irracjonalizm wywodzi się od filozofji staroindyjskiej, Eleatów i Platona, znajduje mnogich przedstawicieli od św. Augustyna (w *Confessiones*) poprzez J. J. Rousseau, określającego człowieka, który myśli, jako istotę zdeprawowaną *(Homme, qui médite, est un animal dépravé)* i poprzez Henryka Jacobi (1742—1819) do współczesnego nam Bergsona. Ale nie widzę żadnej łączności między poglądami tych filozofów, a choćby między źródłem czy punktem wyjścia tych poglądów a wsią i rolnictwem.

Irracjonalizm jest dawniejszy niż racjonalizm i obejmuje całą masę niezgłębionych dotąd tajemnic istoty ludzkiej. W miarę jednak, jak ludzkość postępuje i uświadamia sobie swe zadania i cele, widoczny jest ciągle wzrastający stopień współudziału czynników racjonalistycznych nad irracjonalistycznemi, czego dowodzi choćby poziom społeczeństw zachodnio-europejskich i amerykańskich, więc przykład przytoczony przez samego prof. J. Pragniemy podążyć w ślad za temi społeczeństwami, przyswoić sobie w tym celu ich metody i sposoby działania, przyspieszając tą drogą proces dostosowania się do otaczających nas warunków, zmierzamy więc świadomie i z konieczności ku racjonalizmowi. Jeżeli zaś prof. J. powiada, że czynniki irracjonalne ujmujemy w takie kształty, jak uczucie, wiara, tradycja, dziedziczność, to pytam, czy racjonalistyczne myślenie czynniki te wyklucza,

czy wiara i tradycja są cechą jedynie społeczeństw agrarnych, a nie mogą się pojawić wśród społeczeństw przemysłowych? A jednak w Wielkiej Brytanji i Stanach Zjednoczonych, więc w państwach najbardziej uprzemysłowionych na kuli ziemskiej, jest wiara o wiele silniejsza i głębsza, niż np. u nas, a poszanowanie i ukochanie tradycji w Wielkiej Brytanji, o ile idzie o jej własną przeszłość, powszechne. Nawet w Stanach Zjednoczonych istnieje miłość tradycji, aczkolwiek nie sięga ona poza rok 1776. Cześć dla pierwszych bohaterów, dla wielkich prezydentów i wodzów, dla znakomitych cudzoziemców, będących przyjaciółmi narodu amerykańskiego, jak Kościuszko, Pułaski, Lafayette, tkwi bardzo silnie w każdym Yankesie, podobnie jak w Wielkiej Brytanji w każdym robotniku fabrycznym, pokazującym z dumą przyjezdnym Tower, czy opactwo Westminsterskie. A już co do uczucia i warunków dziedziczności, to są to cechy całej bez wyjątku ludzkości, nikt się z pod ich wpływów nie może wyzwolić i właśnie dlatego wszelkie myślenie społeczne z faktami temi liczyć się musi. Nie są to więc bynajmniej właściwości jedynie agrarnego sposobu myślenia.

Irracjonalistyczny sposób myślenia, który nazywa prof. J. myśleniem wiejskiem, chciałby on uczynić podstawą zamierzonych reform. Na dowód współczesnego istnienia tego irracjonalizmu przytacza dwa przykłady. Jeden wzięty z opowiadania Sienkiewicza. Wedle niego chłopi zapytani, dlaczego nie chcą się zgodzić na uregulowanie służebności, odpowiadają: „bo pan dziedzic na białym koniu jeździ, z pistolca se strzela i dziewkom w ślepie zagląda". To ma być dowodem irracjonalizmu wiejskiego. Ale niema tu przecież żadnych tajemnic. Ponieważ dziedzic okazuje nam wyższość na każdym kroku, powiada chłop, więc chcemy mieć broń na niego, chcemy mu móc ze swej strony dokuczyć, aby nas choć czasem potrzebował, bo nas drażni jego sposób postępowania. Ale przypuśćmy, że to moje wyjaśnienie jest nietrafne, dlaczegoby koniecznie pierwsze lepsze głupstwo analfabety miało być miarą sposobu myślenia ogółu rolników i dlaczego mielibyśmy to głupstwo, które i tak jest nieśmiertelne, jeszcze zato, że jest głupstwem, pod mianem irracjonalizmu wsadzać na tron i bić mu pokłony?

Drugi przykład nie wydaje mi się również przekonywujący. Rząd francuski podczas wojny światowej nie odważył się zaprojektować podwyższenia podatków, mimo że Francja znajdowała się w bardzo ciężkiem położeniu, a więc działał irracjonalistycznie. Rząd ten, to nie rolnicy, więc nie jest zrozumiałem, dlaczego jego postępowanie przytoczono na potwierdzenie tezy wstępnej. Poza tem nie wolno zapominać o tem, że inni ludzie ginęli na frontach za Francję a zgoła inni, działając pod wpływem giełdy i banków, nie dopuszczali do podwyższenia podatków w rządzie i w Izbie poselskiej. Poza tem Francja liczyć się musi oddawna z małym rentjerem, zrujnowanym utratą pożyczki rosyjskiej i stanowiącym typową jej właściwość. A naostatek Francja istotnie za Ribota i Klotza podwyższyła dwukrotnie podatki i ciągle je podwyższa; ci zaś, którzy się dalszym podwyżkom sprzeciwiają, t. j. bankierzy i wszelkie banki, te same, które przed wojną i po wojnie grały na giełdzie na zniżkę franka, nic nie mają chyba wspólnego z wiejskim czy jakimkolwiek innym irracjonalizmem.

Jakaż jest tedy idea przewodnia państwa i narodu polskiego? I co o tem mówią wielcy pisarze nie już wierzący, ale nawet racjonalistyczni? Immanuel Kant powtarzał za jednozgodną opinją nauki katolickiej, że całokształt dziejów nie jest niczem innem, jak tylko wykonaniem ukrytego planu Stwórcy w kierunku dążenia do jak najdoskonalszego rozwoju ludzkości, a Herder, wbrew późniejszym poglądom uczonych pruskich, uważał, że każdy naród sam przez się stanowi ośrodek i cel, że w świecie Bożym nie może być narodu, przeznaczonego jedynie na środek i że naród z narodem łączy się w historji jak ogniwa jednego nieprzerwanego ciągu wydarzeń, z których każde późniejsze buduje i opiera się na dawniejszem. Dla chrześcijanina narody są ustanowienia Bożego i jako takie nieśmiertelne. Muszą więc mieć jakąś misję dziejową, jeśli wierzymy, że historja ma jakiś sens i świadczy o stałem, choć powolnem dążeniu ludzkości i jej poszczególnych ugrupowań ku coraz wyższym poziomom cywilizacji. Misję tę odgadnąć możemy atoli tylko z momentów już ujawnionych w historji danego narodu, nie zaś z tych, które subjektywnie chciałoby się w tę historję

tchnąć lub ją w nie ubrać. Niepodobna więc, niestety, zgodzić się na ponętną skądinąd koncepcję, jakoby misją dziejową narodu polskiego było tworzenie harmonji między racjonalizmem a irracjonalizmem, między wiedzą a wiarą, gdyż za tem przypuszczeniem, równie dla nas pochlebnem jak dowolnem, żadne fakty przeszłości nie przemawiają.

Mojem skromnem zdaniem, które już w innem miejscu wypowiedziałem,[1]) taką ideą przewodnią narodu polskiego jest raczej w myśl poglądu Herdera doprowadzenie do zwycięstwa idei narodowości. Mickiewicz w *Księgach Narodu i Pielgrzymstwa Polskiego* widzi drogę do braterstwa narodów w miłości własnej ojczyzny, a Zygmunt Krasiński w rozprawie: *O stanowisku Polski z Bożych i ludzkich względów* zapowiedział nadejście chwili, w której nastąpi „wszelkiej narodowości istotnej upaństwowienie a wszelkiego państwa nie na narodowości opartego rozsypanie", tem samem zaś przepowiedział rozsypkę państw nienarodowych, jak Austrji i Rosji, a amputację państw zaborczych, jak Niemiec, Węgier i Turcji do właściwych narodowych granic. Droga ku postępowi kultury całej ludzkości, ku podniesieniu jej na wyższy szczebel, słowem ku dobru powszechnemu, prowadzi przez narodowość.

Niemiecki kanclerz Bülow, wierny tradycji Fryderyka II, zwanego przez Niemców Wielkim, twierdził, że w walce między narodami słabszy stać się musi kowadłem a silniejszy młotem, który weń bije. I to jest cechą typową światopoglądu materjalistycznych Niemiec. Jakże inaczej przedstawia się świetlana postać Kościuszki, Pułaskiego, Dąbrowskiego i tylu tysięcy innych bohaterów naszych, kładących życie w ofierze dla obrony wolności narodu czyto własnego, czy choćby nawet obcego. Udział Polaków we wszystkich walkach zbrojnych XIX w. o wolność, nieustanność powstań zbrojnych na terenie zaborów, która tak niepokoiła zarówno trony europejskie jak i własnych naszych, pesymistycznie usposobionych i nie wierzących w skuteczność porywów zbrojnych ugodowców, ciągłe burzenie opinji europejskiej w kierunku obrony idei narodowości, dzięki czemu od Marksa

[1]) Por. Caro: *Ku Nowej Polsce.* 1923, str. 15—26.

i Bakunina do Wilsona wszyscy oświadczali się za wolną i niepodległą Polską, wszystko to wskazuje, że idea o prawie narodu do własnej państwowości, głoszona przez Polaków, jest tą, którą przynieśliśmy w dorobku duchowym ludzkości.

Jeżeli, jak mniemam, udało mi się uzasadnić pewne wątpliwości co do trafności hipotezy prof. J., jakoby zadanie Polski i istotę niezbędności naszej dla kultury wszechludzkiej stanowić miało stworzenie harmonji między czynnikami racjonalistycznemi a irracjonalistycznemi, to nie znaczy to oczywiście, abym zapoznawał doniosłość pierwszego jego wniosku t. j. potrzeby uporządkowania stosunków na wsi, ale znaczy, że nie mogę, wślad za jego wnioskiem drugim, rozwoju przemysłu uzależniać od rozwoju rolnictwa i że nie zgadzam się z zasadą, by przemysł w Polsce miał przedewszystkiem rolnictwu służyć i do tej służby się ograniczyć.

(Dokończenie nastąpi)

Prof. Dr. Leopold Caro.

Opiekuńczo-wychowawcze zakłady dla młodzieży w Polsce.

Historja zakładów opiekuńczo-wychowawczych dla sierót i ubogich dzieci — temi bowiem chcemy wyłącznie zająć się w obecnym artykule — sięga dalekich czasów. Kościół katolicki prowadził je prawie od początku swego istnienia, a dobroczynną jego akcję uzupełniały przez budowę sierocińców inne czynniki, od 14 i 15 wieku zwłaszcza miasta. Dzisiejszy typ zakładów opiekuńczych jest znacznie późniejszego pochodzenia i urabia się mniej więcej od 150 lat, odkąd z końcem 18 w. poczęto otwierać dostosowane do nowszych wymogów zakłady, pozostające przeważnie w rękach związków religijnych, humanitarnych oraz samorządów (głównie miast), a przeznaczone dla dzieci ślepych, głuchoniemych, upośledzonych, kalek, zaniedbanych, opuszczonych i sierót. Ostatnia wojna światowa stanowiła niejako nowy etap w tym rozwoju. Z jednej bowiem strony zrujnowała przez dewaluację pieniądza wiele instytucyj dobroczynnych i wychowawczych, pozostałym zaś utrudniła pracę, a z drugiej wprowadziła ogromne zastępy świeżych sierót wojennych, zdanych wyłącznie na cudzą pomoc. Zaopiekowały się niemi wprawdzie różne nowe komitety i stowarzyszenia, które odwołały się do ofiarności publicznej, nawet zagranicznej, ale i ta akcja przy ogólnem zubożeniu społeczeństwa okazała się niewystarczającą, tak że z pomocą musiało pospieszyć państwo i samorządy. Utrzymanie wielkiej liczby dzieci i tworzenie nowych zakładów opiekuńczych spadło teraz na ich barki.

W związku z tym stanem rzeczy i na ogólnem tle stosunków powojennych począł się zmieniać dotychczasowy, prywatny raczej, charakter zakładów opiekuńczych. Samodzielność prowadzących je osób i stowarzyszeń zaczęła ulegać coraz większym ograniczeniom na rzecz rozwijającej się w szybkiem tempie akcji państwowej. Przyczyniła się do tego w pewnej mierze finansowa niewystarczalność licznych instytucyj prywatnych, skutkiem której popadły w zależność od wspierającego je państwa, a może bardziej jeszcze zmiana poglądów, jaka dokonała się w tej dziedzinie pracy. Jeżeli bowiem dotychczas przypisywano jej głównie charakter akcji dobroczynnej, to obecnie zaczęto sobie uświadamiać, że społeczeństwo i rząd mają ścisły obowiązek przychodzenia z pomocą tym najmłodszym z obywateli, którzy pozbawieni dostatecznej opieki rodzicielskiej zdani są na łaskę innych. Owocem tego uświadomienia jest wyrosła dziś do szerokich rozmiarów opieka społeczna nad dzieckiem i młodzieżą, na której usługach stoi specjalne prawodawstwo i organa wykonawcze, państwowe i samorządowe. Dla ułatwienia ich pracy na terenie międzynarodowym zawiązało się w r. 1922 „Międzynarodowe Stowarzyszenie Opieki nad Dzieckiem" (Association Internationale pour la Protection de l'Enfance) z siedzibą w Brukseli, które ma na celu: 1) być łącznikiem dla tych, którzy w rozmaitych krajach interesują się opieką nad dziećmi; 2) ułatwiać badanie poszczególnych zagadnień, popierać rozwój ustawodawstwa, oraz ustalać opinję na terenie międzynarodowym na tem polu. Polska przystąpiła do niego w charakterze członka założyciela.

Po tem krótkiem scharakteryzowaniu ogólnej sytuacji dzisiejszej możemy przejść do właściwego tematu, którym jest stan opieki, wykonywanej przez państwo nad dzieckiem, przebywającem w zamkniętych zakładach opiekuńczych w Polsce, i to dzieckiem normalnem i zdrowem.[1]) Pozostawiamy więc na boku zarówno pensjonaty i konwikty dla młodzieży zamożniejszej, które, jako prowadzone przy pewnych szkołach i z ich racji, nie należą do dziedziny opie-

[1]) Zamkniętym zakładem opiekuńczym nazywamy zakład, w którym wychowankowie otrzymują mieszkanie i całkowite utrzymanie (internaty, sierocińce, schroniska, bursy i t. p.).

kuńczej, jak również zakłady specjalne, lecznicze czy wychowawcze, przeznaczone dla dzieci chorych lub anormalnych. [1])

Rozległa ta dziedzina pracy napotykała u nas w swym rozwoju na ogromne przeszkody. Kraj spustoszony jako teren wojenny i wyzyskany do ostateczności przez okupantów, ogólne zubożenie, niski poziom kulturalny mieszkańców wschodnich i częściowo centralnych województw, związane z tem poważne braki na polu higjeny, mnożące się wszędzie konieczności państwowe, wszystkie te okoliczności utrudniały niezmiernie pracę. Mimo to akcja opieki nad młodzieżą była prowadzona bez przerwy, a dzieje jej w najcięższym okresie początkowym są chlubnem świadectwem zarówno dla inicjatywy prywatnej — komitetów dobroczynnych, Zgromadzeń zakonnych — jak i dla działalności państwowej.

Szeregu prac wstępnych, zwłaszcza w zakresie czynnej opieki nad potrzebującą pomocy młodzieżą, dokonały w czasie wojny światowej i w pierwszych latach po jej ukończeniu różne organizacje ratunkowe i pomocnicze. Do najpoważniejszych zaliczały się: w Małopolsce Książęco-Biskupi Komitet w Krakowie, w b. zaborze niemieckim Poznańska Rada Narodowa, w b. zaborze rosyjskim Rada Główna Opiekuńcza w Warszawie i Komitet Ratunkowy w Lublinie. W obrębie całego kraju działał nadto Polsko-Amerykański Komitet Pomocy Dzieciom, który dzięki wybitnej pomocy materjalnej Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn., oraz subwencjom rządu polskiego rozporządzał ogromnemi funduszami i stworzył pierwsze podstawy dla dalszej planowej akcji. [2])

---

[1]) Przytoczone w dalszym ciągu dane zaczerpnęliśmy prawie wyłącznie z urzędowych źródeł, przedewszystkiem z publikacyj Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej oraz Polskiego Komitetu Pomocy Dzieciom,

[2]) Komitet ten został w r. 1920 przekształcony na stałą instytucję, która po zlikwidowaniu akcji pomocniczej amerykańskiej w połowie 1922 r., oparła się wyłącznie na własnych źródłach finansowych i pomocy rządu polskiego, a z początkiem r. 1926, jako „Polski Komitet Pomocy Dzieciom", stała się centralną instytucją społeczną w dziedzinie opieki nad dzieckiem w Polsce. — W sprawie początkowej działalności P. A. K. P. D. por. *Przegląd Powszechny* r. 1923 luty str. 136, r. 1925 luty str, 141 i październik str. 123.

Państwowa akcja opieki społecznej rozpoczęła się od zarania niepodległości kraju. Oddano ją w ręce ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, utworzonego d. 4 kwietnia 1918 r. dekretem Rady Regencyjnej (*Dziennik Praw* r. 1918 nr. 5, poz. 8, nr. 14 poz. 31). Po uchyleniu pierwotnego statutu organizacyjnego z r. 1921, otrzymało ministerstwo to w r. 1925 nowy statut, który podzielił je na Wydział Prezydjalny i trzy departamenty — Pracy, Opieki Społecznej i Ubezpieczeń Społecznych [1]). W drugim z nich, departamencie Opieki Społ., złożonym z czterech wydziałów, mieści się Wydział Opieki nad Dziećmi i Młodzieżą, do zakresu którego należy ochrona macierzyństwa, opieka nad niemowlętami, dziećmi i młodzieżą. Całokształt tej pracy obejmuje cztery działy: prawno-społeczny, higjeniczno-lekarski, wychowawczy i organizacyjno-administracyjny.

Praca organizacyjna szła jednak wolno, hamowana coraz nowemi przeszkodami. Normalny jej bieg utrudniała nietylko wojna z bolszewikami i Ukraińcami, ale także szereg spraw niecierpiących zwłoki, które trzeba było załatwić prowizorycznie przynajmniej wobec piętrzących się kłopotów gospodarczych. Do licznego zastępu sierot i dzieci, potrzebujących opieki, napłynęła teraz nowa falanga sierot wojennych [2]) i dzieci repatrjantów, którzy na mocy traktatu Ryskiego zaczęli masami powracać z Rosji, od wiosny 1921 r. prawie do połowy 1924 r. Wśród tych ostatnich znalazło się około 15.000 sierot i półsierot (w czem kilkaset dzieci, przywiezionych ze Syberji drogą morską w r. 1922), któremi trzeba było zająć się bezpośrednio, podobnie jak 2.014 dziećmi innych emigrantów polskich, przybyłych z całego świata w latach 1921—1927 wł. Wobec przepełnienia zakładów opiekuńczych umieszczano je narazie w tymczasowych schroni-

---

[1]) Oba statuty i Rozporządzenie Rady Ministrów, uchylające pierwszy z nich, p. *Monitor Polski* z d. 1. IV. 1921 r., nr. 74 i z d. 21. II. 1925 r nr. 43 poz. 167.

[2]) Mianem „sieroty wojennej" określono dziecko „1) po poległym lub zmarłym żołnierzu W. P.; 2) po poległym lub zmarłym żołnierzu, zmuszonym walczyć w czasie wojny światowej w armji którego z trzech państw zaborczych;. 3) którego ojciec, matka lub opiekun zginęli skutkiem bezpośrednich działań wojennych".

skach, a choć dla przeważnej części znaleziono potem miejsce w ich rodzinach, lub gminach, znajduje się dziś jeszcze blisko 6.400 tych dzieci w zakładach. [1])

Dobroczynność publiczna i inicjatywa prywatna nie ustawały wprawdzie na chwilę, nie mogły jednak nadążyć rosnącym potrzebom. Na ogromnych obszarach kraju nie mogły im również sprostać niektóre samorządy, tak że siłą rzeczy państwo musiało pośpieszyć z pomocą. Był to wszakże ciężar wielki. Państwo przejęło bowiem na siebie koszta całkowitego utrzymania sierot wojennych i dzieci z repatrjacji o niewiadomej przynależności gminnej, oprócz tego musiało subwencjonować liczne zakłady, a tymczasem z dniem 1 czerwca 1922 r. odpadła, z powodu likwidacji, pomoc amerykańska. Z konieczności przystąpiono więc do daleko idących ograniczeń. Przeprowadzono ścisłe badania dzieci, o ile to tylko było możliwem, porozsyłano część ich do właściwych gmin lub rodzin, a tylko pozostałe zatrzymano w zakładach. Ponieważ zaś przeważna liczba zakładów (w 1921 roku 538 na 699 zakładów) była subwencjonowana przez państwo, przeto ministerstwo Pracy i Op. Społ. zabrało się do szczegółowego sprawdzania nadsyłanych przez nie preliminarzy budżetowych i kontroli nad ich rachunkowością. Nie rozwiązało to jednak w całości kwestji wobec rosnącej dewaluacji pieniądza, katastrofalnej zwłaszcza w drugiej połowie 1923 r., która uniemożliwiała jakiekolwiek opracowanie budżetu i normowanie subwencyj, [2]) tak że w niektórych zakładach nie można było zaspokoić nawet niezbędnych potrzeb, a normy żywnościowe spadły prawie do poziomu głodowych. Tylko dzięki nadzwyczajnym wysiłkom rządu, samorządów i zarządów zakładów opiekuńczych zdołano przetrzymać kryzys.

Stabilizacja waluty od 1924 r. pozwoliła wprawdzie przystąpić do normalnego opracowania budżetu, dzięki temu

[1]) Ponieważ w zakładach opiekuńczych znajdują się wychowankowie, reprezentujący zarówno grupę młodszych (dzieci) jak starszych (młodzież), zaznaczamy, że ilekroć w dalszym ciągu artykułu użyjemy wyrazu „dzieci" albo „młodzież", będzie on oznaczał obie te kategorje razem wzięte.

[2]) Przykład: dzienna stawka zupełnego utrzymania w zakładach, finansowanych lub subwencjonowanych przez państwo, wynosiła w styczniu 1923 r. 2—3.000 marek, w grudniu tegoż roku 100—200.000 marek.

zwłaszcza, że w poprzednim roku ustalono normy żywnościowe dla dzieci w zakładach, związana z nią akcja oszczędnościowa pociągnęła jednak za sobą dalsze niedomagania finansowe. Fundusze wydzielone do dyspozycji ministerstwa Pracy i Op. Społ., przedstawiały się skąpo. W pierwszej połowie 1925 r. wydało ono na utrzymanie i subsydja dla zakładów 2,120.557 zł., z tej sumy trzeba było wszakże pokryć całkowite utrzymanie około 6.500 dzieci z repatrjacji. To też prywatnym zakładom dostało się tak mało, że, jak powiada urzędowe sprawozdanie, niektóre z nich znajdowały się wówczas w rozpaczliwym stanie. Następne lata przyniosły jednak stopniową poprawę; dziś sytuacja zakładów opiekuńczych jest zupełnie znośna, w niektórych prywatnych i samorządowych nawet bardzo dobra, a w przyszłości zapowiada się jeszcze lepiej. Ze sumy około 8 miljonów złotych, jakie państwo wydaje obecnie w dziedzinie opieki nad macierzyństwem, dzieckiem i młodzieżą (resztę 27 miljonów zł. pokrywają samorządy i różne instytucje) — 40% idzie na utrzymanie przez państwo dzieci z repatrjacji i sierot wojennych, 30% na pomoc dla instytucyj opiekuńczych i nowe inwestycje.

Uporawszy się z pierwszemi, niecierpiącemi zwłoki potrzebami, przystąpiło ministerstwo Pracy i Op. Społ. do planowej pracy organizacyjnej w zakresie zamkniętych zakładów opiekuńczych. Konstytucja z dn. 17 marca 1921 r. zapowiedziała w art. 103: „Dzieci bez dostatecznej opieki rodzicielskiej, zaniedbane pod względem wychowawczym — mają prawo do opieki i pomocy Państwa w zakresie, oznaczonym ustawą". Ustawą tą, zawierającą podstawowe przepisy ramowe o opiece społecznej w ogólności, stała się „Ustawa o opiece społecznej" z dn. 16 sierpnia 1923 r.[1]) W 26 artykułach objęła ona całokształt opieki nad macierzyństwem, dziećmi, młodzieżą i dorosłymi, określiła jej pojęcie, zakres, środki i odpowiedzialne czynniki. Przeprowadzenie tego programu musiało jednak zostać rozłożone na dłuższy czas, gdyż poprzedzić je miało wydanie niezbędnych do tego celu szcze-

[1]) *Dziennik Ustaw Rzeczypospolitej Polskiej* r. 1923 nr. 92 poz. 726; rozciągnięcie tej ustawy na wojew. poznańskie i pomorskie nastąpiło w r. 1924 (*Dziennik Ustaw* r. 1924 nr. 99 poz. 919).

głowych ustaw i rozporządzeń wykonawczych. Z dniem 21 marca 1924 r. ustawa weszła w życie, zwierzchnią władzę w sprawach opieki społecznej objął minister Pracy i Op. Społ., któremu w poszczególnych województwach podlegają Wydziały Pracy i Op. Społ.; nadto do pomocy służy mu, jako „organ doradczy i opinjodawczy, Rada Opieki Społecznej, złożona z reprezentacji ciał samorządowych, instytucyj opieki społecznej i zainteresowanych ministerstw". Szczegółowe postanowienia co do tej Rady zostały zredagowane znacznie później w ustawie z dn. 18 lutego 1925 r. (*Dziennik Ustaw* r. 1925 nr. 26 poz. 171); pierwsze jej posiedzenie odbyło się w marcu 1926 r., piąte w czerwcu 1928 r.

Ustawa o opiece społecznej z r. 1923 nakłada obowiązek sprawowania tejże na związki samorządowe, pod zwierzchnim nadzorem ministra Pracy i Op. Społ., przekazując państwu ponoszenie tych ciężarów w wyjątkowych tylko wypadkach, kiedy zachodzą obowiązki opieki z tytułu publicznego, np. nad inwalidami, lub kiedy wykonanie ich przekracza możność finansową związków komunalnych. Bliższe szczegóły w tym względzie podało Rozporządzenie Prezydenta Rzpltej z dn. 6 marca 1928 r. „o rozgraniczeniu obowiązków opiekuńczych związków komunalnych" (*Dziennik Ustaw* r. 1928 nr. 26 poz. 232); normuje ono obowiązki poszczególnych stopni związków samorządowych w ten sposób, że prowadzenie działów opieki społecznej, wymagających urządzeń bardziej specjalnych, ma być zadaniem samorządów wyższego stopnia, w pewnych wypadkach przewidziana jest wszakże możność prowadzenia ich przez samorządy niższego stopnia, dobrowolnie lub nawet przymusowo. Drugie Rozporządzenie Prezydenta Rzpltej, również z dn. 6 marca 1928 r., „o opiekunach społecznych i o komisjach opieki społecznej" (*Dziennik Ustaw* r. 1928 nr. 29 poz. 267) określa te organa, za pośrednictwem których związki komunalne wykonują opiekę społeczną; są niemi opiekunowie społeczni których posiadać powinna każda gmina, oraz komisje opieki społecznej gminne, powiatowe i wojewódzkie. Wymienione powyżej rozporządzenia dotyczą opieki społecznej wogóle, a więc pośrednio także nad młodzieżą.

Wyłącznie sprawą zakładów opiekuńczych dla tej ostat-

niej zajmuje się Rozporządzenie Prezydenta Rzpltej z dn. 16 stycznia 1928 r. „o budowie i utrzymaniu wojewódzkich zakładów opiekuńczo-wychowawczych" (*Dziennik Ustaw* r. 1928 nr. 8 poz. 56). Normuje ono bliżej tę kwestję i określa wiek wychowanków tych zakładów; przyjmowane mogą być do nich dzieci do lat 14 włącznie (wyjątkowo i starsze) i pozostają tu do ukończenia lat 17.

Przejdźmy teraz do szczegółów akcji państwowej w dziale opieki nad zamkniętemi zakładami opiekuńczemi w naszym kraju. — Przystępując do niej musiało ministerstwo Pracy i Op. Społ. zdać sobie naprzód dokładną sprawę z istniejącego stanu rzeczy, nietylko pod względem ilości zakładów, ale także bliższych szczegółów, dotyczących ich urządzeń, wychowanków i personelu. Rejestrację ogólną przeprowadzono w całem państwie jeszcze w r. 1921 i od tego czasu utrzymywano stałą ewidencję, której obrazem jest poniżej zamieszczona tablica, podająca ogólną liczbę zakładów opiekuńczo-wychowawczych w kraju, bez względu na to, do kogo należą i czy są, lub nie, wspierane przez państwo: [1])

rok	zakładów	wychowanków
1921	699	42.727
1923	847	48.109
1925	920	46.249
1927	1.011	53.727

Jak widać z powyższego zestawienia, liczba zakładów opiekuńczych rosła stale. Tłumaczy się to nietylko ilością dzieci, potrzebujących pomocy, lecz także początkowym stanem istniejących zakładów, które trzeba było stopniowo doprowadzać do normalnego wyglądu, przez usuwanie przepełnienia oraz segregację dzieci anormalnych i chorych. Wiele zakładów przebywa zresztą do dziś dnia w pomieszczeniach prowizorycznych lub przestarzałych, tak że trzeba

[1]) Rok 1921, obliczenia bez Wileńszczyzny. — Przy roku 1927 sprawozdanie urzędowe wyraźnie mówi, że chodzi o „zakłady opieki zamkniętej, nie licząc internatów przy szkołach i pensjonatów" i o wychowanków obojga płci „opuszczonych, normalnych pod względem rozwoju umysłowego, cech psychicznych i zdrowia".

koniecznie myśleć o nowych. Projekt, przygotowany w tym względzie w drugiej połowie 1925 r., który objął tylko najpilniejsze inwestycje w zakresie opieki nad dzieckiem zakładowem, przewidywał na najbliższe pięciolecie budowę 10 sierocińców na 2.500 dzieci normalnych, nie mówiąc już o 50 zakładach specjalnych: dla dzieci trudnych do prowadzenia i moralnie zaniedbanych (na 1.000 dzieci), kalek (bez kończyn, 200), ociemniałych (800), głuchoniemych (1.000), jagliczych (2.000) i z otwartą gruźlicą (1.000). Ogólny koszt tych inwestycyj obliczono na 27,500.000 zł.

Do wykonania powyższego projektu zabrano się stopniowo, a równocześnie przystąpiono do poprawienia warunków bytu istniejących już zakładów. Przedmiotem największej troski była strona zdrowotna, zwłaszcza odkąd (po zniesieniu Ustawą z dn. 28 listopada 1923 r. ministerstwa Zdrowia Publicznego) Rozporządzenie Prezydenta Rzpltej z dnia 18 stycznia 1924 r. przekazało lekarską opiekę nad dziećmi i młodzieżą ministerstwu Pracy i Op. Społ. W wielu zakładach opiekuńczych trzeba było opiekę tę organizować od samych podstaw. Fatalne gdzie niegdzie warunki higjeniczne, nieodpowiednie lokale, przepełnienie, brak boisk do zabaw, a przedewszystkiem brak systematycznej opieki lekarskiej, były przyczyną lichego stanu zdrowia wielu wychowanków i łatwego przenoszenia chorób zakaźnych. To też ministerstwo Pracy i Op. Społ., w porozumieniu z ministerstwem Spraw Wewn. i Generalną Dyrekcją Służby Zdrowia, opracowało szczegółowy plan opieki higjeniczno-lekarskiej w zakładach zamkniętych dla dzieci. Każdy taki zakład powinien mieć stałą opiekę lekarską, wykonywaną przez lekarza zakładowego (w zakładach ponad 50 dzieci winna być nadto przynajmniej jedna higjenistka), który troszczy się o zdrowie i rozwój fizyczny wychowanków, dozoruje stan zdrowotny pomieszczeń i urządzeń zakładu, kontroluje stan zdrowia personelu. Zakład ma dbać pilnie o zdrowie i wychowanie fizyczne młodzieży, a w okresie wakacyjnym wysyłać przynajmniej słabowite dzieci na świeże powietrze; winien posiadać własny ogród lub boisko, w braku zaś ich postarać się o korzystanie z obcego. Wśród personelu wychowawczego powinny się znajdować osoby wykwalifiko-

wane do prowadzenia ćwiczeń cielesnych i zabaw ruchomych. Co pół roku zakład ma posyłać sprawozdanie z dozoru lekarskiego i szczegółowy wykaz stanu zdrowia dzieci; te z pośród nich, które zapadną poważniej, mają być skierowane do specjalnych zakładów leczniczych.

Ważny etap w rozwoju opieki zakładowej stanowiło skierowane do wojewodów „Pismo okólne w sprawie reorganizacji zakładów opiekuńczych dla dzieci i młodzieży" z dn. 20 marca 1925 r. (*Praca i Opieka Społeczna* 1925 r., str. 257). Poleciło ono dwie rzeczy: 1) wydzielenie z zakładów wszystkich dzieci, potrzebujących specjalnej opieki wychowawczej lub lekarskiej, jak kaleki, chorych, niedorozwiniętych, ze złemi skłonnościami i t. p. i przeniesienie ich do zakładów specjalnych; 2) rozdział dzieci podług wieku i płci, celem zapewnienia im odpowiedniego wychowania ogólnego i zawodowego. „Pożądanem jest — mówi okólnik — utworzenie oddzielnych zakładów dla dzieci w wieku żłobkowym do lat trzech, oddzielnych dla dzieci w wieku przedszkolnym, szkolnym w zakresie szkoły powszechnej i wreszcie dla dzieci starszych, wymagających przygotowania do przyszłej pracy zarobkowej... Podział według płci jest wskazany w zakładach dla dzieci w wieku szkolnym, konieczny dla dzieci od lat 14". [1]) Ze względów zdrowotnych poleca następnie okólnik przenoszenie, w miarę możności, na wieś zakładów dla dzieci w wieku przedszkolnym i szkolnym w zakresie szkoły powszechnej; w celu ułatwienia tego weszło ministerstwo Pracy i Opieki Społ. w porozumienie z ministerstwem Rolnictwa i Dóbr Państwowych co do ewentualnego przydziału na potrzeby zakładów opiekuńczych odpowiednich ośrodków rolnych, oraz z ministerstwem Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. w sprawie przydzielania nauczycieli szkół powszechnych do zakładów.

Sprawa odpowiedniego personelu wychowawczego dla zamkniętych zakładów stanowiła dalszą poważną troskę ministerstwa. W początkach dobierano go bowiem dorywczo i stąd niezawsze celowo. Ochroniarki, odpowiednie dla dzieci

[1]) Za wiek przedszkolny uważa się wiek od 3 do 7 lat, za szkolny w zakresie szkoły powszechnej od 7 do 14 lat.

do lat 7-u, wychowywały młodzież do lat 14-u i więcej; wielu innych wychowawców i wychowawczyń rekrutowało się z osób, zupełnie nieprzygotowanych do tego rodzaju pracy, którą podejmowały czasem tylko dla utrzymania lub kończenia studjów, spełniały raz niedbale, kiedy indziej gorliwie, choć przez to więcej czasem zaszkodziły niż pomogły. Ankieta, przeprowadzona w r. 1925, wykazała, że z pośród 2.567 wychowawców, zajętych w 761 zakładach, które nadesłały odpowiedzi: 214 ukończyło wyższe studja, 478 szkołę średnią, 264 seminarjum nauczycielskie, 398 kursy ochroniarskie, pozostali zaś mieli tylko szkołę zawodową lub powszechną, niezawsze nawet ukończoną (*Opieka nad dzieckiem* 1926 nr. 4—5, str. 156). Wobec tego uznano, że cenzus znacznej części aktualnych wychowawców nie jest wystarczający, nie chcąc zaś usuwać ich od zajęć, którym od lat może z poświęceniem się oddawali, postanowiono dać im sposobność uzupełnienia braków przez wysłuchanie stosownych kursów dokształcających. Dorywczo organizowano je wprawdzie już dawniej, pierwszy odbył się bowiem w roku szkolnym 1921/2, systematyczne jednak kursy trzymiesięczne, dające w skróceniu całość wiedzy pedagogicznej, teoretycznej i praktycznej, urządza ministerstwo Pracy i Op. Społ. od paru lat corocznie w Warszawie.[1]) Kursa te cieszą się silną frekwencją, każdy obejmuje kilkadziesiąt osób z całego kraju, świeckich i zakonnych, po ukończeniu zaś następuje egzamin i zależne od niego rozdanie dyplomów. Kwalifikacje, wymagane do przyjęcia, są skromne, np. na kurs, odbyty z końcem 1927 r., żądano od kandydatów wykształcenia ogólnego, przynajmniej w zakresie 7-klasowej szkoły powszechnej, i wykazania się paroletnią pracą w charakterze wychowawcy w zakładzie opiekuńczo-wychowawczym. Dla nowych zaś ochotników do tej pracy założono osobne kursy roczne w Warszawie i Wilnie, trzyletni w Czarnym Borze pod Wilnem i dwuletni w Wolnej Wszechnicy w Warszawie.

Nie poprzestając na szkoleniu personelu zakładowego

[1]) Por. broszurę „Kursy dokształcające dla wychowawców zakładów opiekuńczo-wychowawczych. Uzasadnienie i program". Bibljoteka „Opieka nad macierzyństwem, dziećmi i młodzieżą", wydawana z inicjatywy i przy współpracy Min. Pracy i Op. Społ. Nr. 9, Warszawa 1928.

przedsięwzięło ministerstwo Pracy i Opieki Społ. „szereg prac, dążących do ustalenia programu wychowania internatowego i stworzenia pewnej metody". Skłoniło je do tego zarówno stwierdzenie niedomagań, jakie z powodu braku należytej wiedzy i odpowiedniego personelu wychowawczego, zastano w wielu zakładach, mimo dobrej woli ich kierowników, jak rezolucja Sejmu z dn. 10 lipca 1924 r., wzywająca Rząd, „aby nad działalnością instytucyj, opiekujących się młodzieżą i dziećmi, rozciągnięto ściślejszą kontrolę co do należytego prowadzenia i wychowania dzieci". Już Ustawa o opiece społecznej z dnia 16 sierpnia 1923 r. przyznawała zresztą ministrowi Pracy i Op. Społ. ogólne prawo „nadzoru i kontroli nad działalnością instytucyj opieki społecznej" (art. 22 b), a statut tegoż ministerstwa z r. 1925 mówi w § 3, że „Wydział opieki nad dziećmi i młodzieżą załatwia... sprawy stosowania w zakładach racjonalnych zasad i metod wychowawczych".

Wstępnem posunięciem na tem polu było opracowanie „Instrukcji dla zamkniętych zakładów opiekuńczych dla dzieci i młodzieży", którą w r. 1925 rozesłano do wszystkich zarejestrowanych instytucyj.[1]) Określa ona dość szczegółowo obowiązki zakładu na polu wychowania fizycznego, umysłowego i moralno-religijnego, oraz podaje wskazówki dla kierowników, w zakresie prowadzenia zakładów i zestawiania sprawozdań. Instrukcja ta miała być narazie tylko „ramową", gdyż, jak mówił Okólnik, skierowany w tej sprawie do wojewodów, nie wszystkie zakłady posiadają warunki odpowiednie, „a przytem Ministerstwo nie zdąża do zupełnego schematyzowania życia w zakładach"; niemniej Okólnik ów żądał szczegółowego umotywowania, czy odchylenie się od powyższej Instrukcji jest rzeczywiście uzasadnione warunkami zakładu (*Praca i Opieka Społ.* 1927 str. 66).[2])

Praca nad rozwinięciem ustawodawstwa w dziedzinie opieki nad zakładami trwała tymczasem ciągle, a owocem

[1]) Wydano ją jako 6 nr. wspomnianej bibljoteki „Opieka nad macierzyństwem, dziećmi i młodzieżą", Warszawa 1927.

[2]) Faktycznie też istnieją po zakładach opiekuńczo-wychowawczych różne systemy wychowania: koszarowy, samorządowy, grupowy, rodzinkowy, gniazda sieroce i t. d.

jej było Rozporządzenie Prezydenta Rzpltej z dnia 22 kwietnia 1927 r. „o nadzorze i kontroli nad działalnością instytucyj opiekuńczych" (*Dziennik Ustaw* r. 1927 nr. 40 poz. 354). Przepisom jego podlegają „stowarzyszenia i związki, oraz instytucje i zakłady, których cele należą do zakresu opieki społecznej ...z wyjątkiem związków publiczno-prawnych i wyznaniowych." Są one obowiązane stosować się do postanowień tego Rozporządzenia i rozporządzeń na jego podstawie wydanych, oraz zarządzeń właściwych władz nadzorczych (z ramienia Rządu względnie miasta), którym winny przysyłać coroczne sprawozdania z działalności, w przeciwnym bowiem razie narażają się na upomnienie, usunięcie kierownika zakładu, a nawet wprowadzenie czasowego przymusowego zarządu. Władze nadzorcze mają prawo żądania wszelkich wyjaśnień i dokumentów, dotyczących działalności stowarzyszeń, związków, instytucyj i zakładów opiekuńczych, przeprowadzania rewizji ich działalności i dokonywania inspekcyj zakładów; kontroli tej podlegają wszekże „jedynie pod względem zgodności z obowiązującemi przepisami."

Niektóre szczegóły powyższego Rozporządzenia, które, jak widać z przytoczonej treści, posuwa się daleko na drodze państwowego nadzoru nad instytucjami opieki społecznej, miały zostać potem określone bliżej. W r. 1927 ukazały się trzy takie uzupełnienia: Rozporządzenie Ministra Pracy i Op. Społ. z dnia 10 października „o kwalifikacjach kierowników zakładów opiekuńczych", z dn. 12 października „o regulaminach zakładów opiekuńczych" i z dnia 23 listopada „o sprawozdaniach z działalności i rachunkowości instytucyj opiekuńczych" (*Dziennik Ustaw* r. 1927 nr. 100 poz. 866, 867; r. 1928 nr. 2 poz. 13, nr. 87 poz. 775). Pierwsze z nich normuje dane, jakie musi posiadać kierownik zakładu opiekuńczego, drugie wymienia szczegóły, jakie powinien zawierać regulamin każdego zakładu, oba zaś przepisują nadsyłanie informacyj w tej mierze władzom nadzorczym, pod grozą sankcyj, wymienionych w Rozporządzeniu Prezydenta Rzpltej z dn. 22 kwietnia 1927 r.; szczegóły tych rocznych sprawozdań objaśnia bliżej ostatnie Rozporządzenie.

Tak przedstawia się w streszczeniu dzisiejsza sytuacja zamkniętych zakładów opiekuńczych w Polsce i państwowa opieka nad niemi, roztaczana bez względu na narodowość i wyznanie. Celem tej opieki ma być dostarczenie wszystkim sierotom i dzieciom, pozbawionym pomocy domowej, pomyślnych warunków bytu i wszechstronnego rozwoju, oraz zapewnienie im przyszłości. Cel to oczywiście chwalebny, praca włożona w jego realizowanie przez Wydział Opieki nad dziećmi i młodzieżą zasługuje na prawdziwe uznanie. Nie może jednak ulegać wątpliwości, że niezbędnym warunkiem dalszego jej powodzenia będzie takie ujęcie kwestji opieki nad dzieckiem, aby ingerencja państwa dała się wszystkim odczuć jako czynnik pożądany, a nie jako ciężar, który utrudnia pracę, niektórych zniechęca, a wśród społeczeństwa podkopuje zaufanie do niej i przecina poparcie. Pisząc te słowa nie chcemy bynajmniej wytaczać zarzutów, lecz, znając najlepsze chęci odnośnych czynników, pragniemy współdziałać z niemi przez zwrócenie uwagi na pewne punkta, które już niejednokrotnie były poruszone publicznie. Przyczyną wielu tych nieporozumień jest bezwątpienia świeżość sprawy, której ustawodawstwo jest dopiero w stadjum rozwoju i któremu towarzyszy trudna do uniknięcia w takich razach niejasność i brak uzgodnienia poszczególnych ustaw i rozporządzeń; dowodem jest choćby ten fakt, że same władze wykonawcze mylą się często w ich rozumieniu i popełniają błędy, które wywołują nieporozumienia i interpelacje.[1]) Usunięcie tych niedomagań wyjaśni sytuację i doprowadzi do tego, co jest koniecznym warunkiem powodzenia akcji opiekuńczej nad dzieckiem i młodzieżą — do wzajem-

[1]) Tak np., opierając się na ustawie o kontroli nad instytucjami opiekuńczemi, usiłowały komisje kontrolne w szeregu wypadków przeprowadzać badania w pensjonatach chłopców lub dziewcząt, prowadzonych przy niektórych szkołach prywatnych. Tymczasem krok ich był nielegalny, ponieważ — jak wyjaśniło ministerstwo Pracy i Op. Społ. — internaty i bursy, stanowiące z zakładami szkolnemi jedną całość i pod jednym z niemi pozostające zarządem, podlegają władzom szkolnym, t. j. ministerstwu Wyzn. Relig. i Oświec. Publ. Ustawa o nadzorze i kontroli nie odnosi się zatem do nich. Ministerstwu Pracy i Op. Społ. podlegałyby jedynie wtedy i o tyle, o ile przy nich znajdowałby się jakiś sierociniec, na którego prowadzenie istniałaby osobna fundacja.

nej zgody i skoordynowania działalności publicznej i prywatnej. Nie mogąc w ciasnych ramach artykułu wdawać się we wszystkie szczegóły, ograniczymy się do poruszenia kilku przynajmniej bardziej aktualnych kwestyj.

Jedną z nich jest sprawa nadzoru i kontroli państwa nad działalnością instytucyj opiekuńczych, unormowana ogólnie wspomnianem już Rozporządzeniem Prezydenta Rzpltej z dn. 22 kwietnia 1927 r. i uzupełniona Rozporządzeniami ministra Pracy i Op. Społ. o kwalifikacjach kierowników zakładów opiekuńczych i regulaminach zakładowych. Że samo żądanie kontroli jest uzasadnionem i że, wobec ułomności ludzkiej, powinna ona być stosowana wszędzie, tego nikt rozumny nie zaprzeczy i żaden zarząd sumienny zakładu lękać się jej nie będzie. Chodzi jednakże o to: kto, w czem i o ile jest uprawniony do wykonywania tej kontroli tak — aby słuszności stało się zadość, a niczyje prawa nie zostały naruszone. Tylko pod tym bowiem warunkiem ustawa może być zbawienną i odpowie swemu celowi.

Że kontrola sanitarna kompetentnych czynników jest nietylko słuszna, ale wskazana, tego chyba nikt nie będzie kwestjonował, a zresztą rozciąga się ją wszędzie. W zakładach opiekuńczych należałoby jednak tę sprawę traktować z większem, niż się to gdzie niegdzie dzieje, zrozumieniem i uwzględnieniem faktycznego stanu rzeczy. Dzisiejsze np. ujęcie stanowiska lekarza zakładowego grzeszy z jednej strony nadmiarem uprawnień, a z drugiej ciężarów dla niego. Młodzi zwłaszcza lekarze zanadto chcą czasem rządzić w zakładach, nie licząc się z ich środkami materjalnemi ani z wolą kierowników, i stwarzają niekiedy sytuacje przykre, których przykłady trudno tu wyliczać. Wypadałoby więc ograniczyć nieco władzę lekarzy w stosunku do kierownictwa zakładu, z drugiej jednak strony ulżyć im i nie przeciążać stosami drobiazgowych sprawozdań, zdaniem najpoważniejszych z pośród nich w sporej części niepotrzebnemi, które zniechęcają często najlepsze siły lekarskie do pracy, jakiej dotychczas oddawały się z poświęceniem.

Bardziej zawikłaną jest sprawa kontroli finansów i gospodarki zakładów. Że ministerstwo Pracy i Op. Społ. ma prawo żądać rachunków z udzielonych przez siebie subwen-

cyj, nie ulega chyba wątpliwości; że w związku z podaniami o ich otrzymanie może również, jako umotywowania, domagać się ogólnego przynajmniej sprawozdania z całokształtu gospodarki zakładu, trudno rówież zaprzeczyć. Inna rzecz w wypadkach, gdzie fundusze na utrzymanie zakładu płyną z kieszeni prywatnej, jednostek, stowarzyszeń czy instytucyj; do nich należy bowiem kontrola nad tem, co dają. Specjalnego zabarwienia nabiera ta sprawa wówczas, gdy instytucje owe opiekuńcze mają charakter kościelny, wtedy bowiem nadzór i kontrola nad niemi należy ściśle do władz kościelnych. Wymienione powyżej sytuacje należałoby określić w przyszłości ustawodawczo, dziś bowiem są one zdane w wielu wypadkach na osobiste przekonania wykonawców lub ich stosunek do danej instytucji.

Konieczność ustawowego uregulowania praw i interesów każdej strony wysuwa się także silnie w sprawach, dotyczących nadzoru i kontroli nad samą pracą wychowawczą i jej kierownikami w tych zakładach opiekuńczo-wychowawczych, które, jako należące do zgromadzeń zakonnych lub związków religijnych, pozostają w specjalnej zależności od Kościoła. Kościół bowiem katolicki jest społecznością doskonałą, mającą z ustanowienia Bożego prawa nietylko na forum czysto wewnętrznem, ale i zewnętrznem. Do praw tych należy, między innemi, możność zakładania i prowadzenia „szpitali, sierocińców i innych podobnych instytucyj, przeznaczonych dla dzieł religji lub miłosierdzia, czyto duchowego czy doczesnego", a kontrola tych instytucyj należy do biskupa miejscowego („Codex Iuris Canonici", Can. 196, 1489—1495). Konstytucja polska z dn. 17 marca 1921 r. poręcza powyższe prawa, kiedy w art. 114 orzeka, że „Kościół Rzymsko-Katolicki rządzi się własnemi prawami", Konkordat zaś Polski ze Stolicą Apostolską, podpisany dn. 10 lutego 1925 r., dodaje w art. 1, że „Państwo zapewnia Kościołowi swobodę wykonywania Jego władzy duchownej i Jego jurysdykcji, jak również swobodną administrację i zarząd sprawami Jego i majątkiem". Na tej podstawie ma więc Kościół katolicki i obowiązek i pełne prawo nadzoru i kontroli nad związanemi z sobą instytucjami opiekuńczemi, ich gospodarką i działalnością wychowawczą, oraz prawo naznaczania

kierowników — i prawa te powinny zostać wyraźnie zastrzeżone w jednem z następnych rozporządzeń. Dotychczasowe bowiem ustawodawstwo opiekuńcze pomija zupełnie tę sprawę i wskutek tego wywołuje tu i ówdzie niepożądane tarcia, a przytem otwiera drogę do nadużyć i niesprawiedliwości, których trudno w każdym poszczególnym wypadku dochodzić. Nie chodzi tu zaś bynajmniej o całkowite wyeliminowanie ingerencji władzy państwowej w tej dziedzinie, tylko o ułożenie *modus vivendi*, który, szanując obustronne prawa, zapewniłby zgodną współpracę dla dobra wspólnej sprawy.

Rozporządzenie ministerjalne o kierownikach zakładów opiekuńczo-wychowawczych nasuwa nam jedną jeszcze uwagę, której słuszność możnaby obszernie uzasadnić. Jeżeli ministerstwo Pracy i Opieki Społ. położyło silny nacisk na fachowe przygotowanie wychowawców i kierowników zakładowych, powodowało się bezwątpienia tylko dobrem poruczonej im młodzieży i rozporządzenie tego rodzaju należy, wobec niejednego smutnego doświadczenia, uważać za bardzo potrzebne. Sądzimy jednakże, że ścisłe przestrzeganie zawartych w niem przepisów nie rozwiązuje zadania, a pewna ich część utrudnia właśnie sprawę. Trudno będzie np. udowodnić słuszność § 3c Rozporządzenia, które kierownikom zakładów każe posiadać, obok fachowego, „wykształcenie ogólne w zakresie najwyższego typu szkoły, do jakiej uczęszczają wychowankowie zakładu". Po pierwsze bowiem, ukończone studja nie świadczą o tem, że się umie wszystko, bo i profesor uniwersytetu zapomniał niejedno, co wie chłopiec z piątej gimnazjalnej. Powtóre, nie tyle studja kierownika decydują o jego wpływie na wychowanków i wynikach pracy, ile osobiste jego dane i przygotowanie pedagogiczne. Już dziś mamy też dowody, że gdzie niegdzie nie najlepiej dzieje się w zakładach, na których czele stoją uczeni kierownicy, poza których plecami młodzież, a jeszcze bardziej wychowawcy robią, co im się podoba. I przeciwnie, posiadamy bardzo dobrze prowadzone instytucje, kierowane przez osoby o niewielkich studjach, ale mające, obok poświęcenia, wybitny dar wychowania, udoskonalony przez dłuższą praktykę.

Powracając jeszcze do poruszonej kwestji kompetencji Kościoła katolickiego w sprawie nadzoru i kontroli nad zwią-

zanemi z nim zakładami opiekuńczemi, zaznaczyć musimy, że na tem nie kończą się jego prawa. Obowiązkiem Kościoła jest dbać o powierzone sobie dusze, zwłaszcza młodzieży, umożliwić im religijne wychowanie i spełnianie praktyk religijnych. A tej młodzieży katolickiej w naszych zamkniętych zakładach opiekuńczych jest silnie przeważająca większość. Na 23.765 sierot (zupełnych i półsierot do lat 16), które podług spisu ludnościowego z r. 1921 przebywały w zakładach opiekuńczych, było: [1])

rzymsko-katolickich	16.119
grecko-katolickich	904
prawosławnych	1.247
ewangelików (wszystkich wyznań)	538
mojżeszowego wyznania	4.183
innych wyznań	773
niewiadomych	1

Te 17.023 sierót katolickich, stanowiących 71·6% ogółu, ma więc słuszne prawo do tego, by w rzędzie innych potrzeb zabezpieczono również ich wychowanie religijne. Ustawa o opiece społecznej z dn. 16 sierpnia 1923 r. zapewnia im je też, kiedy w art. 3 powiada, że w zakresie zaspakajania potrzeb „za niezbędne potrzeby życiowe uważa się u dzieci staranie o religijno-moralne... wychowanie." Określenie powyższe, mniej ścisłe z powodu użycia wyrazu „dzieci" wyjaśnia oficjalny organ ministerstwa, jako dotyczące wogóle „nieletnich" (*Praca i Opieka Społ.* r. 1927 str. 133). Tak samo tłumaczy je naczelnik Wydziału Opieki nad młodzieżą, p. Br. Krakowski, który pisze, że „Ustawa o opiece społecznej z dn. 16. VIII. 1923 r. w art. 3 uznaje za niezbędne potrzeby życiowe dla dzieci i młodzieży — staranie o religijno-moralne, umysłowe i fizyczne ich wychowanie" (*Opieka nad dzieckiem* r. 1926 nr. 4-5 str. 149). Znana nam już „Instrukcja Ministerstwa Pracy i Op. Społ. dla zamkniętych zakładów opiekuńczych dla dzieci i młodzieży", przeznaczona zresztą dla wszelkich zakładów, bez różnicy wyznania,

[1]) „Pierwszy powszechny spis Rzpltej Polskiej z dn. 30. IX. 1921 r. Mieszkania, ludność, stosunki zawodowe. Tablice państwowe". Warszawa 1927; str. 68. — Według tego samego spisu 93·3% sierot (w powyższem rozumieniu) w południowych województwach należało do Kościoła kat. (*Wiadomości Statystyczne* 1926 nr. 6 str. 16).

zastrzega: 1) w rozkładzie dnia, w rzędzie „zasadniczych postulatów", na pierwszem miejscu „uwzględnienie momentów wychowania religijnego"; 2) w dni świąteczne i niedziele mają wychowankowie mieć „zabezpieczoną możność wykonania odpowiednich praktyk religijnych"; 3) w dziale wychowania moralnego powiedziano pod numerem pierwszym, że „należy zapewnić wychowankom zaspokojenie potrzeb i wykonywanie obowiązków religijnych" a pod numerem dwunastym: „niesłychanie ważną jest rzeczą ustalenie pewnych zasad religijnych." Dodać można, że Kursy dokształcające dla wychowawców zakładów opiekuńczych zawierają również w swym programie wykłady o „podstawach wychowania religijno-moralnego".

Ustawowo sprawa wychowania religijnego jest więc załatwiona. Dzieci wszelkich wyznań, a więc i katolickie, mają nietylko mieć d o z w o l o n e spełnianie praktyk religijnych, ale troska o nie i o całe wychowanie religijne jest o b o w i ą z k i e m każdego zakładu opiekuńczego. Nauczanie religji, o ile niem nie zajmuje się szkoła, w codziennem zaś życiu zakładowem modlitwa ranna i wieczorna, udział we mszy św. w niedzielę i święta, przystępowanie do sakramentów św. i wogóle opieka religijna należą więc do obowiązkowego programu każdego zakładu, mieszczącego w sobie dzieci katolickie, co znowu suponuje w dalszym ciągu odpowiedni skład personalu wychowawczego, oraz bliższy kontakt zakładu z parafją, względnie obecność kapelana zakładowego. Nie chodzi zaś o to, by każdy zakład posiadał księdza, któryby mieszkał w nim i zajmował się tylko wychowankami; rzecz ta, niemożliwa dziś zresztą do przeprowadzenia, nie jest naogół potrzebną, jeśli personel wychowawczy jest katolicki, w niektórych zakładach nawet zbyteczną. Koniecznem jest natomiast, by dla zaspokojenia potrzeb religijnych każdego zakładu był z ramienia władz kościelnych wyznaczony ksiądz, któryby miał obowiązek spełniania potrzebnych funkcyj i czuwał nad ich wykonaniem. Ksiądz taki powinien również należeć do Rady zakładowej, by móc zabierać głos w tych sprawach i stawiać odpowiednie wnioski. Do przeprowadzenia powyższych postulatów mają władze kościelne dostateczną podstawę prawną,

pozostaje więc tylko porozumienie się w celu ustalenia norm postępowania, któreby w praktyce zapewniły zgodne współdziałanie.

Niepodobna nam zatrzymywać się dłużej przy innych sprawach, związanych z dzisiejszą sytuacją zamkniętych zakładów opiekuńczych w kraju. Poprzestaniemy na krótkiej wzmiance o niektórych z nich. Niezwykły przerost biurokracji w Polsce odbił się silnie, w formie sprawozdań drobiazgowych, na dziedzinie opiekuńczej, przez co stał się istną udręką dla zarządów zakładów i obciąża zbytnio ich budżet. Druga trudność dotyczy regulaminów zakładowych, w których Rozporządzenie ministra Pracy i Op. Społ. żąda daleko idących szczegółów; wobec tego jednak, że pedagogika zakładowa jest jeszcze ciągle w stadjum rozwoju, ustalanie najdrobniejszych nawet jej norm grozi tylko zastojem i wprowadzeniem martwego szablonu, wbrew intencjom ministerstwa. Pewne zmodyfikowanie powyższych wymagań, ściślejsze rozgraniczenie kompetencji różnych czynników, mających ingerencję do spraw opieki zakładowej, wystrzeganie się pozorów nawet monopolu państwowego w tej dziedzinie, co podcinałoby zaufanie społeczeństwa, owszem dążenie, w myśl pierwotnych planów, do współpracy z innymi, do skoordynowania działalności państwa, samorządów, Kościoła, społeczeństwa, prywatnych instytucyj i osób — takie postulaty wydają się nam wskazane do zrealizowania w najbliższej przyszłości. Spełnienie ich nie powinno napotkać na zasadnicze trudności, gdyż idą one po linji wytycznej dotychczasowego programu rządowego, a przyczyni się bezwątpienia do pomyślnego rozwoju dzieła opieki nad młodzieżą zakładową. Dzieło, dokonane dotychczas mimo trudnych warunków, jest chlubą dla naszego kraju i należało je podnieść w uroczystą chwilę dziesięciolecia niepodległości Polski. Jeżeli i dalsza praca opiekuńcza nad młodzieżą pójdzie po linji zgodnego współdziałania wszystkich, można jej wróżyć najlepsze wyniki.

Ks. Stanisław Podoleński T. J.

Rzecz o tragizmie Kleopatry C. K. Norwida.

(Ciąg dalszy)

VI.

Ze stanowiska Volkelta.

„Żaden rzymski patrycjusz nie napisał dwunastu tomów o patrjotyzmie, bo to jest rzecz nieprzyzwoita". [1]) Tymczasem Volkelt napisał gruby tom, dotyczący tragizmu i nie zagubił jednak sensu rzeczy w słowach pustych, jak omłócona słoma, lub hałaśliwych, jak wrzaski przekupniów. Naodwrót! Dużo wyjaśnił. Niejedną myśl cenną rozwikłał. A swoją szeroką wiedzę, gruntowną znajomość bibljografji tragizmu wyłożył jasno, prosto, bez cienia pedanterji. Jego pokaźna księga *in quarto* rzetelnie oświeca umysł i wzmacnia zaciekawienie przedmiotem, gdy wiele ogromnych ksiąg *in quarto* staje się wyłącznie żerem moli. Wytrawność sądu Volkelta zdaje się głównie wynikać z tej myśli, którą jego dzieło nasuwa nieuchronnie, iż tragizm nie dlatego istnieje, że o nim piszą, ale dlatego o nim piszą, że istnieje. Mniemanie, czyniące kałamarz i pióro odpowiedzialnemi za rewolucje, wojny, przewroty, rzezie i katastrofy, upada coraz oczywiściej. Wspominamy o tem przez szczere poszanowanie dla twórcy, co czuł odrazę do „panteizmu druku" i „urzędu ołowianej litery". „Spółcześni literaci, pisze w *Milczeniu,* ze zbyt wielką łatwością uwa-

[1]) *Czarne i białe kwiaty,* j. w. 246.

żają nieobecność atramentu za nieobecność wszelkiego umysłowego rozwinięcia". [1])

Z wielu wszakże powodów Volkelt nie ubliży Norwidowi. Przedewszystkiem jest bardzo ostrożny. Unika ryzykownych przypuszczeń. Nie tyle chce zadziwić, co nauczyć. Przy rozpatrywaniu cech tragizmu odkłada na bok wszelką metafizykę. Według niego tragizm powstaje wówczas, gdy wielki człowiek, broniąc wielkich spraw, doznaje klęski. Czyn ludzki: oto źródło tragizmu. Nie ustrój świata, nie wrodzony fatalizm, ale czyn. Bierność może być przedmiotem liryki, działanie i natura — epiki, lecz miazgą treści dramatu musi być walka. Bohater ma do pokonania: albo okoliczności zewnętrzne, albo rozłam duchowy, albo jedno i drugie zarazem. Stosownie do tego trzeba wyróżnić trzy odmiany tragizmu: tragizm walki, skierowany nazewnątrz, tragizm zmagania się wewnętrznego i tragizm mięszany.

Przykładając tę miarę do *Kleopatry*, bywamy często w kłopocie, gdyż rozmaite gatunki tragizmu stapiają się w niej pod tchnieniem swoistej poezji w całość mocną i harmonijną. Tak ogień działa na metale. Wszak to z brudnych żużli wytapia się ów metal, z którego mistrze leją dzwony dla świątyń Pańskich, pomniki dla uwiecznienia chwały i ozdoby placów miejskich, działa do obrony granic. A u Norwida tragizm ma podźwięk najczystszego spiżu. Dostraja się do niego słowo, majestatycznie archaizowane i jakby załamujące się w fałdy rzymskiej togi. Spokojnej linji bohaterskiego gestu nie mąci ani cios z ręki Fatum, ani ból duchowego rozstroju, ani zgnębienie przez podwójną niedolę: złamanego ducha i złowrogiej Fortuny. Ból głuchnie w milczeniu, ogień w półmroku. „Dramy prawdziwej nie może być, ilekroć się zatraci pojęcie dramatyczne ciszy i pojęcia jej natur, czyli — jaśniej tłomacząc albo raczej szerzej tłomacząc założenie powyższe: kiedy się zatraci basso w muzyce, a kolor biały na palecie, a pion w rysunku, cóż zupełnego tak niezupełne środki otrzymać są w stanie! Nadanie stanowczego kierunku i stopnia ciszy w dramatyzowaniu jest dla dzieła tej natury tem, czem w obrocie planety niedotkliwa i niewidzialna planety oś". [2])

[1]) Ibid. 238. [2]) Ibid. 180, 181.

Po dokładnem rozważeniu istoty sprawy można śmiało orzec, iż Volkelt na ten wywód pisałby się w całej rozciągłości. Dla niego również cicha wielkość i szlachetna dostojność to najbardziej wydatne znamiona tragizmu. Cierpienie bohatera i jego upadek, aby wywołać głębokie wzruszenie, muszą być upowite w biały patos, muszą tchnąć tą marmurową beznamiętnością, o której wspomina Grzymała Siedlecki. [1]) A według Lessinga krzyk, który zamiera na ustach Laokoona, dławionego przez węże, obnaża wprawdzie ból ludzki, lecz zarazem okrywa go wstydem, albowiem kamienieje w chwili największego napięcia, na granicy między oszczędną skargą a nadmiernym lamentem. [2]) Klasycyzm doradzał umiarkowanie, nawet skąpstwo w wyrażaniu cierpienia, natomiast romantyzm zalecał obfitość, gromkość, jaskrawość. Nietylko zalecał! Stosował w najszerszym zakresie. Norwid uważał te praktyki, owo babranie się we własnych ranach za niesmaczny bezwstyd. I dlatego może przeciwstawił romantycznej chorobliwej, często jarmarcznej gadatliwości — swoje, głębokie jak ocean, *Milczenie.*

A) Tragizm walki, skierowanej nazewnątrz.

„... Platoński dyalog ludzi zwykłych, a poszukujących nieznanego Boga, prawdy i cnoty śród doczesnych i arcypotocznych bytu warunków, jest w prostej linji ostateczną jakoby rzeczywistością onych dyalogów olimpijskich, Ajschylowskich, gdzie sprawy i myśli ludzkiej jeszcze niema, gdzie święte i mądre fata człowiekiem dla idei pogardziły". [3])

Wówczas dopełnia się miara czasów. Czyny ludzkie i wszelkie pozornie bezduszne wydarzenia mówią do nas językiem dziwnej logiki. Z chaosu wyłania się rygor. Pod jego naciskiem pęka żywiołowy bezład kosmiczny, opada z rzeczy doczesnych, jak transmisja z koła rozpędowego. Mechanizm świata staje na chwilę. I możemy oglądać z namysłem, zimnemi oczami rozsądku jego wewnętrzne urzą-

[1]) A. G. Siedlecki: *Teatr Norwida.*
[2]) *Laokoon,* tłum. Bibl. Najcel. Utw. Liter. Europ.
[3]) *Czarne i białe kwiaty,* j. w. 215.

dzenie. Nie każda epoka z równą wyrazistością uwidocznia działanie „świętych i mądrych fatów". Bywają czasy martwe, zatęchłe, w których nikt nie podnosi rokoszu przeciw „bogom". Olimp drzemie. Ale doba historyczna, którą wybrał Norwid, należy do wyjątkowych. Fatum w niej działa ze wzmożoną energją. A ludzie i bogi szaleją. Oto parę określeń:

Epoka ta w niczem
Nie cierpi odwłok. Wszystko, cokolwiek się dzieje,
Pochyłościami zbiega do kresów.[1])

Lub:

Szczególniejsza
Doba! Imperyum zewsząd pod ręką się pełni
Od Pontu do Hiszpanii, od wysep Brytańskich
Do tego stołu: na zdłuż i na szerz, nietylko
Sens stanu, lecz i siły w grze są tajemnicze".[2])

W zawiłej plątaninie jawy i snu, w gąszczu nieprzewidzianych zdarzeń może zabłądzić najczulsze sumienie. A przecież ono, według Norwida, widzi nawet w mrokach; ono poza tem jest solą, która chroni dzieje od rozkładu.[3]) Niejedna epoka cuchnęłaby trupem, gdyby nie sumienie bohaterów, biorących na siebie odpowiedzialność za dzieje.[4]) Ale być odpowiedzialnym to znaczy zarazem: występować czynnie w obronie dóbr, zagrożonych najazdem zła. Cezar w tem znaczeniu boryka się z demonem historji. Jego doba ciąży ku podłostkom, ku drobnemu łotrostwu. Gorsze to, niźli zbrodniczość w wielkim stylu, bo czyni wszelką politykę zlewem brudów i kału. Cezar chce ugodzić swym puginałem w serce tej małoduszności, chce wprowadzić rygor moralny tam, dokąd zaszła i gdzie rozpostarła władzę anarchja:

---

[1]) *Chimera* VIII 111.

[2]) Ibid. 97, 98.

[3]) Ob. wiersz: *Czasy, Autoportret*, Ignis 1922 str. 20:

O, nieskończona jeszcze dziejów praca,
Jak bryły w górę ciągnięcie ramieniem,
Umknij, a już znów na piersi ci wraca,
Przysiądź, a głowę zmiażdży ci brzemieniem.
O, nieskończona jeszcze wieków praca,
Nieprzepalony jeszcze głob sumieniem.

[4]) Norwid lubił czytywać Plutarcha. Są o tem wzmianki w *Listach do M. Trembickiej.*

Kiedyż
Króle i władze wasze, jeśli nie wy sami
Pojmiecie, że Rzym wcale nie m ś c i s i ę, on k a r z e!
Cezar, że s i ę n i e b i j e... że on w a l c z y tylko...
A Konsul, gdyby miał się m ś c i ć, to chyba z e m s t y.[1])

Pod ciosem heroicznej woli rozsypuje się próchno. I ono jest, niestety, symbolicznym obrazem klęski Cezara, klęski, którą poniósł w walce z logiką dziejów. I tu właśnie pora wstawić określenie Volkelta: gdy bohater ginie w walce z mocą, przychodzącą z zewnątrz, mamy do czynienia z t r a g i z m e m w a l k i z e w n ę t r z n e j. Dotyczy to nietylko Cezara. Kleopatrę miażdży również moc, przychodząca z zewnątrz. Drakońsko okrutna, głucha na wołanie życia r u t y n a i R z y m, który będąc w osobie Cezara jedyną kotwicą szczęścia, stał się później straszliwem przekleństwem, zabijają w cudownej, ufnej w słońce, jak kwiat wschodni, kobiecie — instynkt miłości. I odtąd świat jest dla niej niczem, albo tylko narzędziem zemsty; niekiedy zaś błyskotką, drażniącą zmysły. Królowa pragnie rzucić zasłonę na całą olbrzymią arenę ziemskiego bytowania:

Zasłona, zasłona,
Zasłona — — — wymyśliłam zasłonę to wszystko,
Cokolwiek jeszcze własną stworzyć umiem siłą.[2])

I tak oto skonały w żelaznym uścisku „f a t a l n o ś c i h i s t o r y c z n e j" dwa marzenia Norwida: marzenie serca — Kleopatra, oraz marzenie rozumu i woli — Cezar. Stratował je rydwan zwycięskiej, nadchodzącej epoki. I leżą pod jego kołami, jak dwa białe posągi, którym nic nie zdoła odjąć piękna.

Starożytną Szecherę, Egipcjankę dawnego stylu, łamie również „moc przychodząca z zewnątrz". Tragizm walki zewnętrznej może być rozpatrywany na jej przykładzie jak najdogodniej. Bo właściwie poza nim nic ciekawego w Szecherze niema. Mało wątku do rozmyślań nastręcza owa „milczkiem uśmiechliwa, baczna, choć słów nieskąpa" niewiasta z gminu, wzięta w oderwaniu od wieży astrologicznej, skąd śledzi tajemnice w gwiazdach pisane, skąd widzi rozczochraną pło-

[1]) *Chimera* VIII 95. [2]) Ibid. 171.

mieniami, kiwającą się nad Rzymem, złowieszczą kometę. Nabiera ona wielkości dopiero wówczas, kiedy słyszymy jej straszne proroctwo i gdy potem, jak ślepa żórawica zaświatów, czuwa w mrokach wieczności. To, co ją spycha w otchłań doli tragicznej, nie pochodzi z niej, ale ze świata. I jedynie stamtąd!

B) Tragizm walki wewnętrznej.

Na tle posągowych Rzymian, u których wola i czyn stanowią jedność doskonałą i padają po sobie w równych przestankach, jak grzmot po błyskawicy; na tle zamyślonych o wieczności Egipcjan, u których piramidy dotykają gwiazd niebieskich, a karki gną się pod ciężką stopą najeźdźcy aż ku lotnym piaskom złotej pustyni; na tle wspaniałych, jak sen o przepychu, rzeźbionych w marmurze, złocie i bronzie świątyń oraz dworców Aleksandrji; w błękitnym cieniu palm, które swym pióropuszem muskają błędne, wędrowne obłoki: dziwnie, a zarazem melancholijnie rysuje się postać kawalera rzymskiego, Marka Antonjusza. Jest to niby Hamlet swojej doby, zagadka charakteru i fatalizmu. Niedonoszony płód czasów schyłkowych. Okoliczności wymagają od niego przywrócenia ładu świata, który wypadł z zawiasów. Na to jednak trzeba energji twardej, zawziętej, niepożytej. Trzeba odrazu chwycić za rogi i łeb skręcić rozhukanej bestji dziejowego chaosu. Marek Antonjusz cofa się z areny zapasów. I niewiadomo, czy powoduje nim ukrywana słabość, czy cierpkie niedowiarstwo. Umysł jego cechuje giętkość, wytworność, niekiedy nawet ostra przenikliwość:

> Patrycyalny mając wzrok, znam czasy!
> Ludzie tacy jak Julius, Pompej — albo Marek
> Na nic już są. [1])

Ale brak mu stałej męskiej równowagi. Rozprasza się w mnóstwie drobiazgów, mięsza w ciżbie spornych i sprzecznych zagadnień. Czasem, jak dźwięczna klinga, rozcina mrok odległej przyszłości, czasem, jak dowcip sofisty, rozpryskuje się w rację aforyzmów i paradoksów, czasem, jak motyl, siada na smagłem, nagiem ramieniu Kleopatry:

[1]) *Chimera* VIII 205, 206.

Antonjuszu!
Niewiastą jest Izyda: nawet mgła welonu
Zawadza jej, gdy dla niej Ty zrzuciłeś togę.
Więc żywe ramię kłoniąc na twój pancerz z łuski,
Chce ona śnić, że wyszła z fali — na delfinie. [1])

Umysł Marka Antonjusza z równą lekkością umie rozstrzygać sprawy, dotyczące Imperjum, jak zawiłości taktyki alkowianej. Wola jego to poniekąd orzeł z wyłamanemi skrzydłami. Bohaterskie porywy triumwira są jakby drożdżami, na których urasta cudza wielkość, nadomiar wielkość, zdruzgotana rychło przez Fatum:

On zgon Cezara — sławą Cezara zgotował. [2])

Trudno jednak odliczać wszystkie niepowodzenia na Fatum. Część ich, wcale pokaźna, wynikła wskutek zakażenia woli Marka Antonjusza zarazkami bezwładu i zniewieściałości. Trybun zachęca swych przybocznych ludzi do miłostek, a sam nie szczędzi zgoła serca, narażając je bezustanku na złote strzały Kupidyna. A przecież bądź co bądź łoże miłosne i namiot żołnierski to dwa skrajne przeciwieństwa. Za kotarami alkowy mięknie wola świetnego triumwira. I to jej wykruszanie się zawiera w sobie dużą miarę istotnego tragizmu, tragizmu walki wewnętrznej. Tak! Albowiem Marek Antonjusz stawia opór własnej bezsilności. Na widok rozkładu, który zagarnął mu duszę, burzy się w nim dumne, wychowane na wzorach śpiżowej cnoty rzymskiej uczucie. Ono właśnie odzywa się w marzeniach echem przebrzmiałej wielkości i minionych czasów, lub głuchem ziewnięciem obudzonego ze snu lwa dziejów. Antonjusz miał nim być istotnie. Ale jego siła skoku, jego chciwość łupu nadwątlały w igraszkach miłosnych. W zdradliwej pieszczocie kobiecej zgubił swoje powołanie. A kim jest? Niewiadomo! Ulubieńcem trzech bogiń naraz: Venus, Minerwy i Elegancji, bo wszak to w jednej osobie: uwodziciel, bibljofil [3]) i arbiter elegantiarum. Tę potrójność uzyskuje za cenę bolesnego tragizmu walki wewnętrznej, który powstaje z rozbratu między wyzutą z męskiej siły wolą, a bezwiednem ciążeniem patrycju-

[1]) *Chimera* VIII 200. [2]) Ibid. 204.

[3]) Ibid. 193:
Bibljoteki mojej dwakroć sto tysięcy
Voluminów dziś składam pod stopy Jej Mości.

szowskiej duszy ku heroizmowi. Tak tedy Szechera i Marek Antonjusz stoją na dwóch biegunach: chytrą wróżbiarkę zmiażdżył tragiczny los, a szafarza wielkości „pobitego triumwira" miażdży własna jego niedoskonałość, a dopiero w dalszem znaczeniu — czas nowy, co chce nowych rycerzy.

Obok Marka Antonjusza drugą postacią, której wewnętrzna męczarnia łamie ducha i kości, jest Rycerz. Przypadek uczynił go wyrazem cnót rycerskich ludu, który te cnoty zaniedbał dla popiołu umarłych i mistyki zagrobowej. Tam, gdzie Cezar działa, wódz egipski rozważa zadania strategji; gdzie on zlatuje na wroga, niby sęp na łanię, tamten ufa w oddalenie marszu; gdzie legjonista rzymski brnie naprzód, pijąc wodę hełmem, śpiąc w skwarze słonecznym lub w chłodnem świetle gwiazd, tam żołnierz egipski odwleka wyprawę, bacząc na konjukturę ciał niebieskich. Stąd gorycz Rycerza! Zaprawia nią obficie swoje mowy w przedmiocie ruchów strategicznych i ogółu wiedzy wojennej, wygłaszane wobec Kleopatry. I ta go słucha, ale ze względu na... Cezara:

ten człowiek, o czemś wielkiem mówiąc,
Stawa się wielkim. [1])

Uważna słuchaczka jest zarazem sprawczynią najmocniejszej boleści, jakiej doznaje Rycerz w tragedji Norwida. Dzięki niej musi on pokalać honor, zbezcześcić słowo rycerskie, okłamując ślepą, bezradną Szecherę:

SZECHERA
Synu mój! odrzecz mi Rycerskiem Słowem,
Czy tu królowej niema?

RYCERZ
pogląda na Kleopatrę milcząc

KLEOPATRA
daje znak Rycerzowi, aby skłamał

RYCERZ *(do Szechery)*
Raz powiedziałem...

SZECHERA
Rycerskie słowo?

RYCERZ
pogląda ku królowej, która mu niecierpliwy znak porzuca gestem, aby skłamał. Rycerz dobywa nagle miecza z pochew, łamie go oburącz, składa u stóp królowej i woła:
Słowo Rycerskie!! [2])

[1]) *Chimera* VIII 68. [2]) Ibid. 159.

Pozbawiony honoru Rycerz staje o kilka stopni niżej w hierarchji żołnierskiej dostojności. Przeobraża się częściowo w najmitę, w kondotjera. Królowa mówi pod koniec dramatu,[1]) że nic mu dać nie może wzamian za ogromne zasługi. Chyba dlatego, że nic nie zdoła wynagrodzić utraty najdroższego klejnotu, jakim dla żołnierza honor. Norwid rozwinął w niezbyt jasnych zarysach przebieg tej bolesnej sprawy. Rycerz z dwu wykończonych aktów ma zadatek na postać głęboko tragiczną, natomiast Rycerz z aktu trzeciego grzeszy wielomównością i lekceważeniem sponiewieranej godności. Linje charakteru zamazały się. Ale w danym razie zawinił tylko rysownik.

C) Wina i kara.

Niekiedy życie obnaża się, jak miecz. I wówczas serce ludzkie odczuwa jego bezlitośność. Przed wzrokiem jednostki cierpiącej odsłania się tajemnicze dno istoty rzeczy, istoty zjawisk, istoty bytu. Cierpienie jest głębsze od radości, a bohater tragiczny wyższy od idyllicznego. Ta radość niewysłowiona, która nachodzi nas po przebyciu męki, sięga zaiste do tych głębin, w których oko niezaprawnego bólem optymizmu ginie doszczętnie, jak gołąb w mroku i burzy. Poeta, który niejeden raz wstępował na życiową Golgotę, który tworzył wśród głuchej pustki i samotnictwa beznadziejnego, którego wysiłki rozbijały się o mur kamiennej obojętności, który nakoniec, wbrew sprzysiężonym przeciwko niemu złowrogim losom, dążył do harmonji, ten poeta miał całkowite prawo do stwierdzenia, że wina i kara są czczym wymysłem moralistów. Mógł dojść do przekonania, że na świecie panuje bezład moralny. Tem bardziej, że romantyzm nie krępował takich skłonności i poglądów. A jednak Norwid stanął w rzędzie najściślejszych rygorystów etycznych. Dla niego, podobnie jak dla Kanta, niebo gwiaździste nad głową i sumienie wewnątrz duszy — to dwa zjawiska najbardziej godne podziwu. Wychowany w surowej atmosferze etyki katolickiej, za niewzruszoną podstawę godności ludzkiej uznał bezwzględną odpowiedzialność za czyny, zrodzone

[1]) *Chimera* VIII 202.

z wolnej, nieograniczonej woli. Nietylko za czyny. Również za każdą myśl, za każde uczucie, za każde słowo, które jest przecież tylko „czynu testamentem". „Jeżeli więc mędrcy i filozofowie dzisiejsi nauczają nas, że słowa nas wyrażają, przepraszam i ostrzegam, że to jest mimowolna zdrada, bo wyrazy i słowa nasze są także i nato, że nas sądzą, nietylko, że nas wyrażają". [1])

Etyka Norwida ma oblicze surowe. Nie dozwala na rozlewność uczuciowości, wyzwolonej całkowicie z więzów karności religijnej i społecznej. Nie pobłaża duchowym rozgoryczeniom i bezzasadnym mrzonkom; nie ułamuje ostrza prawdzie życiowej. Owiewa ją, zaiste, rzeźwe górskie powietrze wyżyn bohaterstwa. Tragiczny świat Norwida jest zbudowany na zasadzie moralnej przyczynowości. Brzmi ona mniej więcej tak: gdzie istnieje kara, musiała istnieć wina. I chociaż niekiedy odnosimy wrażenie zbytniego okrucieństwa, to przecież odczytując wyrok Fatum kilkakrotnie, dochodzimy do przeświadczenia, że jest on owocem głębokiej sprawiedliwości. Wystarczy zadzierzgnąć węzeł między sercem ludzkiem, śmiertelnie ugodzonem, a duszą wszechświata, łaknącą doskonałości, aby to ocenić i należycie zrozumieć. Unicestwienie jednostki może być szczeblem naprzód w sprawach wagi kosmicznej. Naprzekór pokoleniu romantycznemu Norwid nie zamykał doszczętnie światów całych w jednostce, nie utożsamiał jej z bytem nieskończonym, nie widział zagłady dziejów i ludzkości w upadku jednostki, ale wprzęgał ją w twardą służbę dobru powszechnemu i celom ostatecznym. Gdy naprzykład u Słowackiego bohater działa przez straszliwy despotyzm rozkiełzanej wyobraźni, przekształcającej dowolnie bieg spraw doczesnych i nadprzyrodzonych, u Norwida czyny bohatera powstają pod naciskiem wieków całych, jakby pod ciśnieniem tysiąca atmosfer. Etyka romantyczna wypłoszyła drzemiący chaos z odwiecznego legowiska. Wykłuła go niejako ostrzem skrajnego indywidualizmu. Jakoż dźwignął się i napełnił rykiem mroczne, zawiłe, obarczone nadmiarem, zniekształcone wybujałością dzieła romantyków. Wysunięto

[1]) *Czarne i białe kwiaty*, j. w. 267.

pewnik: jaźń to jedyna rzeczywistość, a poza tem wszystko jest złudzeniem i pozorem. Odtąd mogło nie obowiązywać prawo moralne, narzucone z zewnątrz. Droga ku niemu wiodła skądinąd: z odczucia nawskroś osobistego. Moralność oznaczała poniekąd zgodność z ogólnemi dążnościami rozwojowemi danej jednostki. Z poza tych omówień i okolnych domyślników ukazał oblicze psychologizm, dla którego zasadą jest poznawanie Boga i bytu przez pryzmat człowieka. „Umysły słabe", pisze Ernest Hello, „zaczynają od psychologji. Ludzie ci, zamiast zbadać przedewszystkiem byt, badają przedewszystkiem człowieka, zamiast oprzeć wiedzę na Bogu, opierają ją na sobie samych". [1])

W takich warunkach rychło zanika zmysł odpowiedzialności. Niema bowiem przed kim odpowiadać. I gdy, tokujący w spóźnionej porze cietrzew romantyzmu, Nietzsche, zacznie rozgryzać swoje gorzkie prawdy, dotknie również zębem i tego zagadnienia. Da mu wyraz mocny, dobitny, niedwuznaczny: „Człowiek szlachetny nie grzeszy, chce nam powiedzieć głęboki poeta, choćby przez jego działanie zginęło wszelkie prawo, wszelki ład przyrodzony, nawet świat moralny, to właśnie to samo działanie zakreśla wyższe magiczne koło skutków, które zakładają nowy świat na ruinach obalonego starego". [2]) Stąd powychodziły na świat owe „wspaniałe rozbójniki, szlachetne złodzieje", [3]) których nie mógł strawić stary Koźmian, zaprzepaszczony w Homerach, Tacytach, Horacych, Racine'ach i Wergilach. Przejęty czcią dla publicznej cnoty Rzymian, dla ich obyczaju, karcącego mieczem i rózgą liktora niewczesne wybryki oraz lekceważenie prawa, z nienawiścią poglądał na rozwichrzeńców, którzy siebie czynili źródłem prawodawstwa i moralności.

Norwid nie dał się ponieść szałom i szaleństwom. Chwycił wodze w krzepką garść i gwałtownie zawrócił na bity gościniec etyki katolickiej, na gościniec, po którym toczyły się wieki i pokolenia. Dumie prometejskiej, szturmującej do niebios, przeciwstawił uczynki ciche, pokorne, jak

---

[1]) *Filozofja i ateizm.* Bibl. Dzieł Chrześc. 1909, str. 125.

[2]) *Narodziny tragedji*, j. w. 69.

[3]) *Odpowiedź Fr. Morawskiemu... Różne wiersze*, 1881, str. 96.

umywanie nóg żebraczych przez Chrystusa: „Zbawiciel wciąż pracuje i umywa nam nogi, z powodu, iż im mniej lukratywna, mniej wdzięczna jest praca, im mniej dla zysku, im podlejsza w oczach obecności, tem więcej dla rezygnacji i owoców przyszłych w Zbawicielu pełniona". [1]) Etyczny świat Norwida zdaje się być ufundowany z wielkich ciosanych złomów granitu. Coś jak pierwotna bazylika chrześcijańska. Czyny ludzkie układają się w kolumny, biegną ku sklepieniom, gdzie na łukach myśli rozpięte są, jak czarodziejska siatka pajęcza, uczucia i marzenia. Po człowieku dla unieśmiertelnienia go musi zostać czyn; nie pieśń, nie uczucie, nie myśl, ale czyn. W opiewaniu tego czynu była ewangeliczna prostota i cichość, ot, wprost jakby gorące szepnięcie: wiara bez uczynków martwa jest. Cezar działa na wyobraźnię czytelnika tą właśnie oszczędnością słów, poza czynem błądzących. Skoro w dodatku zważymy, iż godzina jego klęski stanęła już u wejścia do namiotu, ogarnie nas podziw dla heroizmu, który wypowiada się tak zwięźle i dojrzale. Rzekłbyś, iż testament czynu — słowo przemieniło się w marmur. aby uświetnić grobowiec wielkiego dzieła i żywota:

> Tu jednak, Pani, widzisz, co posiada Cezar?
> Jak on szuka miękkiego w świecie przestawania?
> Podróżne krzesło, zkąd się rozsądzają sprawy,
> Skórę lwa i purpurę, czasem miecz, albowiem
> Nawet i miecza wniosków niezawsze on słucha. [2])

Pogromca Galji, Brytanji, Egiptu, Hiszpanji szerzy w tragedji norwidowską ewangelję czynu. Gorzki pesymizm mógłby nad dziejami Cezara, Kleopatry, Szechery, Rycerza skrzywić usta szyderczym uśmiechem. Bo tylko zważmy.

Cezar upodabnia się bogom, wyrzeka — miłości, czyni z siebie ofiarę na ołtarzu wielkich dziejowych przeznaczeń.

Kleopatra łamie swą kobiecość, tłumi obowiązkiem krew, co wycieka z serca, daje ludowi obraz władczyni prawej, mądrej, uległej tradycji i ojczystym prawom.

Szechera wróży, skwapliwie zbiera dary, pośredniczy między królową a gminem, oddaje swego ducha wichrom kassandrycznych natchnień:

---

[1]) *Chimera* VIII 382. [2]) Ibid. 104.

Ta ziemia
Egipska pod epokę, która już, już blizko,
Stanie się tylko jedną rzeką! tylko Nilem!
Tylko — korytem! nie już krajem i mocarstwem.[1])

Wreszcie spala się, jakgdyby okropna kometa przeszła nie tylko po niebie, ale i przez jej piersi.

Rycerz chciałby odmienić serce w Egipcjaninie: wychwaścić zeń tchórzliwość, miękkość i pychę, a wpoić siłę, męskość i dumę.

Wszyscy oni, po ludzku biorąc, są bez winy. A mimo to Fatum ściąga na nich klęskę nieodwołalną, zagładę doszczętną. Max Scheler widzi w takim układzie rzeczy wzniosłość i grozę: „Jeżeli prawdą jest, że nieszczęście jest dopiero wówczas tragiczne, gdy w zwykłem tego słowa znaczeniu nikt nie ponosi winy, to do istoty konfliktu tragicznego należy i to, że nawet idealnie najmądrzejszy i najsprawiedliwszy sędzia nie może go załagodzić ani uleczyć".[2]) Myśliciel niemiecki wraził grot w sedno zagadnienia, ale odłamał drzewce. Dlatego nie zdołał wymierzyć głębokości ciosu, ani go poprawić. Ostatecznie, zamiast nagiej prawdy, podstawił nam zwierciadło nastroju etycznego. Przejrzeliśmy się, ale nie przejrzeliśmy tajemnicy, dającej podstawę naszemu odczuciu. Do umysłowości rdzennie katolickiej trzeba stosować miarę katolicką.[3]) Odwoływanie się do pojęć dla niej obcych, jak fatalizm, „istotne związki we wszechświecie" i t. p. to mniej więcej to samo, co podawanie jadłospisu zamiast potraw. Norwid odczuwał głód doskonałości. Szukał jej w pracy, w czynie, w sztuce, w modlitwie, w uczuciu, słowem wszędzie. Doznanie osobiste rozszerzył na społeczeństwo i na dzieje. Zamknął je zaś w treściwych orzeczeniach *Pompei, Assunty, Niewoli, Promethidiona* i wielu innych pismach wierszem i prozą:

Bo nie jest światło, by pod korcem stało
Ani sól ziemi do przypraw kuchennych,
Bo piękno na to jest, by zachwycało
Do pracy, praca, by się zmartwychwstało.[4])

---

[1]) *Chimera* VIII 157. [2]) M. Scheler l. c. 47.

[3]) Ob. dr. St. Cywiński: *Wstęp. Bibl. Narod,* j. w. XXV „Katolicyzm określa go całkowicie".

[4]) *Chimera* VIII 21, 22.

Norwid pragnął, aby doskonałość pożarła całą dziedzinę spraw ludzkich, jak Chronos pożarł własne dzieci:

Wierzę, że celem jest wszechdoskonałość
Przez wykonania stopniowe całość,
Wierzę, że ludom, gdy nie postąpienie,
Lecz dostąpienie hasłem ostateczne
Tytańskie na pierś wracają kamienie,
Takie ich ruchy są bez - wiednie - wsteczne. [1])

Pali się w tej glossie ta sama namiętna żądza doskonałości, która Ernestowi Hello kazała nazwać Świętych ludźmi, co zginęli dla Boga. [2]) Ów zamknięty w sobie na głucho Bretańczyk, wykołysany szumem fali morskiej, wykarmiony złocistą, we mgłach nadbrzeżnych spowitą tęsknotą, ów samotnik, co w chwili najgroźniejszej dla katolicyzmu wystąpił do walki z otwartą przyłbicą, ów ślęczyciel i mędrzec, wznoszący bastjony myśli twardej jak granit, a niepokalanie wzniosłej, jak rozmowa z Bogiem, co krok myśleć każe o naszym samotniku, który z pogromu życiowego nie wyniósł na sercu nic więcej, prócz szaty. U obu rozściela się na kartach ich dzieł przelewna urodzajność myśli, jakoby pełnokłose, rozfalowane łany żytnie; u obu włada słowem i myślą surowa zwięzłość, szerzy się, jak płomień, wiara w zwycięstwo doskonałości; u obu nakoniec tragizm wynika z rzekomego odchylenia czasów bieżących od woli ku doskonałości. Męczą się tem ludzie, wprzęgnięci w jarzmo czynów o doniosłości historycznej, natomiast wzrok myśliciela widzi rozwiązanie męki w najczystszej harmonji. „Codziennie w naszych oczach", pisze Hello, „życie niższe jest pochłaniane przez wyższe i nie myślimy się temu dziwić. Roślina żywi się ziemią, owca rośliną, człowiek owcą; baranina staje się ludzkiem ciałem, i uważamy to za rzecz zupełnie prostą i zgadzamy się chętnie z tym porządkiem, byle Bóg się do tego nie mieszał". [3]) Tymczasem, mówi nieco dalej: „rozwiązanie dramatu to boża cząstka". [4])

---

[1]) *Pisma zebrane* t. A 248. [2]) *L'homme, Oblicza Świętych.*
[3]) *Filozofja i ateizm*, j. w. 111. [4]) Ibid. 154.

Owóż tragizm u Norwida wynika stąd, że jego bohaterowie (Cezar, Antonjusz, Kleopatra) stają bezwiednie na drodze idącemu przez dzieje wichrowi przemian w coraz doskonalsze kształty bytu, że czyny ich kładą się jak kamienie wpoprzek ruchu Bożego, że są „bez-wiednie-wsteczne". I za tę winę ponoszą odpowiedzialność. Ów wicher przemian szerzy, obok doskonałości, zniszczenie i grozę; niesie w swoich gromach i błyskawicach zamęt i rozterkę, a sądząc z pozorów i niższość cywilizacyjną (epopeja spada w prozę, a ta w anegdotę, a ta w rewolucję). Ale gdy zgarniemy pod jedną myśl wieki, ludy i kultury, zobaczymy na krawędzi czasów szeroką łunę. To czyściec. Stamtąd ludzkość wyjdzie „opłynięta eterem niebieskim w majestacie szat królewskich". [1]) Według Norwida dzieje pędzą ku rewolucji. Niejednokrotnie jeszcze glob ziemski skalają najstraszliwsze zbrodnie i najobrzydliwsze nikczemności. Wiele cywilizacyj runie pod naporem barbarzyństwa, żadna z nich bowiem nie jest tworem skończenie doskonałym: „Cywilizacja każda, jako skończoność uważana, jest fałszywa, że każda jest względna i żadna z napotkanych nie jest ostatecznym triumfalnym ludzkości owocem". [2]) Będzie się nawet zdawało, że pokolenia i wieki staczają się coraz niżej. Tak! ale nadejdzie czas, gdy buchnie z jakichś ogromnych kraterów ducha płomienna lawa. A z tej pożogi wyjdzie ziemia oczyszczona, gotowa podjąć nowe prace i dzieła bliższe Chrystusa, niźli dotąd: „Cywilizacja według wszelkiego podobieństwa do dziś jeszcze podobna jest do tego kościoła, co w kwadracie kolumn świątyni starożytnej, jak gołąb w rozłamanej klatce przestawa; tak, iż mszy świętej idąc słuchać, przechodzi się ówdzie przez Jowiszowy przysionek. Daruj mi, wielki poeto, że z niektórych tylko korzystałem uwag twoich, co do kształtowania się mojej przypowieści (t. j. *Quidam,* przyp. mój), inne za niebyłe uważając. Cywilizacja składa się z nabytków wiedzy izraelskiej, greckiej, rzymskiej, a łono jej chrześcijańskie czy myślisz, że w świadomej siebie rzeczywistości już triumfalnie rozbłysło?" [3])

[1]) „Bibl. Nar.", j. w. 202. [2]) *Pisma zebrane* IV 304. [3]) Ibid. t. II 529—530.

Zniszczenie doli jednostkowej może tedy budzić współczucie. Ale czem ono jest wobec Sądu Ostatecznego, który nadchodzi?

D) Tragizm wyzwalający.

„Owa przewaga momentów krzepiących daje się odczuć wówczas, gdy uczucie pociechy ma dość siły, aby działanie ludzkie, wynikające z losu, przedstawić w łagodniejszem świetle, roztoczyć nad porządkiem świata nieco pojednania. Jeżeli zaś uczucia krzepiące odnoszą się wyłącznie do poszczególnego wypadku, jeżeli nie ogarniają całości działania ludzkiego, wówczas nie stanowią one odczynnika na podstawowe uczucie pesymistyczne.

W pierwszym wypadku mamy tragizm wyzwalający, a w drugim przytłaczający.“ [1])

W tragizmie *Kleopatry* graniczą ze sobą dwie dążności: chęć opanowania żywiołowej, plennej bujności istnienia, chęć podporządkowania wartości niższych — wyższym i zarazem dążenie do roztopienia się w żywiole, spłynięcia na samo dno kosmiczności. Cezar chce panować nad chaosem, a jednocześnie pada ofiarą rozprzężenia dziejów; Kleopatra chce utrwalić swoją kobiecość na twardej podstawie miłości osobistej, a ginie zmrożona atmosferą wieku; Szechera chce być zwykłą wróżbiarką, ciułającą grosze i łaski możnych, a los czyni ją Kassandrą żywiołowej zagłady. I tak na każdym kroku jednostka chce ujarzmić żywioł, a żywioł unicestwić jednostkę. Tragizm, w danym razie, robi z jednostki węzeł dramatycznego zawikłania, a jednocześnie usuwa ją w cień wobec mglistych zarysów wyższej ręki kierowniczej. Zdarzenia wytryskują z tej ręki, zawieszonej, niby chmura, nad głowami bohaterów,

[1]) „Fühlbar aber wird dieses Gegenwicht der erhebenden Momente dann, wenn die erhebenden Gefühle die Kraft haben das menschliche schicksalsmässige Geschehen in ein milderes Licht zu rücken über den Weltlauf etwas von Versöhnung zu breiten. Beziehen sich die erhebenden Gefühle lediglich auf den vorliegenden Einzelfall, kommen sie nicht dem menschlich heitlichen Geschehen zugute, so steht dem pessimistischen Grundgefühl ein fühlbares Gegenwicht nicht gegenüber... In diesem Fall ergibt sich das Tragische der niederdrückenden in jenem das der befreienden Art“ (*System d. Ästethik.* t. II 328).

jak iskry elektryczne z palców magnetyzera. Oddychamy ostrem, naładowanem gromami powietrzem przed burzą. A chociaż oglądamy spustoszenie, klęskę, pogorzelisko szlachetności i bohaterstwa, chociaż układ wydarzeń sprzymierza się z wiarą w ponury fatalizm i okrucieństwo bytu, mimo to z miąższu tragedji chciwie wysysamy jakąś ożywczą, leczebną ochłodę, jakąś metafizyczną pociechę. Dumą napawa nas twarde poczucie obowiązku u bohaterów tej miary, co Cezar i Kleopatra. Wobec Losu zachowują oni dostojną nieugiętość. Wobec samych siebie — niezachwianą surowość. Wobec dziejów — wzniosłą, skrupulatną sumienność. Gdy oszałamiająca burza dziejowa przechodzi nad ich głowami, gdy historja łamie się pod stopą, jak wystygłe rumowisko, gdy myśl drętwieje nad przepaścią rewolucji, gdy z ubezwładnionej fatalizmem ręki wypada władza: wówczas w nich samych panuje spokój i cisza. Cezar w rozgwarze wojny nie zapomina o codziennym trudzie „stawania się podobnym bogom":

To nie jest łatwo stawać się podobnym bogom!
Trud jest właśnie z tego duży, że codzienny.[1])

A Kleopatra, wbrew dziedzictwu grobów i popiołów (ob. monolog w akcie pierwszym) wykwita z martwego jeziora zatęchłej tradycyjności i rutyny, jak najbielsza lilja, wsłuchana w szept życia, wytryska, jak płomienny krzyk zdławionej kobiecości z mroków stygnącego świata:

Antonjusz
Apoteozę dla mnie marzy, gdy ja żyć chcę,
Gdy ja kobietą jestem najmniej idealną
W Egipcie.[2])

Los nie zdołał wykorzenić z ich serc (t. j. Cezara i Kleopatry) dumnego poczucia niezależności od zmiennej gry wydarzeń. Wszelka zmienność opływa ich rdzenną istotę, jak miękka fala twardy granit. Uderzy i odbija się, nie zostawiając śladu. Gdy fata wiszą nad nimi, jak miecz katowski, oni nie przestają działać. Odczuwając grozę położenia, zachowują pogodę zwycięzcy. Gdy wszystko się rozprzęga, w ich duszach może być, doprawdy, jedyna ostoja ładu:

---

[1]) *Chimera* VIII 104. [2]) Ibid. 193.

Gdziekolwiek i kiedy
Spotkałbym cię, czarowna królowo, zarówno
Byłaby to harmonja jedna więcej w świecie. [1])

Miarą wzniosłości heroizmu w tej tragedji Norwida może być wrażenie, jakie budzi odmalowany tam stosunek człowieka do Fatum. Bohater przerasta spokojem i godnością samo Przeznaczenie. Bo gdy ono okazuje niekiedy podstępną szczodrobliwość rabusia i darząc wszystkiem rychło wszystkiego pozbawia, on, to jest człowiek podległy Fatum, nigdy nie ugina się pod najcięższem brzemieniem, nigdy nie traci równowagi i umiaru. Można powiedzieć, że Fatum i bogi szaleją, a człowiek trwa nieubłagany, niepożyty, jak spiż.

We wspaniałych wersetach ukochanego dzieła rozlał Norwid czarnoksięski eliksir przeciwko zgrozie upadku i zniszczenia. U w i e l b i ł, o c z y s z c z o n e o g n i e m c i e r p i e n i a, s z c z e r e, b o s k i e c z ł o w i e c z e ń s t w o:

Kleopatro! człowiekiem być to także zacność,
To w dyademie przejść się pod jarzmem, to więcej
Niźli dość. [2])

Dał mu przytem taką niezłomność, iż wobec niej musimy zapomnieć o tragicznej klęsce. Gorycz, zawarta w kielichu doli, jest obficie wynagrodzona nadziemską słodyczą, jaką poeta wsącza w każdą kroplę zbawczego odczynnika, owej wszechleczebnej wiary w dostojność człowieka. [3])

To też, gdy dochodzimy razem z poetą do tej wyżyny, skąd ogarnia się wzrokiem całość bytu: jego ziemskość i nadziemskość, piękno i brzydotę, radość i ból, wówczas przeświadczenie o niezniszczalnej wartości wzniosłego człowieczeństwa jest dla nas pośród tragicznego rozbicia jedyną kotwicą nadziei. Stąd płynie zdrój pociechy, którą Fryderyk Nietzsche uważa za nieodzowny składnik wszelkiego tragimu. „Metafizyczna radość z tragiczności jest przekładem instynktownie nieświadomej, dionizyjskiej mądrości na język

---

[1]) *Chimera* VIII 110. [2]) Ibid. 134.

[3]) Ob. wiersz: *Odpowiedź*. Bibl. Narod. j. w. 140:

A dziś, co kreślę albo z bronzu leję,
To tylko, jak w murze ćwiekiem
Więzień, kto inny ma laur i nadzieję,
Ja jeden zaszczyt być człekiem.

obrazowy: bohater, najwyższe zjawisko woli, unicestwiony zostaje ku naszej uciesze, ponieważ jest przecie tylko zjawiskiem, a zniszczenie jego nie dotyka wiecznego życia — woli". [1])

Cierpienie jednostkowe rozprasza się w kosmiczności. Wchłania je w siebie świat cały, podobnie jak gąbka wchłania wilgoć. Rzec można, iż Norwid wszystko, począwszy od pereł, zausznic, pierścieni Kleopatry, miecza, lwiej skóry i purpury Cezara, a skończywszy na niemych gmachach, piramidach i sfinksach przepoił człowiekiem. Na wszystkiem, i tem, co żywe, i tem, co martwe, wycisnął stygmat człowieczeństwa. Dlatego w *Kleopatrze* mówią gesty i pozy, [2]) mówią sprzęty, mówi nawet milczenie. Uczucie ludzkie nie gubi się w próżni. Odpowiada mu serce wszechświata.

Ze zgonem Cezara przychodzi kometa, staje nad Rzymem i jakby niemym gestem żałoby roztrząsa nad siedmioma wzgórzami swoje włosy z blasków i płomieni uwite. Dziwna to zaiste płaczka ginącej wielkości. Ale z tej krynicy kosmicznego liryzmu (że się tak wyrażę) wypływa niemała dla nas pociecha. Czujemy, iż bohaterowie nie są w swoich mękach odosobnieni. Kolec, który przeszywa ich serce, godzi zarazem w istotę owej powszechnej, rozlanej jak miłość Dantejska, śród słońc, gwiazd, wichrów, żywiołów i globów — czułości.

A jeżeli naród
Zgładza wielkiego męża dla tychże prób!? Jeśli
Kasyusz, i Brutus (arcypowściągliwi ludzie!)
Dla tychże doktryn senat krwią obleli... Delius
Obywatelu! Czyli wśród niebieskich zaklęć
Niema i tego, co zwą Fortuną Mścicielką! [3])

Śmierć człowieka heroicznego wyłamuje ze zwykłego trybu porządek rzeczy. Jest ona krzywdą, wyrządzoną

[1]) *Narodziny tragedji*, j. w. 118.

[2]) Bardzo znamienny dla norwidowskiej koncepcji symboliki ruchów, gestów, układu przedmiotów i t. d. urywek znajdujemy w *Stygmacie*: „Tylko archeolog to zrozumie ten, który widział w zbiorze starożytności trzewik atłasowy, niegdyś czarny, po Marji Antuanecie pozostały z ostatniego jej dnia fatalnego! Tylko ów zrozumie, co to widział, jak wiele wyrażać może odwzór niemy gestu człowieka". (*Czarne i białe kwiaty* jak w. 97).

[3]) *Chimera* VIII 196.

powszechnej sprawiedliwości. Pomsta należy zatem do sił wyższych, do Fortuny Mścicielki. Tak oto dola jednostkowa budzi echo we wszechświecie. A przecież ból samotny gorszy jest, niż ból, znajdujący współdźwięk w otoczeniu. Tragedja Norwida nie oszczędza naszej wrażliwości. Gromadzi mroki, spiętrza wydarzenia ponure. Fatum mrozi w niej, jak lodowce na szczytach górskich. A jednak wszędzie rozpływa się zarazem jakieś złote światło dobrotliwości. Pod jego dotknięciem surowy, zimny gmach tragedji zaczyna wydawać słodkie dźwięki, niby kolumna Memnona o wschodzie słońca. To gra serce poety, wezbrane głębokiem współczuciem dla cierpienia. I może gdzieś w dramatach staroindyjskich możnaby znaleźć podobnie rzewny, cichy, szlachetny altruizm, zasłabo — podobne skąpanie wszelkich odmian bytu we wszechobejmującej tkliwości. Ta tkliwość, choć niewidzialna, obecna jest wszędzie: czyto, gdy Cezar opłakuje zgon Pompejusza, czyto, gdy Sfinksów królowa sądzi pobłażliwie żeńca rybaka, czyto, gdy Eroe opowiada o ślepej Szecherze. Niby Anioł z *Ostatniej z bajek* współuczestniczy ona w doli i niedoli człowieka, radując się wszędzie widokiem sprawiedliwości. „Radowały się wyraźnie oczy jego widokiem, aby dwóch ludzi, na których żywociei mieniu i obyczaju nie było żadnej skazy, naznaczonej gwałtem lub krzywdą jakąkolwiek bliźniego, ludzkości i stworzenia". [1])

I to nas również krzepi.

Tak tedy z powszechnej zagłady wychodzi cało człowiek wieczny. Jego udziałem nieśmiertelność. Tragizm *Kleopatry* istotnie „przedstawia działanie ludzkie, wynikające z losu w łagodniejszem świetle i roztacza pojednanie nad biegiem świata". [2]) Jest to tragizm wyzwalający.

[1]) *Czarne i białe kwiaty*, j. w. 208. [2]) *System d. Ästethik*, j. w. II 321.

(Dokończenie nastąpi)

Zygmunt Falkowski.

Architektura i styl przedromański w Polsce.

(Ciąg dalszy)

XI. Rotunda w Bytomiu.

Na tym samym tympanonie kościoła św. Michała w Wrocławiu, jaki wyżej opisaliśmy, a jaki niestety tylko w rysunkach się dochował, widzimy nietylko Jaxę z żoną, ale i dwie inne postacie, ojca z synem ofiarujących ze swej strony drugi kościółek Chrystusowi. Napisy nad nimi świadczą, że to Bolesław i Leszek, czyli Bolesław IV Kędzierzawy, książę krakowski i mazowiecki (1146—73) i syn jego Leszek (ur. ca 1160, † 1186). Tympanon powyższy, jak przyjęliśmy, powstał około 1170 r. Kościółek, jaki ci książęta ofiarują, jest również oznaczony, nosi bowiem napis IN BITOM.

Odrazu jednak powstaje kwestja, do którego Bytomia napis ten się odnosi. Istnieją bowiem dwa Bytomie na Śląsku, jeden nad Odrą w powiecie frysztackim, drugi na Górnym Śląsku, dziś nad samą granicą polską. Schultz, a za nim Sokołowski są zdania, że w tym wypadku chodzić może jedynie o starodawny kościółek św. Małgorzaty w Bytomiu górnośląskim.[1]) Kościółek ten dawniej kamienny, dziś już drewnianym zastąpiony został. Jednakże cała ta kwestja jest pod znakiem zapytania. Naprzód o kościele św. Małgorzaty nic nie wie Lutsch w swojej inwentaryzacji Śląska, ani też nie mówi o nim Długosz. Natomiast w bulli papieża Innocentego IV z 1253 r. wymieniony jest kościół N. P. Marji w tymże Bytomiu,[2]) jako własność klasztoru wrocławskiego św.

[1]) Schultz w Schlesiens Vorzeit 1875, 233 i Sokołowski, Ruiny na Ostrowie 1876, 148.

[2]) Grünhagen, Schles. Reg. N. 839.

Wincentego. Ten sam widocznie kościół nazywa Długosz kościołem św. Andrzeja i również mieni go być własnością wymienionego klasztoru.[1]) Wobec tego, że wymieniony na początku tympanon przedstawia właśnie akt darowizny kościołów przez księcia Bolesława i Jaxę na rzecz klasztoru św. Wincentego, przeto mogłoby się wydawać, że wyobrażony tu kościółek jest właśnie kaplicą św. Andrzeja (N. P. Marji) w Bytomiu górnośląskim.

Duże wątpliwości nasuwają się jednak przy rozważaniu następującego faktu. W tym samym Bytomiu istniała również druga kaplica Św. Ducha, zbudowana przez Bożogrobców Miechowickich i należąca później do szpitala Templarjuszów.[2]) Kaplica ta łączy się z osobą rycerza Bogdana de Richenbog, właściciela Bytomia, który za wzorem księcia Henryka sandomierskiego i Jaxy braniborskiego, pierwszy na Śląsku w 1169 wyjechał na wyprawę krzyżową, a po powrocie podarował swój Bytom Miechowitom, celem wybudowania tutaj kaplicy Grobu św.[3]) Jest bardzo możliwem, że wybudowana wówczas kaplica była rotundą, podobnie jak inne naówczas budowane kaplice Grobu św. w środkowej Europie. Jednakże szczegół ten jest dowodem, że Bytom górnośląski był w XII wieku jeszcze własnością rycerską i że właśnie około 1170 r. nie książę, lecz rycerz Bogdan fundację swoją tam czynił. Wobec tego kościółek wyobrażony na tympanonie wrocławskim, jako fundacja książęca nie będzie w Bytomiu górnośląskim, lecz w drugim Bytomiu nad Odrą.

Ten Bytom nad Odrą był grodem książęcym od niepamiętnych czasów i czołem swojego opola. Odegrał on, jak wiadomo, ważną rolę w wojnie niemieckiej za czasów Bolesława Krzywoustego, wytrzymując w 1109 r. oblężenie ces. Henryka V-go. Należał też niewątpliwie do tych grodów śląskich, które Bolesław IV Kędzierzawy zatrzymał dla siebie, oddając w 1161 r. Śląsk w ręce synów Władysława II. Jeżeli zatem gdzie, to tylko tutaj należy szukać fundacji Bolesława IV.

Otóż w grodzie bytomskim istniały 2 kościoły, fara św. Hieronima, daleko później w wczesno gotyckich czasach postawiona i starszy o wiele kościółek św. Stefana. O nim wiemy, że w 1175 r. podarowany został przez Bolesława Wysokiego ks. śląskiego kla-

[1]) Długosz, Liber benef. II, 203.
[2]) Lutsch, Kstdenkm. Schlesiens III, 65 i IV, 413.
[3]) Schlesiens Vorzeit IV, 1888, 542.

sztorowi Cystersów w Lubiążu, [1]) a zatem w rok po śmierci Kędzierzawego. Ten właśnie kościółek św. Stefana jest mojem zdaniem tym, którego widzimy na tympanonie wrocławskim, a to dlatego, że dysponują nim książęta, którzy tu są właścicielami.

Kościółek bytomski, jaki książę w tympanonie trzyma na ręku, jest dla nas dlatego interesujący, że wyobrażony jest w kształcie rotundy, podobnie jak i drugi tamże kościółek wrocławski św. Michała. Rotunda bytomska jest jeszcze o tyle odmienna, że składa się jakby z dwóch cylindrów, większego i szerszego u dołu, a mniejszego i węższego u góry, oba pod wspólną kopułą. Konstrukcja taka każe się domyślać, że w środku głównej okrągłej nawy stały kolumny lub filary, dźwigające bęben kopuły, a może równocześnie i sklepienie, dzielące kryptę od górnej kaplicy, podobnie jak na Lednicy.

Poza tem jest jeden szczegół, co do którego oba zachowane rysunki tympanonu, u Schultza i u Buchwalda, [2]) nie są zgodne ze sobą. Pierwszy bowiem rysuje kościółek jako rotundę kompletną, drugi zaś z zupełnie widoczną boczną absydą. Przypuszczam, że rysunek Buchwalda jest wierniejszym i że dobudówka taka w formie absydy wschodniej istniała rzeczywiście. Tak bowiem było i u św. Michała w Wrocławiu i w Stronn i w Grzegorzewicach.

Ale i tutaj, podobnie jak przy kościele wrocławskim św. Michała, pozostanie zagadką, dlaczego tympanon taki umieszczony został nie w Bytomiu, lecz w Wrocławiu, dlaczego dano pierwszeństwo fundacji Jaxy, a nie Bolesława i dlaczego obaj fundatorzy razem występują. Nie wiemy, jaki wspólny interes połączył ich w tej chwili w Wrocławiu.

Że wyobrażenie kościoła bytomskiego nie jest szablonem lub fantazją, tego dowodem tympanony ze Strzelna, z tego samego XII wieku pochodzące, a przedstawiające kościoły tego kształtu, jak w rzeczywistości. Jednakże opierając się na analogji z kościołem św. Michała w Wrocławiu zapytać należy, czy tympanon oznacza ofiarowanie dawno już istniejącego kościoła, czy też budowę nowego. Nasuwa się bowiem myśl, czy przypadkiem Bolesław Kędzierzawy nie odrestaurował tylko lub uposażył je-

[1]) Grünhagen, Schl. Reg. 46.

[2]) Buchwald, Reste des Vinzenz Klosters in Breslau. Schles. Vorzeit 1900, 73.

dynie kościoła bytomskiego, jaki tu już oddawna się znajdował, lub czy nie przebudował rotundy dawniejszej na kościół romański, podobnie jak to zrobił Jaxa z rotundą św. Michała.

Że to jest możliwem, dowodzi niezwykły w Polsce tytuł św. Stefana, a więc patrona węgierskiego. Budować kościół pod tem wezwaniem mógł tylko książę, zostający z Węgrami w ścisłych stosunkach przyjaźni, a takim nie był Bolesław Kędzierzawy. Za jego czasów dawno już w Polsce zarzucono politykę węgierską. Natomiast mógł taki kościół wystawić Bolesław Krzywousty, który, jak wiadomo, już w 1106 zawarł z Kolomanem węgierskim ścisłe przymierze i naraził się przez to na wojnę z Czechami i cesarzem. W 3 lata już po zawarciu tego przymierza nastąpiło oblężenie Bytomia, tak słynne w dziejach i powieści, przez ces. Henryka V. Kościół św. Stefana, jeżeli nie był jeszcze zaczęty, to właśnie wtedy już budować się musiał, a wszystko składa się na to, że kościół ten był nietylko zadokumentowaniem przyjaźni polsko-węgierskiej, ale może i również pamiątką oblężenia miasta, a zarazem podzięką dla Boga i świętego patrona za zwycięstwo.

Rotundę bytomską wzniesioną zatem przez Krzywoustego, wziął w swoją opiekę Bolesław Kędzierzawy i, jak tympanon głosi, podarował Chrystusowi t. j. klasztorowi św. Wincentego w Wrocławiu. Niestety klasztor ten Benedyktynów był już wówczas (ca 1170 r.) w upadku tak, że w 1180 musiano ich zastąpić Premonstratensami. Może dlatego nie opiekowali się należycie kościołem i zostawili go w opuszczeniu, tak że już w parę lat później znalazła się rotunda w rękach Cystersów z Lubiąża. Zmiany tej dokonał 1175 r. Bolesław Wysoki, książę śląski, który zaraz po śmierci Kędzierzawego († 1174 r.) zajął grody śląskie, dotychczas w ręku monarchy krakowskiego będące i jak widać, swobodnie własnością książęcą dysponował.

Jakie były późniejsze losy naszej rotundy, niewiadomo, to pewne, że dziś nie istnieje. Może na jej miejscu wybudowano później, już w czasach gotyckich, dzisiejszą farę św. Hieronima.

XI. Kaplica św. Marcina w Wrocławiu.

Wśród rozmaitych kościołów i kaplic wrocławskich, jeszcze dziś istniejących, kilka zwraca uwagę swem starożytnem pochodzeniem, murami i kształtem, jednakże przy bliższem badaniu

pokazuje się, że już w czasach romańskich lub gotyckich zostały przebudowane i że nic już z czasów przedromańskich w nich nie zostało. Do takich należy np. kościół św. Wojciecha, dziś dominikański, z tradycją, że w nim modlili się pielgrzymi czescy, idący do grobu św. Wojciecha w Gnieźnie. Ponieważ to mogło się dziać tylko przed najazdem na Gniezno Brzetysława, przeto tradycja tego kościółka sięga, jak widzimy, czasów Bolesława Chrobrego.[1]) Do takich przedromańskich kościółków należy również kościół św. Maurycego, magdeburską metropolę przypominający, dokoła którego już w XII wieku osiedlili się tkacze walońscy. Należy tu również kościółek św. Idziego, którego fundatorem miał być Piotr Włast i kaplica św. Mikołaja, dawna parafja zachodniej części miasta i kaplica św. Piotra podarowana w 1175 r. klasztorowi w Lubiążu i może jeszcze inne. O rotundzie wrocławskiej św. Michała mówiliśmy już osobno, o innych jednak wyżej wymienionych nie możemy nawet powiedzieć, jak wyglądały i tylko przypuszczać można, że do epoki i do stylu przedromańskiego należały. Wyjątek, obok kaplicy św. Michała, stanowi może tylko kaplica św. Marcina, którą tu pragniemy opisać.

Opis jej sprawiał już Lutschowi pewne trudności, nie jest bowiem zbudowana regularnie, lecz przedstawia się w planie jakby wydłużony 10 bok, a więc w rodzaju polygonalnej elipsy.[2]) Lutsch przypuszcza, że pierwotnie składała się z dwóch części: z nawy 8 bocznej i z przylegającego do niej prostokątnego chóru. Możnaby jednak tak samo przypuszczać, że pierwotna forma tej kaplicy była okrągła z półokrągłem prezbiterjum, jak np. kaplica św. Michała, lub rotunda w Stronn i że dopiero w późniejszych czasach nastąpiła przebudowa w formie polygonalnej.

Ważność tej budowli powiększa jeszcze fakt, że pod całą 8 boczną nawą znajduje się krypta, dziś całkiem zamurowana i zasypana. Szkoda, gdyż nie można stwierdzić, czy i krypta ma kształt 8 boczny, czy też inny, oraz jaki ma wątek murów. Faktem jest tylko, że ma sklepienie, którego już nie posiada górna część kościoła.

Wielkość całego kościółka, według pomiarów Salzmanna[3]) wynosi 16·10 m., przyczem średnica nawy ma 8·9 m., a długość

[1]) Landsberger, Breslau 1926, 7.

[2]) Lutsch, Die Kunstdenkmäler d. Stadt Breslau 1886, 31.

[3]) Festschrift des schl. Museums. Breslau 1883.

prezbiterjum 4 m. Dodać należy, że kościółek jest nadzwyczaj prosty i surowy, pozbawiony zupełnie jakichkolwiek ozdób, gzymsów lub kapiteli, co jak wiemy było wybitną cechą przedromańskich budowli.

Jako budowla 8 boczna nie jest ten kościół odosobnionem zjawiskiem na Śląsku. Taki sam kształt miała kaplica św. Materna, stojąca aż do połowy XIX w. na cmentarzu kościoła św. Elżbiety w Wrocławiu, wspomniana po raz pierwszy w dokumencie biskupa Przecława z 1358 r.[1]) Również i w Rychbachu (Reichenbach) znajduje się pod miastem 8 boczna kaplica św. Barbary, która należała niegdyś do szpitala, ufundowanego w XIII wieku przez biskupa Jana Wrocławskiego (1292—1301). W Świdnicy były dwie również podobne kaplice. Jedna t. zw. Precentorja św. Mikołaja, dziś zniesiona, miała plan koncentryczny z 4 wieżyczkami po bokach, a zatem podobną była do świątyni na Harlungu w Braniborze, zbudowanej jeszcze przez Przybysława, ks. braniborskiego, przed 1150 r. Druga to fara świdnicka św. Stanisława, dziś bazylika 3 nawowa, ale mająca pod prezbiterjum 10 boczną kryptę ze sklepieniem na 1 filarze opartem.[2]) Wszystkie te polygonalne budowle pochodzą wprawdzie z późniejszych już czasów, może nawet z epoki gotyckiej, ale kto wie, czy taki właśnie ich kształt nie jest wspomnieniem jeszcze starszych, na tych miejscach stojących przedromańskich rotund.

O kaplicy wrocławskiej św. Marcina można to przypuszczać tem śmielej, że historyczne dane cofają jej dzieje wcale głęboko. Kaplica istnieje bowiem już w 1149 r. i jest wtedy w posiadaniu klasztoru św. Wincentego. W osobnym dokumencie z tegoż roku potwierdza Bolesław Kędzierzawy posiadanie tejże kaplicy oraz kaplicy św. Benedykta w Lignicy. Przy kaplicy św. Marcina założył klasztor widocznie swoją filję, która w kilka lat później nazywa się już opactwem św. Marcina. Wspomina o niem bulla z 1155 r., a nie należy zapominać, że taki sam tytuł św. Marcina mają tak starodawne opactwa polskie jak w Kazimierzu w Wielkopolsce i w Opatowie w Sandomierskiem.[3]) Opactwo to zresztą nie trwało długo, upadło zapewne jeszcze przed ustąpieniem Be-

[1]) Lutsch, Verzeichnis l. c. I, 63.

[2]) Lutsch, Verzeichnis l. c. II, 164, 211, 199.

[3]) Potkański, Opactwo na łęcz. grodzie 97. — Wojciechowski, Szkice 47.

nedyktynów z klasztoru św. Wincentego. Mimo to kaplica św. Marcina wymieniona jest w bulli Celestyna III z 1193 r. znowu jako własność klasztoru św. Wincentego, tym razem Premonstratensów.

Z tem wszystkiem przypuszczać można, że kaplica ta sięga XI wieku, a Lutsch sądzi nawet, że była kaplicą zamkową przy grodzie wrocławskim, z powodu, że stoi rzeczywiście w obrębie dawnego zamku. Benedykt z Poznania na początku XVI wieku notuje legendę, że to fundacja Piotra Własta, za czasów jego tu urzędowania wzniesiona. Możliwe jednak, że jako kaplica grodowa istniała już daleko prędzej od niego. To pewne, że istniała w czasach, kiedy nie budowano polygonów, lecz rotundy. Jeżeli tedy czytamy, że w 1310 r. dokonano jej przebudowy, to możemy śmiało przypuszczać, że wówczas to dano jej ten kształ 10 boczny, jaki obecnie posiada. Wobec tego formą poprzednią mogła być tylko rotunda.

XIII. Kościół św. Salwatora na Zwierzyńcu.

Zwierzyniec, dzisiejsze przedmieście Krakowa, posiada obok klasztoru PP. Norbertanek, sięgającego XII wieku, jeszcze kościół niegdyś parafjalny, daleko starszy, a stojący na pagórku od strony błoń krakowskich. Jest to kościółek św. Salwatora, dziś już przebudowany, który jednak za czasów Długosza przedstawiał się bardzo starożytnie. Historyk ten zaświadcza,[1]) że była to budowla starożytna i pierwotna, z drobnych ciosów kamiennych wystawiona i przez Piotra Własta ze Skrzynna fundowana. Wskazywałoby to, że wymieniony historyk oceniał ten zabytek na wiek XII, chociaż z drugiej strony wyrażenia „budowla starożytna i pierwotna“ używa przy najstarszych, przedromańskich tylko kościołach jak Tyńcu, Wiślicy, Łysej Górze etc.

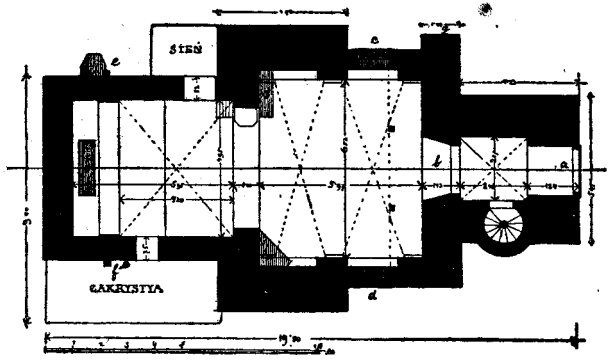
Ale jest jeszcze inna legenda, przywiązana do tego kościoła. Zapisuje ją wizytacja kościelna z 1599 r. podając, że kościół św. Salwatora był niegdyś parafjalny, że jest bardzo starożytny i że mówią o nim jakoby przez lokalnych książąt wybudowany został. Potkański widzi w tem tradycję pogańskiej świątyni i przedpiastowskich jeszcze książąt, tradycję podobną, jaką widzieliśmy przywiązaną do dwóch innych przedromańskich kościółków w Krakowie, do rotundy na Wawelu i na Skałce.[2]) W każdym razie

[1]) Długosz, Liber benef. III, 58.

[2]) Potkański, Kraków przed Piastami. 1897, 96.

jest ta wiadomość dowodem, że w oczach ludzi XVI wieku kościółek ten przedstawiał się jako zabytek jeden z najstarszych w Krakowie.

Jeszcze bardziej interesująca jest trzecia legenda, zapisana przez słynnego Pruszcza w połowie XVII wieku. Powtarza on naprzód obie sprzeczne zresztą ze sobą legendy o fundacji Piotra ze Skrzynna i o pogańskim początku kościoła, a następnie opowiada, że przed laty miał ten kościół krucyfiks wielce cudowny, o którym ta jest historja, że jest przysłany z Morawy pierwszemu chrześcijańskiemu księciu. To książę tenże krucyfiks na tem miejscu z wielkiego nabożeństwa w szatę kosztowną, koronę złotą



4. Kościół św. Salwatora na Zwierzyńcu.
(Podług Teki grona kons. II, 278).

i trzewiki perłami haftowane ubrawszy zostawił, do którego skrzypek grać piosenki swoje nabożnie chadzał. [1])

Powyższy przekaz Pruszcza jest dla nas niesłychanie cenny z powodu, że wiąże nić tradycji tego kościółka bezpośrednio już z czasami św. Cyryla i Metodego, z państwem wielkomorawskiem i z pierwszym chrześcijańskim księciem Wislan. Jest w tem naturalnie dużo bałamuctwa i pomięszania krucyfiksu z obrazem świętej Wilgefortis, który do dnia dzisiejszego w tymże kościele się znajduje. [2]) Mimo to nie można tej tradycji jako fantastycznej odrzucać tem bardziej, że dwie inne legendy, z kościołem tym związane, tylko ją popierają. Popiera ją także jeszcze inne poda-

[1]) Pruszcz, Klejnoty m. Krakowa. Wydanie Turowskiego 1861, p. 176
[2]) Tomkowicz w Roczniku krak. XV, p. 18.

nie, zapisane na tablicy wmurowanej 1622 r. w ścianę kościoła. Oto kościół ten miał być pierwotnie świątynią pogańską i dopiero przez św. Wojciecha został poświęcony. Wieść ponadto głosi, że ambona kamienna, w tym kościele przechowana, jest ta sama, z której nauczał św. Wojciech, chociaż w rzeczywistości jest to ambona gotycka. [1])

Wszystkie te legendy i podania dowodzą, że kościółek św. Salwatora sięga pierwszych czasów chrześcijaństwa w Polsce i że zaliczać go należy do najstarszych na naszych ziemiach. Natomiast tytuł sam św. Salwatora do takich nie należy. Wprawdzie jest to główne wezwanie starożytnego i wiele stosunków z Polską mającego opactwa w Fuldzie, ale z drugiej strony wiadomo, że najstarsze wezwania kościołów polskich są N. P. Marji, natomiast św. Salwator np. w katedrze krakowskiej przyszedł dopiero przy końcu XI wieku. [2])

Z tem wszystkiem nie mamy jeszcze żadnej wskazówki, jak właściwie wyglądała jego architektura pierwotna. Jedno jest tylko pewne, że nie była to budowla okrągła. Gdyby bowiem to była rotunda, byłby to Długosz niewątpliwie zaznaczył, tak jak uczynił przy innych kościółkach tej epoki. Widocznie jednak kościółek zwierzyniecki nie był rotundą, lecz był zbudowany na planie prostokątnym lub kwadratowym. W dzisiejszym stanie jest to budowa prostokątna, o nawie wielkości 5·97 × 6·52 m., do której od wschodu przystaje prezbiterjum również prostokątne, wielkości 5·95 × 4·95 m., a od zachodu gruba 4 boczna wieża, w świetle środkowem 2·46 m. w kwadrat mająca. Dotychczasowe badania były niedostateczne i nie pozwalają jeszcze na stwierdzenie, które mury są tu pierwotne, a które późniejsze, jaki jest ich wątek kamienny, jakie szychtowanie etc.

Niestety, inwentaryzacja grona konserwatorów nie rozwiązała tu żadnych problemów i nie daje żadnej odpowiedzi na nasze pytania. Jedyny szczegół, o którym się dowiadujemy, to grubość ścian przyziemia, wynosząca dziś 0·75 do 1·84 m. Poza tem w wizytacji 1599 r. czytamy, że kościół jest z drobnych kostek budowany, coby nie świadczyło za pierwotnością jego murów. Poza tem należy zauważyć, że mury nawy i wieży są znacznie grubsze

[1]) Teka grona konserw. II, 277.

[2]) Potkański, Kraków przed Piastami p. 196.

od murów prezbiterjum, które tu może być późniejsze. Naturalnie, że przyszłe dokładne badania murów mogą tu dużo jeszcze wyjaśnić.

Przy dzisiejszym stanie badań możemy tylko stwierdzić, że nie wiemy, jak wyglądała pierwotna architektura tego kościoła, że natomiast mury dzisiejsze i sam tytuł św. Salwatora są najprawdopodobniej pozostałością XII wieku. Z tem zgadzałaby się notatka Rocznika kapitulnego krakowskiego, która pod rokiem 1148 mówi o dedykacji kościoła św. Salwatora, [1]), co tylko do kościółka zwierzynieckiego odnosić się może. Nieco później jak wiemy z historji, stanowił Zwierzyniec własność słynnego ks. Jaxy braniborskiego, który w 1165 uczynił fundację na rzecz klasztoru Norbertanek. Mimo to kościółek istnieć musiał już od wieków i był parafją jedną z najstarszych pod Krakowem.

XIV. Kaplica św. Piotra i Pawła na Wawelu.

W dzisiejszej gotyckiej katedrze na Wawelu istnieje od strony południowej kaplica t. zw. Wazów z grobowcami tej rodziny królewskiej. Przedtem nazywała się kaplicą Prandocińską od biskupa Prandoty, zmarłego i tu pochowanego w 1266 r., a jeszcze dawniej kaplicą św. Piotra i Pawła, ponieważ miała ołtarz pod wezwaniem obu tych świętych apostołów.

Jest rzeczą dowiedzioną, że kaplica ta weszła w skład i obręb murów katedry dopiero w XIV wieku, przedtem zaś, w czasie istnienia katedry romańskiej, była kaplicą wolno stojącą na cmentarzu katedralnym. Nigdy zaś ta kaplica nie była katedrą, lub ośrodkiem katedry, jak to niektórzy mylnie przypuszczali. Z żywotów św. Stanisława wiemy, że w tej właśnie kaplicy, po przeniesieniu ze Skałki, złożono w 1089 r. ciało tegoż świętego i dopiero w 1254 przeniesiono je stąd do katedry na środek kościoła. Z tego wniosek, że kaplica św. Piotra i Pawła musiała istnieć przynajmniej już w połowie XI wieku, o ile nie jeszcze wcześniej.

Z tej pierwotnej budowy dotrwały do dni naszych jedynie dolne części murów w podziemiach kaplicy. Reszta t. j. część górna została gruntownie w czasach Zygmunta III przebudowana. O tych pierwotnych częściach ścian kaplicy podziemnej powiada

---

[1]) Mon. Pol. Hist. II. 798.

[2]) Gumowski, Problemy wawelskie. Przegląd powsz. styczeń 1927.

Wojciechowski, że są starsze od innych remanentów romańskich na Wawelu i starsze od wszystkiego, co w katedrze jest najstarszego. Najciekawszą była strona zachodnia kaplicy, od strony wieży romańskiej położona, gdzie znaleziono jednolity mur kamienny, z kamienia wapiennego i na czysto wapiennej zaprawie zbudowany. Kamienie są tu nierówne, prawie dzikie, nieco tylko na licu obrobione, zaledwie ze śladami szychtowania.[1]) Układ taki jest wprawdzie młodszy od murów rotundy P. Marji na Wawelu, ale natomiast stoi bardzo blisko murów rotundy na Ostrowie jeziora Lednicy. Poza tem zauważono na ścianach północnej i południowej tejże kaplicy dwojaki układ kamieni, dołem kamienie dzikie i bezładne, górą foremniejsze i obrobione. Może to być wskazówką, że kaplica miała pod sobą grobowce a więc kryptę sklepioną, a tylko w górnej kondygnacji służyła do nabożeństw.

Rekonstrukcja kaplicy, jak ją Wojciechowski przeprowadził dała w rezultacie budynek 4 boczny, na planie niebardzo wydłużonego prostokąta, o rozmiarach 7·40×4·90. Wymieniony autor przypuszczał jeszcze istnienie absydy od wschodu, ale badania w tym kierunku nie dały żadnego rezultatu. Absydy nie było, a kaplica była tylko 4 boczną, podobnie jak kaplica św. Benedykta na górze Lasoty, św. Jerzego w Gnieznie i inne. Jest to forma jedna z najbardziej starych u nas.

Za wysoką starożytnością murów przemawia także wezwanie św. Piotra i Pawła. Był to tytuł rozpowszechniony w kościele wielkomorawskim i pod nim stały tak wczesne kościoły czeskie jak w Wyszehradzie i Budecu i kollegiata w Bernie i rozmaite inne przedromańskie kościoły. Mimo to nie należy przypuszczać jakoby kaplica wawelska sięgała czasów św. Cyryla i Metodego, ale idę za Wojciechowskim, który datuje ją na sam początek XI wieku. Sądzę tylko, że nigdy nie miała charakteru katedry, jak chce wymieniony uczony, ale od początku pomyślana była jako kaplica cmentarna i miejsce wiecznego spoczynku dla biskupów krakowskich. Miejscem takiem bowiem nie mogła być właściwa katedra, jaką była rotunda N. P. Marji, gdyż tam krypty nie było. Tem tłumaczymy, dlaczego właśnie w kaplicy św. Piotra, a nie w katedrze pochowano w 1089 r. zwłoki św. Stanisława i dlaczego później w 1266 w tej samej kaplicy cmentarnej złożono do grobu

[1]) Wojciechowski, Kościół katedr, l. c. 147.

biskupa Prandotę. Należy przyjąć, że i inni biskupi krakowscy tych czasów tutaj pochowani zostali.

Kaplica ta przetrwała w nienaruszonym stanie i pierwotnym wyglądzie do połowy XIII wieku. Posiadała wówczas kryptę pod sobą z grobami biskupiemi, a na górze ołtarz św. Apostołów Piotra i Pawła i nieco z boku na podłodze leżący płaski sarkofag św. Stanisława. Sarkofag obity był złotą blachą i wysadzany drogiemi kamieniami, oraz ozdobiony rzeźbami i napisem, podobnie jak niegdyś sarkofag św. Wojciecha w katedrze gnieźnieńskiej. Sarkofag ten istniał jeszcze za czasów Długosza [1]) i bogactwem swoim wzbudzał powszechny podziw.

Pierwszej przeróbki tej kaplicy dokonał biskup Prandota po r. 1254, t. j. po przeniesieniu kości św. Stanisława do katedry. Przeróbka polegała na podniesieniu czyli nadmurowaniu cegłą starych murów i zasklepieniu ścian kaplicy, oraz na wystawieniu własnego dla siebie grobowca na środku przed ołtarzem. Tak przetrwała kaplica pod nazwą Prandocińskiej do czasów Łokietka i wówczas bez większych zmian weszła w obręb budującej się właśnie gotyckiej katedry. Dopiero 1454 r. podjął nową budowę kardynał Zbigniew Oleśnicki i przy sposobności stawiania nowego pomnika Prandocie przerobił kaplicę w górnej części na gotycką. Wreszcie po raz ostatni przebudowano ją w 1663 r. za czasów Jana Kazimierza, robiąc z niej kaplicę grobową rodziny królewskiej Wazów w barokowym już stylu.

XV. Kościół św. Trójcy w Krakowie.

Z okazji restauracji kościoła i klasztoru OO. Dominikanów w Krakowie zbadano bliżej w 1925 r. refektarz klasztorny, położony nieco na północ od dzisiejszego kościoła, wśród innych zabudowań klasztornych i odkryto w nim niesłychanie interesujące szczegóły, które historję tych murów cofają w głębokie lata średniowiecza.

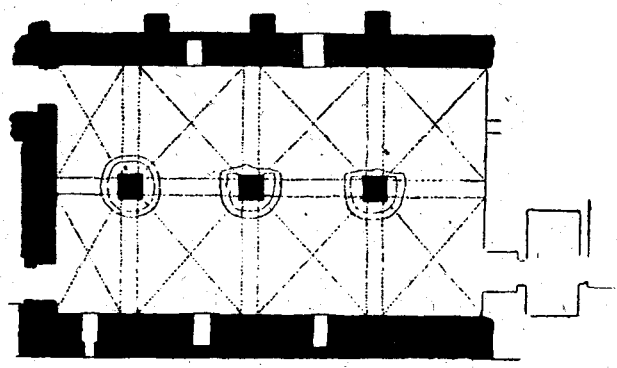
Z badań arch. Hendla i dyr. Kopery [2]) pokazało się po odbiciu tynku, że mury tego refektarza stanowiły swego czasu budowlę przedromańską, są bowiem kamienne, więcej z brył niż z ciosów układane i niedokładnie szychtowane, a zatem podobne,

[1]) Długosz, Liber benef. I. 233.

[2]) Kopera, Średniowieczna architektura kościoła Domin. Rocznik krak. XX. 1926, 58.

jak w kaplicy prandocińskiej czyli Wazów, w jej podziemiach na Wawelu. Mury te tworzą spory prostokąt, wielkości 15·80 × 8·95 m. i są dziś wysokie na 3·82 m., dawniej jednak sięgały co najmniej 5 m. wysokości. W pewnym okresie czasu zrobiono jednak, jak widać, w górze ponad oknami odsadzkę, rozebrano górną część tego muru i postawiono nowy, ale cieńszy, na starym.

Mur strony południowej przytyka bezpośrednio do krużganków klasztornych i ma na stronie zewnętrznej sporo wmurowanych późniejszych pomników renesansowych i barokowych, poza tem ma 3 okna, w środku muru zwężające się do 30 cm., ale u góry widocznie w późniejszym czasie cegłą zasklepione. Z tej



5. Krypta kościoła św. Trójcy w Krakowie, podł. Hendla.
(Rocznik Krakowski XX, str. 154).

samej strony są też i drzwi z resztkami starego portalu, na którym zostały jeszcze ślady płaskorzeźbionej plecionki na kluczu i na łuku. Odpowiedni mu mur strony północnej ma też 3 okna, ale szerokie i zupełnie w późniejszych czasach przerobione. Mury zamykające stronę wschodnią i zachodnią refektarza są cieńsze i jak się zdaje postawione w czasach późniejszych, chociaż z kamieni i ciosów, jakie ze starych murów na miejscu się znalazły.

Pod całym tym refektarzem ciągnie się prawie tych samych rozmiarów krypta wielkości 14·80 × 8·50 m. Różnica rozmiarów z ubikacją górną pochodzi z tej przyczyny, że na górze ściany wschodnia i zachodnia nie są pierwotne, oraz że na dole mury są nieco grubsze. Mają bowiem od południa 1·70 m., a od północy 1·20 do 1·33 grubości. Poza tem od południa i północy posiada krypta 2 okna, a raczej szyje ukośne nazewnątrz idące

i doprowadzające światło do wnętrza. Krypta miała 2 drzwi od strony zachodniej, które prawdopodobnie schodami łączyły się z ubikacją górną. Była też sklepiona na całej przestrzeni, a sklepienie jej opierało się na 3 prostokątnych filarach, w środku stojących. Filary te dzieliły kryptę na 2 nawy, a sklepienie na 8 pól kwadratowych. Niestety dziś sklepienie nie istnieje pierwotne, ciosowe, lecz jest nowsze ceglane, później widocznie w miejsce dawnego wymurowane.

Mury całej budowli, tak kaplicy górnej, jak i krypty są jednolicie stare, postawione z kamieni tylko do lica wygładzonych, czasem nieforemnych, zwykle nieregularnie szychtowanych. Taka dwunawowa krypta nie ma wprawdzie w Polsce analogji, ale również nie można jej zestawiać z kryptą w Jerychowie, gdyż to jest późniejsza ceglana budowla z połowy XII wieku. Natomiast istnieje duże podobieństwo z 2 nawową również kryptą św. Wacława w Starym Bolesławcu pod Pragą, w kościele fundowanym jeszcze w 1045 r. przez Brzetysława I-go. [1])

Tak się przedstawia niedawno odkryty budynek niewątpliwie kościelnego pierwotnie charakteru. Że nie należy on do epoki romańskiej jak to z początku podniesiono, lecz jest od niej wcześniejszy, świadczy fakt, że nie posiada takich form romańskich, jak absydy, wieże, nie ma rozczłonkowania na nawę i prezbiterjum, ma kryptę pod całą swą przestrzenią a nietylko pod jej częścią wreszcie ma mur kamienny surowy i nieszychtowany. Są to wybitne cechy stylowe przedromańskie, które każą nam datować ten zabytek co najmniej na wiek XI.

Rację ma Kopera, kiedy identyfikuje ten dzisiejszy refektarz z prastarym kościołem św. Trójcy, jaki w 1222 r. dostał się w ręce Dominikanów z daru biskupa Iwona Odrowąża. Przed tą datą był kościół ten parafjalnym, jednym z tych niewielu, które od wieków, może od czasów przedpiastowskich, obsiadły wzgórza krakowskie. Należały do nich kościółki P. Marji na Wawelu, św. Michała na Skałce, św. Salwatora na Zwierzyńcu i właśnie św. Trójcy w północnej części podegrodzia. Była to parafja właściwego miasta biskupiego, obejmującego jak wiadomo środek ówczesnego Krakowa. Według Długosza, a za nim Łuszczkiewicza był

[1]) Prokop, Mähren l. c. 131 i Otte, Handbuch d. Kichl. Kunstarch. 1884. II. 122.

on jedyną parafją właściwego Krakowa aż do początków XIII wieku.[1]) Myli się jednak katalog biskupów krakowskich, pisząc, że był to kościół drewniany.[2]) Jak widzimy, był murowany i kamienny, a tylko drewnianym pułapem mógł być nakryty.

Kościół św. Trójcy ma jednak nietylko stare mury ale i legendę, zapisaną u Miechowity, mianowicie, że stoi na miejscu starej pogańskiej świątyni, na kościół chrześcijański zamienionej. Ten sam autor podaje nadto ciekawą wiadomość, że za jego jeszcze czasów a więc w I połowie XVI wieku, przechowywano w kościele Dominikańskim 3 kamienne pogańskie bałwany, naturalnie z gontyny na tem miejscu dawniej istniejącej.[3]) Rozumiemy teraz, dlaczego nowemu kościołowi dano wezwanie św. Trójcy. To samo bowiem mamy i na Łysej Górze, gdzie również w miejsce gontyny poświęconej Swistowi, Poswistowi i Pogodzie, wzniesiono kościółek pod wezwaniem św. Trójcy. Przechowywanie w późne wieki w kościele bałwanów pogańskich na pamiątkę, również nie jest wypadkiem w Krakowie odosobnionym. Coś podobnego widzimy i w Braniborze, gdzie również w kościele N. P. Marji na Harlungu przechowywano do XVI wieku jeszcze posąg Trygława z pierwotnej świątyni.[4]).

Kościół św. Trójcy objęli Dominikanie oficjalnie dnia 23 marca 1222 r. i zaraz potem przystąpili do budowy nowego kościoła, który do dziś dnia istnieje i ogromem swoim wzbudza powszechny podziw. Poświęcenie fundamentów i kamienia węgielnego nowej budowli nastąpiło dnia 12 marca 1223 r. poczem przez długie lata ciągnęła się dalsza budowa.[5]) Tymczasem, dopóki nowa świątynia nie była gotowa, stary kościół służył nietylko do nabożeństw, ale i na cele mieszkalne. Właśnie w pierwszych swoich latach przerobili go Dominikanie w ten sposób, że obniżyli pułap kościoła, przebudowali górne części murów na odsadkę i tam na piętrze niejako zrobili sobie ubikacje mieszkalne czyli dormitorjum, jak to naówczas po katedrach było w zwyczaju. Niestety już w 3 lata potem wskutek uderzenia piorunu uległ budynek poża-

[1]) Łuszczkiewicz w Roczniku krak. II. 25.

[2]) Mon. Pol. Hist. III. 356.

[3]) Łuszczkiewicz w Roczniku krak. II. 14.

[4]) Goecke, Stadt u. Dom Brandenburg, Berlin 1912. 122 i 136.

[5]) Kozłowska w Roczniku krak, XX. 17 mylnie poświęcenie kamienia węg. nazywa poświęceniem kościoła.

rowi. Spaliło się wówczas dormitorjum, prawdopodobnie z pułapem kościelnym razem. Zdaje się, że równocześnie wskutek zapadnięcia się pułapu i pożaru, zapadło się również i zniszczyło sklepienie pierwotne krypty. Gdy potem zabrano się do odrestaurowania, wymurowano już sklepienie ale ceglane, jakie dziś znajdujemy. Z cegły bowiem stawiano wówczas cały klasztor.

Jeszcze później, chociaż data jest nieznana, ale może jeszcze w XIII wieku, kiedy nabożeństwa i ołtarze przeniesiono już do nowego kościoła, przerobiono stary na refektarz klasztorny i obstawiono rozmaitemi zabudowaniami. Wówczas to może przebudowano w nim ściany wschodnią i zachodnią i rozszerzono znacznie okna w ścianie północnej, tak jak je dzisiaj widzimy.

Parafją przestał być ten kościół z chwilą oddania go Dominikanom. Wówczas to, może już w r. 1222, poczęto budować kościół Marjacki i tam odrazu ulokowano parafję. Już w r. 1224 czytamy o plebanie kościoła N. P. Marji w Krakowie, choć nie wiadomo, przy jakimby się kościele narazie ta parafja mieściła. Podobna zresztą sytuacja była i w Wrocławiu [1]), gdzie sprowadzeni przez św. Czesława Dominikanie w 1226 r. otrzymali od biskupa kościółek św. Wojciecha, czyli dotychczasowy parafjalny, a biskup przystąpił równocześnie do budowy nowej fary, jak w Krakowie.

XVI. Kościółek św. Wojciecha w Krakowie.

Maleńki kościółek św. Wojciecha, stojący na rynku krakowskim, należy jak wiadomo do najstarszych zabytków tego miasta. Szczegółowe badania Łuszczkiewicza wykazały, że składał się pierwotnie z 2 części, większego prostokąta, wielkości 7·20×6·40 m. i mniejszego kwadratu, od wschodu doń przybudowanego, wielkości 3·15 m^2. Absyda od północy i prostokątna kaplica od południa to już późniejsze przybudówki. [2])

Kościółek był zatem podobny do takich bardzo starożytnych kościołów, jak św. Andrzeja w Tyńcu, św. Salwatora na Zwierzyńcu, św. Małgorzaty w Zębocinie i innych. [3]) Niewiadomo tylko na jakiej podstawie rysuje Pełeński nieco odmienny plan tego kościółka z 3 wnękami, niby absydami wewnętrznemi i z kopułą nad główną nawą. Plan taki nie wydaje mi się ani pierwotny, ani możliwy.

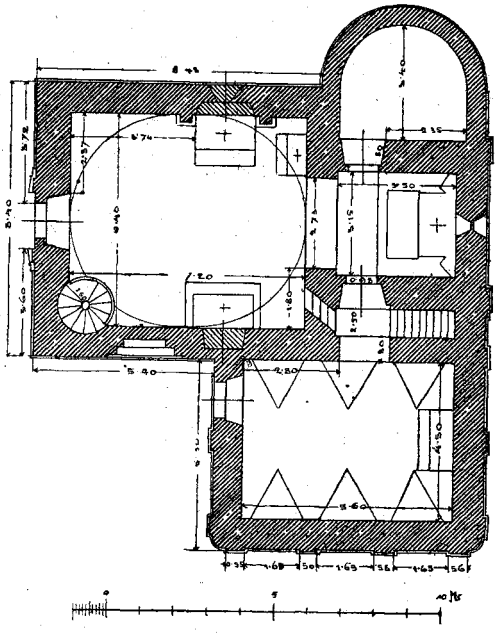
[1]) Landsberger, Breslau 1926. 10.

[2]) Łuszczkiewicz w Roczniku krak. III. (1900) p. 155.

[3]) Sprawozdania kom. hist. szt. VI. 277.

Nawa jest prostokątem a nie kwadratem i dlatego wątpliwem jest czy miała kopułę. Za podstawę przeto dalszych badań bierzemy plan Łuszczkiewicza, a nie inny.

Kościółek św. Wojciecha, dziś zapadnięty mocno w ziemię, stał pierwotnie na wzgórku, a wchodziło się do niego nawet po stopniach. Przy rozkopywaniu bruku znaleziono bowiem w głębo-



6. Kościółek św. Wojciecha w Krakowie, wedł. Łuszczkiewicza. (Rocznik Krakowski III, str. 159).

kości 1·12 m pod dzisiejszą powierzchnią ziemi, próg portalu i stopnie od niego idące w dół aż do pierwotnego bruku, który leżał o 2·25 do 2·65 m niżej od dzisiejszego. Wzgórek wznosił się zatem około $1^1/_2$ m. ponad boczne ulice starożytnego Krakowa.

Mury pierwotne kościółka, grubości 0·90 m., postawione są z drobnych kostek kamienia wapiennego, dosyć regularnie obrobionych, ułożonych w równe szychty i wzmocnionych na węgłach ciosami większych rozmiarów. Układ i dobór kamieni jest bardzo podobny do murów kościoła św. Andrzeja w Krakowie lub do murów pierwotnego kościoła św. Trójcy, a dziś refektarza Dominikanów, ale jak to Łuszczkiewicz zaznacza, jest bardziej prymi-

tywny czyli starszy. O ile więc budowa kościoła św. Andrzeja przypada na sam koniec XI wieku, to budowa kaplicy św. Wojciecha musiała nastąpić w 2 połowie lub w połowie XI wieku najpóźniej. Łuszczkiewicz odnosi ją do czasów Bolesława Śmiałego.[1])

O kościółku tym mówi nam historja bardzo mało, gdyż dopiero w XIII wieku zjawiają się w dokumentach rektorowie tegoż. Natomiast więcej opowiadają o nim legendy. Długosz, a za nim Miechowita piszą, że na miejscu dzisiejszego kościółka był ongiś las, a w okolicy panowało pogaństwo, aż przyszedł św. Wojciech i z tego miejsca począł nauczać i chrzcić ludność, która potem z wdzięczności wybudowała tę kaplicę. Wizytacja z 1584 r. zapisuje nawet, że kościółek stanął jeszcze za czasów pogańskich Krakowa. Legendy te nie znajdują potwierdzenia w historji, która twierdzi, że Kraków już 100 lat przed św. Wojciechem był grodem chrześcijańskim, ale znów nic nie wie o pobycie tegoż świętego w tem mieście. Potkański uważa wprawdzie pobyt św. Wojciecha w Krakowie w 996 r. za możliwy[2]), ale nie za fakt historycznie niezbity. W każdym razie te legendy są dowodem wielkiej starożytności kościoła, który, jak jego wezwanie i mury świadczą, pochodzi z 2 połowy XI wieku z epoki jeszcze panującego stylu przedromańskiego.

Z dalszych dziejów tego kościółka wiemy, że w XVI wieku nawa miała jeszcze pułap drewniany i wogóle wygląd zewnętrzny był jeszcze pierwotny. Dopiero w 1611 nastąpiła jego przebudowa w czasie której dano mu ostatecznie ten wygląd, jaki dzisiaj posiada.[3])

XVII. Kościół św. Benedykta na Lasocie.

Na górze Lasoty pod Krakowem stoi od niepamiętnych czasów mały kościółek św. Benedykta niedaleko kopca Krakusa, tak jak kościół św. Salwatora niedaleko kopca Kościuszki. Kościółka tego niestety nikt nie badał i nikt nie poświęcił mu osobnej dotąd monografji. Z tego powodu nie wiemy nic o jego wymiarach i szczegółach architektonicznych poza tem, że zbudowany jest na podstawie kwadratu czy prostokąta i że mur jego stanowią ciosy kamienne, dziś zatynkowane. Zresztą należy do najmniejszych

[1]) Łuszczkiewicz w Roczniku krak. II. 13 i III. 170.
[2]) Potkański, Kraków przed Piastami p. 151.
[3]) Rocznik krakowski III. 157 i 160.

i najskromniejszych między kościołami Krakowa i okolicy, chociaż ubrany już jest w szatę XVII wieku.

Pruszcz, który klejnotom Krakowa poświęca całe dzieło, nie wspomina o nim ani słowa, mimo, że opisuje kościoły nawet tyniecki i bielański. Ale nawet i Długosz w swojej księdze uposażeń, w miejscu, gdzie mu z porządku wypadało pisać o tym przedmiocie, zostawia puste miejsce i widocznie nie wie co napisać. Jest jasnem, że już za jego czasów, w połowie XV wieku, kościółek poszedł w zapomnienie. Dopiero w innych miejscach jego pism znajdujemy dwie krótkie notatki, raz, że kościółek ten nie ma parafji lecz jedynie prebendę z pewnemi dochodami, a patronat nad nim należy częściowo do kościoła św. Krzyża w Krakowie, powtóre, że grunta pod górą Lasoty należały niegdyś do kollegiaty S. Michała na Wawelu. O powstaniu fundacji nie mówi ani słowa.[1]) Jeszcze na innem miejscu podaje, że kościółek ten i cała góra była niegdyś własnością klasztoru Norbertanek na Zwierzyńcu, ale potem nie wiadomo w jaki sposób przeszła w posiadanie miasta Krakowa, które tu kamieniołomy użytkuje.[2])

Z powyższych notatek wynika, że za czasów Długosza góra Lasoty należała do miasta, a prawo patronatu nad kościołem do parafji św. Krzyża, ale wynika też, że przedtem była góra własnością klasztoru zwierzynieckiego, a jeszcze dawniej kościoła św. Michała na Wawelu. Przyjąć też należy, że gdy stawiano tu kościółek, była góra Lasoty własnością Benedyktynów, inaczej kapliczka pod innem stanęłaby wezwaniem. W Polsce nadzwyczaj mało mamy kościołów z tytułem św. Benedykta: w Modliborzycach, Sieciechowie, Staniątkach i Lignicy, wszystkie w ręku klasztorów tego Świętego.

Modliborzyce były własnością kościoła Stokrzyskiego na Łysej Górze, Sieciechów sam był siedzibą klasztoru Benedyktynów, Staniątki Benedyktynek. Kaplica zaś św. Benedykta w Lignicy, wymieniona w 1149 r., należała jak przypuszcza Potkański[3]) do opactwa św. Marcina w Wrocławiu. Było zatem regułą, że kaplice i kościoły stawiane pod wezwaniem św. Benedykta nie do kogo innego, lecz do Benedyktynów należały.

Wobec powyższego kaplica św. Benedykta na Lasocie nie

[1]) Długosz, Liber benef. I. 26, II. 43. III. 544.
[2]) Długosz, Liber benef. III. 70.
[3]) Potkański, Opactwo na łęcz. grodzie p. 97.

mogła powstać w czasie, gdy należała do kościoła św. Krzyża w Krakowie, lub do klasztoru Norbertanek na Zwierzyńcu, ale jeszcze dawniej, przed połową XII wieku, gdy była w ręku kollegiaty św. Michała na Wawelu i gdy ta kollegiata rządzona była przez Benedyktynów. Stać się to mogło przed przeniesieniem Benedyktynów z Wawelu do Tyńca, czyli przed połową XI wieku, w czasie, kiedy zakon ten był rządzącym, a może jedynym klerem na Wawelu, czyli najprawdopodobniej w czasach owego arcybiskupa Arona. Przedtem bowiem rządzili tu, jak przypuszczam, Benedyktyni słowiańscy, a kościółek przez nich stawiany miałby inne wezwanie np. św. Salwatora, św. Klemensa i t. p. Podobnie jak kaplica św. Benedykta w Lignicy była własnością opactwa św. Marcina w Wrocławiu, tak samo należy przyjąć, że i kaplica św. Benedykta na Lasocie była przez jakiś czas własnością opactwa tynieckiego, zanim przeszła na własność klasztoru zwierzynieckiego.

Wobec powyższego należy uznać tę kaplicę za fundację z połowy XI wieku, może z czasów Kazimierza Odnowiciela i arcyb. Arona, która była prawdopodobnie pustelnią czyli eremem dla Benedyktynów wawelskich, zanim w Tyńcu lepsze znaleźli schronienie.

XVIII. Kościół św. Andrzeja w Tyńcu.

Starożytna osada Tyniec nad Wisłą w okolicy Krakowa miała 2 u siebie kościoły: jeden klasztorny na górze zamkowej i drugi parafjalny na cmentarzu pod zamkiem. Pierwszy miał wezwanie św. Piotra i Pawła, był jak się zdaje początkowo drewniany i dopiero w XII lub XIII wieku z ciosów został wzniesiony.[1]) Drugi natomiast miał wezwanie św. Andrzeja i bardzo starą tradycję, która architekturę jego pierwotną przenosi w przedromańskie jeszcze czasy.

Mury tego kościoła, dziś już nieistniejącego zachowały się jeszcze do czasów Długosza, który zaświadcza, że mają styl starożytny (opere vetusto) i że jest do nich przywiązana legenda o Piotrze Właście ze Skrzynna jako o fundatorze.[2]) A zatem Długosz, architekturę kościelną rozróżniał znakomicie, widział w tym kościele zabytek epoki przedromańskiej, należący do tych

[1]) Tomkowicz, Tyniec, Kraków 1901. 26. — Łuszczkiewicz, Zabytki p. archit. 1866.

[2]) Długosz, Liber benef. II. 122 i III. 182.

kościołów, których budowę określał słowami: starodawna, pierwotna lub grecka (opere vetusto, prisco, graeco), jak kościoły na Skałce, Wiślicy, Łysej Górze etc. Aby zaś jeszcze bardziej podkreślić starożytność budowy, dodał do tego legendę o Piotrze Właście, który w ustach ludu był fundatorem prawie wszystkich najstarszych kościołów polskich.

Długosz podaje poza tem jeszcze jeden szczegół budowlany mianowicie, że kościół św. Andrzeja wystawiony był z kamienia białego (petra alba), co może być równoznaczne z kamieniem surowym i nieociosanym. Według tegoż samego autora, kościół tu opisywany jest starszy od samego klasztoru tynieckiego, gdyż istniał już przed fundacją klasztorną i podarowany został Benedyktynom z chwilą osadzenia ich w Tyńcu. Długosz twierdzi, że stało się to w 1044 r. za czasów Kazimierza Odnowiciela, który miał być fundatorem klasztoru, a to zdanie przyjmuje również i Potkański i Tomkowicz [1]) w nowszych swych opracowaniach. Natomiast Wojciechowski w swoich badaniach stwierdza [2]), że to Bolesław Śmiały jest fundatorem Tyńca, chociaż zgadza się zresztą z wywodami Potkańskiego, że w Krakowie, na Wawelu mogli siedzieć Benedyktyni już od czasów Bolesława Chrobrego. Mogli siedzieć mianowicie przy kollegiacie św. Michała tak, jak siedzieli przy kościele św. Marcina w Wrocławiu i w Czerwińsku koło Płocka. Przeniesienie ich z Wawelu do Tyńca i oddanie im kościoła św. Andrzeja, musiało nastąpić wedle Wojciechowskiego w 1076 lub 1077 r. już po koronacji Bolesława.

Wobec powyższego kościółek św. Andrzeja w Tyńcu musi pochodzić z czasu przed 1076, a więc z głębi przedromańskiej epoki. Kto był jego fundatorem, niewiadomo, ale sądząc z wezwania, założycielami jego byli prawdopodobnie Toporczycy Starzowie, których drugą, a nieco późniejszą fundacją jest kościółek także św. Andrzeja w Krakowie, w romańskim już zbudowany stylu. [3]) Również nie znamy dalszych jego dziejów. Możliwe, że ucierpiał coś w czasie walk Konrada Mazowieckiego z Bolesławem Wstydliwym, zwłaszcza, że Konrad inkastelował klasztor tyniecki, ale mimo to utracił go w 1246 r. na rzecz Bolesława. Jeszcze przed czasami Długosza utracił on charakter kościoła parafjalnego,

[1]) Potkański, Opactwo na łęcz. grodzie p. 42 — Tomkowicz l. c. 44.
[2]) Wojciechowski. Szkice histor. 1925, 119.
[3]) Gumowski, Najstarsze bazyliki romańskie, 1927. Przegl. powsz. 145.

gdyż Benedyktyni wystarali się o to, by niewygodną im parafję przeniesiono z Tyńca do Skawiny. Odtąd kościółek św. Andrzeja był tylko kaplicą cmentarną we wsi.

Kościółek tyniecki istniał aż do 1835 r., w którym to roku zniesiono go i rozebrano zupełnie. Przedtem jednak, w ostatnich latach jego istnienia zrobił ktoś z niego i z Tyńca rysunek i przesłał do Przyjaciela ludu w Lesznie, gdzie w 1836 r. został reprodukowany. Na widoczku tym wygląda kościółek jako budowla prostokątna, bez wieży, z absydą czy też z prezbiterjum od wschodu. Niewiadomo, skąd miał plany prof. Łuszczkiewicz, bo ten, publikując ruiny tynieckie, rysuje również plan tego kościoła św. Andrzeja, stojącego na cmentarzu pod górą klasztorną. Plan przedstawia się jako prostokątna nawa, z małem kwadratowem prezbiterjum od wschodu i z przybudówkami późniejszemi po bokach. [1]) Był zatem podobny w planie do innych bardzo starożytnych kościołów, jak św. Wojciecha w Krakowie, św. Salwatora na Zwierzyńcu, św. Małgorzaty w Zębocinie etc., czyli był zabytkiem przedromańskiej epoki i przedromańskiej architektury.

[1]) Łuszczkiewicz, Zabytki dawnego budownictwa. Kraków 1866.

(Dokończenie nastąpi).

Dr. Marjan Gumowski.

Przegląd piśmiennictwa.

Friedrich Ueberwegs: Grundriss der Geschichte der Philosophie. Berlin, Mittler. 1928. II Teil: Die patristische und scholastische Philosophie, 11 Auflage neubearbeitete von Dr. B. Geyer, str. 826; V. Teil: Die Philosophie des Auslandes, 12 Aufl. herausg. von Dr. T. K. Oesterreich, str. 431.

Poważne tomy klasycznego podręcznika do historji filozofji, podręcznika najgruntowniejszego, cieszącego się wszechświatową sławą, ukazują się jeden po drugim w coraz to nowem wydaniu. Tom pierwszy, zawierający dzieje filozofji starożytnej, wydano w nowem opracowaniu Karola Praechtera w r. 1926. Tom trzeci, opowiadający dzieje filozofji nowożytnej aż do końca XVIII w., opracowany przez M. Frischeisen-Köhlera i Willy Mooga, wydano w r. 1924. Tom czwarty w opracowaniu T. K. Oesterreicha, zawierający dalszy ciąg dziejów filozofji nowożytnej, przedewszystkiem niemieckiej XIX w., miano już w rękach także w 1924 r. Bardzo dobre opracowanie dziejów filozofji patrystycznej i scholastycznej, różniące się ogromnie i rzeczowo i objętościowo od poprzednich wydań II tomu Ueberwega, dał już w r. 1915 Ks. Maciej Baumgartner, profesor uniwersytetu wrocławskiego. Ale od r. 1915 wzrosło niezmiernie zainteresowanie się filozofją średniowieczną, a badania najnowsze na tem polu domagały się nowego uwzględnienia. Sam Ks. Baumgartner, nie czując się z powodu choroby na siłach, uprosił B. Geyera, prof. z Bonn, by się podjął nowego opracowania drugiego tomu Ueberwega. Wywiązał się z tego zadania bardzo chlubnie, uwzględnił wyniki najświeższych badań Denifle'a, Ehrlego, Baeumkera, Grabmanna, de Wulfa a także naszych Ks. K. Michalskiego i Dra Birkenmajera i dał profesorom książkę o najwyższym poziomie naukowym.

Najdłużej trzeba było czekać na piąty tom, który miał zawierać historję filozofji XIX w. innych narodów, poza niemieckim. Poproszono do współpracy wybitnych profesorów w każdym narodzie i w ten sposób otrzymano pracę zbiorową a kompetentną i niezmiernie pożyteczną dla zorjentowania się we współczesnych prądach filozoficznych wszystkich kulturalnych narodów. Filozofję

francuską, opracowaną w poprzedniem wydaniu przez P. Janeta, uzupełnili i przerobili: prof. Ruyssen z Bordeaux, Leclère z Berna, Parodi z Paryża. Filozofję angielską opracował prof. G. Dawes Hicks z Londynu. Filozofję włoską b. minister O. P. w Rzymie, senator Credaro. Filozofję szwedzką przejrzeli prof. Liljeqvist i Nilsson z Lundu. Fińską (dwie strony) prof. Grotenfelt z Helsingforsu. Duńską prof. Aall z Oslo. Norweską ten sam. Holenderską, opracowaną przez prof. van der Wycka, przejrzał i sprostował prof. Ovink z Utrechtu. Czeską podał Dr. F. Pelikán z Pragi. Polską prof. Lutosławski z Wilna przy współpracy Ks. Puciaty z Wilna. Rosyjską, pióra J. Kołubowskiego, opracował sam wydawca. Węgierską prof. Rácz z Sarospatak. Hiszpańską (słabo) prof. Lindsay ze Szkocji (ciekawe, że nie jaki Hiszpan). Nowogrecką prof. Boreas z Aten. Północno-amerykańską prof. G. Croft Cell z Bostonu.

Jest to wielce pocieszające, że prof. Lutosławskiemu po niemałej korespondencji udało się uzyskać u wydawców aż 36 stron na filozofję polską, podczas gdy inne narody, poza francuskim, angielskim i amerykańskim, uzyskały najwyżej po 10 do 20 stron. Już to samo jest naszem powodzeniem na terenie międzynarodowym. Jest to też pierwsze najnowsze opracowanie całokształtu współczesnej filozofji polskiej, najlepsze chyba po szkicu prof. Straszewskiego, zamieszczonym w wydawnictwie: Polska w kulturze powszechnej, część I, str. 189—241. Szkic ten jednak obejmuje całość dziejów filozoficznej myśli polskiej, podczas gdy opracowanie prof. Lutosławskiego w najnowszym Ueberwegu podaje tylko wiek XIX. Pozostajemy zatem i nadal bez zwięzłego a i uczniom dostępnego opracowania historji filozofji w Polsce. W każdym razie należy się wdzięczność prof. Lutosławskiemu zato, czego dokonał dla Polski na terenie filozoficznym międzynarodowym oraz za ułatwienie młodemu pokoleniu zapoznania się przynajmniej z imionami i ogólnemi zapatrywaniami pracowników współczesnych na polskiej niwie filozoficznej.

Ks. Fr. Kwiatkowski.

Dr. A. Stöckl i Dr. J. Weingärtner: Historja filozofji w zarysie. Przekład polski opracował Ks. Franciszek Kwiatkowski T. J. Wydanie drugie, przejrzane i uzupełnione. Str. 518. Kraków, Nakładem Wydawnictwa Księży Jezuitów.

Pierwsze wydanie polskiego przekładu historji filozofji Stöckla z r. 1927 rozeszło się w paru miesiącach, a rozeszło się nietylko dlatego, że brak nam wogóle podręczników do historji filozofji, a potrzebują ich koniecznie i słuchacze uniwersytetów i alumni seminarjów duchownych i nauczycielstwo, i ostatecznie każdy inteligent, ale i dla wewnętrznych wartości tego podręcznika. Jest on ujęty zwięźle a gruntownie, doprowadza aż do najnowszych

czasów, podkreśla wartość filozofji patrystycznej, średniowiecznej i neoscholastycznej, a kto ma Ueberwega, znajdzie w Stöcklu wspaniałe jego streszczenie i to w pięknym języku polskim, co jest niemałą zasługą tłumacza. W wydaniu obecnem dodano do imiennego Skorowidz rzeczowy i wprowadzono niektóre uzupełnienia. Nie załączono jednak jeszcze szkicu z historji filozofji w Polsce, coby niewątpliwie podniosło wartość tego cennego podręcznika. Pod względem wydawniczym podnieść wypada zastosowanie różnego rodzaju druku, co pozwala łatwo odróżnić rzeczy ważniejsze od mniej ważnych oraz orjentować się w całości. To też i temu wydaniu należy życzyć nie mniejszego jak poprzedniemu powodzenia. *F. S.*

J. Chaine: L'Epitre de Saint Jacques. Paryż, J. Gabalda, 1927. 8°, str. CXII+149.

Bardenhewer, Dr. Otto: Der Brief des Heiligen Jakobus. Übersetzt und erklärt. Fryburg, Herder, 1928. 8°, str. VIII+160.

Do cennych „Études Bibliques", wydawanych pod kierunkiem zasłużonego dla biblistyki Ojca Lagrange'a O. P., przybyła dobra praca nad listem św. Jakóba. W obszernym wstępie znajdujemy omówioną gruntownie sprawę kanoniczności i autentyczności listu, okoliczności powstania, język i styl. Jakkolwiek u pisarzy chrześcijańskich przed Oryginesem brak jest wyraźnej wzmianki o liście św. Jakóba, to jednak wiele napotykamy pojęć i wyrażeń mu pokrewnych, a wpływ Jakóba na Klemensa Rzymskiego jest bardzo prawdopodobny.

Począwszy od III wieku tradycja prawie zgodnie przypisuje autorstwo listu znanemu nam z Dziejów Apost. (12, 17; 15, 13; 21, 18) i z listów św. Pawła (1 Kor. 15, 7; Gal. 1, 19; 2, 9, 12) Jakóbowi, pierwszemu biskupowi Jerozolimskiemu. Był on krewnym Chrystusa Pana. Czy należał do grona „Dwunastu" i czy trzeba go utożsamić z Jakóbem, synem Alfeusza? Pod tym względem świadectwa tradycji są mniej jasne, a poniekąd nawet rozbieżne: Kościół zachodni obchodzi uroczystość św. Jakóba, syna Alfeusza i biskupa Jerozolimskiego 1 maja; nadto Sobór Trydencki mianuje Autora naszego listu „Apostołem". Kościół grecki obchodzi święto Jakóba, Apostoła, syna Alfeusza, 9 października, a święto Jakóba, biskupa Jerozolimskiego, 25 października. Chaine sądzi, że św. Jakób, brat Pański, pierwszy biskup Jerozolimski i św. Jakób Apostoł, syn Alfeusza, to najprawdopodobniej jedna i ta sama osoba. Opowiadanie Hegesyppa o życiu i okolicznościach męczeństwa Jakóba uważa Autor za legendę wytworzoną przez Ebjonitów, w której mogą być przechowane pewne rysy prawdziwe.

Św. Jakób znał dobrze Stary Testament, lecz rzadko przytacza go dosłownie. Z Now. Test. znał pisma św. Pawła, a przy-

najmniej czytał list do Rzymian i do Galatów. Jakób prawdopodobnie wiedział, że wielu chrześcijan błędnie rozumiało naukę Pawła o usprawiedliwieniu przez wiarę. Aby wątpliwości rozprószyć, podjął on ten sam temat o wierze i uczynkach, lecz opracował go pod innym kątem widzenia. Dlatego niema żadnej sprzeczności między nauką św. Pawła (Rz. 3, 28; Gal. 4, 2), a św. Jakóba (2, 21. 24). Św. Paweł mówi o usprawiedliwieniu, czyli o przejściu z grzechu do stanu łaski, św. Jakób ma na myśli postęp w sprawiedliwości już nabytej.

Przyjąwszy zależność Jakóba od Pawła, Chaine umieszcza powstanie listu w czasie od r. 57 do 62.

W samym komentarzu Autor posługuje się metodą filologiczną i porównawczą, wskazaną przez poprzednie dzieła „Studjów Biblijnych". Choć tego nie zaznacza, korzysta obficie z materjału nagromadzonego w komentarzach Mayor'a i Ropes'a. Nowością w objaśnieniach Chaine'a jest to, że uwzględnia literaturę pogańską i wskazuje na podobieństwa między nauką św. Jakóba a zasadami mędrców egipskich, greckich i rzymskich, np. co do ostrożności w mówieniu (Jak. 3, 2), co do opieki nad sierotami i wdowami (1, 27) i t. p. Słusznie jednak autor zauważa, że podobieństwa te nie powinny nikogo dziwić, gdyż natura ludzka jest zawsze ta sama, a z danych rozumu można wyciągnąć te same wnioski. Jest więc rzeczą zrozumiałą, że moraliści pogańscy schodzą się niekiedy z moralistami natchnionymi. Zarówno w pogaństwie jak w chrześcijaństwie będzie uczynkiem miłosiernym nakarmić głodnego, przyodziać nagiego.

Bardenhewer był z zawodu egzegetą i egzegezy nie wyrzekł się nawet wówczas, kiedy oddał się badaniom na polu piśmiennictwa starochrześcijańskiego. W r. 1926 wydał on, zaopatrzony krótkiemi objaśnieniami, przekład listu do Rzymian, obecnie ukazał się jego obszerniejszy komentarz listu św. Jakóba.

W krótkim, lecz przejrzystym wstępie (str. 1—23) podaje Autor wyniki swych badań w zawiłej kwestji układu listu, jego autora i adresatów, mówi o czasie powstania i dziejach. Zgodnie z tradycją przypisuje list św. Jakóbowi, pierwszemu biskupowi Jerozolimskiemu. Ów Jakób, brat (krewny) Pański, uważany narówni z Piotrem i Janem za „filar" Kościoła (Gal. 2, 9), odgrywał wybitną rolę w pierwotnej Gminie, a dla wielkiego umartwienia i nadzwyczajnej świętości życia cieszyć się miał dużem wzięciem także wśród żydów. Umarł ukamienowany przez swych współziomków około r. 62. Jemu też najlepiej odpowiadają rysy autora, przebijające z samego listu. Nie należał on — sądzi Bardenhewer — do grona „Dwunastu", nie można go też utożsamiać z Jakóbem, synem Alfeusza. Św. Paweł (1 Kor. 9, 5) i Dzieje (1, 14) wyraźnie rozróżniają Apostołów i „braci Pana". Za charakterem apostolskim Jakóba zdaje się przemawiać Gal. 1, 19: „A inszego z Apostołów żadnegom nie widział; jedno Jakóba brata Pań-

skiego". Można jednak tekst ten rozumieć tak, że św. Paweł z pośród Apostołów widział tylko Piotra, a nadto widział Jakóba, brata Pańskiego.

Inną dużą trudność sprawia krytykom układ i forma listu. Już Luter narzekał, że w liście tym „słomianym", jak go nazwał, „niema żadnego porządku, ani metody". W najnowszych czasach Dibelius posuwa się jeszcze dalej i twierdzi, że poza tą lub ową małą grupką wierszy list składa się z powiedzeń, wcale ze sobą niepowiązanych myślowo i logicznie, lecz tylko zewnętrznie i sztucznie, np. przez jakieś słowo, które zachodzi w jednym i drugim wierszu. Przeciwnie, inni krytycy (Cladder, Belser) potrafią wskazać w liście „ściśle jednolity, nader artystycznie ułożony bieg myśli". Bardenhewer obiera drogę pośrednią. Według niego pismo św. Jakóba nie jest systematycznym traktatem o obowiązkach chrześcijańskich. Jest to rzeczywisty, na konkretne warunki obliczony, list. Piszący ma tu praktyczny cel na oku: chce zaradzić obecnym niedomaganiom a zapobiec przyszłym. Normą w doborze i układzie materjału są dla niego potrzeby czytelników.

Kto są ci czytelnicy, owe „dwanaście pokoleń, które są w rozproszeniu?" Określenie to nie oznacza, rzecz oczywista, żydów, lecz chrześcijan (por. 1, 2. 18; 2, 7). Lecz nie jest ono-li tylko przenośnią, oznaczającą wszystkich chrześcijan na ziemi. Jakób byłby to wyraźnie zaznaczył. A zatem list skierowany był do chrześcijan, pochodzących z żydów, a zamieszkujących prawdopodobnie Celesyrję.

Zaznacza autor, że przypuszczenie zależności Jakóba od Pawła opiera się na kruchych podstawach. Szczegółowe objaśnienie tekstu może bez trudności wykazać, że Jakób pisze bez względu na Pawła, lecz w zupełnej z nim zgodzie. Naszem zdaniem pogląd ten jest słuszny. Gdyby bowiem św. Jakóbowi chodziło o sprostowanie błędnego rozumienia nauki Pawła przez wiernych, jak chce Chaine, byłby to w jakiś sposób uwydatnił. Przyjmując zależność Jakóba od Pawła trzebaby raczej przyznać, że nietylko błędnego rozumienia nie rozproszył, ale je powiększył. Czas napisania listu podaje B. na lata 40—50. Byłby to zatem najstarszy zabytek literatury nowozakonnej.

Przekład i komentarz listu oparł B. na tekście greckim. „Objaśnienia chrześcijańskiej starożytności, czyto do całego listu, czy do poszczególnych miejsc uwzględnione są w większym zakresie, niż to dziś w zwyczaju". Z nowoczesnych autorów spotykamy w objaśnieniach najczęściej nazwisko Belsera (katolik) i Dibeliusa (protestant). Z omówionego przez nas dzieła Chaine'a nie mógł jeszcze B. korzystać. Różni się od niego tem, że nie zaniedbując strony filologicznej, szczególną uwagę zwraca na ciągłość myśli i zawartość naukową listu. Te dwa komentarze, opracowane niezależnie od siebie, bardzo dobrze wzajemnie się uzupełniają. *Ks. Walenty Prokulski.*

Dr. Karl Künstle: Ikonographie der christlichen Kunst. I. Band Prinzipienlehre, Hilfsmotive, Offenbarungstatsachen, mit 388 Bildern. S. 670. Freiburg im Breisgau, Herder.

Św. Stanisław Kostka. Album ikonograficzne, 115 tablic rotograwiurowanych, wykonanych w Zakładach Graficznych św. Wojciecha w Poznaniu. Nakładem Ks. Jezuitów w Warszawie.

O drugim tomie znakomitego dzieła Künstlego, zawierającym ikonografję świętych, pisaliśmy już na tem miejscu. Przez wydanie tomu pierwszego, obejmującego studjum ogólne o ikonografji i ikonogafję Objawienia, otrzymujemy całość dzieła o pierwszorzędnej wartości naukowej. Obecnie posiadamy już dzięki Künstlemu nową, uwzględniającą ostatnie zdobycze nauki ikonografję sztuki chrześcijańskiej. Książka dzieli się na trzy części. Pierwsza część (stron 116) przedstawia zasady ikonografji chrześcijańskiej, a więc jej pojęcie, zakres, historję od pierwszych początków po czasy baroku, na których skończyła się właściwie sztuka kościelna, a wreszcie oryginalną autora hipotezę o głównem źródle ikonografji chrześcijańskiej, za które uważa przedewszystkiem liturgję kościelną. Część druga omawia ikonografję pomocniczych motywów ikonografji. Przez te pomocnicze motywy autor rozumie symbolikę zwierzęcą, dydaktyczne motywy cnót i wad, przykazania, 7 grzechów głównych, uczynki miłosierdzia, wreszcie życie ludzkie i śmierć (tańce śmierci). Część trzecia i ostatnia daje przegląd szczegółowy ikonografji Starego i Nowego Testamentu, razem z ikonografją życia Matki Najśw.

Bardzo już szczegółowy fragment ikonografji świętych przynosi nam druga wymieniona książka. Jest to zupełna ikonografja naszego św. Stanisława Kostki. Myśl jej wydania zrodziła się w roku jego jubileuszu. Zbieranie materjału fotograficznego po całej niemal Europie i druk albumu przeciągnął się prawie dwa lata. Opóźnienie to w niczem nie ujmuje wartości *Albumu;* pozostanie on wspaniałą pamiątką jubileuszu i rzetelną przysługą dla tak ubogiej polskiej hagjografji. W albumie zebrano i przedstawiono wszystko, co zasługiwało na uwagę, tak pod względem artystycznym jak i ikonograficznym; pominięto tylko nowoczesną tandetę i liczne repliki. Całość jest bardzo wymownym i żywym dowodem wielkości czci, jaką poprzez wieki otaczano św. Stanisława. Teraz byłoby rzeczą bardzo wskazaną i pożyteczną, by znalazł się ktoś i na podstawie obfitego materjału, zebranego na kartach *Albumu,* opracował studjum ikonograficzne o św. Stanisławie. Strona techniczna przedstawia się doskonale, przez co *Album,* nie przestając być dziełem pożytecznem, jest równocześnie i dziełem pięknem, i dlatego powinien znaleźć licznych nabywców.

Ks. St. Bednarski.

August Iwański: Pamiętniki. 1832—1876. Staraniem synów Autora wydał i przedmową poprzedził A. Czartkowski. Warszawa, 1928. Nakł. i czcionkami Pomorskiej Drukarni Rolniczej w Toruniu, str. 260.

Z Güntherów Gabriela Puzynina: W Wilnie i w dworach wileńskich: 1815—1843. Pamiętnik — wydali A. Czartkowski i H. Mościcki. Wilno 1928. Nakł. i drukiem J. Zawadzkiego. str. 390.

Niestrudzeni wydawcy pamiętników; Czartkowski i Mościcki obdarzyli nas znowu dwoma tomami wspomnień z wieku 19-go, Pierwszy tom przynosi pamiętnik Augusta Iwańskiego, obejmujący lata od 1832 do 1876, a więc najboleśniejszy okres martorologji polskiej pod zaborem rosyjskim. Autor pamiętników, Iwański, postać niezmiernie szlachetna i bardzo zasłużona dla sprawy ojczystej, jest jednak mało znanym, a może nawet i zapomnianym. Kresowiec, obywatel, wielki miłośnik muzyki, a nawet w ciężkich czasach życia jej nauczyciel, przyjaciel czy towarzysz prac takich ludzi jak Moniuszko (jego mistrz), Korzon, Jabłonowski, Karłowicz, Zienkowicz i inni, miał obok wielu zalet jedną największą, że był człowiekiem skromnym i nie lubił rozgłosu. Stąd to tak mało wie o nim przeciętny Polak, a przecież Iwański finansował wydanie dzieł Korzona, A. Jabłonowskiego, on łożył przez szereg lat na cele oświaty polskiej na Śląsku i na Kresach, na polskie seminarjum nauczycielskie w Ursynowie, on jest twórcą znanej każdemu krakowskiemu dziecku kolonji wakacyjnej w Porębie Wielkiej, on wreszcie ofiarą 120.000 koron założył w r. 1914 fundację swego imienia przy Akademji Umiejętności; dochody z tego kapitału mają być przeznaczane jako nagrody za wykłady z historji Rusi na Uniw. Jag. i za prace historyczne z zakresu historji ziem ruskich, względnie jako pomoc na podróże w tym celu podjęte. Autobiografję tego właśnie zasłużonego obywatela przynosi nam Pamiętnik, bogaty w liczne szczegóły, odnoszące się do stosunków i życia ludzi współczesnych Iwańskiemu. Po pierwszych rozdziałach, mniej może interesujących z powodu przeładowania drobnemi szczegółami genealogicznemi i familijnemi, następują z chwilą wyjazdu autora zagranicę a potem zesłania na Sybir rozdziały o szerokim już widnokręgu.

Nieco wcześniejszy okres obejmują pamiętniki G. Puzyniny. Gdy terenem pierwszych są południowe kresy i Sybir, te opowiadają nam prawie wyłącznie o Wileńszczyźnie; od czasu do czasu tylko puszczamy się z Autorką dalej w świat, do Warszawy i zagranicę. Czas o którym opowiada, lata od r. 1815 do 1843, to czas najbujniejszego życia narodowego i kulturalnego na Litwie. Któż bowiem nie wie, jak przebogatą treść zawierają w sobie te dwie suche cyfry? Te to wielkie, jedyne lata uwiecznił w swych mistrzowskich znanych już czytelnikom *Przeglądu Pow.* pamiętnikach Dr. Morawski, o nich także, opowiada współczesna Morawskiemu Puzynina. Nie dorównywują wprawdzie jej wspomnienia pamiętnikowi Morawskiego ani barwnością opowia-

dania, ani mistrzowstwem charakterystyk i humorem, złotym humorem staropolskim, zato przewyższają je lekkością i literackością stylu. Gabrjela z Güntherów Puzynina, pochodząca z najwyższej arystokracji litewskiej, skoligacona z najwybitniejszemi rodami, obdarzona dużą inteligencją, talentem literackim, zmysłem spostrzegawczym, a dobrem sercem, stanowi szlachetny typ kobiety i Polki. Te jej zalety odbiły się bardzo wybitnie na pamiętniku, a ponieważ Opatrzność dała jej żyć w czasach i na ziemi tak płodnej w wielkich ludzi i w wielkie czyny, więc nic dziwnego, iż potomności zostawiła dzieło pamiętnikarskie o wielkiej wartości. A wartość ta tem większa, że pamiętnik pisany bez myśli o druku, „sobie tylko i Muzom," odznacza się szczerością i bezpośredniością wrażeń i uczuć. Autorka oprócz wspomnień, jako ilustrację do nich, zgromadziła niezmiernie cenny, interesujący i bogaty zbiór rysunków, portretów, sztychów, fotografij. Należało wydać pamiętnik razem z tym zbiorem rycin, niestety brak funduszów i ograniczenia, jakie postawił nakładca, zmusiły wydawców do bardzo tylko skromnego wyboru. Może jednak kiedyś danem nam będzie oglądać ten cały zbiór w pięknem, bibljofilskiem wydaniu, pewną bowiem nadzieję robią nam wydawcy we wstępie do pamiętników. Zanim to jednak nastąpi, pierwej doczekamy się wydania drugiego tomu wspomnień Puzyniny, obejmującego lata 1844 do 1869.

Ks. St. Bednarski.

Mieczysław Gołąb: Akademickie sodalicje marjańskie w Polsce. Rys historyczny ruchu i jego rola w życiu akademickiem. Lwów 1928, str. 254, in 8°.

O książce tej trzeba powiedzieć dwie przedewszystkiem rzeczy, najpierw, że jest bardzo pożyteczna, a powtóre, że powinna znaleźć u nas przynajmniej kilkunastu naśladowców.

Katolicyzm polski w obecnej dobie, mimo licznych braków, których sobie dobrze świadomi jesteśmy, dąży jednak niezaprzeczenie ku udoskonaleniu. Czyni to podwójną drogą, drogą organizacji i drogą pogłębienia treści katolickiej w duszach. Istotnie, jesteśmy świadkami, jak sieć stowarzyszeń z wyraźnym światopoglądem katolickim staje się coraz to gęstsza. Mnóstwo jest jeszcze do zrobienia, ale nie da się zaprzeczyć, że bardzo wiele już się robi. Żeby jednak ta praca organizacyjna była planowa, żeby jedne stowarzyszenia nie wchodziły bezpotrzebnie na pole działania drugich, potrzebną jest wzajemna znajomość. Otóż bardzo pożytecznym ku temu środkiem są monografje o poszczególnych stowarzyszeniach, które mają już za sobą pewien okres działalności i rozwoju.

Taką właśnie monografję o jednem ze stowarzyszeń katolickich w Polsce daje nam M. Gołąb w swej książce: „Akademickie

sodalicje marjańskie w Polsce". Z szerokiego już ruchu sodalicyjnego wybrał za przedmiot swojego studjum historycznego sodalicje żyjące i działające w ośrodkach uniwersyteckich. Zadanie swoje w ten sposób przeprowadza, że podawszy na czele „deklarację programową sodalicji marjańskiej akademików w Polsce", kreśli następnie historję poszczególnych sodalicyj. Przesuwa się więc przed wzrokiem czytelnika sympatyczna, ale początkująca i borykająca się o tak elementarne czynniki, jak moderator i lokal sodalicja w Gdańsku; po niej idzie poważna wiekiem i działalnością, obecnie najliczniejsza, sodalicja akademików w Krakowie, z tak wybitnymi a zwłaszcza długoletnimi moderatorami, jak OO. Morawski, Bratkowski i obecny O. Moskała. Dzięki śmiałej przedsiębiorczości tego ostatniego ośrodek krakowski pierwszy zdobywa się na własny duży dom sodalicyjny. I znów młodziutka bo niespełna dwa lata licząca sodalicja akademików przy katolickim uniwersytecie w Lublinie. Dalej najstarsza sodalicja akademicka we Lwowie, która na przyszły rok będzie obchodzić 40-lecie swego istnienia. Jej historja pełna pracy i wzlotów, ale też zastoju i opadów. Działalnością swoją, o ile można wywnioskować z przedstawienia autora, krakowskiej nie dorównała, ale zato bierze nad nią i nad wszystkiemi innemi rekord co do ilości moderatorów, którzy nią kierowali. Za niespełna 40 lat miała ich łącznie z niżej podpisanym — s i e d e m n a s t u! Obok innych czynników z pewnością i ten brak ciągłości w kierownictwie musiał ujemnie wpływać na jej rozwój, bo jeśli który ośrodek sodalicyjny, to napewno akademicki, z natury swej płynny i przejściowy, skłonny do wybujałego indywidualizmu, potrzebuje obok umiejętności także i ciągłości moderatury.

Następnie kreśli autor historyczne sylwetki sodalicyj akademików w Poznaniu, Warszawie, Wilnie — równie interesujące. Osobne rozdziały poświęca sodalicjom akademiczek, których obecnie liczymy sześć, a więc o jedną mniej niż u akademików. Opowiada, w jakich warunkach przyszło do utworzenia Związku Sodalicyj akademików i akademiczek, jaka działalność i uprawnienia tychże Związków. W r. III podaje ideologję sodalicji akademików religijną, intelektualną i społeczną.

Bardzo instruktywnemi rozdziałami są te, w których autor podaje rys historyczny i ideowy tych stowarzyszeń uniwersyteckich, z któremi sodalicje akademickie utrzymują bliższe stosunki: Należą tu „Odrodzenie", „Młodzież Wszechpolska", „Iuventus Christiana", „Filarecja", „Katolicka Młodzież Narodowa" i częściowo Korporacje akademickie. Zyskujemy przez to wgląd, jakie zrzeszenia uniwersyteckie opierają swój program na podstawie katolickiej, bo tylko z takiemi wchodzi sodalicja w bliższą styczność.

Powiedzieliśmy, że przez swoją książkę dokonał autor czynu bardzo pożytecznego, bo pomijając pewne niedociągnięcia, odtwo-

rzył wiernie historję i ideologję ruchu sodalicyjnego na wyższych uczelniach naszych. W nauce polskiej narazie prawie że nie posiadamy dzieł, któreby ujmowały historycznie pewne prądy religijne, nurtujące i ożywiające nasz katolicyzm, jak to np. dla katolicyzmu francuskiego uczynił w swojej świetnie napisanej, wielotomowej *Histoire du sentiment religieux* ks. H. Bremond. Otóż p. Gołąb przez swój rys historyczny o akademickich sodalicjach wkłada jedną z pierwszych cegiełek do przyszłego gmachu, który się zwać będzie „historją religijności w Polsce". Rozumiemy tu przez religijność ten swoisty sposób, w jaki dusza polska przyjęła katolicyzm, jak go przeżywała i jakie przejawy tych przeżyć w ciągu wieków zostawiała.

Powiedzieliśmy, że książka p. Gołąba powinna znaleźć przynajmniej kilkunastu naśladowców, bo tyleż posiadamy poważniejszych i bogatszą działność rozwijających stowarzyszeń, które na podobne opracowanie zasługują. Takie zarysy historyczne pouczałyby działaczy katolickich, co już zostało dokonane, chroniłyby ich od częstego rozpoczynania na nowo, a wskazały w jakim kierunku należy iść w przyszłości.

Ks. J. Andrasz.

Alexandra David-Neel: Voyage d'une Parisienne à Lhassa. Paris, Plon. 1927.

Nie od wczoraj i nie jedną wyobraźnię fascynuje tajemniczy Tybet. Jedni dla sportu, czy dla mocnych wrażeń, inni dla nauki i doniosłych odkryć, inni wreszcie w imię apostolstwa wiary, próbowali w ciągu wieków wedrzeć się na niegościnne wyżyny Tybetu, dotrzeć do legendarnej stolicy lamaizmu. Na palcach jednak można policzyć tych, którym się to udało; inni musieli zawrócić wpół lub na początku drogi; nie brak też i męczenników tybetańskich wypraw. To też czyn niesłychanie wytrwałej Francuzki nabiera rozmiarów senzacji. Wszak pierwsza to Europejka, która dotarła do Lassy.

Kto zna choćby najogólniej topografję Tybetu i słyszał choćby przygodnie o fanatycznej zazdrości, z jaką wielotysięczna armja ascetycznych lamów strzeże bliższych i dalszych wrót Lassy, ten zgóry może sobie wyobrazić, za cenę jakich trudów i samozaparcia ekscentryczna Paryżanka zdołała przeprowadzić swój awanturniczy zamiar.

Przyznajmy, iż natura wyposarzyła ją w stalowe zdrowie, a trening dokonał reszty. Zanim przedsięwzięła swą ostatnią podróż, miała już za sobą nietylko młodzieńcze fugi turystyczne po nizinach i alpejskich szczytach, wyprawę do Indyj i na Cejlon, ale zażyła także włóczęgi po piaszczystych bezmiarach Sahary.

W r. 1911 spotykamy ją znowu w Indjach, które tajemniczym czarem wabiły jej duszę. W tym właśnie roku dowiedziawszy się, iż Dalaj-lama, umknąwszy ze swej stolicy, schronił się

w jakiejś wioszczynie aż na zboczach Himalajów, bez wahania opuszcza Madras i za cenę tysiącznych zabiegów uzyskuje, pomimo iż jest kobietą i to cudzoziemką, posłuchanie u egzotycznego mnicha-władcy. Kolej teraz na turystyczne wyprawy w skłębione morze himalajskich szczytów, popycha ją naprzód nienasycona żądza nowych wrażeń i widoków, a od chwili, kiedy stojąc na przełęczy zobaczy znagła przed sobą otulony górską szarugą bezmiar tybetańskich wyżyn, decyzja jej stanie się nieodwołalną. Za wszelką cenę musi zbadać tajniki Tybetu. Prócz stalowych mięśni, posiada zresztą była uczennica Edwarda Foucaux w Collège de France niemałą znajomość Wschodu i jego literatury, więc i moment naukowych badań przechyli szalę jej awanturniczych pomysłów.

W ciągu ośmiu lat krąży niestrudzenie dokoła progów Tybetu, cztery razy usiłuje je przekroczyć, za każdym razem bez skutku. Ale nie traci czasu, zwiedza wioski, brata się z wieśniakami, zapuszcza się w towarzystwa zdziczałych juhasów, wciska się do kilku bibljotek, rozmawia i dyskutuje z lamami, czyta stare komentarze buddyjskiej mądrości, stanie się nawet nowicjuszką yogów, podda się tajemniczej inicjacji, by stworzyć nareszcie w sobie tybetańską duszę. Trening skończony, teraz można pokusić się o szczęśliwe zdobycie rekordu.

W towarzystwie młodego lamy Yongdena, przebrana za tybetańską żebraczkę, a odgrywając rolę matki swego towarzysza, opuszcza p. David-Neel Yunnan, ostatnią placówkę na pograniczu chińsko-tybetańskiem. I teraz otwiera się przed nami, z etapu na etap, opis tej niesamowitej wyprawy. Czytelnikowi zostawiam jej szczegóły, raz pełne humoru, to znowu przejmujące lękiem, niekiedy wstrząsające grozą. Wszak nie chodzi tu tylko o nadzwyczaj trudną podróż, z epizodem tej miary, jak przedzieranie się przez lodowce wśród śnieżnej zawiei trwającej dni kilka, trzeba jeszcze było i to nieustannie podróżować nocami, omijać ludzkie sadyby, by zmylić czujność podejrzliwej policji Tybetu.

Jakiż lęk ogarnia serce nieustraszonej turystki, ilekroć zetknie się z ludźmi, jak starannie czerni swą twarz sadzą z kuchennego kotła, jak po mistrzowsku odgrywa rolę napół obłąkanej żebraczki, byle tylko ukryć swe europejskie pochodzenie. Doprawdy chwilami jawi się wątpliwość, czy mamy przed sobą powieść fantastyczną, czy autentyczny pamiętnik.

I oto ostatecznie po kilkamiesięcznej podróży, zdarta prawie na łachman z niewygód i wyczerpania, dociera do stolicy lamów. Dwumiesięczny pobyt w tem mieście egzotycznych monasterów, zwiedzanie wszystkich jego pamiątek i osobliwości, studjum krajowych zwyczajów oraz religijnych rytów, staje się nagrodą uprzednich heroicznych trudów. Ze zdumieniem jednak patrzymy, jak ta niby chrześcijanka poddaje się nawet wszystkim religijnym rytom, dostępnym dla tybetańskich kobiet; chyba tylko nieuświa-

domiona dobra wiara może usprawiedliwić te paryskie ekstrawagancje.

Następuje powrót, tym razem w kierunku Indyj, dokąd ostatecznie awanturnicza turystka dociera, zamykając szczęśliwie przeżycia 10-cio miesięcznej podróży.

Książka zewszechmiar interesująca, choć napisana rozwlekle. Przeczyta ją z satysfakcją nietylko globtretter, ale i etnolog.

E. K.

Zofja Cieszkowska: Obyczaje zwierząt. Warszawa, Księgarnia Polska Tow. „Macierzy Szkolnej", 1928. Str. 149.

Rodzaj wypisów, przeznaczonych dla niższych klas szkół średnich, oraz dla szkół powszechnych. Książka ta może nieźle uzupełnić systematyczny kurs elementarnej zoologji.

W części pierwszej są omawiane zagadnienia ogólne ze świata zwierzęcego. Pisząc o instynkcie zwierząt mogła autorka najspokojniej opuścić słowo: inteligencja, gdyż wszystkie przykłady przez nią podane nie przekraczają granic instynktu, a możnaby przytoczyć setki innych przykładów, wykazujących dowodnie, iż nawet najsilniej rozwinięty instynkt, najintensywniejsza tresura, nie mogą iść w porównanie z najlichszą inteligencją człowieka. Również za wiele antropomorfizmów w rozdziałach o miłości macierzyńskiej, o uczuciach, smutku i łzach zwierząt. Cytowane przez autorkę 24 słów mowy szympansa są tylko fikcją skrajnego ewolucjonizmu, rzecz już dzisiaj grubo przestarzała. Ze względu na wiek czytelników, dla których przeznaczono książkę, możnaby bez żadnej szkody dla całości opuścić rozdział o zalotach zwierząt.

W części drugiej podaje autorka krótkie szkice ciekawych okazów świata zwierzęcego. Z uznaniem należy podnieść końcowy rozdział o związkach miłosierdzia celem obrony dręczonych bezcelowo zwierząt.

Ponieważ książka nadaje się głównie dla młodzieży, należało koniecznie wzbogacić ją liczniejszemi i lepszemi ilustracjami.

E. Kosibowicz.

Bibljoteka biologiczna pod redakcją prof. Dra J. Wilczyńskiego. Gebethner i Wolff.

Z prawdziwem uznaniem należy powitać inicjatywę prof. Wilczyńskiego. Jego bibljoteka biologiczna, zakrojona na szersze rozmiary, wypełnia dotkliwą lukę w zakresie odnośnej nauki. Drogie dzieła fachowe można będzie odtąd zastąpić wydaniem daleko tańszem, więc dostępniejszem a niemniej gruntownem.

Nr. 1. Witold Adolph: Żaba. Jest to doskonały podręcznik do ćwiczeń zootomicznych. Opierając się na nim, każdy nauczyciel czy przyrodnik amator może sporządzić sobie szereg pięknych preparatów anatomicznych, przy minimalnych wydatkach i użyciu jak najprostszych środków.

Nr. 2. K. Czerwiński: Wypisy z zakresu teorji ewolucji (Lamarck, Darwin, Wallace). Str. 175. Rzeczy wprawdzie naukowo przestarzałe, przynajmniej w dość znacznej mierze, ale dla naukowej bibljografji niezbędne. Niniejsze wypisy mogą w tym względzie oddać pewną, choć bardzo ograniczoną, przysługę. Zupełnie nieścisłem jest twierdzenie autora, iż „nauka Darwina, zwana darwinizmem, jest synonimem nauki o rozwoju, czyli ewolucjonizmu, inaczej descendencji, lub nauki o przekształcaniu się gatunków, czyli transformizmu" (str. 75). Tak było w XIX wieku, dzisiaj tych pojęć mieszać nie wolno. Literatura, podana przez autora, jest zbyt jednostronna, prawie wyłącznie cytuje dzieła zwolenników skrajnego dziś już nienaukowego ewolucjonizmu.

Nr. 3. J. Bowkiewicz: Życie wód słodkich. Stron 194. Przedstawiwszy gruntownie przegląd zbiorników słodkowodnych, w których się krzewi i rozwija odnośna fauna i flora, podaje autor w części drugiej systematykę organizmów słodkowodnych. Całość daje nam dobry choć szkicowy pogląd na limnobiologję.

Nr. 4. K. Demel. Biologja morza. Stron 140. Dobre uzupełnienie książki poprzedniej. Określiwszy fizyczne i chemiczne warunki środowiska morskiego oraz ich wypływ na życie organizmów morskich, podaje autor w szkicowym opisie przegląd fauny i flory przybrzeżnej, powierzchniowej oraz głębinowej. Następnie wprowadza nas w najważniejsze zagadnienia biogeografji. Z uznaniem należy podnieść, iż autor uwzględnił specjalnie życie naszego Bałtyku.

Następne trzy tomiki zawierają dobre monografje biologiczne. Dokładne, a jednak nie zanadto techniczne traktowanie tematu sprawia, iż każdy człowiek inteligentny przeczyta te prace z niemałem zadowoleniem. Obok anatomji i fizjologji danych osobników, podają autorzy praktyczne klucze do oznaczania gatunków i odmian. Są to tomiki: Nr. 5. S. Gartkiewicz: Szczeżuja. Str. 90, rys. 42; Nr. 6. J. Bowkiewicz: Rak. Str. 67, rys. 42; Nr. 8. S. Blank-Weisberg: Pływak, z uwzględnieniem chrabąszcza i niektórych innych chrząszczy krajowych. Str. 43, rys. 29.

E. K.

Budowa terenów i urządzeń sportowych. Praca zbiorowa, pod redakcją Ppłk. dr. W. Osmolskiego i Henryka Jeziorowskiego. Warszawa 1928, Główna Księgarnia Wojskowa, w. 8, str. 566 z licznemi ilustracjami.

W okresie, kiedy sprawa wychowania fizycznego zajęła ważne miejsce w ogólnym programie wychowania młodzieży, a sport wysunął się niemal na czoło zainteresowań szerokich warstw, daje się odczuć coraz silniej potrzeba fachowych wskazówek, któreby umożliwiły umiejętne pokierowanie tym ruchem. Wśród tych potrzeb szczególnie doniosłą jest sprawa terenów i innych tech-

nicznych urządzeń, będących wstępnym a niezbędnym warunkiem pomyślnego prowadzenia rzeczy. I oto w czasie, kiedy zagraniczna literatura europejska posiada zaledwie dwa poważne dzieła na ten temat, trzecie zrzędu i to w całem znaczeniu tego słowa poważne, ukazuje się w Polsce, dzięki Wojskowemu Instytutowi Naukowo-Wydawniczemu. Bogata jego treść zawiera więcej, niż mówi sam tytuł książki. Osobne części, każda o kilkunastu rozdziałach, poświęcone są salom ćwiczebnym i boiskom sportowym, przyczem uwzględniono wszelkie szczegóły, do najdrobniejszych. Korty tennisowe, tory kolarskie, motocyklowe, samochodowe, saneczkowe, bobsleighowe i do zawodów konnych, ujeżdżalnie kryte, przystanie i baseny wioślarskie, skocznie narciarskie, strzelnice — każdy z tych działów objęty został osobną rozprawą. Poza tem poruszono szczegółowo także sprawy, obchodzące szersze koła, zwłaszcza młodzieży, jak kąpieliska i pływalnie (11 rozdziałów), obozy letnie (7 rozdziałów), domy wycieczkowe i schroniska turystyczne, ogrody jordanowskie. Do bliższego wyjaśnienia podanych wskazówek służy około 500 wzorowo wykonanych planów, rysunków i ilustracyj. Całość wydana bardzo starannie, na papierze bezdrzewnym, przedstawia się imponująco. Zredagowana przez najwybitniejszych znawców poszczególnych gałęzi sportu i wychowania fizycznego, poprzedzona historycznym wstępem oraz przedmową ppłk. S. G., J. Ulrycha, dyrektora Państw. Urzędu Wychowania Fiz. i P. W. — praca ta przynosi chlubę wydawcom i polskiej literaturze w tej dziedzinie. Ponieważ porusza ona sprawy szeroko aktualne, opiera się na najnowszych zdobyczach techniki, a przytem uwzględnia warunki lokalne, od najskromniejszych do pierwszorzędnych, przeto spodziewać się należy, że o nabycie jej postarają się wszelkie bibljoteki szkolne i związki młodzieży, nie mówiąc już o stowarzyszeniach sportowych i czynnikach, związanych ze sprawą popierania wychowania fizycznego.

S.

Edmund Jehle: Katechesen für die Oberstufe. Zweiter Teil: Sittenlehre. Herder, Freiburg, 1928, str. 284.

Książka napisana przedewszystkiem dla użytku szkolnego, jak sam tytuł wskazuje, może jednak z pożytkiem służyć do opracowania kazań katechizmowych na ambonę. Napisana żywo, urozmaicona przykładami, wierszami, oczywiście niemieckiemi. Autor trzyma się metody indukcyjnej; kwestje przeprowadza życiowo; przytacza np. prawo ochronne roślin, zwierząt, przeprowadza analogję między tem prawem a prawem bożem, wysnuwa w końcu wnioski tyczące się zachowania przykazań, względnie każe wyciągnąć je słuchaczom. Prócz licznych przykładów w tekście podaje autor zbiór przykładów na końcu książki.

Ks. J. G.

Ks. Dr. Michał kard. v. Faulhaber: Pismo św. nakazalnicy z przydaniem kazania o rodowodzie Jezusa Chrystusa. Spolszczył ks. Jan Korzonkiewicz, Kraków 1928, str. 70.

Wołanie o nasycanie Pismem św. kazań staje się ogólnem tak zagranicą, jak i u nas. Kurs homiletyczny w Monachjum, w październiku, 1927 r., gromadzący 775 kapłanów zajął się tem problemem szczegółowo. Jako rzecznik odrodzenia na tych podstawach ambony katolickiej wystąpił na kursie były profesor egzegezy Starego Testamentu ks. dr. Faulhaber, dziś kardynał, arcybiskup Monachjum, poświęcając tej sprawie trzy odczyty na następujące tematy: 1) Hermeneutyka homiletyczna do ksiąg Pisma św. razem wziętych; 2) hermeneutyka homiletyczna do pojedynczych ksiąg Starego Testamentu; 3) homiletyczna hermeneutyka do pierwszych ksiąg Nowego Testamentu. Po uwagach wstępnych i przestrogach odnoszących się do używania Pisma św. na ambonie: „dokładnie przytaczaj, dokładnie przekładaj, dokładnie objaśniaj", rozwodzi się i udowadnia dostojny mówca w słowach prawdziwie podniosłych i porywających, jak każdą księgę Pisma św., niemal każby jej urywek, można wyśmienicie wyzyskać w celach kaznodziejskich. A na dowód swej tezy wypowiada na zakończenie zjazdu wspaniałe iście kazanie, oparte na rodowodzie Jezusa Chrystusa, ujmując je w 3 radosne nowiny: o Zbawicielu świata, o wierności Boga i miłości Zbawiciela, o Matce Zbawiciela.

Doskonałemu styliście ks. J. Korzonkiewiczowi, jako tłumaczowi, przypisać należy, że tak wykłady, jak i kazanie czyta się jakoby utwór rodzimej literatury, a nie jako przekład z obcego języka.

Przy tej sposobności wspomnieć można, że całokształt referatów, odczytywanych i dyskutowanych na kursie monachijskim ujawnił w niemieckiej literaturze kaznodziejskiej p. t. „Der homiletische Kursus in München", wydany u Pusteta, a zawierający wiele cennych wskazówek celem usunięcia braków współczesnego kaznodziejstwa.

Ks. J. G.

Ks. Jan Dorszyński: Kazania Katechetyczne o przykazaniach boskich. Nakł. Tow. „Bibljoteki Religijnej", Lwów, 1927, str. 355.

Długoletnie doświadczenie duszpasterskie na wsi i w miastach ujawniło ks. Dorszyńskiemu „straszną ciemnotę ludu naszego w sprawach religijnych co do treści przykazań bożych", zwłaszcza jeśli chodzi o dystynkcję, co w zakresie danego przykazania jest materją grzechu ciężkiego względnie powszedniego. Podejmuje się zatem autor rozbioru przykazań zwłaszcza pod tym punktem widzenia. Że taka kazuistyka jest rzeczą trudną, zwłaszcza jeśli chodzi o warunki psychiczne przestępcy i niezawsze da się kategorycznie sprawa roztrzygnąć, to rzecz wiadoma każdemu dusz-

pasterzowi. Stąd niejedna taka kosteczka utkwiła także i w gardle Czcigodnego Autora „Kazań katechizmowych o przykazaniach"; mimo iż ma wielką skłonność do decyzji absolutnej pod tym względem, w niejednym wypadku zadowolić się musiał ogólnem powiedzeniem: „może popełnić grzech ciężki;" tak np. na stronie 8, gdzie chodziło o sklasyfikowanie grzechu, jaki popełnia z racji zgorszenia ten, kto nie uklęknie na widok kapłana, niosącego Wiatyk do chorego.

Siła tych kazań, t. zn. dokładne obznajomienie słuchacza względnie czytelnika z materją ciężką i lekką, szczegółowa analiza obowiązków, płynących z poszczególnych przykazań jest równocześnie ich słabością; nie pozwoliła autorowi rozwinąć dowodów krasomówczych za spełnieniem przykazań, co chyba jest rzeczą najważniejszą. Zachętę traktuje Autor raczej przygodnie, przytaczając przykłady lub zadowalniając się tylko wymienieniem korzyści względnie szkód, płynących z zachowania, względnie niezachowania przykazań. Czasem są to czyste hortatywy: módlcie się, pracujcie, powstrzymujcie się i t. p.; niekiedy tylko unosi kaznodzieję święty ogień zapału i podsuwa mu pod pióro grozę budzące opisy, np. w kazaniu o znaczeniu niedzieli dla społeczeństwa i rodziny chrześcijańskiej.

Spokojny, pouczający ton kazań wypłynął zresztą i z intencji autora i z natury kazań katechizmowych; na jedno tylko nie mógłbym się zgodzić; powiedziano we wstępie: „języka użyłem najprostszego za przykładem Jezusa Chrystusa". Język ewangeliczny jest wprawdzie zrozumiały, popularny ale równocześnie o przedziwnym wdzięku poetycznym, pełen czaru obrazowości, porównań, przypowieści a bynajmniej do tej nuty nie dostrajają się „Kazania Katechetyczne". Przy wydawaniu II-go tomu kazań może byłoby wskazane mniej czasu poświęcać na określanie, co w danym przykazaniu będzie grzechem ciężkim a co powszednim, zwłaszcza, że nie na wszystkie wywody autora zgodziliby się moraliści, natomiast więcej przytoczyć pobudek do zachowania przykazań.

Ks. J. G.

Ks. H. Weryński: Młodzi — na bój! Triduum ku czci św. Stanisława Kostki. Poznań, „Ostoja", 1928. str. 45.

Ks. A. Rogóż: W górę serca. Wyd. jak wyżej, 1927, str. 76.

„Zjednoczenie Młodzieży Polskiej" ze swą Spółką wydawniczą „Ostoja" (Poznań, Pocztowa 14) nie zapomina o swym Patronie św. Stanisławie Kostce. W zeszłym roku wydał Zarząd Zjednoczenia p. t. „Co wzgórę jest miłujcie" zbiór kazań i przemów, wygłoszonych w czasie jubileuszu stanisławowskiego w tym celu, „by nie zginęły", a także by przyszłym pokoleniom ułatwiały szerzenie czci św. Stanisława w naszym narodzie. — Nie-

zależnie od tego wydano także p. t. „W górę serca" 5 nauk o św. Stanisławie, nadających się jako przemówienia kościelne w czasie nabożeństw w dniu „święta młodzieży", t. j. w niedzielę po 13 listopada. — Świeżo wyszło z tejże Drukarni triduum ku czci św. Stanisława Kostki pióra znanego przyjaciela młodzieży Ks. H. Weryńskiego, prefekta szkół powszechnych w Starym Sączu. Prawie wszędzie odbywa się taka trzydniówka, przygotowująca młodzież na dzień jej Patrona nabożeństwem wieczornem, połączonem z nauką. Ks. Weryński podaje trzy nauki: I. Wartość młodości, II. W ogniu walki, III. Wytrwać. Każdą naukę kończy oryginalną modlitwą, na początku podaje zalecający się porządek nabożeństwa. Przemówienia miłe spełnią pewno życzenie autora i posłużą „skupieniu młodych pod sztandarem św. Stanisława Kostki oraz zbliżeniu rzeszy młodzieńców polskich do ideałów ich wielkiego św. Patrona". *F. K.*

Żywot św Romualda. Nakładem OO. Kamedułów bielańskich. Kraków, 1927, str. 112.

Życie św. Teresy od Jezusa. Według Bollandystów oraz jej historyków i własnych jej pism. Tłumaczyła z francuskiego Marja Bocheńska. T. I. i II. Skład główny w księgarni „Ossolineum", str. 361 + 350.

Obydwa te żywoty, jeden zakonodawcy OO. Kamedułów, drugi reformatorki Karmelu, napisane anonimowo przez syna i przez córkę odnośnych zakonów. Żywot św. Romualda skreślił jeden z Ojców Kamedułów Pustelników Góry Koronnej. Życie św. Teresy napisała Karmelitanka z Caen.

Obydwa te żywoty noszą wspólne cechy, wynikające z właściwości duchowych obu autorów. Nie są to dzieła pisane stylem naukowca, badającego gruntownie epokę, jej przymioty czy wady, podłoże psychiczne, na którem i z którego wyrastają jego bohaterzy; nie są to również dzieła pisane giętkiem piórem powieściopisarza, umiejącego intuicyjnie wczuć się w każdą sytuację, by ją następnie barwnie i pociągająco przelać na papier. Są to dzieła pisane raczej *ex amore filiali erga parentes spirituales*.

Uwydatnia się więc w nich dążność nie ściągania ich na płaszczyznę życia powszedniego, raczej idealizacja, okrywanie tych wzniosłych już i tak postaci nimbem cudowności. Ukazują się więc światu nie w oświetleniu krytycznem, przetrząsającem i poddającem surowej analizie każdy szczegół życia, ale w oświetleniu zakonnem, albo raczej tradycyjnem w danych zakonach. Z charakteru autorskiego wynikają również apostrofy moralizatorskie, pełne świętego oburzenia, pod adresem osób żyjących na świecie, a nie rozumiejących tego, co jest Ducha Bożego. W żywocie św. Teresy można zauważyć ponadto przestarzałe zachowanie się autorki wobec źródeł; zamiast wtłoczyć je w przypiski, przytaczane są wszystkie in extenso w samym tekście.

Język prosty bez cienia kultury literackiej. Co jednak przepełnia czytelnika wgłębiającego się w te życiorysy, szczególniejszą sympatją — to duch, w jakim są napisane. Właśnie ten *amor filialis* wprowadza czytelnika w atmosferę rodzinną danego Świętego i danego zakonu. Woń mistyczna obu konteplatywnych zakonów, pierwiastek nieuchwytny żadnem piórem, przepełniający dusze Świętych i dusze autorów ich życiorysów, wieje z tych kart pisanych dla dusz pobożnych. *Ks. J. G.*

W sprawie książki Ks. Dra Mirka.

Kilka słów wyjaśnienia autora.

W numerze wrześniowym *Przeglądu Powszechnego* b. r. ukazała się krytyka mej pracy p. t. „Elementy społeczne parafji rzymsko-katolickiej", napisana przez O. Jana Rostworowskiego. Mimo całego szacunku dla osoby autora, nie możemy krytyki jego zostawić bez kilku przynajmniej wyjaśnień z naszej strony, tem bardziej, że w krytyce postawiono szereg pytań, retorycznych przeważnie, ale w każdym razie pytań.

1. Niemiecki poeta mówi: *Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen.* Jeśli autor i krytyk mają się zrozumieć, muszą stać na jakiemś wspólnem stanowisku. Inaczej nigdy się nie porozumieją, gdyż posługiwać się będą różnemi językami. Przypuśćmy, że do pracowni malarza przychodzi chemik i rozpoczyna analizę tej pracowni z punktu widzenia swej chemicznej wiedzy. Znajdzie on tam dużo za mało i dużo za dużo. Niektórych pierwiastków chemicznych czy połączeń wcale nie znajdzie, a niektórych znów znajdzie za wiele. Otóż podobnie ma się sprawa, gdy do pracowni socjologa przyjdzie prawnik, ekonomista albo i teolog ze swojemi t e o l o g i c z n e m i i praktycznemi zainteresowaniami. Cóż go wtedy obchodzi np. to, że socjolog stosuje do swych badań jakąś nową, oryginalną metodę, polegającą w naszym wypadku na sprawdzaniu analizy jednych zjawisk społecznych przez analizę innych odrębnych zjawisk. Cóż go to interesuje, że taka właśnie metoda zwalnia socjologa a nie historyka od gromadzenia zbyt wielkiego materjału dla indukcji? Cóż dla niego znaczy, że socjolog analizuje pewne problemy, które d o t ą d w s o c j o l o g j i l e ż a ł y z u p e ł n i e o d ł o g i e m? Cóż go to wreszcie wzrusza, że autor podaje całkiem nowe socjologiczne określenia pewnych pojęć, ustalając ich treść inaczej, niż ten lub ów ze socjologów? Teologa, szukającego teologicznych nowości, to wszystko nie uderzy nawet, chyba bardzo podświadomie, tak, jak chemika szukającego nowych pierwiastków, pobocznie może tylko zainteresować kolorystyka obrazu.

2. Teologja i socjologja to dwie c a ł k i e m o d r ę b n e nauki, posługujące się odmiennemi źródłami i dążące odrębnemi drogami do innych celów. Ten sam przedmiot, np. proboszcz

w parafji, inaczej interesuje kanonistę, inaczej pastoralistę, inaczej psychologa, inaczej lekarza, a inaczej socjologa. Tego ostatniego zajmuje przedewszystkiem społeczna osobowość proboszcza (kapłan jako typ społeczny, jego stosunek do grupy, jako specjalny stosunek nad i podporządkowania i t. d.), a teologa interesuje on inaczej. Dlatego jeśli socjolog wykryje metodą socjologiczną, to znaczy właściwą badaniom socjologicznym ludzi różnych nawet przekonań religijnych, że w parafji rzymsko-katolickiej jest taki a taki „naczelnik" grupy, tak a tak do grupy ustosunkowany, to znaczy, że wprowadza on do socjologji teoretycznej pewne wnioski, których tam dotąd niema. Niech Szanowny Krytyk otworzy socjologję np. H. Spencera, Maxa Webera, Durkheima i t. d. i niech przeczyta, co ci socjologowie piszą o kapłanie i jego stosunku do grupy. Może ta lektura nasunie mu jakąś inną, może i lepszą metodę odkrycia proboszcza w parafji, ale metodę tę odkryć trzeba dla tych teoretyków i dla idących za nimi w Europie miljonów ludzi, którzy argumentów teologa ani kaznodziei katolickiego nie zrozumieją, ani uznać nie zechcą. A jednak tych ludzi przekonać trzeba, i to argumentami zaczerpniętemi z ich sposobu myślenia, że w swych twierdzeniach mijają się z prawdą. Dojście zatem do tego samego wyniku odmienną metodą nie jest przelewaniem z pustego w próżne, ale to jest wskazaniem temu, który wie tylko, że dwa a dwa jest cztery, także i tej prawdy matematycznej, że dwa razy dwa jest również cztery.

3. Szanowny Krytyk niedwuznacznie stwierdza, choć w niewinnej formie retorycznego pytania, że książka moja ani do wiedzy niczego nie dorzuca, ani nawet pojęć lepiej nie systematyzuje. Każdy autor, któremu taki zarzut się postawi, znaleźć się musi w bardzo niemiłej sytuacji, bo jak się tu bronić? Ponieważ jesteśmy przekonani, że chodzi tu Krytykowi jedynie o wartości przedmiotowe, a nie o ocenę osobistych danych autora, odpowiadamy więc tak: Jest grubą pomyłką naukową sądzić, że teologja pastoralna lub prawo kanoniczne uprawiają najprawdziwszą socjologję. Prawda, że w naukach tych potrąca się często, w pierwszej nawet bardzo często, o problemy socjologiczne, ale czyni się to mimochodem i jakby podświadomie. Wyodrębnić zatem te problemy, określić je i znaleźć dla nich miejsce w systemie socjologji nie jest czemś, coby się równało zeru nawet z punktu widzenia samej teologji.

4. Wreszcie jedno jeszcze zastrzeżenie. Socjologja wogóle a socjologja parafji w szczególności nie jest nauką praktyczną, ale teoretyczną, to znaczy, nie jest „sztuką" *ars*, ale „wiedzą" *scientia*. Sądzić inaczej, znaczyłoby mieć takie niedorzeczne wprost poglądy na socjologję, jakie znajdujemy w jednym z ostatnich numerów bardzo poważnego pisma, że „byt socjologji zależy od istnienia wyobrażeń zbiorowych", że „socjologja skreśla psycho-

logję" i t. p. Kto od socjologa oczekuje wskazówek praktycznych, etycznych, ten zawsze musi doznać rozczarowania. Jeśliby bowiem socjologowie zaczęli świat reformować, to powstałby niemniejszy chaos, niż gdyby do tego zabrali się filozofowie lub teologowie. Od reformy jest właściwa władza i odpowiedzialna za swe czyny wola ludzka. A do nauki, jaką jest także i socjologja parafji, należy woli ludzkiej przedstawić pewne motywy działania, na obserwacji faktów oparte. A motywów takich, śmiemy twierdzić, nie brak i w naszych „elementach społecznych parafji rzymsko-katolickiej". Byłoby może płodniejszą dla dobra ogólnego rzeczą, owe motywy wziąć za temat dyskusji, niż załatwić się z niemi wygodnie przez scholastyczne *simpliciter nego*. Jeżeli bowiem *divinum est definire*, to *magis divinum est comprehendere et distinguere*. Ale autor książki wyszedł nawet poza ramę ścisłej wiedzy. Mianowicie w domówieniu do swej pracy podaje projekt wprowadzenia do studjów teologicznych nowej nauki, którą nazywa „paroikologją". Przedmiot tej paroikologji ogólnej i systematycznej został nawet w grubych zarysach określony. Szanowny Krytyk jednak nie uznał za stosowne w swej opinji o naszej książce o owym projekcie ani wspomnieć.

5. Najzupełniej zgadzamy się na zarzut, że książka nasza ma cały szereg nowotworów i stylowo jest miejscami ciężka. Ma to swoją przyczynę w tem, że socjologja jest nauką nową i że potrzebne jej terminy naukowe musi sobie samodzielnie tworzyć. Powtóre zaś w polskim języku mamy zaledwie parę książek socjologicznych. Literatura przedmiotu pisana jest w językach obcych. Cóż więc dziwnego, że autor, który w ciężko pisanych dziełach niemieckich, angielskich czy innych zatapiać się musi, nie może zaprezentować się odrazu świetnym stylem? Zresztą niektórych wyrażeń technicznych nie można już ze socjologji usunąć (np. instytucjonalizacja), bo są to wyrażenia w tej nauce ogólnie przyjęte, tak, jak w psychologji nikt nie wyrzuci „wyobrażeń ejdetycznych, tetanoidalnych, czy bazedowoidalnych" i t. p. Jeżeli dzisiaj te wyrazy nas rażą, to przechodzimy tylko ten sam proces psychiczny, jak nasi przodkowie, którzy z wszelką pewnością nie mogli początkowo się przyzwyczaić do takich terminów, jak parafja, episkopat, kler, konstytucja, demokracja a nawet socjologja. Jezyk, który nie wchłania w siebie nowych pojęć, pozostaje wprawdzie niepokalany, ale takim językiem byłoby coraz trudniej z ludźmi się porozumieć.

Na tem kończymy tych kilka uwag, które uważaliśmy za wskazane w naszej obronie napisać. Jakkolwiek bowiem sami widzimy braki i luki w naszej pracy, co już w samej książce zaznaczyliśmy, nie bylibyśmy godnymi głosić dalej idei, którą w naszem przekonaniu uznajemy za słuszną, gdybyśmy tchórzliwie, przy pierwszym na nią ataku, ją opuścili.

Ks. Dr. Fr. Mirek.

Słowo recenzenta.

Chociaż w sprawie powyższej odpowiedzi na mą krytykę niejedna jeszcze nasuwałaby się uwaga, nie chcę przeciągać nad miarę niewdzięcznej z natury swojej rozprawy. Pozwolę więc sobie dotknąć jednego tylko, ale dość zasadniczego punktu. Że socjologja, co Autor tak usilnie podkreśla, jest nauką zupełnie odrębną, o własnej metodzie i źródłach i celach, to jest rzecz, która żadnej już dzisiaj nie podlega wątpliwości. To też nie z tego robiłem zarzut Ks. Drowi Mirkowi, że do zagadnienia budowy wewnętrznej parafi katolickiej zabrał się w socjologiczny, a nie np. teologiczny czy pastoralny sposób, a tem mniej oczekiwałem w jego książce praktycznych konkluzyj. Ale co innego jest przyznać socjologji charakter odrębnej i samoistnej nauki, co innego w przesadny sposób wyśrubowywać „naukowy" charakter swych socjologicznych badań. Zdawało się nam, że Autor w dość znacznej mierze uległ pokusie, której niejeden zresztą młody uczony ulega, że za konieczny warunek wysokiej naukowości pracy uznał pewną sztuczność i nieprzystępność tak w ujęciu myślowem, jak w wyrażeniu słownem problemów. Stało się skutkiem tego, że rzeczy właściwie bardzo proste, wyszły w jego książce w sposób nadzwyczaj skomplikowany i trudny. Czy uda mu się nawrócić taką metodą niedowiarków ze szkoły Durkheima, M. Webera, H. Spencera i innych, bardzo wątpię. Napewno jednak sądzę, że braciom kapłanom czy przyszłym kapłanom, dla których jaknajsłuszniej nową naukę „paroikologji" przeznacza, byłby oddał daleko większą przysługę, gdyby socjologicznie, ale bardzo poprostu i przystępnie budowę parafi katolickiej wyjaśnił. Bo mogą być rzeczy bardzo uczone, a przytem proste i jasne. Wtedyby się może pokazało, że socjologja parafji katolickiej mniej jest oddalona od teologji tej parafji czy od jej pastoralnego opracowania niż chemja od malarstwa. I pokazałoby się również, że nie potrzeba w takiej pracy używać takich wyrażeń, które usprawiedliwiać się musi aż przez „tetanoidalne lub bazedowoidalne wyobrażenia".

Ale to wszystko, co mówimy, niech uchodzi zato, czem jest, to znaczy za sąd zupełnego w tych rzeczach profana. Ks. Dr. Mirek był na tyle łaskaw, że krytyką tego profana, lubo dość ostrą, bynajmniej się nie obraził, ale najuprzejmiej i najłagodniej na nią odpowiedział. Życzymy mu wzamian, by nietylko, jak o tem wspomina, nie ustępował z pola, ale przeciwnie, by zaczął na tem polu jaknajintensywniej działać, obracając na korzyść nauki polskiej ogromny zasób swej zdolności i wiedzy.

Ks. Jan Rostworowski T. J.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

Nakładem Gebethnera i Wolffa:

Dr. Jan Wilczyński: Podręcznik biologji ogólnej. Dla 8 klasy gimn. z 31 ćwicz. i 164 rys., str, 227,
Zygm. Noskowski: Kontrapunkt, str, 194.
Franc. Quesnay: Pisma wybrane. Przeł. B. J. Piętkiewiczówna, str. 303.
Stan. Gartkiewicz: Szczeżuja („Bibl. Biolog."), str. 97.
Jan Browkiewicz: Rak („Bibl. Biolog."), str. 72.
St. Blank-Weissberg: Pływak („Bibl. Biolog."), str. 44.
A. Roux: Supplément au tome I du livre de la France, str. 80.
M. Mann: Jak się uczyć języka i literatury włoskiej? str. 67.
M. Handelsman: Historyka. Zasady metodologji i teorji poznania historycznego. Wyd. 2-gie, str. 332.

Nakładem Krakowskiej Spółki Wydawniczej:

Mik. Sęp Szarzyński: Rytmy. Oprac. Tad. Sinko („Bibl. Nar." serja I, Nr. 118), str. XXXVI + 127.
J. Byron: Manfred, Kain. Przeł. Z. Reutt-Witkowska, opr. A. Tretiak („Bibl. Nar." serja II, Nr. 54), str. XL + 135.
Józef Feldman: Bismarka komisja osadnicza. Odb. z „Przegl. Współczesnego", str. 34.

Nakładem Herdera, Fryburg:

Dr. B. Bartmann: Lehrbuch der Dogmatik. Wyd. 7, t. I, str. 448.
Dr. H. Mayer: Katechetik. Wyd. 2, str. 199.
Lucia Doxie: Ein Lebensbuch für junge Mädchen, str. 242.
Jón Svensson: Auf Skipalón. Neue Islandgeschichten Nonnis, str. 203.
Kaplan Fahsel: Ehe, Liebe und Sexualproblem, str. 142.

Nakładem Księgarni św. Wojciecha:

Edward Ligocki: Prawo szpady i krwi. Powieść, str. 225.
Wanda Miłaszewska: Kaczęta. Powieść, 262.
Olimpja Ligocka: Wieczór przedzmartwychwstaniem. Poezje, str. 71.
Emil Zegadłowicz: Z pod młyńskich kamieni. Żywot Mikołaja Srebrempisanego. Cz. II, str. 333.
J. O. Curwood: Najdziksze serca; przekł. J. Marlicza, str. 240.
Br. Orczy: Szkarłatny kwiat. Powieść, przekł. z ang. Pauliny Ledóchowskiej, str. 326.
J. O. Curwood: Łowcy wilków przekł. J. Marlicza, str. 195.
Tenże: Włóczęgi północy przekł. J. Marlicza, str. 251.
Florence Barclay: Błękitny chłopiec. Powieść przekł. Z. Chrzanowskiej, str. 145.
Ks. Wiktor Cathrein T. J.: Katolicki pogląd na świat. Tłum. Ks. Ad. Kuleszo. Str. 611.
O. Angelo Zacchi: Spirytyzm i życie pozagrobowe. Przekład z włoskiego W. B. Str. 378.
Akcja Katolicka. Zbiór kazań wydanych z polecenia Ks. Kard. Prymasa Hlonda. str. 367.
Ks. Józef Kłos: Mowy żałobne. Str. 314.

Nakł. Zjednoczenia Młodzieży polskiej, „Ostoja", Poznań:

Teatr dla młodzieży męskiej Nr. 31. — Eminus: O kupcu Złotolubie i o dobrym Znajdku; Nr. 32. — M. Reuttówna: Oto dzień chwały.
Teatr dla młodzieży żeńskiej. Nr. 30 Wł. Junosza — Szaniawski: Portret Nr. 31, Jot: Czary w Koziołkowie.

Bibljoteka wieczornicowa. Nr. 29. Jerzy Suszyński: Zawsze wierni. Na szańcach Lwowa.
Ks. H. Weryński: Młodzi na bój! Tríduum ku czci św. St. Kostki.
Ks. Dr. Walerjan Adamski: Zarys socjologji stosowanej. Tom I. Str. 312.

Nakładem Towarzystwa Polskiej Macierzy Szkolnej („Księgarnia Polska," Warszawa):

L. Laszczka Ceramika artystyczna. Do użytku szkół przemysłowych i artystów. Str. 48.
Zofja Cieszkowska: Obyczaje zwierząt. Str. 152.
Piotr Tłuczek: Kancelarja publicznej szkoły powszechnej. str. 100.
Marja Grossek-Korycka: O rozumie ludzkim. Str. 30.
Marjan Czech: Najprostsze sposoby mierzenia gruntów. Str. 62.
J. W. Kosmowska: Rumunja, kraj i naród, z licznemi ilustracjami i mapą. Str. 160.
Franciszka Gensówna: Młoda gospodyni. Wyd. 3, str. 210.

Nakładem różnych:

Wiktor Hahn: Bibljografja o Stanisławie Staszicu. Tow. Przyjaciół Nauk w Lublinie. Str. 48 in 4^0.
Ks. Dr. M. Sieniatycki: Zarys dogmatyki katolickiej. Tom I. O Bogu jednym i trójosobowym. Kraków, nakł. autora, 1928, str. 320.
Ks. Alfons Mańkowski: Inwentarze dóbr kapituły kat. chełmińskiej. („Fontes" XXIII Twa nauk. w Toruniu). Toruń, 1928.
Jan Kucharzewski: Lata przełomu. Romanow, Pugaczew czy Pestel? („Od białego caratu do czerwonego", tom III). Warszawa, Wydaw. Kasy im. Mianowskiego, 1928, str. VIII + 750.
Wł. Bogatkiewicz: Synchronistyczne zestawienie dziejów powszechnych. Cz. I. Warszawa, 1927, str. 43 in 4^0. Cena 3 zł.
Ks. Dr. Bronisław Gładysz: Do przyszłej reformy brewjarza i mszału. Odbitka z „Ateneum Kapłańskiego", Włocławek, 1928, stron 16.
Ks. Jan Poplatek T. J.: Alumnat papieski w Wilnie. Odbitka ze „Źródła mocy". Wilno, str. 16.
Ks. Dr. A. Borowski: O sumieniu. Studjum teologiczno-moralne. Włocławek. Drukarnia diecezjalna, 1928, str. 151.
Św. Stanisław Kostka. Album ikonograficzne. Nakładem Ks. Jezuitów w Warszawie. 1928; plansz 115 in 4^0 mai.
Abbé Quinet: Carnet de Préparation d'un Catechiste. Notes pédagogiques. I. Dogmes. Editions „Spes", Paris, 1928. str. 357.
Prof. Dr. Franz Grivec: Die heiligen Slavenapostel Cyrillus und Methodius. „Academia Velehradensis", Olmütz, 1928, str. 172. (Żądać przez Matthias-Grünewald-Verlag, Mainz).
X. Charszewski: O absolutyzm idei Opatrzności w dziejach. Cuda i katastrofy. Nakł. „Pro Patria", Warszawa 1928. str. 62.
Tenże: Czerwona Ochronka. Włocławek, Druk. diec., str. 22.
Ks. Dr. Al. Syski: Bł. Imelda. Skład gł. w „Domu Książki Polskiej", str. 39.
Ks. Dr. As: Hymnał Świętego Krzyża. Słowa i melodja kardyn. O'Connela. Włocławek, str. 32.
Spominy pro Sestru Anna Stadnyk zy Zgromadżennia SS. Myronosyć. Żowkwa, 1928, str. 83.
Jerzy Bernanos: Pod słońcem szatana. Przełożył Aleksander Wat. Warszawa. Wydawnictwo „Rój", 1928, str. 333.
Walerjan Charkiewicz: Placyd Jankowski. Życie i twórczość. Wilno, 1928, str. 206.

Zasady akcji katolickiej we Włoszech. Warszawa, nakładem Komitetu Głównego Akcji Katolickiej (Mionowa 17 m. 13), str. 138.

Ks. Dr. W. Michalski: Konieczność wykształcenia teologicznego. Tamże, str. 24.

Ks. J. B. Chautard Z. C. R.: Życie wewnętrzne duszą apostolstwa. Tłum. z franc. Wyd. XX. Pallotynów, Warszawa 1928. str. 266.

Komitet Polski Międzynar. Kongresu Opieki nad dzieckiem: Opieka nad macierzyństwem, dziećmi i młodzieżą w Rzeczypospolitej Polskiej. Warszawa, 1928, wyd. z zasiłku Ministerstwa Pracy i Opieki Społ. Str. 451, z liczn. ilustracjami.

I Sprawozdanie dyrekcji gimnazjum OO. Jezuitów w Wilnie za rok szkolny 1927/28. Wilno, str. 108.

Sprawozdanie Kasy im. Mianowskiego za r. 1927. Warszawa, str. 52.

Sprawozdanie z działalności Związku Polskiego Nauczycielstwa szkół powszechnych za r. 1927 i I półr. 1928. Warszawa, str. 176.

Sprawozdanie z działalności Akademickiej Sodalicji Marjańskiej za rok 1927/28. Kraków. str. 32.

Karty z przeszłości Białej Podlaskiej („Bibl. Bialska" Nr. 1). Nakładem Komitetu obchodu 300-lecia gimnazjum. Biała 1928, str. 69.

Kaz. Bartoszewicz: Dawna Biała na Podlasiu we wspomnieniach mego dziadka Adama („Bibl. Bialska" Nr 2). Nakł. jak wyżej, str. 38.

Jan Gloger: Szkoła Bialska i 4-letni w niej pobyt. J. I. Kraszewskiego. („Bibl. Bialska" Nr. 3). Nakł. jak wyżej. str. 25.

Ks. Józef Archutowski: Historja święta Starego Testamentu. Wyd. 3. Księg „Kroniki Rodzinnej", Warszawa, str. 146.

Ks. K. Naskręcki: Pójdź za mną. Książka do nabož. Wyd. 5. Wydanie jak wyżej. Format kieszonkowy.

Jos. Ranft: Spiegel der heil Kirche. Nach einem lat. Mystiker des XII Jahrhunderts übersetzt und herausgegeben von... Wien 1928. Reinhold-Verlag, str. 53 z 24 rys.

Prof. Dr. Ludwig: Die heilige Dorothea. Wydanie jak wyżej, str. 66.

Ralf Ellen: Ofiary całopalenia. Powieść. Nakł. księg. F. Gutowskiego, Poznań, 1928, str. 275.

Polacy na dalekim Wschodzie. Z 53 ilustr. Harbin w Chinach, 1928, str. 222.

Ks. Tomasz Gunia: Zasady wiary katolickiej na tle dziejów biblijnych. Część III, str. 182.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Zagadnienie sekciarstwa i środków zaradczych przeciwko niemu.

Jedno z najgroźniejszych niebezpieczeństw dla spoistości duchowej narodu polskiego stanowi propaganda sekciarstwa. Czas już, byśmy je uświadomili sobie w całej rozciągłości i zaniechali usypiania siebie w zbytnim optymizmie.

Przy każdej możliwej sposobności lubimy powtarzać powiedzenie jednego z papieży: *Polonia semper fidelis* i w niem często upatrujemy jakby jakąś rękojmię, że także w przyszłości Polska wierną pozostanie wierze swoich ojców. Ma zapewne owo powiedzenie swój dobry i chlubny dla nas sens, o ile chodzi o naszą historję, boć naród nasz, uważany jako całość, nigdy katolicyzmu nie zdradził, z chwilowego rozdarcia w 16 wieku rychło się wyleczył, katolickiemu swemu powołaniu wobec rodziny chrześcijańskiej świadomie się nie sprzeniewierzył i często jej czynnie służył, ale temu powiedzeniu nie można nadawać takiego znaczenia, jakby w naturze polskiej tkwiły jakieś specjalne odtrutki, uodporniające ją na działanie heretyckiej zarazy. Że tak nie jest, dosyć wspomnieć sobie, z jaką pochopnością przyjmowały się u nas religijne nowinki w okresie Reformacji, zwłaszcza w sferze przodowniczej narodu, za którą szedł także lud siłą swej zależności od tej sfery, i jak w innych warunkach tenże lud pozostawał wiernym Kościołowi, nie tyle siłą głębokiego przekonania, jak przez prostą swoją bezwładność duchową. Reformacja epoki Zygmuntowskiej została wstrzymaną i złamaną, nie dzięki czynnej odporności mas, lecz drogą powrotnego nawrócenia szlachty i wychowania jej w katolickiej szkole. Jeżeli potem propaganda sekciarstwa długo nie miała miejsca w Polsce, to dlatego, że przodujące warstwy narodu albo pozostawały wierne Kościołowi, albo jeśli wiarę traciły,

to nie na rzecz jakichś herezyj, ale na rzecz religijnej obojętności, która u ludu znalazłaby mniej zrozumienia i której sami wolnomyśliciele nie uważali za stosowne ludowi narzucać.

Lecz oto niespełna ćwierć wieku temu byliśmy świadkami odstępstwa od Kościoła całych parafij i okolic do tak zwanego marjawityzmu. Rodzima ta herezja stworzoną została przez księży, uwikłanych w niezdrowy mistycyzm i wiarę w swoje szczególne powołanie do reformowania Kościoła. Tam, gdzie sięgały wpływy samozwańczych reformatorów, lud poszedł za nimi tłumnie. Nie należy ukrywać przed samymi sobą faktu, ani składać go na karb poparcia rosyjskiego rządu. Sektą rzeczywiście zainteresowano się w Petersburgu i chciano użyć jej za taran do rozbicia spoistości narodu polskiego, stało się jednak to dopiero wtedy, kiedy odszczepieństwo umocniło się samo, wciągnąwszy w swe sieci około 200 tysięcy katolickiego ludu. Gdyby zbuntowanych księży było nie 32, jak było w rzeczywistości, ale więcej, rozmiary odstępstwa wśród ludu byłyby zapewne także większe. Jeżeli postępy tej herezji zostały z biegiem czasu wstrzymane, owszem liczba odstępców znacznie zmalała (do jakichś 50 tysięcy obecnie), to stało się to dzięki postępującemu wewnętrznemu rozkładowi w szeregach kierowników sekty, dzięki ich zbyt już bezceremonjalnemu wyzyskiwaniu łatwowierności ludu dla operacyj finansowych, wreszcie dzięki ich małżeństwom „mistycznym", które wnet przybrały postać ordynarnej rozwiązłości. Trzeba natomiast stwierdzić, że nie wszyscy, co sektę porzucili, powrócili do Kościoła — wielu rozlazło się po innych sektach — i że w odzyskaniu części wyznawców mateczki Kozłowskiej dla Kościoła niewielką odegrał rolę jakiś czynny misjonarski wysiłek ze strony samego katolickiego Kościoła.

Niebezpieczeństwo marjawickie zostało zażegnane, a przynajmniej zlokalizowane. Zrodziły się natomiast niebezpieczeństwa inne. Jednem są sekty skrajnego protestantyzmu, zwłaszcza baptyści i badacze pisma św., drugiem „narodowa" schizma Hodura. Obie te odmiany sekciarstwa mają związek z emigracją polskiego ludu do Ameryki, stamtąd przychodzą ich apostołowie i płyną pieniężne pomoce. W obydwóch lud nie idzie ślepo za dotychczasowymi swymi księżmi, którzyby się zbuntowali przeciwko hierarchji kościelnej (z kilku wyjątkami co do hodurowców), ale opuszcza swoich pasterzy, uciekając pod obce znaki. Postawa odpadającego od Kościoła ludu jest tutaj bardziej czynna, niż była w szerzeniu się marjawityzmu. I tu wszakże stwierdzić trzeba, wśród innych czynników odstępstwa, udział inteligentnych sił, na ten raz przeważnie w osobach agitatorów politycznych partyj, prowadzących walkę z Kościołem katolickim. Pouczającą

w tym względzie jest geografja sekciarskiej propagandy, która dziwnie pokrywa się z geografją wpływów radykalnych stronnictw chłopskich i robotniczych. W gruncie rzeczy szersze masy i dzisiaj jeszcze odpadają od Kościoła tam tylko, gdzie były do tego przygotowane przez kogoś, a trwają gdzie indziej przy Kościele niezawsze dla świadomego i gruntownego przywiązania do dogmatu katolickiego, ale w znacznej części dzięki swej inercji i tej okoliczności, że do nich wroga agitacja jeszcze nie dotarła. Warto sobie z tego istotnego stanu rzeczy zdać sprawę i nie znieczulać się zbytnio zaufaniem do „tradycyjnej wierności" polskiego ludu, do jego „głębokiej wiary i pobożności", które nie okazują tak wielkiej mocy w zetknięciu się z sekciarstwem.

Uświadomienie sobie psychicznego i politycznego podłoża, na jakiem pleni się sekciarstwo, wskaże na środki zaradcze przeciwko niemu. Najpierw trzeba zrozumieć, że w walce z sekciarstwem Kościół katolicki zdany jest na własne siły i środki. W szczególności nie można się oglądać na pomoc ze strony państwa. Zapewne czynne popieranie przez rząd agitacji sekciarskiej wśród ludności katolickiej byłoby skandaliczną nielojalnością względem wyznania ogromnej większości narodu, a zarazem robotą rozkładową, niszczącą spoistość państwa, ale kiedy takiego czynnego popierania sekciarstwa nie można władzom rządowym zarzucić, nie wiele więcej możemy się od nich domagać.

Legalne uznanie sekciarstwa zasadniczo zostało dopuszczone przez naszą konstytucję. Państwo może i powinno odmówić legalizacji takim związkom religijnym, „których urządzenia, nauka i ustrój są przeciwne porządkowi publicznemu i obyczajności publicznej" (art. 116 konstytucji). Niektóre rodzaje sekciarstwa nietylko nie powinny być zalegalizowane, ale konsekwentnie winnyby być publicznie ścigane jako przestępstwo. Pilniejsze studjowanie pism t. zw. „badaczy pisma" przekonałoby o ideowem pokrewieństwie tej sekty z bolszewizmem, dla którego wychowuje ona dusze. Poglądy jej na władzę są wywrotowe, założenia materjalistyczne i nihilistyczne, tem szkodliwsze, że maskujące się pozorami religijnemi. Niektóre sekty religijnemi motywami usprawiedliwiają odmowę spełniania ogólnych obowiązków obywatelskich. Albo weźmy marjawityzm. Ten po procesie Kowalskiego powinienby być uznany za sektę niemoralną, a zatem nie mogącą istnieć legalnie w państwie. Rozumowanie lewicowych obrońców tej sekty, że i wśród kleru katolickiego trafiały się zgorszenia, a nikt z tego powodu nie żądał rozwiązania katolicyzmu, jest dowcipem bardzo mizernym. Przypomniano w tym celu nawet zbrodnię Macocha (a jakżeż!), lecz przeoczono kapitalną różnicę. Występnego

mnicha z Jasnejgóry nikt z katolików nie brał w obronę, za zbrodnię jego odbywały się po kościołach ekspiacyjne nabożeństwa, tymczasem proces Kowalskiego przez jego adherentów poczytany był za „sąd boży nad marjawityzmem" i o wyrok uwalniający odprawiano nabożeństwa. Widocznie sekta solidaryzuje się z swym rozpustnym naczelnikiem, widocznie inni jej przywódcy są także moralnie zdeprawowani, owszem zdeprawowane są same zasady sekty. Wszak ze zboczeń seksualnych uczyniono bluźnierczo akt rytualny, zrobiono z nich rzekomy przewodnik łaski Bożej i tę ohydę przyjęli inni prowodyrowie sekty. Ujawniono to przecież jeszcze przed procesem Kowalskiego w jego bluźnierczych komentarzach do Pisma św., które prokuratura musiała skonfiskować. Sekta istnieje w b. Kongresówce na mocy uznania jej przez rząd rosyjski, jednak w myśl art. 115 konstytucji winna przedstawić swój statut wyznaniowy do zatwierdzenia, czego podobno jeszcze nie uczyniła. Jest więc jeszcze sposobność do ściślejszego zbadania, czy zasługuje na to, by ją ostatecznie uprawniać.

Pominąwszy takie wypadki, w których konstytucja dostarcza prawnej podstawy do odmowy legalizacji sekt, względnie do jej cofnięcia, trzeba przewidzieć i inne, mianowicie że dana sekciarska grupa zdobędzie się na minimum wymaganych przez konstytucję warunków do legalnego istnienia. W takim razie możemy przewidywać, że prędzej czy później legalizację otrzyma. I dlatego brać w rachubę dzisiejszą nielegalność jakiejś sekty w nadziejach na jej upadek nie byłoby rzeczą roztropną. Nawet przy nielegalnej egzystencji potrafi sekciarstwo sprawić duże spustoszenie. Schizma Hodura już obecnie liczy 35 ognisk; zresztą żadna sekta nie zaczyna od starania się o pozwolenie, lecz najpierw rozszerza się drogą faktu, z którym potem nawet władze państwowe liczyć się muszą.

Środki zaradcze przeciw szerzącemu się sekciarstwu musi katolicyzm wydobyć z własnej głębi. I żeby je odszukać, przydałaby się jakaś sumienna a odważna ankieta co do przyczyn szerzenia się sekciarstwa. Na przyczynę zewnętrzną — agitację radykalnych stronnictw politycznych — już wskazaliśmy, lecz ankieta może wykazałaby także jakieś zaniedbania po stronie naszej. Przecież agitacja i propaganda z zewnątrz musiały paść na grunt szczególnie podatny na posiew chwastów. Bez przypisywania komukolwiek świadomej winy, czy nie wykryłoby się jakichś nieuświadomionych dotąd błędów w pasterzowaniu?

Ośmielam się na tem miejscu przypuścić pewne takie zaniedbania. Czy najpierw nie za mało dawano ludowi gruntownej dogmatycznej nauki o naturze i istotnych przymio-

tach Kościoła, o jego boskim początku i jedności, ufając zbyt wiele „tradycyjnemu przywiązaniu ludu" do wiary? Co się tyczy naszego popularnego piśmiennictwa religijnego, to grzeszyło ono przerostem rozmaitych dewocyj, zaś znacznie mniej pracowało nad ugruntowaniem zasad wiary. Sam miałem sposobność zdobyć to doświadczenie, że książeczki i broszurki o treści czysto dewocyjnej znajdowały najszerszy zbyt, po nich szły broszury o treści moralizatorskiej, a dopiero na końcu dogmatyczne. Może za mało pracuje się jeszcze teraz nad tem, by w ludzie katolickim wyrobić zamiłowanie do zagadnień zasadniczych w wierze, poprzestając na łatwej, bo płytkiej dewocji, która nie wytrzyma naporu błędu, kiedy się zjawi w pozorach umotywowanej prawdy.

Może jeszcze ważniejszem było opóźnienie w zajęciu się ludem wsi i pracującymi w przemyśle przez przedstawicieli Kościoła poza murami świątyni, w dziedzinie społecznej i kulturalnej. Dużo liczono na stare metody, za bardzo obawiano się dróg nowych, zbyt wierzono w stałe trwanie patrjarchalnych stosunków między pasterzami a wiernymi. Życie przeszło ponad głowami lękliwych i powolnych. Do ludu zbliżyli się inni, nieprzyjaźnie do Kościoła usposobieni ludzie. Zanim się spostrzeżono, lud już był zatruty nieufnością do swych duchowych przewodników, z Kościołem związany już tylko cienką nitką przyzwyczajenia, którą potem łatwo było zerwać.

Przeoczenie właściwego momentu zajęcia się ludem i jego potrzebami także doczesnemi, zaniechanie w swoim czasie organizacyj katolickich także poza urzędową organizacją parafjalną — to były błędy, których skutki trudno dzisiaj usunąć nawet zdwojonym wysiłkiem.

Lecz taki wysiłek musi być podjęty. Poważne *memento*, jakiego udziela nam szerzące się sekciarstwo, zniewala wszystkie czynniki świadomie katolickie, a więc nie samych tylko księży, do wydobycia maximum energji w kierunku gruntownego katolickiego wychowania jeszcze nie zbałamuconych mas ludu, a zwłaszcza jego młodego pokolenia. Bogu dzięki, powołania do stanu duchownego poczęły się mnożyć w latach ostatnich, wypełnią się więc luki w szeregach naszego duchowieństwa, przybędzie rąk do pracy nad ludem. Rosną także szeregi inteligencji młodej, w zasadach katolickich nieco lepiej od starszego pokolenia ugruntowanej. Wszystkie te siły muszą być zmobilizowane do pracy oświatowej nad ludem w duchu katolickim. Oprócz księży trzeba stworzyć zastępy świeckich apostołów i apostołek katolickiej prawdy, którzy i które dotrą może nawet tam, gdzie dostęp dla księży jest już zamknięty.

Ważną jest rzeczą zwalczanie sekciarstwa tam, gdzie

ono już grasuje, ale ważniejszą zabezpieczenie się przed niem tam, gdzie go jeszcze niema. Asekuracją najlepszą przeciwko niemu, to gruntowna oświata religijna, poparta wszakże czynną pracą wśród ludu w kierunku podnoszenia jego dobrobytu i oświaty ogólnej. Przytem to, co stanowi politykę w ścisłem znaczeniu tego słowa, możemy zepchnąć na szary koniec. Dają się czasem słyszeć żale, że nie posiadamy silnego katolickiego stronnictwa politycznego, któreby umiało wprowadzić ustawy katolickie i strzegło od góry interesów religji i Kościoła. Stąd blisko do pokusy pasowania na takie stronnictwo jakiegoś z istniejących obozów, popierania go moralnym autorytetem religji. Przypomina to nieco hasło *Action française: d'abord la politique!* Ze strony najbardziej autorytatywnej, ze Stolicy Apostolskiej rozlega się inne wezwanie: najpierw akcja katolicka z dołu! Materjał na katolickich prawodawców, na katolickich administratorów kraju trzeba najpierw urobić w mozolnej wychowawczej pracy. Dlatego Ojciec św. Pius XI tak błogosławi wszędzie organizacjom „akcji katolickiej", „ligom katolickim", które trzymając się zdala od walk politycznych mają prowadzić dzieło odrodzenia społeczeństw w Chrystusie.

U nas ożywienia działalności lig katolickich głównie przez prasę, odczyty, wiece, radjo, domagają się w szczególny sposób interesy wiary i narodu wobec groźnego niebezpieczeństwa sekciarstwa i idącego za niem rozbicia duchowego. Grożące zło jest wielkie i błędem byłoby nie doceniać go, ale środki, jakiemi rozporządza katolicka prawda, są większe, a występkiem byłoby pozostawić jakikolwiek z nich bez użycia w walce z tem złem.

Ks. Jan Urban T. J.

„Tydzień dziecka" w Polsce.

Rodzina w Polsce stoi jeszcze silnie, przyrost naturalny ludności jest znaczny, nie brak jednak oznak niepokojących pod obu względami. Niski stan kulturalny szerokich warstw społeczeństwa, znajdujący swój odpowiednik w zaniedbaniu higjeny i w wysokiej śmiertelności, obecna sytuacja ekonomiczna, utrudniająca poprawę tych warunków i budowę mieszkań, a zagrażająca, łącznie z obniżającym się poziomem moralnym, życiu rodzinnemu — odbijają się dość ujemnie na fizycznem i duchowem zdrowiu młodego pokolenia. Czas więc, by nietylko władze, ale ogół zrozumiał konieczność zajęcia się tą sprawą i roztoczenia racjonalnej opieki nad dzieckiem i matką. W celu uświadomienia go o dzisiejszym stanie tego zagadnienia i potrzebach na przyszłość, zor-

ganizowano w dniach od 16 — 23 września b. r. na obszarze całego kraju po raz pierwszy „Tydzień dziecka". Przez stosowne wykłady i obchody miał on przyczynić się do osiągnięcia powyższego celu, zaznajomić ogół z warunkami, w jakich dziś żyje młodzież i wskazać drogi naprawy.

Urządzeniem „Tygodnia" zajął się „Polski Komitet Opieki nad Dzieckiem" (P. K. O. D.; Warszawa, ul. Jasna 11), centralna dziś instytucja w Polsce dla teoretycznych i praktycznych badań w dziedzinie pracy nad dzieckiem i młodzieżą. Przy czynnej pomocy władz administracyjnych i samorządowych rozwinął on propagandę w całym kraju i dla ułatwienia rzeczy wydał osobną broszurkę „Tydzień dziecka", a w niej instrukcje organizacyjne dla komitetów wojewódzkich i powiatowych o sposobie urządzenia obchodu i z literaturą do odczytów. Program „Tygodnia" opracowano w ten sposób, że pierwszy dzień miał być dniem uroczystości i zabaw dla dzieci od lat 6—14, ostatni poświęcono matce, jako wychowawczyni, środkowe zaś pięć dni przeznaczono kolejno popularyzowaniu, zapomocą odczytów i pokazów odpowiednich instytucyj, wiadomości z dziedziny wychowania dziecka, zarówno w pierwszych latach jego życia, jak późniejszego wychowania fizycznego, umysłowego, moralnego i zawodowego. „Tydzień" rozpoczął się wszędzie uroczystem nabożeństwem; w Warszawie otwarto nadto specjalną wystawę o dziecku, a w Filharmonji urządzono akademję, na której byli obecni i przemawiali przedstawiciele Rządu i miasta, główny zaś referat wygłosił prezes P. K. O. D., Al. Lednicki.

Myśl „Tygodnia dziecka" była więc głęboka. Zainteresowanie szerszych sfer społeczeństwa sprawą należytej opieki nad dzieckiem i wciągnięcie ich do pracy w tym kierunku, podniesienie znaczenia rodziny i podkreślenie godności matki — jest sprawą pierwszorzędnej wagi, którą wszyscy winni poprzeć. Prawda, że celu tego nie osiągnie się żadnemi „dniami" ani „tygodniami", wymaga on bowiem dłuższej, wytrwałej pracy, niemniej obchody tego rodzaju, odpowiednio zorganizowane, mogą tu niemało dopomóc. Próba tegoroczna, która w różnych częściach kraju wypadła z rozmaitem powodzeniem, nasuwa nam pod tym względem kilka uwag, jakie podajemy poniżej w myśli przyczynienia się do dobra sprawy.

Przedewszystkiem nie należy trzymać się szablonowo jednolitego programu w całym kraju. Jeżeli cały tydzień można śmiało wypełnić w największych miastach, to dla innych będzie aż nadto dostatecznem poświęcenie na ten cel 5, 3, 2 a nawet jednego dnia. Cóż mają np. robić przez tydzień miasteczka, które nie mają prelegentów ani instytucyj dostatecznych, a które jednak powinny również brać czynny udział w obchodzie?

Druga rzecz, to wyraźniejsze pouczenie ogółu o właściwym celu „Tygodnia" i konsekwentne urządzenie tegoż. Wszak celem

jego jest przedewszystkiem uświadomienie starszego społeczeństwa o potrzebie i sposobach rozumnej opieki nad dzieckiem, a tymczasem oczom najszerszych sfer przedstawił się on jako okres uroczystości i zabaw dla dzieci. Skutek tego był taki, że dorośli okazali minimalne zainteresowanie się „Tygodniem", owszem gdzie niegdzie byli nawet z niego dość niezadowoleni. Po niektórych domach i zakładach wychowawczych skarżono się potem, że dzieci dąsały się tylko i narzekały, bo w szkole powiedziano im, że to „ich" dzień, że mają mieć same przyjemności, a tymczasem w domu nie zrobiono im tego. Należałoby więc podkreślić wyraźniej właściwy cel „Tygodnia", a sprawę przyjemności dla młodzieży usunąć na dalszy plan i zorganizować w ten sposób, by zadowolenie było powszechne i korzyść prawdziwa. Można więc dla ogółu młodzieży urządzić jakiś pochód i zabawę, ale rozdawanie słodyczy i upominków ograniczyć do biednych, a dzieci zamożniejsze zachęcić, by się do tego przyczyniły. Będziemy mieli wówczas wysoki efekt moralny i radość ogólną.

Wkońcu jedna jeszcze uwaga co do broszury instrukcyjnej o organizowaniu „Tygodnia dziecka." Pomijam już, że zamieszczone w niej odezwy do dzieci (załącznik 4 i 5) musiały być pisane przez osobę, która kocha młodzież, ale zna ją tylko z książek i zdaleka — dlaczego jednak ani tu, ani przy programie dnia, poświęconego wychowaniu moralnemu (str. 13-15) niema ani słowa o Bogu i pobudkach religijnych? Wiemy dobrze, że Komitet naczelny nietylko nie myślał wykluczyć religijnej strony, lecz przeciwnie wciągnął ją do programu zwracając się do duchowieństwa, by przez uroczyste nabożeństwa uświetniło obchód. Byłoby wszakże bezwątpienia bardziej zgodnem z charakterem całego przedsięwzięcia i przekonaniami naszego społeczeństwa, gdyby w odezwach do dzieci i przy objaśnieniach instrukcyjnych zamiast samych tylko haseł o umiłowaniu „prawdy, dobra, piękna, ideału" i t. p. wspomniano też o religji i o Bogu, którego uznają przecież wszystkie nasze dzieci, zarówno katolickie, jak prawosławne, ewangelickie i żydowskie.

Ks. St. Podoleński

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono 31 października 1928 r.

Dawność ludzkości.

Jednym z najbardziej zaciekawiających problemów prehistorji jest bezwątpienia zagadnienie dawności ludzkiego rodzaju. Kiedy pojawił się pierwszy człowiek na globie ziemskim?

Pytanie to nasuwa się samorzutnie uczonym równie jak prostaczkom, i nie od wczoraj umysł ludzki staje bezsilny wobec tej roznamiętniającej zagadki. Wszak nawet plemiona dzikie i pierwotne posiadają swoiste tradycje, które im dają w mglistej przędzy legend odpowiedź na niepokojące pytanie.

Przy żywo płonących ogniskach, w rozgwarze rytualnych pieśni, w uroczystej atmosferze szczepowych obrzędów dowiadują się młodzi adepci wtajemniczenia, iż protoplasta szczepu, założyciel rodzaju ludzkiego, zjawił się na ziemi bardzo, bardzo dawno i po zwyciężeniu tysiącznych prób oraz trudności stał się pod opieką najwyższego bóstwa potężnym władcą i twórcą pierwszej kultury. W szczepowych mitach i legendach możemy bez trudności odnaleźć napoły ubóstwionego bohatera, twórcę łowiectwa czy kultury rolnej, nieśmiertelnego założyciela ludzkiego rodu. Zjawił się on niegdyś, bardzo bardzo dawno. W tej tajemniczej formułce zamyka się stale chronologja pierwotnych ludów Australji, Afryki czy nawet Azji. Z tem większą tedy ufnością zwracamy się od sędziwych legend do wiedzy współczesnej, stawiając jej to samo zaciekawiające nasz umysł pytanie.

Jeśli jednak odpowiedź wypadnie zbyt blado, jeśli w powodzi uczonych frazesów oraz technicznych wyrażeń odnajdziemy tylko owo tradycyjne australskie czy afrykańskie:

„niegdyś, bardzo bardzo dawno", to nie należy zato potępiać w czambuł nowożytnej wiedzy, gdyż doprawdy zrobiła ona dotychczas wszystko by problem rozwiązać. Niestety, brak jej jeszcze bardzo wielu pozytywnych danych, a w kwestji tej improwizować czy prorokować nie można. Zamierzchła przeszłość strzeże zazdrośnie swej tajemnicy.

Wyznajmy tedy lojalnie, iż współczesna wiedza nie posiada dotychczas żadnego dość pewnego chronometru na określenie, choćby w przybliżeniu kilkunastu czy kilkudziesięciu tysięcy lat olbrzymiej epoki czwartorzędowej, [1]) która w swem łonie kryje, jak zobaczymy, zagadkę początków ludzkości.

---

[1]) Dla łatwiejszej orjentacji zamieszczam poglądową tabelkę, podając w niej najogólniejsze rozdziały historji ludzkości, zbliżone do odnośnych podziałów geologicznych.

Podział geologiczny	Podział antropologiczny	
Pierwszorzęd. Drugorzęd. Trzeciorzęd: Eocen Oligocen Miocen Pliocen	Nic pozytywnie pewnego Eolity (?)	
Czwartorzęd (Pleistocen): niższy: mindelieński zalew lodowcowy 2-ga faza międzylodowcowa średni: rissieński zalew lodowcowy 3-cia faza międzylodowcowa wyższy: würmieński zalew lodowcowy faza polodowcowa	Paleolityk: starszy, kultura: szeleńska, aszeleńska średni, kultura: musteryjska młodszy, kultura: orinjacka, solutrejska, magdaleńska Faza przejściowa: kultura: azylijska Neolityk	Prehistorja
Holocen	Kultura: miedzi bronzu żelaza	Protohistorja
	Czasy historyczne.	

Nie potrzeba jednak być specjalistą geologiem, by sobie zdać sprawę z doniosłego faktu, iż epoka ta obejmuje setki wieków, wobec których cała nasza chrześcijańska era jest prawie znikomą. Wiadomo bowiem, iż pewne uderzające nas zjawiska geologiczne są tylko wynikiem czy sumą drobnych przeobrażeń, rozłożonych na okresy czasu niesłychanie długie. Gruntowne zmiany morfologiczne na powierzchni ziemi: dzieło powolnej erozji i denudacji, wydrążenie głębokich dolin i jarów przez górskie strumienie, ułożenie się osadowych teras o grubości kilkudziesięciu metrów, podobnie jak zmiana klimatu, zniknięcie charakterystycznej dla danych obszarów fauny oraz flory, i pojawienie się nowej, odmiennej, wszystkie tego rodzaju zjawiska dochodzą do skutku nadzwyczaj powoli, nie są naogół dziełem kataklizmów burzliwych czy nagłych mutacyj, ale rozwijają się stopniowo, układając swe dzieje w ramach wielkich czasokresów. [1])

Otóż od początków neolitycznej epoki, które należy przenieść, za zgodnym chórem uczonych, na osiem do dziesięciu tysięcy lat od naszych czasów, nie można stwierdzić żadnych donioślejszych przemian czy też zaburzeń geologicznych na powierzchni ziemi. Wobec tego dziesięć tysięcy lat w chronologji geologicznej jest prawie drobnostką. Natomiast czwartorzęd niższy jest areną zmian ogromnie doniosłych, ustępujących wprawdzie rozmiarami zjawiskom geologicznym trzeciorzędu, [2]) kiedy to w ciągu, a zwłaszcza pod koniec eocenu spiętrzyły się górskie kolosy Pirenejów, Alp i Himalajów, mimo to w swoim rozwoju oraz przebiegu wymagających ogromnego czasu. I nie chodzi jedynie o początki epoki czwartorzędowej, gdyż nawet w okresie szeleńskim i aszeleńskim topografja i geografja świadczą o dalszych zmianach, dokonujących się w olbrzymich perjodach czasu. Morza i kontynenty nie posiadają jeszcze w tym okresie dzisiejszego ukształtowania. Wyspy brytyjskie są złączone z lądem; Europę i Afrykę spajają pomosty lądowe.

[1]) R. de Sinéty: *Vers les origines de l'humanité — A la suite de M. Goury. Études.* t. 195, 1928 str. 541 sq.

[2]) J. de Morgan: *La Préhistoire Orientale* in 8° Paris 1925 t. I. str. 1 sq. 48 sq.

Drążenie współczesnych nam dolin, które jest przedewszystkiem dziełem końca pliocenu, nie jest jeszcze ukończone... Formacje geologiczne owej epoki tworzą tereny, o których starożytności świadczy wymownie choćby przemiana ich elementów.

Także i świat organiczny przedstawia nam widok odmienny od dzisiejszego. Europę zamieszkują ssaki afrykańskie i azjatyckie. Wiele gatunków tych zwierząt dzisiaj nie istnieje wcale. Inne uległy przemianie, a ta ewolucja mogła się dokonać tylko w niesłychanie wolnem tempie. Zbytecznem chyba dodawać, iż ówczesna kultura człowieka jaskiniowego w niczem nie podobna do kultury nam współczesnej. Wszystko zatem gubi się we mgle sędziwej przeszłości. Jedyne pojęcie chronologiczne, jakie możemy sobie stworzyć o owych odległych okresach, da się zamknąć w słowach i wykrzyknikach, określających trwanie olbrzymie prawie że bezkresne. Zawrót przestrzeni, nie dającej się ogarnąć, i czasu, nie dającego się zmierzyć, opanowują nasz umysł. [1])

Jakżeż wobec takiego stanu rzeczy można się kusić o określenie starożytności człowieka? Czyż wszelka chronologja nie będzie w tym względzie jedynie płonnem żonglowaniem wygórowanemi cyframi? Otóż sprecyzujmy zagadnienie, zacieśnijmy zakres dalszych badań. Chronologja bowiem danego zjawiska może być w każdym wypadku podwójną. Wyznaczenie wieku np. założenia Rzymu może być albo absolutne albo tylko względne. Podając dokładną datę założenia tej stolicy, podajemy zarazem jej wiek absolutny, wyznaczając zaś wypadki historyczne, które poprzedziły założenie Rzymu lub też miały miejsce po jego założeniu, określamy tem samem z większą lub mniejszą dokładnością wiek omawianej stolicy. Nie ulega wprawdzie wątpliwości, iż wprawdzie absolutne określenie czasu posiada najwyższą dokładność, mimo to chronologja względna podaje także, z mniejszą lub większą ścisłością, historyczną prawdę, a kiedy chodzi o epoki bardzo odległe może być dla nas jedynie pewnym przewodnikiem.

Otóż jak z jednej strony absolutne określenie wieku

[1]) Cfr. M. Boule: *Les hommes fossiles.* 2 edit. Paris 1923, str. 63.

ludzkiego rodzaju jest narazie rzeczą prawie niemożliwą, tak z drugiej względna chronologja ludzkości osiągnęła dzisiaj dzięki geologji i paleontologji wysoki stopień prawdopodobieństwa. Nie chcemy mówić o naukowym pewniku, gdyż brak jeszcze ścisłości, brak zacieśnienia chronologicznych granic, ale dotychczasowe wyniki naukowych badań stanowią mimo wszystko solidny punkt oparcia czy zaczepienia do dalszych dociekań.

Spróbujmy tedy nakreślić ogólny szkic względnej chronologji ludzkiego rodzaju.

Nie brak uczonych, którzy wiążą początki ludzkości z epoką trzeciorzędową, przedłużając w ten sposób istnienie człowieka o dziesiątki a nawet setki tysięcy lat. Opierając się wyłącznie na anatomicznem podobieństwie i morfologicznych analogjach, uczeni ci widzą w człowieku ostatnie ogniwo rozwojowe zoologicznej rodziny: naczelnych, *primates*. Już zaś początki tej właśnie rodziny sięgają naprawdę zamierzchłej przeszłości. Z całą pewnością jawią się jej przedstawiciele już w początkach trzeciorzędu, mianowicie w niższych pokładach eocenu.[1]) Wprawdzie jeszcze wcześniejsze ogniwa są nam zupełnie nieznane, ale istnienie ich jest rzeczą co najmniej prawdopodobną. Od chwili swego zjawienia się na globie ziemskim serja naczelnych mnoży się, komplikuje oraz dzieli, podobnie zresztą jak inne gatunki zwierzęce. Wśród odrośli, wychodzących z jednego, jak się zdaje, pnia, wiele zmarniało przedwcześnie, nie doczekawszy nawet czwartorzędu, o czem świadczy dowodnie fakt, iż brak ich kopalnych resztek w dotychczas zbadanych pokładach tej epoki. Inne odmiany czy nawet gatunki przeżyły dłuższe okresy, przetrwały cały czwartorzęd, ale dzisiaj spotykamy je już tylko w drobnej liczbie osobników, cały gatunek wymiera i w niedługiej przyszłości stanie się tylko zabytkiem muzeów. Trzecia wreszcie grupa naczelnych pojawiła się na ziemi przed człowiekiem, przeżyła z nim następne

[1]) Cfr. P. Termier: *L'ancienneté de l'homme*. Revue universelle 15. VI. 1925.

G. G. Mac Curdy: *Human origins*. New-York. 1926 T. I. str. 301—310.

okresy i dzisiaj jeszcze jest jego sąsiadem, to znane wszystkim małpy. Wśród nich uderzają przedewszystkiem małpy bezogonowe, dla swego dość uderzającego podobieństwa z człowiekiem, nazwane antropoidalnemi. Nie ulega wątpliwości, iż małpy bezogonowe żyły już w połowie trzeciorzędowej epoki, spotykamy bowiem ich kopalne szczątki w warstwach miocenu, a można przypuszczać, że jeszcze starsze małpy o drobniejszych kształtach, odnalezione w pokładach oligocenu, były przodkami małp antropoidalnych.

Otóż gdyby udało się związać wspólną genealogją człowieka i bezogonowe małpy, istnienie ludzkości w trzeciorzędzie stałoby się naukowym pewnikiem. I istotnie popularna w kołach skrajnego ewolucjonizmu hipoteza głosi, iż człowiek i antropoidalna małpa mieli w odległej przeszłości wspólnego zwierzęcego przodka. [1]) Z tego zagadkowego zwierzęcia drogą kolejnej ewolucji i poprzez szereg form przejściowych rozwinął się równolegle w jednym kierunku człowiek a w drugim najwyższa gromada małp. Hipoteza ta stała się dla wielu uczonych dogmatem, konsekwentnie więc przeniesiono narodziny człowieka w trzeciorzęd, którego trwanie oblicza Dana na trzy miljony lat (?).

Decydującym jednak ciosem dla tej hipotezy jest właśnie uderzający brak owych form przejściowych, kiedy chodzi o genealogję człowieka. Nowożytna antropologja nie zna nietylko kopalnego człowieka z trzeciorzędu, ale także nie odnalazła dotychczas kopalnego małpoczłeka, któryby stanowił ogniwo między człowiekiem a owym zwierzęcym przodkiem, choć nie brak jej, jak wspomnieliśmy wyżej, kopalnych małp w okresie trzeciorzędowym. Stąd gorączkowe, choć dotychczas bezowocne poszukiwania za kopalnym małpoczłekiem. Niemałą senzację wywołał wprawdzie swego

[1]) A. L. Kroeber: *Antropology,* London 1923. Str. 13 — 15.
J. Deniker: *Les races et les peuples de la terre.* Paris 1926. Str. 17—36.
J. de Morgan: *La préhistoire orientale.* Paris 1925. T. I. Str. 29.
„L'homme appartient-il à la classe zoologique des primates? Le singe et lui ont-ils eu un ancêtre commun? Les données de la paléontologie, de la zoologie et de la biologie, appliquées à d' autres groupes animaux portent à le croire, en font une presque certitude; mais, jusqu'à ce jour, aucune preuve matérielle irréfutable n'est venue transformer en évidence cette hypothèse très rationnelle".

czasu małpoczłek, względnie jego bardzo zredukowane szczątki (czerep czaszki, kość udowa i kilka zębów) odnalezione przez Dubois na Jawie. Dziś jednak kwestja ta jest zupełnie przesądzoną przynajmniej w świecie uczonych. De Morgan, zdecydowany wprawdzie ewolucjonista, ale dbający o swą naukową powagę prehistoryk, u kresu swych trzydziestoletnich archeologicznych badań, pisze te znamienne słowa:

...„Jedynie *Pithecanthropus* z Jawy zasługuje na uwagę. Dubois, jego odkrywca, sądzi, iż pokłady, w których znaleziono kości, należą do górnego pliocenu, tymczasem geologowie, którzy studjowali tę kwestję na miejscu, zgadzają się, iż pokłady wspomniane należą do niższego pleistocenu (czwartorzęd). [1]) Jakkolwiek przedstawia się sprawa, *Pithecanthropus erectus* jest małpą, jego obecność w pliocenie byłaby zatem rzeczą całkowicie naturalną, jeżeli zaś należy do czwartorzędu, to fakt, iż tem samem jest współczesny człowiekowi, wykazuje oczywiście, iż za przodka naszej rasy uznać go nie można. Tak tedy nie posiadamy żadnego naukowego dowodu na istnienie człowieka, lub małpoczłeka jego przodka, w okresie trzeciorzędowym". [2])

Paleontologja więc współczesna i antropologja odrzucić musi, dla braku wszelkich dowodów, twierdzenie o istnieniu człowieka trzeciorzędowego. Czy jednak archeologja prehistoryczna koniecznych dowodów zestawić nie zdoła? W dziedzinie tej wiedzy na pierwsze miejsce wysuwa się

---

[1]) Volz i Martin sądzą, iż pokłady, w których znaleziono „małpoczłeka", należą do średniego czwartorzędu. Elbert twierdzi, iż należą one do czwartorzędu niższego. Blanckenhorn, towarzysz pani Selenka w wyprawie na Jawę, umieszcza rzeczone pokłady na przełomie trzecio i czwartorzędu. Obecnie przyjmuje się tezę, iż są one współczesne mindelieńskiej fazie lodowcowej w czwartorzędzie, zaś ów rzekomy małpoczłek jest okazem potężnego gibbona.

Cfr. Th. Mainage: *Les religions de la Préhistoire.* Paris 1921. Str. 44, nota 71.

[2]) De Morgan op. cit. str. 15.

J. Deniker op. cit. str. 442 — 3, trzyma się jeszcze starszej teorji: „...d'autres et nous sommes du nombre, le (Pithecanthrope) tiennent pour un être plus rapproché de l' homme que des singes anthropoïdes, ou bien même pour un homme d'une race inférieure à toutes celles qui existent".

kwestja słynnych eolitów.[1]) Eolitami nazwano odłamki krzemienia, rzekomo obrobione przez człowieka a znalezione w pokładach trzeciorzędowych. Jest zaś rzeczą oczywistą, iż jeśli w trzeciorzędzie spotkamy istotnie jakiekolwiek ślady ludzkiej kultury, to musiał istnieć w owym okresie także i jej twórca: człowiek.

Wiadomo, iż pierwsze eolity odnalazł ks. Bourgeois w r. 1867 w Thenay i wnet zapoznał z swem odkryciem ówczesny świat naukowy. Niebawem, jakby pod działaniem czarodziejskiej różdżki, zaczęto je znajdować masowo w rozmaitych miejscach, zwłaszcza w Otta w Portugalji i w Puy-Courny w pobliżu Aurillac. Dokoła tych odłamków krzemienia wywiązała się namiętna dyskusja, a uczeni tej miary co de Mortillet i de Quatrefages bronili z zapałem autentyczności eolitów, a tem samem głosili tezę o istnieniu człowieka w epoce trzeciorzędowej. Inni prehistorycy odnieśli się do całej tej sprawy z nietajonym sceptycyzmem.[2]) Już bowiem wówczas dokładniejsze badania tajemniczych eolitów nasuwały poważne trudności. Zauważono między innemi, iż na owych odłamkach krzemiennych trudno się dopatrzeć śladów pracy ludzkiej, mianowicie jakiejś celowości uderzenia i planu w przeprowadzonych poprawkach. To też najśmielsi z sceptyków głosili z przekąsem, iż w masie pokruszonych na drogach publicznych kamyków znaleźć można okazy mające o wiele więcej pozorów ludzkiej pracy niż owe krzemienie z Thenay. Pęknięcia, na które tak wielki kładziono nacisk, mogły być wywołane chemicznem działaniem wody lub zmianą temperatury, zaś drobne szczerby można w zupełności wytłumaczyć czynnikiem mechanicznym, np. tarciem krzemienia o skały w łożysku wartkich potoków. Przytem znajdowano owe krzemienie w iłach w Thenay całemi tysiącami, tak iż sama ta obfitość stawała się żenującą, gdyż trudno było zrozumieć, pocoby przedhistoryczny człowiek miał wyrabiać taką masę tych niby narzędzi. Do tego w po-

[1]) Cfr. Abbés H. Breuil, A. et J. Bouyssonie: art. *Homme*, w *Dictionnaire Apologétique*. (A. d'Alès), kolum. 464, 465.
G. G. Mac Curdy; op. cit. t. I. Str. 86 — 102.
H. Obermaier: *El hombre fósil*. 2 edic. in 4° Madrid 1925, str. 1 — 20.

[2]) Cfr. J. Guibert: *Początki*. Wilno, in 8°, str. 317. sq.

bliżu krzemieni nie znaleziono absolutnie żadnych śladów ludzkiej gospodarki w formie palenisk czy też potrzaskanych kości. Ostatecznie więc cała dyskusja przycichła.

Dopiero przed kilkunastu laty nierozstrzygnięty spór rozgorzał na nowo. Znowu i to w różnych okolicach poczęto odkrywać eolity. Rutot, belgijski geolog, konserwator przyrodniczego muzeum w Brukseli, rozpoczął z temperamentem kampanję i w szeregu głośnych publikacyj usiłował bronić tezy, iż eolity są tworem ludzkiego przedhistorycznego przemysłu. W przemyśle tym nawet wyróżnił trzy fazy: reuteliеńską, mafflieńską i mesvinieńską, zależnie od trzech największych ognisk eolitycznych. Uczeni zaś tej miary, co Hardy, Arcelin, Boule, Laville wysunęli nowe i dawne zarzuty przeciw autentycznej wartości rzeczonych krzemieni. Ostatecznie przypadek, nie mający nic wspólnego z prehistorją, rozstrzygnął ożywione spory. W fabryce cementu w Mantes zauważono, iż krzemienne kamienie pomieszane z wapieniem i wleczone w korytach wodnych zapomocą specjalnej brony żelaznej z szybkością 4 m. na sekundę, czyli w wolniejszem tempie niż w górskich potokach lub wezbranych rzekach, po upływie 29 godzin nabierały form najautentyczniejszych eolitów, do tego stopnia, iż Rutot nie był w stanie odróżnić krzemieni pochodzących z cementarni od swych eolitów, wystawionych na pokaz w muzeum. Geneza zatem formy eolitów, wynikająca z wpływów czysto mechanicznych, stała się rzeczą wprost oczywistą.[1])

Tak tedy skończył się słynny spór o eolity, przypominający żywo współczesną nam a niemniej głośną dyskusję na temat senzacyjnych wykopalisk w Glozel, które miały wykazać, iż człowiek przedhistoryczny posiadał (na terenie Francji) swe oryginalne pismo. A. Rutot znajdzie się najprawdopodobniej w towarzystwie Reinacha. Zatem i archeologja nie zdołała dotychczas przedłożyć pewnego dowodu na istnienie człowieka w trzeciorzędowej epoce. Wobec tego istnienie człowieka trzeciorzędowego możemy obecnie z całą ścisłością naukową przenieść w zakres antropolo-

[1]) S. H. Warren: *A natural eolith factory beneath the Thanet Sand.* „Quart. Journ. Geolog. Soc. of London". T. 86. 1921.

gicznej legendy i wyłączyć ją poza nawias problemu chronologji człowieka, odmładzając go tem samem o kilkadziesiąt tysięcy lat. [1])

Zdajemy jednak sobie doskonale sprawę z tego, iż argumentacja nasza jest wyłącznie negatywną i jako taka nie wystarcza do pozytywnego zbudowania tezy. Z faktu bowiem, iż dotychczas nie znaleziono śladów ludzkich w epoce trzeciorzędowej, nie wynika bynajmniej absolutna pewność, iż człowiek w owym okresie nie istniał. Stojąc więc na stanowisku dotychczasowych naukowych badań nie zamykamy oczu na tę okoliczność, iż archeologja prehistoryczna, jak słusznie zauważa Guibert, zbyt jeszcze jest młodą i początkującą byśmy mogli łudzić się pewnością, iż nie zgotuje ona nam wielkich, może i olbrzymich, niespodzianek w niezbyt odległej przyszłości.

Z dotychczasowych wywodów wynika, że kwestję chronologji ludzkiego rodzaju możemy śmiało zacieśnić do pleistocenu czyli czwartorzędowej epoki. Istnieje bowiem całkowita zgodność wśród prehistoryków wszelkich odcieni, iż człowiek zamieszkiwał Europę z całą pewnością dopiero we wczesnym okresie pleistocenu. Zaznaczyliśmy jednak we wstępie, iż okres ten obejmuje całe setki wieków, rozkłada się na szereg kolejnych faz, to też dążąc do określenia względnej starożytności człowieka musimy koniecznie wyznaczyć z możliwą ścisłością w jakiej to właśnie fazie owej rozległej epoki należy szukać początków ludzkości.

Możemy słusznie przypuszczać, iż z chwilą, gdy człowiek pojawił się na danym obszarze, musiał po sobie zostawić jużto swoje kości, już też przynajmniej pewne ślady swej kulturalnej, może najprymitywniejszej gospodarki. Ślady te choćby zredukowane do minimum, przechować musiała w swym łonie ziemia. Istotnie natrafiamy na nie w celowych poszukiwaniach, częściej zupełnie przypadkiem. Otóż stratygrafja wzkaże nam, w jakich to właśnie warstwach zna-

[1]) Co najmniej dziwnem musi się wydać twierdzenie M. C. Burkitt'a: „The Theories of biologists have required, and the Eolithic implements in East Anglia have lately demonstrated, the almost certain existence of pre-glacial Man". — *Prehistory*, in 8° Cambridge, 1925, str. 175.

leziono pierwsze niezawodnie ślady ludzkie, zaś geologja, łącznie z innemi naukami, określi wiek owych doniosłych pokładów. Na tych zbiorowych wynikach będziemy mogli dopiero oprzeć prawdopodobne chronologiczne rachunki.

Pierwsze najstarsze narzędzia, których używał człowiek dla zaspokojenia najelementarniejszych potrzeb były sporządzone z drzewa i z kamienia. Oczywiście wszelkie narzędzia drzewne przepadły niestety bez śladu, to też obecnie można mówić tylko o narzędziach kamiennych, one też są jedynym i najstarszym spadkiem po przedhistorycznych przodkach. Pierwsze łupanie krzemienia było niesłychanie prymitywne. Zbierając krzemienne skałki, długie na 10 do 30 cm., jaskiniowy człowiek uderzał gwałtownie jedne o drugie, by po wzajemnem poobijaniu zachować dla swego użytku odłamki ostre i kolczaste. Narzędzie takie służyło za broń w polowaniu na dzikie zwierza czy w walce obronnej, mogło też zastąpić nóż przy ćwiartowaniu zdobyczy, wszak ostre kanty krzemienia mogą iść w zawody z stalą. Zczasem nadawano odłamkom krzemiennym formę staranniejszą, przypominającą wielki migdał, przyczem koniec grubszy służył za rękojeść. Często także jawią się narzędzia krzemienne o formie nieco wydłużonej, kończące się ostrym kolcem lub sztyletem, albo zaopatrzone w jedną krawędź ostrą oraz nieco zakrzywioną, to tak zwane kamienne topory. Wszystkie te narzędzia tworzą kulturę paleolityczną, są jej najlepszym wzkaźnikiem. Zastosowanie kości ryb, zwierząt, w szczególności słoni, upodobania artystyczne, jak rysunki i malowidła ścienne, rzeźby, modelowanie i stroje jawią się dopiero znacznie później. Jeszcze później pierwotny człowiek nauczył się gładzić krzemień i wyrabiać z niego prawdziwie zgrabne i użyteczne narzędzia, o formach najrozmaitszych nieraz uderzających artyzmem. To epoka tak zwanej kultury neolitycznej. Nakoniec dopiero jawi się w rękach człowieka narzędzie z miedzi i mosiądzu, a wreszcie z żelaza.

Już sam charakter wspomnianych narzędzi mówi o ich względnym wieku. Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że im prostsze są narzędzia, z im mniej wybrednego materjału są sporządzone, tem i kultura, której są one niezawodnym wykładnikiem jest prostszą i bardziej pierwotną. Bez naj-

mniejszego wahania możemy w tym wypadku stosować prawo ewolucji od form mniej doskonałych do bardziej udoskonalonych. Trudno bowiem przypuścić, żeby człowiek, który w przemyśle osiągnął już pewne stadjum rozwoju, nagle czy stopniowo wyrzekał się płynących z niego korzyści i wracał do form pierwotnych. Nikt żelaza nie zastępuje kamieniem czy drzewem, chyba z konieczności. Ale prócz samej natury narzędzi posiadamy jeszcze inny bardziej niezawodny środek do ocenienia ich względnego wieku. Środkiem tym jest stratygraficzny układ warstw, w których odkryto prehistoryczne narzędzia. Im starsza geologicznie warstwa, tem starszem jest również narzędzie w niej tkwiące.

Otóż najstarsze, mniej więcej sobie współczesne ślady gospodarki ludzkiej, odnaleziono dotychczas w zachodniej Europie w Mauer, koło Heidelbergu (r. 1907), w Chelles w pobliżu Paryża i w St. Acheul koło Amiens (r. 1839), wreszcie w Piltdown w prowincji Sussex w Anglji (r. 1912). Ani w Chelles ani też w St. Acheul, podobnie, jak w świeżo odkrytych paleolitycznych ogniskach wschodniej Azji[1]) czy północnej Afryki, nie odnaleziono kości ludzkich.

Mimo to nie ulega dzisiaj żadnej wątpliwości, iż człowiek paleolityczny żył w tym okresie nietylko w zachodniej Europie oraz północnej Afryce, ale także, może przedewszystkiem, w wschodniej oraz środkowej Azji. Ks. Bovier Lapierre T. J. zdołał wykazać na międzynarodowym kongresie geograficznym w Kairo (r. 1925), iż w dolnym Egipcie żył szeleński człowiek, gdyż zostawił *in situ,* to znaczy w stratygraficznie dających się ściśle określić warstwach, swoje kamienne narzędzia. Pierwsze to w tych okolicach tego rodzaju odkrycie. Narzędzia musteryjskiej kultury są tutaj całkiem wyraźnie rozłożone w warstwach wyższych, zaś zabytki kultury szeleńskiej w pokładach geologicznie bezwątpienia starszych. Wszystkich narzędzi paleolitycznych odnalazł ks. Bovier w samej delcie nilowej w pobliżu Abasijeh

[1]) Bardzo doniosłe odkrycia paleontologiczne, dokonane na terenie wschodniej Azji przez misję francuską, której kierownikiem jest ks. E. Licent T. J., opisaliśmy w „Przeglądzie Pow." t. 171 (1926) „Śladami wielkiego odkrywcy", str. 182—202.

około tysiąca autentycznych sztuk. Analogiczne a epokowe odkrycia ks. Licent T. J. odsłoniły na terenie wschodniej Mongolji kilka autentycznych i wcale bogatych ognisk kultury paleolitycznej.

Na podstawie narzędzi kamiennych możemy zatem w najogólniejszych zarysach określić typ szeleńskiej i aszeleńskiej kultury. Jest to najstarsza i najprymitywniejsza, znana nam dotychczas, kultura człowieka na ziemi. Jak wyglądał ów człowiek, odpowiedzieć narazie nie można. Cała bowiem nasza peleoantropologiczna znajomość szeleńskiej epoki opiera się wyłącznie na zredukowanych prawie do minimum szczątkach kostnych człowieka z Piltdown oraz Mauer.

W Mauer odkryto jedynie dolną szczękę o budowie anatomicznej, przypominającej niewątpliwie małpy antropoidalne i to w wyższym stopniu aniżeli chronologicznie późniejsze szkielety z Neanderthal. Natomiast w Piltdown, w pokładach geologicznie albo współczesnych człowiekowi z Mauer albo też nieco późniejszych, znaleziono czerep czaszki, stojącej pod względem anatomicznym znacznie wyżej niż czaszki neandertalskie. Stąd wniosek dość oczywisty, iż już w epoce szeleńskiej, której wysoka starożytność nie ulega żadnej wątpliwości, żyły w krajach zachodnio europejskich przynajmniej dwie rasy odmienne i silnie zróżnicowane. Jeśli do tego zwrócimy uwagę na fakt, iż ogół uczonych nie uznaje Europy za pierwotną kolebkę ludzkości, to znowu wniosek całkiem oczywisty, iż niemało czasu musiało upłynąć, zanim człowiek rozrodził się liczebnie na odległych terenach Azji, zanim przywędrował na europejski Zachód, dotarł na jego krańce, rozmnożył się i zagospodarował — choćby jak najprymitywniej. Zatem jakkolwiek najstarsze szczątki ludzkie nie przekraczają szeleńskiej epoki, musimy dojść do przekonania, iż człowiek preszeleński nie jest bynajmniej tylko możliwością,

Jakżeż jednak określić wiek tej najstarszej rasy czy, jeśli kto woli, tych najpierwotniejszych ras ludzkich? Obok szczątków ludzkich oraz kamiennych narzędzi ludzkiej gospodarki, odnaleziono w tych samych pokładach kostne resztki współczesnego człowiekowi zwierzęcego świata.

Faunę tę nazywają paleontologowie fauną ciepłą, gdyż mogła ona żyć jedynie w klimacie stosunkowo bardzo ciepłym. Wszak nawet na terenie dzisiejszej Belgji spotykamy w owym odległym okresie pierwotnego słonia, nosorożca Merck'a, oba te zwierzęta posiadają skórę gładką, dalej hippopotama, wielkiego bobra, *trogontherium* i t. d. W pokładach zaś wyższych, więc geologicznie młodszych, wymienione gatunki zwierząt znikają kompletnie. Nie spotykamy ich wcale w okresie człowieka z Neanderthal. Na ich miejsce jawi się natomiast mamut oraz nosorożec *tichorhinus,* oba gatunki opatrzone długim włosem, obok nich występuje jaskiniowy lew i niedźwiedź, nakoniec liczne trzody bizoniów oraz dzikich koni. Dowód to najoczywistszy, iż w międzyczasie klimat europejski uległ znacznej zmianie, miejsce gorąca zajął chłód, a potem gwałtownie rosnące zimno. Co było przyczyną owego oziębienia, dotychczas nie ustalono. Porzucono wprawdzie już dzisiaj astronomiczne teorje, tłumacząc raczej rosnące mrozy nagłem wychyleniem się między Europą a Ameryką potężnego lądu, który ciepłe atlantyckie prądy powstrzymał od północnych brzegów Europy. Obok tej jednak hipotezy istnieje innych trzydzieści i kilka, a sama ta liczba świadczy najwymowniej o trudności zagadnienia. W każdym razie stajemy wobec zagadkowego zjawiska lodowców, jednego z najpotężniejszych wydarzeń, które jawiąc się pod koniec trzeciorzędu, osiąga swe maksimum w czwartorzędowej epoce. Przypomnijmy najważniejsze fakta.[1])

Cztery zalewy lodowców, ruszających w drogę z północnych okolic arktycznych, nawiedziły kolejno północną Europę oraz północną Amerykę. Jeden z nich ogarnął Rosję, Danję, Niemcy aż po Saksonję, sięgnął nawet Londynu, przebywając z łatwością słabe zagłębienia Bałtyku oraz morza północnego. Następnie lodowce cofnęły się tak daleko, że warstwy aluwjalne czyli napływowe, pozostały jako niemy świadek nawet na erratycznym gruncie północnych Niemiec. W Ameryce sięgnął jeden z zalewów lodowych poniżej New-Yorku i St. Louis. Równocześnie potężne lodowce alpejskie

[1]) Cfr. de Morgan: op. cit. t. I. chap. V. str. 57—109.
G. G. Mac. Curdy: op. cit. t. I. chap. II. str. 29—57.

staczały się szerokiemi dolinami na równiny, dotknęły dzisiejszego Monachjum, Lyonu, zaś lodowce pirenejskie spłynęły poza granice dzisiejszego Lourdes.

Niema dotychczas zgody pośród geologów co do liczby lodowcowych zalewów. Penck i Brückner, opierając się na badaniach alpejskich, rozróżniają cztery; Boule, który uwzględnia specjalnie aluwjalne terasy pirenejskich zboczów, rozróżnia trzy; Geikie, opierając się na badaniach terenów angielskich, wymienia aż sześć; berliński prof. Wieger wprowadził niedawno pewne nowe zmiany, daleko głębsze proponuje wiedeński prof. Bayer w swem ostatniem dziele.[1]) Mimo to najpowszechniej przyjętą jest nadal klasyfikacja Pencka, pokrywająca się prawie z klasyfikacją Boule'a i Obermaiera, jej także trzyma się Goury w swem najnowszem dziele.[2]) Według niej dwa ostatnie zalewy lodowców alpejskich otrzymały nazwę epoki rissieńskiej oraz würmieńskiej. Między drugim zrzędu zalewem mindelieńskim a rissieńskim, jak również między rissieńskim a ostatnim würmieńskim istniały długie fazy międzylodowcowe. Perjod, który nastąpił po lodowcowym zalewie würmieńskim, nazwano okresem polodowcowym. Przyszłość jednak pokaże, czy okres, w którym i my dzisiaj żyjemy, nie jest przypadkiem tylko nową fazą międzylodowcową.

Następstwo faz lodowych oraz międzylodowcowych ułatwia ogromnie chronologję czwartorzędowej epoki, a konsekwentnie także i ludzkości.[3]) Jeśli np. odnajdziemy ślady gospodarki ludzkiej na geologicznym terenie, powstałym wskutek würmieńskiego zalewu, to możemy z całą pewnością orzec, iż człowiek ów żył w perjodzie polodowcowym. Jeśli zaś napotkamy narzędzia kamienne czy też szczątki ludzkie na terenie pokrytym lub okolonym przez würmieński lodowiec, to dowód oczywisty, iż człowiek ów żył w międzylodowcowej fazie po ustąpieniu rissieńskiego lodowca. Obecność charakterystycznej fauny w tych samych pokła-

[1]) Dr. Joseph Bayer: *Der Mensch im Eiszeitalter.* Wien 1927. Nie uznaje on rissieńskiej epoki Pencka.

[2]) G. Goury: *Précis d'Archéologie préhistorique.* Origine et l'Evolution de l'homme. Paris. Picard. 1927.

[3]) Cfr. Mainage: op. cit. str. 15 sq.

dach ułatwia bardzo orjentację. To znowu zdarzyć się może, iż szczątki ludzkiej kultury są ściśle złączone z geologiczną formacją, będącą wynikiem działania rissieńskiego lodowca, w tym wypadku człowiek ów był prawie współczesnym, ściślej mówiąc, nieco młodszym od potężnego rissieńskiego zalewu. Mogłoby się wreszcie zdarzyć, iż ślady gospodarki ludzkiej tkwiłyby na geologicznym terenie, pokrytym następnie przez rissieński lodowiec, czy nawet mindelieński. Otóż takiego wypadku nie zanotowały prehistoryczne roczniki. Nigdzie dotychczas, i to na całym świecie, nie odkryto, nietylko kostnych szczątków człowieka ale nawet najdrobniejszych śladów gospodarki ludzkiej, na alluwjalnych terasach czy morenach mindelieńskiego lodowca. Stąd wniosek dzisiaj naukowo pewny i przez nikogo prawie, jeśli chodzi o fakt, nie kwestjonowany, że pojawienie się człowieka na ziemi należy, prowizorycznie aż do nowych a możliwych odkryć, przenieść w trzecią czyli porissieńską fazę międzylodowcową. Człowiek więc nietylko nie żył w epoce trzeciorzędowej, ale nadto nie był świadkiem potężnego zalewu lodowców w rissieńskim perjodzie.

Otóż opierając się na wyżej podanym geologicznym schemacie, którego ścisłości niewiele można zarzucić, ustalono, iż cały paleolityk niższy czyli starszy (kultura szeleńska i aszeleńska, człowiek z Mauer oraz Piltdown) jest współczesny porissieńskiej fazie międzylodowcowej; paleolityk średni (kultura musteryjska, człowiek z Neanderthal) jest współczesny z ostatnim würmieńskim zalewem lodowców; zaś paleolityk młodszy (kultura orinjacka, rasa z Grimaldi; solutrejska i magdaleńska, rasa Cro-Magnon) rozwinął się w pierwszym okresie perjodu polodowcowego, dalsze jego etapy stanowić będzie przejściowa kultura azylijska, neolityczna, metalowa wreszcie nasza historyczna.

Ponieważ cały powürmieński perjod mniej nas narazie interesuje, ile że nie pozostaje w ściślejszym związku z początkiem a konsekwentnie i wiekiem ludzkości, moglibyśmy jeszcze postawić pytanie, jak należy chronologicznie sklasyfikować niższy czyli starszy paleolityk?

Nie ulega wątpliwości, iż aszeleńska kultura jest nieco młodszą od rissieńskiej epoki lodowców, świadczą o tem

dobitnie choćby krzemienie z Conliège, słynne w rocznikach prehistorycznej archeologji. Ale rodzi się kwestja, w jakim stosunku czasu pozostaje do tej kultury kultura szeleńska?

Do ostatnich lat twierdzono, iż kultura szeleńska jest bezpośrednio starszą od kultury aszeleńskiej, twierdzenie to utrzymuje się dotychczas. Interesującem jest jednak w tym względzie spostrzeżenie Ch. Depéret'a. [1]) Już Boule wykazał przekonywująco, iż każdy zalew lodowcowy powodował podniesienie się powierzchni morza, a każdorazowemu zniknięciu lodowców odpowiadało obniżenie się powierzchni wód morskich. Obniżenie to powodowało konsekwentnie przyspieszony spad wód rzecznych, a co zatem idzie potęgowało działanie erozji. Wynikiem tego faktu jest drugi fakt niemniej ciekawy, iż żłobienie rzecznych oraz lodowcowych teras jest sobie współczesne, odbywało się równolegle, a zatem da się zsynchronizować, przynajmniej w znacznem przybliżeniu. Na ten chronometr zwrócił specjalną uwagę znany prehistoryk Depéret. Wykazał on mianowicie, iż w aluwjalnych terasach rzecznych wysokość 30 metrów odpowiada rissieńskiej epoce lodowej, podczas gdy wysokość 18 m. jest współczesna z perjodem würmieńskim. Rzeki zatem (przynajmniej francuskie) płynęły w rissieńskiej epoce po terenie o 30 m. wyższym ponad koryta dzisiejsze. A otóż właśnie ognisko paleolityczne z St. Acheul znajduje się w wierzchołkowej warstwie 30-sto metrowej terasy, podczas gdy ognisko z Chelles tkwi u podstawy 18-sto metrowej terasy. Stąd wniosek Depéret'a, iż kultura aszeleńska, sięgająca początków zaniku rissieńskiego lodowca, jest starszą od kultury szeleńskiej, przypadającej na połowę porissieńskiej fazy międzylodowcowej.

Oczywiście można temu twierdzeniu postawić dość liczne zarzuty, przedewszystkiem wytknąć niezbyt rozległą podstawę obserwacyjną, w każdym razie może ono posłużyć za próbkę, jak niesłychanie trudną sprawą jest ustalenie chronologji, nawet względnej, w okresie czwartorzędowym.

Przeglądnęliśmy w pobieżnym szkicu najważniejsze fakta, oraz oparte na nich hipotezy, odnoszące się do względnej

---

[1]) Cfr. P. Termier: l. c.

chronologji ludzkości. Wykazaliśmy, iż istnienie człowieka w epoce trzeciorzędowej jest narazie czystą hipotezą, opierającą się jedynie na mniej lub więcej prawdopodobnych dedukcjach. Z całą pewnością jawi się człowiek dopiero w czwartorzędzie, mianowicie w międzylodowcowej fazie, dzielącej dwa lodowcowe zalewy, rissieński oraz würmieński. Można z pewnem prawdopodobieństwem przypuszczać, iż jego początki sięgają nawet okresu rissieńskiego zalewu. Nadto wiek szeleńskiej rasy możemy nawet nieco podnieść, uwzględniając czas konieczny na rozmnożenie się ludzi i ich wędrówki z Azji do Europy. Czas ten jednak będzie drobnostką w porównaniu z trwaniem poszczególnych okresów czwartorzędowych; można go obliczać na wieki, podczas gdy te ostatnie trzeba rozłożyć na lat tysiące.

Spontanicznie więc jawi się uparte pytanie: ileż zatem lat temu zjawili się ludzie na ziemi? Kiedyż to była owa międzylodowcowa faza, która patrzyła na szeleńską, względnie aszeleńską rasę? Wkraczamy na teren absolutnej chronologji ludzkości, teren niesłychanie grząski, na którym z ogromną żywotnością krzewi się domysł, hipoteza, a nawet chwast błędu. Wystarczy przeglądnąć pobieżnie projektowane przez różnych uczonych chronologje, by nas rozgrzeszyć z zarzutu przesady.

Rozkładają się one na szerokiej skali, przebiegając od przesadnego maksimum do niewystarczającego minimum. Znany antropolog angielski Keith, który specjalnie zajmował się badaniem człowieka z Piltdown, rozpoczyna serję rekordów. Na ewolucję jednej tylko rasy z Neandethal naznacza maksymalnie 500.000 lat; Penck oblicza istnienie ludzkości na 500.000 lat; Soergel na 300.000; de Mortillet twierdzi, iż człowiek istnieje na ziemi od 240.000 lat; Hansen, podobnie jak R. Schmidt, naznacza jego istnieniu 200.000 lat; Rutot 130.000; J. Bayer 125.000; Haeckel 100.000; Burmeister twierdzi, iż Egipt był zaludniony już od 72.000 lat i t. d.

Po ewolucjonistycznej licytacji cyfr chronologja wieku ludzkości topnieje do rozumniejszych rozmiarów. I tak P. Termier dochodzi do wniosku, iż gatunek ludzki istnieje od 35, 40, a może 50.000 lat; wybitny geolog de Lapparent

przyjmuje 30 do 32.000 lat; znany egzegeta anglikański Driver twierdzi, iż obliczenia nawet najbardziej umiarkowane nie mogą opiewać poniżej 20.000; Mainage przyjmuje 13 do 14.000 lat; de Nadaillac, Schafhausen, Waagen 10 do 12.000 lat i t. d.

Wreszcie obliczenia oparte na chronologji biblijnej wahają się między 4 do 6.000 lat przed Chrystusem.

Na czem opierają się wspomniane co tylko chronologiczne obliczenia?

Pomijam czasy historyczne ludów europejskich, które nie sięgają wyżej jak 3.000 lat przed Chrystusem. Historja innych ludów, na pierwszem miejscu azjatyckich, przeniesie nas, po odrzuceniu elementu mitycznego, najwyżej na 5 do 6.000 lat przed Chrystusem. Oczywiście sztuka oraz wiedza najstarszych historycznych ludów każą przesunąć znacznie dalej początki ludzkości. Cały neolityk czyli okres kultury gładzonego kamienia nie sięga dalej jak 8 do 12.000 lat. Na cyfrę tę zgadza się ogół uczonych nawet wygórowanych w swoich żądaniach, jak prof. Bayer. Cały zatem spór i licytacja cyfrowa przenosi się w okres paleolityku, a osią zagadnienia jest chronologiczna ocena zalewu lodowców oraz ich kolejnego topnienia.

Otóż jednym z najgłówniejszych chronometrów dla zwolenników cyfr wygórowanych jest minimalna prędkość, z jaką posuwają się współczesne lodowce.[1]) — W Szwajcarji średnia szybkość lodowców alpejskich wynosi 110 m. na rok. Na Kaukazie tylko 40. Ileż zatem trzeba było czasu, by czwartorzędowe lodowce pokryły tak olbrzymie przestrzenie? Rachunek jednak jest dosyć wadliwy, gdyż owe lodowce były olbrzymami, o których dzisiaj mamy zbyt słabe pojęcie. Wszak już w Groenlandji lodowce posuwają się z średnią szybkością około 300 m. na miesiąc.

Inny dowód opiera się na niesłychanej powolności, z jaką powstają geologiczne warstwy osadowe. De Mortillet obliczał, iż w przedhistorycznych grotach warstwy nowe, przykrywające ślady gospodarki ludzkiej powstawały z szyb-

[1]) Cfr. Mainage: op. cit. str. 51 sq.

kością 55 mm. na 500 lat. Otóż wykazano mu dowodnie, iż w tem przypuszczeniu mogły się wprawdzie zachować narzędzia kamienne, ale nigdy szczątki kostne, warunkiem bowiem bezwzględnym zachowania przed całkowitem spróchnieniem jest stosunkowo szybkie pokrycie ich dość grubą warstwą osadową.

Znany geolog angielski, Lyell, wziął za podstawę swych obliczeń wyżłobienie, spowodowane wodospadem Niagary. Lyell oparł się na założeniu, iż spady Niagary cofnęły się w ciągu ostatniej epoki o 12 km., z szybkością 30 m. na 100 lat. Trzeba było zatem 40.000 lat dla wyżłobienia w dolinie wąwozu o 12 km. Po Lyell'u inni uczeni badali to samo zjawisko, a cyfry ich wcale odmienne. Upham naznaczył robocie tej 10.000 lat, podobnie Topinard. Według tego obliczenia ostatni zalew lodowcowy sięgałby 12.500 lat.

Inni prehistorycy, opierają się w swych obliczeniach na wskaźniku biogeograficznym, oceniając trwanie epok geologicznych z rozmieszczenia, ewolucji i zaniku kopalnych roślin oraz zwierząt. Wyniki tej pracy, jak zauważa Boule, wcale mętne i niepewne.

Obliczenia astronomiczne, oparte na hipotezie, iż zjawiska lodowcowe należy przypisać odchyleniu ziemskiej orbity, już powszechnie zarzucono.

Próbowano też oprzeć chronologję ludzkości na ocenianiu stratyfikacji warstw słynnych duńskich Kjökkenmöddinger czy też skowmosesów, ale i tutaj wyniki zupełnie niezgodne i problematyczne. Co dotyczy bowiem „odpadków kuchennych", to stanowią one dziwną mieszaninę szczątków muszli, ryb, zwierząt oraz narzędzi kamiennych, wprawdzie uwarstwionych i podających w minjaturowym skrócie obraz kolejnego rozwoju fauny i ludzkiej kultury, ale początek tych warstw ogromnie trudno określić. Jeśli zaś chodzi o wspomniane torfowiska, stanowiące prawdziwe muzea, ułożone w chronologicznym porządku, to o ileby znaną była średnia szybkość narastania pokładów torfowych, mogłyby posłużyć za doskonały czasomierz. Niestety w tym najdonioślejszym punkcie zdania uczonych wcale podzielone a jeszcze trudniejsze do skontrolowania.

Na większą uwagę zasługują spostrzeżenia szwedzkiego

geologa de Geer.[1]) Wraz z swymi uczniami zbadał on sumiennie pokłady gliny oraz piasku, kióre się osadziły w ciągu wieków na dnie prabałtyckiego morza, w okresie lodowcowych roztopów. Osady te, wskutek geologicznych kataklizmów, wychyliły się zczasem, przynajmniej w części, nad powierzchnię morza, stały się integralną częścią szwedzkiego kontynentu, wzniesioną silnie ponad poziom dzisiejszego Bałtyku. Jary i przełęcze wyrzeźbione przez działanie wielowiekowej erozji odsłoniły w pionowym przekroju dzieje tych niezwykle ciekawych pokładów. Przy bliższej obserwacji zauważono, iż składają się one z ułożonych naprzemian warstw szarych, raz jasnych, to znowu ciemniejszych. Jeśli się przyjmie dość prawdopodobną hipotezę, że warstwy jasne odpowiadają osadom letnim a ciemne zimowym, wówczas otrzymalibyśmy pewny czasomierz do obliczenia wieku całych tych pokładów. Kalkulacja geologów szwedzkich opiewa na 5.000 lat dla pokładów najgrubszych, utworzonych w okresie cofania się ostatniego czwartorzędowego lodowca. Przestrzeń, którą odsłonił topniejący kolejno lodowiec, wynosi 1.000 km., to znaczy od Skanji, dokąd sięgnęła jego najbardziej wysunięta warga, aż do Norrlandu.

Analogiczne obserwacje, przeprowadzone na pokładach gliniasto-piaskowych, pozostawionych przez ostatnie zanikające lodowce czwartorzędowe na terenach Kanady, doprowadziły do podobnych rezultatów. Otóż geologowie zgadzają się naogół, iż ostatnie lodowce skandynawskie i amerykańskie odpowiadają chronologicznie würmieńskiemu lodowcowi w Alpach. Stąd wniosek prawdopodobny, iż cofanie się würmieńskiego lodowca trwało około 5.000 lat. Perjod następny, obejmujący okres od zniknięcia ostatniego lodowca aż do naszych czasów oblicza się, jak zaznaczyliśmy wyżej, na 7 do 8.000 lat. Z tego wynika, że od początków topnienia würmieńskiego lodowca, na który patrzyła rasa z Neanderthal, dzieli nas około 12.000 lat (minimum). Trzeba dodać parę tysięcy lat na okres würmieńskiego zalewu i współczesny jej rozwój neanderthalskiej rasy i musteryjskiej kultury.

Pozostaje do obliczenia porissieńska faza międzylodow-

[1]) Cfr. P. Termier: l. c.

cowa, w czasie której żył i rozwijał swą kulturę człowiek szeleński oraz aszeleński. Wiadomo, iż zalew rissieński był bezporównania silniejszy niż ostatni würmieński, konsekwentnie okres topnienia tego lodowca był daleko dłuższym; iż temperatura podwyższona nie mogła tutaj odegrać ważniejszej roli, świadczy o tem fauna „zimna" z mamutem i jaskiniowym niedźwiedziem na czele, zatem dochodzimy do konsekwentnego wniosku, iż porissieńską fazę międzylodowcową trzeba obliczać przynajmniej na jakie 8 do 10.000 lat. Ponieważ zaś człowiek aszeleński sięga prawdopodobnie jej początków, zatem do wyżej podanej cyfry 12.000 lat, trzeba dodać przynajmniej 8.000.

W tem obliczeniu zatem, przyjmując minima, otrzymujemy cyfrę 20.000 lat jako minimalne określenie wieku znanej nam dotychczas ludzkości.

Można wprawdzie tym obrachunkom zarzucić, iż anaogja między alpejskim a skandynawskim lodowcem posunięta za daleko, że würmieński lodowiec, cofając się, nie zrobił 1.000 klm, że topniał prędzej niż jego towarzysz północny, że trudno określić z całą pewnością, czy człowiek zjawił się współcześnie z początkami topnienia rissieńskiego odowca. Tak istotnie nie da się zaprzeczyć, iż mamy do czynienia tylko z hipotezą, ale dodajmy z hipotezą dość prawdopodobną. Jeśli więc na ewentualne poprawki poświęcimy z wyżej podanej cyfry jakie 2.000, to można przypuścić, iż liczbę 18,000 lat trzeba narazie uznać za ostateczne minimum wieku europejskiego człowieka, poza które chronologja oparta tak na geologji jak i prehistorycznej archeologji absolutnie cofnąć się nie zdoła.

Nie możemy oczywiście w ramach artykułu, przejść i ocenić, choćby najpobieżniej, wszystkich metod obliczania absolutnego wieku ludzkiego rodzaju. Już jednak z tego krótkiego przeglądu dość jasno wynika, na jak kruchych podstawach opierają się tak bardzo rozbieżne wyniki. Co prehistoryk, to prawie nowy system, nowa rzekomo najpewniejsza hipoteza. Istotnie chronologja wieku ludzkości nie wyzwoliła się jeszcze ze stadjum powijaków.

I dlatego właśnie nie odważamy się dogmatyzować w tem tak zaciekawiającem ale zarazem niesłychanie trud-

nem zagadnieniu. Nawet owych 15.000 lat, które, zgodnie z ostatniemi wynikami naukowych badań, podaliśmy jako minimum, nie uważamy bynajmniej za pewnik, gdyż jedno nowe odkrycie może przesunąć wiek ludzkości o tysiące lat wgłąb tajemniczej historji ziemskiego globu. Wszak właśnie na olbrzymich terenach Azji, która patrzyła na narodziny człowieka, poszukiwania kopalne nie zostały jeszcze podjęte na większą skalę, a wnosząc po ostatnich odkryciach Ks. Licent w Mongolji, czy opierając się na odkryciu pierwszego Neandertalczyka (homo galilaeensis, r. 1925) w Syrji, innego w Brokenhill w Rodezji (r. 1921), słusznie możemy oczekiwać nowych może naprawdę senzacyjnych niespodzianek.

Cóż jednak wobec tych naukowych wyników sądzić o chronologji biblijnej? Czyż tradycja chrześcijańska, określająca wiek ludzkości na 6.000 lat, nie staje w sprzeczności z nauką, czy nie obowiązuje każdego katolika w sumieniu?

Na to niepokojące pytanie odpowiadamy najpierw, iż biblja nie podaje żadnej pewnej i ściśle określonej chronologji ludzkiego rodzaju. Wszak ogół nowszych katolickich egzegetów zgodnie podtrzymuje zdanie, iż nie może być właściwie mowy o prawdziwej chronologji biblijnej w omawianej kwestji. Pismo święte podaje wprawdzie w „Księgach Rodzaju" fakt stworzenia pierwszego człowieka, ale nie określa daty tego faktu. Oznaczenie tej daty może być zatem jedynie wynikiem mozolnych obliczeń, wspartych na innych chronologicznych wskaźnikach, zawartych w księgach Starego Testamentu.

Otóż właśnie opierając się na rozmaitych wskaźnikach biblijnych chronologowie ubiegłych wieków doszli do zdumiewająco rozbieżnych wyników.

A de Vignolles (r. 1738) zestawił około 200 odmiennych obliczeń; według najkrótszego z nich miało upłynąć od stworzenia Adama aż do początków naszej ery lat 3.483; zaś według obliczenia najdłuższego lat 6.984; zatem różnica obydwu obliczeń wynosi 35 wieków. Riccioli (r. 1669) podaje 70 odmiennych systemów, a Tournemine (r. 1768) 92 systemy.

Żydzi nowocześni przyjmują za datę stworzenia Adama rok 3.761 przed Chr.; Scaliger r. 3.950; Petavius r. 3.983;

Usher r. 4.004; Clinton r. 4.138; Martyrologium rzymskie r. 5.199; Hales r. 5.411; Jakson r. 5,426; Kościół aleksandryjski r. 5.504; Kościół konstantynopolitański r. 5.510; Vossius r. 6.004 i t. d.

Widzimy najoczywiściej, iż wśród chronologistów biblijnych ten sam zamęt choć w mniejszych rozmiarach, co wśród archeologów.

Naogół wprawdzie od XVII w. przyjmowano zgodnie 6.000 lat jako datę początków ludzkości, ale jak łatwo zrozumieć nie na podstawie rozbieżnej chronologji biblijnej wchodzi tu jedynie w grę tradycja. Lecz tradycja ta nie jest bynajmniej dogmatem. Nie chodzi tu bowiem o kwestję wiary czy też obyczajów, tradycja ta nie posiada na swe poparcie żadnych orzeczeń nauczającego Kościoła. Co więcej nawet Komisja biblijna, stojąca na straży autentycznego tłumaczenia Ksiąg objawionych, pozostawia nam w tym względzie zupełną swobodę; omawiając bowiem dosyć szczegółowo kwestję początków człowieka nie poddaje żadnej daty określającej jego narodziny.

Jedyną zatem normą naszej w tem zagadnieniu opinji mogą być i powinny wyniki poważnych naukowych badań. Czy dotychczasowe a wyżej podane wyniki za takie uznać można, osądzi czytelnik.

Ks. Edward Kosibowicz T. J.

Witraże Józefa Mehoffera w kolegjacie św. Mikołaja we Fryburgu.

I.

Trzydzieści kilka lat temu, na wiosnę roku 1894, przywiozłem młodemu artyście polskiemu radosną wiadomość, że jego praca na konkursie międzynarodowym została odznaczona pierwszą nagrodą.

Za młodu odbywałem praktykę we Fryburgu i dzięki znajomości tamtejszych stosunków dowiedziałem się, że rozpisano konkurs na witraże do kolegjaty św. Mikołaja. Sprowadziłem program, namówiłem Mehoffera, aby wziął udział w konkursie, zachęcając go: „stań do konkursu, znam twój talent, napewno dostaniesz nagrodę". I tak się też stało. Każdy pojmie moją radość, gdy w parę miesięcy później dowiedziałem się o zwycięstwie krakowskiego artysty. Oto jak przypadek związał mnie z powstaniem tego wielkiego dzieła sztuki polskiej.

Z Mehofferem i Wyspiańskim zetknąłem się bliżej w roku 1888. Przy pracach nad restauracją prezbiterjum kościoła Marjackiego zostali mi oni przydzieleni przez Matejkę dla przeprowadzenia polichromji. Mając wówczas sposobność poznać wielkie ich talenty, zachęcałem ich do różnych prac.

Między innemi zamówiłem u nich witraż do głównego okna nad chórem, na wzór średniowiecznych szyb z okien prezbiterjum, przedstawiających sceny ze Starego i Nowego Testamentu. Ta wspólna ich praca została powtórnie reprodukowana w szkle i znajduje się w oknach klatki schodowej w Muzeum Narodowem w Sukiennicach. Dzieło to, ze wszech miar interesujące, tak scharakteryzował we współ-

czesnej notatce do *Czasu* pełen kultury artystycznej pisarz i krytyk K. M. Górski:

...„obydwaj artyści wykonali te kartony wspólnie, a chociaż znać tu dwie ręce i dwie głowy, to talenty ich uzupełniają się wybornie. Jeden z nich ma widoczną skłonność do charakterystyki, energicznych wyrazów i efektów; drugi jest łagodniejszy, bardziej zamiłowany w piękności, bardziej poetyczny. Na jednym kartonie wstępuje też śliczna Dzieweczka po stopniach: to Ofiarowanie Marji w Świątyni a obok widzimy Spotkanie Joachima ze św. Anną, pojęte realistyczniej, ale w starym poważnym duchu. Kompozycja ma stale tę zaletę, że skupia dobrze akcję w kilku nielicznych figurach, zdarzają się też czasem i pyszne rodzajowe rysy: podczas Ucieczki do Egiptu św. Józef prowadzi osła za uszy; na scenie Zwiastowania przeciąga się duży kot bury. Sądzę, że okna takie zrosłyby się prędko z wyobraźnią ludu i stałyby się śliczną obrazkową biblią dla Krakowa..."

Po ukończeniu restauracji kościoła Marjackiego w roku 1892, za interwencją Władysława Łozińskiego, obstalowano u tych artystów projekty na witraże do dwóch okien prezbiterjum katedry lwowskiej. Okno Mehoffera zostało wykonane i do dziś dnia zdobi lwowską świątynię.

Był więc już Mehoffer dojrzałym artystą, gdy do fryburskiego konkursu stanął. Wielkie dzieło które stworzył, przynosi chwałę imieniu polskiemu; jest jednak mało znane szerokiej publiczności polskiej. [1]) Składa się ono z trzynastu olbrzymich witraży, z których ośm ozdabia nawy, a pięć jest przeznaczonych do prezbiterjum. Niezwykłe to zjawisko, by artysta prawie całe życie pracował nad jednem dziełem, do dalekiego kraju przeznaczonem. Warto też podkreślić stałą i wytrwałą współpracę fundatorów okien fryburskich. W ten sposób talent artysty polskiego znalazł oparcie o głębokie zrozumienie wymogów sztuki u społeczności fryburskiej, tak, że nawet burza wojenna nie przerwała tego dzieła.

U nas niestety inaczej często się dzieje. Zamawiający, dla błahych i nieraz osobistych powodów, nie pozwala artyście ukończyć rozpoczętego dzieła i w inne ręce je oddaje.

[1]) Wprawdzie profesor historji sztuki we Lwowie Dr. W. Kozicki pisał o tych witrażach w *Sztukach pięknych* w zeszycie z lipca i sierpnia 1927 r. pismo to jednak, jedynie oddane sprawom estetycznym w Polsce, nie jest dosyć popierane przez nasze sfery kulturalne i wskutek tego za mało rozpowszechnione.

Witraże fryburskie mają zagranicą bogatą literaturę.[1]) Zanim jednak przystąpimy do ich opisu, należy poświęcić parę słów historji konkursu i samej kolegjacie.

II.

O. Dr. J. Berthier w takich słowach przebieg obrad przedstawia: „Przedmiotem konkursu były postaci świętych: Piotra, Jana, Jakóba i Andrzeja, które miały wypełnić pierwsze okno. Przez miesiąc projekty były wystawione. Naturalnie poglądy były różne, zależnie od tego kto je wygłaszał. A wygłaszali je wszyscy: rozumni i ci którzy za takich się mają, rutyniści i zwolennicy swobody życia, skostniali archeologowie i przyjaciele naturalnego rozwoju sztuki. Wobec dzieła Mehoffera doznawano jakby powszechnego uczucia zdziwienia, przychylnego lub nieprzyjaznego; odczuwano pewne onieśmielenie, naturalne wobec tego kolorytu, którym barwy tak żywo grały. Zauważyłem że widzowie nie zadawalniali się jednemi tylko odwiedzinami kartonów Mehoffera. Z pomiędzy czterdziestu siedmiu wystawionych projeków cztery oddzielono, jako zasługujące na bardziej szczegółową dyskusję, między niemi dzieło Mehoffera. Nie odrazu osiągnięto jednomyślność; lecz przewodniczący jury, p. prof. Rahn takiem pytaniem zagadnienie to ujął: „*Voulons nous récompenser le génie.* Takie ujęcie rzeczy było jej rozwiązaniem. Jasnem jest, że należało nagrodzić geniusz, mie-

[1]) O. Dr. Joachim Berthier: „Les vitraux de Mehoffer à Fribourg" (extrait de l'Aigle blanc) Lausanne 1916.

O. P. M. de Munnynck, Professeur à l'Université de Fribourg: „Les Vitraux de Mehoffer à la Collégiate de St. Nicolas." Fribourg en Suisse 1914.

Wiliam Ritter: „Etudes d'art étranger. Joseph Mehoffer." Paris. Société du Mercure de France. 1906.

Victor E. Bourgeois: „Fribourg et ses monuments". Fribourg, Franiere et frères editeurs. 1921.

Réné Bazin (de l'Academie Française): „Notes d'un amateur de couleurs". Tours.

Władysław Kozicki: „Józef Mehhofer". Sztuki Piękne. Lipiec, Sierpień. 1927.

Marcin Samlicki: „Józef Mehoffer". Nakładem J. Czerneckiego. Kraków. 1912.

liśmy zaś przed sobą tylko jedno dzieło naprawdę niezwykłe, dzieło Mehoffera".

O. Berthier kończy opis swój temi słowami: „Taki jest ten pierwszy witraż, który zdobył palmę zwycięską na konkursie i przez który nasz artysta zdobył sobie odrazu stanowisko pomiędzy pierwszymi współczesnymi mistrzami. Mehoffer zainaugurował tutaj niejako sam siebie. Narzucił się z przewagą, która mu odtąd zawsze towarzyszy. Bogactwo pomysłów, żywa, drgająca sharmonizowanemi barwami kompozycja, zadziwiająco swobodny i łatwy rysunek, oto co było początkiem poematu, który miał przeprowadzić w całości."

III.

Kolegjata św. Mikołaja we Fryburgu jest pomnikiem gotyckim, którego fundacja odnosi się do roku 1283. Jak wszystkie katedry średniowieczne, nie została ta świątynia odrazu wybudowaną. Nawę główną ukończono w połowie XV w., a wieżę około roku 1500. Dzisiejsze sklepienie prezbiterjum pochodzi z roku 1630, co do planu zaś, to kościół podobny jest układem do krakowskiego kościoła N. P. Marji. Składa się z nawy głównej o pięciu przęsłach z niższemi nawami bocznemi o przedłużonem prezbiterjum. Tak samo jak u nas, rozszerzono nawy boczne przez dobudowę płytkich kaplic z wielkiemi oknami, w których są osadzone Mehofferowskie witraże. Proporcje tego kościoła nie dorównują jednak naszej P. Marji; nie ma tej strzelistości, nawa jest niska, tonacja ogólna szara i monotonna. Niema tam tego prawdziwego ciepła, które tworzą w kościołach naszych pomniki, ołtarze i inne sprzęty z XVII i XVIII w. Znajdują się tam wprawdzie piękne, współczesne budowie zabytki, jak chrzcielnica. ambona, krata dzieląca prezbiterjum od nawy i stalle po bokach prezbiterjum. Wspomniana chrzcielnica bogato rzeźbiona, jest dziełem mistrza Gylina Aetterli z roku 1499. Ambona, również wielkiej wartości artystycznej, pochodzi z lat 1513—1516, a rzeźbioną była przez słynnego Hansa Federa z Zurychu. Krata zamykająca prezbiterjum, wykonana jest z kutego żelaza przez Ulricha Wagnera z Monachjum w latach 1464—1465. Koronuje ją istny gąszcz,

utworzony z powyginanych, zdobnych w gwiazdy i kwiaty prętów i kolców stanowiących potężną zaporę. W stallach, bogato rzeźbionych przez Antoniego de Pency w latach 1462—1464, jest po 15 siedzeń z każdej strony chóru.

Na tem tle występują wspaniałe witraże Mehoffera. Tak jak polichromia Matejki uczyniła z kościoła Marjackiego jedno z najpiękniejszych wnętrz świata, tak one ożywiły i związały najcudowniejszą harmonją szare i ponure mury fryburskiej kolegjaty.

IV.

Witraże nawy głównej podzielić możemy na dwa rodzaje: pierwszy, to postaci świętych, umieszczone po cztery, każda w osobnem polu gotyckiego, dzielonego pionowo laskami kamiennemi okna. Drugi rodzaj to duże kompozycje, rozciągające się poprzez wszystkie cztery pola okna. Przedstawiają one sceny albo ściśle religijne, albo złączone z historją Szwajcarji.

Ponieważ dokładny opis wszystkich ośmiu „figuralnych" okien przekraczałby ramy pracy niniejszej, przeto poprzestanę na ich wyliczeniu:

Wielkich okien, zawierających 16 figur świętych jest cztery:

1) Apostołowie, święci: Piotr, Jan, Jakób, Andrzej, (wykonany w roku 1895. Był przedmiotem konkursu).

2) Czterej męczennicy, święci: Maurycy, Sebastjan, Katarzyna, Barbara, (wykonany w r. 1898 zob. tabl. 3).

3) Święci: Jerzy, Michał Archanioł, Anna, Marja Magdalena, (wykonany w r. 1898 zob. tabl. 2).

4) Święci: Stefan, Wawrzyniec, Marcin, Klaudjusz, (wykonany w r. 1901).

Przedstawiają one pojedyncze postaci świętych, umieszczone w poszczególnych polach obok siebie w ten sposób, że po nad ich głowami rozciąga się część dekoracyjna, często przybierająca formę architektury, część zaś spodnia stanowi rodzaj podstawy, również bogato ornamentowanej. Tak w górnej jak i dolnej części umieścił artysta pewne symbole, wizje postaci z historją ich życia związane, narzędzia tortur i t. p.

Jeżeli chodzi o szczegółowy opis, to znajdzie go czytelnik w pracy znakomitego uczonego i znawcy sztuki O. Dra J. Berthier'a. Stamtąd przytaczam opisy czterech najbardziej charakterystycznych postaci świętych:

Św. Piotr. Artysta przedstawił świętego w chwili, gdy wychodzi, płacząc gorzko. Apostoł z twarzą w dłoniach ukrytą idzie przybity wstydem i wyrzutami sumienia, podczas gdy kogut kończy piać, siedząc na sąsiedniej kolumnie. Wydaje się, że słychać szlochanie przywódcy apostołów, który się oddala z łysą, bolesną głową. Wielki i ciężki czarny płaszcz, który go okrywa od stóp do głów, jest doskonałem dopełnieniem tego wyrazu. Artysta natchniony słowami Chrystusa, przedstawił Kościół, w postaci tej pięknej łodzi, która na ostatnim planie płynie pod pełnemi żaglami i z rozwiniętym sztandarem. Błękitna kopuła bazyliki św. Piotra w Rzymie, cudownie oddana, ukazuje się promienista, w głębi skalistego krajobrazu, który przypomina słowa: *Tu es Petrus.* Dwa wielkie symboliczne klucze, które widzimy skrzyżowane poniżej, przypominają słowa, które były skierowane do Piotra: *Tibi dabo claves regni coelorum.*

Św. Jakób Starszy. Apostoł stoi, i wielkim gestem przekleństwa strąca do piekła demona, który przedstawiony jest u dołu obrazu jako murzyn szkaradnie otyły. Złotowłosy, promienisty Anioł, w długiej czerwonej szacie, z różnobarwnemi skrzydłami, pochwycił go, związał mu w tyle ręce szarfą ognistą i spycha go głową na dół w otchłań. W górze obrazu, ten sam anioł ukazuje się już jako pogromca ducha zło czyniącego, a czarny demon u szczytu stanowi kontrast ze Synem Człowieczym, ubranym w białą chlamidę.

Św. Michał Archanioł. Kompozycja przedstawia jego triumf nad Lucyferem. Dowódzca wiernych aniołów spada z nieba, szybki jak piorun, trzymając w rękach wzniesione wysoko nad głową dwa ogniste miecze, któremi grozi szatanowi, staczającemu się do piekła, wraz ze strzaskaną na kawałki włócznią. Obaj archaniołowie, jeden wierny i zwycięski, drugi niewierny i zwyciężony, są piękni, żywi i pełni ruchu. Pies „szatański" ujada groźnie na Triumfatora. Wspaniała głowa białego rumaka, ognista i mądra uka-

zuje się z poza ramion św. Michała, przywołując na pamięć wizję niebiańskich wojowników Apokalipsy.

Św. Marja Magdalena. Święta stoi w wspaniałej szacie, ma zarzucony czarny przeźroczysty welon, którego traktowanie w szkle jest prawdziwem arcydziełem. Nie jest to strój pokutniczy, lecz żałobny. Udaje się na grób Chrystusa, przyciskając do piersi niebieską amforę, wypełnioną pachnidłami. W dole wielki bukiet purpurowych, wspaniałych róż, wśród których pełza wąż.

A teraz przejdźmy do czterech dużych kompozycyj, z których każda rozciąga się przez całe okno. Opisy ich według O. Berthiera rozpoczniemy od „Pokłonu Trzech Króli", którego karton wykonany został w roku 1905 w Krakowie.

Główna kompozycja „Pokłonu" składa się z dwóch odrębnych części. Po jednej stronie Matka Boża z Dzieciątkiem na ręku, przyjmuje hołd. Jest uboga, pokorna i nieco smutna w przeczuciu przyszłości. Z poza niej wychyla się św. Józef, biedny, i tem co widzi olśniony. Naprzeciw grupa bogatych Królów Wschodu, w szatach od złota i klejnotów kapiących. Składają w pokłonie dary Bogu-Dzieciątku, do którego przywiódł ich anioł. Wymowne postawy figur wyrażają wiernie znaczenie tajemnicy. Tradycyjny wół i osioł biorą udział w tej scenie. Powyżej wspaniała, olbrzymia gwiazda, o wielkich promieniach mieniących się tysiącem barw, wypełnia tło obrazu po lewej stronie, z prawej zaś anioł rozpościera wielkie skrzydła, śpiewając słowa wypisane na wielkiej wstędze, którą trzyma w ręku: *Gloria in excelsis Deo.*

Scenę przedstawioną w części dolnej, możnaby słusznie nazwać piekielną. Herod skulony siedzi na tronie. U stóp jego leżą trupy dziecięce. Równorzędnie z czynem, przedstawiony jest wymiar kary. Dzika radość Heroda zmącona jest przerażeniem, bo oto Śmierć, straszny żywy szkielet, zatapia w ramię króla okropne swe zęby. Jest to symbol wyrzutów sumienia. Szatan przygląda się swemu dziełu z wyrazem krwiożerczego zadowolenia, pełnego spokoju, bo pewien jest zdobyczy. Szatan ten siedzi na ziemi, podparł

ręką brodę, a drugą ręką obejmuje dużego węża. To godło oszustwa zamyka szereg symbolicznych scen tego obrazu.

Karton do witrażu przedstawiającego Przenajświętszy Sakrament; wykonany został w r. 1900 we Florencji. Okno to powstało dzięki szczodrości i gorliwości Bractwa Najśw. Sakramentu od dawna istniejącego we Fryburgu. Artysta złączył w swem dziele, co Zbawiciel niegdyś w rzeczywistości na ziemi połączył: Ostatnią Wieczerzę i Golgotę; Stół i Ołtarz Pański (Komunię Św.) i Mękę Swoją, czyli Mszę Św. Chrystus uwalnia obie ręce z rozpięcia krzyżowego i wyciąga je, chyląc się w prawą stronę, ku symbolicznej postaci Kościoła, która zbiera w drogocenny kielich krew tryskającą z boku Ofiary. Dwaj aniołowie podtrzymują chylące się ciało Wielkiego Męczennika, przygwożdżone jeszcze tylko stopami do krzyża.

Głąb tego przybytku nabożeństwa wyłożona jest wotami metalowemi w kształcie serc, rąk i nóg.

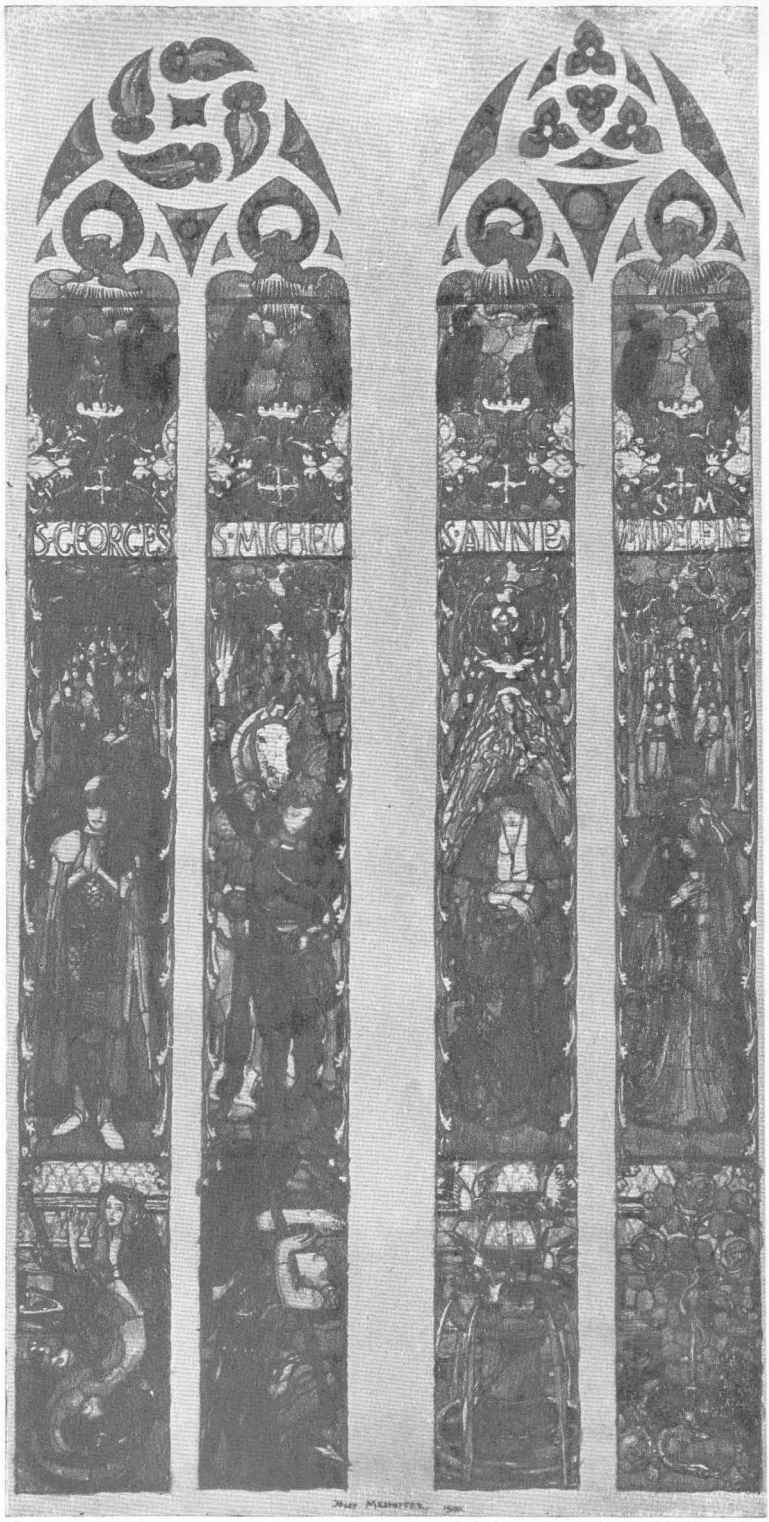
Po stronie lewej przedstawiona jest Eucharystja. W środku, na tle ołtarza i zapalonych świec unosi się wspaniała, uskrzydlona monstrancja. Pełna wdzięku i czysta dziewczyna, osłonięta welonem i uwieńczona kwiatami, powstaje z niebieskawego dymu kadzielnic i wraz z nim wznosi się ku Eucharystji. Postać ta, to symbol modlitwy.

Dymiące kadzielnice trzymają aniołowie w czerwonych dalmatykach diakonów. Aniołowie ci tworzą jakby pochód, który w ukośnym ku górze kierunku przewiją się poprzez obie połowy kompozycji.

W części dolnej, poza aniołami, długi fryż poprzeczny łączy raz jeszcze całość kompozycji. Czytamy na nim: *Ad augendum splendorem hujus Ecclesiae, confraternitas Sanctissimi Sacramenti vitrea picta proprio sumptu fieri curavit.* Niżej jagnię, otoczone cierniami, przypomina ofiarę Izaaka.

Karton następnego witrażu „Matka Boska Zwycięska" wykonany został w Krakowie w r. 1896—1897 (zob. tabl. 1). Pod tem wezwaniem czci się we Fryburgu Najświętszą Pannę, Opiekunkę ojczyzny i jej sławy wojennej. Kompozycja zajmuje cztery pola okienne. Lewa strona okna wypełniona jest grupą, złożoną z postaci Matki Bożej i Ojczyzny. Niebiańska Patronka z Dzieciątkiem na ręku, stoi w olbrzymim


VIRGINI PRUDENTISSIMAE
VIRGINI PRUDENTISSIMAE


S GEORGES
S MICHEL
S ANNE
S M
MADELEINE


SSEBASTIEN
SMAURICE


SCATHERINE
SBARBE


MARC JOHN
MATH LUC

i promienistym, eliptycznym nimbie. Ma na sobie błękitny płaszcz usiany bogatemi kwiatami ze złota i suknię zdobną symbolicznemi liljami. Stoi na złotej róży, przypominającej poświęcony Jej różaniec. Podobnie jak i Syn, ma na głowie diadem, cudownie bogaty. Wstęga, rozwinięta w powietrzu, zawiera napis: *Beatae Mariae Virgini, Respublica Friburgensis,* na pamiątkę, że władza najwyższa Fryburga poleciła wykonać ten witraż.

U dołu obrazu klęczy młoda kobieta, widziana od tyłu, z głową odkrytą i spadającemi na plecy wspaniałemi jasnemi włosami. Jest to Ojczyzna fryburska. Ma na sobie fioletowy płaszcz, usiany palmami ze złota i ozdobiony szlakiem bogatym. Barwa fioletowa symbolizuje żałobę i nieszczęścia, które wojna sprowadza, palmy zaś, to triumfy odniesione nad nieprzyjacielem. W prawej ręce trzyma ona kask, na nieprzyjacielu zdobyty, zdobny pawiemi piórami, lewą podaje złoty wieniec wójtom Fryburga, z których jeden trzyma rękę na tarczy herbowej miasta.

Prawą stronę kompozycji wypełnia grupa trzech wojowników zakutych w zbroje; przypomina ona nieco, choć bez naśladownictwa sławną grupę Rude'a *Départ pour la guerre* w Łuku Triumfalnym na Place de l'Etoile. Starzec, stojący w środku podnosi głowę ku Matce Boskiej wydając okrzyk triumfującej wdzięczności i tak jak wrócił z zażartej walki, z obnażonemi jeszcze ramionami, wysoko dzierży wielki miecz, i sztandar zwycięski. Po jego prawicy młody rycerz zniża do ziemi zdobyte sztandary, drugi zaś z lewej, spogląda z zachwytem na jaśniejącą Dziewicę, chyląc przed Nią chorągiew nieprzyjacielską, drugą zaś ręką przyciska do piersi sztandary szwajcarskie, sławą okryte. Ponad tą grupą ukazuje się św. Michał w zbroi, z wielkiemi, niebiesko-zielonemi skrzydłami. Mieczem ognistym wskazuje na Protektorkę Fryburga i ruchem zapraszającym skierowuje zwycięzców do Jej stóp. Jaśniejący koło niego bukiet pięknych róż przypomina różaniec, ulubioną modlitwę ludów chrześcijańskich. Na drugim planie ukazuje się wielki kometa, zlewając na ziemię potoki zielonawego, ponurego światła: jest to gwiazda wojny. W głębi obrazu widać pobojowisko: rozciągnięte zwłoki walają się na ziemi, armata z porzuco-

nemi kulami, koń uchodzący po stracie swego pana, a w dali łuna pożarna. Na jeziorze Morat widzimy łódź, ratującą zbiegów.

Ponad tą wspaniałą kompozycją, błyszczy fryz świecących gwiazd. Nad nim kwiaty olbrzymie o barwach promiennych, aż wreszcie, u szczytu, cztery półpostaci w białych tunikach, to cztery cnoty: Nadzieja, nadstawiając ucha, słucha obietnic niebieskich; Wiara, zatwierdza swe wierzenia prawą ręką, przyciśniętą do serca; Siła, dusi czarnego potwora, i Miłość czy Miłosierdzie, przyciska obie ręce do serca, dając wyraz potędze swych uczuć. Słowo *Gloria* napisane wielkiemi literami na tle obrazu, obok dwóch pierwszych postaci cnót, oddaje wyraźnie ideę triumfu zawartą w tej kompozycji. Mehoffer rozrzucił tu hojnie niewyczerpane skarby swej wyobraźni.

Witraż wyobrażający Błogosławionego Mikołaja de Flue wykonany został podczas wojny w r. 1916.

Na pierwszym planie widzimy białą kolumnę, na której szczycie stoją dwie figury alegoryczne, Wolności i Ojczyzny. U stóp kolumny grupa wojowników szwajcarskich, będących delegatami kantonów na sejm związkowy. Wczoraj jeszcze poróżnieni, dziś przysięgają, pogodzeni za sprawą świętego anachorety, na wierność związkowi. Ponad nimi, niejako w tle, dwie kompozycje, ujęte w ramy bogato ornamentowane w formie medaljonów, przedstawiają dwie sceny z życia wielkiego patrjoty. W pierwszej, święty, jeszcze jako zamożny obywatel, otoczony swemi dziećmi (o typach wyraźnie słowiańskich) odprawia wspólną modlitwę przed krucyfiksem; w głębi wiejski dom rodzinny. W drugim medaljonie ten sam święty, po usunięciu się w pustkowie klęczy zatopiony w modlitwie, na tle skał i lasów. U dołu herby najstarszych kantonów związkowych i napis z piękną dewizą świętego: „Pokój jest zawsze w Bogu, bo Bóg jest pokojem".

O. Berthier dodaje następujące uwagi o tem oknie: „Jako dzieło sztuki witraż ten jest nową nutą w tak bogatej już gamie znakomitego malarza. Mehoffer, dzięki temu przedewszystkiem dziełu, złożył świadectwo, że Polska, mimo że rozerwana na części siłą brutalną, w swej dziejowej

istocie pozostała nietkniętą. To też w sztuce i literaturze zachowała ona miejsce w pierwszym szeregu. Dzięki swemu genjuszowi i heroizmowi, zasłużyła ona na świetny los i znakomitą rolę którą ją obdarza Opatrzność".

Przypominamy, że słowa te, szlachetnego przyjaciela Polski, były pisane i publikowane już w r. 1918.

V.

Reasumując działalność Józefa Mehoffera przez ten 25-letni okres, t. zn. od r. 1894 do 1918, widzimy, że w każdej kompozycji tych ośmiu witraży wprowadza on nowe wartości, idzie zawsze naprzód, a przytem, jak jego mistrz, Matejko, pozostaje zawsze sobą. Komponuje, jak mówi Wiliam Ritter „a la Mehoffer", po mehofferowsku. I znów pozwolę sobie przytoczyć znakomity sąd O. Berthiera, który tak się o jego twórczości wyraża:

„Atmosfera wielkiej poezji promienieje nad całem dziełem Mehoffera. Nadto znać u niego wszędzie niesłychaną pewność w posługiwaniu się potrzebnym mu materjałem, który czerpie z legendy, z tradycyjnego symbolizmu, z historji i dawnych opowieści. Mehoffer nie maluje, gdy nie ma nic do powiedzenia. Nie poprzestaje nigdy na dekoracji jako takiej, lecz szuka prawdy życiowej. Dlatego sztuka jego nie będzie nigdy pustą i konwencjonalną. Jego postaci żyją, jak te, które nas otaczają w życiu codziennem. Budzą one w nas zainteresowanie i pociągają nas ku sobie swą duszą i życiem. Rzekłbyś, że żadna z nich nie przybierała nigdy pozy pracownianej, jak są szczere i naturalne. Dzieje się to dlatego, że Mehofferowi nie wystarcza piękno czysto przedmiotowe, lecz sięga po piękno pojęte indywidualnie.

Tak samo w rysunku: widać u niego tę swobodę i szczerość, która dlatego jest tak żywą i miłą, że niema tam śladu manekina. Taż sama szczerość w kolorycie pełnym drgającej harmonji. Słowem wyraz artystyczny wydobywa Mehoffer z natury z całem uwzględnieniem jej cech istotnych, jednakowoż podaje ją z uczuciem prostem, głębokiem i we wielkiem stylu właściwem genjuszowi.

Artysta postawił sobie za zadanie wywołać przed nami wrażenie średniowiecznych witraży. I w rzeczy samej, okna

jego to mozajki promienne, przeźroczyste, wielobarwne. Lecz trzeba zdać sobie sprawę, jak olbrzymie były trudności, by efekt ten uzyskać. Należało zachować mozajkowość witraży, a przytem uwydatnić postaci, jednakże tak, aby nie miały one nic wspólnego z malarstwem sztalugowem. Postawione sobie zadanie rozwiązał Mehoffer po mistrzowsku. Postaci jego łatwe do rozpoznania, a przez użycie płaskich plam kolorowych wywołuje wrażenie przeźroczystej mozajki. W witrażach jego uderza przedewszystkiem zachwycająca muzyka barw. Gdy się podejdzie bliżej, temat witrażu tłumaczy się bez wysiłku, a przy silniejszem świetle z doskonałą jasnością. Witraże Mehoffera są jedną ze sław Fryburga i jego najjaśniejszą chwałą artystyczną, a równocześnie chwałą sztuki polskiej".

Kartony Mehoffera były często wyróżniane na wystawach światowych: w Wiedniu, Berlinie i Paryżu. I tak za witraż Męczenników, który ukazał się na Paryskiej Wystawie Powszechnej w r. 1900 w oddziale szwajcarskim, został Mehoffer nagrodzony przez jury tej wystawy złotym medalem. Jednocześnie przyznane zostało firmie Kirsch & Flechner takie samo odznaczenie za wykonanie w szkle tego witrażu.

Piękność witraży fryburskich podniósł jeszcze jeden znakomity pisarz francuski p. Réné Bazin, członek Akademji. Wydał on piękne dzieło z ilustracjami p. t. *Notes d'un amateur de couleurs,* w którem pisząc o witrażach wogóle, opowiada, że oglądał wiele współczesnych witraży, jak np. Burne Jones'a w Christchurch w Oxfordzie, jak witraże w bazylice „de Fourvière" w Lyonie i w. in. O kompozycjach tych wyraża się on ze słusznym podziwem, lecz oto, jak studjum swe kończy:

„Najpiękniejsze witraże znajdują się jednakowoż gdzieindziej, są one w Szwajcaryi w kościele św. Mikołaja we Fryburgu. Tutaj nie stoję już przed obrazem. Zaledwie dotknięcie szarą barwą dla zaznaczenia rysów twarzy lub palców u rąk. Pozostała reszta jest przeźroczystą mozajką, zbiorem klejnotów ujętych w ołów. Koloryt jest niezrównany, a kompozycja nowa. Kocham tę „Matkę Boską Zwycięską", której hołd i podziękę składa klęczące miasto Fryburg i stojący

żołnierze. Podziwiam ten „Pokłon Trzech Króli", w którym gwiazda z swemi złotemi promieniami zajmuje jedną czwartą część witrażu i okrywa resztę swym ogniem. Napatrzeć się nie mogę temu „Zdjęciu z krzyża", na cudnem tle zielonem, a ponad wszystko stawiam tę Wiarę, adorującą Hostję, Wiarę młodą w wieńcu z róż, przyobleczoną w szatę o wszelkich odcieniach barwy niebieskiej, a wyłaniającą się z dymów szarych, dymów liljowych, pomarańczowych, czerwonych, dymów stubarwnych, i coraz to ognistszych, im więcej zbliżają się ku monstrancji.

Z chwilą, gdy stajemy pod ciemnem sklepieniem kościoła przed temi witrażami, wzrusza nas nie sama piękność kompozycji, ale chwała żywa, miłość i nadzieja, które nas ogarniają. Słyszymy psalm barw, jeszcze zanim zrozumiemy postaci; czujemy się zniewoleni bogactwem tego królestwa tonów cudownych, świateł i natchnień wszelakich.

Nie znam artysty, który się nazywa Mehoffer. Powiedziano mi, że jest to Polak i profesor Szkoły Sztuk Pięknych w Polsce; lecz wiem, że nie dość mi było raz jego dzieło oglądnąć. Wracałem często przed te okna fryburskie i za każdym razem doznawałem uczuć równie silnych. Witraże te mają jakąś moc w sobie, przykuwają nasz wzrok, a darzą nas przytem radością, zapałem, pięknem — że mimowoli ma się ochotę zakrzyknąć artyście: „Brawo!".

Dzieło to jest nową formułą sztuki: nie posiada ono wszystkich odcieni witraży średniowiecznych, lecz dorównywa im w świetności, a prześciga w kompozycji, czyli, że pod względem artystycznym panuje nad niemi; dla mnie przypomina ono słowa Piusa X, który mówiąc o muzyce kościelnej powiedział: „Chcę, by mój lud modlił się wobec piękna".

VI.

Hymn barw i świateł promieniujący w nawach, rozciąga po wojnie światowej Mehoffer dalej na prezbiterjum. Z pięciu ogromnych okien, mających 12·50 m. wysokości, trzy, przedstawiające „Trójcę Świętą", są już osadzone, czwarte: „Historja ruchu katolickiego we Fryburgu" jest w trakcie wykonania, w zakładzie witrażowym we Fryburgu, a piąte

i ostatnie, przedstawiać będzie „Historję polityczną Fryburga", i znajduje się jeszcze u artysty.

O „Trójcy Świętej" pojawiły się we fryburskiej *Liberté* artykuły pióra O. Berthiera i Heleny de Diesbach. O. Berthier podkreśla nietylko najwyższe wartości rysunku, kolorytu i kompozycji, lecz także głębokie przygotowanie teologiczne i naukowe u Mehoffera.

Znakomity teolog pisze co następuje: „W pośrodku witraży jak zjawisko, ukazuje się nam postać potężna, niewzruszona i zda się, że od pokoju z niej bijącego znieruchomiała. Artysta wyraził tu dogmat Trójcy św. zamykając wizerunek Boga w tradycyjnym trójkącie, symbolu trójjedyności osób. Absolutną ich równość wyraził trzema wspaniałemi, ściśle jednakowemi diademami ze złota. Umieszczone jeden nad drugim, przedstawiają właśnie owo działanie Boga w Jego własnej istocie. Lecz artysta przedstawia nam również fakt emanacji rzeczy stworzonych na zewnątrz Boga (wyrażenie zaczerpnięte ze św. Tomasza z Akwinu): otoczył Boga światem gwiazd, księżycem, słońcem, glorją dziewięciu chórów anielskich i wszystko to wraz z ziemią naszą skąpał w potokach światła.

Wielu próbowało sił swoich w artystycznem ujęciu „Genezis". Dla nas Mehoffer stoi ponad wszystkimi. Inni bezwiednie może pomniejszają ten temat, czyniąc Boga na obraz człowieka, którego tworzą. Tu dzięki mądremu i skutecznemu użyciu symbolizmu, zapory te są przełamane, droga wolna otwarta".

P. Diesbach w swym artykule tak opisuje wrażenia. Ta tytaniczna maska widziana z nawy ma cechy zjawy świetlistej od złota i drogich kamieni kapiącej. W dole ognisty krzew róży, symbol tego działania Boga w sobie samym. Nad nim wstęga z napisem: „JESTEM TEN, KTÓRY JEST".

Drugi z kolei witraż „Syn Boży" (zob. tabl. 4) przedstawia Chrystusa powstającego w triumfie z grobu. Opis jego czerpię znowu z wyżej podanych źródeł. Wstępuje On w niebo, aby zasiąść na tronie, który widnieje w górze witrażu, otoczony 7-ma świecami płonącemi. Dwie postacie, Sprawiedliwości

i Siły, stoją na stopniach tronu. Chrystus otoczony purpurową aureolą, jakby płaszczem królewskim, błogosławi ludzkość szerokim gestem prawej ręki. Ciało jego wychudzone przez cierpienia i mękę, a przytem promienne, robi wrażenie oderwania od wszystkiego co ludzkie i stworzone. Po obu stronach ośm postaci patriarchów i proroków stanowi jakby orszak, towarzyszący Mu w drodze, którą przebywa.

Lecz Jezus pozbawiając nas Swej fizycznej obecności, pozostawił nam swą obecność mistyczną w Eucharystji, którą przedstawia wspaniały złoty kielich z Hostją. Podtrzymują ten kielich, między niebem a ziemią, dwaj aniołowie, cudownie piękni. Przy pustym grobie leży powalony strażnik.

Trzeci witraż na lewo od Boga Ojca poświęcony jest Duchowi Świętemu.

Uwaga widza skupia się odrazu na scenie Zwiastowania oryginalnie ujętej: podziwiamy błękit płaszcza Dziewicy, który już raz spotkaliśmy na szacie Matki Boskiej w Pokłonie Trzech Króli. Klęczy, lekko w tył pochylona, jakby zaskoczona cudowną zjawą anioła. Jej aureola szkarłatna przywodzi na myśl czerwień dawnych witraży, na których jak w katedrze w Mans np. święci mają nimby o barwach żywych.

Anioł Gabrjel wygląda jak młody rycerz, który odłożywszy zbroję przychodzi w obcisłym, wzorzystym pasem ściągniętej różowej szacie, dumny pełen wdzięku i życia. Różowy ten kolor użyty po raz pierwszy przez Mehoffera na tak dużej płaszczyźnie, działa radośnie i nowocześnie. Kontrastuje on ze skrzydłami archanioła, na których cudownie rozwija się bogactwo wyobraźni tego kolorysty. Co za wspaniałe skrzydła aniołów w witrażach u św. Mikołaja! Tu zdają się one prawie ciążyć na barkach młodzieńca, tyle na nich drogich kamieni, mory, świateł i cieni! Głowa archanioła zdobna jest jedynie nimbem złotych włosów i skłania się lekko przed Tą, którą pozdrawia. Postawa jego jest pełna czci, lecz z rozkazującego gestu prawej ręki poznajemy, że anioł ten ma świadomość wysokości i wagi swego posłan-

nictwa. W tem leży śmiałość ujęcia tej sceny. Prymitywy ubierali anioła w kapę, kazali mu klęczeć przed Służebnicą Pańską, lub zawieszali go mistycznie w locie, między niebem a ziemią. Wstęga pozdrowienia anielskiego rozwija się u lewego ramienia anioła, a u kolan Marji skręca się pokonany wąż z lapis lazuli.

Taką jest scena zajmująca środek witrażu. Nad nią wznosi się postać Ducha Św. w kształcie dużego ptaka, orła lub gołębia, całego w płomieniach promiennych. To symbol ognia czystości. Za tło służy mu dekoracyjnie pojęte drzewo, z którego zieleni wynurzają się złociste twarze kobiet. Przedstawiają one owoce, w duszach przez Ducha Św. zrodzone. U dołu witrażu widzimy prześliczny emblemat Kościoła: małą łódź, płynącą po lekko niebieskich falach. Siedzi na niej gołąb, trzymający zieloną gałązkę, która nam niezawodnie przypomina, że projekt tego witrażu powstał w momencie zawieszenia broni. Bardzo ciekawy ornament z poplątanych jaszczurek i węży, otacza podstawę tego przepysznego okna".

VII.

Przez ostatnie dwa, po bokach głównego ołtarza znajdujące się okna, białe światło słoneczne jeszcze wpada, lecz wkrótce już ujrzymy na nich grę świateł i kompozycje olbrzymie.

Treść tematu tych pomysłów i alegoryj zawdzięczamy uprzejmości profesora Mehoffera, który nam je objaśnił. Oba te okna tworzą pendant. Pierwsze z nich poświęcone jest H i s t o r j i r u c h u r e l i g i j n e g o w e F r y b u r g u. Witraż ten jest w trakcie wykonania w szkle, w zakładach „Kirsch & Flechner-Fryburg", i wkrótce już będzie na swojem miejscu osadzony.

Podzielony jest on na trzy pola. Na szczycie znajduje się postać św. Mikołaja, na tronie biskupim, patrona kolegjaty. Środek kompozycji przedstawia walkę katolicyzmu z reformacją. Klęczący dostojnik składa przysięgę na Pismo św., po bokach zaś umieszczone są postaci Wiary (Fides)

ze słońcem nad nią błyszczącem, i Odstępstwa (Apostasia), ze słońcem zaćmionem. Przez całą szerokość okna biegnie napis: *Religioni patrum fideles.* Poniżej, pośród bogatych ornamentów, znajdują się cztery postaci mężów, zasłużonych około utrzymania katolicyzmu we Fryburgu. Są to, jak głoszą napisy: Nuncjusz papieski Bonomio, opaci: pater patriae Schneuwly i Werro, wreszcie św. Piotr Canisius.

Dolna część wprowadza nas w wiek XVII. W dwóch kondygnacjach, przedstawiona jest scena ofiarowania Fryburga Matce Boskiej. U góry postać Marji na księżycowym sierpie, zjawia się na tle ołtarza, po którego bokach klęczą dwaj patrycjusze Rzeczypospolitej. Między tą sceną a dolną, pas z napisem: *Sub hoc patrocinio stat, stabitque Friburgum.* Poniżej Uniwersytet i Kler, zgromadzony za balustradą, na której dziewczynki biało ubrane ustawiają kwiaty w doniczkach; w głębi herb Leona XIII z godłem jego: *Lumen de coelo*, i sztandary korporacyj studenckich.

Drugi witraż, który umieszczony będzie naprzeciwko, poświęcony jest „Historji politycznej Fryburga". Podzielony jest on również na trzy pola.

U szczytu okna fundator kolegiaty *Berchtold Zähringen, Dei gratia Dux et Rector Burgundiae* na koniu. Część środkowa odnosi się, jak i w poprzedniej kompozycji, do wieku XVI-go. Przedstawia postać Sławy, wśród ofiarowanych Szwajcarji przez Juljusza II-go sztandarów. U spodu czapka suwerenna i miecz, nadane temu miastu przez tegoż papieża wraz z godłem: *Defensores libertatum Ecclesiae.* Poniżej Piotr Falk trzyma bullę: *Iniunctum nobis* z roku 1512-go, a po bokach widzimy postaci papieży: Leona X-go i Juljusza II-go.

Jeszcze niżej obraz rozwoju kultu św. Mikołaja, u samego zaś spodu, u stóp historycznej, po dziś dzień na rynku fryburskim stojącej lipy, postać Ojczyzny, otoczona członkami Rady Kantonu i wojskiem ze sztandarami. Podobnie jak w oknie poprzednim, tak i tu, biało ubrane dziewczynki ustawiają kwiaty w doniczkach.

W samym dole tego okna alegoryczna postać Historji przędzie kądziel na kołowrotku i opowiada dzieje wojny,

jak to daty w głębi „1914—1918“ wskazują. Przerażona Potomność zakrywa sobie twarz dłonią.

Tak po latach 35 dobiega końca to dzieło jedyne w swoim rodzaju, dające nam miarę niezwykłego talentu, pracy, energji i doświadczenia Józefa Mehoffera, artysty, który „dobrze się zasłużył“ nie tylko Fryburgowi ale i polskiej Ojczyźnie.

Tadeusz Stryjeński.

Rzecz o tragizmie Kleopatry C. K. Norwida.

(Dokończenie)

VII.

Religijność.

Uczucie religijne posiada szczególną właściwość szerokiego rozlewu na całość życia duchowego. Rozchodzi się ono, jak światło, i cały świat czyni przejrzystym. Ma w sobie miękkość fali, która ogarnia i wchłania zarówno twarde głazy, jak giętkie wodorosty. Świadomość nasza zanurza się w niem aż do dna, nasiąkając zwolna tym łagodnym, matowym blaskiem, tak znamiennym dla wielkich głębin. Gdy poglądy, wyzute z cech religijności, gubią się w sprzecznościach, pogląd rdzennie religijny osiąga jednolitość i krystalizuje się w dogmacie. Włączając bowiem do zakresu swoich badań stosunek człowieka do Boga, znajduje dźwignię, którą wyważa zaporę, dzielącą ród ludzki od rzeczywistości, bytującej poza nim.

Dla jednostki religijnej wielkie pytanie o stosunku ideałów etycznych do faktycznej rzeczywistości bytu jest rozstrzygnięte raz na zawsze. Skoro sumienie i cała ogromna dziedzina ludzkich dążeń idealnych powstała wśród warunków danych w przyrodzie, to nie ulega wątpliwości, że obok ładu fizycznego istnieje ład moralny. W obrębie zaś rzeczywistości, mogącej być przedmiotem naszego doświadczenia, wszelki ideał występuje, jako siła walcząca. Zawiera w sobie dążność do harmonizowania tej rzeczywistości z wymaga-

niami moralnego porządku wszechświata. Budzi tęsknotę religijną. Echa tej tęsknoty przychodzą zdaleka, jak wołanie wiosny z zarosłych gęstwin. Dusza religijna drży do wylotu ku upatrzonemu celowi, jak kamień na rzemiennej gązwie procy Dawida. I wszystko pod jej czarodziejskiem zaklęciem szeleści białym żarem boskości. Bóg mieszka w świecie, by w złotośpiewnym psalmie. Uczucie religijne daje trwałe i niezawodne oparcie w walce z bytem. Wynika bowiem z przeświadczenia, iż to, co człowiek uznaje za najwyższe dobro, chronione jest przez kosmiczny ustrój świata. Droga istotnej religijności prowadzi do niezakłóconej harmonji. U ludzi nawróconych występuje to, jako objaw znamienny, że cichną wątpliwości i burze, natomiast zjawia się pewność i pogoda.[1]) Nadto wzrasta poczucie bogactwa i obfitości. I wtedy „pókorna duma" depcze bezbożną przeszłość, jako ugór jałowy, a błogosławi chwilę obecną, ów czarnoziem, zorany łaską pod zasiew Boga. Uczucia spoczywają w duszy religijnej, jak strzały w kołczanie. Wyrzuca je ku Bogu prężność trawiącej, nieukojnej tęsknoty. Jest bowiem owa dusza nietylko służebnicą, ale i władczynią, nietylko oddaje się Bogu, lecz i zdobywa Go zarazem. Wspaniale wyraził to św. Augustyn w swoich *Wyznaniach,* tej prawdziwej Iljadzie świętości.

I niema bodaj zakątka, gdzieby nie dotarło uczucie religijne. Nędzarz szuka w niem pociechy, zbrodniarz odkupienia, władca siły, mędrzec prostoty, a prostak mądrości. Bywa ono obecne wszędzie. Goreje zniczem w duszach eremitów, owych krzaków różanych, zaszczepionych wśród skał i pustkowia. Skomli w szlochu ludu, nawiedzonego morem, głodem i wojną. Dzwoni w mieczach rycerzy, co konno i pieszo przemierzali otwarte wiatrom płaniny i zasypane głazami

[1]) Ciekawe studjum pod tym właśnie względem znajdujemy w *Przegl. Powszech.* 1926 r., nr. 507, 508, 509: R. Blüth: *Rosyjski romantyk nawrócony.* Oto mały wyjątek z listów Peczerina: „Teraz na zawsze pożegnałem się ze światem. Pozostaje mi myśleć o Bogu i wieczności. Duszę napełnia radość niebywałego pokoju. Modlitwa, nauka Pisma świętego oto całe moje zajęcie" (nr. 508, str. 83). Ob. ks. Cz. Sokołowski: *Problem nawrócenia w najnowszej powieści Żeromskiego.* Ob. Höffding: *Religionsphilosophie* rozdz. IV A i B. Tegoż: *Współcześni filozofowie.*

wąwozy, aby zdobyć Grób Chrystusa. Sięga do gwiazd. Tka z nich czarowne historje o losach świata i człowieka. Spływa, jak balsam, na otwarte rany. Spada, jak czekan, na głowy niedowiarków i gorszycieli. Słowem, całą rzeczywistość: wzniosłość i nędzę, rozkosz i ból, czyn i marzenie, wielkość i małość zaślubia Bogu.

Zniża się z duszy ludzkiej do królestwa zwierząt. Już w romantyzmie widzieliśmy dążność, aby rozwojowi gatunków zwierzęcych nadać cechy religijnej obrządkowości. Wypełnia ona po brzegi duszę Słowackiego, kipiącą nadmiarem mistycznej pracy. Wszak *Genezis z ducha* to w pierwszym rzędzie odyssea Boga w przyrodzie. Ale gdy cofniemy się wstecz, ujrzymy pokrewne zjawisko. Święty Franciszek z Assyżu, mówiący kazanie do ptaków, jest przecież żywem wcieleniem wiary, że cała przyroda otwiera się na przyjęcie Boga, jak kwiat na przyjęcie rosy.

Możnaby sądzić, że tragizm roztapia się w religijności, jak perła w rozczynie chemicznym. Myśl taką spotykamy u James'a: „Tak więc, póki Bóg istnieje, tragedja jest tylko chwilowa i częściowa i rozbicie się okrętu świata nigdy nie jest czemś ostatecznem". [1]) A kiedy indziej ten sam James: „Nie widzę dlaczego samo istnienie świata niewidzialnego nie byłoby zależnem poczęści od sposobu, w jaki każdy z nas odpowiada wewnętrznym nawoływaniom religji. Innemi słowy być może, że Bóg sam czerpie przyrost energji i rzeczywistości żywej ze stałości, z jaką w Niego wierzymy. Co do mnie, nie widzę jakie inne znaczenie mieć mogłyby tragedje, krew przelana, bolesne wysiłki życia ludzkiego". [2])

---

[1]) *Doświadczenia religijne*, tłum. Hempel, 1918, str. 477. Zarzuty przeciw James'owi sformułowali b. dobrze: Staley Hall w książce: *Adolescence*, New-York 1904, t. II, str. 292—293 (w odnośniku), oraz Dr. Georg Wunderle w książce: *Einführung in die moderne Religionspsychologie*, München, 1922, str. 57, 58 i n. Znacznie wcześniej Ernest Hello pisał: „Bóg istność niezmienna; nasza demokracja chce pogodzić Boga z szatanem na podstawie tolerancji, braterstwa, walki z absolutem". *Filozofja i ateizm*, j. w. 114. Należy pamiętać, że Norwid, jak Hello, uznawał, że „podstawową cechą religji jest, że nie pochodzi od człowieka", a wówczas jaskrawo uwydatni się przepaść między nim a James'em.

[2]) Flournoy: *Filozofja Williama Jamesa*, tłum. Dr. De Beaurin, 1923, przytacza z James'a: „Filozof zamiłowany w pojęciu jedności i mistyk ze

Jaskrawa sprzeczność: Bóg, jako źródło harmonji i Bóg, jako źródło rozstroju. Nic dziwnego! Jeżeli Bóg jest poniekąd na arendzie u zmiennych wyobrażeń ludzkich, jeżeli o istocie moralnego ustroju świata taki Bóg decyduje, to oczywiście trudno cośkolwiek rozstrzygnąć jasno i niedwuznacznie, bo podstawy są nader chwiejne. Może być tak, ale może być również inaczej. James'owi wydaje się, że Bóg chroni od katastrofy i okłada świat watą, ale Spengler naprzykład ma zdanie wręcz przeciwne: Bóg wiedzie do katastrofy. Można powtórzyć rozumowanie kalifa Omara: bibljoteka aleksandryjska jest albo zgodna z Koranem, albo niezgodna, wobec tego albo zbyteczna, albo szkodliwa, zatem ją spalę. Lecz James to zapamiętały głuszec w porze tokowiska. Zaszył się w gęstwinę „doświadczeń" i wabi przechodniów romansem o Bogu. Z uciułanych mozolnie dowodów bezpośrednich (listy, wyznania, wrażenia, manje, pamiętniki, notatki „ludzi wierzących") wysysa szpik, a uczniom i wyznawcom rzuca puste kości. Brnąc po kolana w „doświadczalności" zabawia się czasem w rzewną pastorałkę, ociekającą mdłym sentymentem.[1]) Wobec tak wygodnej filozofji tragedja musi zamilknąć. Ona bowiem wiedzie swych wybrańców do jasno określonych celów po granitowych stopniach: bólu, chwały i upadku. Stwierdza, iż walka ze złem nie ustała i nie ustanie, dopóki ludzie łaknąć będą Królestwa Niebieskiego na ziemi. Bytem zaś włada częstokroć takie cierpienie, takie rozbicie, taka groza, iż serce od nich truchleje, a duszę omracza skostniała zimna rozpacz. Rzeczą główną tragedji jest: odszukać Boga w okropności istnienia. Religijność James'a zaleca, wśród ziewania ducha, chwytać tkliwe wrażenie mistyczności świata, radzi zbierać wszelkie doświadczenia religijne, jak barwne muszelki, wyrzucone

---

swoją skłonnością do monodeizmu: obaj dążą do „przekroczenia granicy" i do tworzenia z tego „czegoś wyższego" Boga jedynego i absolutnego. A tłum chyli się przed ich autorytetem. Lecz właściwe życie religijne nie wymaga innego wierzenia, niż następujące: każda jednostka ma nad sobą wyższą potęgę, z którą może się łączyć i która jest przychylna i pracuje w kierunku jej najlepszych dążeń" (str. 96). Czyż to nie jest pastorałka ów Bóg, jak szef departamentu „najlepszych dążeń" jednostki?

[1]) Ob. Wunderle j. w. str. 58.

na srebrne spławiska pobrzeżne mocą ogromnej fali oceanowej. Uprawnia błogostan drzemki w psychologizmie. Odtrąca majestat Boga, a na Jego miejscu stawia złotego cielca „doświadczeń osobistych". I wlepia w nie uporczywie oczy, niby Budda we własny pępek.

Natomiast religijność katolicka rozpamiętywa treść świata, jako dzieła Boskiego, w którem człowiek uczestniczy przez wolną wolę, przez uczynek i zasługę. Nakłada jarzmo wytrwałej pracy, usiłującej zasypać bezdenną przepaść między doskonałością Stwórcy a nędzą stworzenia. Daje Objawienie. Zakuwa w dyby rozhuśtaną uczuciowość. Nakazuje działać bez spoczynku, bez wytchnienia, albowiem zło nie śpi, jeno chytrze zastawia sieci na duchy zbłąkane. [1]) I w tym surowym, wzniosłym świecie, gdzie na człowieka czyha zło, wrodzona słabość, lenistwo woli, tępość rozumu, gdzie wre ciągła walka z szatanem, gdzie sama wiara nie zbawia, lecz wiara, uczynek i łaska, tam zaiste możliwe są narodziny najgłębszego, najczystszego tragizmu. Dzieje się to wówczas, gdy szczytnym dążeniom bohatera staną wpoprzek złe, ciemne moce, gdy go zdruzgoczą, a widz mimo to odniesie wrażenie, iż sens katastrofy tkwił nie w zmiennej grze uczuć, ale w tej podniosłej rzeczywistości, którą bohater zasłaniał od ciosów niewidzialnego wroga. Dalecy wtedy jesteśmy od poglądu, czyniącego byt majakiem świadomości. Nie chodzi nawet o bolesną utarczkę sprzecznych dążeń. Chodzi o drogocenną rzeczywistość, rozścielającą się w nas i poza nami. Dla niej wycieka szlachetna krew z ran bohatera tragedji.

Norwid czuł obecność Boga w każdej sprawie ludzkiej. I tem przekonaniem słodził gorycz sierocej doli wygnańca. Gdy mu w ubogiem okienku mieszkania paryskiego zaszczebiotała jaskółka, wybiegał cichem marzeniem na polskie rozstaje, ubłogosławione zadumą Męki Chrystusowej. Chciał ducha polskiego tłumaczyć niemą, zaklętą w kamień modlitwą Świętych Pańskich. A ileż godzin poświęcił rozmyślaniom o wiejskich kapliczkach przydrożnych! Z wezbranego

[1]) Ob. Vacant-Mangenota: *Dictionnaire de Theologie Catholique*, Paryż, 1913, t. V, str. 1786 do 1868, Pinard: *Experience religieuse.*

tkliwością serca wypływały raz po raz słowa szczerozłote, kojące, dobrotliwe:

Przez wszystko do mnie przemawiałeś Panie,
Przez ciemność burzy, grom i przez świtanie!
Przez przyjacielską dłoń w zapasach z światem,
Pochwałą wreszcie, ach, nie Twoim kwiatem,
I przez tę rozkosz, którą urąganie
Siódmego nieba tchnąć zdaje się — latem.
I przez najsłodszy z darów Twych na ziemi,
Przez czułe oko, gdy je łza ociemi;
Przez całą dobroć Twą w tem jednem oku,
Jak całe niebo objaśnione w stoku. [1])

Wypiastował, wyhołubił dziwną religijność powszedniości. W tej sferze nie padały gromy. Gospodarzyła sobie wdzięczna prostota, a myśli, uczynki i uczucia były jako wyłożone na stół pożywne chleby. U skrzypiących wrótni tego włodarstwa stał złoty pokój. A wszelkie tęsknoty były tak zabiegliwie gwarne, jak strumień pszczół pod miodnemi lipami.

Tymczasem w dymiącem palenisku żądz, popędów, oszalałych energij, złorzeczeń, upadków i wzlotów; w ogromnym kotle niedowarzonej strawy jakobinizmu, gminowładztwa, wolnomyślicielstwa, reakcji, rojalizmu, mistyki i t. d., w całej ówczesnej Europie dławiono epopeę wyzyskiem i parą. [2]) Bruk wielkomiejski parzył stopy wygnańców. Była na nim krew straszliwej krzywdy ludu. Walały się szczątki barykad. Gdzie niegdzie jeszcze w poszczerbionych murach tkwiły kule, wymierzone w serce rewolucji. Na placach błąkały się echa najazdu. [3]) Miasto, jak Moloch, otwierało paszczę, wiecznie

[1]) *Bibl. Narod.*, j. w. 84.

[2]) *Bibl. Narod.*: *Na zgon ś. p. Jana Gajewskiego* str. 130.

[3]) Nastrój paryski z lat 1870—1872 opisany jest w H. Taine'a: *Nouveaux essais de critique et d'histoire* (1874 r.) w szkicu: *L'Opinion en Allemagne;* u Ernesta Renana w *La reforme intellectuelle et morale;* u Goncourtów w *Memoires de la vie litteraire*, t. IV. Norwid daje taki obraz Paryża: „Światło do dziś nie gazowe, ale tępe i mdłe dla ogromnego miasta, bo z ciężkiego oleju i świec, ścieki dwumiljonowej stolicy zatrzymane dla niemożności wywozu, powietrze pełne krwi ludzkiej, trzy zarazy: czarna ospa, tyfus, dissenteria. Czasem jednocześnie wewnętrzny wybuch, kładący na bruku osiemdziesiąt głów wolnych obywateli i huk kilku twierdz, bijących z dział na zewnątrz". *(List do Ą. Cieszkowskiego. Pam. Liter.* XXII i XXIII 612).

chciwe żeru. Syczała na rozgorzałych szczękach potwora ślina jadowitych dziennikarzy, papierowych niewolników dnia. A kędyś z otchłani z czarnego lochowiska wytaczał się huk, mrożący krew w żyłach. Rychło świat stary zmurszały miał się obrócić w kupę gruzu. Czekano rewolucji.

Wszakże to w tym czasie Karol Marx doprowadził do szczytu doskonałości swoją teorję katastrof. Sam twierdził, że jego *Kapitał* to Hegel, odwrócony do góry nogami. Istotnie, idealizmowi przeciwstawił Marx materjalizm, a ubóstwieniu państwa antypaństwowość. W ten sposób pogłębił rozłam między państwem a społeczeństwem; rozłam, który jaskrawo wystąpił w Rewolucji francuskiej, a był podsycany przez Rousseau'a. Odtąd uwagę myślicieli-socjologów będzie zaprzątać głównie społeczeństwo. Już u Saint-Simona w r. 1814 w dziele *De la reorganisation de la société européenne* zjawia się ten znamienny rys. Do przebudowy wiedzie rewolucja. To też socjalizm naukowy, acz przyjął za podstawę ewolucjonizm, uznał jednak rewolucję za konieczność. Stanowi ona poprostu naturalny skutek rozwoju ekonomicznego. Społeczeństwo, chcąc dojść do nowej postaci bytu, musi, jak kurczę, przebić skorupę ładu obecnego.

Oprócz trzeźwości kwitły majaczenia. I oto nie wiedzieć skąd przybłąkiwali się jacyś rycerze „sprawy", Don-Kichoci z przyłbicą zamkniętą nagłucho. Szeptali wróżby i proroctwa. Rozniecali żar dziwacznych uniesień. Mienili się apostołami nowej doby. U niektórych szli w pośmiewisko, u innych nie zdobyli wiary. Ale sporo dało im posłuch. I majaczyło. Ciągnęła do nich mocna wiara i zapowiedź lepszego jutra. [1]) Świadomość religijna wchodziła w okres przesilenia. Przeszczepiona na grunt, wyjałowiony racjonalizmem Oświecenia, znalazłszy się w środku życia, trawionego niezrozumiałą gorączką, życia, które szybko nabrzmiewało postępem kultury materjalnej, owym sokiem współczesności, usiłowała wydążyć za biegiem wieku. Stanęły naprzeciw siebie oko w oko: wiara i wiedza, swoboda i dogmat, ludowość i papiestwo,

[1]) Ob. u prof. K l e i n e r a: *Zygmunt Krasiński*, 1912, *Juljusz Słowacki*. t. IV; u Gwalberta Pawlikowskiego: *Mistyka Juljusza Słowackiego*, 1909; u prof. St. P i g o n i a: *Adoracja Towiańskiego. Przegl. Współcz.*, luty 1926.

kościół i naród, rozum i objawienie.[1]) Chwiały się nad tłumami różne wątpliwości, jak płomienne szmaty pochodni, macające wnętrza tajemniczych mroków. Był w tem, zaiste, ogrom „prac i cierpień ducha ludzkiego, trudzącego się nad osadzeniem religji w życiu nowoczesnem". [2]) Z tych rozstrzelonych uczuć, podartych dążeń, zszarganych myśli wyłaniał się znamienny dla tej doby tragizm religijnego niepokoju.

A kiedy on wtargnął zgiełkliwie i gwałtownie do zamyślonej duszy Norwida, musiał ją wyrwać z objęć codziennej pogody. Otworzyły się bezdenne czeluście cierpiącego świata. Zapadł w nie wzrok polskiego myśliciela. Syn narodu, zmiażdżonego obcasem, romantyk, który oglądał na obczyźnie zbeszczeszczenie butem pruskim odrodzonej epopei napoleońskiej[3]) zapytał: jaki sens tkwi w dziejach? „Bóg jest w obłokach nad historją" [4]) brzmiała odpowiedź. Katolicyzm

---

[1]) Przeciwstawienia te można tak zobrazować faktami: *Wiara i wiedza* — Renan w pierwszym wykładzie w Collège de France powiedział: „Człowiek niezrównany, taki wielki, że chociaż tutaj wszystko powinno sądzić się z punktu widzenia nauki pozytywnej, nie chciałbym zaprzeczyć tym, którzy nazywają go Bogiem, uderzeni znamieniem wyjątkowym jego dzieła" (Cyt. wedł. ks. Pawlickiego: *E. Renan.* Bibl. Dzieł Chrześć. t. I 75. — *Swoboda i dogmat:* 18 lipca 1870 r. ogłosiła Kongregacja Rzymska dogmat o nieomylności papieża, co wywołało burzę w sferach liberalnych i było przedmiotem złośliwych docinków. Dzienniki paryskie, podniecane krasomowstwem Gambetty, śliniły jadem.—*Ludowość i papiestwo,* głośna teza Lammuenais'go, nim nie odrzucił papiestwa.—*Kościół i naród:* w jesieni roku 1870 wojska Wiktora Emanuela, wywaliwszy otwór w murach koło Porta Pia, zajęły Rzym. Papież zamknął się w Watykanie. Dylemat, Kościół i naród zarysował się jaskrawo.—*Rozum i objawienie:* działalność Comte'a i Renana stwierdza, iż wisiało ono w powietrzu.

[2]) Prof. St. Pigoń *Wstęp, Wybór pism A. Towiańskiego. Bibl. Narod.* nr. 8.

[3]) Ubolewał nad tem i Renan. Wypłynęły mu z pod pióra słowa, jak łzy: „Nawet legendę raniono śmiertelnie. Legendę Cesarstwa obalił Napoleon III; legendę 1792 r. dobił Gambetta; legendę Terroru (bo i ten miał u nas legendę), wstrętnie wypaczyła Komuna; a legenda Ludwika XIV nigdy już nie wróci, odkąd potomek elektorów brandenburskich wskrzesił Cesarstwo Karola Wielkiego w godowej sali Wersalu" *(La reforme intell. et morale.* tłum. moje). Czy Norwid nie myślał czasem, patrząc na upadek Francji napoleońskiej, że pada *epopea?* Trudno coś orzec.

[4]) *Czarne i białe kwiaty,* j. w. 278.

ochronił od pesymizmu. Dozwolił wykrzesać iskrę wiary z twardej epoki sponiewierania i klęski. Bóg, ten sam Bóg dobrotliwy, który jedną ręką rozdaje łaskę, drugą wymierza chłostę. Cierpienie bywa koniecznym szczeblem postępu. Świat nie rozwiąże się w bezsensie, gdyż „prawa Boże nic nie niszczą, zasłaniając każdą katastrofę z przed oczu ludzkich konsekwentnością, z jaką katastrofy dzieją się". [1]) Rozkład narodu to nie ostateczna zagłada, to przemiana w doskonalszą formę bytu: „Jest pewna jednostronność heroiczna, a która wielkie usługi może oddawać nieprzyjaciołom, jeżeli hartuje ich organizm, rozłożenia oczekujący, jeżeli pojedynkiem samym i bez żadnej moralnej a historycznej pressyi uderza na skazane przez samą Opatrzność ciało, aby rozłożone i rozinaczone stało się". [2]) Ład kosmiczny spoczywa w ręku Boga. Ale dostojność człowieka zawiera się w czynach, zrodzonych z wolnej woli. W bogactwie świata rozsiano hojnie radość, ból, świętość, zbrodnię, czystość, grzech, miłość, nienawiść i t. d. Obfity wybór. Bohater tragiczny to jednostka o wielkiem rozpięciu skrzydeł odwiecznej tęsknoty ku najwyższemu dobru, pięknu i prawdzie. Chcąc wytęskniony ideał oblec w ciało, musi podjąć walkę. A gdy pada, to dzięki niemu stwierdzamy raz jeszcze, że nie osiągnięto zestroju, że należy przygotować się do nowych zapasów.

Taka myśl nasuwa się ze stanowiska ogólnego rozwoju świata. A ze stanowiska wartości bólu tragicznego dochodzimy do wniosku, że najmniejszej cząstki skarbu duchowego nie uroniono. Człowiek, złamany w tragedji, odkwita w naszej pamięci na nowo, jako wieczny wzór bohaterstwa lub świętości. Jego serce spala się w ogniu ofiarnym. Ale z popiołów zmartwychwstaje cudoskrzydły Feniks: nieśmiertelność Boskości. I ona to z nagromadzonych mąk, przerażeń i upadków wystrzela, jak słońce z odmętu nawisłych, brzemiennych mrokiem chmur. Jej pojawienie się witamy, jako zadatek trwałości i mocy ładu Bożego na ziemi: „W idealnem piękna uprawianiu leży pewne uczucie wyższego porządku rzeczy, ku któremu wznosząc się, jeżeli nareszcie u szczy-

[1]) *Chimera* VIII 410.

[2]) *Z niedrukowanej korespondencji C. K. Norwida.* Poznań 1921 str. 58.

tów onego napotkanej prawdy nie można wziąć, to jedynie dlatego, iż człowiek wziąć sam nic nie może, coby mu pierw nie było dano wziąć". [1]) Kometa przychodząca ze zgonem Cezara, Fortuna-Mścicielka, wiążąca winę z karą, zasługę z nagrodą, gangrena na ciele potężnych mocarstw, które mają być „rozinaczone", palący dech czasu, co zawsze „nagli", bo niesie w ogniu i gromach oczyszczającą burzę, niemowlęctwo człowieka wobec zawikłanej tajemnicy bytu — oto są wykładniki tej bezmiernej potęgi, która rządzi wszechświatem. Bohater tragiczny czuje na każdym kroku zależność od Boga. Ponieważ zaś jego wewnętrzny rozstrój, jego trawiący ból pochodzą z bytu, ogarniętego sprzecznością i grozą, szuka tedy ukojenia w zupełnem oddaniu się powszechnej harmonji. Chce tam zaprzepaścić własne okrwawione jestestwo:

Zniknąć we wykonaniu dzieła! Oto sztuka,
Kapitalniejszej nie znam precepty i myślę,
Że znać innej nie może uważny pracownik.
Powiadają, że dzieła mają nas uwieczniać:
Nie to wszelako czyni je drogiemi. One
Gdyby nasz przewlekały żywot z nędzą jego,
Z zazdrościami ludzi, z odbytych walk trudem,
Zaiste, że cenniejsze byłyby „im wiotsze". [2])

To samo mogą o sobie powiedzieć Cezar i Kleopatra. Oboje pragną spocząć w Bogu. Dola ich jest podwójnie bolesna: bo oto ledwie zdejmą rynsztunek, opatrzą rany, ledwie wytchną po trudach walki, budzi się drugie cierpienie. Wstaje z uśpienia głód wiecznotrwałej ochłody w źródle wszechrzeczy. Po borykaniu się ze złą mocą o wyższy ustrój świata przychodzi wielkie pragnienie zatracenia cierpiącej duszy w kosmicznej harmonji. I tak oto graniczą ze sobą bierność i czynność.

Całość wszakże spraw i działań ludzkich: wysiłek herosów, modlitwa świętych, praca maluczkich, tężyzna czynu, spokój wyrzeczenia, burze namiętności, chłód ascezy, siła władcy, słabość sieroty, słowem wszystko, cokolwiek w piersi ludzkiej zmieścić się może, ma być wchłonięte przez religijność. A więc i tragizm. Tak tedy Norwid, któremu pętały

[1]) *Czarne i białe kwiaty*, j. w. 151.
[2]) *Chimera* VIII 190.

nogi wszystkie sprzeczności wieku, doszedł do wszechogarniającej jedni: „Jakoż wobec Religji sztuka samoistność swą tracąc, wstępuje już w porządek potęgi wyższej życia, gdzie o tyle tylko żywa jest sobie, o ile litery światłem staje się, kona sobie, a najjaśniejszym tajemnicom wiary objawionej, jako uwidomiające ciało, postać i forma posługuje". [1])

Zamykamy norwidowską księgę o bohaterstwie i upadku. Słyszeliśmy w niej szum skrzydeł olbrzymiego orła. Z wyżyny samotnych rozmyślań spadał on, jak grom, na życie. Zatapiał szpony. Porywał i unosił na szczyty. Tam wypowiadał swoją dumę błyskawicom, chmurom, słońcu, wichrom i grzmotom. Była to jednocześnie rozmowa z Bogiem.

Bóg mu dawał natchnienie. Wzamian zato dusza poety kwitła wdzięcznością, niby jabłoń, co z kwiecia wydaje wonne i słodkie owoce. Norwid żył w Bogu. Okryty płaszczem gwiezdnej nocy, kołysany szeroką chwiejbą fali oceanowej, słał z głębi serca westchnienie:

O! Boże... jeden, który jesteś, Boże,
Ja także jestem...
choć jestem przez Ciebie. [2])

W nagich ścianach celi więziennej, rzucony na pastwę gnuśnej próżni, złoconym ściegiem rozsnuwał Psalmy Dawidowe, dar dla Włodzimierza Łubieńskiego, i niby mnich średniowieczny zdobił je purpurą, złotem i szmaragdem. [3])

W godzinie świętej zadumy religijnej na Rynku Krakowskim, gdy mu nad głową świegotały jaskółki, szeleściły topole, a potem rozbrzmiewał chorał ludu, zapatrzonego w Sanctissimum, w owej godzinie poczęło dramatyczne wyobrażenie ciszy, łono macierzyńskie norwidowskiego tragizmu: „Kilka dni ledwo jestem, a odebrałem tyle niespodziewanych wrażeń! Tu oktawa Bożego Ciała, świątnicy z Męką Pańską na długich pelerynach, gdzie niegdzie jeszcze kontusz, czekan, cech z chorągwiami, bractwo i lud krakowski. Zatrzymali się przed ołtarzem, majonym w zieloność, hołdy

[1]) *Czarne i białe kwiaty*, j. w. 149.

[2]) *Chimera* VIII 366.

[3]) Sprawa uwięzienia Norwida w Berlinie została wyjaśniona przez prof. J. Ujejskiego w *Przypisach* do *Listów C. K. N.... Pam. Liter.* XXII i XXIII 615, 616.

ustały, zewsząd cisza, a pięćdziesiąt chorągwi kościelnych i cechowych na podobieństwo pochyla się (!) ku ziemi i lud jak fala niżej, a całe miasto głuche, bowiem ze wszystkich ulic spłynęli w rynek i umilkli. Dziwno jest nad głowami kilkunastu tysięcy ludzi słyszeć przelotne śpiewy jaskółek, lub szmer topoli, zieleniejących w rynku. Z równąż powagą cała odbyła się procesja, przed każdym ołtarzem przyklęknięto i powtórzono cichość — poczem znów kotły i głośne nabożeństwo". [1])

[1]) *Autoportret*, j. w. 139—140.

Zygmunt Falkowski.

Życie polskie w Rzymie w XVIII wieku.

Dzieje środowiska narodowego.

(Dokończenie)

W stanie chronicznego kryzysu, spychania długów z roku na rok i spłacania ich tylko w drobnej części, bo resztę zjadały procenty, zarząd Hospicjum doczekał się procesu z majstrem murarskim. Wobec groźby sądowego zajęcia dochodów Hospicjum na zebraniu prowizorów z dnia 7 lipca 1724 r. postanowiono *maturato prius consilio* prosić kardynała protektora Hannibala Albaniego, ażeby autorytetem swym interwenjował w sądzie i murarzom dalszą cierpliwość i czekanie zalecił *(et muratoribus ulteriorem patientiam et expectationem recomendaret).* Z tą drażliwą misją wydelegowano do kardynała prowizorów Wacława Sierakowskiego, przyszłego biskupa przemyskiego a potem arcybiskupa lwowskiego, oraz ks. Jerzego Megliorucci'ego archidjakona, później kanonika lwowskiego, pochodzącego z włoskiej rodziny. Gdy jednak Albani zapowiedział wizytację kościoła jako delegat apostolski i protektor Królestwa, wówczas poddniosło się larum przeciwko wizytacji, jako szkodliwej dla przywilejów kościoła, nadanych przez Grzegorza XIII. Sierakowski i inny prowizor, Bonawentura Turski, mieli udać się do kardynała i prosić go ponownie, żeby nie robił tego despektu kościołowi, a w międzyczasie postanowiono zwołać generalną kongregację Polaków.

W istocie kongregacja z dn. 11 sierpnia 1724 r., zwołana w pełni kanikuły, miała przebieg dramatyczny. Chodziło wszak o przywileje i prawa z nadania papieży, których bronić i nie dać nikomu uszczuplić nacja polska, reprezentowana w Rzymie, uważała za taki sam obowiązek,

jak bronić w Polsce podobnych przywilejów swej warstwy, a pochodzących z wolnego czy poniewolnego nadania swych królów. Pośród uroczystej ciszy odczytano główny, podstawowy dokument, jakim była bulla Grzegorza XIII i stwierdzono, że ewentualna wizytacja kardynała, odbyta z jurysdykcją kontrolną i sądową byłaby naruszeniem praw kościoła. Co innego wszakże, gdyby przybył jako *persona grata Reipublicae!* To możnaby jeszcze przeboleć i strawić. Na pytanie więc postawione przez przewodniczącego — *quid faciendum?* — zdecydowano wydelegować Puszeta jako oficjalną osobę, aby tę drażliwą kwestję omówił z kardynałem. Okazało się jednak, że nie było rady i Hospicjum stanęło przed alternatywą: albo spłacić długi, albo przyjąć kuratelę. Skończyło się, jak zobaczymy, na kurateli.

Tymczasem atoli ambicja i honor narodowy nakazywał prowizorom opierać się jeszcze przez jakiś czas nacierającej nieubłaganie rzeczywistości w postaci wierzycieli. Nadchodził rok jubileuszowy. Spodziewano się zapewne napływu Polaków do Rzymu a zarazem napływu ofiar na kościół. Kazano więc kościół pobielić, posprawiać nowe ramy do ołtarzy a na miejsce obrazu Ukrzyżowanego, który uległ zbutwieniu, polecono wymalować inny Szymonowi Czechowiczowi. W tych okolicznościach i warunkach powstało więc arcydzieło mistrza religijnego malarstwa w Polsce, którego koszta miano pokryć ze składek. Ze składek też miano zbudować chór, a dla pokrycia innych wydatków postanowiono sprzedać starodawne peristroma i belki pozostałe po budowie. Jeden z prowizorów zaś (Dembowski) odnowił własnym sumptem srebra kościelne. Z murarzami, dla zdobycia oddechu, pomyślano szukać drogi układów i poradzić im, by pożyczyli u kogoś przypadającą im kwotę 1.100 skudów na podkład dóbr kościoła, przyczem procenta opłacałby kościół.

Zjazd na jubileusz był znaczny, ale rezultat materjalny tego zjazdu dla Hospicjum względnie dość nikły. W księdze dobroczyńców podpisano około 217 skudów na kościół. Pośród przebywających w Rzymie lub przybyłych z Polski spotykamy wtedy: pomienionego ks. Wacława Sierakowskiego, kanonika katedr. krakowskiego, ks. Wojciecha Zielińskiego, kanonika katedr. włocławskiego, Antoniego Cet-

nera, Błażeja Krasińskiego, Benedykta Gurowskiego, opata bledzowskiego, Stanisława Miaskowskiego, Franciszka Ponińskiego, Stanisława Kurzenieckiego, Aleksandra Działyńskiego, kanonika gnieźnieńskiego, Wilhelma Robertsona, Karola i Jana Wielopolskich, Franciszka Wieniawskiego, kantora chełmińskiego i wielu innych. Dwu z nich, t. j. Gurowskiego i Wieniawskiego, uwiecznił w swoich świetnych karykaturach współczesny malarz i karykaturzysta Pierleone Ghezzi. W 1726 r. część z pomienionych wróciła do Polski, między innymi ks. Wacław Sierakowski, któremu dano listy do episkopatu i rządu Rzpltej o pomoc i mandat zbierania składek, a równocześnie zjeżdżali inni na zapowiedzianą kanonizację św. Stanisława Kostki.

Ta wielka uroczystość narodowa zastała Hospicjum i kościół św. Stanisława w takim niedostatku, że kolonja polska, która po skończonym jubileuszu, znacznie się przerzedziła, nie była nawet w stanie urządzić osobnego uroczystego nabożeństwa na cześć Świętego. Jeśli dodamy, że właśnie podówczas przyszło do naprężenia stosunków między Rzpltą a Watykanem, to stwierdzić wypadnie, że Polska nie wzięła w tej wielkiej manifestacji religijnej i narodowej tego udziału, jaki z natury rzeczy wziąć była powinna. Znowuż zwrócili się Polacy rzymscy do kardynała Albaniego, ażeby raczył *pro sua benevolentia et generositate* urządzić nabożeństwo, a równocześnie porozumieli się z OO. Jezuitami co do niesienia sztandaru św. Stanisława przez arcybractwo św. Tryfona w czasie wielkiej procesji kanonizacyjnej. Koszta kanonizacji i całej uroczystości ponosił zakon Jezuitów.

W ciągu 1727 r. kolonja polska oczekiwała z niecierpliwością zapowiedzianego przyjazdu posła Tarły, licząc, że przywiezie sukurs. Zapowiedź ambasady Tarły, o której pisało kilkakrotnie jedyne podówczas pismo rzymskie *Cracas* albo *Diario Romano,* służyła do uspakajania natarczywości wierzycieli. *Cracas* wyliczał pokaźne sumy, uchwalone na ambasadę, a więc 100.000 talarów dla ambasadora, 6.000 dla pierwszego sekretarza a dla innych po 4.000 talarów. Lecz poseł nie przyjeżdżał i nie przyjechał wcale, a kurateli nad Hospicjum nie dało się już dłużej odkładać. Błagali więc kardynała Albaniego prowizorzy, aby wizytacja jego nie

miała formalnego charakteru i żeby się odbyła z zachowaniem praw i statutów Hospicjum. Naogół w łonie kolonji walczyły dwa prądy: jeden za wizytacją, którą dla salwowania pozorów, nazwanoby protekcją, drugi przeciwny wszelkiej tego rodzaju kontroli. Puszet, jak łatwo domyśleć się, był za pierwszą ewentualnością i on to poza plecami kolonji porozumiał się z Albanim, sprowadził go trochę niespodziewanie do Hospicjum i kazał połknąć opozycji ten „dyshonor".

Wizytacja miała miejsce w lipcu 1727 r. Spisany został protokół i przekazano klucze na znak zdania władzy kardynałowi. Była to chwila przykra ale konieczna, bo niebawem spadł na Hospicjum nowy proces, który wytoczył rektor kościoła irlandzkiego, nie mogąc doczekać się należących jego kościołowi procentów od pożyczonej sumy. Postanowiono traktować z nim *amicabiliter* i przyrzec mu 40 skudów a conto, tymczasem zaś rozpisano nowe listy do episkopatu i do wojewody Chomętowskiego i przedewszystkiem przystąpiono do energicznego ściągania czynszów, niepłaconych przez niektórych lokatorów.

Kardynał Albani wydelegował jako administratora kościoła Mons. Gentili, sekretarza Kongregacji biskupów i arcybiskupa Petry. Stało się to na mocy osobnego dekretu Benedykta XIII, w myśl którego z nastaniem nowej administracji zawieszone zostały na 8 lat prawa i statuty Hospicjum co do autonomicznego administrowania majątku instytucji przez prowizorów; dochody z fundacji kulturalno-naukowej biskupa Zadzika przeznaczone na potrzeby kościoła, a nawet intencje mszalne zawieszone na 8 lat, wszystko celem szybszego spłacania wierzytelności.

Na wieść o dekrecie papieskim i cofnięciu dawnych przywilejów w kolonji zawrzało, bo administratora Mons. Gentili'ego cierpiano tylko z konieczności, a nowy stan rzeczy uważano „za ubliżający wolnościom i honorowi Sarmatów". Opozycja nie mogła protestować, ale ferment pozostał na tle obrażonych wolności szlacheckich na gruncie rzymskim. Na szczęście Monsignor Gentili okazał nietylko wytrawną pomoc ale i wielką życzliwość dla Hospicjum. W istocie instytucja nie mogła otrzymać życzliwszego opiekuna, bo starał się on wejść w położenie i umiał szanować

drażliwości Polaków i łagodzić w wykonaniu tenor dekretu papieskiego. Zredukowane intencje mszalne miał odprawiać odtąd rektor. Ustanowiony nowy zawiadowca Hospicjum, Sachetti, miał pobierać czynsze, składać je w banku Monte di Pietà do dyspozycji Mons. Gentili'ego. Na tem też polegała zmiana, że nie prowizorowie ale Mons. Gentili dawał teraz rozkazy wypłat i bez jego podpisu nie były one prawomocne. Odebrano więc prowizorom władzę dysponowania majątkiem kościoła. W tych warunkach dalsze wybieranie prowizorów miało tylko formalne znaczenie, ale funkcji tej nie zaprzestano. Kongregacje generalne odbywały się więc nadal a na partykularnych obecny był Mons. Gentili, bo bez niego nie można było powziąć żadnej decyzji i żaden akt administracyjny nie miał waloru. Na intencje mszalne wydawano dotąd około 100 skudów rocznie. Obecnie zredukowano je do jednej mszy św. dziennie i dwu rocznic mszalnych w każdym miesiącu za dusze fundatorów. W ten sposób przez kumulację intencji mszalnych zaoszczędzono na wydatkach kościelnych. A wreszcie ze sprzedaży 10 papierów procentowych uzyskano 1162 skudów i zaspokojono niecierpiące zwłoki długi. Operacja ta była możliwa tylko za zezwoleniem Papieża. W roku 1728 t. j. w chwili nastania kurateli, długi Hospicjum wynosiły 3.066·67 skudów, zaś wierzytelności 764·79 skudów. Czyli stan bierny wynosił 2.302·88 skudów, co nie przedstawiało cyfry zbyt wielkiej. Stąd widać, że słusznym mógł być żal przeciwników kurateli, bo lada sukurs dworu czy ofiara jednego lub dwu biskupów mogła była przywrócić równowagę instytucji. Ale lata kryzysu Hospicjum zbiegły się, jak wskazano powyżej, z kryzysem stosunków między Rzplta a Watykanem oraz ze spodziewanem a ciągle odkładanem poselstwem Tarły, co wszystko razem wziąwszy wpłynęło niepomyślnie na losy instytucji. Wystarczyło trzy lata administracji Mons. Gentili'ego z dyktatorjalnemi pełnomocnictwami, by gospodarkę przyprowadzić zgrubsza do porządku. Pomijamy wiele dotyczących wewnętrznych stosunków w ówczesnej kolonji polskiej, które mogłyby zainteresować powieściopisarza, a których uwydatnienie ze stanowiska historyka nie jest konieczne.

Wypadki krajowe, śmierć Augusta II, podwójna elekcja,

zakończona wyborem Leszczyńskiego i Augusta III z natury rzeczy odbiły się na życiu kolonji polskiej. Jako poseł Leszczyńskiego zjeżdża tu w styczniu 1734 r. ks. Józef Załuski, referendarz koronny. Pod jego wpływem Polacy rzymscy stanęli przy Leszczyńskim i zaraz zdecydowali wywiesić jego herb na kościele św. Stanisława. 28 stycznia 1734 r. odbyła się kongregacja pod prezydencją Załuskiego. Po deklaracji na rzecz króla Stanisława i jego posła, zobowiązano się nie utrzymywać stosunków z przeciwnikami politycznymi i ze wszystkiem odnosić się do Załuskiego a niczego obraźliwego o królu nie głosić. Nawet na wypadek wiadomości o sukcesie przeciwnego stronnictwa, postanowiono zatrzymać herb Leszczyńskiego, wywieszony na Hospicjum, dopóki nie nastąpi zupełna pacyfikacja Rzpltej. Załuski, którego wybrano jednym z prowizorów i odtąd ponawiano ten wybór kilkakrotnie, podpisywał się w aktach: *Supremus Regni Referendarius et Serenissimi Regis in Urbe Ablegatus, Ecclesiae nationalis Provisor.* Z inicjatywy Załuskiego powzięto też (na kongregacjach gener. z dnia 10 maja 1734 i 11 maja 1735 r.) szereg uchwał, mających na celu osiągnięcie więcej sprężystej i uporządkowanej administracji oraz zabezpieczenie czujnej opieki nad całą instytucją, z uwagi, że ośmiolecie przymusowej administracji Mons. Gentili'ego dobiegało końca. I tak, żeby rektor, po wyborze, składał przysięgę wobec zebranej nacji i dopiero po tym akcie mógł objąć rządy. Druga uchwała miała na celu usunięcie sporów wewnętrznych w kolonji, które, zdaniem zebranych, miały głównie pochodzić od Polaków urodzonych w Rzymie z rodziców polskich. Rzekomo ci urodzeni w Rzymie Polacy mogli stać się początkiem wielkiego niebezpieczeństwa, bo wzrósłszy w siłę mogliby dyktować prawa i rozkazywać „prawdziwym Polakom" *(veris Polonis),* t. j. przybywającym z Polski i nawet objąć zarząd kościoła i wziąć Hospicjum we własne posiadanie. Dlatego takich rzymskich Polaków wykluczono raz na zawsze od udziału w kongregacjach, zaklinając przyszłych prowizorów na miłość Boga i miłość narodu polskiego *(amore Dei, amore Nationis polonae)* do przestrzegania tych uchwał, które wydają się nam dziś co najmniej przesadne, tem bardziej, gdy się zważy, że tych urodzonych

w Rzymie Polaków mogło być dwóch — trzech. Prawdopodobnie miano tu na myśli syna Puszeta, który po śmierci ojca mógł był pretendować do przodownictwa w kolonji, a jako zwolennik Sasów był podwójnie niepożądany. Inne uchwały dotyczyły kontroli stanu finansowego instytucji, uporządkowania bibljoteki, funkcji zakrystjana i t. p.

W styczniu 1735 r. umarła stale zamieszkała w Rzymie Klementyna Sobieska, córka Jakóba, najstarszego syna Jana III a żona Jakóba III Stuarta, pretendenta do tronu angielskiego. Klementyna była tu bardzo popularna i lubiana. Wszystkie kościoły i bractwa kościelne urządzały nabożeństwa za jej dusze. Kolonja polska przez pamięć dla Jana III nie mogła pozostać wtyle i sumptem Załuskiego urządziła okazały obchód żałobny.

28 lipca 1736 r. kończył się termin ośmioletni ograniczenia przywilejów Hospicjum przez Benedykta XIII oraz zawieszenia legatów mszalnych. Jakkolwiek długi nie zostały jeszcze spłacone, prowizorowie postanowili przywrócić dawny stan rzeczy, zachowując milczenie co do samego faktu kurateli. Mons. Gentili, który położył wielkie zasługi dla Hospicjum, został kardynałem i nadal opiekował się instytucją jako *convisitator*. Przez następnych kilkanaście lat Hospicjum wraca do dawnej autonomji a zarazem do dawnych grzechów, gdyż zarząd w osobach czterech prowizorów, zmieniających się co roku, z powodu wyjazdów do Polski, był zbyt ciężki i niejednolity a odpowiedzialność kolegjalna nieuchwytna. Lokatorzy nie płacili czynszów, stąd dochody znowuż nie wystarczały na umorzenie długów i spłatę procentów.

W latach 1736—1746 przez Hospicjum przesuwa się cały szereg osobistości, które w następstwie zajmą czołowe miejsca w episkopacie i w państwie, zostawiając bądź dodatnie, bądź zgubne ślady swej działalności. W 1736 r. prowizorem obok Załuskiego, gotującego się już do wyjazdu, jest Kajetan Sołtyk, podówczas kanonik gnieźnieński i łowicki. Tu, w Rzymie, po raz pierwszy zetknęli się na terenie Hospicjum, ci w 30 lat później towarzysze niewoli moskiewskiej. Rok przedtem, za rektoratu Józefa Madalińskiego, kanonika poznańskiego, zdarzyło się, że zbirowie, t. j. policja papieska, wtarg-

nęła do Hospicjum w czasie jakiegoś pościgu przez pomyłkę czy rozmyślnie. Kongregacja, w której uczestniczył i Sołtyk, podniosła protest przeciwko temu niesłychanemu zamachowi na przywileje kościoła *(contra tantum enorme attentatum)* i uprosiła Załuskiego, który już przestał być posłem, aby interwenjował w tej sprawie w ambasadzie francuskiej i szukał tam pomocy, a na wszelki wypadek wydelegowała także prowizora ks. Klińskiego Augustyna i rektora ks. Jana Szczycińskiego, kanonika katedralnego włocławskiego do ks. Grabowskiego, aby jako poseł Augusta III, bronił wobec władz papieskich praw instytucji.

Po odjeździe Załuskiego i Grabowskiego w życiu kolonji wysuwa się na pierwszy plan Sołtyk. On przewodzi zebraniom i robi, jak potrzeba, porządek. Pospiesznem, energicznem pismem zapełnia księgę protokołów posiedzeń i wyrzuca w r. 1737 z rektoratu pomienionego ks. Szczycińskiego, *propter infinitos abusus et inconvenientias ab illo peractas.* W istocie Szczyciński *fraudulenter* miał pokrzywdzić kościół na sumę 233 skudów. W Rzymie przebywa wtedy jakiś czas i jest prowizorem Hospicjum inny przyszły towarzysz polityczny Sołtyka i głowa konfederacji barskiej ks. Adam Krasiński. Obydwaj ze Sołtykiem kształcą się na uniwersytecie rzymskim. W rok po Sołtyku, w maju 1739 r., zjeżdża na studja przyszły nieszczęsny prymas, Gabrjel Junosza Podoski, wraz z bratem Franciszkiem i jest prowizorem Hospicjum, a w r. 1740 Leon Szeptycki, przyszły biskup unicki lwowski. Można powiedzieć, że w 18 wieku nie było w Polsce biskupa i wybitniejszego duchownego, któryby nie był związany działalnością w Hospicjum jako prowizor lub jego rektor. W r. 1746 rektorem był Jan Awedyk, doktór filozofji i medycyny i pełnomocnik w Rzymie prymasa Komorowskiego. Od r. 1748 zaczyna się zaś dziesięcioletni okres rektorstwa ks. Andrzeja Młodziejowskiego, który w dziejach Hospicjum jest przełomowy.

Przewlekle niepomyślny stan Hospicjum przekonał najzajadlejszych autonomistów, że nie może ono istnieć bez silnego oparcia o kraj, że dotychczasowa organizacja składek i ofiar nie prowadzi do celu, bo nie znajduje dostatecznego odgłosu w kraju, gdyż pośród wyższego ducho-

wieństwa, które kształciło się w Rzymie i zaznajomione było z gospodarką instytucji, wytworzyło się przekonanie, że zarówno kolegjum biskupów jak Rzplta powinna tu ingerować. Tego zdania był przedewszystkiem kanclerz w. kor. ks. Andrzej Stanisław Załuski, niebawem biskup krakowski, oraz biskup Michał Wodzicki, obydwaj z autopsji znawcy stosunków rzymskich. Oni to skłonili Augusta III do interwencji, tem bardziej, że kolegjum biskupów nie mogło się zdecydować i przeciągało rezolucję w tej sprawie, o której mówiono i na sejmie 1748 r.

Zjazd Polaków w Rzymie w tym roku był wyjątkowo liczny. Na kongregacji generalnej w dniu 18 kwietnia 1748 r. stawiło się ich 27. Byli między innymi August i Aleksander Sułkowscy, trzech Dembowskich: Stefan, Mikołaj i Antoni, Florjan Rozwadowski, Tadeusz Lipski, Bartłomiej Wessel, Stanisław Łuba, Józef Żabicki, Szymon Otocki, Franciszek Neuhauser, kanonik katedr. poznański, Jan Mokronowski, ówczesny rektor Hospicjum, Ignacy Cieński, Józef Rembowski i t. d. Po sprawozdaniu o krytycznem, jak zwykle, położeniu finansowem, ustępujący rektor ks. Jan Mokronowski, kanonik płocki, postawił wniosek, iż, z uwagi na położenie instytucji, niezbędnem jest wybrać w Polsce stałego protektora i to senatora ze stanu duchownego, z którymby rektor i prowizorzy mogli się znosić w sprawach niecierpiących zwłoki „i innych dla domu narodowego więcej pożytecznych, a dla zarządu zbawiennych, celem polepszenia obecnego jego stanu, na chwałę Bożą, św. Stanisława honor i przez wzgląd na godność narodowych kościołów w Rzymie". Wybór padł jednogłośnie na księcia biskupa krakowskiego, Andrzeja Załuskiego i jego na biskupstwie następców. Protektorem kurjalnym Hospicjum był i pozostał nadal kardynał Hannibal Albani. Zgromadzenie zrzekało się na rzecz bpa Załuskiego i jego następców całej swej władzy. Wybrany otrzymał swobodną, generalną i zupełną władzę z szerokiemi pełnomocnictwami zarządzania, cokolwiek uzna za odpowiednie *(cum libera, generali et absoluta potestate ampliaque facultate peragendi quidquid Celsitudini Suae magis videbitur etc.)*. W ten sposób nacja polska, zgromadzona w Rzymie, zdobyła się na rzadki i niemal bezprzykładny

czyn zrzeczenia się własnych przywilejów na rzecz jednostki dla dobra instytucji. Szkoda, że ci sami ludzie, wróciwszy do kraju, nie umieli i nie chcieli tego zastosować w szerszej mierze na rzecz Rzpltej. W każdym razie był to zamach na autonomję Hospicjum dokonany w przekonaniu, że tylko w ten sposób można je uratować. Za kulisami tej akcji stał i niewątpliwie ją przygotował młody, inteligentny i przedsiębiorczy naówczas słuchacz teologji, w następstwie biskup, podkanclerzy, kanclerz i wraz z Podoskim wielki grzesznik narodowy, Andrzej Młodziejowski, który zimą tego roku zjechał na studja do Rzymu. Działał on bezwątpienia w porozumieniu z biskupem Andrzejem Załuskim. Akt zrzeczenia się był zresztą cnotą z konieczności i o parę miesięcy poprzedził pełnomocnictwo, dane przez Augusta III Załuskiemu pismem z dn. 20 stycznia 1749 r., mocą którego objął on zarząd Hospicjum i kościoła św. Stanisława. Powodem, który króla do tego skłonił — powiedziano tam — jest dobro Hospicjum, które w przeciwstawieniu do podobnych instytucyj innych narodowości nietylko poszło w zapomnienie ale poniekąd w niesławę i nie odpowiada godności narodu. Co więcej, jak królowi donoszą, szwankuje i zarząd, długi przechodzą siły instytucji. Daje przeto król biskupowi pełnomocnictwo, by wglądnął w sprawy Hospicjum, uwolnił, o ile możności, instytucję z długów i przyprowadził ją do porządku. Reskrypt królewski przywieziony do Rzymu, zakomunikowany został kongregacji generalnej Polaków w dniu 12 maja 1749 r. Z ramienia Załuskiego rządził więc teraz rektor Młodziejowski, ale zebrania i wybór prowizorów odbywa się nadal według dawnych statutów aż do nadania nowych. Stąd, w tym okresie przejściowym, nieuniknione tarcia wewnątrz kolonji i Młodziejowski musiał staczać jeszcze walki z rodakami o swe dyktatorjalne pełnomocnictwa.

Panujący podówczas papież Benedykt XIV, podobnie jak jego poprzednicy, z wielką życzliwością odnosił się do spraw Hospicjum. Na skutek starań Młodziejowskiego, osobnym dekretem z dnia 28 września 1748 r. wydał przywilej, mocą którego wszystkie ekspedycje bull i aktów papieskich, wychodzących do Polski, miały odtąd płacić na rzecz „królewskiego kościoła" pewien procent. W ten sposób Bene-

dykt XIV chciał się przyczynić do pomnożenia dochodów Hospicjum i dać mu możność spłacenia długów. W tym celu wybrano osobnego kolektora tej taksy w osobie Aleksandra Roccatani, z pensją roczną 70 dukatów, co samo przez się wskazywałoby, że taksa pobierana na rzecz kościoła od pomienionych ekspedycyj była znaczna, ale na tej pensji ciężył pewien wydatek celem ułatwienia wypłaty taks. Hospicjum zawarło z Roccatanim osobny kontrakt i w przyszłości, niestety, miało z nim kłopoty i zatargi, bo nieregularnie wpłacał raty do banku.

W r. 1751 Hospicjum miało poważny zatarg z władzami papieskiemi z powodu naruszenia przez policję eksterytorjalności. Młodziejowski udał się ze skargą do Brühla, który zkolei dał instrukcję i posłowi Augusta III w Rzymie, hr. Lagnasco i kardynałowi, protektorowi Polski, Albaniemu, aby interwenjowali w Watykanie i żądali satysfakcji. W tym czasie, t. j. pod koniec 1751 r., Hospicjum otrzymało znaczniejszy sukurs od biskupa przemyskiego, Wacława Sierakowskiego, b. prowizora, dzięki czemu można było nareszcie spłacić resztę długu zaciągniętego na budowę przed 30 laty w kwocie 5.000 skudów w kolegjum irlandzkiem.

17 maja 1752 r. odbyła się ostatnia kongregacja generalna na podstawie starych statutów. Poczem, w myśl reskryptu królewskiego do Załuskiego, rozpoczęta wizytacja, t. j. kontrola królewska *(visitatio regia)*, dokonana przez prałata Albaniego, kuzyna kardynała protektora Polski. Okres ten, w ciągu którego wydane zostały nowe statuty, trwał 5 lat, od 17 maja 1752 do 27 czerwca 1757 r. Uporządkowanie spraw instytucji mogło się dokonać przy jednolitem kierownictwie, bez intromisji postronnej. Dlatego „z rozkazu królewskiego" *(ex ordine Sacrae Regiae Majestatis)* zawieszono odbywanie zebrań ogólnych Polaków i całą wewnętrzną autonomję, a rządy sprawował sam rektor z szerokiemi pełnomocnictwami aż do ogłoszenia aktów wizytacji i nowych statutów.

Nowe statuty noszą datę 18 lutego 1757 r. Autorami ich byli Załuski i Młodziejowski, ale wydane zostały w imieniu Augusta III i przez niego potwierdzone, przez co instytucja związana została po wsze czasy z Rzpltą i biskupstwem

krakowskiem. W 37 rozdziałach ujęto nowy regulamin Hospicjum. Protektorem instytucji został biskup Załuski i jego następcy. Biskup krakowski był też odtąd źródłem władzy dla Hospicjum, nie zaś, jak dotąd, kongregacja generalna Polaków rzymskich. Z jego nominacji pochodził rektor, główny administrator Hospicjum. Wprawdzie postanowiono nadal odbywanie zgromadzeń, które wybierały 4 prowizorów, ale zakres działania ich był ściśle ograniczony. Byli oni właściwie tylko doradcami i pomocnikami rektora, i każdy z nich miał statutem wyznaczoną czynność: pierwszy miał czuwać nad zakrystją i kościołem, drugi nad budynkami, trzeci był skarbnikiem a czwarty archiwistą. Dawną autonomję i wszechwładztwo prowizorów sprowadzono do właściwych rozmiarów i osobnym paragrafem statutów ujęto dyscyplinę zebrań generalnych, na których każdy z uczestniczących mógł wygłosić swe zdanie dla dobra kościoła, ale zakazanem było rzucanie obelg i wszelkie nieumiarkowanie. Rektor był odpowiedzialny za całość administracji i on referował o stanie kościoła i zakładu na zebraniach. Dawni rektorzy pobierali niewielką pensję, odtąd mieli pełnić swe czynności honorowo i dlatego wybierano ludzi niezawisłych majątkowo. Nowym dygnitarzem był obecnie radca prawny, wybierany przez prowizorów i rektora z głosem doradczym. Osobny paragraf zastrzegał, że wszelkie dochody Hospicjum, po spłaceniu długów, miały być obracane na użytek duchowy i fizyczny pielgrzymów. Pomniejszych urzędników, jak rachmistrza i zawiadowcę, wzięto też w odpowiedni rygor. Młodziejowski wrócił do Polski, gdzie przed nim otworzyła się wielka karjera. Był to niezaprzeczenie człowiek zdolny, zwłaszcza jako administrator, ale bez charakteru, dlatego zawiódł w chwili próby i nie umiał oprzeć się złemu.

Następcą Młodziejowskiego na rektorstwie został w 1757 r. ks. Jerzy Dobrzański. Pierwszym radcą Hospicjum wybrano w tymże roku ks. Antoniego Żołędziowskiego, doktora teologji i obojga prawa, przyszłego zasłużonego profesora i rektora Akademji Krakowskiej. Mieszkał on w Rzymie kilkanaście lat, zajmując się gorliwie sprawą kanonizacji św. Jana Kantego, którą pomyślnie przeprowadził w 1767 r., uzyskawszy uznanie tego świętego za patrona uczącej się mło-

dzieży. Żołędziowski, zostawszy podkanclerzem Akademji krakowskiej, pracował usilnie nad jej rozwojem, po śmierci zaś zapisał na fundusz edukacyjny 40.000 złp. a bibljotece Akademji zbiór książek i medali, które w znacznej części zebrał w Rzymie.

W r. 1758 umarł biskup Załuski. Hospicjum za duszę *insignissimi benefactoris* urządziło nabożeństwo sumptem przeszło stu skudów. Krótko przed jego śmiercią, przyjaciel jego, ks. Antoni Formica, Włoch, dziekan kolegjaty Wszystkich Świętych w Krakowie zostawił, umierając, do dyspozycji biskupa cały swój majątek. Załuski przeznaczył z tego 2.000 skudów na umorzenie długów Hospicjum z obowiązkiem płacenia dożywocia krewnemu zapisodawcy, niejakiemu Antoniemu Saccà 50 skudów półrocznie. Zarząd miał w następstwie z tego powodu różne trudności.

Następcą Załuskiego na biskupstwie krakowskiem został Kajetan Sołtyk, który w r. 1759 zamianował rektorem ks. Antoniego Sierakowskiego. Sołtyk postępował autorytatywnie, był zazdrosny o swoją władzę nad Hospicjum, nie pozwalał w niczem zarządowi występować samodzielnie a nawet narzucał swoich kandydatów na prowizorów. Z jego polecenia wybrano między innymi prowizorem Puszeta, syna b. rezydenta przy Watykanie za Augusta II. Rektorat Sierakowskiego dlatego głównie zasługuje na wzmiankę, że zbiegł się z pobytem w Rzymie Ignacego Krasickiego, który nu przybył na studja, mieszkał czas jakiś w Hospicjum i był nawet prowizorem. Objęcie tej godności przez autora *Monachomachji* było połączone z pewnemi wypadkami w kolonji polskiej, które snadnie mogły były mu nasunąć niejedną myśl do tego utworu. Na kongregacji 13 września 1759 r. wybrano przez *suffragia secreta* dwu prowizorów ks. Adama Przerembskiego, kanonika włocławskiego, i ks. Kajetana Szeptyckiego, również kanonika włocławskiego, między którymi nie najlepsze musiały panować stosunki. Wybór ten jednak został zakwestjonowany, jak to widać z protokółu następnej kongregacji, która się odbyła 22 listopada 1759 r. Protokół ten nosi ślady licznych poprawek i świadomych zamazań. Musiał być kilkakrotnie przerabiany i nie o jedno słowo stoczono tu walkę. Zebranie niezawodnie mu-

siało mieć wojowniczy przebieg. Spór pochodził z powodu unieważnienia wyboru jednego z wybranych prowizorów. Prowizorowie, obowiązani byli składać przysięgę *de mantenenda integritate Domus et Ecclesiae.* Z powodu niedopełnienia tego warunku przez jednego z nich, postanowiono odłożyć wybór do następnego zgromadzenia. Drugim powodem różnicy zdań musiał być wynik głosowania, które odbywało się tajnie. Widocznie jeden z dwu kandydatów otrzymał mniej, drugi więcej głosów lub coś podobnego, bo Szeptycki nie podpisał protokołu i zrzekł się wyboru. W tymże protokóle zanotowano uchwałę, by w ważniejszych wypadkach, w których mogłaby zajść różnica zdań, oddano głosy na piśmie, a więc wbrew zasadzie tajnego głosowania i wbrew statutom. Można sobie wyobrazić, ile na ten temat wynikło dyskusji i komentarzy w kolonji, skoncentrowanej w Hospicjum. Szeptycki niedługo potem wyjechał z Rzymu a w spisach Polaków pod jego nazwiskiem dopisano: *saecularem statum post reditum Romae amplexit et uxorem duxit.* Zapewne Szeptycki był jednym z wielu kanoników bez święceń, jak to było możliwe i w zwyczaju, więc i jego ożenek nie był w gruncie rzeczy gorszący.

Zajście to samo w sobie drobne, nie miałoby znaczenia, gdyby nie okoliczność, że na owem ruchliwem zgromadzeniu z 22 listopada obecny był i brał udział w głosowaniu Ignacy Krasicki, który też podpisał protokół jako: *Ignatius Comes Krasicki, Praepositus Cathedralis Premisliensis.* A co więcej, że po zrzeczeniu się wyboru przez Szeptyckiego, został wybrany prowizorem na zgromadzeniu z 7 lutego 1760 r. i w protokółach posiedzeń figuruje do 14 maja 1761 r. Ostatni raz podpisał się: „ksiądz I. Krasicki". Przybył zatem do Rzymu w jesieni 1759 r., wyjechał zaś w maju 1761, a więc prawie po dwuletnim pobycie. Ustęp protokółu z dnia 7 lutego 1760 r., dotyczący wyboru Krasickiego, brzmi: *In eadem Congregatione DD. Provisores et Rector ad vacantem quartum Provisoratum post renuntiationem Perill. et Rev. D. Szeptycki, Illmum D. Comitem Ignatium Krasicki Praepositum cathedr. Praemisliensem, Abbatem commendatarium Vachocensem specialibus Celsissimi et Rmi Cajetani Soltik Episcopi Cracoviensis, Ducis Severiae eiusdem Ecclesiae*

Nationalis Protectoris litteris commendatum unanimi voto elegerunt et post expletum iuramentum ad executionem eiusdem officii admiserunt. Jak z tego wynika, Krasicki przyjechał do Rzymu ze specjalnem poleceniem takiego potentata, jakim wówczas na dworze Augusta III był Sołtyk, książę biskup krakowski i protektor Hospicjum. Zebrani w Rzymie Polacy, z uwagi na to polecenie, witali Krasickiego ze szczególnym respektem i uważali nawet za stosowne nadmienić w protokole, że cieszył się opieką Sołtyka. Przy ponownych wyborach 13 maja 1760 r. został Krasicki wybrany pierwszym prowizorem. Na tem zgromadzeniu uchwalono sporządzić inwentarz zakrystji i katalog archiwum. Krasicki, jak wspomniano, mieszkał jakiś czas w Hospicjum. Wzmianka o tem znajduje się w protokole zgromadzenia z d. 22 stycznia 1761 r. z uwagi, iż chodziło o zwrot kosztów Krasickiemu za pomalowanie mieszkania *(pro dipingendo appartamento superioris).*

Dla związku kulturalnego Polski z Rzymem nie bez znaczenia było powołanie do życia w r. 1763 nowej fundacji stypendyjnej przy Hospicjum. Była to już druga zrzędu tego rodzaju fundacja po zadzikowskiej. Na kongregacji z dnia 2 września tego roku ks. Józef Benedykt Grodzicki, kanonik katedralny krakowski, oświadczył, że zapisuje 6.477 skudów na stypendjum dla jednego studenta, który będzie studjował w Rzymie teoretycznie i praktycznie prawo kanoniczne i cywilne.

Hospicjum w tym czasie nie przestaje walczyć z trudnościami finansowemi. W ostatnich latach jeszcze za Młodziejowskiego sprzedano stare i jakoby nie nadające się już do użytku sprzęty kościelne, między innemi krzyż srebrny, niegdyś pozłacany, darowany przez kapitułę krakowską, lampę srebrną i t. d. Mogły to być i zapewne były przedmioty dużej wartości artystycznej, które jednak kongregacji wydało się koniecznem sprzedać. W kilka lat potem sprzedano znowu stare paramenta a w r. 1763 wyzbyło się częściowo cennej bibljoteki zapewne także z tego powodu, że książki uważano za przestarzałe. Rektorem wówczas był ks. Adam Łętowski, kanonik krakowski, później deputat od kapituły krakowskiej na trybunał koronny w r. 1767.

24 października 1764 na kościele św. Stanisława spuszczono dotychczasowy herb Augusta III, a wywieszono herby Poniatowskiego. Ze wstąpieniem na tron Stanisława Augusta Hospicjum odczuwa na sobie dobrodziejstwo opieki królewskiej. Uchwałą sejmu koronacyjnego Stanisław August wziął kościół św. Stanisława pod swą protekcję. W istocie staranie, jakiem król od pierwszej chwili otoczył ten zabytek narodowy, zasługuje na uznanie i jest dowodem, jak trafnie i rozumnie pojmował on znaczenie narodowe i reprezentacyjne tej instytucji.

W r. 1764 i w 1765 przybywają kolejno do Watykanu dwaj posłowie, naprzód kanonik Maciej Łubieński, bratanek prymasa-interrexa, z zawiadomieniem o śmierci Augusta III, potem w roku następnym książę Józef Czartoryski z zawiadomieniem o wstąpieniu na tron Stanisława Augusta. Młody książę poseł, którego misję dyplomatyczną omówimy osobno, nie mógł przybyć na zebranie Polaków, jakie odbywało się wtedy w Hospicjum i na które został zaproszony przez prowizorów i ówczesnego rektora ks. Macieja Pruskiego.

Życie polskie nad Tybrem, zwłaszcza w pierwszem dziesięcioleciu panowania Poniatowskiego, rozwija się wyjątkowo bujnie. Zjeżdża tu licznie i kształci się w zakładach naukowych rzymskich młodzież polska, mieszka i pracuje kilku wybitnych artystów polskich. Hospicjum staje się tego życia głównem centrum. Między innymi mieszkali wtedy w Hospicjum: Michał Sołtyk, bratanek biskupa i nieoficjalny przedstawiciel konfederacji barskiej w Rzymie, pomieniony już ks. Żołędziowski, hr. Lagnasco b. poseł Augusta II i III, Mons. Ksawery Zelada, ks. Pstrokoński, autor naiwnych Pamiętników z podróży do Włoch, Ignacy Michałowski, ks. Adam Przezemski, Kazimierz Ostrowski. W r. 1769 mieszka tu czas jakiś Ignacy Potocki a w r. 1772 i 1773 obok pomienionych Ignacy Dąbrowski, Stanisław Zawadzki architekt, jeden z braci Węgierskich, którego imienia akta nie podają. Wszyscy oni zajmowali mieszkania i pokoje czynszowe. Z artystów wymienić należy jeszcze Franciszka Smuglewicza i Tadeusza Kuntzego, ale ci mieszkali poza Hospicjum. W różnych kolegjach lub prywatnie porozmieszczali się: ks. Józef Puget (Puszet), Wacław Sierakowski, kanonik kra-

kowski, Gabrjel Czetwertyński, Tymoteusz Gorzeński, przyszły biskup, Wojciech Zakrzewski, Maciej Garnysz, przyszły biskup, Andrzej Chołoniewski, Kasper Cieciszowski, przyszły biskup i inni. Ogółem kolonja polska liczyła wtedy około stu osób, w większej części duchownych lub abatów, bo i świeccy, przed puszczeniem się w podróż, dla zapewnienia sobie dochodów, przyjmowali kanonje i przywdziewali strój duchowny a po odbyciu podróży wracali do stroju świeckiego. W ten sposób, jako kanonik, był np. w Rzymie Ignacy Potocki. O wielu z nich będzie mowa w następstwie, z racji ich działalności politycznej lub kulturalno-artystycznej nad Tybrem, o innych zaś na tle życia towarzyskiego. Wypadki polityczne w Polsce, rozognienie sprawy dyssydenckiej i wybuch barski tego napływu Polaków do Rzymu bynajmniej nie hamują. Młody Sołtyk działa tu w imieniu barszczan i w Hospicjum z natury rzeczy przeważają sympatje dla konfederatów jako ruchu, w którym pierwiastek religijny tak doniosłą odgrywał rolę. Interesującem będzie śledzić, jak tym tendencjom będzie przeciwdziałać markiz Antici, poseł Rzpltej.

Z wewnętrznych spraw Hospicjum wspomnieć tu należy o kłopotach, jakie zarząd miał z kolektorem taksy papieskiej na rzecz kościoła św. Stanisława, Janem Franciszkiem Roccatani, synem Aleksandra. Nazwisko to było dobrze znane w świecie duchownym w Polsce, gdyż przez ręce Roccatanich przechodziły wszystkie bulle i brewja nominacyjne i w korespondencji biskupów i duchownych stale jest wymieniane. Stary Roccatani umierając pozostał dłużny Hospicjum 774 skudów a więc sumę dość znaczną, której nie złożył jak był powinien w banku *Mons Pietatis* na rachunek Hospicjum. Syn miał ten dług spłacić w ciągu 4 lat pod groźbą usunięcia go ze stanowiska, ale zobowiązania nie dopełnił i potem zaproponował Hospicjum, że częścią spłaci serwisem porcelany saskiej, który złożył u rektora ks. Pruskiego, częścią zaś gotówką. Rzecz sama nie zasługiwałaby może na wzmiankę, gdyby nie okoliczność, że Roccatanim opiekowały się i popierały go wysokie osobistości, jak kardynał Torrigiani, kardynał protektor Polski, Jan Franciszek Albani, a przedewszystkiem nepot papieski, Jan Chrzciciel

Rezzonico. Stanisław August, któremu Torrigiani osobno polecał młodego Roccataniego, zatwierdził go w swoim czasie jako królewskiego agenta i „ekspedycjonarza". Wobec takich wpływowych protekcji i Hospicjum zmuszone było cierpieć niepunktualność wypłat Roccataniego i nawet dać mu wolne mieszkanie. Trzej kolejni od 1767 r. rektorzy: Tymoteusz Gorzeński, Chołoniewski i Wołłowicz, mieli z nim rozmaite przeprawy, a Wołłowicz miał nawet z powodu niego z kardynałem Albanim zatarg, który się oparł o króla. W r. 1778 zapadła decyzja w Warszawie o usunięciu Roccataniego ze stanowiska „ekspedycyonarza królewskiego" a zatem i wymówieniu mu bezpłatnego mieszkania w Hospicjum, o czem doniesiono posłowi Antici'emu i ks. Wołłowiczowi. Ten ostatni pospieszył do kardynała protektora, by go o decyzji królewskiej zawiadomić, ale nieprzyjęty, bo Albani właśnie był wrócił ze wsi i wymówił się zmęczeniem, zakomunikował wszystko sekretarzowi. Na to kardynał widocznie rozgniewany, że jego protegowany stracił stanowisko, przez umyślnego posłańca polecił Wołłowiczowi powiedzieć, iż powinien dziękować Bogu, że kardynał, jako chrześcijanin nie kazał go zrzucić ze schodów. Wołłowicz, na szczęście, nie zareagował w stosunku do kardynała, bo i cóżby był wskórał, on ksiądz rektor z Jego Eminencją, jakkolwiek pochodził „z tych wielkich Wołłowiczów" — ale napisał do swego przyjaciela, kanclerza Młodziejowskiego. Na to otrzymał od niego odpowiedź, że „Nayjaśniejszy Pan prawdziwie tknięty iest tak grubą niediskrecyą" kardynała protektora i „na Wołłowicza w łaskawey pamięci, której przy konjunkturze zdarzonej doświadczy" ale „że zdrowa polityka wyciąga, żeby to co się stało nie rozcierać", zaleca mu milczenie o wszystkiem, a natomiast sam pisze do Albaniego, a kopję tego listu, dla satysfakcji, przesyła. W istocie w piśmie, bardzo szczęśliwie zredagowanem, pouczył Młodziejowski kardynała, że Wołłowicz zasługuje na to, by go Albani przeprosił, już przez sam fakt, iż w obronie swego honoru osobistego i rektorskiego nie wezwał interwencji „całego narodu" (należy się domyśleć — sejmu). Rektorzy kościoła narodowego są dobierani z pośród kleru zasłużonego i z uwagi na urodzenie nie mogą znosić pogardliwego traktowania nawet

ze strony najdostojniejszych osobistości. Gdyby król był poinformowany o tem, co zaszło, czułby się obrażony.

Ks. Wołłowicz otrzymał więc pełne zadośćuczynienie. Z tego zajścia widać, jak rektorstwo kościoła i domu narodowego za Stanisława Augusta zyskało na znaczeniu w kraju i jak o to dbał sam król. W dalszym ciągu niniejszej pracy zobaczymy, jak król troszczył się osobiście o wygląd i uposażenie artystyczne świątyni i ile w to włożył trudu.

Za Stanisława Augusta opieka królewska i ingerencja króla w sprawy Hospicjum usuwa wszelki inny wpływ, tem bardziej, że duchowny protektor kościoła, biskup Sołtyk, od wywiezienia do Moskwy znika właściwie z widowni publicznej i w stanie choroby, w jaką wpada, przestaje się niem interesować. Administracja Hospicjum przechodzi teraz do poselstwa Rzpltej w Rzymie. W związku z tem wydał Stanisław August 16 kwietnia 1789 r. nowe przepisy administracyjne, ujęte w 8 paragrafów. Do rektora miał odtąd należeć jedynie zarząd kościoła, zaś administracja wszystkich dochodów i majątku kościelnego zależała od posła Rzpltej. Rektor układał listę wydatków dziennych, ale wypłaty, jakie uskuteczniał zawiadowca, musiały mieć zatwierdzenie posła.

Był to ostatni statut, jaki otrzymało Hospicjum w epoce przedrozbiorowej. Widzieliśmy, jak w ciągu 18 wieku Hospicjum, będące od założenia osobą prawną i instytucją autonomiczną, szukało zczasem dobrowolnie i poniewoli, bo z konieczności, oparcia i zależności od biskupów krakowskich i Rzpltej (1748) i jak, za zgodą Watykanu, przyszło do nadania statutów Augusta III (1757) a wreszcie Stanisława Augusta (1789), które podporządkowały jego administrację władzom Rzpltej i protekcji zwierzchniczej państwa, przez co bynajmniej nie umniejszono prawa do opieki duchownej i moralnej, jaką od połowy 18 wieku mieli biskupi krakowscy. Takie było położenie historyczne i prawne Hospicjum. Godziło się wyjaśnić to po raz pierwszy z dokumentami w ręku, także dla usunięcia zamieszania pojęć, jakie o jego celach i przeznaczeniu szerzono, w nieświadomości istotnego stanu rzeczy, drogą urzędową i nieurzędową.

Znaczenie religijne i narodowe tej instytucji, po tem, co powiedziano wyżej, nie potrzebuje dalszego uzasadnienia. Oby było jej danem, w odnowionem życiu narodowem, pełnić nadal rolę łącznika Polski z Rzymem, ze wzmożonem po stokroć razy napięciem, by wynagrodzić i odrobić przerwę 123 lat niewoli.

Maciej Loret.

Dziesięciolecie badań historycznych w Polsce Odrodzonej.

I.

Zbyt krótki okres dzieli nas od chwili wskrzeszenia państwowości polskiej, by móc ocenić wpływ tego faktu na historjografję. Dotychczasowy rozwój polskiej myśli historycznej wykazał, że w wyższym może stopniu niż gdzieindziej kształtowała się ona pod ciśnieniem wielkich przewrotów dziejowych. Wiadomo, jaki wpływ wywarły dążenia polityczne doby stanisławowskiej, następnie zaś upadek państwa na formowanie się szkoły naruszewiczowskiej, jak z pogromu 1863 r. wyrosła szkoła historyczna krakowska. Za naszych dni mogliśmy śledzić wyraźnie oddziaływanie wojny światowej na ewolucję poglądów w sprawie przyczyn upadku Polski. Nie ulega też wątpliwości, że fakt tak przełomowy, jak odzyskanie niepodległości, wywrze na rozwój nauki historycznej wpływ decydujący. Powstanie własnego państwa zmieni zasadniczo psychologię dziejopisarstwa, sprowadzi przewartościowanie dotychczasowych wartości, stworzy nowe punkty widzenia i kryterja, zepchnie zczasem w cień dominujące dotąd zagadnienia, wysunie natomiast na pierwszy plan inne, które staną się osią zainteresowań naukowych. Obok tego momentu ideowo-politycznego wchodzą w grę nowe warunki pracy historycznej, jakie stworzyło odzyskanie niepodległości. Zamiast dotychczasowego gnębienia i hamowania twórczości naukowej przez rządy zaborcze, mamy patronat, roztoczony nad wiedzą historyczną przez własne państwo, które użycza jej poparcia materjalnego i autorytetu, zwłaszcza w stosunkach międzynarodowych i popiera bardzo intenzywnie, pewne gałęzie (np. historję wojskowości). Powstanie sze-

regu nowych uczelni oraz zrzeszeń naukowych rozszerza znacznie warsztat pracy historycznej. Zmiana programu studjów przez wprowadzenie magisterjów każe myśleć o stworzeniu ściśle naukowej literatury podręcznikowej na poziomie uniwersyteckim. Wróciły do kraju zagrabione przez Rosję ogromne zbiory archiwalne i bibljoteczne (urzędów centralnych dawnej Rzpltej, Załuskich, Tow. Przyjaciół Nauk, Bibl. Uniw. warszaw. i inne), co pozwoli oprzeć studjum historji polskiej na nowych podstawach źródłowych. Otwarły się przechowane w Arch. państw. w Poznaniu oraz Arch. Akt Dawnych w Warszawie zasoby do historji XIX w., dawniej zamknięte przed badaczem polskim lub z wielką udostępniane trudnością; nowy strumień światła spływa przez to na porozbiorowe dzieje dzielnicy rosyjskiej i pruskiej. Równocześnie przesunęła się granica rezerwatów w archiwach obcych (w Berlinie po r. 1862, w Paryżu i Londynie po r. 1870, w Wiedniu po r. 1894). Wszystko to w mniejszym lub większym stopniu wyciska już swe piętno na naszej pracy historycznej.

Zadaniem mojego artykułu nie będzie oczywista szczegółowe zarejestrowanie i wyczerpujące omówienie setek pozycyj naukowych, jakie przyniosło pierwsze dziesięciolecie Polski Odrodzonej. Byłaby to praca nietylko niewykonalna, ale i mało celowa, jako że większość wydawnictw doczekała się fachowej oceny na łamach *Kwartalnika Historycznego*, najważniejsze zaś zostały omówione również w *Przeglądzie Powszechnym*. Ograniczę się do przedstawienia wpływu nowych warunków politycznych na losy historjografji, naszkicowania głównych jej przejawów i tendencyj rozwojowych, oraz zaznaczenia ogólnego bilansu twórczości w poszczególnych dziedzinach, z uwydatnieniem tych zwłaszcza zagadnień i momentów, które posiadają znaczenie nietylko dla specjalistów, ale i dla ogółu miłośników historji.

Zagadnienie organizacji pracy historycznej stanowiło w ostatnich latach przedmiot wyczerpujących roztrząsań. Szereg kompetentnych specjalistów zabierał w tej kwestji głos na kartach pomnikowego wydawnictwa *Nauka polska, jej potrzeby, organizacja i rozwój* (t. I—II 1917—18), na konferencji historyków w Warszawie (1920), na czwartym powszechnym zjeździe historyków w Poznaniu (1925). Omawiano tam szczegółowo zasadnicze problemy, jak podział pracy pomiędzy poszczególne środowiska, inwentaryzację i katalogowanie źródeł, najpilniejsze po-

trzeby poszczególnych gałęzi wiedzy historycznej, postulaty wydawnicze, stosunek do nauki zagranicznej. Obok tych kwestyj specjalnych, przeznaczonych w pierwszym rzędzie dla kół fachowych, wysuwało się jednakowoż zagadnienie ogólne, ważne dla całokształtu kultury narodowej: jaki wpływ wywrze odzyskanie niepodległości na kierunek naszej myśli historycznej, jakie będą główne jej dążenia i cele? Oto jak brzmią zapatrywania wypowiedziane na ten temat przez czołowych przedstawicieli współczesnej wiedzy historycznej.

Pierwszy zabrał głos senjor naszych dziejopisarzy, Michał Bobrzyński. Znane są poglądy znakomitego autora *Dziejów Polski w zarysie* na zadania i rolę nauki historycznej. Jest ona w jego oczach *magistra vitae,* doniosłym czynnikiem wychowania społeczeństwa w duchu pewnych ideałów polityczno-moralnych. Z tego stanowiska ujmuje też Bobrzyński zadania dziejopisarstwa w Polsce Odrodzonej. Jak długo naczelnem zagadnieniem życia narodowego było dźwignięcie się z niewoli, badania historyczne ogniskowały się przedewszystkiem około kwestji upadku dawnej Rzpltej. W obliczu odzyskania niepodległości fakt ten stracił swe aktualne znaczenie. „Nowa synteza naszych dziejów obracać się musi nie około pytania, jak i dlaczego upadliśmy, lecz około pytania, jak dźwignęliśmy się z upadku i z jakim zasobem sił moralnych i fizycznych, z jakiemi urządzeniami i stosunkami stanęliśmy do budowy państwa, które pokój światowy przed nami otwarł". Punkt ciężkości badań spocznie zatem na historji porozbiorowej. Pisząc w okresie silnych antagonizmów pomiędzy poszczególnemi dzielnicami świeżo spojonej Rzpltej, kładzie Bobrzyński nacisk na konieczność wyświetlenia kwestji powstania tych partykularyzmów, wykazania wpływów państw rozbiorczych na psychikę polską, by móc stwierdzić, które z tych naleciałości należy usunąć, które zaś sobie przyswoić. Z zagadnień dawnej Polski wysuwa się potrzeba zbadania jej struktury narodowościowej i polityki polskiej odnośnie do żywiołów obcoplemiennych, również ze względu na analogję z dobą dzisiejszą, dla zaczerpnięcia „wzorów i przestrogi".[1])

Władysław Semkowicz zgadza się z Bobrzyńskim w zapatrywaniu, że odzyskanie niepodległości spowoduje „zmianę upodobań i zainteresowań historyków pewnemi zagadnieniami i pe-

[1]) *Nasi historycy wobec wojny światowej. Czas* Nr. 317–320 z grudnia 1919 r. i osobno.

wnemi epokami z naszych dziejów", że w szczególności kwestja upadku Polski przestanie być punktem centralnym wysiłków badawczych; na pierwszy plan wysuną się atoli — zdaniem jego — nie dzieje porozbiorowe, a momenty największej świetności i rozkwitu dawnego państwa polskiego, oraz chwile jego regeneracji (zatem czasy Chrobrego, Kazimierza W., Jagiellonów, Stanisława Augusta). Uważa autor, że „potrzeby życiowe państwa, polityczne, gospodarcze i społeczne, wymagające nawiązania nici tradycji z przeszłością i szukania wzorów różnych wpłynąć muszą w pewnej mierze na wybór zagadnień dziejopisarskich i potrzebnych dla nich wydawnictw": w zakresie pracy edytorskiej konieczną będzie publikacja źródeł, wyświetlających ustawodawstwo i parlamentaryzm dawnej Rzpltej, jak niemniej jej politykę międzynarodową, wojskowość, oświatę i szkolnictwo. Zadaniem historyków będzie wreszcie wypełnienie pewnych dotkliwych luk i braków, w pierwszym rzędzie objęcie spadku po nauce niemieckiej i rosyjskiej w odniesieniu do odzyskanych ziem kresowych (Śląsk, Pomorze, Litwa i ziemie ruskie).[1])

Potrzebę wysuwania dodatnich, twórczych momentów w dziejach dawnej Rzpltej w silniejszym jeszcze stopniu podkreśla Wacław Sobieski. W epoce porozbiorowej historjografja nasza przesiąknięta była nadmiernym pesymizmem. Całe dzieje Polski rozpatrywano pod kątem widzenia końcowej katastrofy, zarodków zła dopatrywano się w odległych epokach. „Dziś czasy inne. Mając państwo własne, inaczej patrzymy na przeszłość". To też w przeciwieństwie do Bobrzyńskiego pragnie autor nawiązać kontakt z przeszłością „nie tyle w kazamatach epoki porozbiorowej, ile raczej śród bujnego życia czasów złotych dawnej Rzpltej".[2])

Najgruntowniej roztrząsa wpływ wskrzeszenia państwa na rozwój nauki historycznej Stanisław Zakrzewski.[3]) Autor *Bolesława Chrobrego* zajmuje wśród historyków współczesnych odrębne miejsce przez to, że nie zacieśniając się do fachowych studjów medjewistycznych podkreśla stale konieczność pogłębienia kultury historycznej, wykazuje jej związek z innemi przejawami życia narodu, poświęca swe pióro charakteryzowaniu zarówno kierunków i zaga-

[1]) *Program i podział pracy wydawniczej. Przegl. hist.* t. XXII, 1920 str. 333.

[2]) *Dzieje Polski* t. I., 1923. wstęp.

[3]) *Historjografja polska wobec wskrzeszenia państwa. Kwartalnik hist.* t. XXXVII, 1923.

dnień naszej myśli historycznej, jak twórczości poszczególnych jej przedstawicieli (Wojciechowski, Smolka), kładąc w ten sposób podwaliny pod dzieło o nowszej historjografji polskiej. Cytowana rozprawa, omawiająca aktualne zagadnienie na szeroko zakrojonem tle rozwojowem ideologji historycznej z nawiązaniem do jej głównych przejawów w przeszłości, wysuwa szereg oryginalnych poglądów i pobudza do myślenia nawet w tych wypadkach, gdy czytelnik zajmuje odmienne od autora stanowisko.

Punktem wyjścia rozważań Zakrzewskiego jest — podobnie jak Bobrzyńskiego i Semkowicza — przeświadczenie, że sprawa upadku dawnej Rzpltej przestanie być w historjografji Polski Odrodzonej zagadnieniem dominującem. Tracąc charakter aktualności politycznej wyzwoli się od krępujących ją dotąd pierwiastków uczuciowych czy doktryn utylitarnych, przejdzie w dziedzinę rozważań czysto naukowych. Wpłynie to niewątpliwie dodatnio na rezultaty badań, które należy prowadzić w dalszym ciągu na tle porównawczo-powszechnodziejowym, z wyzyskaniem zwłaszcza doświadczeń wielkiej wojny — okresu rozpadnięcia się tylu mocarstw światowych. Zetknięcie z żywą państwowością przyczyni się zapewne do spotęgowania badań nad historją polityczną, zaniedbywaną dotąd na rzecz studjów ustrojowo-kulturalnych. Zakrzewski uważa, że historjografja porozbiorowa zatracała stopniowo związek z państwem, że groził jej los dziejopisarstwa żydowskiego, dla którego „państwo stało się historyczno-religijnym mitem". Obecnie otwiera się przed nauką historyczną doniosłe zadanie społeczno-wychowawcze. „Ogniskiem... wszystkich usiłowań musi pozostać myśl, że wskrzeszenie państwa domaga się od ogółu swych obywateli starannego przygotowania historyczno-politycznego, uzdolniającego do spełnienia zadań narodu, uzbrojonego w tak potężną broń, jaką stanowi państwo... W pracy naukowej i wychowaniu społeczeństwa historjografja nasza musi zapewnić w dziejach narodu należyte miejsce państwu, jego realnym sprawom i troskom o jego przyszłość, o czem myśleć odzwyczailiśmy się za ostatnie półtora wieku". Domaga się przeto autor specjalnego uwzględnienia czynnika państwowo-politycznego w dziejach dawnej Polski, jak również zbadania stosunku narodu do państwa, wreszcie studjów nad ziemiami i narodowościami niepolskiemi, należącemi do dawnej Rzpltej. Wejście Polski do rzędu państw niepodległych wkłada na naukę polską obowiązek

rozszerzenia badań na dziedzinę historji powszechnej, wyrobienia sobie własnego poglądu na zjawiska z dziejów innych narodów — obok tego zaś wywalczenia prawdziwej niezawisłości, uniezależnienia się od ciążących na niej wpływów myśli obcej, w pierwszym rzędzie niemieckiej.

Władysław Konopczyński, omawiając na ostatnim zjeździe ogólnohistorycznym problem organizacji pracy dziejopisarskiej,[1]) w następujący sposob określa nowe jej zadania: „Wskrzeszenie państwa powinnoby zmodyfikować nasz punkt widzenia w poglądach na przeszłość: demokratyzacja społeczeństwa każe pytać tem pilniej o przeszłość warstw ludowych, a nietylko szlachty: w stosunku do kresów wschodnich i zachodnich musimy doganiać stan badań rosyjskich i niemieckich... Odeszło w przeszłość i czeka na naukowe badanie pokolenie powstańców styczniowych. Narasta historja współczesna, której też nie godzi się oddawać na pastwę pamflecistom i dziennikarzom".

Trudno osądzić już dzisiaj, o ile rozwój badań pójdzie istotnie po linji tych programów i przepowiedni. W każdym razie kilkuletnie doświadczenie pozwala na sformułowanie pewnych spostrzeżeń. Niektóre z wyrażonych postulatów doczekały się już uwzględnienia: należy tu rozszerzenie badań polskich w dziedzinie historji powszechnej, praca nad historją współczesną, przedewszystkiem zaś intensywne zajęcie się dziejami ziem kresowych. Nie widać natomiast przesunięcia się punktu ciężkości badań na historję państwowo-polityczną. Stwierdzić można zjawisko wręcz przeciwne: o ile w innych dziedzinach, jak geografja historyczna, historja wojskowości, dzieje społeczno-gospodarcze, związki umysłowe Polski z zagranicą, historja szkolnictwa, książki etc. widać spotęgowanie wysiłku twórczego i organizacyjnego, wysuwanie nowych problemów i metod, wręcz tworzenie nowych gałęzi wiedzy — to w historji politycznej ujawnia się pewien zastój. Kilka ważnych dzieł, jakie przyniosły ostatnie lata, świadczy tylko, że mamy w tej dziedzinie wybitnych pracowników, którzy zresztą rozpoczęli swą działalność w epoce przedwojennej, ale nie wskazuje na ogólny wzrost zainteresowań, na kierunek badań. Również studja nad historją porozbiorową, które zdaniem Bobrzyńskiego miały się stać osią pracy historycznej, aczkolwiek prowadzone

[1]) *Organizacja pracy historycznej. Pamiętnik IV powszechnego zjazdu historyków polskich*, 1925.

dość intensywnie w kilku środowiskach (Warszawa, Poznań, Lwów), są tylko kontynuacją przedwojennych prac Askenazego i jego uczniów, Kucharzewskiego, Tokarza, Handelsmana i in. Niema wydawnictwa, któreby pod względem rozmiarów, gruntowności i wartości dorównywało przedwojennym *Monografjom w zakresie dziejów nowożytnych,* aczkolwiek warunki pracy archiwalnej przedstawiają się dzisiaj nieskończenie korzystniej. Jeszcze mniej można mówić o rozkwicie badań nad okresami świetności i potęgi dawnej Rzpltej. W odniesieniu do doby jagiellońskiej stwierdzić należy od chwili ukazania się *Dziejów unji* (1920) Oskara Haleckiego zupełną niemal stagnację.

Wreszcie rzecz najciekawsza, a najmniej może przewidziana. Historycy nasi osądzili niemal jednozgodnie, że z chwilą odzyskania niepodległości problem upadku dawnej Rzpltej straci dominujące dotąd znaczenie życiowe, a przez to i naukowe. Okazuje się tymczasem coś wręcz przeciwnego. Pomiędzy życiem politycznem Polski dzisiejszej a przeszłością istnieje stała łączność myślowa. Konstytucja marcowa dość rzadko zestawiana jest z konstytucjami innych państw powojennych, natomiast bardzo często z Ustawą rządową 3 maja. Dyskusja nad zagadnieniami społeczno-politycznemi doby bieżącej na każdym kroku nawiązuje do przeszłości i naodwrót, historycy, badający przeszłość, widzą zdumiewającą analogję z wydarzeniami współczesnemi.[1]) Krytyka „rządów sejmowładczych", żądanie wzmocnienia władzy wykonawczej czerpią argumenty z dziejów dawnej Rzpltej. Wszystko to wskazuje, że sprawa upadku Polski nie przeszła do rzędu zagadnień muzealnych, że stanowi ona w dalszym ciągu problem nieprzedawnionej doniosłości, źródło żywych wartości dla polityczno-moralnej edukacji inteligentnego ogółu, który wskutek tego w dalszym ciągu będzie się domagał od nauki odpowiedzi na dręczące pytanie. W związku z tem nasuwa się konieczność dokładniejszego rozpatrzenia zapatrywań, wypowiedzianych w tej sprawie w historjografji Polski Odrodzonej.

Lata wojny były okresem gruntownej rewizji i zasadniczego przewartościowania dotychczasowych poglądów. Przeciw panującej dotąd „szkole krakowskiej" zmobilizowano cały arsenał środków naukowych i... mniej naukowych: od metody porównawczej i po-

[1]) Por. zakończenie IV wyd. *Dziejów Polski w zarysie* Bobrzyńskiego 1927 t. II, 327.

zytywnych rezultatów badań Korzona, Smoleńskiego, Askenazego i in. do subjektywnych konstrukcyj, tchnących mglistym mistycyzmem, samochwalstwem narodowem lub popularną a wymowną demagogją. Słabą stronę kierunku optymistycznego (jeżeli go tak wolno nazwać) stanowiła okoliczność, że brał on jako punkt wyjścia przedewszystkiem kwestje ustrojowe, na których podstawie usiłował przesądzać poniekąd całokształt zagadnienia. To dało St. Zakrzewskiemu pochop do stwierdzenia, że „historja ustroju Polski nie jest historją Polski", i że synteza, stworzona przez historyków krakowskich, nie została dotąd zastąpiona przez inną, lepszą.[1]) Z drugiej strony wśród historyków, występujących przeciw pesymizmowi „Szkoły krakowskiej" nie było jednolitości poglądów. Cykl odczytów *Przyczyny upadku Polski* (1918) odsłonił całą skalę odcieni: od daleko posuniętego optymizmu (Halecki) poprzez zrównoważony krytycyzm (Bujak, Kutrzeba) do akcentowania przedewszystkiem momentów ujemnych (Kallenbach). Tem większego nabiera znaczenia najnowsza synteza, dokonana wysiłkiem jednego historyka, a uwzględniająca wszystkie czynniki, składające się na zjawisko upadku Polski. Mam na myśli rzecz Wł. Konopczyńskiego p. t. *Wewnętrzne źródła słabości Rzpltej*, umieszczoną w *Hist. politycz. Polski* t. II wyd. Akad. Um. 1923.

Wśród współczesnych badaczy odznacza się Konopczyński niezwykle jasno zarysowanym stosunkiem do przeszłości. Obrawszy za przedmiot badań wiek XVII i XVIII, ostrzem nieubłaganej analizy historycznej sięga do najbardziej jątrzących ran, dotyka najboleśniejszych zagadnień, wyświetla epoki i sprawy, najbardziej obawiające się światła: tak przebrnął on grząski okres wojny siedmioletniej, wydobył na światło dzienne tajniki ohydnego sejmu pierwszorozbiorowego, zbadał wszechstronnie dzieje *liberum veto*. Z drugiej strony wolny od przyjętej *a priori* tendencji uwypuklania w dziejach Polski zjawisk wyłącznie ujemnych, wyszukuje w swych badaniach momenty odrodzenia tam, gdzieby się najmniej można było spodziewać: tak zrehabilitował poczęści epokę saską, odkrywszy pod zabagnioną powierzchnią bijące źródło natchnień reformatorskich, wskrzesił wielką postać Konarskiego, obecnie ukazuje w właściwem oświetleniu heroiczne zmagania konfederatów barskich. Pogląd swój na stosunek nauki historycznej do przeszłości

[1]) *Ideologja ustrojowa. Kwartalnik historyczny* 1918.

narodu formułował niejednokrotnie, czyto pisząc w przedmowie do *Liberum veto,* że „budowniczym nowej Polski przystoi pogląd na dzieje, surowy a sprawiedliwy, ścisły a nieubłagany", czy wzywając inteligencję polską (w odczycie *O wartość naszej spuścizny dziejowej* 1918), by odpychając sugestję apoteozującej przeszłość literatury popularnej sięgała do piśmiennictwa naukowego „po bezwzględną prawdę, która oświeca, uzbraja i wyświetla", czy wreszcie wskazując na zjeździe poznańskim (1925) na obowiązek apelowania do przeszłości „wspaniałej, złotej, mocarstwowej... nie w sposób konwencjonalnie-demagogiczny... ale poważnie, ściśle, surowo". [1]) Stanowisko to daje rękojmię traktowania przyczyn upadku Polski bez posypowania głowy popiołem i werdyktów potępiających, zarazem bez wzlotów apologetycznych, nadewszystko zaś bez naginania konstrukcji naukowej do chwilowych nastrojów politycznych.

Punktem wyjścia rozważań Konopczyńskiego jest anormalny układ sił społecznych dawnej Rzpltej. Podczas gdy nowsi historycy kierunku optymistycznego skłonni są przyjmować, że Rzplta stanowiła rozpowszechniony w całej niemal ówczesnej Europie typ społeczeństwa stanowego z silną przewagą klas wyższych, Konopczyński podkreśla wyjątkowość tego zjawiska. „Z przyczyn natury gospodarczej, niedość jeszcze wyświetlonych, szlachta polska urosła do nieznanej w innych krajach potęgi. Nad cały naród wybujała miljonowa rzesza szlachecka, zbrojna w dwieście tysięcy szabel... Zjawisko okazałe i szanowne, rokujące państwu niezmierną siłę, ale tylko na pewien czas, dopóki państwa sąsiedzkie nie nauczyły się w ten czy inny sposób zaprawiać do pracy i do walki jeszcze większych sił społecznych". Przewaga szlachty zaciążyć miała fatalnie na całokształcie stosunków. Pod względem społecznym zahamowała rozwój innych warstw, uczyniła je obojętnemi dla spraw państwa: „Rzplta zamiast 13 miljonów przeciętnie pa-

[1]) Powyższe zestawienie uznałem za konieczne ze względu na krańcowo rozbieżne poglądy na stanowisko Konopczyńskiego w naszej historjografji. Podczas gdy Bobrzyński zaliczył go do pisarzy, którzy oświadczyli się „za trującym haszyszem Chołoniewskiego" (*Dzieje Polski w zarysie* IV wyd. 1927, II, 322), Wł. Bogatyński doszedł do przekonania, że „Konopczyński sam właściwie jest pesymistą, o czem szczególnie świadczy *Liberum veto*" (*Problem upadku Polski w świetle nauki, Przegl. Współcz.* 1928, nr. 77, str. 516), jakgdyby którykolwiek historyk, dotykający tego przedmiotu mógł zdobyć się na akcenty optymistyczne.

trjotycznej ludności mogła liczyć na 1—1½ miljona". Organizacja wewnętrzna państwa dostosowana została do interesów warstwy szlacheckiej, przeprowadzona nieudolnie i bez wykończenia. Nie pomyślano o stworzeniu normalnie funkcjonującej władzy ustawodawczej: zasada jednomyślności, przełamana w całej Europie w początkach ery nowożytnej, w Polsce przeobraziła się w *liberum veto* — „najważniejszą konstytucyjnie przyczynę upadku Rzpltej". Podobnie było z władzą wykonawczą: krępując egzekutywę królewską, nie pomyślała szlachta o uzupełnieniu czy zastąpieniu jej własnym rządem, wyłonionym przez reprezentację sejmową. Polityka gospodarcza, społeczna, kulturalna, uprawiana w tej epoce przez oświecony Zachód Europy, była w Polsce zjawiskiem nieznanem. Egoizm stanowy szlachty wycisnął swe piętno również na polityce zagranicznej. Zaniedbywała ona problem bałtycki, „bo żegluga, handel zamorski, to interes królewski lub mieszczański", parła na wschód dokąd ciągnęły ją nęcące widoki osadnicze. Wszechwładza stanu szlacheckiego odbiła się wreszcie najfatalniej na jego wartości wewnętrznej. „Życie bez konkurencji pozwoliło się rozwinąć w warstwie szlacheckiej najlichszym instynktom, nadmiar przywilejów ogłupił uprzywilejowanych". Tę stronę zagadnienia — siły moralne i umysłowe dawnej Rzpltej — ujął autor odmiennie od większości dotychczasowych badaczy: zamiast zajmować się zjawiskami jaskrawemi o znaczeniu raczej zewnętrznem, określanemi zwykle mianem sarmatyzmu, sięga do najgłębszych, zasadniczych pierwiastków psychiki staro-szlacheckiej. „Na podkładzie sielskiego, ziemiańskiego żywota w przestworzach wschodnich... rozwinęła się iście polska beztroskliwość i obojętność na wszystko, co nie zagraża wprost naszemu domowemu szczęściu. Bez wielkich namiętności, bez całopalnych ofiar, bez tragicznego szamotania się z losem, bez targających duszę wątpliwości, płynęło miękko życie staropolskie. Rozrzedzona ludność żyła jakby jakąś rozrzedzoną kulturą. Nie było tam ani śmiertelnej walki, ani intenzywnej na miarę zachodnią pracy... Z lenistwem rąk roboczych szło w parze lenistwo myśli i woli... Sangwiniczna natura Polaka starej daty zdobywała się łatwo na górne wzloty: szczytnością ideałów prześcignęliśmy świat cały... Ale jak było z urzeczywistnieniem ideału?".

Ujęciu Konopczyńskiego postawić można poważny zarzut: ani słowem nie uwzględnia czynnika kultury umysłowej (zerwanie

związków z życiem duchowem Zachodu, zwyrodnienie literatury, nauki, szkolnictwa), który w dziejach upadku Polski odegrał niezaprzeczoną, zdaniem niektórych uczonych (Ign. Chrzanowskiego) decydującą rolę. Poza tem synteza jego wydaje mi się nietylko najpełniejszą, najgłębiej ujętą, z największym wyrażoną artyzmem, ale stanowi źródło tych wartości społeczno-wychowawczych, jakich zwykło się żądać od historji. Niektóre badania ostatniej doby, posługując się płytkiemi analogjami z zagranicą, doprowadziły niemal do wyeliminowania z rzędu przyczyn upadku Polski czynnika społecznego, znacznego zaś ograniczenia doniosłości sił umysłowo-moralnych. Na pierwszy plan wysuwał się zatem — obok momentu agresji zewnętrznej — brak silnego rządu i organizacji skarbowo-wojskowej. Podobne ujmowanie przedmiotu, obok niewątpliwej słuszności, mieści jednakowoż niebezpieczeństwo traktowania państwa w pierwszym rzędzie jako mechanizmu, utrzymywanego przy życiu przez egzekutywę biurokratyczną i sprężyny militarno-fiskalne. Konopczyński kładzie główny nacisk na siły twórcze samego narodu, podkreśla zasadniczą wagę takich czynników, jak sprawiedliwość społeczna, zdolność tworzenia woli zbiorowej, poczucie wysokiej odpowiedzialności, aktywność moralna, główne źródło słabości upatruje w tem, że „dziewięć dziesiątych narodu czuło się obco i źle w rodzimym kraju", że warstwa przodująca ująwszy w swe ręce rządy krajem, naginała je w każdym względzie do swych interesów bez myśli o całości, że „zdobywszy ogrom szczęścia i potęgi" zapomniała o ciążącej na niej odpowiedzialności, „straciła wyobrażenie, czem jest niepodległość, co ona warta, jakich ofiar materjalnych i duchowych wymaga jej obrona". To przeniesienie punktu ciężkości z czynników mechanicznych na organiczne, z cnoty subordynacji na zdolność tworzenia i kierowania swemi losami, posiada w dzisiejszej demokratycznej Rzpltej, w której „władza zwierzchnia... należy do narodu" niemniejsze z pewnością walory, aniżeli wysoce zresztą szacowne poglądy dawniejszych historyków o konieczności autorytetu, karności i hierarchji.

II.

Zjawiskiem niewątpliwem, jakie uderza w dzisiejszej twórczości historycznej, jest wzrost zainteresowania dla zagadnień z dziejów powszechnych. Skarżono się u nas niejednokrotnie na

brak samodzielnych badań w tym kierunku, na dobrowolne zasklepianie się w sprawach domowych. Do rzadkości należały prace z historji powszechnej, lub chociażby z historji polskiej, ujęte na tle ogólnodziejowem. Pod tym względem zaszedł dziś stanowczy zwrot na lepsze. Wpłynęły na to trzy zwłaszcza czynniki: 1) rozwój studjów nad historją ustroju Polski, których autorzy kładli nacisk na konieczność wyświetlenia instytucyj rodzimych na tle porównawczem (badania Rembowskiego, Balzera, Konopczyńskiego), 2) studja nad historją polityczną, przedstawiające wydarzenia z naszych dziejów w najściślejszym związku i zależności od rozgrywających się współcześnie spraw europejskich (dzieła Dembińskiego, Askenazego, Szelągowskiego), 3) wreszcie ogólny prąd naszej myśli historycznej, upatrujący w metodzie porównawczej jedynie racjonalne kryterjum naukowe dla oceny wartości spraw i urządzeń dawnej Polski i zgłębienia przyczyn jej upadku. Historyk polski uważa dziś za zasadę obowiązującą traktować temat z dziejów ojczystych nie w oderwaniu, a w ścisłej łączności z tłem ogólnoeuropejskiem. Obok tego widocznym jest wzrost produkcji w dziedzinie historji powszechnej, zwiększenie się liczby prac, niczem z historją polską niezwiązanych.

Najsilniej ujawnia się to na polu historji starożytnej. Jeszcze w r. 1918 stwierdzić musiał Konopczyński, że „najmniej zainteresowania budzi u nas świat starożytny", i że zaszczyt reprezentowania twórczości polskiej w tej dziedzinie spada w przeważnej mierze na barki filologów klasycznych.[1]) Dziś ta sprawa przedstawia się zgoła inaczej. „Po r. 1918" — słusznie uważa Kaz. Zakrzewski — „studjum historji starożytnej wchodzi u nas istotnie na nowe tory".[2]) W badaniach tych uczestniczą wprawdzie w dalszym ciągu przedstawiciele filologji klasycznej, żeby tylko wymienić prace ś. p. ks. Wł. Szczepańskiego o cywilizacji starożytnego Wschodu, studja Tadeusza Zielińskiego, Ryszarda Ganszyńca, Mieczysława Popławskiego nad kulturą i religją świata antycznego, ostatnio zaś pomnikową publikację St. Witkowskiego o historjografji greckiej. Obok tego jednak występuje historja starożytna jako odrębna dyscyplina, posiadająca swych przedsta-

[1]) W dziele zbiorowem *Polska w kulturze powsz.*, t. II 1918, str. 143.

[2]) *Polskie prace w dziedzinie historji starożytnej. Przegl. hist.* t. XXVI 1927, str. 263.

wicieli, swoje katedry na uniwersytetach i swoje publikacje. Kilkuletni okres Polski Odrodzonej przyniósł w tej dziedzinie więcej samodzielnych prac, aniżeli uprzednio całe dziesięciolecia. Należy tu wymienić w pierwszym rzędzie studja Ludwika Piotrowicza nad Plutarchem i Appianem, kultem panującego w starożytności, upadkiem monarchji assyryjskiej, Tadeusza Wałka-Czarneckiego nad upadkiem monarchji macedońskiej i rolą czynnika narodowego w świecie starożytnym, rozprawy K. Zakrzewskiego o samorządzie miast greckich, Stillichonie, wczesnem cesarstwie bizantyńskiem, prace Franc. Smolki z zakresu papirologji, badania Stefana Przeworskiego nad Chetytami. Świadectwem spotęgowania pracy w tej dziedzinie jest fakt, że na zjeździe historyków w Poznaniu mogła się ukonstytuować sekcja historji starożytnej, na której zgłoszono kilkanaście referatów, oba zaś organy naszej pracy historycznej, *Kwartalnik* i *Przegląd* wydały zeszyty, poświęcone wyłącznie pracom z tego zakresu.

Badania nad średniowieczem zachodnio-europejskiem ogniskują się w Warszawie, gdzie Marceli Handelsman stworzył warsztat pracy nad zaniedbaną dziś we Francji epoką merowińską. Mimo krótkiego okresu trwania studja te wydały już poważne rezultaty: należy tu wymienić w pierwszym rzędzie ogłoszoną również w języku francuskim pracę samego profesora o t. zw. *Praeceptio Chlotari* (*Przegl. hist.* 1926), dalej badania jego uczniów: Stanisława Arnolda, nad stosunkiem Longobardów do Rzymian w północnych Włoszech (1924), Tadeusza Manteuffla o edykcie unifikacyjnym Chlotara II (1926) i o stosunkach włosko-frankońskich w VI w. (1927) i in. Coraz częściej spotykamy też rozprawy poświęcone zagadnieniom ustrojowym i społeczno-gospodarczym Europy zachodniej: należy tu rzecz Łucji Charewiczowej, *Ustrój miast komunalnych średniowiecznej Francji* (*Kwart. hist.* 1927), Stefana Inglota, *Hospites we Francji i Belgji na tle współczesnej epoki* (tamże 1928), Marjana Jedlickiego, *Podniesienie na tarczy u dawnych Germanów* (1928). W dziedzinie kultury duchowej przybyły studja Zdzisława Morawskiego nad Odrodzeniem italskiem oraz znakomita książka Zygmunta Łempickiego, *Renesans, Oświecenie, Romantyzm* (1923).

Z historji nowożytnej wymienić należy w pierwszym rzędzie dzieło kapitalne, które przebojem zdobyło sobie zarówno uznanie kół naukowych jak poczytność szerokich mas publiczności: *Od*

białego caratu do czerwonego Jana Kucharzewskiego (t. I 1923, t. II 1925).[1]) Rosja carska, jej dzieje i charakter narodowy, stosunki społeczno-polityczne i kultura, właściwości psychiczne i odrębność w stosunku do Zachodu stanowiły zawsze pewnego rodzaju niepokojącą zagadkę i pociągnęły niejednego obcego badacza: dość wskazać znane prace Leroy-Beaulieu'go, Massaryka, Hoetzscha. W literaturze tej zajmuje niewątpliwie dzieło Kucharzewskiego miejsce przodujące. Metoda pracy autora jest ściśle historyczna: na podstawie ogromnego materjału źródłowego i wszechstronnego opanowania literatury rozpatruje poszczególne zagadnienia epoki Mikołaja I, sięgając niejednokrotnie głęboko w przeszłość, dla uwydatnienia genezy i ciągłości rozwojowej jaka łączy zamierzchłe dzieje państwa carów z dzisiejszym *régime'm* bolszewickim. W równej jednak mierze jest książka Kucharzewskiego studjum socjologiczno-psychologicznem: na każdym kroku wydobywa on czynniki, które wpłynęły na ukształtowanie się warunków społecznych i duszy rosyjskiej, śledzi jej przejawy w enuncjacjach wybitnych przedstawicieli, bada powstanie i ewolucję zasadniczych kierunków życia duchowego, wiążąc je przyczynowo z całokształtem stosunków polityczno-socjalnych. Bezstronny i ściśle naukowy, wyciska jednakowoż autor na każdej karcie dzieła piętno swej myśli i indywidualności. Dodać należy niepospolity artyzm formy. W jak przejmujących rysach odtwarza autor sylwetki nieszczęśliwych dekabrystów: z jakiem duszoznawstwem zgłębia psychologje Czaadajewa, Herzena, Bakunina; z jaką intuicją i przemyśleniem filozoficznem kreśli najgłębszy rozdział o genezie maksymalizmu. W całości jest to najświetniejsze bodaj dzieło państwowości, społeczeństwie i duszy obcego narodu, jakiem poszczycić się może nasza literatura. W dzisiejszej epoce zainteresowania Rosją bolszewicką jest rzeczą pierwszorzędnej wagi przełożenie go na języki obce: posiada ono wszystkie walory reprezentowania naszej twórczości historycznej przed forum Europy.

Książka Kucharzewskiego, poza swojemi wartościami merytorycznemi, wskazuje drogę, którą powinny kroczyć nasze, badania nad historją powszechną. Oceniając w całej pełni trud i zasługi uczonych, którzy pracami o epoce macedońskiej lub merowińskiej doku-

[1]) W trakcie pisania tego artykułu ukazał się tom trzeci, któremu poświęcę szczegółowe omówienie.

mentują dobitnie związek naszej kultury historycznej z myślą Zachodu, należy się jednak zgodzić, że historjografja polska posiada w tej dziedzinie własne, odrębne zadanie. Jest niem z jednej strony przedstawienie stosunków polskich na tle porównawczem w szerszej mierze, niż dotąd praktykowano (świetnym przykładem rzecz Jana Rutkowskiego, *Poddaństwo włościan w XVIII w. w Polsce i niektórych innych krajach Europy* 1921): z drugiej — studja nad dziejami wschodniej Europy, z któremi nierozerwalnym węzłem łączą się najżywotniejsze zagadnienia z historji polskiej. Ostatnio dokonał się w tej dziedzinie ważny postęp organizacyjny, mianowicie w czerwcu u. r. odbyła się w Warszawie konferencja historyków wschodniej Europy i Słowiańszczyzny, która wyłoniła związek kół naukowych tych krajów. Jeżeli znaczenie zjazdów naukowych traktuje się niejednokrotnie z uzasadnionym sceptycyzmem, to konferencja warszawska już w tej chwili może się wykazać pozytywnym wynikiem w postaci biuletynu sprawozdawczego z literatury historycznej odnośnych krajów, którego pierwszy zeszyt pod redakcją Handelsmana opuścił prasę. Należy się spodziewać, że stworzona na zjeździe warszawskim organizacja umożliwi w przyszłości niejedno przedsięwzięcie zbiorowe, w każdym zaś razie zapoczątkuje zbliżenie i przyczyni się do skierowania historjografji polskiej ku badaniom, które stanowią niewątpliwie jej najbardziej właściwą i uprawnioną domenę.

Dziedziną badań historycznych, która wprost zawdzięcza jeżeli nie swe powstanie to zdumiewająco intenzywny rozwój wskrzeszeniu państwowości, jest historja wojskowa. Zjawisko najzupełniej zrozumiałe. „Gdzie brak wojska narodowego, zamiera historja wojskowa jako gałąź odrębna... Historja wojskowa odżywa wraz z wojskiem" — słusznie zauważa M. Kukiel. Już w dobie przedwojennego tworzenia organizacyj militarnych poczyna wychodzić w Poznaniu nakładem Karola Rzepeckiego serja wydawnictw p. t. *Boje polskie*, zainaugurowana tomikiem Józefa Piłsudskiego: *22 stycznia 1863 r.* W czasie wojny powstaje *Bibljoteczka legjonisty*, przynosząca popularne rozprawki i pamiętniczki z historji wojskowej. Z chwilą powstania państwa polskiego praca ogniskuje się w Wojskowym Instytucie Naukowo-Wydawniczym, następnie w Wojskowem Biurze Historycznem. Rozmach, wszechstronność, bogate wyniki w tak krótkim okresie czasu są uderzające. Od zagadnień metodycznych, bibljografji, charakterystyki źródeł do

poszczególnych okresów do poważnych prac konstrukcyjnych, od studjów nad Grunwaldem i okresem „wielkich hetmanów" (Ottona Laskowskiego) do szeregu prac i kontrowersyj na temat kampanji 1920 r. — wszędzie buduje się od podstaw. Wydano wybór tekstów do polskiej historji wojskowej, (Laskowski - Pawłowski 1928) ciekawe pomniki źródłowe (memorjał rosyjskiego kwatermistrza Pistora o insurekcji kościuszkowskiej, ed. Pawłowski 1924, memorjał Prądzyńskiego napisany w r. 1828 na rozkaz W. Ks. Konstantego o wojnie Rosji z Austrją i Prusami, ed. Łopaciński 1923) bibljografję ogólną oraz specjalną powstania styczniowego. Szczególny położono nacisk na odtworzenie dziejów wojskowości polskiej doby najświeższej: historji Legjonów Polskich, formacyj wschodnich (H. Bagińskiego, *Wojsko polskie na Wschodzie* 1921), wojen wskrzeszonej Rzpltej. Sporo materjałów źródłowych i przyczynków konstrukcyjnych przyniosło czasopismo fachowe *Bellona*. Obok sił młodych uczestniczą w tej pracy przedstawiciele generacji przedwojennej, chlubnie już zapisani na kartach nauki. Dwa zwłaszcza nazwiska wysuwają się na plan pierwszy. Wacław Tokarz po ogłoszeniu książki o *Armji Królestwa Kongresowego* (1917) przygotowuje wielkie dzieło o wojnie polsko-rosyjskiej 1831 r. Ogłoszony narazie zarys litografowany (1922) oraz referat na zjeździe poznańskim (1925) dają miarę wysokiego poziomu oraz źródłowości badań. Równocześnie nie zaniedbuje też dobrze mu znanej doby insurekcji kościuszkowskiej (*Marsz Madalińskiego* 1926). Marjan Kukiel obok fachowych studjów z epoki napoleońskiej (*Wojny napoleońskie* 1927, *Manewr smoleński 1812*, 1927) w szeregu świetnie pisanych rozpraw [1]) roztrząsa w sposób głęboki a oryginalny zasadnicze zagadnienia historji wojskowej) wszechstronna charakterystyka wojny, zakres nauki i związane z nią zagadnienia, stosunek do innych gałęzi umiejętności historycznej, jej znaczenie jako czynnika wychowawczego, źródła siły duchowej, poświęcenia patrjotyzmu, podział historji wojskowości polskiej i in.).

Wybitny postęp daje się zauważyć również w dziedzinie nauk pomocniczych historji. Rozwój tej gałęzi umiejętności wiąże się u nas ściśle z nazwiskiem Stanisława Krzyżanowskiego, który

[1]) *Prace historyczne sztabu generalnego. Przegl. Współcz.* 1924 nr. 21. *Miejsce historji wojskowej wśród nauk historycznych. Pam. IV Zjazdu hist. pol.* 1925. *O podziale polskiej historji wojskowej na okresy. Przegl. Współcz.* 1928 nr. 69.

pierwszy przeszczepił na grunt polski nowe poglądy na istotę i zadania paleografji i dyplomatyki, jakie stworzyła nauka europejska. W tym samym kierunku idzie działalność następcy jego na katedrze Uniw. Jag., Władysława Semkowicza. W przeciwieństwie do znakomitego medjewisty francuskiego Langlois, który uważa, że „żadna z tak zwanych nauk pomocniczych nie jest nauką", że „są to tylko zapomocą krytyki zdobyte metodyczne wykazy faktów" [1]) przyznaje im Semkowicz samodzielne stanowisko i własny przedmiot. Paleografja bada zatem rozwój pisma jako jednego z przejawów kultury, dyplomatyka zajmuje się dokumentem, jego genezą, rozwojem, wpływami, wartością historyczną i prawną, ustrojem kancelarji etc. Nie przestając być pomocą dla historyka, posiada zatem każda z tych dyscyplin odrębne, samoistne cele badawcze.[2])

Program ten realizuje Semkowicz przedewszystkiem w dziedzinie genealogji średniowiecznych rodów rycerskich w Polsce (szereg komunikatów w Spraw. Akad. Um., wielkie dzieło o *Rodzie Awdańców*, 1920 powstałe w jego seminarjum prace Marjana Friedberga o *Rodzie Łabędziów* 1925 Karola Górskiego, *Ród Odrowążów* (1927), oraz na polu geografji historycznej. Naukę tę wprowadził Semkowicz na nowe tory, ukazując jej jako cel — nietylko wykazanie wpływów warunków naturalnych na kształtowanie się losów państw i narodów (znakomite zademonstrowanie w rozprawie *Podstawy geograficzne Polski Chrobrego* 1925), ale odtworzenie krajobrazu pierwotnego, przez zbadanie w pierwszym rzędzie zmian w nawodnieniu i szacie roślinnej (zagadnieniu temu poświęcona jest napisana pod jego kierunkiem praca R. Mochnackiego *Zasiąg pralasu na Średniogórzu Polskiem.* Spraw. Akad. Um. 1924). Założona w r. 1922 przy Akad. Um. Komisja dla Atlasu historycznego Polski podjęła na szeroką skalę zamierzone prace nad inwentaryzacją materjałów oraz opracowaniem atlasu historycznego ziem polskich. Praca, prowadzona w kilku centrach uniwersyteckich, dała wydatne rezultaty. Kraków opracował mapę Małopolski z doby Sejmu Czteroletniego z uwzględnieniem krajobrazu, osadnictwa, podziałów administracyjnych i kościelnych, stosunków majątkowych, gospodarczych i kulturalnych. W War-

[1]) Langlois-Seignobos, *Wstęp do badań histor.* 1912 str. 57.

[2]) Por. wywody Semkowicza w *Kwart. hist.* 1917, str. 108 i n. oraz w *Nauce Polskiej* t. I 1918 str. 287 i n.

szawie opracował Jan Jakubowski mapę Litwy w XVI w. Obok tego powstał szereg prac, związanych z zagadnieniami geografji historycznej: tak zajęto się historjografją kartografji w Polsce (niewydana obszerna praca Karola Buczka o geografie St. Augusta Perthées'ie), podziałami kościelno-politycznemi (studja St. Arnolda, Zofji Kozłowskiej), uwzględnieniem elementu geograficznego w stosunkach społeczno-gospodarczych (prace uczniów Fr. Bujaka).

Z innych gałęzi nauk pomocniczych zanotować należy wzmożenie badań w dziedzinie archiwistyki, będące naturalnym wynikiem przejęcia przez państwo polskie archiwów po rządach zaborczych. Dowodzi tego pokaźna liczba referatów, nadesłanych z tej dziedziny na zjazd poznański, powstanie specjalnego czasopisma *Archeion* (od r. 1927) pod redakcją S. Ptaszyckiego, rejestracja współczesnych archiwów polskich przez K. Buczka (*Nauka Polska* t. V, 1927), wydawnictwo Edw. Chwalewika: (*Zbiory Polskie* wyd. II 1926—27), zawierające w tysiącach pozycyj wykaz polskiego dobytku kulturalnego (archiwa, bibljoteki, muzea etc.) Z prac konstrukcyjnych ukazała się obszerna rzecz Abdona Kłodzińskiego *O archiwum Skarbca Koronnego na Zamku Krakowskim (Archiw. Kom. hist. Akad. Um.* 1923). Najgruntowniejsze studjum z dziedziny dyplomatyki dał Karol Maleczyński, *Studja nad dyplomami kancelarją Odonica i Laskonogiego* (1928). Szereg przyczynków ogłosił Stanisław Kętrzyński, który przygotowuje dzieło o całokształcie dyplomatyki polskiej. Na polu heraldyki pracuje Helena Polaczkówna.

Wytworem lat ostatnich jest wreszcie nauka o książce. Początki jej tkwią w zainteresowaniach fachowo-bibljotekarskich oraz bibljofilskich, (charakter ten noszą w wysokim stopniu czasopisma krakowskie *Exlibris* i *Silva Rerum*), w dalszym rozwoju prowadzi jednak do wyników ważnych dla dziejów oświaty i stosunków naukowo-kulturalnych. Studja Kazimierza Piekarskiego i Jana Ptaśnika nad polskiem księgarstwem i drukarstwem, monografje Marji Wojciechowskiej (*Z dziejów książki polskiej w Poznaniu w XVI w.* 1927), Kazimierza Hartleba (*Bibljoteka Zygmunta Augusta* 1927) i A. Jędrzejowskiej (*Książka polska we Lwowie w XVI w.* 1928) wnoszą do obrazu cywilizacji staropolskiej element niepowszedniej wartości i znaczenia.

(Dokończenie nastąpi)

Dr. Józef Feldman.

Przegląd piśmiennictwa.

Dr. Teofil Bromboszcz: Die Einheit des Johannes-Evangeliums. Katowice, Księgarnia i Drukarnia Katolicka, 1927, 8, str. 249.

Ewangelja św. Jana stanowi bezsprzecznie jedno z najtrudniejszych zagadnień biblijnych dla tych, którzy chrześcijaństwo uważają za zjawisko czysto naturalne bez wpływu jakichkolwiek czynników nadprzyrodzonych. Dla krytyki liberalnej czwarta Ewangelja jako dzieło ucznia Chrystusa i naocznego świadka jego nauki i czynów jest niemożliwością. To też już w r. 1792 deista angielski, Evanson, przypisał ją jakiemuś platończykowi z drugiego wieku. Strauss widział w niej zbiór legend i mitów. Baur i jego szkoła uważali Ew. Jana za próbę pogodzenia gnostycyzmu z tradycją chrześcijańską. Inne jeszcze teorje inaczej tłumaczyły jej powstanie; zgadzały się wszystkie w tem, że Ewangelja ta nie jest dziełem naocznego świadka życia Jezusa, a zatem że nie posiada wartości historycznej.

Za punkt wyjścia tych dociekań brano przeważnie stronę dogmatyczną Ewangelji. Strona literacka, jakkolwiek jeszcze w r. 1796 Eckermann zwrócił na nią uwagę, pozostała przez cały w. XIX sprawą drugorzędną. Widziano wprawdzie w Ewangelji pewne niejasności stylu, niedomówienia, brak odpowiednich połączeń większych ustępów lub poszczególnych myśli, odkrywano nawet pozorne sprzeczności, tłumaczono sobie jednak, że pochodziły one może z nieuwagi autora, lub czynników zewnętrznych, jak przestawienia lub zaginięcia jakiejś karty w najstarszym rękopisie.

W r. 1907—8 wydał uczony racjonalista niemiecki, Wellhausen, dwa dziełka, w których i do św. Jana zastosował w całej ścisłości metodę krytyki literackiej, wypróbowaną wprzód na Pentateuchu i na Synoptykach. Zacząwszy od nierówności stylowych, poprzez badanie układu doszedł Wellhausen do wniosku, że Ewangelja św. Jana nie jest dziełem jednolitem, że tekst jej pierwotny przejść musiał przez ręce kilku wydawców, którzy go przerobili i uzupełnili.

Teorja Wellhausena i pracującego równocześnie z nim Schwartza znalazła wnet naśladowców (Loisy) i współzawodników (Spitta, Sol-

tau, Faure). Ci odkryli w Ewangelji różne dokumenty, które nieznany bliżej wydawca z kilku źródeł pozbierał i razem złożył. Nie brakło jednak i wśród uczonych protestanckich takich, co z Zahnem na czele nie znaleźli w nowych teorjach ani „atomu prawdy" i pozostali przy starym poglądzie, widzącym jednolitość czwartej Ewangelji.

Oporne stanowisko zajęli także uczeni katoliccy. Powody, wysuwane przez krytykę radykalną, wydały im się zbyt błahe, by dla nich odstąpić od wyraźnego świadectwa tradycji, według której czwarta Ewangelja jest dziełem jednego autora — Apostoła Jana. Poprzestano i nadal na wyjaśnianiu napotkanych w tekście trudności i na odpieraniu podnoszonych przez krytykę zarzutów. Lecz literaturze protestanckiej należało dać całkowitą, stosowną odprawę. Należało uwzględnić nietylko poszczególne teksty, lecz wskazać na cechy właściwe całej Ewangelji, które przemawiają stanowczo za jednolitością wewnętrzną dzieła, a zatem i na korzyść jednego autora. Tak bowiem otrzymałoby się pewną podstawę do egzegetycznego zbadania twierdzeń i zarzutów stawianych przez krytykę literacką. Tego trudnego zadania podjął się ks. dr. Bromboszcz, a owocem jego żmudnej, cierpliwej pracy jest studjum „o jednolitości Ewangelji Jana".

Praca obejmuje wstęp i dwie części. We wstępie dał A. krótki rzut oka na rozwój historyczny zagadnienia literackiego czwartej Ewangelji. Czytelnik widziałby tu chętnie szerzej opisaną teorję uzupełnień i dokumentów. W czterech rozdziałach części pierwszej wykazuje autor, jak poprzez całą Ewangelję, od początku do końca przejawia się jedna zasadnicza myśl i jeden cel, który kierował pisarzem nietylko w doborze materjału, lecz i w układzie poszczególnych rozdziałów, a nawet pojedynczych zdań. Niema śladu przeciwieństwa pomiędzy opowiadaniem Ewangelisty, a mowami, które przytacza. Przeciwnie, jedne i drugie ujęte są pod tym samym kątem widzenia, zawierają te same myśli i wyobrażenia. Jednej wewnętrznej myśli odpowiada też jednolita budowa zewnętrzna. Pierwotnie zamierzona i świadomie przeprowadzona nie może być ona wynikiem pracy kilku wydawców, lecz musi być dziełem jednej ręki. Jednolity jest również w całej Ewangelji i jej tylko właściwy język.

W drugiej części poświęca autor kilka stron krytyce racjonalistycznej, jej założeniom i metodzie, następnie przechodząc Ewangelję rozdział za rozdziałem wykazuje bezpodstawność twierdzeń, wniosków i przypuszczeń krytyki przeciwnej. Wszystkie bowiem usterki stylistyczne Ewangelji Jana dadzą się równie dobrze wytłumaczyć czyto osobistemi właściwościami Ewangelisty, jak pochodzenie semickie, brak pełnej znajomości języka, czy też okolicznościami zewnętrznemi, jak cel i przeznaczenie dzieła.

Studjum ks. Bromboszcza było zasadniczo wykończone w r. 1918. Autor zajęty pracą duszpasterską, nie miał później dość czasu, by

uwzględnić literaturę lat następnych. Stąd brak niekiedy ścisłości w ocenie przeciwników. Np. Goguela uważa autor na podstawie wcześniejszych jego pism zą przedstawiciela przeciwników jednolitości czwartej Ewangelji. Tymczasem w *Introd. au Nouv. Test.* (t. II Le quatrième Évangile, 1924, str. 79) pisze on: „Jakakolwiek byłaby różnorodność i natura materjałów kryjących się w czwartej Ewangelji, nie należy zapoznawać jej głębokiej jednolitości: jednolitości natchnienia, myśli, stylu i języka".

Co do J. 7, 53—8, 11 autor (str. 115—117), idąc wślad za niektórymi krytykami, sądzi, że ustęp ten nie należał do pierwotnego tekstu Ewangelji Jana. Obok prawdopodobnych świadectw zewnętrznych mają na to „całkiem wyraźnie" wskazywać „jasne i widoczne" dowody wewnętrzne, które dadzą się w tem miejscu „przedmiotowo stwierdzić". Naprzód połączenia z kontekstem są „sztuczne"; autor widzi tu przykład. jak to późniejszy wydawca, chcąc uzupełnić tekst dodatkami, musi się natrudzić, by takie połączenia stworzyć i jak ciężko mu to przychodzi. Autor przyznaje, że tego rodzaju dowodzeniem posługują się chętnie przeciwnicy, lecz samo z siebie nie jest ono przedmiotowem. Autor twierdzi dalej, że „przedewszystkiem" chronologja tego ustępu stoi w sprzeczności z chronologją reszty Ewangelji. Czy zdoła jednak przesłanki tego twierdzenia udowodnić? W J. 7, 37 jest bowiem mowa nie o Szabacie, lecz o „ostatnim, wielkim dniu" święta Namiotów. Nie da się również udowodnić, że uzdrowienie ślepego od urodzenia, opowiedziane w rozdziale 9, odbyło się tego samego dnia. Nie jest także przekonywujący dowód z treści tego miejsca. Jedynie ostatni dowód z różnic językowych, wzięty razem ze świadectwami zewnętrznemi, nie jest pozbawiony pewnego prawdopodobieństwa.

Mimo te usterki studjum o jednolitości czwartej Ewangelji odda krytyce katolickiej rzetelną i trwałą przysługę, a takie rozdziały jak 1, 2, 4, 6, 22, które nie wymagają znajomości języka greckiego, przeczyta każdy człowiek inteligentny z dużym pożytkiem i prawdziwem zadowoleniem.

Ks. Walenty Prokulski.

Dr. Josef Schmid: Der Epheserbrief des Apostels Paulus. Seine Adresse, Sprache und literarischen Beziehungen. („Biblische Studien", T. 22, zesz. 3—4). Fryburg, Herder, 1928. 8°, str. XXIV+ 466. Mk. 16.

Ze wszystkich pism św. Pawła list do Efezów zawiera najmniej cech osobistych wielkiego Apostoła narodów. W Efezie przepędził Paweł blisko trzy lata, jemu zawdzięczał tamtejszy Kościół swój ogromny rozwój; tymczasem w liście ani słowem nie wspomina o doznanych tam przeżyciach, nie czyni wzmianki o obecnem swem położeniu w więzieniu, ani o stosunkach swych czytelników. Owszem, z niektórych miejsc zdaje się jasno wyni-

kać, że autor i odbiorcy listu są sobie wzajemnie nieznani (1, 15; 3, 2—4; 4, 21). Stąd wbrew najstarszym świadectwom zewnętrznym, wyłoniło się oddawna pytanie, czy list ten był rzeczywiście pisany do gminy w Efezie? A kiedy krytycy protestanccy zauważyli nadto pewne różnice stylistyczne i pojęciowe między tym listem a innemi pismami św. Pawła, podnieśli wnet drugie zagadnienie: czy wogóle list do Efezów pochodzi od Pawła, czy też jest apokryfem późniejszej daty?

Te dwa zagadnienia są przedmiotem rozważań w obszernem, gruntownem dziele Schmida. Nakreśliwszy we wstępie dzieje krytyki listu i zestawiwszy w rozdziale pierszym świadectwa najstarszych pism chrześcijańskich, w rozdziale drugim podaje szczegółowej analizie i ocenie różne przypuszczenia co do odbiorców listu. Sprowadza je do dwóch grup. Pierwsza łączy powstanie czy przeznaczenie listu z kościołem w Laodycei. Dzisiejszy list do Efezów byłby tym samym, o którym wspomina Apostoł w liście do Kolossan 4, 16). Przypuszczenie to, postawione kiedyś przez Marciona, wznowił w r. 1707 krytyk angielski Mill. Przypomniane na nowo przez Harnacka, znalazło ono zwolenników także wśród egzegetów katolickich (Knabenbauer, Meinertz, Vosté, Vogels). Schmid przechyla się na stronę innej teorji, którą uważa za „hipotezę o wysokiem prawdopodobieństwie". Według niej list, o którym mowa, nie był skierowany przez św. Pawła wyłącznie do kościoła w Laodycei, lecz do grupy kościołów pobliskich, do których zaliczyć należy także Laodyceę, Kolossy i Hierapolis. Z Laodycei mieli go wziąć do przeczytania wierni gminy w Kolossach, stąd wzmianka o nim w *Kol* 4, 16. Podobnie jak w liście *Judy* i *II Piotra,* tak i w tym pierwotnie nie było wzmianki o miejscu odbiorców. Tekst *Efez* 1, 1 brzmiał: „Paweł... wszystkim świętym i wiernym w Chrystusie Jezusie". Lecz w jaki sposób dostały się do tekstu słowa „którzy są w Efezie"? Tychikus, niosący list z Rzymu, musiał przechodzić przez Efez, który był bramą, otwierającą z zachodu dostęp w głąb Azji Mniejszej. Należy przypuścić, że zatrzymał się tam, aby wiernych pozdrowić i udzielić im wiadomości o Apostole. Odchodząc pozostawił im odpis listu okólnego, który jakkolwiek dla nich wprost nie przeznaczony, ze względu na treść żywo ich zajmował. Z Efezu począł się on rozszerzać po innych Kościołach i stąd dano mu tytuł „do Efezów", który następnie przedostał się do tekstu.

Daleko ważniejsze jest zagadnienie autorstwa listu. Ponieważ główne zarzuty przeciwników opierają się na właściwościach językowych tego pisma, Schmid poświęca trzeci rozdział (130 — 331) badaniom jego słownictwa i szczegółowemu rozbiorowi gramatycznemu i stylistycznemu. Na podstawie dokładnych i wszechstronnych rozważań może stwierdzić, że żadne wyrażenie listu nie może uchodzić za niepawłowe, a tem mniej za przeciwne mowie Apostoła. Również na korzyść autentyczności przemawia posu-

nięty aż do drobiazgowości rozbiór gramatyczny i stylistyczny. W czwartym rozdziale zestawia autor list do Efezów z innemi pismami Now. Test., wykazując zależność od niego pierwszego listu św. Piotra. Za autentycznością zaś listu do Efezów świadczy porównanie go z resztą pism św. Pawła, zwłaszcza z listem do Kolossan. Wzajemna zależność tych dwóch pism jest tak ścisła, że nie da się wytłumaczyć inaczej, jeno pochodzeniem od tego samego autora. To też cały szereg wybitnych krytyków angielskich, z niemieckich Harnack i Deissmann, nie przestali uważać listu do Efezów za autentyczne pismo Apostoła narodów.

Dzieło Schmida uzupełnia spis analityczny, rzeczowy i słowniczek wyrazów greckich. Spis bibljograficzny daje pogląd na bogatą literaturę, którą autor zna doskonale, często przytacza i krytykuje. Nie pomija żadnej trudności, sąd wydaje jasny, uzasadniony, spokojny. Dzieło Schmida jest najlepszą pracą, jaka się ukazała dotąd w sprawie autorstwa i przeznaczenia listu do Efezów.

Ks. Walenty Prokulski.

Dr. Jan Wilczyński: Podręcznik biologji ogólnej, dla 8 klasy gimnazjów. z 31 ćwiczeniami i 164 rysunkami w tekście. Gebethner i Wolff, 1928, str. 219.

Dobre i przejrzyste spopularyzowanie wyników naukowych badań wymaga od fachowca większego trudu, niż ścisła techniczna rozprawa. Odnosi się to w pierwszym rzędzie do podręcznika szkolnego, który naukową ścisłość musi umiejętnie połączyć z jasnością i przystępnością wykładu oraz dydaktycznym rozkładem materjału. Pierwszy w języku polskim, gruntowny i jasny, choć niekompletny podręcznik biologji ogólnej, daje właśnie gimnazjom prof. Wilczyński. Nazwał on skromnie swą książkę jednem z usiłowań, których na tem polu może być bardzo wiele. Nie wahamy się twierdzić, iż „usiłowanie" to jest pod niejednym względem pomyślnem.

Podręcznik Dra W. wprowadza ucznia w najważniejsze zagadnienia biologji ogólnej, z pominięciem jedynie ekologji, zgodnie zresztą z programem szkolnym. A więc najpierw podaje autor ogólny rzut oka na biologję, jej działy i zadania. W krótkim szkicu zestawia zasadnicze własności materji żywej, by w następnych rozdziałach zobrazować najważniejsze objawy życiowych funkcyj: przemiany materji i energji, rozrodu oraz przemiany postaci i wreszcie rozmaitych objawów pobudliwości. Syntetyczny rozdział, w którym autor zestawia różne próby określenia życia, zamyka część pierwszą. Część druga przedstawia w krótkim szkicu, teorje ewolucji i jej najważniejsze czynniki, jak dziedziczność i zmienność.

Teoretyczną stronę podręcznika uzupełnia nietylko bogaty materjał ilustracyjny, ale i praktyczny dział biologicznych ćwiczeń, zestawionych metodycznie przy końcu podręcznika. Nauka zatem

biologji ogólnej zyska niezmiernie na zainteresowaniu, o ile nauczyciel zechce w klasie przeprowadzić odnośne ćwiczenia.

Łatwo zrozumieć, iż autor, nie wychodząc celowo poza ramy zagadnień biologicznych, musiał jednak siłą rzeczy zahaczyć tu i ówdzie o ściśle z biologją związane kwestje filozoficzne. I w tym dziale spostrzegliśmy nieścisłości, które dla dobra podręcznika należałoby usunąć.

Tak, omawiając własności materji żywej i porównując ją z materją martwą, dochodzi autor do wniosku, iż „bez względu na istnienie wszystkich cech, właściwych wyłącznie istotom żywym, całość życia pozostaje w stałym i określonym stosunku względem przyrody nieożywionej, czerpie z niej substancje pokarmowe, przetwarza je, może istnieć jedynie w określonych warunkach tejże przyrody i jest niejako jej wytworem. Z tego więc punktu widzenia zarówno przyroda martwa, jak i żywa, stanowią człony prawdopodobnie j e d n o r o d n e g o w swej treści bytu". (str. 7). Jesteśmy na terenie filozoficznym, wymagającym ścisłości pojęć, tem bardziej, iż i „biologja ogólna... stanowi naukę ścisłą, należy jednak jednocześnie do nauk abstrakcyjnych" (str. 3). Otóż przesłanki faktyczne, zestawione przez autora krótko w części 1 rozdziale I i rozsiane na dalszych kartkach podręcznika, nie upoważniają do takiego wniosku. Swoisty kształt organizmów żywych, zdolność do ruchu, przemiana materji, wzrost, rozród, zdolność reakcji — wszystkie te fakta bijące w oczy, prócz nich inne mniej znane laikom, jak podnoszenie się wody w tkankach roślinnych, tworzenie żywej substancji, działanie enzymów i hormonów, reakcja utleniania, przeobrażanie energji chemicznej na różne rodzaje pracy, światło organiczne, fakt redukcji chromosomów, rozwój zarodka i t. d. — wszystkie te przesłanki, uwzględnione sumiennie przez autora, prowadzą do wręcz przeciwnego wniosku. Wprawdzie myślący uczeń wyciągnie ten wniosek, iż przyroda żywa i martwa n i e j e s t j e d n o r o d n y m w swej treści bytem, ale może być niemile zaskoczonym niekonsekwentnym wnioskiem autora, gdyż fakty, na których się on opiera, dowodzą, iż fenomeny życia zależą wprawdzie od martwej przyrody ale tylko z e w n ę t r z n i e, jak piszący autor zależy od pióra, atramentu, papieru, światła i t. d. Warunki te jednak zewnętrzne nie tłumaczą bynajmniej samej treści życia, materja żywa nie jest „wytworem przyrody martwej", różni się od niej z a s a d n i c z o i i s t o t n i e.

Sam zresztą autor przyznaje na innem miejscu, iż istnieją „podstawowe różnice między materją martwą a ożywioną" (str. 125), wyznaje lojalnie, iż „nie udało się stwierdzić, pomimo rozmaitych prób, samorodnego powstawania życia" (str. 133), mimo to ryzykuje zupełnie nieuzasadnione twierdzenie, iż „dopuszczenie samorództwa, jako jedynego naturalnego źródła życia na ziemi, może być uważane za wymaganie naukowego światopoglądu przyrodniczego". Więc Pasteur, na którego i autor się powołuje (str. 132),

nie był naukowcem, przyjmując fakt stworzenia życia? Śladami jego idzie tylu innych przyrodników. Jakiemże prawem można narzucać katolickiej młodzieży gimnazjalnej twierdzenie, niczem naukowo nieuzasadnione, iż „życie musiało się pojawić w pewnem stadjum kształtowania i komplikowania się materji nie ożywionej — w warunkach, gdy promień słoneczny po raz pierwszy pozyskał możność wykonywania reakcji syntetycznej pomiędzy dwutlenkiem węgla i wodą i włączył doń nieorganiczne związki azotowe" (str. 133). Nie chcemy bynajmniej nie doceniać znaczenia energji świetlnej, ale widzimy w niej znowu czynnik tylko zewnętrzny, nie tłumaczący bynajmniej wyczerpująco genezy życia i jego istoty. Wszak chociaż zdołano chemicznie wytworzyć połączenia organiczne, nie stworzono jednak komórki żywej, pomimo działania tej samej energji świetlnej. Z tej właśnie i wyżej podanych racyj pogląd witalistyczny, przyjmujący jako istotny składnik każdej żywej istoty t. zw. *principium vitale,* nie stracił swej naukowej wartości, posiada jej bezwzględnie więcej, niż mechanizm, oparty na materjalistycznej filozofji.

Zresztą przyjmując nawet pogląd autora na kwestję samorództwa pod wpływem energji świetlnej, tłumaczymy nim co najwyżej genezę organizmów roślinnych, odznaczających się specyficzną reakcją utleniania. Cóż zaś powiedzieć o genezie świata zwierzęcego? I tutaj znowu prof. W. narzuca uczniom swe jednostronne, a naukowo wcale nieuzasadnione, poglądy. Świat zwierzęcy uważa za dalszą naturalną ewolucję świata roślinnego. Więc pomimo pewnych zastrzeżeń, (str. 186), autor zdaje się być faktycznie zwolennikiem nietylko teorji ewolucji, ale ewolucji skrajnej, dzisiaj naukowo absolutnie przestarzałej.

Człowiek nawet dla autora zdaje się być jedynie „mutantem" uprzedniego zwierzęcego przodka (str. 165). O tej zbankrutowanej teorji powiada autor „dziś p o w s z e c h n i e ustala się sąd, że drogą mutacji powstały rasy zwierząt domowych i t. d. a często spotyka się ze zdaniem, że i człowiek jest również mutantem". I na tem koniec; bez słowa potępienia tego zdania, które na swe poparcie, jeżeli chodzi o człowieka, nie ma przecież żadnych naukowych dowodów.

Sympatję autora dla nienaukowej teorji descendencji odczuwamy także w słowach: „Mimo trudności przy znalezieniu prawidłowej i jednolitej teorji ewolucji, sam fakt jej zdaje się nie ulegać już żadnej wątpliwości i dotyczy również i człowieka. Z jej to istnienia czerpiemy wiarę w dalszy rozwój i doskonalenie się ludzkości pod wszelkiemi możliwemi względami, w kierunku do coraz to wznioślejszych ideałów" (str. 188). Czy mowa tu tylko o ewolucji moralnej i społecznej, czy też ma autor na myśli ewolucję biologiczną, o której mówi uprzednio? Czy organy szczątkowe są wystarczającym dowodem? Czy prawo biogenetyczne, skompromitowane nienaukowemi fałszerstwami jego twórcy Haeckela,

można uznać za solidną podstawę rzekomego faktu skrajnej ewolucji, dotyczącej i człowieka? Czy rys. 149 (str. 189) ilustrujący to prawo, jest oparty na naukowej metodzie porównawczej, a nie jest raczej zupełnie nieścisłym szkicem, nienaukowem *à peu près*? Nowożytna paleoantropologja, w imię nauki, odrzuca twierdzenie Haeckel'a. Nie wskrzeszajmy tego, co już należy jedynie do bibljografji. Jeśli więc autor wspomina o fakcie ewolucji człowieka, to trzeba koniecznie owo twierdzenie określić i zacieśnić do słusznych granic.

Analogiczne poglądy spotykamy w omawianiu psychiki. Ma się wrażenie, iż dla autora psychika zwierzęcia (instynkt) jest tylko wyższym stopniem skomplikowanych tropizmów, tak jak rośliny obdarza w „najbardziej prymitywną formę organów zmysłowych" (str. 119). Może w tym wypadku jednak chodzi raczej o mniej szczęśliwie dobrane terminy, niż o rzecz samą; w każdym razie zwierzęcego instynktu nie nazywa autor inteligencją i nie stawia go narówni z ludzkim rozumem, choć pogląd ten formułuje zbyt lękliwie: „W większości wypadków istota działań instynktownych i ich powstanie pozostają dla nas zagadkowemi i każą p r z y p u s z c z a ć (podkreślam), że mamy tu do czynienia z pewnym typem psychiki, zupełnie odmiennym od psychiki ludzkiej". (str. 123) Nietylko każą przypuszczać, ale udowadniają niezbicie.

Oto kilka uwag, dotyczących filozoficznej strony podręcznika. Nie żądamy bynajmniej, by autor wyraźnie zamieścił twierdzenie, iż życie jest dziełem Stwórcy, by bronił witalizmu, czy istotnej różnicy między światem roślinnym i zwierzęcym, żądać jednak możemy, a nawet musimy, by podręcznik biologji w przedstawieniu hipotez zostawił uczniowi całkowitą swobodę objektywnego wyboru, by jego religijnych przekonań nie podkopywał żadną miarą w imię pseudonauki. To jest absolutne minimum żądań, które szkoła polska, w swej olbrzymiej większości katolicka, musi postawić autorowi szkolnego podręcznika.

Wypowiadamy się swobodnie, gdyż o taką swobodną dyskusję autor usilnie prosi (str. X). Chodzi nam jedynie o to, by podręcznik posiadający dużą skądinąd wartość, był wolny od wszelkich uzasadnionych zarzutów i niedomagań.

Ks. E. Kosibowicz.

Ks. Dr. Walerjan Adamski: Z a r y s s o c j o l o g j i s t o s o w a n e j, t. I, Poznań, 1928, 8° str. 312.

Od lat szeregu rozgrywają się na świecie olbrzymie zawody o władztwo społeczne, drogą organizacyj, propagandy, wieców, deklaracyj programowych biegną zawodnicy różnych barw nie sportowych koszulek, ale duszy, do mety, która się nazywa panowaniem nad ludzką duszą.

Trzeba też zauważyć, że mniej więcej wszyscy zawodnicy,

pracownicy społeczni, posługują się temi samemi środkami, a jednak tylko niektórzy z nich dochodzą do świetnych rezultatów, inni po długich trudach mogą sobie powiedzieć: *oleum et operam perdidi*. Skąd to pochodzi? Czy ta różnica wyników jest dziełem przypadku? Niewątpliwie, niektórzy działacze społeczni pojmują swą pracę mniej więcej tak jak łowienie ryb na wędkę, albo grę na loterji. I to jest kapitalny błąd.

W społecznej pracy, w której wprawdzie ma się do czynienia z wolną — a często jakże kapryśną — wolą ludzką i to nie jedną, ale mnożącą się w tysiące i dziesiątki tysięcy, można jednak tak wszystko ułożyć, że z całą pewnością moralną, z prawdopodobieństwem 99 na sto można powiedzieć, że akcja się uda, albo nie uda. W akcji społecznej są pewne prawa, istnieją zasady i normy działania, które mocno postawione, zrealizowane, dają najwyższą gwarancję pozytywnego wyniku.

I właśnie w socjologji stosowanej chodzi o to, by wskazać w największem przybliżeniu najlepsze możliwości wszystkich współczynników społecznej działalności, które najpewniej doprowadzą do celu i naodwrót wykazać wszystkie niebezpieczeństwa, które najprawdopodobniej, albo całkiem pewnie, zwichną społeczne wysiłki i trudy.

Stąd widać, jak niesłychanie ważną sprawą jest tego rodzaju podręcznik dla wszystkich, którzy na niwie społecznej pracują, a więc w pierwszym rzędzie i dla katolickiej akcji, stąd też można ocenić, jak wielką przysługę oddał autor naszemu społeczeństwu przez opracowanie i wydanie swego „Zarysu". Zbyteczne jest dodawać, że niewielu ludzi w Polsce nadawało się do spełnienia takiego zadania tak, jak właśnie on. Kto jeszcze o nim nie słyszał, ten z kilku zdań przedmowy może się przekonać, że tak jest istotnie i że autor odbył odpowiednie przygotowawcze studjum nietylko z książek, ale i z życia.

W „Zarysie" mamy najpierw przedstawioną różnicę socjologji teoretycznej i praktycznej, czyli stosowanej. Ta część studjum przedstawia największy, że się tak wyrazimy, interes naukowy, ale nie wątpimy, że wszystkich społecznych dyletantów będzie może nudzić. Stanowi jednak pojęciową podwalinę pod dalsze wywody autora, jest też wskazówką dla wszystkich społecznych amatorów, że jednak praca na niwie społecznej jest czemś znacznie głębszem, niż się pospolicie sądzi.

W głównej osnowie dzieła autor omówił dwa podstawowe zagadnienia: w części pierwszej teorję aktu społecznego, w drugiej zaś teorję procesu społecznego. Te terminy abstrakcyjne ujmuje autor bardzo konkretnie przez analizę i rozpatrywanie teorji: podmiotu społecznego, teleologji społecznej, przedmiotu społecznego, warunków i środków społecznych. W tłumaczeniu na język pospolity chodzi autorowi o to, aby przedstawić, kto, w jakim celu, na kogo, wśród jakich okoliczności i jakiemi spo-

sobami społecznie działa, względnie działać może. Zaś w części drugiej zajmuje się autor zagadnieniem skuteczności tego działania, rozpatrując zagadnienia teorji wyniku społecznego, zasady ogólne i szczegółowe skutecznego oddziaływania i przebieg procesu, czyli społecznej działalności. Dla ilustracji podajemy, że w tej części spotykamy takie sprawy, jak zasady oddziaływania na jednostkę, na zebranie, tłum, organizację, opinję publiczną.

Autor dotknął w swej pracy wszystkich najważniejszych szczegółów, omówił je bardzo jasno i niezwykle przystępnie i plastycznie, tak że nawet niekiedy ma się wrażenie, jakby banalności, która jednak może mieć usprawiedliwienie w tem, że autorowi zależało specjalnie na wielkiej przystępności swej pracy.

Ta niezwykła przejrzystość i jasność w podziale całego tematu i w przedstawieniu poszczególnych części jest największą zaletą pracy ks. Adamskiego. Dlatego też tę książkę można polecić wszystkim nawet bardzo początkującym działaczom społecznym, jako niezwykle pożyteczną i nawskroś praktyczną. Warto polecić ją tem więcej, że drugi tom, który niebawem ma się ukazać, jeszcze bardziej konkretnie ujmie zagadnienie społecznej akcji, gdyż treścią jego, według zapowiedzi autora, będzie t. zw. technologja społeczna, czyli możliwie najpraktyczniejsze wskazówki wpływu na innych przez społeczne akty. A właśnie do tego drugiego tomu pierwszy przedstawia pojęciowe założenia. Z tego też stanowiska praktycznego oceniamy pracę ks. Adamskiego.

Może nam jednak wolno prosić czcigodnego Autora, aby przy wydawnictwie drugiego tomu zechciał staranniej dopilnować korekty, która w I tomie pozostawia wiele do życzenia, zwłaszcza że niektóre błędy drukarskie fatalnie wpływają nawet na treść. Zdaje nam się również, że mniej szczęśliwe są wyrażenia, któremi autor się posługuje, a które w przyjętej terminologji albo mają odmienne znaczenie, albo są niezrozumiałe, mianowicie: „sensualistyczny", na określenie wrażenia zmysłowego, ale nie w sensie płciowym, zamiast wyrażenia sensytywny, albo „wolicyjny", co ma oznaczać akt zależący od wolnej woli, a więc raczej woluntarystyczny. Prócz tego wolno się nam spodziewać, że następne prace autora będą miały mniej śladów tej katastrofy, jakiej uległ polski język w Wielkopolsce pod wpływem niemczyzny.

Ks. R. Moskała.

Marceli Handelsman: Historyka. Zasady metodologji i teorji poznania historycznego. Wyd. II poprawione i uzupełnione. Str. 332. Nakładem Gebethnera i Wolffa.

Chociaż tytuł książki, którą zamierzamy omówić, powiada, że to jej drugie wydanie, jednak w rzeczywistości jest ono prawie zupełnie nową i — powiedzmy zaraz na początku — pierw-

szorzędnej wartości pracą, Składa się z dwu części; pierwsza obejmuje metodologję historji, druga, opuszczając pole praktycznych raczej dociekań nad metodą pracy, wkracza na teren filozofji i próbuje podać zasady poznania historycznego. Treść części pierwszej pokrywa się mniej więcej z treścią podstawowych prac Langlois-Seignobos'a i Bernheima, na których, w braku polskich podręczników, z konieczności młodsze pokolenie historyków kształciło się. Dziś brak ten jest usunięty dzięki pracy prof. Handelsmana, pracy głęboko przemyślanej, gruntownej i oryginalnej w ujęciu i przedstawieniu poszczególnych zagadnień, a co najważniejsza zastosowanej do potrzeb polskiej nauki historycznej.

Bliżej w szczegóły części pierwszej wchodzić nie będziemy. Ograniczymy się do ogólnej tylko charakterystyki, dodając tę jeszcze praktyczną uwagę, że nie byłoby wskazanem zalecać i dawać Historykę początkującym słuchaczom. Jeżeli się zważy bardzo niski poziom tak ogólnego wykształcenia i wyrobienia myślowego, jak w szczególności skąpy zakres wiedzy historycznej u przeciętnego abiturjenta. to książkę prof. H. musimy uznać za trudną i nie nadającą się na „elementarz" metodologji historji. W znakomitych skądinąd przykładach suponuje ona pewne już zaawansowanie w znajomości zagadnień polskiej historjografji, a przez dążność do filozoficznego pogłębienia wymaga sporo wyrobienia myślowego, by mogła być z korzyścią czytaną, a właściwie studjowaną. Inna sprawa, czy taki „elementarz" wogóle jest potrzebny? W każdym razie, niezależnie od odpowiedzi na to pytanie, zawsze może go zastąpić dobrze prowadzone proseminarjum.

Część druga jest, jak sam autor się wyraża, pierwszą próbą ujęcia zasad teorji poznania historycznego, próbą dokonaną nie przez zawodowego filozofa, ale zawodowege historyka. Ta okoliczność próbie tej wyszła bardzo a bardzo na dobre. Nowożytne teorje poznania mają tę największą wadę, że są apriorystyczne i idealistyczne i nie liczą się z danemi doświadczenia, a przedewszystkiem z najważniejszem doświadczenia źródłem — ze świadomością. Doprowadziwszy krytycyzm do absurdu, nie wyjaśniają procesu poznania, ale właściwie poznanie, jego wartość objektywną, burzą. Inną drogą idzie prof. Handelsmąn w swych rozważaniach filozoficznych o teorji poznania historycznego. Długoletnie badania historyczne na każdym kroku stawiały mu przed oczyma rzeczywistość najpierw dokumentu, a potem konsekwentnie i faktu historycznego, dlatego też, kiedy postanowił w filozoficznej zadumie wglądnąć w sam proces historycznego poznania, zaczynając od chwili znalezienia dokumentu po twórczą syntezę historyczną, wtedy nie mógł już oderwać się od wpływu konkretnej rzeczywistości, ale na jej objektywności oparł swoje filozofowanie. Przyjmując za podstawę objektywność poznania i realizm krytyczny (dowodem jest mu tutaj świadectwo świadomości,

potwierdzone krytycznie przez podobne świadectwa innych cudzych świadomości), proces historycznego poznania rozbija na trzy główne fazy, na badanie dokumentów, wyjaśnianie na ich podstawie faktu historycznego i wreszcie na jego rozumienie. Pełne i doskonałe poznanie historyczne otrzymujemy dopiero w ostatniej fazie, która jest konstrukcją historyczną, czyli twórczem widzeniem całości indywidualnej, stwierdzonem przez badanie i wyjaśnianie. Rozumie się, że to widzenie twórcze, ta syntetyczna konstrukcja historyczna jest subjektywną, obraz jednak, jaki ona przedstawia, może i powinien być objektywnym, o ile zostaną przy jego powstaniu zastosowane subjektywne i objektywne gwarancje bezstronności. Stąd też wynika dalsze twierdżenie autora, że poznanie historyczne w tym najwyższym swym stopniu, może być tylko mniej lub więcej prawdopodobnem. Prawda w poznaniu historycznem jest jedynie tego poznania postulatem, jest tym ideałem, ku któremu należy zmierzać, wynikiem zaś osiągalnym konkretnie będzie tylko prawdopodobieństwo. Prawdopodobieństwo to i objektywność oglądu histotycznego może się zwiększać w miarę wzrostu kontroli, dokonywanej przez innych badaczy i upowszechniającej tem samem ten ogląd twórczy, zawsze jednak pozostanie granica między prawdą historyczną a mającą ją odtworzyć historyczną konstrukcją.

Tak w krótkości przedstawia się teorja poznania historycznego prof. H. Ze stanowiska filozofji chrześcijańskiej nie możemy jej nic bardziej zasadniczego zarzucić, z uznaniem i radością przyjmujemy fakt, że autor chociaż wychowany na filozofji nowożytnej (jak świadczą bogate wykazy bibljografji przedmiotu), doszedł samodzielnie do tych samych wyników, do jakich dochodzą scholastyczni teoretycy poznania. Zrobilibyśmy jedną tylko, drobną zresztą już uwagę. Zgadzając się z Autorem, że najwyższy i najdoskonalszy stopień poznania historycznego, owa twórcza konstrukcja, twórcze widzenie indywidualne rzeczywistości historycznej, jako subjektywne, może osiągnąć tylko mniejsze lub większe prawdopodobieństwo, sądzimy, iż oprócz tego widzenia istnieją inne stopnie poznania historycznego, stopnie niższe i mniej doskonałe, jeśli rozważa się je z punktu widzenia twórczości konstruktywnej, ale zato pewniejsze, jesteśmy skłonni powiedzieć nawet, że pewne, jeżeli bierze się pod uwagę ich objektywność. Autor, naszem zdaniem, za silnie podkreśla twórczą i konstruktywną stronę poznania, a za mało uwzględnia skromniejsze jego wyniki, niemniej przeto cenne, a w wielu wypadkach jedynie możliwe do osiągnięcia. Mamy tu na myśli stwierdzenie prostego faktu historycznego, mniejsza o to czy tym faktem będzie odkrycie jakiegoś choćby tylko oderwanego zdarzenia, ustalenie daty lub nazwiska i t. d. Mało to takich zagadnień, w których dalej iść niepodobna z powodu braku dokumentów? A przecież te skromne nawet wyniki mają większą pewność poznania

niż genjalne choćby konstrukcje historyczne. I właśnie w tym przypadku jesteśmy skłonni wartość owego poznania nazwać już nietylko prawdopodobieństwem, alc p e w n o ś c i ą, oczywiście moralną, która jednak drogą rozumowania pośrednio da się sprowadzić do pewności nawet bezwzględnej. Ta nasza uwaga jeszcze w większym stopniu odnosi się do wielkich i znanych faktów historycznych. Nie sądzimy, by wartość naszego przekonania o istnieniu np. Napoleona, Kościuszki, a choćby Cezara czy Chrystusa Pana wyrażała się tylko prawdopodobieństwem; raczej świadomość nam mówi, że jesteśmy p e w n i ich istnienia, a zato zupełnie słusznie jakąś syntetyczną monografją o Cezarze określimy tylko jako mniej lub więcej prawdopodoną, zależnie od objektywnych i subjektywnych sprawdzianów.

Na zakończenie nie możemy nie dodać, że autor obok zasadniczych zagadnień porusza cały szereg innych, pobocznych, niemniej jednak interesujących, jak np. kwestję wpływu udziału historyka w życiu publicznem na jego naukową historyczną twórczość, i że podaje bardzo bogatą literaturę przy każdem zagadnieniu. Z tych wszystkich względów pracę prof. Handelsmana musimy uznać za dzieło o bardzo wysokiej wartości i za niezwykle cenny dorobek naszej nauki.

Ks. St. Bednarski.

Dr. Antoni Peretiatkowicz: P a ń s t w o w s p ó ł c z e s n e. Wyd. „Książnica-Atlas", Lwów – Warszawa, 1928, str. 194.

Książka ta, pojęta jako podręcznik, zaleca się swą krótkością i przejrzystością układu. W „wiadomościach ogólnych", zajmujących blisko połowę książki, autor podaje rozmaite teorje państwowości, szczegółowo rozbierając ich składniki, poczem w sześciu rozdziałach szczegółowych omawia ustrój polityczny Anglji, Francji, Niemiec, Stanów Zjednoczonych, Rosji sowieckiej, wreszcie Polski. O pożyteczności książki może świadczyć to, że wyszła ona już w szóstem (rozszerzonem) wydaniu. Wyrażamy jedynie żal, że autor katolik, jakim jest czcigodny profesor poznański, nie przytoczył wśród podanej literatury przedmiotu żadnego dzieła wyraźnie opierającego się na światopoglądzie chrześcijańskim. Sądzimy, że obok Hobbesa i Rousseau'a zasługiwał na wzmiankę przynajmniej Leon XIII, autor magistralnych encyklik: „O chrześcijańskim ustroju państw" z r. 1885 i „O pochodzeniu władzy państwowej" z r. 1881.

Ks. Jan Urban.

10 l a t p o l i t y k i s p o ł e c z n e j p a ń s t w a p o l s k i e g o, 1918—1928. Warszawa 1928, Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej. Str. 78, z mapą.

Praca, zestawiona przez dra Melanję Bornstein-Łychowską, ma na celu zaznajomienie ogółu ze stanem i rozwojem polityki

i opieki społecznej w Polsce, w okresie dziesięciolecia jej niepodległości. Po krótkim ogólnym wstępie, przedstawiającym trudne warunki, w jakich tworzyła się państwowość polska, przechodzi autorka bezpośrednio do właściwego tematu. Opisuje powstanie ministerstwa Pracy i Opieki Społ., a następnie cały dotychczasowy dorobek w zakresie ochrony pracy, ubezpieczeń społecznych, umów między pracodawcami i pracownikami, fizycznymi i umysłowymi. Materjał ten nie jest podany działami lecz chronologicznie, w kolejnem następstwie ważniejszych zdarzeń w kraju i posuwającego się naprzód ustawodawstwa społecznego. Ten sposób przedstawienia należy uznać za szczęśliwy, gdyż daje pogląd na rozwój stosunków, czytelnik zaś, któremu będzie chodziło o pewne tylko zagadnienia, odnajdzie je łatwo dzięki bardzo przejrzystemu rozklasyfikowaniu i ułożeniu całości. Zrozumienie jej ułatwia kilkanaście wykresów oraz duża kolorowa mapa urzędów i instytucyj, podległych ministerstwu Pracy i Opieki Społ. Nie wdajemy się tu w ocenę samego ustawodawstwa i kierunku, w jakim na tem polu zdąża ministerstwo, gdyż kwestja ta nie leży w ramach omawianej broszury; celem jej jest tylko poinformowanie społeczeństwa o pracy, dokonanej w przebytem dziesięcioleciu i zadanie to spełnia dobrze. Szkoda tylko, że nie dodano jeszcze nieco o wydawniczej działalności ministerstwa, które w ogólnym jego dorobku zasługuje również na podniesienie.

St. Podoleński.

Lucia Doxie: Ein Lebensbuch für junge Mädchen. Herder Freiburg i Breisg., 1928, str, VIII+242.

Dziewczę dorastające wchodzi w nowy świat, odkrywa budzące się w sobie, nieznane dotychczas uczucia, a nie zawsze znajdzie osobę, którejby mogło lub chciało się zwierzyć. Dla takich książka powyższa ma się stać cichym doradcą, udzielać wskazówek w radosnych i smutnych chwilach. Na napisanie jej złożyła się praca kilku autorek, które starały się wczuć w duszę dzisiejszego pokolenia i potrzeb czasów obecnych, poruszyć ważniejsze lub bardziej dręczące pytania, dać na nie odpowiedź rzeczową. Nieokreślone a tak żywe „tęsknoty duszy" są przedmiotem pierwszego rozdziału, autorka analizuje je, dodaje otuchy, każe dążyć coraz wyżej, nie zniechęcać się. Poszczególne zagadnienia życiowe stanowią kolejno treść dalszych ustępów. Poznanie siebie i praca nad pogłębieniem swego życia, by je prowadzić pomyślnie do celu; przyjaźń, życie towarzyskie, zabawy, tańce; jak powinien wyglądać dom; różne zalety i wady dziewcząt; wybór zawodu, małżeństwo, stan panieński, oddanie się Bogu — oto treść książki. Wszystkie te tamaty poruszone są w duchu podniosłym i optymistycznym, a w momentach nieco drażliwszych przedstawione rzeczowo i z tą zdrową naturalnością, z jaką tylko kobieta do

kobięty przemawiać może. Niektóre z tych wskazówek zostały zręcznie rozprowadzone na przykładach; tak np. na obrazie nieśmiertelnej Beatrice objaśnia autorka piękno „kobiecości", kwestję skromności, mody, zachowania się wobec mężczyzn. Dla dziewcząt dorastających, w wieku 15—20 lat, umiejących się zastanawiać nad sobą, jest to prawdziwie cenna książka, zasługująca na polecenie. Zewnętrzna jej forma jest gustowna, jak wogóle tego rodzaju wydawnictwa Herderowskie.

St. Podoleński.

Ks. J. B. Chautard Z C. R.: Życie wewnętrzne duszą Apostolstwa. Tłum. z 11 wydania francuskiego. Warszawa 1928, Wydawnictwo Ks. Pallotynów, str. 292.

W książce powyższej stara się autor, starszy już i doświadczony w pracy duszpasterskiej ksiądz, wykazać, że każda praca apostolska o tyle będzie się cieszyła powodzeniem, o ile opierać się będzie na życiu wewnętrznem. Środków zewnętrznych autor nie potępia wprawdzie, ale uważa je za całkowicie drugorzędne, wyraża się o nich niemal z lekceważeniem, a każe główny nacisk kłaść na modlitwę, na ducha Bożego, któryby przenikał oddającego się apostolstwu i z niego promieniował dokoła. Jest to więc myśl bardzo głęboka, ważna i dziś szczególnie aktualna wobec rozwijającej się wszechstronnie akcji katolickiej. Rozprowadzeniem jej zajmują się pierwsze cztery części książki. Mniej szczęśliwem wydaje nam się ujęcie obszernej piątej części w formę rozmyślania, modlitwy; możliwe jednak, że niektórym ten właśnie sposób bardziej się spodoba. Autor przemawia głównie do księży, którym poleca pracę nad wyrabianiem elity wśród wiernych; miejscami uwzględnia specjalne stosunki francuskie, ale myśli, poruszone przez niego, odnoszą się do wszystkich i stąd praca jego zasługuje na szersze rozpowszechnienie. Nie szkodzi jej pewna miejscami rozwlekłość i powtarzanie się, prawdy te bowiem jako mniej wpadające w oczy, potrzebują właśnie tego; liczne przykłady i cytaty pomagają też niemało do ich zrozumienia. Fakt, że mimo starań Wydawnictwa strona graficzna i korekta często niedopisują i tłumaczenie gdzie niegdzie mogłoby wypaść lepiej, są brakiem drobnym wobec rzeczowej wartości książki.

Ks. S. Podoleński.

O. Maksymiljan Huber T. J. O naśladowaniu Świętych. Przekład ks. T. Karyłowskiego T. J. „Bibljoteka Życia Wewnętrznego" tom XXI. Wydawnictwo Ks. Jezuitów, Kraków 1928, str. 622 in 8°.

Jak słusznie zauważa Wydawca, jedną z wybitnych cech nowożytnej pobożności jest potrzeba prawdy. Dusze dzisiejszych ludzi chętnie otwierają się dla uczuć czy praktyk religijnych, ale pod nieodzownym warunkiem, że wszystko, co ma dźwigać serca

wgórę, będzie oparte o mocny grunt rzeczywistości i rozumnego uzasadnienia. W pierwszym rzędzie poglądy te znalazły swój wyraz w nowożytnej hagjografji. Opiera się ją za wzorem Bollandystów na krytycyzmie historycznym, przekreślając mnóstwo legend, któremi tradycja ludowa tak chętnie otacza postaci świętych. Obok pierwiastka nadprzyrodzonego, obok cnót heroicznych jawi się także słaby i niedoskonały pierwiastek ludzki. Święci w swych walkach, trudach i cierpieniach, nieraz pomyłkach i błędach stają się nam bliżsi, nabierają życiowej i psychologicznej prawdy, a tem samem nie są już niedościgłym ideałem tylko, ale i praktycznym wzorem do naśladowania.

Tym duchem historycznej prawdy przepoił O. Huber stronice swej książki. Oczywiście tu i ówdzie możemy odnaleźć szczegóły hagjograficzne, przy których można postawić znak zapytania, ale to naprawdę nieliczne tylko wyjątki. Przytem cała teorja o naśladowaniu świętych oraz praktycznem zastosowaniu jej w życiu uderza trzeźwością poglądów, bez przesady oraz niezdrowych zapędów. Ma się nawet chwilami wrażenie, iż autor może zbyt ludzką miarę przykłada do świętości, iż zbyt ogranicza szlachetne porywy, które w niektórych duszach mogłyby się zrodzić na widok heroizmu bohaterów bożych — w gruncie jednak rzeczy przyznać musimy, iż cała asceza O. Hubera jest ogromnie gruntowna, pewna i tradycyjna. Idąc za jego wskazówkami w życiu, pobłądzić nie można. O prawdę chodzi autorowi, prawdę poglądów i cnót, prawdę religijnych praktyk, opartych na realnych wzorach. — Dzieło zewszechmiar polecenia godne.

E. K.

Tadeusz Dębicki: O d b r z e g u d o b r z e g u. Opowieść morska. Str. 190. 8⁰ Gebethner i Wolff. 1928.

Piękna, melancholją morza owiana sielanka. Płyniemy po szerokim oceanie na pokładzie żaglowca, patrzymy poprzez cudne opisy autora na rozszalałą burzę i spokojną mieniącą się barwami toń, na chmurne i pogodne niebo, obserwujemy drobiazgowo twarde życie marynarza, wnikamy w jego osobliwą *psyche*. Co to za statek polski, szwedzki czy angielski? — Niewiadomo. Mówi się na nim po polsku, śpiewa się angielskie ballady, a sympatyczny Janek kocha się idealnie w mniej idealnej, w każdym razie zmiennej, Astrid, pozostawionej na dalekim, może szwedzkim, kontynencie. Płyniemy do jakiegoś portu, później go nawet zwiedzimy może gdzieś w Południowej Ameryce. Życie marynarza twarde, ale nie brak w niem swoistej poezji, cechuje je przedewszystkiem nostalgja samotności i bezmiarów wodnych. Lądowy snob nie zna morza i nie zna żeglarzy, choć o jednem i drugich tak często rozmawia. Snobizm ten chłoszcze autor z trafną i wykwintną ironją, nie żałuje też szczypliwych aforyzmów dla całej kultury lądowej. Czasem ponosi go pesymizm, trochę nałogowy

wtedy i życie wydaje mu się „rzeczą śmieszną", sądzi, „iż może wogóle lepiej jest żyć wspomnieniami niż rzeczywistością". Nie brak jednak trafnych i głębokich myśli i rozważań, mniejsza o to czyje usta je wygłoszą. W każdym razie optymizm meksykańskiej Carmen i jej czyste sumienie więcej mi się podoba, niż filozofja autora, który patrząc na rozmigotane gwiazdami niebo, dochodzi do wniosku, iż cały ogrom ludzkiej napuszonej wiedzy „jest jeszcze miljony razy mniejszy od rozumu Wszechrzeczy". Przecież marynarze naogół nie wstydzą się imienia Boga!

E. Kosibowicz.

Ks. Francis J. Finn T. J. Przygody urwisza. Przeł. z angielskiego Krystyna Sarjusz Zaleska. Cztery ryciny, str. 240 in 8°. Wydawnictwo Ks. Jezuitów, Kraków 1929. Brosz. 2·30 opr. 3·30.

Szeroką sławą cieszą się na drugiej półkuli powieści ks. Finna T. J. Prawdziwy to mistrz w wnikaniu w młodzieńcze dusze. Przygody urwisza, doskonale przełożone na język polski, należą do najlepszych utworów autora. Książkę tę czyta się jednym tchem, tyle w niej życia i szlachetnej prawdy. Amerykański „urwisz" jedna sobie od pierwszej chwili sympatję czytelnika, a sympatja ta przechodzi pod koniec w pełen wzruszenia podziw. W psychologicznym rozwoju urwisza doniosłą rolę odgrywa jego starsza siostra. Idealny typ zdrowej i zacnej panienki. To też jesteśmy przekonani, iż powieść ta nietylko stanie się ulubioną lekturą młodzieży obojej płci, ale będzie wśród niej cichym apostołem, wskazującym jak wesołość i werwę połączyć z nieposzlakowaną zacnością i prawością charakteru. Dla swych wysokich zalet książka ks. Finna zasługuje na jak najszersze rozpowszechnienie.

E. K.

Akcja katolicka. Zbiór kazań, wydanych z polecenia J. Em. ks. kardynała - prymasa Hlonda. Nakład księgarni św. Wojciecha, Poznań 1928, str. 367.

W słowie wstępnem podnosi J. Em. ks. kardynał - prymas Hlond znaczenie pastoralno - wychowawczego przygotowania wiernych do katolickiej myśli państwowej i do poczucia odpowiedzialności wobec Boga za udział konstytucyjny w życiu państwowem. Z tej właśnie troski zrodził się plan opracowania w szeregu kazań najważniejszych zagadnień, tyczących się życia społecznego i państwowego w tych jego przejawach, na których formację w wybitny sposób wpływa opinja i żądanie ogółu obywateli. Więc przesuwają się przed oczyma naszemi takie rozdziały jak: „moralność społeczna", „społeczeństwo chrześcijańskie (zgubne hasła i prądy)", „państwo chrześcijańskie", wreszcie sposób oddziaływania obywateli: „Akcja katolicka". Każdy z tych rozdziałów ma

sobie poświęconych od 4 do 8 kazań! Wszystkich kazań jest 24. Zabierają głos specjaliści, każdy ze swej dziedziny, fachowcy, profesorzy, redaktorzy, publicyści, osobistości znane szerokim warstwom społeczeństwa. Nie można wymienić jednego nazwiska, żeby równocześnie nie wymienić wszystkich, naco znów nie pozwala nam szczupły zakres recenzji.

Materjał, jaki nam podają, naogół jest solidny; „naogół", bowiem są kazania, np. kazanie drugie na temat: „zepsucie obyczajów grozi narodowi ruiną", które poza obręb powszechnie znanych komunałów, nie wysuwa się. Homiletyczne zaś opracowanie materjału pozostawia wiele do życzenia. Widocznie fachowcy od artykułów raczej niż od kazań sądzą, że forma kaznodziejska jest już zachowana, jeśli od czasu do czasu wtrącą w swój referat: „najmilsi" lub roztoczą jeremjadę na temat anormalnych stosunków. Gdyby ktoś chciał sądzić o naszym poziomie moralnym z tych kazań, doszedłby do wniosku, że jesteśmy najgorszym narodem pod słońcem. Utyskiwania w kazaniu należą do najmniejszych jego zalet, a w kazaniach drukowanych wogóle są zbyteczne; „besztaninę" bardzo łatwo dorobi sobie ten, kto będzie z tych kazań korzystał.

Kolejno przystąpićby należało do analizy poszczególnych kazań. Potrącimy tylko o niektóre. Rozdział 4 p. t. „Akcja katolicka" opracowany jest najlepiej. Kaznodzieja znajduje tu gruntowny materjał do pouczenia w jaki sposób katolicy wszystkich warstw powinni i mogą przyczynić się do uzdrowienia życia katolickiego w społeczeństwie polskiem.

W rozdziale III „Państwo chrześcijańskie" na pierwszy plan wysuwają się kazania ks. dr. Pilcha: „Katolik wobec wyborów", i ks. Winkowskiego „o szkole katolickiej jako źródle do wewnętrznego odrodzenia narodu", ze względu na rozwinięcie krasomówcze, kazanie zaś ks. dr. Wichra: „moralność katolicka podstawą życia narodowego i państwowego" przez zwartą, logiczną budowę.

W rozdziale II przez praktyczne ujęcie tematu wybijają się kazania ks. dr. Baranowskiego „o szkole bez religji" i ks. Kwiatkowskiego T. J. „o odszczepieństwach i herezjach". Wreszcie w rozdziale I na szczególniejszą uwagę zasługuje tak pod względem rozprowadzenia krasomówczego jak nieubłaganej logiki argumentów, przed którymi ugiąć się musi słuchacz, kazanie ks. Rostworowskiego T. J. na temat, „jak upadek rodziny bezwzględnie wiedzie do upadku społeczeństw".

Książka w pierwszym rzędzie przeznaczona jest dla kaznodziejów miejskich; dla użytku wiejskiego kazania musiałyby ulec gruntownej przeróbce, raczej nadawałyby się na referaty dla inteligentnej a dorosłej młodzieży.

Ks. J. Godaczewski.

Ks. Józef Kłos: Mowy żałobne. (1894—1924) Nakład Księgarni św. Wojciecha, 1928, str. 314.

Mowy te wydał ks. Kłos na prośbę przyjaciół, ile że tkwi w tych mowach kawał historji kraju, zwłaszcza Wielkopolski, a dla myśli polskiej na przełomie XIX i XX w. są głosem czasu, z którego wysłyszeć można smutki i pociechy, wstrząsy nadziei i dreszcze lęków społeczeństwa wielkopolskiego, od udręk systemu pruskiego poprzez radosne brzaski wolności aż do słonecznego świtu zmartwychwstania. Ponadto dla młodszych zwłaszcza kaznodziejów mogą te mowy stać się pożądanym podręcznikiem, a przecież wzorów tego rodzaju wymowy nie mamy wiele. Słowa te, wyjęte prawie dosłownie z przedmowy autora, są najlepszem zaleceniem książki, bo są piękne i prawdziwe. Wystarczyłoby na nich poprzestać i nic więcej nie dodawać.

Kiedy jednak sprawa o żałobnych przemówieniach, mimowoli nasuwa się każdemu pytanie, czy to aby nie tanie, puste a pochlebne panegiryki? Otóż nie. W jednej swej mowie powiada na wstępie ks. Kłos: „Nie śmiałbym ja nigdy stanąć jako kaznodzieja pogrzebowy nad trumną człowieka, co życie całe przepędził na samolubnem dogadzaniu miłości własnej, o tem tylko marząc, jak zapełnić próżnię swego ducha czy mamony skarbami czy zmysłowości rozkoszą, czy dzikich namiętności swawolą". Podobne zastrzeżenia robi ks. Kłos nie na jednem miejscu i nic nas nie upoważnia do przypuszczeń o sprzeniewierzeniu się kiedykolwiek wygłoszonej zasadzie. To jedno. A powtóre mowy żałobne służyły ks. Kłosowi za piedestał, z którego pod osłoną surowych obrzędów pogrzebowych mógł przemawiać bezkarnie i pod adresem ciemięzców i pod adresem tych, których paliła pokusa pójścia na rękę zaborczemu rządowi. Więc nie są tylko żałobne panegiryki na cześć osób zasłużonych, najlepszych synów ojczyzny, ale to równocześnie słowa pociechy lub słowa rozkazu dla żywych; słowa pełne treści bożej, przepojone Słowem Bożem, które tak umiejętnie dobierać i tak kunsztownie rozprowadzać potrafi autor. Wdzięczna mu za te wzory będzie homiletyka polska.

Ks. J. Godaczewski.

Oprócz tego nadesłano do Redakcji:

La Femme dans la Société actuelle. Praca zbiorowa. Editions „Spes" (Paris, 17, rue Soufflot), str. 290.

Dom P. Gueranger: Rok liturgiczny. W przekładzie polskim wydali ks. St. Świetlicki i ks. St. Nowacki. Sandomierz, 1928, str. 447.

Rituale parvum. (Excerpta et Rituali Romano pro Polonia), Katowice, Drukarnia Katolicka, str. 196.

Wacław Tokarz: Deputacja indagacyjna. Kraków, Polska Akad. Umiej. 1928, str. 32.

Ks. Józef Jędrys: Sześć kazań. Kraków, nakładem autora, 1928, str. 64.

Ks. Dr. A. Mytkowicz: Polski „Kolping" i jego dzieło (Odb. z „Przewodnika Społ."). Poznań 1928, str. 11.

Dr. Lujo Brentano: Die Entwicklung der Lohnregelung und der Arbeitslosenfürsorge in England. (Odb. z „Joziale Praxis", str. 24.

Sprawozdanie z dział. Związku Młodzieży polskiej w Radomiu za rok 1927, str. 27.

Lajos Steier: Ungarns Vergeweltigung. Oberungarn unter tschechischer Herrschaft. Mit 87 Abbildungen und 8 karten. Amalthea Verlag, Zürich-Wien, str. XXXII + 1008.

O. Konstanty Marja Żukiewicz Z. O. D. Rozmyślania o Matce Boskiej w świetle nauki św. Tomasza z Akwinu. Warszawa 1928, księg. „Kroniki Rodzinnej", str. 304.

Ks. Paulin Giloteaux: Anioł Karmelu (Św. Teresa od Dzieciątka Jezus). Tamże 1927, str. 292.

Henio. Dzieje duszy polskiego chłopca. Tamże, str. 80.

Ks. Dr. Zygmunt Bielawski: Katechezy biblijne na II i III klasę szkoły powsz., z przygotowaniem do I spowiedzi i Komunji św. Lwów 1928, „Bibljoteka Religijna", str. 514.

Ks. Józef Zdanowski: Karczówka pod Kielcami. Kielce 1928, str. 36.

Marja Rymarkiewiczówna. Pojęcie Boga w filozofji Libelta. Poznań 1928 „Poznańskie Tow. Przyjaciół Nauk", str. 80

Ks. Dr. Zygmunt Bielawski: Dzieje biblijne Starego i Nowego Przymierza dla wyższych oddziałów szkół powsz. Tamże 1928, str. 280.

Valerij S. Vilinsky: Rusky Narod a sjednoceni Cirkvi. Olomouc. 1928, str. 66.

Bibljoteka muzyczna pod red. Mateusza Glińskiego, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa, z ilustracjami: I. Stanisław Moniuszko przez Stan. Niewiadomskiego, str. 72; II. Władysław Zeleński przez Fel. Szopskiego, str. 59; III. Ludomir Różycki przez Ad. Wieniawskiego, str. 59; IV. Dzieje muzyki francuskiej przez André Coueroy, str. 80; V. Franciszek Schubert przez Kar. Stromengera, str. 80; VI. Ignacy Jan Paderewski przez H. Opieńskiego, str. 80.

Karol Dickens: Powieść o dwóch miastach. Przekład Teresy Świderskiej, nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 354.

Pamiętnik parafji M. B. Różańcowej w Passaic, N. J., ilustr. in 4°.

Ks. Józef Makłowicz: Przemówienia na 10 rocznicę wskrzeszenia Państwa Polskiego. Kołomyja, 1928, str. 16.

Sprawozdanie I. Gimnazjum męskiego Magistratu m. st. Warszawy za rok 1927/8, str. 136.

Ludwik Posadzy: Odrodzić Polskę w Chrystusie. Zagadnienia religijne wychowawcze i społeczne. Poznań, 1928, Fiszer i Majewski, str. 265.

Ks. Stanisław Kozierowski: Obce rycerstwo w Wielkopolsce w XIII—XVI wieku. Poznań, Fiszer i Majewski, 1929, str. 184.

Dr. Andrzej Niesiołowski: Metody walki społecznej. Poznań, Fiszer i Majewski, 1928, str. 20.

Aleksander Janta-Połczyński: O świcie. Z wspomnień i tematów myśliwskich. Poznań. Fiszer i Majewski, 1928. str. 107.

Rabindranat Tagore: Pieśni miłości. Sparafrazowany przekład Kaz. Zandra. Poznań, Fiszer i Majewski, 1929, str. 78.

Zenon Kosidowski: Artystyczne słuchowiska radjowe. Poznań, Fiszer i Majewski, 1928, str, 44.

Stefan Papée: Bernard Chrzanowski. Poznań, Fiszer i Majewski, 1828, str. 55.

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kodeks Boziewicza czy kodeks Boga?

Niemały wstyd, że w Polsce katolickiej trzeba stawiać takie pytania, jak to: „Kodeks Boziewicza czy kodeks Boga?" Ale cóż robić, kiedy są w Polsce ludzie, idący nawet przed szeregami zwyczajnych obywateli, którzy tak postępują, jakby prawa Bożego nie było, a za najwyższą normę postępowania swego w pewnych wypadkach uważają jakiś tam kodeks pana Boziewicza. Publicysta katolicki, choć z najwyższym niesmakiem, widzi się zmuszonym dowodzić ludziom tej elementarnej prawdy, że nad kodeks Boziewicza trzeba stawiać kodeks Boży.

Przebieg sprawy jest nam znany z dzienników. Na tle politycznych waśni, jeden poseł, oficer z zawodu, prezes największej grupy sejmowej z powołania, żąda „satysfakcji honorowej" od innego posła a zarazem redaktora partyjnego dziennika. Nie wchodzimy w precedensy tego żądania, musielibyśmy bowiem omawiać różne wystąpienia na terenie sejmu, różne uchwały klubów, różne artykuły dzienników, które mogą być przedmiotem sądu tylko jakiegoś poważniejszego trybunału o charakterze polityczno-moralnym. Redakcja nasza nie chce wchodzić na te obce dla niej tereny. Chwytamy sprawę w tym momencie, w którym wyłania się „powaga" jakiegoś p. Boziewicza z jakimś nieznanym ogółowi obywateli kodeksem. Z umysłu, przynajmniej hipotetycznie, zajmujemy stanowisko najżyczliwsze dla tej strony, która czuje się obrażoną i żąda zadośćuczynienia. Przypuszczamy, że żądanie jej jest słuszne. Chodzi tylko o sposób zadośćuczynienia. Otóż mamy tu taką sytuację: schodzą się „zastępcy" strony żądającej satysfakcji i strony pozwanej. Ci drudzy oświadczają, że ich mocodawca, poseł

Niedziałkowski, gotów jest poddać się sądowi obywatelskiemu; pierwsi jednak, zastępcy posła Sławka, stanowczo obstają przy zdaniu, że „kodeks honorowy" Boziewicza nie uznaje żadnych sądów obywatelskich, przepisując, jako jedynie dopuszczalny sposób satysfakcji dla oficera, starcie z bronią w ręku. Na to zastępcy wyzwanego odpowiadają, że ich mocodawca, jako socjalista i demokrata, nie uznaje kodeksu Boziewicza za obowiązujący, a pojedynek uważa za przeżytek i nic nie rozstrzygającą formę załatwienia sporu. Wobec niemożności uzgodnienia poglądów obu stron, spisano dwa „jednostronne protokóły", w których każda dwójka zastępców stwierdzała „honorowe załatwienie" sprawy dla swego mocodawcy, poczytując, oczywiście, drugą stronę za „niehonorową".

Ceremonjał został wyczerpany. Natychmiast jednak ujawniły się konsekwencje takiego załatwienia honorowej sprawy. Klub sejmowy B. B. W. R., solidaryzując się ze swym prezesem, uznał za niemożliwe obradować w komisji, w której miał przewodniczyć Niedziałkowski, w mniemaniu klubu pozbawiony honoru. Od marszałka sejmu zażądał ów klub odwołania posiedzenia rzeczonej komisji. Marszałek żądanie to zwrócił przedstawicielom klubu bez odpowiedzi, mimo to na zapowiedziane posiedzenie komisji nikt z jej członków, należących do B. B., nie przybył. Solidarność klubowa zwyciężyła wszystkie inne względy. Wtedy na plenum sejmu marszałek Daszyński uważał za wskazane zająć wobec incydentu wyraźniejsze stanowisko. Oświadczył, że żądanie klubu o odwołanie posiedzenia komisji musiał pozostawić bez odpowiedzi z następujących powodów: „Pojedynek jest prawem zakazany, przez religję jako mord potępiony, przez opinję publiczną w olbrzymiej większości społeczeństwa naszego nie uznany jako właściwy środek załatwiania sporów i różnic, zwłaszcza sporów i różnic politycznych". „Opinja naszego narodu — dodał p. marszałek — jest w tem zgodna z opinją najznakomitszych ludzi cywilizowanych narodów i z opinją narodów najwyżej stojących. W dziejach naszych, zwłaszcza w dziejach okresu upadku Państwa Polskiego, pojedynek, który miał się stać środkiem wyrównywania różnic politycznych, odegrał niezmiernie smutną rolę. Z tych powodów nie mogłem uznać pojedynku jako jedynej miary do uznawania uczciwości danego człowieka, a tem bardziej danego posła". Oklaski całej izby z wyjątkiem ław klubu, na którego czele stoi wyzywający na pojedynek oficer, były odpowiedzią na to jasne i kategoryczne oświadczenie marszałka Daszyńskiego.

Wiadomo, że katolicyzm i socjalizm znajdują się w stanie upartej i dość otwartej walki — i o zasady i o metody.

Stąd niełatwo o sposobność zupełnego solidaryzowania się opinji katolickiej z wystąpieniami przedstawicieli socjalistycznego obozu. Jednakowoż w sprawie niedoszłego pojedynku między pos. Sławkiem a pos. Niedziałkowskim nadarzyła się taka właśnie sposobność. I zaznaczenia zupełnej solidarności z oświadczeniami socjalistów Niedziałkowskiego i Daszyńskiego w sprawie pojedynków domaga się od opinji katolickiej miłość prawdy i prosta uczciwość, obowiązująca także w stosunku do przeciwników. Powtarzamy, że nie wchodzimy w słuszność czy niesłuszność obrazy prezesa B. B. Ale odmówienie przyjęcia pojedynku przez p. Niedziałkowskiego musi bezwzględnie być pochwalone przez każdego katolika, który o swej przynależności do Kościoła katolickiego pamięta. A już z najwyższym aplauzem musiał każdy taki katolik przyjąć oświadczenie p. marszałka Daszyńskiego, który nie pominął zaznaczenia, że pojedynek jest także potępiony przez religję jako mord, na co widać krępowali się jeszcze powołać „zastępcy" p. Niedziałkowskiego. Po tych słowach marszałka sejmu powinny były odezwać się oklaski nawet członków B. B. katolików, których pono jest w tem ugrupowaniu wielu, i odezwałyby się one tam przedewszystkiem, gdyby u nas powszechnie rządzono się zasadą J. Maritain'a, zasadą prawdziwie katolicką o „pierwszeństwie względów duchowych" — *la primauté du spirituel,* a nie potępioną przez Kościół zasadą Maurras'a: „przedewszystkiem polityka!" — Niestety, widać dalecy jesteśmy jeszcze od takiego rozumienia bezwzględności zasad religijnych, i dlatego podczas przemówienia p. Daszyńskiego panowała na ławach B. B. ogólna cisza.

W prasie sprawa niedoszłego pojedynku zaznaczyła się niejednakowo. Prasa, najbardziej zbliżona do osoby p. Sławka i jego najbliższych przyjaciół, oczywiście, stanęła całkowicie po jego stronie; prasa socjalistyczna, przeciwnie, po stronie p. Niedziałkowskiego. Nie chodzi nam tutaj o te dwa odłamy prasy. Można odnieść ich głosy do wyznawanych zasad w kwestji pojedynków, ale można także tłumaczyć je względami bliskości do zainteresowanych osób. Zresztą dyskutować z takim *Głosem Prawdy* naprzykład, wychodząc z religijnych założeń, byłoby zapewne zabawną naiwnością. Obchodzą nas tutaj przedewszystkiem organy prasy, uchodzące wyraźnie za katolickie. Lecz i tu mamy dzienniki, politycznie przeciwne ugrupowaniu, na którego czele stoi wyzywający na pojedynek oficer, — tym dziennikom, oczywista rzecz, łatwo było zdobyć się na potępienie wyzwania a pochwałę stanowiska marszałka sejmu. Jakoż rzeczywiście to uczyniły, pomimo że chodziło w danym razie o przyznanie słuszno-

ści ludziom z innego wrogiego obozu — socjalistycznego. Ale są dzienniki, jak wiadomo, podkreślające także swój katolicyzm, a jednocześnie politycznie reprezentujące pewne grupy w B. B. lub sympatyzujące z nim. Wobec afery omawianej katolickie sumienie wymagało od nich dużej cywilnej odwagi, bo należało przyznać słuszność ludziom, których politykę się zwalcza.

Ta odwaga, niestety, dopisała nie wszystkim. Krakowski *Czas* dał na naczelnem miejscu doskonały artykuł, w którym potępił pojedynki ze stanowiska zarówno rozumu, jak religji katolickiej. Lecz już wileńskie *Słowo* na podobną odwagę nie zdobyło się, a warszawski *Dzień Polski* zajął wobec całej sprawy stanowisko wprost nie do pogodzenia z jego katolickim charakterem. Wystąpił przeciwko marszałkowi Daszyńskiemu, który rzekomo z kwestji pojedynku „ukuł broń dla stronnictw opozycji przeciw rządowi". Z przekąsem pisał o demagogji, chcącej się podobać „najbardziej katolickim katolikom". Sprawę całą przedstawił tak, jakoby klub B. B. uchylił się od współpracy w komisji sejmowej z posłem Niedz. nie z powodu nieprzyjęcia przezeń pojedynku, ale dlatego, że pos. Niedz. wogóle odmówił zadosyćuczynienia pos. Sławkowi. I czytamy takie zdanie: „Jeżeli się ktoś od pojedynku usuwa w imię zasad, to winien mieć na tyle kultury i pokory ducha, aby w inny sposób krzywdę zrobioną dobremu imieniu innego człowieka naprawić". Otóż trzeba wyrazić najwyższe ubolewanie, że zdanie takie ukazało się na łamach dziennika katolickiego. Właśnie ten artykuł, zamiast wyjaśnić całokształt sprawy, wprowadza w błąd czytelników. Wprost nie rozumiemy, jak zacytowane zdanie mogło wyjść z pod pióra redaktora, który musiał czytać „protokół jednostronny", sporządzony przez zastępców p. Sławka. Czyż nie stwierdzono tam wyraźnie, że od p. Niedz. zażądano jedynej formy zadosyćuczynienia z bronią w ręku, odrzucając sąd obywatelski, jako nie przewidziany przez Boziewicza? Więc w jaki inny sposób „kulturalny" i „pokorny" miał wyzwany dać zadosyćuczynienie, skoro zaproponowany przezeń sąd obywatelski zgóry odrzucono? Dlatego robione *ex post* subtelne rozróżnienie między odmową pojedynku, a odmową zadosyćuczynienia wogóle, by usprawiedliwić dalsze posunięcia B. B., są próżnem usiłowaniem pomylenia opinji. Nasz sąd o wystąpieniu *Dnia Polskiego* jest surowy, ale zgodny z tem, co napisał pokrewny *Dniowi* — *Czas*. „Kto potępia pojedynek, czytamy w krakowskim dzienniku konserwatywnym, ten nie może uważać odmowy pojedynku — przy równoczesnem zażądaniu sądu honorowego — za powód do jakiejkolwiek dyskwalifikacji honorowej. Kto inaczej twierdzi, wchodzi w kolizję nietylko

z przepisami kodeksów, — o to mniejsza — ale przedewszystkiem z zupełnie wyraźnemi zakazami i nakazami Kościoła". Niechaj przeto *Dzień Polski*, który przy swym tytule wypisuje hasło: *pro fide, lege et grege*, zdobędzie się także na pokorę i da zadosyćuczynienie obrażonej zasadzie i konsekwencji katolickiej. [1])

Powróćmy do kodeksu Boziewicza, o którym głównie chcieliśmy pisać. Co to za powaga? Protokół podpisany przez pułkowników: Długoszowskiego i Pierackiego, wyraża się o owym kodeksie, że jest on „oficjalnie uznany". Uznany przez kogo? zapytujemy. W żadnym z wielu tomów *Dziennika ustaw* nie znajdujemy tego sławetnego „kodeksu". Kim jest ów Boziewicz, kto go upoważnił do tworzenia kodeksów obowiązujących pod karą utraty czci? Kto ten kodeks zatwierdził i promulgował? Czy może oprócz powołanych przez naród ciał prawodawczych i legalnego rządu istnieje w Polsce jakaś inna prawodawcza instancja i jakiś rząd ukryty, nieznany ogółowi obywateli, a przywłaszczający sobie władzę przekreślania kodeksów jawnych, cywilnych i wojskowych, zakazujących pojedynków i karzących za nie? — Oto szereg pytań niepokojących, jakie się nasuwają przy czytaniu protokółu zastępców posła Sławka.

Na te pytania nie usłyszymy żadnej innej odpowiedzi ponad te, jakie już o kodeksie Boziewicza dano tyle razy w prasie rozumnej. Ów pan Boziewicz — to prawodawca samozwańczy, przez nikogo do ferowania obowiązujących praw nie upoważniony. Jego utwór — to przeżytek obskurantyzmu średniowiecznego, nielogiczny i chaotyczny zlepek głupich i zbrodniczych przepisów o honorze, odrzuconych przez wszystkie cywilizowane prawodawstwa. Nie potrzebujemy dodawać, że potępia go także naturalne prawo Boże i pozytywne prawo Kościoła katolickiego. [2])

Lecz tu się właśnie ciśnie inne, niewesołe pytanie: co sądzić o całej klasie ludzi, którzy taki obskurny twór nieznanego samozwańca uważają dla siebie, wbrew ustawom państwa, w którem żyją, wbrew religji, którą przynajmniej zewnętrznie wyznawają, wbrew opinji przeważającej w narodzie, do którego należą i opinji cywilizowanego świata, za obowiązujące prawidło postępowania, prawidło jedyne w sprawach honorowych, sądząc, że wyłamanie się z pod jego nakazów tem samem wykreśla człowieka z listy ludzi porządnych i honorowych? I co sądzić o tych ludziach, jeżeli to

[1]) Oddając niniejszy artykuł na maszynę, zauważyliśmy w *Ludzie Katolickim* artykuł, potępiający pojedynki i wyrażający uznanie dla marsz. Daszyńskiego, pióra Ks. J. Czuja, należącego do B. B.

[2]) Zasadniczo o pojedynkach pisaliśmy w artykule: „Pojedynek a opinja katolicka", *Przegląd Powszechny*, kwiecień 1926, str. 3.

są osobistości skądinąd wybitne, biorące w swoje ręce kierownictwo narodowego i politycznego życia? Jakiej praworządności mogą być stróżami ludzie, którzy poczytują w pewnych wypadkach za swój ścisły obowiązek przestępowanie wyraźnej ustawy karnej, licząc na faktyczną bezkarność? Czy nie kompromitują takiem postępowaniem owych celów politycznych, które za zbawcze dla Polski uważają i tych czcigodnych osobistości, które takiemi metodami chcą zasłonić przed krytyką czy napaścią politycznych antagonistów? — Oto drugi szereg pytań, na które niechaj odpowie sobie sam łaskawy Czytelnik. Zastrzegamy się tylko, że w stawianiu tych pytań nie kieruje nami żadna polityczna animozja, że stoimy jedynie na gruncie religji i zdrowego rozsądku, z którego ani w tym, ani w żadnym innym wypadku nie damy się sprowadzić na grząskie bagna politycznych waśni.

Czas w cytowanym artykule przypomina potrzebę wskrzeszenia Ligi antypojedynkowej, którąby się powinna stać najwyższym i powszechnie uznanym trybunałem do obrony czci obywatelskiej przed napaściami. Inicjatywy do stworzenia takiego trybunału oczekuje *Czas* od najwyższej moralnej powagi w narodzie — prymasa Polski.

Rzeczywiście tylko w Kościele katolickim można znaleźć pewną, wolną od wszelkiej chwiejności, podstawę do akcji antypojedynkowej. Kościół, jako powołany stróż moralności chrześcijańskiej i naturalnego prawa Bożego, zawsze pojedynki kategorycznie potępiał, pojedynkujących się karami kościelnemi okładał, owszem za pozbawionych czci — *infames* — ich uważał. Dziś nikt nie zechce twierdzić, że to stanowisko Kościoła jest przestarzałe, zacofane; przeciwnie, właśnie coraz powszechniej pojedynki są uważane za przeżytek ciemnoty i barbarzyństwa, co zarazem chlubnie świadczy o postępowości Kościoła, który je potępia już od szeregu wieków. Inicjatywa też ze strony Kościoła do stworzenia Ligi antypojedynkowej znalazłaby niechybnie w naszych czasach dobre przyjęcie w społeczeństwie.

Nasuwa się wszakże jedna obawa: czy na zasadnicze odrzucenie pojedynków gotową jest ta klasa, której wola praktycznie największe miałaby znaczenie, to jest klasa wojskowa? Zaiste, takie dokumenty, jak protokół pułkowników Długoszowskiego i Pierackiego, źle świadczą o dojrzałości tej klasy do akcji antypojedynkowej. Z wzmiankowanego protokółu wynikałoby nawet, gdyby się chciało logicznie go interpretować, że pogodzenie w jednej osobie charakteru katolika i charakteru oficera polskiego nie jest możliwe. Katolik bowiem musi zasadniczo i kategorycznie, i bez żadnego wyjątku, dla siebie i innych, pojedynki potępiać, pod-

czas gdy oficer polski, w myśl cytowanego dokumentu, musi być gotowym do bronienia swej czci z bronią w ręku i taki sposób likwidowania spraw honorowych musi poczytywać za swój obowiązek i innym ten obowiązek narzucać. Jeżeli takie pojęcia i zapatrywania są w obozie wojskowym powszechne, to zapewne dużo jeszcze czasu czekać będziemy na trybunał czci, jaki *Czas* proponuje. Chyba cała otucha w przypuszczeniu, że zapatrywania na obowiązek posłuszeństwa oficerów kodeksowi Boziewicza są prywatnemi zapatrywaniami tylko pewnej części wojskowych, nie podzielanemi przez ogół.

Mając na względzie tę niepewność, powtarzamy zdanie nasze z przed dwóch lat, że akcja w kierunku wyrugowania zupełnego pojedynków powinna zrodzić się przedewszystkiem w kołach wojskowych. Mianowicie inicjatywa do tego winna wyjść od tych oficerów, którzy nie z imienia są, ale w przekonaniach swych czują się wierzącymi katolikami. Kościół głośno wypowiada swoje zdanie o pojedynkach, do nich zaś należy przyłączyć się niemniej wyraźnie do jego zakazów. Katolicka część społeczeństwa naszego pragnie odnosić się do klasy oficerskiej z tą czcią, jaka jej się należy za zasługi dla Ojczyzny, — niechaj więc ona sama nie udaremnia tego pragnienia jawnem deptaniem prawa Bożego przez jednych swych członków przy trwożliwem milczeniu drugich! Otóż ci właśnie, którzy w duszy pojedynków nie uznają, ale głośno swego zdania wypowiedzieć nie śmią, winni zdobyć się na odwagę. Do waleczności zawodu swego winni dodać męstwo, jakiego wymaga zrzucenie jarzma zakorzenionych przesądów i samozwańczych kodeksów. Kodeks Boziewicza zasługuje tylko na wyśmianie i pogrzebanie w niepamięci i niesławie. A pogrzebany być musi oficerskiemi rękami.

Precz z kodeksem Boziewicza! Niechaj w XX stuleciu zapanuje wreszcie powszechnie kodeks rozumnego prawa! Niechaj w Polsce katolickiej rządzi sumieniami kodeks Boży!

Ks. Jan Urban T. J.

Dziesięciolecie szkolnictwa polskiego.

Jakieś przeczucie nadchodzącej chwili wyzwolenia sprawiło, że niemal od początku wojny światowej rozpoczęto u nas na terenie szkolnictwa przygotowawcze prace organizacyjne. Bezpośrednio po opuszczeniu Warszawy przez wojska rosyjskie, dn. 5 sierpnia 1915 r., powstaje Wydział Oświecenia, który w ciągu paru tygodni zorganizował w tem mieście całe szkolnictwo po-

wszechne, średnie i zawodowe, a w listopadzie uniwersytet i politechnikę. Zlikwidowany z początkiem 1916 r. z powodu trudności, stawianych przez okupantów, przekazał swe czynności Sekcji Szkolnej przy magistracie miasta Warszawy i ten stan rzeczy przetrwał aż do utworzenia, w styczniu 1917 r., Tymczasowej Rady Stanu, a przy niej Departamentu Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, który rozpoczął planową pracę nad wytyczeniem zasadniczych linij szkolnictwa w Polsce. Z dniem 1 października 1917 r. władze okupacyjne oddały pod jego zarząd całe szkolnictwo na terenie okupacji niemieckiej i austrjackiej, a w listopadzie powstała Rada Regencyjna, która dnia 7 grudnia powołała Gabinet ministrów, z premjerem Janem Kucharzewskim; tekę ministra Wyznań Rel. i Oświecenia Publ. objął w nim Dr. Antoni Ponikowski. [1]) Praca organizacyjna posuwała się teraz żywo, a koniec wojny światowej otworzył przed nią szerokie pola w oswobodzonej ojczyźnie.

Aby przedstawić koleje tej pracy i dać jasny obraz rozwoju i stanu szkolnictwa, trzebaby napisać obszerne dzieło. Pomijając już samą rozległość tematu, ileż to czynników należałoby uwzględnić, których wpływ działał przyspieszająco lub hamująco w tej akcji. Wojna z bolszewikami i Ukraińcami w zaraniu niepodległości, a potem wahania walutowe, poczęści zagadnienia narodowościowe i nawet interesy partyjne, to znowu zmieniające się często gabinety, reformy i coraz to nowe projekty, sprawiły, że po dziesięciu latach ani ustrój szkolnictwa nie został ustalony, ani sprawa ustawodawstwa szkolnego nie jest definitywnie załatwiona.

W krótkiem sprawozdaniu nie mamy też wcale zamiaru poruszania tych kwestyj, trudnych i zawiłych. Spróbujemy tylko, opierając się na urzędowych danych, podać cyfrowo konkretny stan naszego szkolnictwa i pewnych jego przemian, z szczególniejszem uwzględnieniem chwili obecnej. Obraz ten nie może oczywiście być ścisłym, zwłaszcza gdy chodzi o zestawienia porównawcze szkolnictwa powszechnego. Obliczenia bowiem z pierwszych lat niepodległości kraju nie obejmowały jeszcze ziemi wileńskiej (b. Litwy środkowej) i województwa śląskiego, a przytem spora część szkół (blisko 10%) nie nadesłała wtedy sprawozdań lub podała niewystarczające. Tablice Głównego Urzędu Statystycznego z poszczególnych lat przedstawiają też niekiedy dość liczne różnice w cyfrach i dlatego w sprawozdaniu niniejszem oprzemy się przedewszystkiem na tych, jakie podają *Roczniki Statystyki Rzeczypospolitej Polskiej* z ostatnich dwóch lat.

Wobec tego, że dziś przykłada się niemało wagi do wychowania przedszkolnego, zajmującego się dzieckiem w wieku od 3—7 lat w t. zw. przedszkolach (ochronach, zakładach fre-

[1]) Szczegóły powyższe przytaczamy podług jego artykułu: „Dziesięciolecie szkolnictwa w niepodległej Polsce" (*Szkoła*, miesięcznik, Warszawa, r. 1928, zezs. 3, str. 57).

blowskich, ogródkach dziecięcych), wypada zaznaczyć jego stan w naszym kraju. W roku 1927/8 mieliśmy takich zakładów (zarejestrowanych) ogółem 1.430, przeważnie po miastach, z 2.056 wychowawcami i 83.912 dziećmi. Dla kształcenia personelu wychowawczego prowadzi się osobne seminarja ochroniarskie; w r. 1926/7 było ich u nas 14 (z tego połowa państwowych), z 651 uczniami.

O ile chodzi o szkoły powszechne, liczba ich maleje wprawdzie (w r. 1926 spadła blisko o tysiąc), jest to jednak wynikiem celowej działalności ministerstwa Wyznań Rel. i Oświecenia Publ., które chcąc podnieść stopień organizacyjny szkół powszechnych, łączy dwie lub więcej szkół jedno- i dwuklasowych w jedną wyżej zorganizowaną. Redukcja tego rodzaju może oczywiście być przeprowadzoną tylko w pewnych granicach, inaczej zamknęłaby przystęp do szkoły dzieciom, mieszkającym po ubógich i szeroko rozrzuconych wsiach. Pocieszającym objawem jest, że pomimo zmniejszenia liczby szkół, rośnie stale ilość uczniów i nauczycieli, jak widać na zamieszczonej poniżej tablicy:

Rok	szkół powsz.	uczniów	nauczycieli
1921/2	27.414	3,197.008	57.158
1924/5	27.414	3,237.340	66.176
1927/8	26.476	3,362.822	70.197

Ogromna większość szkół powszechnych są to szkoły koedukacyjne i publiczne; prywatnych było w r. 1926/7 tylko 1.240 z 99.492 uczniami.

Ponieważ dziś jeszcze tysiące dzieci nie może korzystać ze sposobności kształcenia się, palącem zagadnieniem jest budowa nowych szkół powszechnych. Ile ich potrzeba, aby wszystkiej młodzieży w wieku szkolnym dać tę możność? Ażeby wyrobić sobie należyty pogląd na tę sprawę, trzeba pamiętać, że liczba tych dzieci zmienia się obecnie z roku na rok. Dotychczas zmniejszała się ona ciągle, z powodu spadku ilości urodzeń w okresie wojennym i wzmożonej wtedy śmiertelności; poprzedni jednak rok szkolny 1927/8 był ostatnim na tej drodze spadania i już od roku obecnego liczba dzieci w wieku szkolnym pocznie stale i dość szybko wzrastać. Poniżej załączone zestawienie, choć nie ścisłe, podaje wcale jasny obraz tego stanu rzeczy, oparty na dotychczasowych danych statystycznych i przypuszczalnych obliczeniach na przyszłość: [1])

Rok szkolny	ilość dzieci w wieku 7–13 lat
1922/3	4,851.511
1924/5	4,230.000
1927/8	3,735.895
1930/1	4,240.093
1939/40	6,071.193

[1]) Por.: Dr. Marjan Falski „Wyniki spisu dzieci z czerwca 1926 r." Warszawa, 1928 r., wyd. Min. Wyznań Rel. i Ośw. Publ.

W ciągu 12 lat, poczynając od obecnego roku szkolnego, przybędzie więc Polsce przeszło dwa miljony dzieci w wieku od 7—13 lat, dla których trzeba stworzyć nowe oddziały i szkoły. Problem to zaś będzie trudny do rozwiązania ze względów finansowych. Wszak już obecnie, przy najniższej liczbie dzieci w wieku szkolnym i mimo niezaprzeczonych postępów, brak jest dostatecznej liczby pomieszczeń. W r. 1927/8 nie uczęszczało do szkoły ponad 270 tysięcy tej młodzieży, a w bieżącym roku szkolnym w samej Warszawie około 9.000 dzieci w wieku 7—14 lat nie chodzi do szkoły dla braku miejsca. W następnych latach sytuacja będzie jeszcze trudniejsza. Obliczono przecież, że w razie rozłożenia programu budowy na 20 lat, należałoby budować corocznie przynajmniej 3.400 izb szkolnych i 2.600 mieszkań nauczycielskich.

Daleko łatwiejszą będzie sprawa zabezpieczenia kwalifikowanego personelu nauczycielskiego dla szkół powszechnych. Konieczność bezpośredniego obsadzenia tychże w pierwszych latach niepodległości wprowadziła tu wprawdzie liczne jednostki niedostatecznie przygotowane; dla uzupełnienia studjów pozostawiono im jednak kilka lat czasu i urządzono specjalne kursa, dzięki czemu liczba „niekwalifikowanych" nauczycieli spadła z 12.172 w r. 1922/3 na 4.966 w r. 1926/7. Obecnie przyjmuje się tylko siły kwalifikowane, a przygotowaniem ich zajmują się głównie seminarja nauczycielskie. Liczba ich i złączonych z niemi szkół ćwiczeń rośnie silnie, jak widać z załączonego zestawienia:

Rok	seminarja	uczniowie	szkoły ćwiczeń
1921/2	153	20.314	81
1926/7	204	37.420	124

Szkoły średnie ogólno-kształcące idą odmienną linją rozwoju, niż powszechne, gdyż liczba ich rośnie, a uczniów maleje, jak pokazuje załączona tablica:

Rok	szkoły	uczniowie	nauczyciele
1921/2 [1])	752	219.378	11.000 [2])
1926/7			14.808
1927/8	794 [3])	212.073	

Ten wzrost liczby szkół a zmniejszenie ilości uczniów przypisać należy nie tylko podniesieniu poziomu szkoły powszechnej i rozwijającemu się coraz lepiej szkolnictwu zawodowemu, ale przedewszystkiem silnemu zmniejszeniu się liczby uczniów klas najniższych, w związku ze spadkiem urodzeń wskutek wojny. Do pierwszej klasy szkoły średniej uczęszczało bowiem w r. 1923/4 31.492 uczniów, a w r. 1926/7 — 20.501 uczniów; wyższe natomiast klasy, od piątej poczynając, wykazują stały przyrost z la-

[1]) W dzisiejszych granicach państwa.
[2]) Mniej więcej.
[3]) Z tego 233 koedukacyjnych.

tami. Świadectw dojrzałości wydano w r. 1920/1 — 7.381, a w roku 1926/7 — 12.216.

Żywszy rozwój szkolnictwa zawodowego jest, można powiedzieć, dziełem paru ostatnich lat i związany jest on z poprawą stosunków gospodarczych w kraju. Byłby on jeszcze znaczniejszym, gdyby nie wysokie koszta urządzenia i prowadzenia tego rodzaju szkół. Z trudnościami temi uporano się w taki sposób, że oprócz państwa pomagają tu finansowo sfery gospodarcze i ciała komunalne. W r. 1925/6 mieliśmy w kraju: szkół zawodowych o poziomie średnim — 356, o poziomie niższym — 924, oraz kursów 314; łącznie uczęszczało do nich przeszło 114 tysięcy uczniów. W r. 1926/7 liczba szkół o poziomie średnim wzrosła do 379, a ogólna ilość uczniów wszystkich szkół i kursów do 121.723. Jeśli chodzi o szczegółowe zestawienie, to w roku 1925/6 z pośród ogólnej liczby szkół i kursów zawodowych przypadało na: rolnictwo i leśnictwo, wraz z hodowlą i ogrodnictwem — 144, przemysł i górnictwo — 668, handel — 259, komunikacja i transport — 30, inne wydziały — 15, szkoły dokształcające — 478 szkół względnie kursów.

Wyższych uczelni posiada Polska 19, w czem 13 państwowych i 6 niepaństwowych. [1]) Liczba słuchaczów wszystkich zakładów podniosła się nieznacznie, z 34.708 w roku 1921/2 na 40.734 w r. 1926/7; z tej ostatniej liczby tylko 3.773 przypada na zakłady niepaństwowe. O ile chodzi o obsadzenie poszczególnych wydziałów na uczelniach, można powiedzieć, iż naogół odsetek uczęszczających na nie słuchaczów utrzymuje się od roku 1921 do 1927 prawie na jednym poziomie; zmniejszyła się tylko nieco ich liczba na wydziale prawa i nauk politycznych oraz medycyny, a wzrosła na teologji, filozofji i studjach handlowych. Co się tyczy grona profesorskiego, było w r. 1927 w państwowych szkołach akademickich: 785 profesorów i 1.332 pomocniczych sił naukowych.

Dla uzupełnienia wspomnieć jeszcze możemy o szkolnictwie specjalnem, dla dzieci upośledzonych. W r. 1925/6 obejmowało ono 57 szkół (z tego 25 prywatnych), z 336 nauczycielami i 4.642 uczniami do lat 18-tu (z tego trzecia część dziewcząt). Z pośród szkół tych przeznaczonych było dla: głuchoniemych 14, ociemniałych 4, umysłowo upośledzonych 25, moralnie zaniedbanych 13, jąkających się 1.

Tak przedstawiają się poszczególne gałęzie naszego szkolnictwa. A teraz jeszcze parę zestawień, dotyczących wyznania

---

[1]) Tak podług *Rocznika Statystyki Rzpltej Polskiej* z r. 1928; rzecz dziwna, że równocześnie drugie sprawozdanie urzędowe, „Materjały odnoszące się do działalności Rządu w czasie od 15 V. 1926 do 31 XII 1927" (Warszawa 1928), nie zgadza się z tamtem ani w wyliczeniu uczeln państwowych, ani w liczbie niepaństwowych, których podaje 10.

i płci objętych niemi osób. Według ostatnich zestawień w tej mierze, w r. 1925/6, należało 82·8% uczniów i 92·2% nauczycieli publicznych szkół powszechnych do Kościoła katolickiego. W szkołach średnich tę samą przynależność zgłosiło w 1926/7 roku 72·5% uczniów, a w wyższych uczelniach 73·6% słuchaczów. Do wyznania prawosławnego i obu ewangelickich należał stosunkowo drobny odsetek młodzieży. Jedynie przy wyznaniu mojżeszowem jest on wyższy, a niski jego stopień w szkołach powszechnych tłumaczy się tem, że wielka część dzieci żydowskich kształci się w prywatnych szkołach wyznaniowych. Stosunek ten uwydatnia zamieszczone poniżej zestawienie, podające odsetek uczniów każdego wyznania w poszczególnych kategorjach szkół, w latach powyżej wymienionych:

rodzaj szkół	wyznanie prawosławne	wyznanie ewangelickie	wyznanie mojżeszowe
powszechne	6·9%	2·8%	2·8%
średnie	2·5 „	4·1 „	20·7 „
wyższe	1·6 „	2·2 „	20·1 „

Pod względem płci podział osób przedstawia się następująco. O ile chodzi o nauczycielstwo szkół powszechnych, przeważają, dzięki tradycji, kobiety (w r. 1925: 36 tysięcy na 28 tys. mężczyzn); w szkołach średnich w r. 1925/6 było 9.947 nauczycieli a 4.786 nauczycielek. Co się tyczy uczniów, w szkołach powszechnych panuje względna równowaga; w średnich w r. 1926/7 było 136 tys. chłopców i 79 tys. dziewcząt; w szkołach wyższych w r. 1927/8 ponad 30 tys. słuchaczów i blisko 11 tys. słuchaczek.

Powyższe zwięzłe zestawienie jest tylko słabą ilustracją rozwoju naszego szkolnictwa w okresie ostatniego dziesięciolecia i szczerych wysiłków, włożonych przez wszystkie interesowane czynniki w to wielkie dzieło. Jedynym, można powiedzieć, hamulcem szybszego jego postępu są trudności finansowe, jakkolwiek budżet ministerstwa Wyznań Rel. i Oświecenia Publ. rośnie ciągle. Wynosił on w r. 1921 — 40 miljonów, w r. 1924 — 229 mil., w r. 1927 — 329 mil. złotych polskich. Wydatki oświatowe w r. 1927 stanowiły u nas 16·56% całego budżetu państwa (bez Śląska); we Francji wynosiły one 12·5%, w Czechosłowacji 13·4%, w Prusach 17% ogólnego budżetu państwowego. A jeśli do sumy, wyłożonej u nas ostatnio przez państwo, dodamy około 60 miljonów włożonych przez samorządy, 25 mil. przez województwo śląskie i 55 mil. przez inicjatywę prywatną, to przekonamy się, że w r. 1927 Polska wydała na cele oświaty około 470 mil. złotych pol. Mimo to potrzeby nasze nie są zaspokojone. Przed Rządem, samorządami i społeczeństwem stoją jeszcze poważne i niełatwe do spełnienia zadania. *Ks. St. Podoleński.*

REDAKTOR I WYDAWCA: *KS. JAN URBAN T. J.*

Druk ukończono [illegible] grudnia 1928 r.

Spis rzeczy tomu 180.

Artykuły.

Str.

Ks. J. Urban: Zaufanie do państwa 3
Prof. Dr. L. Caro: Idea gospodarcza Polski. 13, 161
Ks. J. Chechelski: Noetyka św. Tomasza wobec zasadniczego problemu „Krytyki czystego rozumu" (Dok.) 31
Z. Falkowski: Rzecz o tragizmie Kleopatry C. K. Norwida (Ciąg dalszy) 46, 191, 307
C. Lubowiecka: Przełom duchowy w dzisiejszem życiu akademickiem 68
Ks. J. Urban: Dziesięciolecie niepodległości 137
M. Loret: Życie polskie w Rzymie w XVIII wieku . . 146, 319
Ks. St. Podoleński: Opiekuńczo-wychowawcze Zakłady dla młodzieży w Polsce 171
Dr. M. Gumowski: Architektura i styl przedromański w Polsce (C. d.) 211
Ks. E. Kosibowicz: Dawność ludzkości 265
T. Stryjeński: Witraże Józefa Mehoffera w kolegjacie św. Mikołaja we Fryburgu 289
Dr. J. Feldman: Dziesięciolecie badań historycznych w Polsce Odrodzonej 339

Przegląd piśmiennictwa.

Poezje, powieści, pamiętniki. Bronisława Ostrowska: Tartak słoneczny. — Marja Grossek-Korycka: Pamiętnik liryczny. — Kazimiera Iłłakowiczówna: Z głębi serca. — Janina Hełm-Pirgo: Kolorowa sonata. — Józef Birkenmajer: Ulica i droga. — G. de Henning-Michaelis: Burza dziejowa. — Zofja Zawiszanka: Poprzez fronty. — Juljusz Kaden-Bandrowski: Na progu. — Jerzy Kossowski: Kłamca. — Stanisław Rembek: Nagan. — Kazimierz Leczycki: Państewko. — Wło-

Str.

dzimierz Perzyński: Dwoje ludzi. — J. Maciejewski: Pograniczne ogniska. — Piotr Choynowski: O pięciu panach Sulerzyckich. — F. A. Ossendowski: Szkarłatny kwiat kamelji. — St. Marja Saliński: Opowieść morska: J. B. Rychliński: Róża korsarska. — Jerzy Bandrowski: Krwawa chmura. — Stefan Grabiński: Klasztor i morze. (Anna Zahorska) 86

Władysław Glinka: Pamiętniki z wielkiej wojny (Ks. J. Urban) 95

Dr. René Martial: La Pologne jadis et de nos jours (Ks. J. Urban) 96

Jerzy Smoleński: Morze i Pomorze. Z cyklu „Cuda Polski" (Ks. J. Urban) 97

Dębicki Tadeusz: Moienzi Nzadi — U wrót Konga (Ks. E. Kosibowicz) 97

Joseph Douillet: Moscou sans Voiles (Ks. J. Urban) . . . 98

Wenceslaus Pohl: De vera religione, quaestiones selectae (E. Kosibowicz T. J.) 99

V. Bernadot. G. Desbuquois, M. Riquet: Le joug du Christ (Ks. J. Urban) 101

Modlitwy św. Tomasza z Akwinu, przekł. Eleonora Reicher. Przedmowa ks. prof. W. Michalskiego C. M. (St. Podoleński) 101

Ks. Dr. Mieczysław Dybowski: O typach woli. Badanie eksperymentalne (Fr. Bielak) 102

W sprawie książki Ks. Dra Jakubisiaka (I. Replika Autora. — II. Odpowiedź Recenzenta) 104

Friedrich Ueberwegs: Grundriss der Geschichte der Philosophie. II. Teil: Die patristische und scholastische Philosophie. V Teil: Die Philosophie des Auslandes (Ks. Fr. Kwiatkowski) 233

Dr. A. Stöckl i Dr. J. Weingärtner: Historja filozofji w zarysie. Przekład polski oprac. Ks. Fr. Kwiatkowski T. J. Wyd. II (F. S.) . . 234

J. Chaine: L'Epitre de Saint Jaques. Bardenhewer, Dr. Otto: Der Brief des Heiligen Jakobus. (Ks. W. Prokulski) 235

Dr. Karl Künstl: Ikonographie der christlichen Kunst. I Band. Prinzipienlehre, Hilfsmotive, Offenbarungstatsachen. — Św. Stanisław Kostka. Album ikonograficzne (Ks. St. Bednarski) . . . 238

August Iwański: Pamiętniki. 1832—1876. Staraniem synów Autora wydał i przedmową poprzedził A. Czartkowski. — Z Grüntherów Gabrjela Puzynina: W Wilnie i w dworach wileńskich: 1815—1845. Pamiętnik —wydali A. Czartkowski i H. Mościcki. (Ks. St. Bednarski) 239

Mieczysław Gołąb: Akademickie sodalicje marjańskie w Polsce. Rys historyczny ruchu i jego rola w życiu akademickiem (Ks. J. Andrasz) 240

Aleksandra David-Neel: Voyage d'une Parisienne à Lhassa (E. Kosibowicz) 242

Zofja Cieszkowska: Obyczaje zwierząt. (E. Kosibowicz) . 244

Bibljoteka biologiczna. pod redakcją prof. Dra Wilczyńskiego (E. K.) 244

Str

Budowa terenów i urządzeń sportowych. Praca zbiorowa, pod redakcją Ppłk. Dr. W. Osmolskiego i Henryka Jeziorowskiego (S.) 245

Edmund Jehle: Katechesen für die Oberstufe. II Teil: Sittenlehre (Ks. J. A.) 246

Ks. Dr. Michał kard. v. Faulhaber: Pismo św. na kazalnicy z przydaniem kazania o rodowodzie Jezusa Chrystusa. Spolszczył ks. Jan Korzonkiewicz. (Ks. J. G.) 247

Ks. Jan Dorszyński: Kazania Katechetyczne o przykazaniach boskich (Ks. J. G.) 247

Ks. H. Weryński: Młodzi — na bój! Triduum ku czci św. Stasława Kostki. — Ks. A. Rogóż: W górę serca. (F. K.) 248

Żywot św. Romualda. — Życie św. Teresy od Jezusa. Według Bollandystów oraz jej historyków i własnych jej pism. Tłum. z franc. Marja Bocheńska. (Ks. J. G.) 249

W sprawie książki Ks. Dra Mirka (Kilka słów wyjaśnienia autora — Słowo recenzenta) 250

Dr. Teofil Bromboszcz: Die Einheit des Joannes-Evangeliums (Ks. W. Prokulski) 357

Dr. Josef Schmid: Der Ephesenbrief des Apostels Paulus (Ks. W. Prokulski) 359

Dr. Jan Wilczyński: Podręcznik biologji ogólnej (Ks. E. Kosibowicz) 361

Ks. Dr. Walerjan Adamski: Zarys socjologji stosowanej (Ks. R. Moskała) 364

Marceli Handelsman: Historyka. Zasady metodogji i teorji poznania historycznego. Wyd. II (Ks. St. Bednarski) 366

Dr. A. Peretiatkowicz: Państwo współczesne. (Ks. J. Urban 369

10 lat polityki społecznej państwa polskiego, 1918—1928. (St. Podoleński) 369

Lucia Doxie: Ein Lebensbuch für junge Mädchen (St. Podoleński) 370

Ks. J. B. Chautard J. C. R.: Życie wewnętrzne duszą apostolstwa (Ks. St. Podoleński) 371

O. Maksymiljan Huber T. J.: O naśladowaniu Świętych. Przekład Ks. T. Karyłowskiego T. J. (E. K.) 371

Tadeusz Dębicki: Od brzegu do brzegu. Opowieść morska. (E. Kosibowicz) 372

Ks. Franc. Finn T. J.: Przygody urwisza. Przeł. z ang. Krystyna Sarjusz Zaleska (E. K.) 373

Akcja katolicka. Zbiór kazań, wydanych z polecenia J. Em. Ks. Kardynała-prymasa Hlonda. (Ks. J. Godaczewski) 373

Ks. Józef Kłos: Mowy żałobne. (Ks. J. Godaczewski) . . 375

Nadesłane 245, 375

Sprawozdanie z ruchu religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła:

Str

Październik: Encyklika o studjach wschodnich (Ks. J. Urban) 112
Listopad: Zagadnienie sekciarstwa i środków zaradczych przeciwko niemu. (Ks. J. Urban) 257
Grudzień: Kodeks Boga, czy kodeks Boziewicza. (Ks. J. Urban) 377

VI Międzynarogowy Kongres nauk historycznych (Prof. O. Halecki) 115
Walka z jaglicą w Polsce (Ks. St. P.) 124
Parę spostrzeżeń z pracy wśród młodzieży. (Fr. Bielak) . . 128
I Targi północne i wystawa rolniczo-przemysłowa w Wilnie (Ks. K. Konopka) 132
„Tydzień dziecka" w Polsce. (Ks. St. Podoleński) . . . 262
Dziesięciolecie szkolnictwa polskiego. (Ks. St. Podoleński) 384